

Złe miejsce

Koontz Dean R.



calibre 0.9.27

Dean R. Koontz

Złe miejsce

The bad place

Przełożył: Mirosław Koscisk

Wydanie oryginalne: 1989

Wydanie polskie: 1991

Odmienne obrazy każde widzi oko każde ucho inny słyzy śpiew,

A każde serce, gdy wejrzeć głęboko,

Ukaże własną sromotę i grzech.

Diabły ukryte pod ludzkim przebraniem

Na koniec piekiel zasiedła podziemia,

Lecz dobroć, przyjaźń i miłość powstanie

Z dna serca biednego stworzenia.

Księga Zliczonych Smutków

1

Noc była bezwietrzna i zdumiewająco cicha, jakby ulica przemieniła się w opuszczoną plażę zamarłą w oku cyklonu, już po przejściu jednej nawałnicy, a przed nadejściem następnej. W nieruchomym powietrzu unosił się słaby zapach dymu, choć samego dymu nigdzie nie było widać. Rozciągnięty na zimnym chodniku, twarzą ku ziemi, Frank Pollard odżył przytomność, lecz nie poruszył się, czekając, aż opadnie żen oszłomienie. Zamrugał, usiłując odżył skąć ostrość widzenia. Miał wrażenie, że gdzieś wewnątrz jego oczu trzepoczą niezliczone welony. Zaczepnął głęboki haust chłodnego powietrza, odnajdując w nim won niewidzialnego dymu i krzywiac się z powodu cierpkiego posmaku.

Wokół niego tłoczyły się cienie, przywodzące na myśl zgromadzenie ubranych w długie szaty postaci. Stopniowo wzrok wystrzył mu się, lecz w słabym żółtawym świetle, które napływało gdzieś z tyłu, niewiele mógł zobaczyć. Oddalony o jakieś sześć czy osiem stopni duży pojemnik na śmieci tak niewyraźnie rysował się w mroku, że przez moment wydał mu się nieprawdopodobnie obcy, niczym wytwór pozaziemskiej cywilizacji. Frank przyglądał mu się przez dobrą chwilę, zanim usiadł sobie, co to jest.

Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje ani jak tu trafił. Musiał stracić przytomność zaledwie na kilka sekund, bo serce waliło mu, jak gdyby dopiero co uciekał, ratując życie.

Światliki na wietrze...

Słowa te przemknęły mu przez głowę, ale nie miał pojęcia, co mogły znaczyć. Gdy usiłował skoncentrować się i wyłowić z nich jakiś sens, powyżej prawego oka odezwał się tepy ból.

Światliki na wietrze...

Jękł cicho.

Pomiędzy nim a kontenerem przemknął szybki, gietki cien. Małe, lecz błyszczące zielone oczy popatrzyły na niego z lodowatym zainteresowaniem.

Przestraszony, podniósł się na kolana. Wyrwał mu się mimowolny piskiwy okrzyk, bardziej przypominający stłumione zawodzenie piszczałki niż głos człowieka.

Zielonooki obserwator zniknął. To był tylko kot. Zwyczajny czarny kot.

Frank stanął na nogi, zatoczył się i omal nie potknął o leżący na jezdni obok niego przedmiot. Ostrożnie pochylił się i podniósł go: torba podróżna, wykonana z miękkiej skóry, zapakowana do pełna i zaskakująco ciężka. Przy puszczał, że należała do niego. Nie mógł sobie przypomnieć. Z torba w ręku podszedł niepewnym krokiem do pojemnika i oparł się o jego przerdzewiały bok.

Obejrząwszy się spostrzegł, że znajduje się pomiędzy rzędami czegos, co wyglądało na jednopiętrowe, ozdobione sztukateria domy czy nszowe. Wszystkie okna były czarne. Po obu stronach, zwrócone przodem do krawężnika, na zadanych parkingach stały samochody mieszkańców. Stojąca na końcu ulicy latarnia rzuciła dziwna, żółta poswiata, bardziej przypominająca oświetlenie gazowe niż światło żarówki elektrycznej. Jej blask był zbyt słaby, aby odsłonić szczegoly okolicy, w której się znajdował.

Kiedy już uspokoił przyspieszony oddech, a jego tętno wróciło do normy, usiadł sobie nagle, że nie ma pojęcia, kim jest naprawdę. Znal tylko swoje nazwisko - Frank Pollard - i to było wszystko. Nie wiedział ile ma lat, z czego się utrzymuje, skąd przybył, dokąd się udaje i dlaczego. Tak go to zaskoczyło, że przez chwilę oddech zamarał mu w piersiach, a zaraz potem serce zaczęło tłuc się jak oszalałe. Pospiesznie wypuścił powietrze z płuc.

Światliki na wietrze...

Coż, u diabła, mogło to znaczyć?

Pulsujący nad prawym okiem ból przewiercał mu czoło.

Gorączkowo rozejrzał się na lewo i na prawo, szukając przedmiotu czy widoku, który zdołałby rozpoznać - czeokolwiek, co dałoby mu punkt zaczepienia w świecie, jawiacym mu się nagle jako całkowicie obcy. Gdy noc nie ofiarowała mu niczego, na czym mogłyby się oprzeć, sygnał w głab siebie, desperacko szukając czegos znajomego. Jego własna pamięć okazała się jednak jeszcze ciemniejsza niż ulica, na której się znajdował.

Stopniowo zaczął sobie uswiadamiac, że zapach dymu osłabił, a na jego miejsce pojawiła się słaba, lecz przyprawiająca o mdłości won gnijacych w pojemniku śmieci. Smród rozkładu obudził w nim myśli o śmierci, co z kolei niejasno przypominało mu, że ucieka przed kims lub przed czymś, co chce go zabic. Kiedy jednak usiłował sobie przypomnieć, dlaczego i przed kim ucieka, nie mógł dotrzeć do właściwych zakamarków pamięci. Prawde mówiac, o tym, że ucieka, wiedział bardziej instynktownie niż na podstawie jakiegokolwiek wspomnienia.

Owionął go leciutki podmuch wiatru. Zaraz potem powróciła cisza, jak gdyby martwa noc usiłowała powrócić do życia, lecz starczyło jej sił zaledwie na jedno drżące tchnienie. Poruszony nim zmięty kawałek papieru z szelestem potoczył się po chodniku i zatrzymał przy jego prawym bucie.

Jeszcze jeden podmuch.

Papier odfrunął w noc.

Znowu zapanowała martwa cisza.

Cos sie dzialo. Frank wy czuwal, ze owe krotkotrwale powiewy mialy swoje zlowrogie zrodlo, ze niosly ze soba grozbe.

Nie opuszczala go irracjonalna pewnosc, ze zostanie zmiadzony przez potworna sile. Popatrzyl w bezchmurne niebo, na ponura i pusta czern przestrzeni i uragliwy blask odleglych gwiazd. Jezeli nawet cos sie ku niemu stamtad zblizalo, to nie potrafil tego dojrzec.

Noc westchnela jeszcze raz. Tym razem mocniej. Jej oddech byl ostry i wilgotny.

Byl ubrany w sportowe buty, biale skarpety, dzinsy i koszulke w niebieska kratke. Nie mial kurtki, a przydalaby mu sie teraz. Powietrze co prawda nie bylo lodowate, najwyzej rzeskie, lecz wciaz go przesladowal wewnetrzny chlod - zimny, dlawiacy strach. Nie mogli opanowac drzenia, wystawiony na chlodne pieszczoty nocnego powietrza, rownoczesnie walczac z rozchodzacych sie gdzies z glebi ciala zimnem.

Podmuch zamarl w oddali.

Noc odzyskala swoj niczym nie zmacony spokoj.

Przekonany, ze musi sie stad wy dostac - i to szybko - oderwal plecy od smietnika. Niepewnym krokiem ruszyl wzdluz ulicy, oddalajac sie od konca szeregu palacych sie ulicznych lamp. Podadal w strone ciemnosci, czyz nie to zapelnienie bezwiednie, przeswiadczony, ze to miejsce nie jest bezpieczne i ze pelne bezpieczenstwo, o ile mozna bylo je znalezc, znajduje sie gdzie indziej.

Wiatr ponownie przybral na sile, a jego poddmuchy przyniosly ledwo slyszalny odglos dziwnego gwizdu, przy pominajacego plynaca z daleka muzyke koscianej piszcalki.

Po przejsciu paru krokow, gdy jego nogi nabraly pewnosc, a oczy dostosowaly sie do mroku nocy, dotarl do zbiegu ulic. Z obu stron ciagnely sie kute w zelazie bramy, osadzone w bladych stiukowych lukach. Sprobowal otworzyc najblizsza furtke. Nie byla zamknieta, a jej jedyne zabezpieczenie stanowil prosty zatrask. Glosne skrzywienie zawiasow wywolalo grymas na twarzy Franka, ktoremu pozostawalo tylko miec nadzieje, ze jego przesladowca nie uslyszal tego dzwieku.

Teraz bowiem, chociaz w zasiegu wzroku nie bylo nikogo, Frank nie mial zadnych watpliwosci, ze jest scigany. Wiedzial o tym rownie dobrze, jak zając wie o ruszajacym w pole lisie.

W plecy uderzyl go kolejny podmuch, niosac ze soba muzyke fletu, choc ledwie slyszalna i pozbawiona wyraznej melodii, ale natretna. Przenikala go. Wzmagala strach.

Za czarna zelazna brama, po ktorej bokach rosly zarosla i kępy pierzastej paproci, biegł chodnik, prowadzacy miedzy dwoma piętrowymi domami. Posuwajac sie nim Frank dotarl na prostokatne podworze. Mrok rozpraszaly jedyne rozmieszczone w przeciwnych koncach placu slabe zarowki, wskazujace przejscie. Drzwi mieszkana na parterze wychodzily bezposrednio na zadazona promenade; mieszkana na pietrze mialy drzwi ukryte pod balkonem z zelazna balustrada. Ciemne okna wychodzily na trawniki, rabaty azalii i sukulentow oraz nieliczne palmy.

Na jednej z mldo oswietlonych scian rysowal sie desen z cieni ostro zakonzonych palmowych lisci, a wzor ten byl tak nieruchomy, ze zdawal sie wyrzezbiony w kamiennej okladzynie. W tym momencie znowu zaswiergotal miedko tajemniczy flet, budzac silniejszy niz przedtem wiatr, ktory ozywil cienie na scianie. W srod rozdrzganym plam swiatla i cienia zjawila sie na krotko zniekszalcona, czarna sylwetka biegnacego przez podworze Franka. Natkal sie na inna sciezke, minal jakas brame i w koncu wypadl na ulice, na ktora wychodzil front budynku.

Byla to boczna uliczka, pozbawiona jakiegokolwiek oswietlenia. Tu noc panowala wszechladnie.

Powiew, ktory nadszedl, byl jeszcze dluzszy i silniejszy. Kiedy raptownie sie urwal, a wraz z nim zamilklo zawodzenie fletu, zdawal sie, ze noc zawisla w absolutnej prozni, jakby oddalajacy sie podmuch zabral ze soba kazda czasteczke zlatnego do oddychania powietrza. Frank poczul klucie w uszach, jak przy gwałtownej zmianie wysokosci; gdy ruszyl w strone zaparkowanych po drugiej stronie ulicy samochodow, powietrze naplynelo gwałtownie z powrotem.

Obejrzal cztery samochody, zanim natkal sie na otwarte drzwi. Wslizujac sie za kierownice forda, rozwarl je na cala szerokosc, aby wpuscic do srodka jak najwiecej swiatla.

Spojrzal za siebie na przebyta przed chwila droge.

Spowity w mroku, uspony dom otaczala martwa cisza. Zwyczajny budynek, a jednak wy gladal zlowieszco.

Nikogo nie bylo widac.

A mimo to Frank wiedzial, ze ktos sie do niego zbliza. Siegnal pod deske rozdzielcza wozu, wy ciagnal wiazke przewodow i pospiesznie uruchomil silnik, dopiero w owczas uswiadamiajac sobie, ze taka umiejetnosc sugeruje zycie na bakier z prawem. Nie czul sie jednak zlodziejem. Nie mial poczucia winy, a poza tym policja nie budzila w nim niecheci czy obawy. Prawde mowiac, w tej chwili z radoscia powitalby gliniarza, ktory pomogly mu uporac sie z przesladowca. Nie czul sie jak przestepca, raczej jak czlowiek przez dlugi czas zmuszony do wyczerpujacej ucieczki przed nieublaganym, zawzietym wrogiem.

Gdy siegal po klamke otwartych drzwi, gdzies nad nim na krotko rozblyslo bladoblekitne swiatlo i w tej samej chwili eksplodowaly wszystkie szyby forda po stronie kierowcy. Grad drobnych odlamkow hartowanego szkła zascielil tylnie siedzenie klejaca sie warstwa. Poniewaz przednie drzwi byly otwarte, eksplodujaca szyba nie zrobila mu krzywdy, niemal w calosci spadajac na chodnik.

Zatrzaszkujac gwałtownie drzwi, spojrzal przez pusta rame na pograzone w ciemnosciach zabudowania, lecz nie dostrzegl nikogo.

Frank wrzucil bieg, zwolnil hamulec i mocno wduzil pedal gazu. Odjezdzajac od kraweznika zaczepil o tylny zderzak stojacego przed nim wozu. Krotki, ostry zgrzyt gietego metalu przeszyl cisze nocy.

Atak jeszcze sie nie skonczyl. Na czas nie dluzszy niz sekunda, nad samochodem ponownie rozblyslo iskrzace, blekitne swiatlo, przednia szyba na calej swej szerokosci pokryla sie ty siacami i drobnymi klockami, choc nie uderzyl w nia zaden przedmiot. Frank odwroutil twarz i mocno zacisnal oczy, w sama pore, by uniknac oslepienia przez rozpryskujace sie odlamki. Przez chwile nic nie widzial przed soba, nie zmniejszyly jednak szybkości - wolal narazic sie na zderzenie, niz ryzykowac hamowanie i schwytywanie przez niewidzialnego wroga. Deszcz szklanych okrucich zasypal jego pochylona glowe, na szczescie tepe krawedzie bezpiecznego szkła nie zrobily mu zadnej krzywdy.

Otworzyl oczy i mruzac je pod naporem wpadajacego do srodka powietrza usilowal cos dojrzec. Pozostawil juz czesciowo za soba obszar zwartej zabudowy i dojezdzal do skrzyzowania. Mocno zakrecil kierownica w prawo, tylko nieznacznie dotykajac hamulca, i wypadl na jakas lepiej oswietlona ulice.

Gdy wychodzil z zakretu, na chromach auta, niczym ognie swietego Elma, zalasnily szafirowoblekitne swiatlo, czemu towarzyszyla eksplozja tylnej opony. Nie slyszal strzalu. W ulamek sekundy pozniej pekla druga tylna opona.

Samochod zachwial sie, zjechal nieco w lewo, po czym zaczal zarzucac od kraweznika do kraweznika.

Frank goraczkowo krecil kierownica.

Obie przednie opony wybuchly jednoczesnie.

Samochodem potecznie zatrzeslo, ale ucieczka powietrza z przednich kol powstrzymala na chwile sunacy w lewo tyl, co pozwolilo Frankowi zapanowac nad rozszalala kierownica.

Takze teraz nie padl zaden strzal. Nie mial pojecia, dlaczego to wszystko sie dzieje - a jednak w jakis sposob wiedzial.

To bylo naprawde przerazajace: gdzies w glebi podswiadomosci dokladnie pojmul, co sie stalo, czym jest ta dziwna sila, ktora w zastraszcacym tempie niszczy samochod. Zdawal tez sobie sprawe, ze szanse jego ucieczki sa raczej nikle.

Slaby niebieskawy blysk..

Implozja zniszczyła tylną szybę. Wokół niego przemknęła chmura lepkich, a równocześnie klujących kawałków szkła. Odpryski uderzyły go w głowę, uwieźły we włosach.

Frank skrył się za zakretem, jadąc dalej na czterech dziurawych oponach.

Odgłos łopoczących gum i grzechot metalowych obreczy slychac by lo pomimo ryku wiatru rozgniatającego mu twarz.

Spojrzał we wsteczne lustro. Noc pietrzyła się za nim niczym ogromny czarny ocean, a mrok rozpraszały jedynie rzadko rozrzucone lampy uliczne, których nigdy blask przy wodził na myśl światła dwóch rzędów statków, płynących w konwoju.

Gdy wychodził z zakretu, miał na liczniku trzydzieści mil na godzinę. Nie zważając na zniszczone opony usiłował przyspieszyć do czterdziestu, ale wtedy pod maską coś zagrzecotało, wśród zgrzytów i pisków silnik zaczął się krztusić i nie dało się z niego nic więcej wycisnąć.

W połowie drogi do kolejnego skrzyżowania światła wysiadły lub eksplodowały - Frank nie wiedział dokładnie. Choć latarnie rozstawiono w znacznych odstępach, rzucany przez nie blask starczał, by zapewnić niezbędną widoczność.

Silnik zakasłał ponownie i Ford zaczął tracić prędkość. Nie dotykając hamulca Frank przejechał przez skrzyżowanie na czerwonym świetle, a następnie wduł pedal gazu do oporu, ale bez skutku.

Na koniec posłuszeństwa odmówiła także kierownica. Bezżyłteczne koło obracało się luzno w jego spoconych dloniach. Najwidoczniej opony rozleciały się ostatecznie. W zetknięciu z nawierzchnią stalowe obrecze krzesła spopyły złotych i turkusowych iskier.

Świetliki na wietrze...

Wciąż nie rozumiał, co to znaczy.

Poruszając się z prędkością dwudziestu mil na godzinę samochód sunał prosto na prawy krawężnik. Frank nacisnął hamulec, lecz prędkość ani kierunek jazdy nie uległy zmianie.

Wóz uderzył w krawężnik, przeskoczył go, z jękiem rozdzielony przez stal cienkich blach ścian latarni, by wreszcie z hukiem zatrzymać się na pniu olbrzymiej palmy daktylowej, rosnącej przed białym bungalowem. Nim jeszcze chłodne nocne powietrze zdążyło stłumić echo uderzenia, w domu rozbrzmiały światła.

Frank gwałtownie otworzył drzwi, chwycił leżącą na siedzeniu obok skorzaną torbę i wyskoczył na zewnątrz, strasząc z siebie lepiące się kawałki szkła.

Chociaż nie było zimno, poczuł na twarzy wyraźny chłód, wywołany przez sciekające z czoła strużki potu. Oblizł wargi i poczuł smak soli.

Jakiś człowiek otworzył frontowe drzwi bungalowu i wyszedł na werandę. Światła pojawiły się również w sąsiednim domu.

Frank popatrzył za siebie. Miał wrażenie, że dostrzega mknący nad ulicą niewielki obłok polującego szafirowo pyłu. Dwie przecznice dalej wybuchły żarówki ulicznych latarni, tak jakby nagle przepłynął przez nie bardzo silny prąd. Polski diabeł niczym łódź odłamki szkła z chrzęstem opadły na asfalt. Wydało mu się, że w panujących ciemnościach widzi wysoki, mglisty postać, oddaloną najwyżej o przecznice, która zmierza w jego stronę. Nie był jednak całkiem pewien.

Na lewo od Franka meczyzna z bungalowu ruszył biegiem w stronę palmy, przy której stał ostatecznie znieruchomiały Ford. Coś mówił po drodze, lecz Frank go nie słuchał.

Sciskając torbę zawrócił na piecie i zaczął biec. Nie wiedział dokładnie, przed czym ucieka, dlaczego jest tak wystraszony i gdzie może znaleźć schronienie, a jednak mimo wszystko biegł, bo był pewien, że jeśli pozostanie na miejscu jeszcze parę sekund, zostanie zabity.

2

Pozbawiony okien tylny przedział furgonetki rozświetlały słabe błyski czerwonych, niebieskich, zielonych, białych i burszty nowych lampek kontrolnych elektronicznego sprzętu inwigilacyjnego. Najwięcej światła dawały jednak dwa ekrany komputerowe, których miękka, zielona poświata nadawała temu mogącemu przy prawic o klaustrofobie pomieszczeniu wygląd kabiny łodzi podwodnej. Ubrany w sportowe buty, bezwosze sztruksy i brązowy sweter Robert Dakota siedział na obrotowym krześle na wprost dwóch bliźniaczych terminali. Uderzał rytmicznie stopa o deski podłogi, a prawa ręka radosnie dyrygował niewidzialną orkiestrą.

Na głowie miał zestaw złożony ze słuchawek stereo oraz małego mikrofonu umieszczonego tuż przy ustach. W tym momencie słuchał właśnie One O'Clock Jump Benny Goodmana, doskonałej wersji klasycznej swingowej kompozycji Counta Basiego, szesc i pół minuty niebiańskiego szczęścia. Gdy Jess Stacy jeszcze raz zagrał na pianinie temat, a Harry James włączył się ze znakomitą partią na trąbce, zmierzając do najsłynniejszego zakończenia w całej historii swingu, Bobby nie posiadał się ze szczęścia.

Równocześnie jednak nie spuszczał z oka obu ekranów. Terminal po prawej połączony był mikrofalowo z systemem komputerowym Decodecne Corporation, przed siedzibą której zaparkował swoją furgonetkę. Dzięki temu mógł na nim obserwować, czym zajmował się w biurze Tom Rasmussen w czwartek o 1:10 w nocy - a nie było to nic dobrego.

Rasmussen odszukiwał i kopiował jeden po drugim zbiory danych zespołu zajmującego się projektowaniem oprogramowania, który ukończył ostatnio nowy i rewolucyjny program Decodecne o nazwie "Czarnoksiężnik". "Czarnoksiężnik" wyposażony został w starannie przemyślane instrukcje wzbraniające dostępu obcym: elektroniczne zwodzone mosty, fosy i waly. Jednakże Tom Rasmussen był ekspertem w dziedzinie komputerowych zabezpieczeń i nie było fortacy, której by nie zdobył, jeśli tylko miał wystarczająco dużo czasu. Prawde mówiąc, gdyby "Czarnoksiężnik" nie był opracowany w systemie komputerowym odizolowanym od świata zewnętrznego, Rasmussen dobrałby się do zbioru danych spoza murów Decodecne, korzystając ze swego komputera i linii telefonicznej.

Jak na ironię, od pięciu tygodni pracował w Decodecne w charakterze nocnego strażnika. Zatrudniono go na podstawie rozlicznych, bardzo przekonujących - a, oczywiście, fałszywych dokumentów. Dzisiejszej nocy sforsował ostatnie zabezpieczenia "Czarnoksiężnika". Za chwilę opuścił biuro z pakietem dyskietek, wartych dla konkurencji grube pieniądze.

One O'Clock Jump skończył się.

-Muzyka stop - rzucił Bobby do mikrofonu.

Ta słowna komenda spowodowała, że skomputeryzowany system compact-discu przerwał pracę, otwierając równocześnie kanał łączności z Julie, jego żoną i współnikiem.

-Jestes tam, dziecino?

Na swym posterunku, w samochodzie ustawionym w najdalszym kącie parkingu z tyłu biurowca Decodecne, przez słuchawki odbierała te same muzykę. Westchnęła.

Czy Vernon Brown grał kiedykolwiek lepiej na puźoniu niż Podczas tego nocnego koncertu w Carnegie?

-A co powiesz o Krupie na bebnach?

-Ambrozja dla uszu. I afrodyzjak. Muzyka sprawia, że chce iść z tobą do łóżka.

-Nie chce. Nie jestem spiący. Poza tym jesteśmy prywatnymi detektywami, pamiętasz?

-Wolałabym, żebyśmy byli kochankami.

-Kochaniem nie zarobimy na nasz chleb powszedni.

-Zaplace ci - odparła.

-Tak? Ile?

-Och, w kategoriach chleba powszedniego... pol bochenka.

-Wart jestem cały bochenek

-Prawde mowiac, wart jestes cały bochenek dwa rogalne i grahamke - zgodzila sie Julie.

Miala mily, gardlowy, a zarazem bardzo seksowny glos. Uwielbial jej sluchac, zwlaszcza przez sluchawki, gdy zdawalo mu sie, ze to aniol szepce wprost do jego uszu. By laby doskonala spiewaczka bigbandowa, gdyby zyła w latach trzydziestych lub czterdziestych - no i gdyby miała sluch. Znakomicie tanczyła swinga, ale nie potrafiła niczego poprawnie zanucić. Kiedy przychodziła jej ochota, aby pospiewać wspólnie z utrwalonymi na starych nagraniach Margaret Whiting, Andrews Sisters, Rosemary Clooney czy też Marion Hutton; Bobby, przez szacunek dla muzyki, zmuszony był opuszczać pokój.

-Co robi Rasmussen? - zapytala.

Bobby rzucił okiem na ekran z lewej strony, sprzęgnięty z wewnętrznym systemem kamer strzegących Decodyne. Rasmussen uważał, że przechytył kamery i nie był obserwowany. W rzeczy wistosci śledzili go od kilku tygodni, noc po nocy, rejestrując wszystkie jego poczynania na taśmie video.

-Stary Tom nadal przebywa w pokoju George'a Ackroyda, przy jego komputerze. - Ackroyd kierował projektem "Czarnoksiężnik". Bobby przeniósł spojrzenie na drugi monitor, który pokazywał dokładnie to samo, co Rasmussen oglądał na ekranie komputera Ackroyda. - Skonczył właśnie kopiowanie ostatniego zbioru danych "Czarnoksiężnika" na dyskietkę.

Rasmussen wyłączył komputer w pokoju Ackroyda. Równocześnie zgasł sprzężony z nim ekran na wprost Bobby'ego.

-Skonczył. Teraz ma już cały program.

-A to glista. Musi być z siebie zadowolony - powiedziała Julie.

Bobby odwrócił się ku nadal czynnemu ekranowi po lewej, pochylił się i z uwagą obserwował czarno-biały obraz Rasmussena siedzącego przy terminalu Ackroyda.

-Sadzę, że się usmiecha.

-Zaraz zwrzemy mu ten uśmiech.

-Zobaczymy, co teraz zrobi. Chcesz się założyć, czy zostanie na miejscu, skończy służbę i wyparuje dopiero rano - czy też od razu ucieknie?

-Od razu - odparła Julie. - Albo wkrótce. Nie będzie chciał ryzykować schwymania z dyskietkami. Zniknie, dopóki nikogo tam nie ma.

-Nie będzie zakładu. Myślę, że masz rację. Przekazywany obraz zaczął podskakiwać, ale i tak widac było, że Rasmussen nadal tkwi na krzesle przy biurku Ackroyda. Jakby nieco wyczerpany, odchylił się do tyłu, ziewnął i potarł oczy spodem dłoni.

-Wygląda jakby odpoczywał, gromadzi energie - powiedział Bobby.

-Czekając, aż się ruszy, posłuchajmy następnego kawałka.

-Dobry pomysł.

Przekazał kompaktowemu odtwarzaczowi komendę "Muzyka start" - i w nagrodę usłyszał In the Mood Glenna Millera.

Na ekranie Tom Rasmussen podniósł się z krzesła. Ponownie ziewnął, przeciągnął się i przeszedł w poprzek słabo oświetlonego pokoju do dużego okna wychodzącego na Michaelson Drive - ulice, przy której stał wóz Bobby'ego.

Gdyby Bobby przecisnął się do przodu, do szoferki, prawdopodobnie ujrzałby Rasmussena stojącego w oknie na pierwszym piętrze, podświetlonego przez stojącą na biurku Ackroyda lampę i wpatzonego w noc. Pozostał na swoim miejscu, zadowolając się tym, co widzi na ekranie.

Orkiestra Millera powtarzała słynny motyw z In the Mood, za każdym razem nieco ciszej, także w końcu niemal zupełnie umilkła... by nieoczekiwanie wybuchnąć pełną mocą i powtórzyć cały cykl.

W biurze Ackroyda Rasmussen odwrócił się w końcu od okna i spojrzał w stronę zamocowanej na ścianie pod sufitem kamery. Zdawało się, że patrzy wprost na Bobby'ego, jakby świadomy obecności śledzących go oczu. Podszedł bliżej i uśmiechnął się.

Muzyka stop - polecił Bobby i orkiestra Millera natychmiast zamilkła.

Zwracając się do Julie, powiedział:

-Mam tu coś dziwnego...

-Kłopoty?

Nie przestając się śmiechać, Rasmussen stanął dokładnie pod kamerą. Z kieszeni koszuli wyciągnął złożony arkusz papieru, rozpostarł go i podsunął przed siebie. Dużymi, czarnymi literami wydrukowano na nim dwa słowa: ZEGNAJ DUPKU.

-Na pewno kłopoty - powiedział Bobby.

-Jak duże?

-Nie wiem.

W chwili później już wiedział. Cisze nocy rozdarł ogień automatycznej broni. Słyszał jej loskot pomimo założonych słuchawek, ujrzał też, jak kule dziurawią ściany furgonetki.

Julie musiała pochwycić kanonady, gdy zawałowała:

-Bobby, nie!

-Zmiałaj stad, dziecińo! Uciekaj!

Nim skończył to mówić, zerwał z głowy słuchawki i padł na podłogę, rozciągając się tak płasko, jak tylko potrafił.

3

Frank Pollard sprintem pokonywał kolejne ulice, przemykał się z alejki w alejkę, od czasu do czasu przecinając trawniki przed ciemnymi domami. Na którymś z podwozów zaatakował go duży czarny pies o złotych oczach. Ujadając i klapiąc zębami gonił go aż do plotu, a gdy Pollard zaczął się wspinać, nagle schwył go za nogawkę spodni. Frankowi serce tłukło się bolesnie w piersi, gardło miał rozpalone i wyschnięte, bo oddychając wciągał otwartej ustami ogromne hausty chłodnego, suchego powietrza. Nogi przeszły mu przez ból. Zawieszona na prawym ramieniu podróżna torba ciągnęła w dół, jakby była z żelaza, i przy każdym gwałtownym kroku wywalała piekące klucze w nadgarstku i stawie barkowym. A jednak nie przystanął, nie spojrzął na siebie. Czuł bowiem, że po piętach depcze mu coś potwornego, stworzenie, które nigdy nie potrzebuje wypoczynku, które obróci go w kamień, jeśli osmieli się podnieść na nie oczy. Przebiegł na drugą stronę szerokiej ulicy, opuścił ją o tak późnej porze, i pomknął w kierunku najbliższego zespołu zabudowań. Przez bramę dostał się na podwórze, posrodku którego znajdował się pusty basen ze splekana i pokryta wioną cembrowina.

Najbliższe otoczenie pograżone było w ciemnościach, ale wzrok Franka już dostosował się do otaczającej nocy. Widział dostatecznie wyraźnie, by ominąć nieckę basenu. Poszukiwał schronienia. Może będzie tu wspólna pralnia, do której mogłoby się wlać.

Uciekając przed nieznanym prześladowcą, dowiedział się o sobie jeszcze czegoś: miał trzydzieści czy czterdzieści funtów nadwagi i brakowało mu kondycji. Rozpaczliwie potrzebował chwili spokoju, by złapać oddech - i zastanowić się.

Przymykając wzgląd drzwi mieszkań na parterze zauważył, że niektóre z nich były otwarte, luźno zwisając na rozbitych zawiasach. Przyjrzywszy się dokładniej dostrzegł pokrywane wiele szyb siateczki splekana, dziury, a nawet powybijane całe tafle szkła. Trawa na podwozku była martwa, krucha niczym stary papier. Zarosła przekształciła się w plataninę martwych badyli, a obumarła palma pochyliła się nad nimi nienaturalnie. Osiedle było opuszczone i zapewne czekało na przybycie ekipy rozbiórkowej.

Podszedł do kruszących się betonowych schodów w północnej części podwozka i popatrzył na siebie. Ktokolwiek.. cokolwiek go ścigało, było jeszcze niewidoczne. Sapać wspinał się na biegnącą wzdłuż pierwszego pietra galerię i ruszył od mieszkania do mieszkania, aż wreszcie napotkał uchylone drzwi. Były wypaczone, zawiasy obracały się z trudem, lecz nie robiły zbyt wiele hałasu. Wślizgnął się do środka i mocno ciągnąc, zamknął za sobą drzwi.

Mieszkanie było prawdziwą studnią cieni, oleiszczyk czarnych i nieskończenie głębokich. Słaba popielata poświata wskazywała, gdzie znajdują się okna, nie dawała jednak tyle światła, by rozjaśnić wnętrze.

Nasłuchiwał w napięciu.

Cisza była równie głęboka jak ciemność.

Zachowując ostrożność, Frank skierował się do najbliższego okna, z którego widac było galerię i podwórze. W ramie tkwiło zaledwie kilka odłamków szkła, za to pod nogami chrzęściły i zgrzytały liczne okruczki. Starał się iść jak najwolniej, aby nie pokaleczyć stop i uniknąć zbędnego hałasu.

Przy samym oknie zatrzymał się i ponownie zamienił w słuch. Cisza.

Niczym lodowata eksplozja ospałego ducha napłynął do środka niemrawy strumień zimnego powietrza, podzwaniając lekko paru wyszczerbionymi kawałkami szyby, które nie zdążyły jeszcze wypaść z ramy.

Przy każdym oddechu z ust Franka ulatywały w mrok blade pasemka pary.

Nie zmacona niczym cisza trwała dziesięć sekund, dwadzieścia, pełna minuta.

Może udało mu się uciec.

Miał własnie odwrócić się od okna, gdy na zewnątrz usłyszał czyjś kroki. Dźwięk dobiegał z odległego końca podwozka, od strony chodnika prowadzącego do ulicy. Cieszkę, podłate buty dzwoniły o beton, a każdy krok odbijał się głuchym echem od stiukowych ścian okolicznych budynków.

Frank zamarł w bezruchu, oddychając cicho przez usta, jakby w obawie, że jego prześladowca może być wyposażony w słuch dziękiego kota.

Po wejściu na podwórze obcy przystanął. Minęła dłuższa chwila, zanim podjął marsz. Chociaż z powodu nakładającego się echa dźwięki były zwodnicze, wyglądało na to, że powoli kieruje się wzdłuż cembrowiny basenu na północ, ku tym samym schodom, po których przed chwilą Frank dostał się na pierwsze piętro.

Każdy zdecydowany, stawiany z dokładnością metronomu krok rozbrzmiewał niczym donosny dźwięk tykającego katowskiego zegara, stojącego obok gilotyny, który odmierza ostatnie sekundy, jakie pozostały do wyznaczonego momentu opadnięcia ostrza.

4

Dodge, niczym żywa istota, jęczał za każdym razem, gdy kula przeszła jego blaszane ściany. Ran przybywało po kilkanastu naraz, a zadawano je z taką jądla furia, że pociski pochodząc musiały z co najmniej dwóch automatów. Rozplaszczony na podłodze Bobby Dakota usiłował zwrócić na siebie uwagę Pana Boga za pomocą zarliwych, zwróconych ku niemu modlitw. W tym samym czasie nieustannie zasypywał go grad kawałków metalu. Jeden z ekranów impłodował, za chwilę jego los podzielił drugi terminal. Pogasły także wszystkie lampki kontrolne, a jednak wewnątrz furgonetki nie było zupełnie ciemno; w miarę jak jedna za drugą opancerzone stały kule waliły w obudowę aparatury, z niszczonej podzespolow tryskały snopy burszty nowych, zielonych, karmazynowych i srebrnych iskier. Leciąco na niego szło i kawałki plastiku, drewno i strzępki papieru. W woźie rozszalał się istny huragan smieci. Najgorszy ze wszystkich był jednak hałas. Oczami duszy widział siebie zamkniętego w ogromnym żelaznym bebnie, wokół którego ustawiło się szesciu wielkich motocyklistów, tłucac w ściany jego więzienia metalowymi obreczami kol. Wielcy faceci o potężnych mięśniach, byczych karkach, zmierzwiionych, gęstych brodach i wszędzie kolorowych trupich głowkach wytatuowanych na ramionach, a nawet - niech to diabli - na twarzach; rośli jak Thor, bog wikingów, lecz o płonących, obłakanych oczach. Bobby miał żywą wyobraźnię. Zawsze myślał, że jest to jedna z jego najwzajemniejszych zalet, źródło siły. Nie bardzo potrafił jednak wyobrazić sobie, w jaki sposób miałby wydestać się z tego piekła.

Z upływem każdej sekundy, gdy grad kul powiększał dzielę zniszczenia, rosło jego zdumienie, że nie został jeszcze trafiony. Przywarł do podłogi nie mniej ściśle niż dywan, usiłując wyobrazić sobie, że jego ciało ma ćwierć cala grubości, że jest celem o niewiarygodnie niskim profilu, ale i tak spodziewał się, iż lada moment odstrzela mu tyłek.

Nie przewidział potrzeby użycia broni; to nie była sprawa takiego rodzaju. W każdym razie nie wyglądała na sprawną takiego rodzaju. Rewolwer kalibru 38 spoczywał w schowku przy kierownicy, daleko poza jego zasięgiem, co jednak nie martwiło go zbyt, gdyż z pojedynczym rewolwerem przeciwko dwóm automatycznym karabinom nie miał żadnych szans.

Kanonada urwała się.

Po niszczyckiej kłofonii nastąpiła cisza tak doskonała, że Bobby'emu wydało się, że ogłuchł.

W powietrzu unosił się smród gorącego metalu, przegrzanych podzespolow elektronicznych, spalonej izolacji, a także... benzyny. Widocznie któryś pocisk usiał uszkodzić zbiornik Silnik nadal pracował na jałowym biegu, a z pogruchothanej aparatury wokół Bobby'ego wciąż jeszcze wyskakiwały iskry. Szanse ucieczki z płomieni były o wiele mniejsze niż prawdopodobieństwo wygrania pięćdziesięciu milionów dolarów w stanowej loterii.

Goraco pragnął wyjść na zewnątrz, gdyby jednak wypadł z furgonetki, mogłoby trafić prosto pod lufy automatów czekających na niego zbirow. Z drugiej strony, jeżeli w dalszym ciągu będzie tkwił na podłodze w kompletnych ciemnościach, licząc na to, że bez sprawdzania uznają go za martwego, dodge może się zająć płomieniem, niczym polane benzyna obozowe ognisko, a on sam upiecze się jak frytka.

Bez trudu wyobraził sobie jak wychodzi z wozi i natychmiast wita go grad kul, jak podskakując i skręca się w szamotanym tańcu śmierci na asfalcie ulicy, niczym polamana marionetka miotająca się w plataninie nitek. Jeszcze łatwiej przyszło mu jednak wyobrazić sobie zwijające się w ogniu platy skóry, pokryte bablami dymiejące ciało, płonące jak pochodnia włosy, wytopione oczy, poczerwiałe na wiegieł zęby czy spopielające język płomienie, które wraz z oddechem, poprzez gardło, docierają do płuc.

Czasami nadmierna wyobraźnia staje się prawdziwym przekleństwem.

Opary benzyny zgęstniały do tego stopnia, że oddychanie przychodziło mu z najwyższym trudem, toteż zaczął się podnosić.

Gdzieś na zewnątrz zatrąbił samochód. Słyszał zbliżający się szybko, pracujący na wysokich obrotach silnik.

Ktos krzyknął i automat znowu plunął ogniem.

Bobby grzmotnął o podłogę, zastanawiając się, co, u diabła, może się tam dziać. Jednak w miarę jak trapiący bez przerwy samochód był coraz bliżej, uświadomił sobie, co musiało się zdarzyć: Julie. Zdarzyła się Julie. Czasami była nim czy jakimś naturalnym żywiołem. Zjawiała się jak burza, jak przecinająca ciemne niebo błyskawica. Powiedział jej, żeby się wynosiła, chciał ją ocalić. Nie posłuchała go. Miał ochotę dać jej solidnego kopniaka za upor, ale także kochał ją za to.

5

Odsuwając się od wytłuczonego okna, Frank usiłował zgrać swoje kroki z rytmem stop mężczyzny na podwórzu w dół, mając nadzieję, że w ten sposób zagłuszy towarzyszący im chrząst szła. Wydawało mu się, że jest w salonie, całkowicie pustym, jeśli nie liczyć piasku pozostawionego przez ostatnich lokatorów czy też naniesionego oknami przez wiatr. I rzeczywiście, nie mylił się. Idąc w poprzek pokoju dotarł do korytarza, przebywając te drogi względnie cicho i na nic nie wpadając. Po omacku, pospiesznie pokonał hol, ciemny niczym nora drapieżnika. Otoczył go zaduch wilgoci, pleśni i moczu. Minal wejście do pokoju, w najbliższych drzwiach skręcił na prawo i znalazł się przy następnym zdewastowanym oknie. Tym razem rama była zupełnie pusta. Okno nie wychodziło na podwórze, lecz na oświetloną, opustoszałą ulicę.

Cos zaszeleszcilo za jego plecami.

Obrocił się, bezradnie mrugając nie widzącymi w ciemnościach oczami i z trudem tłumiać okrzyk.

To musiał być przemysłowy szczur, który natrafił na zeschnięte liście lub skrawki papieru. To tylko szczur.

Frank nasłuchiwał odgłosu kroków, lecz jeśli nawet przesładowca był blisko, to ściany skutecznie tłumily wszelkie dźwięki.

Jeszcze raz wyjrzał przez okno. W dół rozciągał się martwy trawnik suchy jak piach, lecz bardziej od niego brązowy, którego zwiedle zdźbła nie zapewniały najmniejszej amortyzacji. Spuścił na dół torbę. Wylądowała z głuchym loskotem. Krzywiąc się na myśl o czekającym go skoku, wspiął się na parapet i przykucnął w wybitym oknie z reklamami zacisniętymi na ościeżnicy. Zawahał się.

Podmuch wiatru zwichrzył mu włosy i zimna pieszczota przejechał po twarzy. Był to zwyczajny wiatr, nie mający nic wspólnego z nienaturalnymi podmuchami, którym towarzyszyła niezmiernie, niezwykle muzyka odległego fletu.

Nagle z salonu za plecami Franka wyleciała błękitna, pulsująca błyskawica i pomknęła korytarzem w stronę drzwi. W chwili później nastąpiła eksplozja, a rozprzestrzeniająca się fala uderzeniowa wstrząsnęła ścianami. Wydawało się, że powietrze zestaliło się w twardą substancję. Drzwi wejściowe rozszarpały się na kawałki. Słyszał jakichś fragmenty spadają na podłogę kilka pokoi dalej.

Skończył natychmiast. Udalo mu się wylądować na stopach, jednak kolana nie wytrzymały obciążenia. Jak długi rozciągnął się w zeschniętej trawie.

W tym momencie zza rogu pojawiła się duża ciężarówka. Naczepa miała ściany z listewki drewniane drzwi z tyłu. Kierowca sprawnie zmienił bieg i minal blok nieswiadomy obecności Franka.

Poderwał się na nogi, złapał torbę i wybiegł na ulicę. Po wyjściu zza zakretu ciężarówka nie nabrała jeszcze szybkości, toteż Frank wolął uchwycić się drzwi z tyłu naczepy, po czym podciągnął się na jednej ręce, aż stanął na tylnym zderzaku.

Gdy ciężarówka przyspieszyła, popatrzył za siebie, na młkące w oddali zabudowania.

W żadnym z okien nie polyskiwało tajemnicze błękitne światło; wszystkie były ciemne i puste, jak ziejące w czasie oczodoly.

Na najbliższym skrzyżowaniu pojazd skręcił na prawo, mknąc coraz szybciej w pograżoną we śnie noc.

Wyczerpany Frank przywarł do drzwi. Byłoby mu wygodniej, gdyby pożył się skorzanej torby podróźnej, skisnął ją jednak mocno, bo podejrzewał, że jej zawartość pomoże mu dowiedzieć się kim jest, skąd przybył i przed czym ucieka.

6

-Wyłącz się i uciekaj! Bobby naprawdę myślał, że rzuci wszystko i ucieknie, kiedy tylko zaczęły się kłopoty. "Zmiałaj stad, dziecko! Uciekaj!" Miała uciekać tylko dlatego, że on jej tak kazał, jakby była posłuszną zoneczką, a nie pełnoprawnym współnikiem, cholernie dobrym detektywem. Brał ją za mieczaka, który peknie, gdy tylko zrobi się gorąco. No coż, do diabła z tym. Przed oczami stanela jej ukochana twarz - wesole niebieskie oczy, usiany piegami zadarty nos, pełne usta - obramowana gestami włosami o barwie złotego miodu, zmierzwionymi (jak to najczęściej bywało) niczym u małego chłopca, który właśnie ociekł się z drzemki. Chciała złapać go za ten perłaty nos, scisnąć na tyle mocno, aby w jego błękitnych oczach zalsnily łzy, żeby wiedział, jak bardzo ją rozżościli sugerując ucieczkę.

Prowadziła obserwację ze stanowiska z tyłu budynku Decodyne, z samochodu ulokowanego w odległym końcu należącego do korporacji parking, ukrytego w głębokim cieniu rozłożystego indyjskiego laurówka. W momencie, gdy Bobby powiedział o kłopotach, uruchomiła silnik toyoty. Nim w słuchawkach rozbrzmiały strzały, wrzuciła bieg, zwolniła ręczny hamulec, włączyła reflektory i wduśiła do oporu pedał przyspieszenia.

Z początku jechała w słuchawkach i wywoływała Bobby'ego, lecz z drugiej strony docierał do niej jedynie ogłuszający loskot. Potem w słuchawkach zapanowała martwa cisza, więc sciągnęła je z głowy i rzuciła na tylne siedzenie.

Wyłącz się i uciekaj! A niech go diabli!

Gdy zbliżała się do końca ostatniego rzędu stanowisk, zdjęła prawą nogę z gazu, wciskając równocześnie lewą pedał hamulca. Mały samochód wpadł w poślizg, który wyrzucił go na bieżniacę wokół biurowca drogę dojazdową. Zakreśliła ostro kierownica i dodała gazu, zanim jeszcze tył wozu przestał srać na bok. Zapisały opory. Z wyciem silnika, z jękiwym grzechotem torturowanego metalu, samochód skoczył do przodu.

Strzelali do Bobby'ego, a Bobby prawdopodobnie nie mógł się nawet bronić, gdyż nie troszczył się zbytnio o noszenie pistoletu przy każdej robocie. Zabierał broń tylko wtedy, gdy charakter sprawy wskazywał na możliwość użycia siły. Zlecenie Decodyne wyglądało bezpiecznie, szpiegostwo przemysłowe potrafi czasami być nieprzyjemne, lecz w tym przypadku mieli przeciwko sobie Toma Rasmussena, komputerowca, chciwego sukinyńca, cwane go jak pies czy tajacy Szekspira, rekordziste w kradzieżach komputerowych, ale równocześnie człowieka, którego ręce nie były splamione czy jasną krwią. Rasmussen stanowił żyjący w wielkiej technologii odpowiednik potulnego urzędnika-defraudanta, a przy najmniej takie sprawiał wrażenie.

Natomiast Julie zabierała broń na każdą robotę. Bobby był optymistą; ona - pesymistką. Bobby oczekiwał, że ludzie będą działać we własnym interesie i zachowają się rozsądnie, zaś Julie każdego z pozoru normalnego człowieka podejrzewała o utajoną psychopatię. W głębi schowka przy kierownicy tkwił przy piety do ścianki Smith Wesson 357 magnum, a uzi z dwoma zapasowymi magazynkami, po trzydziestu naboju każdy, leżał na fotelu obok Z tego, co usłyszała w słuchawkach zanim zamilkły, wynikało, że bardziej przydatny będzie własny uzi.

Toyota dosłownie przefrunęła wzdłuż ściany Decodyne i gwałtownie skręciła w lewo, w Michaelson Drive, niemal stając na dwóch kołach i prawie wymykając się spod kontroli. Z przodu, przy krawężniku na wprost budynku, stał dodge Bobby'ego, a na jezdni obok zatrzymała się inna furgonetka - ciemnoniebieski ford - z szeroko otwartymi drzwiami.

Dwóch mężczyzn, którzy najwidoczniej wysiedli z forda, stało o cztery czy pięć jardów od dodge'a i prulono do niego z automatów takzawzięcie, że można było pomyśleć, iż nie interesuje ich tkwiący wewnątrz człowiek, że chcą uregulować jakies dziwaczne osobiste porachunki z samą furgonetką. Przerwali ogień i zwrócili się w jej stronę, gdy wypadła z podjazdu na Michaelson Drive, po czym pospiesznie założyli nowe magazynki.

Najwłaściwszą rzeczą byłoby przebiec dzieląc ją od tamtych dwadzieścia jardów, zjechać na bok, wyslizgnąć się z wozu i posługując się nim jako osłoną podziurawic opony forda, a następnie przytrzymać ich pod ogniem do czasu przybycia policji. Niestety, nie miała na to wszystko czasu. Własnie unosił lufy karabinów.

Przeraziła ją pustka panująca noca na ulicach stolicy Okręgu Orange, pozbawionych wszelkiego ruchu, zalanych światłem sodowych lamp w złotym kolorze moczu. Znajdowali się w dzielnicy banków i biur - żadnych domów, restauracji czy barów nie było w obrębie kilku przecznicy. Równie dobrze mogłoby to być miasto na Księżycu bądź też wizja świata po przejściu apokaliptycznej zarazy, z której ocalało bardzo niewiele.

Nie miała czasu, żeby tych dwóch potraktować zgodnie z zaleceniami podreżników, nie mogła też liczyć na żadną pomoc, dlatego musiała zrobić to, czego się najmniej spodziewali: wystąpić w roli kamikadze, posłużyć się samochodem jako bronią.

Kiedy tylko odżyła pełna kontrola nad Toyotą, wgniotła w podłogę pedał gazu i pomknęła prosto na nich. Otworzył się ogień, lecz ona zeslizgnęła się już z siedzenia i przesunęła nieco w bok, usiłując nie wychylić głowy ponad deskę rozdzielczą, a równocześnie w miarę nieruchomo trzymać kierownicę. Zajęczały uderzające w samochód kule, posypało się szkło. W sekundę później wóz Julie uderzył jednego ze strzelców z taką mocą, że impet zderzenia rzucił jej głowę do przodu, prosto na kierownicę, rozcinając czoło, sciskając szczęk aż do bólu. W tym samym momencie, w którym poczuła piekący ból twarzy, usłyszała, jak ciało odskakuje od przedniego zderzaka i spada na maskę.

Krwawiąc obficie z rany na czole, Julie wcisnęła hamulec i równocześnie usiadła. Na wprost siebie ujrzała szeroko rozwarte oczy nieboszczyka wcisniętego w pustą ramę przedniej szyby. Jego twarz znalazła się tuż nad kierownicą - roztrzaskane zęby, rozdarte wargi, rozcięty podbródek porozbijane policzki. Nie miał lewego oka, a jedna ze złamanych nóg wsunęła się do wnętrza wozu, wygięta dziwnie na desce rozdzielczej.

Julie ponownie odszukała hamulec i nadechnęła go z całej siły. Nagła zmiana szybkości poruszyła zwłokami. Bezładne ciało przetoczyło się przez maskę i gdy wóz podskakując zatrzymał się, spadło pod przednie koła.

Z rozkołatym sercem, ciągle mrugając, aby usunąć zalewająca prawe oko krew, chwyciła z sąsiedniego fotela uzi, gwałtownie pchnęła drzwi i wypadła na zewnątrz. Pobiegła szybko, nie zapominając o tym, by trzymać się blisko ziemi.

Drugi strzelec siedział już w niebieskiej furgonetce. Dodał gazu, zapomniawszy zmienić bieg, toteż poruszał się ze straszliwym piskiem opon, które zaczęły już dymić.

Julie puściła dwie krótkie serie, dziurawiąc obie opony Forda od swojej strony.

Kierowca nie zatrzymał się. Wrzucił w końcu właściwy bieg i próbował wyminąć ją, jadąc dalej na ocalonych oponach.

Ten facet być może zabił Bobby'ego; teraz uciekał. Jeśli Julie go nie powstrzyma, prawdopodobnie nigdy nie zostanie odnaleziony. Przewycieając wewnętrzny opór uniosła uzi wyżej i oproźniła magazynek w boczne okno szoferki. Furgonetka przyspieszyła, po czym zwolniła raptownie i ze stale spadającą prędkością skręciła w prawo, poruszając się po długim łuku w stronę dalszego krańca, na którym wreszcie się zatrzymała.

Nikt z niej nie wysiadł.

Nie spuszczać wozu z oczu, Julie sięgnęła w głąb swojej Toyoty, złapała z siedzenia zapasowy magazynek i przeladowała automat. Ostrożnie podeszła do samochodu, którego silnik wciąż pracował na wolnych obrotach, i otworzyła drzwi. Czujność była w tym przypadku zbędna, gdyż z człowieka za kierownicą nie żył. Walcząc z mdościami sięgnęła do stacyjki i wyłączyła silnik.

Zostawiła Forda za sobą i pospieszyła do podziurawionego jak rzęszoto Dodge'a. Jedyńm odgłosem, jaki do niej docierał, był szelest poruszanych słabym wiatrem bujnych zarosli, oddzielających teren korporacji od ulicy, przerywany od czasu do czasu łagodnym poszumem palmowych liści. Później usłyszała również pracujący na luzie silnik Dodge'a, poczuła smród benzyny, więc natychmiast krzyknęła:

-Bobby!

Nim dobiegła do białej furgonetki, tylne drzwi rozwarły się z trzaskiem i stanął w nich Bobby, strzasając z siebie kawałki metalu, strzepy plastiku, odłamki szkła, drzazgi drewna i skrawki papieru. Z trudem łapał oddech, co było zrozumiałe, gdyż opary benzyny uisnęły wyprzec niemal całe powietrze z tylnego przedziału Dodge'a.

Z oddali dobiegł ryk syren.

Oboje odeszli pospiesznie od samochodu. Zrobili za ledwie parę kroków, kiedy rozbłysło pomarańczowe światło i z głośnym "fuuuum" nad rozlaną na chodniku benzyną uniosły się płomienie, które błyskawicznie otoczyły furgonetkę rozedrganą zasnłą. Wyszli z rozciągającej się wokół Dodge'a strefy gorąca i mrużąc oczy przez chwilę wpatrywali się w ogień, po czym spojrzeli na siebie. Syreny dzwieczyły nieco bliżej.

-Krwawisz - powiedział.

-Trochę otarłam skórę na czole.

-Jestes pewna?

-To nie wielkiego. A co z tobą?

Zrobił głęboki wdech.

-Wszystko w porządku.

-Naprawdę?

-Tak

-Nie jesteś ranny?

-Najmniejszego drasnienia. Istny cud.

-Bobby?

-Tak?

-Nie zniosłabym, gdybyś tam zginął.

-Nie zginałem. Czuję się świetnie.

-Dzięki Bogu - powiedziała. A potem kopnęła go w prawa kostkę.

-Au! Co jest, do diabła?

Kopnęła go w lewa kostkę.

-Julie, do cholery!

-Nigdy mi nie mów, żebym uciekała.

-Co?

-Jestem pełnoprawnym współnikiem we wszystkim.

-Ale...

-Jestem tak samo jak ty sprytna, tak samo szybka...

Popatrzył na martwego człowieka na jezdni, na drugiego w fordzie częściowo widocznego przez otwarte drzwi, i powiedział:

-To pewne, dziecko.

-... równie twarda...

-Wiem, wiem. Nie kop mnie więcej.

-Co z Rasmussenem? - zapytała.

Bobby popatrzył na budynek Decodyne.

-Myślisz, że nadal tam jeszcze jest?

-Jedyny wyjazd z parkingu łączy się z Michaelson Drive, a on się tam nie pokazał, więc jeżeli nie uciekł na piechotę, ciągle jest w środku. Musimy go dopaść, zanim wyszłgnie się z pulapki razem z dyskami.

-Tak czy inaczej, nie ma na nich niczego wartościowego - powiedział Bobby.

W Decodyne mieli oko na Rasmussena od chwili, gdy zaczął ubiegać się o pracę, a to dlatego, że agencja Dakota and Dakota Investigations - która podpisała z kompanią kontrakt na ochronę firmy - dokładnie zbadała doskonale podrobione dokumenty oszusta. Zarząd Decodyne postanowił grać z Rasmussenem w kotka i myszkę dopóki nie wyda się, komu przekazać "Czarnoksiężnika", kiedy już wejdzie w jego posiadanie; zamierzali wystąpić na drogę sądową wobec człowieka, który wynajął Rasmussena, gdyż bez wątpienia jego pracodawca musiał być jednym z poważniejszych konkurentów Decodyne. Pozwolili Tomowi Rasmussenowi dojść do przekonania, że unieszkodliwił dyżurne kamery, podczas gdy w rzeczywistości objęto go ciągłą obserwacją. Pozwolili mu również przełamać zabezpieczenia biblioteki programów i odnaleźć potrzebne informacje, wśród których - o czym nie mogli wiedzieć - umieszcili tajne instrukcje powodujące, że każda skopiowana przez niego dyskietka stanie się bezwartościowym smieciem, pełnym fałszywych danych.

Plomienie z rykiem i trzaskiem pochłaniały furgonetkę. Julie obserwowała, jak ich odbicia plasają, chwytając się w górę szklanych ścian i ślepych, czarnych okien Decodyne, jakby pragnęły sięgnąć dachu i tam zastąpić go formie gargulców.

Podnosząc nieco głos, tak aby pokonać huk ognia i wycie zbliżających się syren, powiedziała:

-No tak, myśleliśmy, że uwierzył, iż przechytrzył zabezpieczający system zapisu wideo. Tymczasem najwyraźniej wiedział, że jest obserwowany.

-Na pewno wiedział.

-Wiec równie dobrze mógł się okazać na tyle bystry, aby odszukać powtykane w zbiorach komendy uniemożliwiające kopiowanie, a następnie w jakiś sposób je obejść.

Bobby zmarszczył brwi.

-Masz rację.

-Wiec prawdopodobnie na tych dyskietkach ma pełnowartościowego "Czarnoksiężnika", bez żadnych przekłaman.

-Niech to diabli, nie mam zamiaru tam wchodzić. Dostyc już dzisiaj do mnie strzelano.

Policyjny wóz patrolowy wypadł zza rogu dwie przecznice dalej i pedził w ich kierunku z wyjąca syrena i włączona sygnalizacja, wysyłająca na przemian fale niebieskiego i czerwonego światła.

-Nadciągają zawodowcy - odezwała się Julie. - Dlaczego nie pozwolimy im załatwić reszty?

-Zostaliśmy wynajęci do wykonania tej roboty. Mamy zobowiązania. Poza tym honor prywatnego detektywa to rzecz święta. Co by o nas pomyślał Sam Spade?

-Sam Spade może nam nagwizdać - odparła.

-Co sobie pomyśli Philip Marlowe?

-Philip Marlowe może nam nagwizdać.

-Co o nas pomyśli nasz klient?

-Nasz klient może nam nagwizdać.

-Kochanie, "nagwizdać" nie jest wyrażeniem powszechnie używanym.

-Wiem o tym, ale jestem dama.

-Z pewnością nią jesteś.

Gdy czarno-biały samochód zahamował tuż przed nimi, druga policyjna maszyna pojawiła się z tyłu, a trzecia wypadła na Michaelson Drive z jeszcze innej strony.

Julie położyła uzi na chodniku i uniosła ręce do góry, chcąc uniknąć nieszczęśliwej pomyłki.

-Naprawdę się ciesze, że żyjesz, Bobby. - Bedziesz mnie jeszcze kopac?

-Na razie nie.

Frank Pollard wisiał ucieczkę naczepy. Przejechał w ten sposób dzielnicę czy dziesięć przecznic. W trakcie jazdy spostrzegł znak witający podróżnych w Anaheim, zorientował się więc, że znajduje się w południowej Kalifornii, choć w dalszym ciągu nie wiedział, czy tutaj mieszka i czy pochodzi z tego miasta. Sadząc z przenikającego powietrza chłodu, była zima - niezbyt chłodna, dokładnie taka, jaka powinna być w tym klimacie. Przygłębiał go świadomość, że nie ma zbyt ani nawet aktualnego miesiąca. Drząc na całym ciele zeskoczył z ciężarówki, gdy zwinął i skreślił w drogę dojazdową biegnącą przez dzielnicę magazynów. Duże, obudowane pofalowaną blachą budynki - niektóre świeżo pomalowane, inne upstrzone smugami rdzy, oświetlone lub nie - majaczyły na tle wygwieżdzonego nieba. Sciskając torbę podróżną zaczął się od nich oddalać. Wzdłuż ulic biegnęły rzędy obskurnych bungalowów. W wielu miejscach spotykało się nadmierne rozrosnięte krzewy i drzewa: nie przycinane palmy z koronami pełnymi zeschłych liści; krzaczaste hibiscusy o na wpół zamkniętych bladozielonych kwiatach, polyskujących łagodnie w mroku; zygzakowate, że więcej w nich było galezi i patyków niż zieleni; udrapowana na dachach i plotach bougainvillea, zjeżona tysiącami sterczących na wszystkie strony odrosli. Buty na miękkiej podszewce nie robiły najmniejszego hałasu. Gdy szedł, jego cień wędrował od przodu do tyłu, w miarę jak zbliżał się, a następnie mijał kolejne latarnie.

Samochody, przeważnie starsze modele, częstokroć ze śladami rdzy lub stłuczek, stały przy krawężnikach i na podjazdach. Możliwe, że w niejednym z nich stacyjnie tkwiły kluczyki. W dowolnie wybranym wozie mógł zresztą i tak spać zapłonnym na krótko. Jednakże na łączących poszczególne domy murach z pustaków, a także na ścianach zdewastowanych budynków dostrzegł wykonane farbą w aerozolu, polyskujące fosforescencyjnym blaskiem graffiti latynoskich gangów, toteż nie chciał brać się za samochód, który mógł należeć do któregoś z ich członków. Ci chłopcy nie zwracali sobie głowy szukaniem telefonu, żeby zadzwonić na policję, kiedy przyłapali kogoś na probie kradzieży jednego z ich samochodów - po prostu rozwalali mu głowę lub pakowali noż w szyję. Frank i tak miał dosyć kłopotów, nawet z całą głową i nieprzekutym gardłem, dlatego też szedł dalej pieszo.

Po przejściu dwunastu przecznicy znaleźli się w otoczeniu dobrze utrzymanych domów i lepszych samochodów, i dopiero teraz zaczął się rozglądać za łatwą zdobyczą. Dziesiąty samochodem, do którego podszedł, był roczny zielony chevrolet, zaparkowany opodal latarni. Miał otwarte drzwi; kluczyki były wsunięte pod fotel kierowcy.

Cheąc jak najbardziej oddalić się od opuszczonego bloku, gdzie po raz ostatni natknął się na nieznanego przesładowcę, Frank uruchomił chevroleta i pojechał z Anaheim do Santa Ana, a potem na południe, jadąc Bristol Avenue w stronę Costa Mesa. Był zaskoczony swoją znajomością ulic. Wyglądało na to, że znał te strony bardzo dobrze. Rozpoznawał budynki, centra handlowe, parki i podwórza, obok których przejeżdżał, chociaż ich widok nie potrafił rozniecić najsłabszego płomyka w jego wypalanej pamięci. W dalszym ciągu nie pamiętał kim jest, gdzie mieszka, z czego się utrzymuje, przed czym ucieka, a także skąd wziął się nocą w opustoszałej alei.

Doszedł do wniosku, że nawet o tak późnej porze - zegar w samochodzie wskazywał 2:48 - największe możliwości napotkania policji drogowej ma na autostradzie, dlatego trzymał się dróg lokalnych, przejeżdżając przez Costa Mesa oraz wschodnie i południowe obrzeża Newport Beach. W Corona del Mar wyskoczył na Pacific Coast Highway i dotarł nia aż do Laguna Beach, napotyając po drodze rzadką mgłę, która gestniała w miarę posuwania się na południe.

Laguna, malowniczo umiejscowiona w przyczekowej i mięsnej zamieszkania wielu artystów, opadająca ku morzu ze stromych zbocz okolicznych wzgórz i ścian kanionu, teraz skryła się w gestej mgłę. Z rzadka miały go pojedyncze samochody, a nadciągające z nad Pacyfiku kleby wilgoci stały się wystarczająco zwarte, by zmusić go do zmniejszenia szybkości do piętnastu mil na godzinę.

Ziewając i pocierając piekące oczy, skreślił na odchodzącą na wschód od szosy boczna droga i zaparkował przy krawężniku naprzeciwko ciemnego, dwupiętrowego domu w stylu Cape Cod, który wydawał się nieco nie na miejscu na Zachodnim Wybrzeżu. Chciał wynajść pokój w motelu; przed podjęciem próby zameldowania się musiał jednak wiedzieć, czy ma jakieś pieniądze bądź karty kredytowe. Po raz pierwszy w ciągu tej nocy miał także czas na to, by poszukać dokumentów. Sprawdził kieszenie dzinsów, lecz niczego w nich nie znalazł.

Zapalił górne światło, wziął na kolana skorzaną torbę podróżną i rozpiął zamek. Jej wnętrze było całkowicie wypełnione oklejonymi banderolami paczkami dwudziesto- i studolarowych banknotów.

8

Klebiąc się nieustannie cienką zupą szarej mgły przechodziła stopniowo w znacznie gęstszy gulasz. Parę mil dalej w kierunku oceanu mgła była zapewne tak gęsta, że nocne powietrze musiało wygładzać jak zawieszona kasza. Chroniony od chłodu nocy tylko przez sweter, lecz rozgrzany faktem uniknięcia niemal pewnej śmierci, Bobby oparł się o jeden z wozów patrolowych stojących przed Decodine i obserwował Julię chodzącą tam i z powrotem z reklamami w kieszeniach brązowej skorzanej kurtki. Patrzenie na nią nigdy go nie męczyło. Był małżeństwem od siedmiu lat i przez cały ten czas razem mieszkali i pracowali, spędzając ze sobą dosłownie dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Bobby nigdy nie należał do mezczyzn, którzy razem z kolegami przesiadują w barze lub godzinami grają w piłkę - po prostu dlatego, że trudno było znaleźć trzy dziesięciokuletnich facetów o zbliżonych do jego zainteresowaniach: muzyką big-bandową, sztuką i popkulturą lat trzydziestych i czterdziestych oraz klasy czne komiksy Disneya. Julie również nie szukała towarzysza przy jaciółkach, gdyż bardzo niewiele trzydziestoletnich kobiet pasjonuje się epoką big-bandową, kreskówkami Warner Brothers, sztukami walki czy ćwiczeniami strzeleckimi dla zaawansowanych. Pomimo że przebywali razem tak długo, ich związek nadal tchnął świeżością, a ona w dalszym ciągu pozostawała najbardziej interesująca i pociągająca kobieta, jaka kiedykolwiek spotkał.

-Dlaczego zabiera im to tak wiele czasu? - spytała, spoglądając na oświetlone obecnie okna Decodine, rysujące się w mgłę zamazany mi prostokątami.

-Okazuje się, że kochanie - powiedział Bobby. - Nie mają przecież dynamizmu Dakota and Dakota. To tylko skromna ekipa SWAT, specjalnych oddziałów policji.

Michaelson Drive została kompletnie zablokowana. Wzdłuż ulicy stało osiem policyjnych wozów - samochodów i furgonetek. Chłodna noc rozdzierała co chwila dobywające się z zamontowanych w pojazdach radiotelefonów spokojne, metalicznie brzmiące głosy. Policjant siedział za kierownicą jednego z wozów, inni funkcjonariusze w mundurach tkwili rozstawieni po obu końcach przecznicy, jeszcze dwóch widac było przy samych drzwiach wejściowych biurowca Decodine. Reszta była wewnątrz, zajęta poszukiwaniem Rasmussena. W tym samym czasie ludzie z laboratorium policji i biura koronera zawzięcie fotografowali i mierzyli, nim wreszcie zezwolili zabrać zwłoki obydwu przestępców.

-Co będzie, jeśli wymknie się z dyktetkami? - zadała kolejne pytanie Julie.

-Nie uda mu się. Skłębła głowa.

-Jasne, wiem o czym myślisz... "Czarnoksiężnik" został opracowany na komputerze pracującym w systemie zamkniętym, bez jakichkolwiek połączeń zewnętrznych. Ale kompania ma przecież jeszcze jeden system, wyposażony we wszystkie urządzenia umożliwiające wyjście na zewnątrz, prawda? Co się stanie, jeśli umieści dyskiety w jednym z tamtych terminali i prześle zapis telefonicznie?

-Nie może. Ten drugi, połączony ze światem system różni się całkowicie od tego, w którym stworzono "Czarnoksiężnika". One nie są kompatybilne.

-Rasmussen jest cwany.

-Ponadto działa jeszcze zabezpieczenie wylaczające na noc system otwarty na zewnątrz.

-Rasmussen jest cwany - powtórzyła. Podjęła swoją wędrowkę bez celu.

Rozciągnął się na czole, w miejscu, gdzie uderzyła się o kierownicę, kiedy nacisnęła hamulec, przestało krwawić, choć nadal było czerwone i wilgotne. Wytarła twarz papierowymi chusteczkami, lecz smugi wyschniętej krwi, wygładające prawie jak błizny, pozostały pod prawym okiem i na szczecie. Za każdym razem, gdy wzrok Bobby'ego spoczywał na tych plamach lub zranionym czole, odczuwał ułdanie niepokojem, uświadamiając sobie, co mogło ją spotkać, co mogło spotkać ich oboje.

Nie był zaskoczony, że skaleczenia i krew na twarzy podkreślały tylko jej urodę, sprawiając, że wydawała się bardziej krucha, a tym samym cenniejsza. Julie była piękna, choć Bobby zdawał sobie sprawę, że była taka bardziej w jego oczach niż dla innych ludzi, co jednak ostatecznie nie powinno dziwić, bo jego oczy były jedynymi, przez które mógł ją oglądać. Choć teraz pozelepiane przez unoszącą się w nocnym powietrzu wilgoć, jej kasztanowobrazowe włosy były na co dzień gęste i lśniące. Miała szeroko rozstawione oczy, ciemne jak polska czekolada, gładka skóra w naturalnym odcieniu karmelelowych lodów i pełne usta, które zawsze wydawały mu się słodkie. Ilekroć obserwował ją, a ona nie zdawała sobie sprawy z jego napiętej uwagi, lub kiedy był z dala od niej i usiłował wyłolac w duszy jej obraz, wówczas zawsze przychodziły mu na myśl określenia artykułowo spójny czoch: kasztany, czekolada, toffi, śmietana, cukier, masło. Wydawało mu się to zabawne, lecz równocześnie rozumiał głęboki sens nasuwających się porównań: kojarzyła mu się z jedzeniem, gdy ona, bardziej niż jedzenie, utrzymywała go przy życiu.

Jakieś poruszenie przy oddalonym o szeszedziesiąt stopni wejściu do Decodine, na koncu obsadzonego palmami chodnika, przyciągnęło uwagę obojga Dakotów. Do drzwi podszedł ktoś z ekipy SWAT i rozmawiał krótko ze stojącymi tam policjantami. Po chwili jeden z nich machnięciem ręki przywołał Julię i Bobby'ego.

Kiedy do niego podeszli, powiedział:

-Znaleźli tego Rasmussena. Chcacie go zobaczyć i upewnić się, czy ma właściwe dyktetki?

-Tak - potwierdził Bobby.

-Koniecznie - dodała Julie, a jej gardłowy głos wcale nie brzmiał sexy, lecz twardo.

9

Nie przestając wypatrywać nocnych patroli, Frank Pollard wyciągnął z torby paczkę pieniędzy, po czym ułożył je w stos na siedzeniu obok. Naliczył piętnaście paczek banknotów dwudziesto-dolarowych i jedenastę paczek setek. Sądząc po ich grubości, każda zawierała około stu banknotów. Kiedy skończył rachować w pamięci, okazało się, że ma przy sobie sto czterdzieści tysięcy dolarów. Nie miał pojęcia, skąd pochodzily te pieniądze ani też, czy należały do niego. Pierwszą z dwóch bocznych, zapinanych na zamek kieszeni odsłoniła kolejna niespodzianka - portfel, co prawda bez gotówki czy kart kredytowych, ale za to z dwoma ważnymi dokumentami stwierdzającymi tożsamość: karta ubezpieczeniowa i wydany w Kalifornii Prawem jazdy. Razem z portfelem znajdował się tam paszport Stanów Zjednoczonych. Fotografie w paszporcie i prawie jazdy ukazywały tego samego człowieka: trzydziestokilolatniego, z brązowymi włosami, krągłą twarzą, wydatnymi uszami, piwnymi oczami, łagodnym uśmiechem i dolkami na policzkach. Uświadomiwszy sobie, że nie pamięta własnego wyglądu, przesunął tylko lusterko w takie położenie, że mógł zobaczyć część swojej twarzy i porównać ją z jednym z dokumentów. Problem polegał na tym... że prawo jazdy i paszport były wystawione na nazwisko Jamesa Romana, a nie Franka Pollarda.

Rzucił drugą z bocznych kieszeni i znalazł w niej jeszcze jedną kartę ubezpieczeniową, paszport i kalifornijskie prawo jazdy, wszystkie na nazwisko George'a Farrisza, choć z fotografia Franka.

Nazwisko James Roman nic dla niego nie znaczyło.

George Farris był również pustym dźwiękiem.

A Frank Pollard, za którego się uważał, stanął tylko zlepek liter przypisanych człowiekowi niezdolnemu przypomnieć sobie własnej przeszłości.

-W co się, u diabła, wplatałem? - powiedział głośno. Zaprzagnął usłyszeć własny głos, aby się przekonać, że istnieje naprawdę, że nie jest jedynie opornym duchem, który nie chce opuścić tego świata i przenieść się do innego, przeznaczonego mu przez śmierć.

Gdy gęsta mgła spowila zaparkowany samochód, odgradzając go całkowicie od zewnętrznego świata, odczuł przygniatającą, straszliwą samotność. Nie przychodził mu do głowy nikt, do kogo mógłby się zwrócić, żadne miejsce, gdzie mógłby się ukryć i poczuć bezpiecznie. Człowiek bez przeszłości nie widział przed sobą również przyszłości.

10

Gdy Bobby i Julie w towarzystwie policjanta nazwiskiem McGrath wysiedli z windy na drugim piętrze, ujrżeli Toma Rasmussena siedzącego na wypolerowanej podłodze z szarych winylowych płytek. Opierał się plecami o ścianę korytarza i miał ręce skłute przed sobą, połączone dodatkowo długim lancuchem z kajdankami krepującymi kostki nog. Najwyraźniej był obrażony. Usiłował ukrasć oprogramowanie wartości dziesiątków, a może setek milionów dolarów i z okna biura Ackroyda z zima na krwiał dał sygnał do zabicia Bobby'ego, a teraz dał się jak dziecko, ponieważ został złapany. Wykrzywił szczerzą twarz i wydał dolną wargę, a jego złotobrazowe oczy zwiłgotniały, jakby gotów był wybuchnąć płaczem, gdyby tylko ktoś spróbował na niego nakrzyżczec. Już sam jego widok doprowadził Julie do furii. Miała ochotę wybić mu zęby i wtłoczyć w gardło, aż do żołądka, tak by mógł przeczucić ostatni posilek. Gliniarze znaleźli go wreszcie za pudelkami, które poustawiał, aby zamaskować swą żalostną kryjówkę. Widocznie obserwując fajerwerk z okna w pokoju Ackroyda został zaskoczony pojawieniem się tooty Julie. Julie wjechała na parking Decodyne znacznie wcześniej w ciągu dnia i cały czas trzymała się z daleka od budynku, pozostając w cieniu galezi lauru, dzięki czemu nikt jej nie zauważył. Zamiast uciekać w chwili, gdy zginął pierwszy z bandytów, Rasmussen zaważał się, niewątpliwie rozważając, kto jeszcze może znajdować się na zewnątrz. Potem usłyszał syreny i nie pozostało mu nic innego, jak tylko ukryć się w nadziei, że policja pobieżnie przeszuka budynek i dojdzie do przekonania, iż zdołał uciec. Mając do dyspozycji komputer, Rasmussen był geniuszem, kiedy jednak trzeba było robić chłodne kalkulacje w wirze walki, stał się znacznie mniej błyskotliwym, niż mu się wydawało.

Pilnowało go dwóch uzbrojonych po zęby policjantów. Wyglądali nieco śmiesznie, gdy tak stali nad zwiniętym w kłębek rozrzesionym, bliskim placzu facetem, ubranym w kuloodporne kamizelki, z karabinami automatycznymi w garści, z ponurym wyrazem twarzy wpatrzonym w zatrzymanego.

Julie znalazła jednego z nich, Sampsona Garfeussa, jeszcze z czasów pracy w biurze szeryfa, gdzie Sampson także był na służbie, zanim przeniósł się do policji w Irvine. Czy to jego rodzice byli bardzo przewidujący, czy też on sam starał się ze wszystkich sił dorosnąć do swego imienia, dośc że był wysoki i zwalyst jak skała. Trzymał w dłoni otwarte pudelko, zawierające cztery małe dyskietki. Pokazał je Julie i zapytał:

-To z powodu tego szukałmy go?

-Możliwe - odparła.

Odbierając od zony dyskietki Bobby powiedział:

-Będzie musiał zejść piętro niżej do biura Ackroyda, uruchomić komputer, włożyć dyskietki i sprawdzić, co na nich jest.

-Proszę bardzo - zgodził się Sampson.

-Będzie pan musiał mi towarzyszyć - rzekł Bobby, zwracając się do McGratha, policjanta, który przyjechał z nimi winda. - Ktos powinien mnie kontrolować, upewnić się, że nie robię z tym żadnych numerów. - Wskazał na Toma Rasmussena. - Nie chcemy, żeby ten gnojek twierdził potem, że to były czyste dyskietki i że to ja chciałem go zrobić, kopiując własnoniecznie program.

Gdy tylko Bobby i McGrath weszli do windy i zjechali na pierwsze piętro, Julie przykućnęła na wprost Rasmussena.

-Wiesz, kim jestem?

Rasmussen popatrzył na nią w milczeniu.

-Jestem żona Bobby'ego Dakota. Bobby był w tamtej furgonetce, ostrzelanej przez twoich najemnych zbirów. To właśnie mojego Bobby'ego próbowałeś zabić.

Odwrócił od niej wzrok i wbił go w swoje skłute nadgarstki.

-Wiesz, co bym chciała ci zrobić? - Zbliżyła dłoń do jego twarzy i poruszyła długimi paznokciami. - Na początek złapałabym za gardło, przycisnęła głowę do ściany i wsadziła ci dwa z tych ślicznych, ostrych paznokci prosto w oczy, głęboko, tak głęboko, żeby dosięgnąć twojego szalonego mózgu, po czym wierciłabym nimi, by sprawdzić, czy nie da się tam zrobić nieco porządku.

-O Jezu, proszę pani - odezwał się kolega Sampsona. Nazwał się Burdock i gdyby nie Sampson, wyglądałby naprawdę potężnie.

-No coż - powiedziała - on jest zbyt pokrecony, by mógł mi pomóc wiezienny psychiatra.

-Nie rob głupstw, Julie - wtracił Sampson.

Rasmussen spojrział na nią, na sekundę ich oczy spotkały się, lecz to wystarczyło, by pojął, jak jest wściekła, i wystraszył się. Rumieniec dziecięcego zakłopotania i złości ustąpił miejsca bladoci. Zwracając się do Sampsona, głosem o wiele bardziej piskliwym i drzącym, niż tego przagnął, powiedział:

-Zabierzcie ode mnie tę szaloną dziewczę.

-Właściwie to ona nie jest szalona - wyjaśnił Sampson. - Przynajmniej nie w sensie klinicznym. Obawiam się, że w dzisiejszych czasach bardzo trudno zrobić z kogos wariata. Wiesz, całe to zamieszanie z prawami obywatelskimi. Nie, nie powiedziałbym, że jest szalona.

Nie spuszczać oczu z Rasmussena Julie powiedziała:

-Stokrotne dzięki, Sam.

-Zwróc uwagę, że nie mówilem o drugiej części jego określenia - dobroduszenie odparł Sampson.

-Tak Rozumiem, co masz na myśli.

Rozmawiając z policjantem bacznie obserwowała Rasmussena.

Każdy piastuje w sobie jakiś szczególny strach, prywatnego dreczy ciela uwzględnionego w planie budowy organizmu, który czai się w ciemnych zakamarkach umysłu. Julie wiedziała, czego Tom Rasmussen bał się najbardziej na świecie. Nie wysokości. Nie zamkniętych przestrzeni. Nie bał się również tłumu, kotów, latania, robaków, psów czy ciemności. W ciągu ostatnich tygodni Dakota and Dakota zgromadzili bogaty zbiór danych na jego temat i po ich przejrzaniu okazało się, że cierpi na lek przed ślepota.

W więzieniu, co miesiąc, z obsesyjną wręcz regularnością domagał się badania oczu, skarząc się na słabnący wzrok, a ponadto okresowo kazał sobie robić testy na syfilis, kulrzycę i inne choroby, które, nie leczone, mogą doprowadzić do oślepienia. Gdy przebywał poza więzieniem - a miał już dwie odsiadki - raz w miesiącu odwiedzał okuliste w Costa Mesa.

Wciąż kłęcząc przed Rasmussenem, Julie schwyła go za podbrodek. Gwałtownie szarpnął głową, lecz w końcu zwrócił jego twarz ku sobie. Dwoma palcami drugiej dłoni przejechała wzdłuż policzka z taką siłą, że na jego wyblakłej skórze powstały czerwone pręgi, choć nie tak mocno, by go zadrapać do krwi.

Krzyknął piskliwie i spróbował uderzyć ją skutymi rękami, lecz strach i lancuch moczujący nadgarstki do kostek skutecznie opóźniły jego ruchy.

-Co robisz, u diabła?

Rozciągnęła palce, którymi przed chwilą go podrapała, i dźgnęła prosto w twarz, zatrzymując je najwyżej dwa centymetry od jego oczu. Rasmussen drgnął, wydał kwilący dźwięk i ze wszystkich sił starał się wyrwać, jednak Julie pewnym chwytem ścisnęła jego podbrodek, zmuszając do trzymania głowy prosto.

-Ja i Bobby jesteśmy razem od osmiu lat, pobraliśmy się ponad siedem lat temu. To były najlepsze lata mojego życia. Nagle zjawiasz się ty i myślisz, że możesz go rozgnieść, jakbyś rozgniatła pluskwę.

Powoli zbliżyła koniuszki palców do jego oczu. Półtora centymetra. Cał.

Spróbował odsunąć się do tyłu, lecz za sobą miał ściany. Nie miał gdzie się cofnąć.

Ostre czubki wymanikirowanych paznokci dzieliło od oczu nie więcej niż pół centymetra.

-To jest brutalne działanie policji - zaprotestował Rasmussen.

-Nie jestem glina - odparła Julie.

-Ale oni są - powiedział, wskazując wzrokiem Sampsona i Burdocka.

-Lepiej zabierzcie ode mnie te dziwki, bo was zaskarżę.

Czubkami paznokci dotknęła jego rzes.

Cała uwaga Rasmussena skupiła się na Julie. Oddychał szybko, zaczął się też pocić.

Jeszcze raz musnęła jego rzesy i uśmiechnęła się. Ciemne zrenice żółtobrazowych oczu Rasmussena były szeroko otwarte.

-Wy sukiny, lepiej mnie posłuchajcie. Przysięgam, że złóżę skargę, a wtedy wywala was ze służby...

Ponownie dotknęła jego rzes. Mocno zacisnął powieki.

-... zabiora wasze przekłete mundury i odznaki, wsadza was do więzienia, a wiecie co czeka eks-gliny w więzieniu. Bija ich tak, że rzygają gównem, lamia kości, mordują, gwałca! - Jego wznoszący się coraz wyżej głos załamał się na ostatnim słowie, niczym głos dorastającego chłopca.

Rzuciwszy okiem na Sampsona, aby sprawdzić, czy ma jego cicha, jeśli nie jawna, zgodę na zrobienie następnego kroku i przekonawszy się, że Burdock nie jest tak spokojny jak Sampson, ale że prawdopodobnie jeszcze przez chwilę będzie się trzymał na uboczu, Julie wbiła lekko paznokcie w powieki Rasmussena.

Zareagował jeszcze mocniejszym zamknięciem oczu.

Zwiększyła siłę nacisku.

-Chciales zabrać mi Bobby'ego, teraz ja zabiorę ci oczy.

-Jestes stuknieta! Cisneta coraz mocniej.

-Powstrzymajcie ją - zazała Rasmussen od policjantów.

-Jeżeli ty chciales uniemowić mi oglądanie Bobby'ego, dlaczego ja mam pozwolić, abys jeszcze na cokolwiek patrzył?

-Czego chcesz?

Potrzebiał mu obficie po twarzy; wyglądał jak wrzucona do ognia świeca.

-Kto ci polecił zabić Bobby'ego?

-Polecił? O co ci chodzi? Nikt. Nie potrzebuje...

-Nawet byś go nie dotknął, gdyby twój pracodawca nie wydał ci polecenia.

-Wiedziałem, że mnie śledzi - gorączkowo tłumaczył Rasmussen, a ponieważ nie zmniejszyła nacisku paznokci, spod jego powiek popłynęły łzy. - Wiedziałem, że tam jest. Odkryłem go przypadkowo pięć czy sześć dni temu. Nie dałem się nabrać, choć używał różnych furgonetek i ciężarówek, a raz nawet przyjechał pomarańczowym wozem z emblematem okręgu. Wiedziałem, że musiałem coś zrobić, no nie? Nie mogłem zrezygnować z tej roboty, w grę wchodziły zbyt wielkie pieniądze. Nie mogłem po prostu dać się złapać, gdy będę już miał "Czarnoksiężnika", więc musiałem coś zrobić. O Jezusie, słuchaj, przecież to jasne.

-Jestes komputerowym geniuszem, wynajętym złodziejem, amoralna miernota, ale nie jesteś twardy. Jesteś mieczak cholerny mieczak. Sam nie zaplanowałbyś takiego numeru. Twój szef ci kazał.

-Nie mam żadnego szefa. Jestem wolnym strzelcem.

-Ktos ci jednak płaci.

Zaryzykowała mocniejszy nacisk, tym razem jednak nie koncami, tylko cała powierzchnia paznokci. Rasmussen tak bardzo stracił głowę ze strachu, że nadal mógł wyobrazić sobie, jak zaostrzone pilnikiem krawędzie pograżają się stopniowo w delikatnej tkance powiek. Musiał już widzieć gwiazdy, kolorowe plamy i spirale, i zapewne odczuwał nieco bólu. Trzasł się na całym ciele; jego kajdanki dzwoniły i pobrzekiwały. Spód powiek wypływało coraz więcej łez

-Delafield. - Wyrzucił z siebie to słowo, jakby równocześnie usiłował je zataić i wykrzyzczyć pełnym głosem. - Kevin Delafield.

-Co to za jeden? - zapytała Julie, nadal trzymając podbródek Rasmussena jedną ręką, a drugą naciskając oczy.

-Microcrest Corporation.

-To on wynajął cię do tej roboty?

Siedział sztywno, bojąc się przesunąć choćby o ulamek ciała, przekonany, że najmniejsza zmiana pozycji spowoduje wyklucie oczu.

-Tak Delafield. To wariat. Renegat. W Microcrest jeszcze się na nim nie poznali. Wiedzą tylko, że ma osiągnięcia. Kiedy ta sprawa się rozjeździe, beda zaskoczeni i zalamani. Pusc mnie. Czego jeszcze chcesz?

Puściła go.

Natychmiast otworzył oczy i zamrugał, sprawdzając, czy może widzieć. Potem oklapnął, łkając z ulgą.

Ledwie Julie zdążyła wstąpić, drzwi najbliższej windy otworzyły się i wyszedł z nich Bobby w towarzystwie policjanta, z którym przed chwilą zjechał na dół do biura Ackroyda. Bobby popatrzył na Rasmussena, porozumiewawczo skinął głową Julie, cmoknął językiem, po czym powiedział:

-Cos mi się wydaje, że byś las niegrzeczna, kochanie. Czy nigdzie nie można cię zabrać?

-Odbyłam tylko pogawedkę z panem Rasmussenem. To wszystko.

-Wygląda na to, że rozmowa była dla niego bardzo pobudzająca. Rasmussen siedział pochylony do przodu, miał przycisnięte do oczu dłonie i głośno szlochał.

-Nie mogliśmy się zgodzić w pewnej kwestii - powiedziała Julie.

-Kino, książki?

-Muzyka.

-Ach, tak.

Sampson Garfeuss odezwał się miękko:

-Dzika z ciebie kobieta, Julie.

-Próbował zabić Bobby'ego - to było wszystko, co miała mu do powiedzenia.

Sampson skinął głową.

-Nie mówię, że czasami nie podziwiam dzikosi... trochę. Ale na pewno winna mi jesteś jednego.

-Jestem - przytaknęła.

-A mnie znacznie więcej - dodał Burdock - Ten facet złożył skargę. Ide o zakład.

-I na co będzie się skarżyć? - zapytała Julie. - Nawet nie jest drasniety.

Słabe pregi na policzku Rasmussena były już niemal niewidoczne. Pot, łzy i ustępujące drżenie stanowiły jedyne świadectwo przeżytych opresji.

-Posłuchaj - zwróciła się Julie do Burdocka - facet się zalamał, ponieważ przypadkiem znalazł dokładnie jego słaby punkt, w który wystarczyło lekko uderzyć. To tak jak z cieciami diamentów. Udało mi się, ponieważ mety jego pokroju biora wszystkich wokół za takie same mety, a więc myśla, że zdolni jesteśmy zrobić to, co oni by zrobili w podobnej sytuacji. Nigdy nie wydrapałabym mu oczu, lecz on mogłby wydrapać moje, gdyby role się odwróciły. Dlatego był przekonany, że zrobię z nim to, co on zrobiłby ze mną. Wszystko, co zrobiłam, to wykorzystałam przeciw niemu jego własne zwichrowane zachowania. Psychologia. Nie można nikogo zaskarżyć z powodu użycia odrobiny psychologii. - Obrocila się do Bobby'ego i zapytała: - Co było na tych dyskieciek?

-"Czarnoksiężnik". Bez fałszywych danych. Cały program. To właśnie te zbiory musiał skopiować. W czasie, gdy go obserwowałem, zrobił tylko jedną kopię, a kiedy zaczęła się strzelanina, nie miał czasu na wykonanie następnych.

Rozległ się dzwonek windy, a na tablicy zapłonął numer ich pietra. Kiedy otworzyły się drzwi, na korytarz wyszedł znany im detektyw, Gil Dainer.

Julie wyjęła paczkę dyskieciek z rąk Bobby'ego i przekazała ją Dainerowi.

-Oto dowód - powiedziała. - Można na nim oprzeć całą sprawę. Myślisz, że sobie z tym poradzisz?

Dainer wyszczerzył zęby.

-Do licha, proszę pani, spróbuj.

11

Frank Pollard - alias James Roman, alias George Farris - zajrzał do bagażnika skradzionego chevroleta i w schowku na koło zapasowe znalazł filcowy futerał z narzędziami. Posługując się srubokrętem zdjął tablice rejestracyjne. W poł godzinę później, objechawszy parę nżej położonych i spokojniejszych dzielnic spowitej mgłą Laguny, zaparkował na ciemnej, bocznej ulicy, po czym przelozyl tablice chevroleta na stojacego w poblizu oldsmobila, zabierajac jego numery ze soba. Przy odrobynie szczescia wlasciciel oldsmobila nie zauwazy nowych tablic przez pare dni, moze nawet przez tydzien lub dluzej. Dopoki tego nie zglosi, chevrolet nie trafi na policyjne listy poszukiwanych wozow i w zwiazku z tym poruszanie sie nim bedzie wzglednie bezpieczne. Takczy inaczej Frank zamierzal pozbyc sie samochodu najblizszej nocy i albo ukrasc nastepny, albo posluzyc sie pieniedzni z torby, aby kupic woz legalnie.

Chociaz byl wyčerpany, uwazal, że mdrzej robi unikajac na razie moteli. Wpól do piatęj nad ranem to bardzo dziwna pora na wynajmowanie pokoju. W dodatku byl nie ogolony, miał rozczochrane, przetluszczone włosy, a zarowno dzinsy, jak i niebieska flanelowa koszula w kratę po ostatnich przejściach były wymięte i brudne. Chciał jak najmniej zwracać na siebie uwagę, toteż postanowił przedrzeć parę godzin w samochodzie...

Skierował się bardziej na południe, do Laguna Niguel, gdzie zaparkował na spokojnej uliczce pod ogromną palmą daktylową. Wyciągnął się na tylnym siedzeniu jak tylko mógł najwygodniej, na ile pozwalała na to brak poduszki i miejsca

na wyprostowanie nog, po czym zamknal oczy.

Na razie nie obawial sie nieznanego przesladowcy, bo czul, ze nie ma go w poblizu. Udalo mu sie na jakis czas zgubic przeciwnika i nie musial teraz czuwać, drzac ze strachu, ze w oknie zobaczy nagle wroga twarz. Zdolal takze wyprzec ze swiadomosci wszelkie pytania, ktore wiazaly sie ze znalezionymi w torbie dokumentami i pieniędzmi; byl tak zmeczony - a przy tym umysl mial na tyle zamciony - ze jakiegokolwiek wysilki, zmierzajace do odkrycia odpowiedzi, z gory skazane byly na niepowodzenie.

A jednak nie mogli zasnac, wciaz powracajac pamieciami do niezwyklych wydarzen w Anaheim sprzed kilku godzin. Poprzedzajace wszystko podmuchy wiatru. Dziwaczna muzyka fletu. Implodujace okna, wybuchajace opony, uszkodzone hamulce, odmawiajaca posluszenstwa kierownica...

Kto wszedl do tamtego mieszkania, poprzedzany przez niebieskie swiatlo? Czy "kto" bylo wlasciwym slowem... a moze nalezalo pytac, c o go poszukiwalo?

Podczas pospiesznej ucieczki z Anaheim do Laguny nie mial nawet chwili czasu, aby zastanowic sie nad tymi dziwacznyimi zdarzeniami, teraz jednak nie mogli przestac o nich myslec. Byl przekonany, ze wie, co to wszystko znaczy, i ze jego amnezja zostala wywolana przez glebokie pragnienie, zeby o tym zapomniec.

Wkrotce jednak nawet pamiec o tych nadprzyrodzonych zajsciach nie byla juz w stanie obronic go przed sennoscia. Ostatnia rzecz, jaka mu przyszla do glowy, zanim dal sie porwac fali snu, byla owa skladajaca sie z trzech slow fraza, ktora wychnela z glebi jego swiadomosci zaraz po tym, gdy odzyskal przytomnosc na opustoszonej ulicy: Swietliki na wietrze...

12

Bobby i Julie wrocili do domu na krotko przed switem. Tyle czasu zajelo im skladanie wyjasnien policji, ustalenie losu zniszczonych pojazdow, a takze rozmowa z trzema urzednikami, ktorzy nieoczekiwanie zjawili sie w Decodone. Policyjny woz patrolowy podwozil ich pod same drzwi, a gdy wysiedli, Bobby z przyjemnoscia rozejrzal sie wokolo. Mieszkali we wschodniej czesci Orange, w zbudowanym w pseudo-hiszpanskim stylu domu z trzema sypialniami. Byl zupełnie nowy; kupili go zaledwie dwa lata temu, traktujac zakup przede wszystkim jako lokate kapitalu. Nawet w nocy wyglad okolicy zdradzal mlody wiek osiedla. Zadne krzewy nie osiagnely jeszcze pelnych rozmiarow, ani jedno drzewko nie wyrastalo powyzej poziomu, na ktorym biegly okalajace dachy pobliskich domow rynny.

Bobby otworzyl drzwi, wpuscil Julie do srodka i wszedl za nia. Odglos ich krokow w wylozonym parkietem holu odbil sie gluchym echem od nagich scian przylegajacego don living-roomu, calkowicie pustego - co swiadczilo, ze nie zamierzaja osiasc w tym domu na dluzej. Chcac zaoszczedzic pieniadze, niezbedne, by moglo spelnic sie Marzenie, pozostawili salon, jadalnie i dwie sypialnie zupełnie nie umeblowane. Ograniczyli sie jedynie do zakupu tanich dywanow i firanek. Nawet cent nie zostal wydany na inne sprzety. Byl to zaledwie przystanek na drodze do Marzenia, nie widzieli wiecej sensu w szastaniu pieniędzmi na wystrój wnetrz.

Marzenie. Wlasnie tak o nim mysleli - przez duze M. Utrzymywali wydatki na najnizszym z mozliwych poziomie. Niewiele wydawali na ubranie czy wakacje i nie kupowali szalowych samochodow. Ciezka praca, z zelazna konsekwencja rozbudowywali Dakota and Dakota Investigations w powazna firme, ktora kiedyś bedzie mozna z zyskiem sprzedac, totez wiele z tego, co zarobili, pakowali z powrotem w interes, zeby przyspieszyc jego rozwoj. Wszystko to dla Marzenia.

Tylko kuchnia i pokoj, znajdujace sie z tyłu domu, oraz rozdzielajaca je niewielka jadalnia byly umeblowane. Te pomieszczenia oraz glowna sypialnia na gorze skladaly sie na ich przestrzen zyciowa.

Podloge w kuchni wylozili hiszpanska terakota i wstawili ciemne debowe meble z bezowymi blatami. Nie wydali ani centa na ozdobne dodatki, ale z racji swej funkcji miejsce to i tak starzalo przytulny nastroj: cebula w siatce, zawieszona na scianie miedziane garnki, przybory do gotowania, buteleczki przypraw. Na parapecie dojrzewaly trzy zielone pomidory.

Julie wsparla sie o szafke, jakby ani chwili dluzej nie mogla ustac o wlasnych silach.

-Napijesz sie? - zapytal Bobby.

-Alkohol o swiecie?

-Myslam raczej o mleku lub soku.

-Nie, dziekuje.

-Glodna? Potrzasnala glowa.

-Chce tylko wlezc do lozka. Jestem rozbita.

Wzial ja w ramiona, przyciagnal blizej, wtulil twarz we wlosy. Objela go rowniez.

Czas jakis stali w milczeniu, czekajac, az resztki strachu wyparuja w lagodnym cieple, jakie sie miedzy nimi wytworzilo. Strach i milosc sa nierozdzielne. Jesli ktos pozwala sobie na uczucie, na milosc, staje sie podatny na ciosy, zas taka podatnosc rodzi strach. Bobby odnalazl sens zycia w zwiazku z Julie i gdyby ona umarła, ten sens zginalby takze.

Nie wypuszczajac zony z ramion, odchylil sie do tyłu i przyjrzel sie jej twarzy. Smugi zeschlej krwi gdzieś zniknely, a skaleczenie na czole pokrylo sie cienka, zolta, krzepnaca blonka. Jednak slady ostatnich przezyt byly widoczne nie tylko w postaci tego otarcia. Majac sniada cere, Julie nigdy nie wygladala bladą, nawet w chwilach najwiekszych napiec. Jej twarz przybierala wowczas odcien szarosci. Teraz takze pod cynamonowo-mleczna skora ujawnil sie szary podklad, nadajac jej barwe zblizona do nagrobkowego marmuru.

-Juz po wszystkim - powiedzial uspokajajaco - a nam sie nic nie stalo.

-Dla mojej wyobrazni nie jest po wszystkim. I nie bedzie - przez wiele tygodni.

-Wydarzenia dzisiejszej nocy pomoga nam zbudowac legende Dakota and Dakota.

-Nie chce byc legenda. Legendy sa martwe.

-My bedziemy zywiymi legendami, a to dobrze zrobi naszym interesom. Im bardziej je rozkrecimy, tym szybciej bedziemy mogli sprzedac firme i urzeczywistnic Marzenie. - Pocalowal ja delikatnie w kacicust. - Musze zadzwonic. Zostawie wiadomosc w automacie agencji, takzeby Clint wiedzial, co robic, gdy przyjdzie do pracy.

-Dobrze. Nie chce, zeby telefon zaczal dzwonic zaraz po tym, jak przyloze glowe do poduszki.

Pocalowal ja jeszcze raz i podszedl do telefonu zawieszzonego na scianie obok lodowki. Gdy wybieral numer biura, uslyszal, jak Julie wchodzi do lazienki mieszczacej sie w krotkim korytarzu, laczacym kuchnie z pralnia. Zamknela za soba drzwi akurat w chwili, kiedy odezwal sie automat zgloszeniowy: "Dziekuje, ze zadzwonil pan do agencji Dakota and Dakota. Nikogo..."

Clint Karaghiosis - ktorego grecko-amerykanska rodzina oszalala na punkcie Clint Eastwooda w czasie, gdy w telewizji pojawil sie Rawhide - byl prawa reka Bobby'ego i Julie. Mozna mu bylo powierzyc kazdy problem. Bobby przekazal mu dluga informacje, streszczajac zajscia w Decodone i wskazujac, jakie dzialania nalezy podjac, aby zamknac te sprawy.

Odlozwszy sluchawke przeszedl do sasiedniego pokoju, wlaczyl odtwarzacz kompaktowy i nastawil plyte Benny Goodmana. Pierwsze dzwieki King Porter Stomp tchnely zycie w martwe sciany.

Wrocil do kuchni i wyjal z lodowki puszke kremu jajecznego. Kupila ja dwa tygodnie temu z przeznaczeniem na cichego, spedzonego w domu Sylwestra, lecz w koncu jej nie otworzyl. Zrobil to teraz, po czym napelnil do polowy dwie szklanki.

Z lazienki dobiegaly wydawane przez Julie straszliwe odglosy: nareszcie udalo jej sie pozbyc zawartosci zoladka. Nie bylo pewnie tego zbyt wiele, bo nie jedli od dobrych dziesieciu godzin, ale skurcze musialy byc gwałtowne. Przez cala noc Bobby spodziewal sie, ze w kazdej chwili moga ja chwycic mdlosci i dziwilo go, iz tak dlugo potrafila nad soba panowac.

Z barku wyciągnął butelkę białego rumu i wlał do każdej szklanki podwójną dawkę. Kiedy wróciła Julie, zajęty był delikatnym mieszanym lyżeczka drinków.

-Nie potrzebuje tego - powiedziała, spostrzegłszy, co robi.

-Wiem, czego ci potrzeba. Znam twoją psychikę. Wiedziałem, że zwymiotujesz po tym, co dzisiaj zaszło. A teraz potrzebujesz właśnie tego. - Podszedł do zlewu i oplukał lyżeczkę.

-Nie, Bobby, naprawdę nie dam rady tego wypić. - Wydawało się, że muzyka Goodmana nie robi na niej żadnego wrażenia.

-To uspokoi twój żołądek. A poza tym, jeśli nie wypijesz, będziesz miała kłopoty z zasnięciem. - Wzjął ją pod ramię, przezjadalnie zaprowadził do pokoju, tłumacząc: - Będziesz leżeć i zamartwiać się o mnie, o Thomasa - Thomas był jej bratem - o cały świat i każdego z osobna.

Nie zapalając światła usiedli na sofie. Jedynie z kuchni docierał tu słaby blask.

Podwinęła nogi pod siebie i lekko zwróciła się w jego stronę. Zamoczyła usta w trunku.

Pokój wypełniły dźwięki One Sweet Letter From You - jednego z najpiękniejszych tematów Goodmana - z partiami wokalnymi w wykonaniu Louise Tobin.

Przez chwilę słuchali w milczeniu, a potem Julie powiedziała:

-Jestem twarda, Bobby, naprawdę jestem twarda.

-Wiem o tym.

-Nie chce, żebyś myślał, że jestem słaba.

-Nigdy tak nie myślałem.

-To nie ta strzelanina przyprawia mnie o mdłości, ani przejechanie toyota tamtego faceta, ani nawet myśl, że mogłam cię stracić...

-Wiem. To z powodu tego, co musiałas zrobić Rasmussenowi.

-To śmierdzący dran o szczerzej twarzy, ale nawet on nie zasługuje na takie traktowanie. To, co mu zrobiłam, było paskudne.

-Ale to był jedyny sposób na zamknięcie tej sprawy. Nie mogliśmy jej skończyć, dopóki nie wiedzieliśmy, kto go wynajął.

Upiła nieco ze szklanki. Ze zmarszczonym czołem wpatrywała się w mleczną zawartość naczynia, jakby poszukując tam rozwiązania jakiegoś zagadki.

Podając za głosem Tobin, Ziggy Elman włączył się z pełnym wigorem solo na trabkę, a zaraz potem zagrał klarnet Goodmana. Słodkie tony sprawiły, że zwykły pokój przekształcił się w najbardziej romantyczne miejsce na świecie.

-To, co zrobiłam... zrobiłam dla Marzenia. Ci z Decodyne beda zadowoleni, gdy wskażemy im pracodawcę Rasmussena. Ale doprowadzenie go do złamania było w pewien sposób... gorsze niż zabicie człowieka w uczciwej walce.

Bobby położył dłoń na jej kolanie. Po tylu latach nadal zdumiewała go jej szczupłość i delikatna budowa kości, bowiem zawsze myślał o niej jako kims silnym na swój wzrost, solidnym i nieugiętym.

-Gdybyś nie użyła przemocy, naciskając Rasmussena, musiałbym to zrobić ja.

-Nie zrobiłbyś tego. Jesteś waleczny, Bobby, bystry i twardy, ale są pewne rzeczy, których nigdy nie zrobisz. Ta była jedna z nich. Nie opowiadaj bajek tylko po to, by poprawić mi humor.

-Masz rację - powiedział. - Nie mogłbym tego zrobić. Ale ciesze się, że ty to zrobiłaś. Decodyne osiągnie sukces, a gdybyśmy spaprali te roboty, mogło to nas cofnąć o wiele lat wstecz.

-Czy jest cokolwiek, czego nie zrobimy dla Marzenia?

-Jasne - odparł Bobby. - Nie będziemy torturować małych dzieci rozgrzany mi do czerwoności nozami i nie będziemy spuszczać ze schodów niewinnych staruszek i nie zatłuczemy na śmierć żelazną sztabą kosza szczeniąt - przynajmniej nie bez istotnych powodów.

W jej śmiechu było niewiele humoru.

-Posłuchaj - powiedział - jesteś dobrym człowiekiem. Masz dobre serce i to, co zrobiłaś Rasmussenowi, niczego nie zmienia.

-Mam nadzieję, że masz rację. Czasami życie jest ciężkie.

-Jeszcze jeden drink uczyni cię nieco lżejszym.

-Wiesz, ile w tym jest kalorii? Będzie gruba jak hipopotam.

-Hipopotamy są bardzo miłe - powiedział, zabierając jej szklankę i kierując się do kuchni. - Uwielbiam hipopotamy.

-Nie będziesz chciał kochać się z czymś takim.

-Dlatego nie. Więcej do trzymania, więcej do kochania.

-Zostaniesz zmiadzony.

-No cóż, oczywiście zawsze zajmowałbym pozycję na gorze.

13

Candy zamierzał zabić. Drząc z pożądania, stał w ciemnym salonie obcego domu. Krew. Potrzebował krwi. Candy zamierzał zabić i nie mógł zrobić niczego, aby się powstrzymać. Nawet myślał o matce nie zawstydzając go na tyle, żeby zdołał zaplanować nad głodem.

Na imię miał James, lecz jego matka - ta czysta dusza, nieskonczenie łagodna, promieniująca miłością, święta - zawsze mówiła, że jest jej małym cukiereczkiem. Nigdy Jamesem. Nawet Jimem lub Jimmym. Mówiła, że jest słodszy niż cokolwiek na świecie i "mały cukiereczek" został w końcu "cukiereczkiem", a w czasie, gdy miał sześć lat, przydomkiem utrwalił się i został wówczas Candyem - "Cukiereczkiem" na dobre. Teraz, gdy miał dwadzieścia dziewięć lat, było to jedyne

mie, na kóre reagował.

Wielu ludzi uważało morderstwo za grzech. Sam o tym wiedział. Ale byli tacy, co rodzili się z pragnieniem krwi. Bog uczynił ich takimi i oczekiwał od nich, że beda zabijac wybrane ofiary. Było to czescia jego misternego planu.

Zabojstwo było grzechem tylko wówczas, gdy Bog i matka nie zaaprobowali ofiary, a własnie tak było tym razem. Wstydzil się. Ale równocześnie dreczyło go pragnienie.

Nasluchował dobiegających z domu odgłosów. Cisza.

Niczym niezemskie, mroczne bestie, że wszystkich stron otaczały go spowite w cieniu meble living-roomu.

Oddychając z trudem, drząc całym ciele, Candy minal jadalnię, kuchnię i pokój, potem wolno przeszedł korytarzem prowadzącym do frontowej czesci domu. Jego wedrowce nie towarzyszył najdrobniejszy dzwiek, mogacy zaalarmowac spiacych na gorze. Zdawał się raczej szybowac niz isc, jak gdyby był widmowa zjawia, a nie człowiekiem z krwi i kosciami.

Przystanął u podstawy schodów i po raz ostatni podjął słaby wysilek stłumienia swoich morderczych pragnień. Poddając się w końcu, wzdrygnął się i wypuścił uwieziona w płucach powietrze. Zaczął wspinac się na piętro, gdzie mieszkańcy domu zapewne pograzeni byli we śnie.

Jego matka zrozumie i wybaczy mu.

Nauczyła go, że zabijanie jest dobre i moralne, jednakże tylko wtedy, gdy zachodzi taka potrzeba, tylko wówczas, gdy celem jest dobro rodziny. Strasznie się na niego złościła za każdym razem, kiedy zabijał z czystej żądzy krwi, a nie z uzasadnionych powodów. Nie musiała karac go fizycznie, gdyż z jej niezadowolonia sprawiło mu więcej cierpienia niz dowolna kara, jaka byłaby w stanie wymyslic. Całymi dniami nie odzywała się do niego, a to milczenie sprawiło mu ból tak silny, iż obawiał się, że peknie mu serce. Patrzyła na niego, jakby był powietrzem, jakby w ogóle nie istniał. Kiedy reszta dzieci zaczęła o nim rozmawiac, przerywała im, mówiac:

-Och, macie na myśli waszego zmarłego brata Candy'ego, waszego biednego zmarłego brata. No coż, wspominać go, jeśli chcecie, ale tylko między sobą. Nie robcie tego w mojej obecności, nigdy, bo ja nie chce o nim pamiętać, o tym diabelskim nasieniu. On był niegrzeczny, bardzo niegrzeczny, i nie słuchał matki. Zawsze się mu zdawało, że wie lepiej. Na sam dźwięk jego imienia robił mi się niedobrze, ogarnia mnie odraza, więc nie mówcie o nim przy mnie.

Za każdym razem, gdy Candy przeżywał takie tymczasowe wygnanie do krainy zmarłych, nie było dla niego miejsca przy stole. Musiał stac w kącie i obserwowac jak inni jedzą, jak gdyby rzeczywiście był duchem. W takich momentach matka nie zaszczęcała go nawet najdrobniejszym uśmiechem, nie burzyła mu włosów ani nie gładziła twarzy ciepłymi dłońmi. Nie pozwalała tulic się do siebie, czy polozyc zmęczoną głowę na swojej pierś. A wieczorem nie towarzyszyła mu przed zasnięciem bajki i słodkie kolytanki - sam musiał odnalezc droge do niespokojnego snu. Podczas takich okresów totalnego wygnania dowiedział się - dokładniej, niz mogłby tego oczekiwać - czym jest Piekło.

Ale ona zrozumie, dlaczego dzisiejszej nocy Candy nie może się opanowac - i wybaczy mu. Przedzaj czy później zawsze mu wybaczyła, gdyż z jej miłosc do niego była jak miłosc Boga do wszystkich Jego dzieci: doskonała, pełna wyrozumialosci i laski. Kiedy uważała, że Candy dosyć się wycierpiał, zawsze dostrzegała go ponownie, uśmiechała się do niego, szeroko otwierala ramiona. W takich momentach, ponownie zaakceptowany, zaznawał rozkoszy Nieba w takim stopniu, w jakim tylko było to możliwe.

A teraz sama była w Niebie. Od siedmiu długich lat! Boże, jak za nią tęsknił. Ale ona przyglądała mu się nawet teraz. Dowiedziała się, że nie potrafił dzisiaj nad sobą zapanowac - i będzie rozczarowana.

Wchodził na górę, pokonując po dwa stopnie naraz, trzymając się blisko sciany, gdzie schody najmniej skrzywały. Był potężnym mężczyzną, lecz chodź miał lekką i zwinną, także nawet polozowane czy sprochniałe deski nie trzeszczały mu pod stopami.

Gdy znalazł się w korytarzu, przystanął nasluchujac.

Cisza.

Z zawieszzonego na suficie czujnika dymu saczało się nikłe światło. Rozchodzaca się wokół poswiata wystarczyła, by dostrzegł dwoje drzwi po prawej stronie korytarza, dwoje po lewej i jedno w jego przeciwnym końcu.

Podkradł się do pierwszych po prawej, otworzył je ostrożnie i wślizgnął do środka. Zamknął drzwi za sobą i stał przez chwile oparty o nie plecami.

Choć czuł wielki głód, zmusił się do czekania, aż jego oczy przywykna do ciemności. Przez dwa okna wpadało do wewnątrz nieco popielatego światła z odległej latarni. Na początku zauważył lustro, chłodny prostokąt, który opornie odbijał ślaską szarosc. Potem dostrzegł zarysy stojacej pod nim szafki. W chwile później mógł już rozpoznac łozko i majaczacy na nim kształt lezacej postaci, przykrytej jasnokolorowym kocem, który lekko fosforyzował.

Candy ostrożnie podszedł do łozka, uniosł koc wraz z przescieradłem, po czym zawahał się, nasluchujac rytmicznego oddechu spiaczej osoby. Poczł won perfum zmieszana z przyjemnym zapachem rozgrzanej skóry i swiezo wymytych włosów. Dziewczyna. Zawsze potrafił odrznic zapach dziewczyny od zapachu chłopca. Wyczuł ponadto, że była młoda, zapewne kilkunastoletnia. Gdyby nie straszliwe pragnienie, wahanie trwałoby znacznie dłużej, ponieważ chwile poprzedzajace zabojstwo podniecały go jeszcze bardziej niz sam akt.

Niczym magik, odrzucajacy chuste z pustej przed chwila klatki, w której nagle pojawia się wyczarowany gołab, gwałtownym ruchem ramion sciagnął posciel z spiaczej. Rzucił się na nią i wgniotł w materac ciezarem swego ciała.

Zbudziła się natychmiast i usilowała krzyczec, choć niewątpliwie brakowało jej powietrza. Na szczęście rece miał niezwykle duże i silne. Gdy tylko sprobowała podniesc głos, odszukał jej twarz, po czym wparł spod dłoni w podbródek, a krzkiwione palce wbił w policzki, skutecznie zamykajac jej usta.

-Badz cicho albo cie zabije - wyszeptal, dotykajac wargami delikatnego ucha.

Wyla się pod nim, wydajac stłumione, przerażone piski. Sądząc z wyglądu, dziewczyna na niego miała ponizej dwunastu, ale też nie więcej niz piętnascie lat. Dla niego nie był to żaden przeciwnik.

-Nie chce cie skrzywdzic. Po prostu pragne ciebie, a kiedy skonczyc, zostawie cie w spokoju.

Było to kłamstwo, bo nie miał zamiaru jej gwałcic. Seks zupełnie go nie interesował. Mówiac ściśle, napelniał go obrzydzeniem. Główna rola odgrywał w nim płyn, którego nazwe trudno było wymienic; był związany z bezwstydnym użyciem organów służacych do oddawania moczu; stanowił akt wyjatkowo odpychajacy. Według Candy'ego, fascynacja innych ludzi seksem świadczyła jedynie o tym, że mężczyźni i kobiety należeli do upadłego gatunku, a cały świat był łloaka grzechu i szalenstwa.

Albo uwierzyła jego obietnicom, albo ogarnął ją paralizujacy strach, bo wyczuł, że zaniechala oporu. Być może cały wysilek musiała wzlozc w próbe złapania tchu. Ciezar ciała Candy'ego - dwiescie dwadziescia funtow - ugniatal jej piers, utrudniajac oddech. Na dloni, która zatykał jej usta, czuł krotkie, gorące wydechy i chłodne wdechy - wówczas jej nozdrza rozszerzały się gwałtownie.

Jego wzrok coraz lepiej dostosowywał się do nikłego oświetlenia. Choć nie dostrzegał jeszcze szczegolów twarzy, pochwylił błysk przerażenia w oczach ukrytych w cieniu. Odkrył też, że była blondynka; jej jasne włosy polyskiwały słabo w sacczej się przez okna szarej poswiacie.

Wolna reka odsunął delikatnie jej włosy, obnazajac prawa stronę szyi. Zmienił nieco pozycje, przesuwajac się w dół, tak aby jego wargi dotknęły gardła dziewczyny. Pocałował delikatne ciało, wyczuł ustami silne tetno, a wtedy ugryzł głęboko i poczł krew.

Podskoczyła i zatrępotala pod nim, lecz trzymał ją zbyt mocno, by złozala oderwac od rany jego zachłanne usta. Przelokal pospiesznie, ale i tak nie był w stanie pochłaniac gestej, słodkiej cieczy w takiej ilości, w jakiej wypływała. Wrotce upłył w zmniejszyl się. Ruchy dziewczyny stały się mniej gwałtowne, wreszcie ustaly zupełnie. Lezala pod nim bezwładnie, jakby nie była niczym więcej, tylko pomieta sterta poscieli.

Podniósł się i włączył na chwile nocną lampkę, by móc zobaczyc jej twarz. Zawsze chciał widzec ich twarze, jeśli nie przed, to po dopelnieniu ofiary. Lubil zagladac im w oczy, nie puste, jak mogłoby się wydawac, lecz przepelnione wizją odleglych miejsc, do których powędrowały ich dusze. Nie bardzo rozumiał te swoja ciekawosc. Ostatecznie, jeśli ktos je stek, to nie zastanawia się, jak wyglądała krowa. Ta dziewczyna - i wszyscy, którzy go nakarmili - nie powinni interesowac go bardziej niz szukać by dla. Pewnego razu przysnilo mu się, że gdy skonczył pic z rozdartego gardła, jego ofiara, choć martwa, przemowila do niego i zapytala, dlaczego chciał ją obejrzec po śmierci. Musiał przyznac, że nie zna odpowiedzi na to pytanie. Wówczas wysunela przypuszczenie, że za każdym razem, gdy zabija w ciemnościach, pragnie zobaczyc twarz ofiary, bo gdzieś w mrocznym zakamarku serca oczekuje, że ujrzy własna zbielala twarz, wpatrujaca się w niego martwym wzrokiem.

-W glebi duszy - powiedziała postać ze snu - zdajesz sobie sprawę, że już jesteś martwy, wypalony od środka. Wiesz, że masz dużo więcej wspólnego ze swymi ofiarami po ich śmierci niż za życia.

Słowa te, choć wypowiedziane tylko we śnie i wyglądające na czysty nonsens, sprawiły, że zbudził się z głośnym krzykiem. Nie był martwy, lecz żywy, silny i zdrowy, obdarzony równie wielkimi, co niezwykle apetytem. A jednak słowa ze snu towarzyszyły mu przez następne lata i kiedy powracały w jego pamięci, tak jak w tej chwili, stawał się niespokojny. Jak zawsze, taki teraz nie chciał się nad nimi zastanawiać. Skupił uwagę na leżącej na łóżku dziewczynie.

Miała około czternastu lat i była ładna. Urzeczony doskonałością karnacji, zaczął się zastanawiać, czy w dotyku jej skóra była równie wspaniała; czy gdyby osmielił się przesunąć po niej koniuszkami palców, poczułby gładkość porcelany. Usta miała lekko rozwarłe, jak gdyby opuszczająca ją dusza uchylała je, torując sobie drogę na zewnątrz. Cudownie błękitne, przejrzyste oczy były ogromne, zbyt duże w stosunku do jej drobnej twarzy, i głębokie jak zimowe niebo.

Mógłby przyglądać się jej całymi godzinami.

Westchnawszy z zalem, zgasił lampkę.

Przez chwilę stał w ciemnościach, wdychając ostry zapach krwi.

Gdy jego oczy na powrót przywykły do mroku, wyszedł na korytarz, zostawiając za sobą otwarte drzwi do pokoju dziewczyny. Zajrzał do pokoju naprzeciwko, lecz nikogo tam nie zastał. Natomiast w sąsiadującym z nim pomieszczeniu usłyszał chrapanie i poczuł nieswisty zapach potu. Był tam chłopak, siedemnasto lub osiemnastoletni, niezbyt duży, który jednak mógł stawiać większy opór niż jego siostra.

Na swoje nieszczęście spał na brzuchu, toteż gdy Candy sciągnął koc i rzucił się na niego, wtoczył mu twarz głęboko w poduszkę i materac, dusząc go i nie pozwalając wydobyć głosu. Walka była gwałtowna, ale krótka. Chłopiec zemdlł z braku tlenu, a wtedy Candy przewrócił go na plecy. Pochylając się nad odsłoniętym gardłem, wydał niski, przepełniony zdążył okrzyk, który zabrzmiał głośniejsz niż jęk chłopca.

Kiedy otwierał drzwi czwartej sypialni, przez okna wpadało już do wewnątrz ołowiane światło przedświt. W kątach nadal zalegały cienie, lecz ciemności nie były już tak gęste. Światło było jeszcze zbyt słabe, by ukazać barwy przedmiotów, toteż wszystkie znajdujące się w pokoju sprzęty utrzymane były w roznych odcieniach szarości.

Atrakcyjna blondynka w wieku trzydziestu kilku lat spała po jednej stronie okazałego łóżka. Zmieszana przestraszona i koc leżała na drugiej jego połowie, co wskazywało, że jej mąż wstał wcześniej lub przebywał poza domem.

Na szafce obok łóżka zauważył na wprost opróżnioną szklankę wody i plastikową fiolkę z lekarstwem. Podniósł buteleczkę - w dwóch trzecich wypełniona była małymi pigułkami. Według etykiety był to środek uspokajający. Z nalepki odczytał również jej nazwisko: Roseanne Lofton.

Candy stał przez dłuższą chwilę, wpatrując się w jej twarz, a w głębi duszy budziła się w nim dawna tęsknota za matczynym pocieszeniem. W dalszym ciągu dreczyło go pragnienie, ale tym razem nie chciał go gasić gwałtownie. Nie zamierzał rozzerwać jej gardła i wysaczyć wszystkiego w ciągu paru minut. Chciał, aby trwało to dłużej.

Pragnął ssać te kobiety, tak jak kiedyś wysysał krew matki, gdy w swej łaskawości pozwalała mu na to.

Od czasu do czasu, kiedy zaskarbił sobie jej wyjątkową przychylność, matka robiła płytkie naciecie na dłoni lub przekłuwała któryś z palców, po czym zezwalała, aby zwinęty w kłębek na jej kolanach przez godzinę lub dłużej rozkoszował się smakiem krwi. W takich chwilach ogarniał go wielki spokój, błogość tak głęboka, że cały świat wraz z jego cierpieniami stawał się nierealny, ponieważ krew matki była najlepsza ze wszystkich, nieskazana, czysta niczym łzy świętej. Oczywiście z tak niewielkiej ranki nie mógł upić więcej niż jedna lub dwie uncje, lecz krople te były o wiele cenniejsze i pożywniejsze od całych galonów wyspanych z ciał innych ludzi. Żył leżąc przed nim kobiety nie zawierały takiej ambrozji, gdyby jednak podczas ssania zamknął oczy i cofnął się pamięcią do dni sprzed śmierci matki, to może udałoby mu się, przynajmniej w jakiejś części, odtworzyć nastroj cudownego spokoju, jakiego wówczas doświadczał, i odnaleźć słabe echo dawnej rozkoszy.

Nie zdejmując koca, Candy delikatnie położył się w łóżku obok kobiety. Widział, jak ciężkie powieki zatrzepotały i po chwili z trudem uniosły się w górę. Mrugając oczami obserwowała, jak tuli się do niej, i przez moment zapewne sadziła, że nadal śni, bo na jej rozluźnionej twarzy nie drgnął żaden mięsień.

-Chcę tylko twojej krwi - powiedział miękko.

Nagle otrząsnęła się z opóźnionego efektu środków uspokajających, a jej oczy wypełniło przerażenie.

Zanim zdolała zepsuć piekno tej chwili krzyknąć badz stawiając opór - j tym samym zniszczyć złudzenie, że jest jego matka i ofiarowuje się dobrowolnie - uderzył ciężką pięścią w bok jej szyi. Potem uderzył jeszcze raz, a następnie zadał dwa ciosy w twarz. Nieprzytomna opadła na poduszkę.

Wiercił się pod kocem, przysuwając się jak najbliżej, po czym wyciągnął jej rękę i zagłębił żeby w dłoni. Oparł głowę o poduszkę, z twarzą zwróconą ku jej twarzy, ułożył między nimi jej rękę i zaczął spijać wypływającą powoli z rany krew... Po chwili zamknął oczy i próbował sobie wyobrazić, że jest jego matka. Stopniowo ogarnął go kojący spokój. A jednak, choć od dawna nie czuł się taki szczęśliwy, szczęście nie przenikało głęboko. Była to zaledwie otoczka radości, rozjasniająca powierzchnie jego serca, podczas gdy wewnątrz pozostawało ciemne i zimne.

14

Po paru godzinach snu Frank Pollard obudził się na tylnym siedzeniu skradzionego chevroleta. Wpadające przez okna promienie porannego słońca były wystarczająco jasne, aby zmusić go do otwarcia powiek. Zesztywniał w niewygodnej pozycji, był cały obolali i z pewnością nie wypoczął. Zaszło mu w gardle, a oczy paliły, jakby nie spał od wielu dni.

Jeczac, Frank zwał nogi z siedzenia, usiadł i odchrząknął. Dotarło do niego, że ma zdretwiałe obie dłonie. Były zimne i bez czucia, a gdy na nie spojrział, przekonał się, że ma zacisnięte pięści. Widocznie musiał tak spać przez jakiś czas, bo początkowo nie potrafił rozprostować palców. Kiedy, wkładając w to sporo wysiłku, otworzył wreszcie prawa pięść, spomiędzy zdretwiałych palców posypał się strumień czarny ch ziarenek.

Zdumiony wpatrywał się w czarne drobiny, które rozsypany się na nogawce spodni i prawym bucie. Unosił dłoń, chcąc z bliska obejrzyć to, co pozostało przyklejone do jej wnętrza. Z wyglądu i zapachu ziarenka przypominały piasek.

Czarny piasek? Skąd go wziął?

Kiedy otworzył lewą dłoń, wysypało się więcej piasku.

Zdezorientowany, przez okno samochodu rozejrzał się po najbliższej okolicy. Dojrzał zielone trawniki, odsłaniające ciemną glebę w miejscach, gdzie trawa została wytarta, pokryte kompostem uprawne zagony, kawałki drewna sekwojowego rozsypane wokół jakichś zarosli. Nie było tu niczego, co przypominałoby zawartość jego mocno zacisniętych pięści.

Znajdował się w Laguna Niguel, a więc nie opodal Pacyfiku, obrzeżonego szerokimi plażami, jednakże ich piasek był biały, a nie czarny.

Gdy na dobre odzyskał krążenie w zeszywniałych palcach, odchylił się w głąb siedzenia, unosił dłoń na wysokość twarzy i przyjrzał uważnie czarnym okruciom przyklejonym do spoczonej skóry. Piasek, choćby nawet czarny, był substancją całkowicie niewinna, a jednak ślady na relakach niepokoiły go tak bardzo, jakby to była świeża krew.

-Kim, u diabła, jestem i co się ze mną dzieje? - zapytał głośno.

Zdawał sobie sprawę, że potrzebuje pomocy. Nie wiedział tylko, do kogo ma się o nią zwrócić.

15

Bobby'ego obudził szumiący w drzewach wiatr od Santa Ana, który szwisywał pod okapem, wywołując wśród cedrowych gontów dachu i krokwi atyki całe serie stuków i trzasków. Zamrugał zaspany mi oczami i popatrzył na sufitowy zegar sypialni: 12:07. Ponieważ zdarzało im się pracować w roznych dziwnych porach, a potem spać w ciągu dnia, założyli od zewnątrz okiennice, dzięki czemu w pokoju panowały egipskie ciemności, jeśli nie liczyć polyskających błada zielenia cyfr zegara, które plonęły na suficie niczym jakies złowieszcze przesłanie z zaszwiatow. W łóżku znalazł się o swiecie i natychmiast zasnął, a zatem zegar wskazywał musiał południe, a nie północ. Przespał około szesciu godzin. Przez chwile leżał bez ruchu, zastanawiając się, czy Julie też się obudziła. -Jestem - usłyszał jej głos.

-Musisz chyba czytać w myślach - powiedział. - Wiedziałas, o czym myślę.

-To nie czytanie w myślach - odparła. - To małżeństwo. Obrócił się ku niej, a ona wślizgnęła się w jego ramiona.

Przez chwile trwali w uścisku, ciesząc się swoją bliskością. Nagle, pod wpływem wspólnego, a nie wypowiedzianego pragnienia, zaczęli się kochać.

Poswiata rzucała przez zielone cyfry zegara była zbyt słaba, by rozproszyć całkowitą ciemność, więc Bobby zupełnie nie widział Julie. A przecież "ogładał" ją swymi dłońmi. Odkrywał gładkość i ciepło jej skóry, subtelne krzywy wizerunki piersi, pewną kanciastość dokładnie w miejscach, w których kanciastość była pożądana, zwartość mięśni i ich płynny ruch. Mogłoby być ślepce, używającym rąk do opisanego wewnętrznej wizji idealnego piękna.

Na zewnątrz wiatr wstrząsał światłem, jakby dostrajając się do szpazmów szczytowania, wstrząsających ciałem Julie. A kiedy Bobby nie mógł się już dłużej powstrzymać, kiedy zakrzyczył i wypełnił ją sobą, zawodzący wiatr krzyknął także, zdmuchując przycupnietego pod pobliskim okapem ptaka, który z łopotem skrzydeł i głośnym wrzaskiem pomknął w dal.

Przez chwile leżeli obok siebie w ciemności, dysząc wspólnym oddechem, dotykając się nawzajem niemal z czcią. Nie chcieli ani nie potrzebowali rozmawiać; słowa zmniejszłyby tylko wartość przeżycia.

Okiennice z aluminiowych listewek drżały lekko pod naporem gniewnego wiatru.

Stopniowo uczucie błogości ustąpiło miejsca dziwnemu niepokojowi, którego źródła Bobby nie potrafił określić. Spowijająca wszystko ciemność stała się nagle przytłaczająca, jak gdyby przedłużający się brak światła sprawił, że powietrze zgęstniało, by w końcu nabrać konsystencji syropu, którym nie będzie można oddychać.

Choć zaledwie przed chwilą przestał się z nią kochać, opanowało go niesamowite wrażenie, że w istocie nie było tam Julie, a on kopulował z marzeniem lub złądką gestniejącej ciemności; że w nocy została mu skradziona, porwana przez niepojętą siłę, i że już nigdy jej nie zobaczy.

Glupio mu było przyznawać się do tak dziecięcego strachu, unosił się jednak na łokciu i zapalił umocowaną do ściany nocną lampkę.

Kiedy ujrzał obok siebie uśmiechniętą Julie, jego niewytłumaczalny lek raptownie opadł. Wypuścił z płuc powietrze, ze zdumieniem odkrywając, że od jakiegoś czasu wstrzymywał oddech. Nadal jednak odczuwał dziwne napięcie i widok Julie, całej i zdrowej z wyjątkiem otarcia na czole, nie wystarczył, by się zupełnie uspokoić.

-Co się stało? - spytała, jak zawsze spostrzegawcza.

-Nie - skłamał.

-Drobny ból głowy po rumie?

Meczyl go nie kąc, ale niezwykłe, przemożne wrażenie, że utracił Julie, że gdzieś tam we wrogim świecie coś zamierza mu ją odebrać. Jako życiowy optymistą zazwyczaj nie poddawał się złym przeczuciom i zapewne dlatego ten niecodzienny, złowroźny chłód przeraził go - bardziej, niż gdyby częściej ulegał podobnym nastrojom.

-Bobby? - powiedziała, marszcząc brwi.

-Ból głowy - uspokoił ją.

Pochylił się ku Julie i delikatnie pocałował ją w oczy, raz i drugi, zmuszając do zacisnięcia powiek, tak aby nie widziała jego twarzy i nie wyczytała z niej niepokoję, którego nie był w stanie ukryć.

* * *

Później, wykapani i ubrani, stojąc przy kuchennej ladzie zjedli szybkie śniadanie: bułeczki z dżemem malinowym, po pol banana i czarna kawa. Ustalili, że nie pojadą do biura. Krótka telefoniczna rozmowa z Clintem Karaghiossem potwierdziła, że sprawa Decodony nie była już niemal zamknięta i nie zdarzyło się nic, co wymagałoby pilnie ich obecności. Suzuki samuraj czekał na nich w garażu. Na widok samochodu samopoczucie Bobby'ego uległo wyraźnej poprawie. Samuraj był małym sportowym wozem terenowym z napędem na cztery koła. Usprawiedliwiając jego zakup przed Julie, podkreślał funkcjonalność pojazdu - nadawał się zarówno do celów użytkowych, jak i rekreacyjnych - oraz stosunkowo niską cenę. A tak naprawdę, to kupił go, ponieważ znakomicie dawał się prowadzić. Julie nie protestowała, bo jej także prowadzenie samuraj sprawiało przyjemność. Tym razem jednak kiedy jej to zaproponował, odmówiła i oddała mu kierownicę.

-Dosyć się najeżdżałam ostatniej nocy - wyjaśniła, zapinając pasy.

Po smaganych wiatrem ulicach fruwały martwe liście, gałązki, skrawki papieru i wszelkie inne, nie dające się zidentyfikować smieci. Od wschodu napływały kłęby kurzu niesione wiatrem Santa Ana, biorącym swą nazwę od gór, w których się rodził. Wiatr nurkował w kaniony, przemyczał się ponad jałowymi, porośniętymi rzadkimi krzakami i wzgórzami, których pracownicy przedsiębiorcy Okregu Orange nie zdążyli jeszcze zniwelować i pokryć tyśiacami niemal identycznych, zbudowanych z drewna i gipsu kalifornijskich domków z marzeń. Drzewa gięły się pod naporem rozszalałych mas powietrza, którego potężne i kapryśne fale pedziły na spotkanie prawdziwych morskich fal na zachodzie. Nocna mgła zniknęła bez śladu, a powietrze stało się tak przejrzyste, że ze wzgórz, odległych o dwadzieścia sześć mil od wybrzeża Pacyfiku, widac był wyspę Catalina.

Julie włożyła do odtwarzacza płyty kompaktowa Artie Shawa. Samochód wypełniła lagodna melodia Begin the Beguine. Aksamitnie brzmiały saksofony Lesa Robinsona, Hanka Freemana, Tony'ego Pastora i Ronniego Perry tworzyły dziwny kontrapunkt dla chaotycznych i pełnych dysonansów odgłosów wiatru Santa Ana.

Z Orange Bobby skierował się na południe i zachód, w stronę miejscowości plażowych - Newport, Corona del Mar, Laguna, Dana Point. Kiedy tylko było to możliwe w tym zurbanizowanym okregu, wybierał spokojniejsze drogi, które mimo asfaltowej nawierzchni zasługiwały na miano bocznych. Natknęli się nawet na kilka gajów pomarańczowych, jakimi cała ta kraina była niedgdy pokryta, dopóki nie zostały wycięte, ustępując miejsca rozwijającym się nieubłaganie trasom komunikacyjnym.

W miarę jak na liczniku przybywało przejechanych mil, Julie stawała się coraz bardziej rozmowna i beztroska, lecz Bobby dobrze wiedział, że ten doskonały nastrój nie był szczery. Za każdym razem, kiedy wybierali się w odwiedziny do jej brata Thomasa, usilnie pracowała nad tym, by tryskać radością. Kochała Thomasa i przy każdym spotkaniu na nowo ogarniała ją rozpacz, dlatego też zawczasu musiała sztucznie wprawić się w dobry humor.

-Ani jednej chmurki na niebie - powiedziała, gdy mijali przetworzone owoców na starym Irvine Ranch. - Coż za wspaniały dzień, prawda, Bobby?

-Cudowny - przytaknął z ochotą.

-Wiatr musiał przegnać chmury aż do Japonii i spietrzeć je wysoko nad Tokio.

-Tak. Właśnie teraz smieci z Kalifornii zasypują Ginze.

Setki czerwonych kwiatów bougainvilli, zerwanych z lodg przez poddmuchy wiatru, spadły nieoczekiwanie na drogę i przez moment mieli wrażenie, że samuraj został ogarnięty szkarłatną śnieżycą. Być może wiazało się to z ich wcześniejszą rozmową o Japonii, ale wirujące płatki miały w sobie coś orientalnego. Nie zdziwiłby się zbyt, gdyby na poboczu upstrzonej płamami światła i cienia drogi mignęła im kobieta w kimonie.

Nawet wiatr jest tutaj pielny - zachwycała się Julie. - Czyż nie jesteśmy szczęśliwi, Bobby? Czyż nie mamy szczęścia, żyjąc w tak wyjątkowym miejscu?

Rozległo się Frenesi Shawa, swing bogaty w brzmienie smyczków. Za każdym razem, gdy słyszał te piosenki, Bobby był niemal w stanie wyobrazić sobie, że uczestniczy w filmie z lat trzydziestych lub czterdziestych - ze skreci za rog i spotka starego przyjaciela Jimmy'ego Stewarta lub może Binga Crosby'ego, i razem pojadą na lunch z Carym Grantem, Jean Arthur i Katherine Hepburn, a potem zdarzy się mnóstwo zwirowanych rzeczy.

-W jakim filmie wyladowałeś? - zapytała Julie. Za dobrze go znała.

-Jeszcze sie nie zdecydowalem. Moze The Philadelphia Story.

Do czasu, gdy staneli na parkingu Domu Opieki Cielo Vista, Julie zdazyła wprawic sie w bardzo dobry humor. Wysiadła z samochodu, zwróciła twarz na zachod i wyszczerzyła zęby na widok horyzontu, wyznaczonego linia zetknięcia sie nieba i morza, tak jakby nigdy przedtem nie oglądała tego widoku. Prawde powiedziawszy, panorama była rzeczywiście niezwykła, gdyż Cielo Vista zbudowano na odległym o pol mili od Pacyfiku urwisku, z którego rozciągał się znakomity widok na spory fragment południowokaliifornijskiego Złotego Wybrzeża. Bobby podziwiał go także, kuląc nieco ramiona i opuszczając głowę w obronie przed podmuchami zimnego, porywistego wiatru.

Gdy Julie była już gotowa, mocno scisnęła dłoń Bobby'ego, po czym razem weszli do środka.

Dom Opieki Cielo Vista był instytucją prywatną, działającą bez udziału funduszy rządowych. Jego architektura odbiegała wyraźnie od standardowego wyglądu tego rodzaju obiektów. W piętrowej hiszpańskiej fasadzie bładobrzoskwiniowej barwy połyskiwały białe marmurowe narożniki, obramowania drzwi i okienne nadproża. Pomalowane na biało okna i drzwi kryły się w głębi zgrabnych luków, zamkniętych u dołu szerokimi parapetami. Chodniki ocieniały drewniane kraty, oplecione przez kwitnące żółto i czerwono lodygi bougainvilli, posród których rozdziły się nagłacie szepty wiatru. Wewnątrz podłogi wyłożono szarymi płytkami winyłu, upstrzonymi gdzieś tam brzoskwiniowymi i białymi turkusowymi plamami. Pomalowane na brzoskwiniowy kolor ściany miały białą podstawę i wypukły gzyms od góry. Wszystko to nadawało owemu miejscu ciepłą, przytulną atmosferę.

Przystanęli w holu, tuż za wejściowymi drzwiami. Julie wyciągnęła z torebki grzebień i doprowadziła do porządku potargane wiatrem włosy. Potem zameldowali się przy biurku w sympatycznie urządzonej przedpokoju dla odwiedzających i przeszli północnym korytarzem do leżącego na pierwszym piętrze pokoju Thomasa.

Thomas zajmował łóżko przy oknie, nie było go jednak ani tam, ani na fotelu. Kiedy staneli w progu, siedział przy stole, który dzielił ze swoim kolegą z pokoju, Derekiem. Pochylony nad blatem wycinał właśnie jakąś fotografię z magazynu. Chłopak wydał się równocześnie silny i kruchy, mocno zbudowany, a jednak delikatny. Fizycznie był silny, lecz pod względem umysłowym i emocjonalnym przejawiał dużą niezaradność i właśnie ta wewnętrzna słabość zadawała klam pozornej sile. Krótka szyja, ciężkie, zaokrąglone ramiona, szeroki kark, nieproporcjonalnie krótkie ręce i krepie nogi nadawały Thomasowi wygląd gнома. Jednakże kiedy zdął sobie sprawę z ich obecności i odwrócił głowę, aby sprawdzić, kto przyszedł, ukazał twarz, która nie miała łagodnych, czarownych rysów istoty z bajki. Ta twarz nosiła piętno okrutnego genetycznego przeznaczenia, biologicznej tragedii.

-Jules! - ucieszył się, rzucając nożyczki i czasopismo; wstając pospiesznie omal nie wywrócił krzesła. Miał na sobie obszerne dzinsy i zieloną flanelową koszulę w kratę. Wyglądał o dziesięć lat młodziej niż miał w istocie. - Jules, Jules!

Julie pusiła dłoń Bobby'ego i weszła do pokoju, otwierając ramiona na powitanie brata.

-Cześć, kochanie.

Thomas pospieszył ku niej posuwistym krokiem, jakby nosił podzelowane żelazem buty, uniemożliwiające oderwanie stop od podłogi. Chociaż liczył sobie dwadzieścia lat, o dziesięć lat mniej niż Julie, miał zaledwie pięć stop, o cztery cale mniej niż siostra. Urodził się z zespołem Downa, co nawet laik mógł wyczytać z jego twarzy: miał słabo wysklepione, niskie czoło; fałdy nakatne nadawały jego oczom orientalny wygląd; grzbiet nosa był spłaszczony; nisko osadzone uszy tkwiły na głowie nieco zbyt małej w proporcji do reszty ciała; rysy twarzy były miękkie, rozlane, charakterystyczne dla osób uposledzonych umysłowo. Zwykle twarz ta wyrażała smutek i samotność, teraz jednak, przeciwstawiając się naturalnemu układowi linii i zmarszczek, rozciągnęła w cudownym uśmiechu, ciepłym uśmiechu czystej radości.

Julie zawsze działała w ten sposób na Thomasa.

Do diabła, to samo robi ze mną, pomyślał Bobby.

Pochylając się nieco, Julie otoczyła ramionami brata i na dłuższą chwilę zamarła w bezruchu, tuląc się do siebie.

-Jak się masz? - zapytała.

-Dobrze, czuję się dobrze. - Mowa Thomasa była niewyraźna, lecz dość zrozumiała, gdyż jego język nie był powiększony, jak to się zdarza w niektórych przypadkach zespołu Downa. Możliwe było, że był nieco zbyt długi, ale nie pobrudzony ani nie wystawał spoza warg.

-Czuje się naprawdę dobrze.

-Gdzie Derek?

-Poszedł z wizytą. W holu. Wróci. Czuje się naprawdę dobrze. Czy ty się dobrze czujesz?

-Doskonale, kochanie. Po prostu świetnie.

-Ja też świetnie. Kocham cie, Jules - powiedział uszczęśliwiony Thomas. Przy Julie uwalniał się od wstydu, który znaczył jego stosunki z pozostałymi ludźmi. - Kocham cie bardzo.

-Ja też cie kocham, Thomas.

-Bałem się... może nie przyjedziesz.

-Czy nie przychodzę zawsze?

-Zawsze - potwierdził. Wreszcie wypuścił z objęć siostrę i rozejrzał się dookoła. - Cześć, Bobby.

-Cześć, Thomas. Dobrze wyglądasz.

-Naprawdę?

-Niech mnie gęś kopnie, jeśli kłamie. Thomas parskał śmiechem.

-On jest zabawny - powiedział, zwracając się do Julie.

-Czy mnie także uscisł? - zapytał Bobby. - A może mam tak stać z wyciągniętymi ramionami, aż ktoś pomyli mnie z wieszakiem na kapelusze?

Thomas z wahaniem oderwał się od siostry. Usciskali się z Bobbym. Po tyłu latach, Thomasa wciąż jeszcze krepowała jego obecność. Nie dlatego, że Bobby się mu nie podobał czy też go nie lubił, lecz po prostu nie znosił zmian i musiał się do nich długo przyzwyczajać. Nawet po siedmiu latach zamajomości siostry było dla niego zmianą, z którą nie zdążył się całkiem oswoić.

Chyba jednak mnie lubi, pomyślał Bobby, może nawet tak bardzo, jak lubie jego.

Nie było trudno polubić ofiarę zespołu Downa, jeśli tylko odrzuciło się litosę, która w początkowej fazie kontaktu stwarzała niepotrzebny dystans. Prostota i otwartość większości z nich były urocze i odświeżające. Jeśli tylko nie ogarniał ich wstyd bądź zakłopotanie z powodu własnej odmierności, osoby takie były zazwyczaj bardziej szczerze i prawdziwie niż inni ludzie.

Zeszłego lata w Cielo Vista, na pikniku z okazji Święta Czwartego Lipca, w rozmowie z Bobbym matka jednego z pacjentów powiedziała: - Przyglądając się im, myślę czasami, że jest w nich coś - łagodność, niezmierna dobroć - co zbliża ich do Boga bardziej niż nas. - Prawda tych słów dotarła do niego ze wzmocnioną siłą właśnie teraz, gdy ścisł Thomasa i wpatrywał się w jego sympatyczne, choć zdradzające ocieślałość umysłowa rysy.

-Czy przerwałismy ci wiersz? - spytała Julie.

Thomas wypuszczył z objec Bobby'ego i pospieszył do stołu, gdzie Julie przeglądała magazyn, z którego, kiedy przyszli, wycinał własnie obrazek. Otworzył najnowszy zeszyt z wycinankami - czternascie innych, zapelnionych jego utworami, spoczywalo w naroznej szafce z ksiazkami opodal lozka - i wskazal dwie strony zapelnione wklejonymi obrazkami, ulozonymi w linie i czterowersowe strofki, niczym prawdziwy wiersz.

-To bylo wczoraj. Skonczylem wczoraj - powiedzial Thomas. - Zabralo mi duuzo czasu i bylo trudne, ale teraz bylo... jest... w porzadku.

Cztery czy piec lat temu Thomas doszedl do wniosku, ze chce zostac poeta, tak jak ktos, kogo ogladal i podziwial w telewizji. Stopien umy slowego uposledzenia ofiar zespolu Downa by wa rozny, od niewielkiego po gleboki. Thomas znalazl sie gdzieś posrodku skali, lecz brakowalo mu intelektualnych mozliwosci, pozwalajacych opanowac umiejetnosc pisania czegos wiecej niz własnego nazwiska. To go jednak nie powstrzymalo. Poprosil o papier, klej, zeszyt na wycinanki i sterte starych magazynow. Poniewaz rzadko prosil o cokolwiek, a Julie uczynilaby wszystko, co w ludzkiej mocy, aby dac mu to, czego potrzebowal, wkrótce otrzymal wszystkie przedmioty ze swojej listy.

-Najrozniejsze czasopisma - powiedzial - z rozny mi ladnymi obrazkami... ale z brzydki mi tez... wszystkie rodzaje.

Z Time, Newsweeka, Life, Hot Rod, Omni, Seventeen i tuzinow innych wydawnictw wycinál cale fotografie lub ich fragmenty, składajac je, jakby to byly slowa, w ciagi obrazow tworzacych istotne dla niego tresci. Niektóre z "wierszy" zbudowane byly zaledwie z pieciu obrazkow, inne zawieraly setki wycinkow zebranych w uporządkowane strofy lub, czesciej, w luzne linie przyominajace wiersz wolny.

Julie wzela od niego zeszyt i podeszla do fotela pod oknem, aby spokojnie obejrzec nowa kompozycje. Thomas pozostal przy stole, z niepokojem obserwujac siostrę.

Jego obrazkowe wiersze nie mialy fabuly ani dajacego sie uchwycic motywu przewodniego, nie byly jednak takze zwykla mieszanina fotografii. Koscielna wieza, mysz, piekna kobieta w szmaragdowozielonej balowej sukni, pole stokrotek, puszka plasterkow ananasa firmy Dole, sierp ksiesczyca, sterta ociekajacych syropem naleśników, lśniące na czarnej, alksamitnej poduszeczce rubiny, ryba z szeroko rozwartym pyszczkiem, smiejace sie dziecko, pograzona w modlitwie zakonnica, kobieta placzaca nad zwlokami ukochanego, zabitego w jakiejś zapomnianej przez Boga wojnie, grupa ratowników, szczeniak z obwislymi uszami, zakonnice odziane w czern i sztywne biale kornety - z takich i ty sieci innych fotografii zgromadzonych w oddzielnych pudelkach Thomas wybieral czesci skladowe swoich utworow. Od samego poczátku Bobby dostrzegal niesamowita trafnosc wielu wierszy, symetrie zbyt fundamentalna, by mozna ja bylo zdefiniowac, zestawienia naiwne, a zarazem glebokie, rytmy tylez prawdziwe, co nieuchwytnie, latwa do ogarniecia osobista wizje, zbyt tajemnicza jednak, zeby dala sie blizej zrozumiec. Wraz z uplywem lat Bobby zauwazyl, ze wiersze stawaly sie coraz lepsze, dostarczaly glebszych przyc, choc rozumial z nich tak niewiele, iz nie potrafil wyjasnic, w jaki sposob rozpoznawal postep - po prostu wiedzial, ze tak własnie bylo.

Julie spojrzala znad otwartego zeszytu i powiedziala:

-To jest cudowne, Thomas. Kiedy na to patrze, to chce mi sie... stac pod goly m niebem i moze nawet taniec, zadrzec wysoko glowe i wybuchnac smiechem. Twój wiersz sprawia, ze ciesze sie zyciem.

-Tak! - powiedzial niewyraznie Thomas, klszczac w dlonie. Podala zeszyt Bobby'emu, który usiadl na skraju lozka, by go obejrzec.

Najbardziej zdumiewajaca cecha wierszy Thomasa byla emocjonalna reakcja, jaka nieodmiennie budzily. Kazdy z nich w jakis sposob poruszal czytajacego, co niewatpliwie nie nastapiloby, gdyby ten mial do czynienia z ciagiem uszeregowanych przyadkow obrazow. Czasami, ogladajac prace Thomasa, Bobby wybuchal glosnym smiechem, innym zas razem bywal tak wzruszony, ze musial szybko mrugac oczami, aby ulryc lzy. Czasami odczuwal strach lub smutek, kiedy indziej zal lub cielawosc. Nie wiedzial, dlaczego reaguje w ten sposob na poszczególne utwory; ich efekt zawsze wymykal sie analizie. Kompozycje Thomasa odwolywaly sie do jakichs pierwotnych glebi, budzac reakcje tych pokladow umyslu, ktore sa polozone znacznie ponizej poziomu podswiadomosci.

Najnowszy wiersz nie stanowił wyjatku. Bobby czul to samo, co Julie: zycie bylo dobre; swiat byl piekny; kazdy przejaw istnienia budzil uniesienie. Podniosl glowe i przekonal sie, ze Thomas niecierpliwie oczekuje na jego ocene. Byc moze opinia Bobby'ego byla dla niego rownie wazna, jak zdanie Julie.

-No, no - powiedzial miekko. - Thomas, twój wiersz budzi we mnie pelne ciepla, mrowiace uczucie, tak ze chyba nie ustoję w miejscu.

Thomas wyszczeryl zeby w usmiechu.

Czasami Bobby spogladajac na swego szwagra odnosil wrazenie, ze nieszczesna, zdeformowana czaszke zamieszkiwalo dwoch Thomasow. Thomas numer jeden byl niedorozwiniety, mily, lecz ograniczony. Thomas numer dwa byl rownie bystry jak wszyscy dookola, lecz zamieszkiwal tylko niewielka czesc zniszczonego mozgu, dzielonego z Thomasem numer jeden - jakis obszar w glebi, sklad nie mial bezposredniej lacznosci ze swiatem zewnetrznym. Wszystkie myśli Thomasa numer dwa musialy wiec przechodzic przez czesc mozgu nalezaca do Thomasa numer jeden, ulegajac filtracji, totez gdy ujrzaly juz swiatlo dzienne, niczym nie rozmiły sie od myśli Thomasa numer jeden. Dlatego tez jedynym sposobem na to, aby swiat dowiedzial sie o istnieniu numeru drugiego - myslacego, czujacego, pelnego zycia - byly własnie owe obrazkowe wiersze, ktorych przeslanie pozostawalo zywe nawet po przefiltrowaniu przez Thomasa numer jeden.

-Masz wielki talent - powiedzial Bobby i naprawde tak myslal; chyba nawet mu troche zazdrocil.

Thomas zrobil sie czerwony i spuscil oczy. Podniosl sie i szybko podreptal do lodowki znajdujacej sie przy drzwiach lazienki. Posilki podawano co prawda we wspolnej jadalni, gdzie na zyczenie mozna bylo otrzymac dodatkowe kanapki i napoje, jednak pacjentom potraficym utrzymac porzadek w pokojach pozwalano korzystać z własnych lodowek, wypelnionych ich ulubionymi potrawami i napojami, tak aby zapewnic im maksymalna niezalezność. Wyciągnal trzy puszki coli. Dal po jednej Bobby'emu i Julie. Z trzecia w dloni wrocil do stołu, usiadl i powiedzial:

-Lapaliscie zlych facetow?

-Tak. Staram sie, zeby wiezienia byly pelne - odparl Bobby.

-Opowiedzcie mi.

Julie pochylila sie w fotelu, a Thomas przysunal swoje krzeslo blizej, tak ze ich kolana zetknely sie, po czym strecila najwazniejsze wydarzenia minionej nocy w Decodyne. Zrobila z Bobby'ego wiekszego bohatera, niz byl nim w istocie, a rownoczesnie pomniejszyla na nieco własna role, nie tyle przez wzglad na skromnosc, co z obawy, ze zbyt dokladny opis niebezpieczenstw, w ktorych sie znalazla, mogly przerazić Thomasa. Thomas na swoj sposob byl mocny - gdyby taki nie byl, juz dawno temu zwinalby sie na lozku z twarza do sciany i nigdy wiecej by nie wstal. Ale nie byl na tyle silny, aby przycisac strate Julie. Sama mysl, ze moze ja spotkac krzywda, zmiadzzy laby go. Postarala sie wiec, zeby jej szalencza jazda i strzelanina wypadly w opowiadaniu zabawnie, podniecajaco, lecz niezbyt groznie. Ta ulepszona wersja wypadkow ubawila Bobby'ego niemal w tym samym stopniu co Thomasa.

Wkrótce, jako to sie zwykle dzialo, Thomasa przytloczyly wypowiedane przez Julie slowa i opowiesc stala sie dla niego bardziej klopotem niz rozrywka.

-Jestem zapchany - powiedzial, co oznaczalo, ze nadal usilowal uporac sie ze wszystkim, co do tej pory uslyszal, i na razie nie mial miejsca na dalsze informacje. Fascynowal go swiat na zewnatrz Cielo Vista i czesto pragnal stac sie jego czescia, ale rownoczesnie wiedzial, ze jest tam zbyt glosno, jasno i kolorowo, i nalezy kosztowac go tylko malymi porcjami.

Bobby wzial z polki jeden ze starszych zeszytow i siadl na lozku zaczal przegladac obrazkowe wiersze.

Thomas i Julie siedzieli tuż obok siebie. Odstawili puszki coli. Ich kolana stykaly sie, a oni, pochyleni ku sobie, trzymali sie za rece, od czasu do czasu wymieniajac spojrzenia. Po prostu byli razem, blisko. Julie potrzebowala tej bliskosci na rowni z Thomasem.

Ich matka zostala zabita, gdy Julie miala dwanasie lat. Ojciec zmarl osiem lat pozniej, dwa lata przed slubem Julie i Bobby'ego. Miala wtedy zaledwie dwadziescia lat. Pracowala jako kelnerka, aby zarobic na studia i oplacic swoja polowe czynszu za pokój, który dzielila z inna studentka. Jej rodzice nigdy nie byli bogaci i choc zdołali jakos utrzymac Thomasa w domu, koszty opieki pochlonely cale ich skromne oszczednosci. Po smierci ojca Julie nie byla w stanie zapewnic srodkow na mieszkanię dla siebie i Thomasa, nie mowiac juz o czasie, który nalezalo poswiecić, aby pomoc mu w kontaktach z otoczeniem. Nie majac innego wyjscia, musiala oddac go do stanowego osrodka dla dzieci uposledzonych umyslowo. Choc Thomas nigdy nie robil jej z tego powodu wyrazow, uwazala, ze w ten sposob popelnila wobec niego zdrade.

Zamierzala zdobyc stopien naukowy w dziedzinie kryminologii, ale rzucila studia na trzecim roku i wstapila do akademii policyjnej. Przez czternascie miesiecy pracowala jako zastepca szeryfa - do czasu, gdy poznala Bobby'ego i wyszla za niego. Jadala niemal wylacznie orzeszki ziemne, a jej styl zycia niewiele odbiegal od zycia zebaczki. Oddladala ile mogla z poborow w nadziei, ze ktoregos dnia zdoła kupic niewielki domek i zabierze do siebie Thomasa. Zaraz po slubie, gdy Dakota Investigations zmienilo sie w Dakota and Dakota, zabrali Thomasa z osrodka. Pracowali jednak w roznych godzinach, a choc zarzaly sie osoby z zespołem Downa zdolne do w miare samodzielnego zycia, Thomasowi potrzebna byla niestanna pomoc. Dniowka wykwalifikowanej pielęgniarki okazala sie wyzsza niz koszty utrzymania w prowadzonej na wysokim poziomie prywatnej instytucji w rodzaju Cielo Vista, jednak byli gotowi je poniesc, gdyby tylko znalezi kogos naprawde godnego zaufania. Kiedy niemozliwe stalo sie dalsze godzenie prowadzonego interesu z zyciem prywatnym i opieka nad Thomasem, zawiezli go do Cielo Vista. Byla to jedna z najlepszych placowek tego typu, pomimo to Julie uwazala, ze zdradzila brata po raz drugi. Fakt, ze w Cielo Vista czul sie dobrze, a nawet bywal szcieszliwy, w niczym nie zmniejszal jej poczucia winy.

Jeden z najwazniejszych elementow Marzenia sprowadzal sie do tego, by miec czas i srodki finansowe na zabranie Thomasa do domu.

Bobby podniósł głowę znad zeszytu, gdy Julie powiedziała:

-Thomas, a może wyszedłbyś z nami trochę na dwór? Thomas i Julie wciąż jeszcze trzymali się za ręce i widać było, jak po tej propozycji chłopak mocniej zacisnął dłonie.

-Zrobilibyśmy przejazdke - ciągnęła Julie. - Nad morze. Spacer nad brzegiem. Lody. Co ty na to?

Thomas popatrzył nerwowo w najbliższe okno, na wycięty przez nie prostokąt czystego, błękitnego nieba, przez który od czasu do czasu przemykały białe mewy.

-Na zewnątrz jest źle.

-Tylko trochę wiatru, kochanie.

-Nie chodzi o wiatr.

-Zabawimy się.

-Na zewnątrz jest źle - powtórzył. Zagryzł dolną wargę.

czasami chętnie wypuszczał się w świat, czasami zaś nie chciał ruszyć się z miejsca, jakby powietrze wokół Cielo Vista nasycone było trucizną. Ani namowami, ani pochlebstwami nigdy nie udało im się wyrwać Thomasa z takiego nastroju agorafobii, toteż Julie więcej nie nalegała.

-Może następnym razem - powiedziała.

-Może - odrzekł Thomas ze wzrokiem wbitym w podłogę. - Ale dzisiaj jest naprawdę źle. Ja... tak czuję to... zło... chłód na całej skórze.

Przez chwilę Bobby i Julie podejmowali różne tematy, lecz Thomas się nie odzywał. Siedział w milczeniu, nie szukał ich wzrokiem, zachowywał się tak, jakby w ogóle ich nie słyszał.

Cisza trwała parę minut, aż wreszcie Thomas powiedział:

-Nie odchodźcie jeszcze.

-Nie odchodzimy - uspokoił go Bobby.

-Tylko dlatego, że nie mogę rozmawiać... nie znaczy, że chce, żebyście poszli.

-Wiemy o tym, kochanie - odezwała się Julie.

-Potrzebuję ciebie.

-Ja ciebie też - powiedziała Julie. Podniosła zakończona grubymi palcami dłoń brata i ucałowała wszystkie kostki.

16

Kupiwszy w drogerii elektryczną maszynkę do golenia, Frank Pollard ogolił się i umył w toalecie na stacji benzynowej. Zatrzymał się w dzielnicy handlowej i kupił walizkę, bieliznę, skarpety, kilka koszul, jeszcze jedną parę dzinsów i nieco drobiazgów. Na parkingu przed sklepem, siedząc w skradzionym chevroletcie, który kolywał się lekko pod silnym uderzeniem wiatru, spakował wszystko do walizki. Potem zjechał do hotelu w Irvine, gdzie zameldował się pod nazwiskiem George Farris, korzystając z jednego z dwóch zestawów dokumentów. Ponieważ nie miał kart kredytowych, wszystkie opłaty uiszczył gotówką - przy najmniej tej mu nie brakowało. Mogł pozostać w okolicy Laguny, czuł jednak, że nie powinien zatrzymać się zbyt długo w jednym miejscu. Być może niepokój ten wypływał z ostatnich trudnych przeżyć, a może po prostu uciekał od tak dawna, że zmienił się w człowieka, który już nigdy nie będzie czuł się naprawdę dobrze w stanie spoczynku.

Wynajęty pokój był duży, czysty i wykończony ze smakiem. Projektant musiał być rozmówiony w stylu Południowego Zachodu: jasne drewno, wypłatanе trzcinowe krzesła z obiciami w brzoskwiniove i bładniebieskie wzory, zielonkawe zasłony o barwie piany morskiej. Całose psuł tylko brązowy dywan w ciapki, wybrany zapewne ze względu na łatwość maskowania plam i śladów zużycia. Przez kontrast, jasne meble zdawały się unosić ponad ciemnym prostokątem dywanu, tworząc niepokojące, niesamowite przestrzenne złudzenie.

Większą część popołudnia Frank spędził na łóżku, oparty plecami o stos poduszek. Choc telewizor był włączony, nie patrzył na niego, całkowicie pochłonięty próbami rozjasnienia mroku spowijającego przeszłość. Choc starał się jak mógł, jego pamięć wciąż nie sięgała dalej niż do momentu, gdy zeszłej nocy ocknął się na opustoszałej ulicy. A jednak gdzieś na skraju świadomości majaczył mu jakiś dziwny, złowrogi cień, toteż niespokojny, zaczął zastanawiać się, czy zanik pamięci rzeczywiście może być błogosławieństwem.

Potrzebował pomocy. Podejrzewał, że mając wypchaną pieniędzmi torbę oraz dwa komplety dokumentów byłoby rzeczą niemadłą zwracać się o nią do władz. Z nocnego stolika wyciągnął książkę telefoniczną i przekartkował ją w poszukiwaniu adresów prywatnych detektywow. Równocześnie jednak prywatny detektyw kojarzył mu się ze starymi filmami Humphreya Bogarta, wydawał się anachronizmem w tej nowoczesnej epoce. W jaki sposób facet w trenzu i fedorze obwisłym rondem może mu pomóc odzyskać pamięć?

W końcu, wsłuchując się w zawodzący za oknem wiatr, Frank wyciągnął się na łóżku i zasnął, odrabiając zaległości ostatniej nocy.

W kilka godzin później zbudził się nagle, skowycząc i z trudem chwytając oddech. Serce tłukło mu się w piersi jak oszalałe. Gdy usiadł z nogami spuszczoneymi poza krawędź łóżka, zauważył, że jego ręce pokryte są wilgotnym szkarlatem. Koszula i dzinsy wysmarowane były krwią. Jakas jej część, z pewnością jednak nie całos, musiała być jego własną krwią, gdyż na obu dloniach ciągnęły się głębokie, wciąż jeszcze broczące zadrapania. Piekała go twarz, a lustro w łazience ujawniło dwie długie szramy na prawym policzku, trzecia na lewym i czwarta na podbródku.

Nie potrafił zrozumieć, jak coś takiego mogło się zdarzyć podczas snu. Gdyby własnoręcznie rozorał sobie skórę pod wpływem jakiegos szalenczego zwiudu - a nie przypomniał sobie, by coś mu się sniło - lub gdyby zrobił to ktoś znajdujący się wtedy w pokoju, obudziliby się natychmiast. A to oznaczało, że w trakcie zajścia nie mógł spać, a gdy już było po wszystkim, wrócił do łóżka i ponownie zasnął, zapominając o wszystkim, podobnie jak zapomniał o całym swoim życiu sprzed ostatniej nocy.

Ogarnięty paniką wrócił do sypialni i obejrzał drugą połowę łóżka, następnie zajął do szafy. Nie był przy tym zupełnie pewien, czego szuka. Może martwego ciała. Nie znalazł niczego.

Juz sama myśl o morderstwie pobudzała go do mdłości. Wiedział, że nie jest zdolny do zbrojstwa, może z wyjątkiem samoobrony. Kto wiec podrapał mu twarz i ręce? Czy ja krew miał na sobie?

Przeszedłszy do łazienki sciągnął poplamione ubranie i zwinął je w ciasny pakunek. Umyl ręce i twarz, po czym w przyborach do golenia odszukał paleczkę alunu do tamowania krwi. Dzięki niej rany wkrótce przestały krwawic.

Kiedy napatkał w lustrze własne spojrzenie, musiał odwrócić oczy - tyle w nim było przerażenia.

Frank nałożył świeże rzeczy i wyciągnął z szuflady kluczyki do samochodu. Bał się tego, co mógł zastać wewnątrz chevroleta.

Zwalniając zatrząsk w drzwiach pokoju, uswiadomił sobie, że ani na framudze, ani na samych drzwiach nie było śladów krwi. Jesli wychodził po południu, a następnie wrócił z zakrwawionymi rękami, z pewnością nie miał na tyle jasnego umysłu, aby wyzcisnąć wszystko przed pojsciem do łóżka. W kazdym razie nie widział nigdzie pokrławionych szmat czy papierowych chusteczek, które mogły sluzyc do zrobienia porządkow.

Na zewnątrz było bezchmurnie, jasno świeciło zachodzące słońce. Rosnące wokół motelu palmy kolywały się na zimnym wietrze. Nieustanny szum przerywały od czasu do czasu serie głośnych klekotów, wywoływanych przez zderzające się, naszymi drewniane zęby, grube trzony palmowych liści.

Prowadzący do jego pokoju betonowy chodnik nie był poplamiony krwią, a wnętrze wozu, podobnie jak brudna gumowa mata w bagażniku, także nie nosiły śladów krwi.

Stał przy otwartym bagażniku, zmrużony mi oczami wpatrując się w zalany słońcem motel i otaczający go parking. Troje drzwi dalej dwudziestokilkuletni chłopak z dziewczyną na wypakowywali bagaże z czarnego pontiaka. Inna para w towarzystwie córki w wieku szkolnym spieszyła ocieniona pergola ścieżką, kierując się najwyraźniej w stronę restauracji. Frank zrozumiał, że nie mógł wyjść i popełnić morderstwa, a potem wrócić zbroczony krwią, w pełnym blasku dnia, pozostając przez nikogo nie zauważony.

Wrócił do pokoju, podszedł do łóżka i obejrzał dokładnie pomietę przescieradła. Były upstrzone karmazynowymi plamkami, lecz w stopniu tak niewielkim, że atak - jakkolwiek była jego natura - z całą pewnością nie nastąpił w tym miejscu. Oczywiście, jeśli cała ta krew była jego, mogła przede wszystkim spłynąć na przód kocy i dzinsów. Ale w dalszym ciągu nie mógł uwierzyć, że sam okaleczył się w trakcie snu - jedna ręka rozdrapując skóre drugiej, a obiema ramiąc sobie twarz - i że się przy tym nie obudził.

Poza tym szramy były dziełem kogos o ostrych paznokciach, podczas gdy jego były tepe, obcięte przy samej skórze.

17

Nieco na południe od domu opieki w Cielo Vista, pomiędzy Corona del Mar i Laguna, Bobby wcisnął się swoim suzuki w kat parkingu przy publicznej plaży. Morze miało odcień błękitnego i zielonego marmuru popręty łankę żłkami szarości. Woda była ciemna w zagłębieniach fal, tam zaś, gdzie fale się wznosiły, przesyłane promieniami wielkiego, wiszącego nisko słońca, nabierała jasności i barw. Szereg za szeregiem sunely ku plaży spienione grzbiety, duże, lecz jeszcze nie ogromne, a podmuchy wiatru rwały piane na strzępy i unosiły do góry.

Amatorzy surfingu w czarnych, nieprzemakalnych kombinezonach brodząc popychali swoje deski ku otwartemu morzu, szukając okazji do ostatniej przejazdki przed zmrokiem. Inni, także ubrani w kombinezony, rozsiedli się wokół dużych przenosnych chłodziarek i popijali gorące napoje z termosów lub piwo z puszek. Dzień był zbyt chłodny na opalanie, toteż oprócz nich plaża była zupełnie pusta.

Bobby i Julie szli w kierunku południowym, dopóki nie znaleźli niskiego pagórka na tyle odległego od wody, że nie docierała do nich niesiona wiatrem wilgotna mgiełka. Usiedli w sztywnej trawie, porastającej latami piaszczyca, przesycona solą glebę.

Milczenie przerwała Julie.

-W miejscu takim jak to i z podobnym widokiem. Niewielki domek

-Nie musi być duży. Salon, jedna sypialnia dla nas i jedna dla Thomasa, może jakiś przytulny kącik z książkami.

-Nie potrzebujemy nawet jadalni, ale za to chciałabym mieć dużą kuchnię.

-Tak. Kuchnię, w której może toczyć się całe domowe życie. Westchnęła.

-Muzyka, książki, domowe posiłki zamiast litych w przelocie konserw, mnóstwo czasu, żeby siedzieć na werandzie i podziwiać widoki - no i my trójce razem.

Tak właśnie wyglądała Marzenia: dom nad morzem i środki finansowe pozwalające przejść na wcześniejszą o dwadzieścia lat emeryturę.

Jedną z cech, które pociągały ich wzajemnie ku sobie, była wspólna obojętność świadomość krótkotrwałości ludzkiego życia. Każdy oczywiście wie, że życie jest za krótkie, lecz większość ludzi odpycha od siebie tę myśl i postępuje tak, jakby zawsze czekało na nich jakieś jutro. Gdyby w swym stosunku do śmierci ludzie nie potrafiли samooszukiwać się, nie pasjonowałoby się tak bardzo wynikiem meczu, akcją serialu, gadaniną polityków i tyśiacem innych rzeczy, które w rzeczywistości są niczym wobec nieuchronnego nadejścia nie kończącej się nocy, jaka ostatecznie ogarnie każdego z nas. Dlatego też ani Bobby, ani Julie nie mogli sobie pozwolić na stratę choćby minuty na stanie w kolejce w supermarkecie; nie znosili też godzin marnowanych w towarzystwie nudziarzy lub głupców. Być może, oprócz tego, był jeszcze jakiś inny świat, może nawet Niebo, nie należało jednak na to liczyć, trzeba było się liczyć tylko z ciemnością. W tym przypadku samookłamywanie się było błogosławieństwem. Żadne z nich nie należało do ponuraków. Zarówno Julie, jak i Bobby nie gorzej od innych wiedzieli, w jaki sposób cieszyć się życiem, choć żadne z nich nie wspierało się na kruchej iluzji nieśmiertelności, która dla większości ludzi była sposobem obrony przed niepojętym. Ta ich świadomość nie wyrażała się przez niepokój i depresję, lecz przez mocne pragnienie, aby nie zmarnować życia na żgiewliwą, bezcelową aktywność i by znaleźć środki na długi wspólny pobyt we własnym gniazdku nad morzem.

Odgarniając z czoła poruszone wiatrem kaszanowe włosy, Julie spoglądała na odległy horyzont, który wypełniał się miodowozłotym światłem, w miarę jak zachodzące słońce było coraz niżej.

-Tym, co przeraża Thomasa najbardziej w świecie zewnętrznym, są ludzie, zbyt wielu ludzi. Ale w małym domku nad morzem byłby szczęśliwy. Spokojny kawałek wybrzeża, mało ludzi. Jestem pewna, że tak by było.

-I tak będzie - zapewnił ją Bobby.

-Do czasu, gdy rozbudujemy agencję tak, aby można było ją sprzedać, południowe wybrzeże stanie się zbyt drogie. Ale na północ od Santa Barbara też jest ładnie.

-To długie wybrzeże - powiedział Bobby, obejmując ją ramieniem. - Nawet wtedy uda nam się znaleźć miejsce na południu. I nie zabraknie nam czasu, żeby się tym cieszyć. Nie będziemy żyć wiecznie, ale jesteśmy młodzi. Minie jeszcze wiele, wiele lat, zanim przyjdzie nasza kolej.

Mówiąc o pamiętali przecucie, które wstrząsnęło nim w łóżku tego ranka, zaraz po tym, jak się kochali - wrażenie, że coś złowrogiego czai się w smaganym wiatrem świecie, coś, co przyjdzie i zabierze mu Julie.

Słońce dotknęło horyzontu i, roztopiając się w nim, zaczęło nikać. Światło w odcieniach złota szybko ściemniało do barwy pomarańczowej, a następnie do krwawej czerwieni. Trawa i wysokie chwasty za ich plecami szczęśliwie na wietrze. Bobby popatrzył przez ramię na spirale wirującego w powietrzu piasku, które przesuwali się po stołu pomiędzy plażą a parkingiem, niczym blade duchy, wyślające się z cementarza wraz z nadejściem zmroku. Od wschodu na świat sunęła ściana nocy. Powietrze wybiegło się do reszty.

18

Candy przespał cały dzień we frontowej sypialni, i należącej kiedyś do matki, napawając się szczególnie aromatem tego miejsca. Dwa lub trzy razy w tygodniu strząsał ostrożnie kilka kropel ulubionych perfum matki - Chanel nr 5 - na białą, obrebioną koronką chusteczkę, która trzymała na toalecie obok srebrnego grzebienia i szczotki, dzięki czemu każdy jego oddech ożywia wspomnienie o niej. Gdy od czasu do czasu budził się, by poprawić poduszki lub bardziej naciągnąć koc, ślad woni perfum usypiał go za każdym razem niczym najlepszy środek nasenny, po którym ze stanu półświadomości odpływał z powrotem w szczęśliwe sny. Sypiał w sportowych spodenkach i bawełnianej koszulce, ponieważ nie mógł znaleźć dostatecznie dużych pizam, a był zbyt wstydlivy, by położyć się do łóżka nago lub nawet w samej bieliznie. Niekompletny ubiór wprawiał Candy'ego w zakłopotanie, nawet jeżeli w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby go zobaczyć.

Przez całe to długie czwartkowe popołudnie ostre zimowe słońce rozświetlało świat na zewnątrz, lecz poprzez zasłaniające dwa okna kwieciste firanki i kotary koloru róży do środka wpadało niewiele blasku. Budził się kilkakrotnie i mrugając oczami obserwował zalegające pokój cienie, lecz nie dostrzegał niczego oprócz perlowszarego lśnienia lustra toaletki i błysków rzucanych przez oprawne w srebro fotografie, ustawione na nocnym stoliku. Oszołomiony snem i zapachem świeżo rozlanych perfum, z łatwością mógł sobie wyobrazić, że jego ukochana matka przygląda się mu z bujanego fotela - i czuł się bezpieczny.

Przebudził się na dobre tuż przed zachodem słońca. Przez chwilę leżał nieruchomo, z rękami założonymi pod głowę, wpatrując się w spód rozpiętego na czterech słupach baldachim. Nie widział go, lecz wiedział, że tam jest, a pamięć wyczarowywała przed oczami żywy obraz wzorzystej tkaniny ozdobionej paczkami róży. Przez chwilę myślał o matce, o najlepszych latach swego życia, teraz bezpowrotnie minionych, a potem jego myśli powędrowały ku dziewczynie, chłopcu i kobiecie, których zabił ostatniej nocy. Usiłował przypomnieć sobie smaki krwi, jednak wspomnienie to nie było tak intensywne, jak obraz matki.

Zapalił nocną lampkę i omiotł wzrokiem doskonale znajome wnętrze; tapeta w rozyczki, pokryta paczkami róży narzuca na łóżko, rozany desen na żaluzjach, zasłonach i dywanach, ciemne mahoniowe łóżko, toaletka i szafa. Dwa welniane szale - jeden zielony jak liście róży, drugi o barwie jej płatków - zwisały się z poręczy bujanego fotela.

Wszedł do przylegającej do pokoju łazienki, zamknął drzwi i sprawdził zamek. Światło padało jedynie ze świetlóki nad umywalką, bowiem już dawno temu zamalował niewielkie okno grubą warstwą czarnej farby.

Przez moment obserwowal na lustrze własne odbicie. Lubil swój wygład. W rylsd twarzy odnajdywał podobienstwo do matki. Odziedziczył po niej blond włosy, tak jasne, że niemal białe, i niebieskie jak morze oczy. Co prawda silna, grubo ciosana twarz nie miała w sobie nic z jej piekna czy delikatności, ale za to pełne usta posiadały niemal identyczny wykrój.

Zdjawszy ubranie starał się nie patrzeć na dolne partie swego ciała. Był dumny z potężnych barków i ramion, szczylił się szeroka pierś i muskularnymi nogami, ale każdy rzut oka na organy płciowe budził w nim uczucie nieczystości i wywoływał lekkie mdłości. Oddając moczną siadła na sedesie, dzięki czemu unikał kontaktów z własnym ciałem. W czasie kąpieli, chcąc namydląc kroczce, zakładał najpierw rękawice, kora uszył z ręcznika. W ten sposób jego dłoń nie stykała się bezpośrednio z grzesznym podbrzuszem.

Kiedy już wytarł się do sucha i ubrał w sportowe skarpety i buty, ciemnoszare sztruksy i czarna koszula, z wahaniem opuścił bezpieczne schronienie dawnego matczynego pokoju. Zapadła noc i korytarz na piętrze rozświetlały dwie słabe żarówki, tkwiące w zwisających z sufitu, pokrytych grubą warstwą kurzu żyrandolach, którym brakowało przynajmniej połowy kryształowych ozdób. Na lewo od siebie miał klatkę schodową. Po prawej leżał pokój siostr, jego stary pokój i druga łazienka z szeroko otwartymi drzwiami. W żadnym z tych pomieszczeń nie paliło się światło. Debowo podłoga przeraźliwie skrzyiała i wytarty chodnik tylko nieznacznie tłumil jego kroki. Czasami przychodziło mu do głowy, że powinien zrobić w domu gruntowne porządki, może nawet wymienić dywany i odmalować wnętrza. Ponieważ jednak utrzymywał pokój matki w nieskazitelnym stanie, brakowało mu motywacji, by poświęcić czas i pieniądze na pozostałe pomieszczenia, zaś jego siostry nie były zainteresowanej prowadzeniem domu ani nie przejawiały do tego zdolności.

Miękki tupot licznych łap poprzędzał naddciągające korytarzem koty. Candy przystanął w pobliżu schodów, bojąc się przydepnąć jakiś ogon lub łapę. W chwili później wspięły się na najwyższy stopień i otoczyły go ruchliwa gromada. Było ich dwadzieścia sześć, o ile od czasu, gdy liczył je po raz ostatni, nie zaszły jakies zmiany. Jedenascie czarnych, kilka czekoladowobrazowych, ciemnoszarych i tabaczkowych, dwa ciemnozielone i tylko jeden biały. Violet i Verbina, jego siostry, gustowały w ciemnych kotach - im ciemniejszych tym lepszych.

Zwierzęta klebiły się wokół niego, wchodziły mu na buty, ocierały o nogi, okrecały ogony wokół lędźwi. Były wśród nich dwie angory, kot abisyński, maltański, szylkretowy, bezgoniasty kot z wyspy Mann, większość stanowiły jednak zwykłe mieszance do trudnym do ustalenia rodowodzie. Niektóre z nich miały oczy zielone, inne żółte, srebrzystoszare lub niebieskie, lecz wszystkie obserwowały go z ogromnym zainteresowaniem. Nie towarzyszył temu najmniejszy pomruk bądź miauknięcie; ogledźnicy odbywały się w absolutnej ciszy.

Candy nie przepadał specjalnie za kotami, te jednak tolerował, nie tylko dlatego, że należały do jego siostr, ale także ze względu na to, że w pewnym sensie były one bezpośrednim przedłużeniem Violet i Verbiny. Zranienie ich lub użycie szorstkich słów byłoby równoznaczne z wyrządzeniem krzywdy siostrom, a tego nigdy nie wazyłby się zrobić, ponieważ matka na lożu śmierci zobowiązała go do opieki i ochrony dziewcząt.

W niespełna minuty koty wypełniły swa misję. Jak jeden odsunęły się od niego, po czym wymachując ogonami, przecząc miśnie i strasząc futro odpłynęły - niczym jedno zwierzę - schodami na dół.

Zanim postawił nogę na pierwszym stopniu, zdążył już osiągnąć podest, na którym skreśliły i szybko znikły z pola widzenia. Zszedł do dolnego korytarza, lecz nie było tam śladu kotów. Wyminal ciemny, cuchnący plesnia salon. Podobna won dołatywała z gabinetu, zapelnionego polkami butwiejących romansów, które tak bardzo uwielbiała jego matka, a kiedy przechodził przez słabo oświetloną jadalnię, pod jego stopami zachrzeszcily śmieci.

Violet i Verbina przebywały w kuchni. Były identycznie wyglądającymi bliźniaczkami. Obie miały blond włosy, jasna skóra bez najmniejszej szkazy, jednakowe oczy o barwie błękitnej chinskiej porcelany, gładkie czoła, wysoko osadzone kości policzkowe, proste nosy z delikatnie zarysowaną linią nozdrzy, usta zabarwione naturalną czerwieńią - tak intensywne, że nie musiały używać szminki - oraz małe, równe zęby, swa biała mogące konkurować z zębami kotów.

Candy próbował polubić swoje siostry, lecz mu się to nie udawało. Ze względu na matkę nie mógł ich nie lubić, pozostał więc neutralny, dzieląc z nimi dom na zasadach daleko odbiegających od tych, które obowiązują w normalnej rodzinie. Uważał, że są nadmiernie chude; sprawiały wrażenie watłych, niemal kruchych. Były też zbyt blade, jak istoty nigdy nie oglądające słońca, które zresztą rzeczywiście nie miało wielu okazji, by je ogrzać, jako że bardzo rzadko wychodziły na zewnątrz. Ich szczupłe dłonie były doskonale utrzymane, gdy z mostwo czasu poświęcały na wspólne zabiegi kosmetyczne, jakby same również były kotami. Według Candy'ego miały jednak za długie palce, nienaturalnie gietkie i zwinne. Ich matka była krępką osobą o mocnych rysach i zdrowej cerze, toteż Candy często zastanawiał się, w jaki sposób takżywota kobieta mogła powić podobnie mdła parę.

W rogu dużej kuchni bliźniaczki zgromadziły na stercie sześć kocy, tworząc spory obszar, na którym koty mogły wygodnie leżeć, choć legowisko miało w rzeczywiście służyć Violet i Verbinie, tak by mogły spędzać długie godziny na podłodze wśród swoich pupilów. Gdy w drzwiach pojawił się Candy, zastał je na kocach w otoczeniu czworonogów, z których część rozpięła się wprost na ciałach dziewczyn. Violet tekturowym pilnikiem opilała paznokcie na dłoniach Verbiny. Żadna z nich nie podniosła głowy, choć oczywiście pozdrowiły go już wcześniej za pośrednictwem kotów. Verbina nie wymówiła słowa w obecności Candy'ego przez całe dwadzieścia pięć lat swego życia - bliźniaczki były od niego o cztery lata młodsze - lecz mimo to nie był pewien, czy nie potrafiła mówić w ogóle, czy nie chciało się jej rozmawiać, czy też wstydziła się zabierać głos, gdy był w pobliżu. Violet była niemal równie milcząca jak jej siostra, jednak w odróżnieniu od niej odzywała się, jeżeli zachodziła taka konieczność. Widocznie nie miała nic ważnego do zakomunikowania.

Stał przy lodowce, obserwując, jak pochylone nad błądym prawym ramieniem Verbiny dokonują zabiegów kosmetycznych, i pomyślał, że w swoich sadach mógł być niesprawdliwy. Inni mężczyźni na swój dziwaczny sposób mogli dostrzegać w nich coś atrakcyjnego. Choć konieczny dziewczyn wydawały mu się zbyt cienkie, ktoś inny mógłby uznać, że są preżne i podniecające, jak nogi tancerki czy ramiona akrobatki. Ich skóra była mlecznobiała, a piersi pełne. Ponieważ, na swoje szczęście, wolny był od jakichkolwiek zainteresowań seksem, nie czuł się powołany do oceny wyglądu siostr.

Zwyczaj nosiły na sobie tak niewiele, jak tylko było to możliwe. Tyle, by nie przekroczyć progu jego tolerancji i nie spowodować nakazu nałożenia na siebie dodatkowych ubrań. Zimą utrzymywały w domu wysoką temperaturę i najczęściej - tak jak teraz - ich stroje stanowiły bawełniane podkoszalki i krótkie szorty lub majtki. Chodziły boso i miały gołe ręce i nogi. Niska temperatura utrzymywała się jedynie w należym do niego pokoju matki, gdy z pozakrecal w nim grzejniki. Gdyby nie jego obecność, wymagająca od nich pewnej dozy skromności, spacerowałyby po domu zupełnie nago.

Powoli, leniwie Violet pilowała paznokiec na kciuku Verbiny. Obie przyglądały się tej czynności z tak napiętą uwagą, jakby w sierpowatej linii kształtowanej pilnikiem chciały odczytać swoją przyszłość.

Candy obejrzał zawartość lodówki. Wyjął kawałek konserwowej szynki, paczkę szwajcarskiego sera, musztardę, pikle i karton z mlekiem. W jednej z szafek znalazł chleb, po czym zasiadł na drewnianym krześle przy pozłokym ze starości stole.

Stół, krzesła i szafki były kiedyś nieskazitelnie białe, ale od śmierci matki nie odnawiano ich. Teraz były żółtawobiałe, z szarymi cieniami na złączach i w zakamarkach, spatynowane siateczką pełniec. Tapeta w strotki była poplamiona i gdzie indziej odstawała, zaś perkalowe zasłony zwisaly nieruchomo, obciążone grubą warstwą brudu i kurzu.

Candy przygotował, a następnie szybko pochłonił dwie grube kanapki z szynką i serem, popijając je mlekiem prosto z kartonu.

Nagle wszyskie dwadzieścia sześć kotów, rozciągniętych leniwie pomiędzy bliźniaczkami, poderwało się równocześnie i ruszyło ku wycytem w dole dużych, kuchennych drzwi drzewczkom dla zwierząt, opuszczając kuchnię uporządkowaną kolumna. Najwidoczniej nadeszła pora siusiania. Violet i Verbina nie chciały, żeby w domu śmierdziało smietnikiem.

Candy zamknął oczy i pociągnął długi łyk mleka. Wolalby, aby miało temperaturę pokojową lub nawet było nieco podgrzane. Przypominało smakiem krew, choć nie było w nim owej przyjemnej ostrości. Gdyby nie było tak zimne, podobienstwo byłoby większe.

Po paru minutach koty wrocily. Verbina leżała teraz na plecach, z głową wsparta o poduszkę. Miała zamknięte oczy, a jej usta poruszały się, jakby wypowiadała bezdźwięcznie jakies słowa. Wyciągnęła drugie ramie, którym natychmiast zajęła się siostra, starannie obrabiając paznokcie także tej ręki. Długie nogi rozrzuciła szeroko, także Candy mógł zajrzeć pomiędzy gładkie uda. Miała na sobie tylko bawełniany podkoszulek i cienkie majtki o barwie brzoskwini, które raczej podkreślały niż ukrywały istote jej kobiecości. Koty w milczeniu podeszły do niej i pokryły ciało dziewczyny żywym kobiercem, bardziej niż ona sama troszcząc się o zasady przyzwoitości.

Oskarżycielsko wpatrywały się w Candy'ego, jakby świadome faktu, że się gapił.

Spuścił oczy i zaczął studiować rozrzucone na stole okruchy.

-Był tutaj Frankie - powiedziała Violet.

Początkowo bardziej zdumiało go to, że się odezwała, niż treść jej słów. Potem jednak sens trzech wyrazów wstrząsnął nim jak uderzenie drewnianego młota w blaszany gong. Poderwał się gwałtownie, wyracając krzesło, na którym siedział.

-Był tutaj? W domu?

Koty, podobnie jak Verbina, nie drgnęły na ogłos padającego krzesła. Nadal leżały pograżone w sennej obojętności.

-Na zewnątrz - odparła Violet, wciąż siedząc na podłodze obok rozciągniętej bezwładnie siostry i ani na chwilę nie przerywając pilowania jej paznokci. Miała niski głos, niemal przechodzący w szept. - Obserwował dom zza wyłotłu.

Candy zapałrzył się w noc za oknem.

-Kiedy?

-Okolo czwartej.

-Dlaczego mnie nie zbudzilas?

-Byl bardzo krotko. Nigdy nie zjawia sie na dluzej. Minuta, dwie i zaraz znika. Boi sie.

-Widzialas go?

-Wiedzialam, ze tam byl.

-Nie probowalas go zatrzymac?

-W jaki sposob? - zapytala z irytacja, ktora w niczym nie pomniejszyła kuszacego brzmienia jej glosu. - Poslalam na niego koty.

-Pokaleczyly go?

-Troche. Lekko. Ale zabil Samante.

-Kogo?

-Nasza mala, biedna kotke. Samante.

Candy nie znal imion poszczegolnych kotow. Zawsze wydawalo mu sie, ze nie ma do czynienia ze stadem zwierzat, lecz z jedna istota, wyposazona we wspolne miesnie i mysl.

-Zabil Samante. Rozbil jej glowe o jeden z kamiennych filarow przy koncu chodnika. - Nareszcie Violet oderwala wzrok od dloni siostry. Jej oczy staly sie bladoniebieskie, lodowate. - Chce, zeby s go zranil, Candy. Chce, zeby s zrobil z nim to samo, co on zrobil Samancie. Nic mnie nie obchodzi, ze jest naszym bratem.

-On juz nie jest naszym bratem, nie po tym, co zrobil - rzucil z wsciekloscia Candy.

-Chce, zeby s go rozgniotl, Candy. Rozbij mu glowe, rozkrusz czaszke tak, zeby wylal sie z niej mozg.

Cichy glos przyciagal jego uwage z nieodparta sila. Czasami, w chwilach takich jakta, wydawalo mu sie, ze glos Violet nie tylko dociera do jego uszu, ale wslizguje sie do wnetrza glowy i jak mgla delikatnie spowija mozg.

-Chce, zeby s go deptal, walil i rozdzielal, az zmieni sie w kupa potrzaskanych kosci i porozrywanych flakow. I chce jeszcze, zeby s wyrwal mu oczy. Musi zalowac, ze skrzywdzil Samante.

Candy'ego przeszedl dreszcz.

-Jesli dostane go w swoje rece, zabije bez gadania, ale nie z powodu tego, co zrobil z twoim kotem. Zabije go za to, co zrobil naszej matce. Nie pamietasz, co z nia zrobil? Jak mozesz myslec o pomszczeniu kota, skoro do tej pory nie odplacilismy mu za matke, choc minelo juz siedem dlugich lat?

Wygladala na zaskoczona. Odwrocila sie od niego i zamilkla.

Koty zesly z ciala lezacej Verbiny.

Violet polozyla sie na siostrze, tulac glowe do jej piersi. Ich nagie nogi splotly sie.

Czesciowo wyrwana ze stanu podobnego do transu, Verbina pogladzila jedwabiste wlosy siostry.

Koty powrocily i szczelnie okryly ciala blizniaczek, wciskajac sie w kazdy wolny zakamarek.

-Wiec Frank byl tutaj - powiedzial Candy glosno, lecz przede wszystkim do siebie, zaciskajac przy tym dlonie w poteczne piesci.

Wscieklosc narastala w nim, tak jak niewinne zawirowanie powietrza, zrodzone gdzie daleko na otwartym morzu, szybko przeradza sie w huragan. W tej chwili jednak nie stac go bylo na zlosc. Burza gwałtownych uczuc rozbudzila w nim bowiem ciemna zadze. Matka zaaprobujze zabicie Franka, bo Frank zdradzil rodzinie; jego smierc przyniesie rodzinie korzysc. Jezeli jednak Candy dopusci, aby zlosc na brata wybuchla niepohamowanym plomieniem wscieklosci, nie zdola wowczas odnalezc Franka, a poza tym bedzie musial kogos zabic, gdy z zadza stanie sie zbyt silna, by mogl nad nia zapanowac. A w Niebie matka bedzie sie za niego wstydzic. Odwroci od niego twarz i wyprze sie tego, ze kiedykolwiek dala mu zy cie.

Patrzac na sufit, w strone niewidocznego nieba, gdzie w palacu Boga zamieszkiwala jego matka, Candy powiedzial:

-Bede w porzadku. Nie strace panowania nad soba. Nie strace.

Odwrocil sie od siostr i kotow i wyszedl z domu, chcac sprawdzic, czy w poblizu zy woplotu lub przy filarze, gdzie zginela Samanta, nie pozostaly jakies slady Franka.

19

Bobby i Julie zjedli obiad u "Ozgiego" w Orange, a nastepnie przeniesli sie do przyleglego baru, wypelnionego gladkim, przyjemnym glosem Eddiego Daya. Grano przewaznie wspolczesne kawalki, ale trafialy sie rowniez melodie z lat piecdziesiaty ch i wczesnych szescdziesiaty ch. Nie byl to big-band, ale niektore wczesne rockandrolle mialy w sobie cos ze swinga. Mogli wiec potanczyc przy Dream Lover, rumbie, czy La Bamba, by potem przejsc do cza-czy i disco, w miare jak zmianom ulegal repertuar Eddiego. W sumie mieli calkiem niezla zabawe. Kiedy tylko istniala taka mozliwosc, po odwiedzinach u Thomasa w Cielo Vista, Julie szla na tance. Zaglebiona w muzyce, pograzona w rytmie, skapiona na tanecznych krokach potrafila wyrzucic z duszy wszystko - nawet poczucie winy i zal. Nic nie odprezalo jej tak, jak taniec. Bobby takze lubil tanczyc, zwlaszcza swinga. Przyciagniecie, obrot, zmiana miejsce, promenada, gleboki przechyl i jeszcze raz przyciagniecie, obrot, zmiana miejsce z polaczonymi dlonmi, powrot do pozycji wyjsciowej... Muzyka dzialala kojaxo, a taniec napelnial serce radoscia i lagodzil bol duszy.

Podczas przerwy Bobby i Julie saczyli piwo przy stoliku w poblizu parkietu. Rozmawiali o wszystkim z wyjatkiem Thomasa i w koncu przeszli do tematyki zwiazanej z Marzeniem, rozwarzajac tym razem jak umeblowac nadmorski bungalow, jesli kiedy s uda im sie go kupic. Choc nie zamierzali wydawac fortuny na wyposazenie, to byli zgodni co do tego, ze pozwola sobie na dwa przedmioty z ery swinga: byc moze przyozdobiony brazem i marmurem sekretarzyk Art Deco projektu Emile-Jacquesa Ruhlmana i obowiazkowo szafe grajaca Wurlitzera.

-Model 950 - powiedziala Julie. - Byl przepielny. Libelle. Skaczace gazele na panelach od frontu.

-Wyprodukowano ich mniej niz cztery tysiace. To przez Hitlera. Wurlitzer przestawil sie na produkcje wojenna. Model 500 tez jest ladny, albo 700...

-Oba sa ladne, ale to nie 950.

-Za to nie sa tak drogie jak 950.

-Rachujesz grosze, gdy rozmawiamy o skonczonym pieknie?

-Wurlitzer 950 ma byc tym skonczonym pieknem? - zapytal.

-Wlasnie tak A czemu nie?

-Dla mnie ty jestes skonczona pieknoscia.

-To mile - odparla. - Ale nadal chce te dziewiecset piecdziesiatke.

-A czy dla ciebie ja nie jestem skonczonym pieknem? - Szybko zamrugal oczami.

-Jestes dla mnie trudnym czlowiekiem, który nie chce mi pozwolic na Wurlitzera 950 - odparla, wlaczajac sie do zabawy.

-A co myslisz o Seeburgu? Albo o Packardzie Plamor? No dobra. Rockola?

-Rockola zrobila pare niezlych pudelek - przyznala. - Kupimy jedno z nich i Wurlitzera 950.

-Szastasz naszymi pieniedzmi jak pijany marynarz.

-Urodzilam sie, by byc bogata, ale bocian sie pomylil i nie zanosl mnie do Rockefellerow.

-Nie chcialabys dostac tego bociana w swoje rece?

-Dopadlam go przed laty i przyrzadzilam na bozonarodzeniowy obiad. Smakowal doskonale, ale ja dalej wolalabym raczej byc Rockefellerowna.

-Szczesliwa? - spytal Bobby.

-Szalenie. I to nie za sprawa piwa. Nie wiem dlaczego, ale dawno nie czulam sie tak dobrze jak dzisiaj. Mysle, ze uda nam sie dostac to, czego chcemy, Bobby. Przejdziemy na wczesniejsza emeryture i bedziemy zyc dlugo i szczesliwie nad brzegiem morza.

W miare jak mowila, usmiech zamieral mu na twarzy. Zmarszczyl czolo.

-Co sie z toba dzieje, ponuraku?

-Nie.

-Nie zartuj. Przez caly dzien zachowujesz sie jakos dziwnie. Probowales to ukryc, ale widac, ze cos ci lezy na sercu.

Upil lyk piwa.

-No coz - odparl po chwili - ty masz przeczacie, ze wszystko bedzie dobrze, mnie natomiast nachodza zle mysl.

-Ciebie? Pana Bezchmurne Niebo? Nadal mial powazna mine.

-Moze na razie powinnas ograniczyc sie do pracy biurowej, wycofac sie z pierwszej linii.

-Dlaczego?

-Mam zle przeczacie.

-Jakie?

-Ze cie utrace.

-Tylko sprobuj.

20

Za pomoca niewidzialnej batuty wiatr dyrgowal chorem szepczacych w zywoptocie glosow. Geste krzewy eugenii tworzyly wzdluz trzech bokow duwakrowej posiadlosci wysoka na siedem stop sciane. Krzewy wyroslyby ponad dom, gdyby Candy nie przystrzygal ich pare razy w roku elektrycznym sekatorem. Otworzyl siegajaca mu do piersi furtke z kutego zelaza, osadzona miedzy para kamiennych filarow, i znalazl sie na wiejskiej zwirowce. Na lewo, na odcinku kilku mil wila sie posrod wzgorz dwupasmowa wstega asfaltu. Na prawo droga opadala w dol, w strone odleglego wybrzeza, mijajac domy zbudowane na dzialkach, ktorzych rozmiary, w miare zblizania sie ku morzu, wyznaczano coraz oszczedniej, by w samym miescie zmniejszyc je do dziesiatej czesci obszaru zajmowanego przez posiadlosc Pollardow. Opadajacy ku zachodowi lad pokrywaly duze skupiska swiatel, ktore po paru milach urywaly sie raptownie, jak gdyby napotkaly na zamykajaca dalsza droge czarna sciane. Tworzylo ja nocne niebo i mroczny bezmiar glebokiego, zimnego oceanu.

Candy przesuwal sie wzdluz wysokiego zywoplotu, dopoki nie wyrazil, ze znalazl miejsce, gdzie wczesniej stal Frank. Uniosl potezne rece tak, aby poruszane wiatrem liscie dotknely jego dloni, jakby drzace listowie moglo im przekazac resztki psychicznego osadu, pozostalego po krotkiej wizycie brata.

Nic.

Rozgarnawszy galezie popatrzylna dom, który noca wydawal sie wiekszy niz w rzeczy wistosci. Moza bylo pomyslec, ze ma osiemnascie czy dwadziescia pokoi, a nie, jak w rzeczy wistosci, dziesiec. Okna od frontu byly ciemne. Na bocznej scianie zolta, saczaca sie spoza brudnych, perkalowych zaslon poswiata rozjasniala okno w kuchni. Gdyby nie to pojedyncze swiatlo, dom moza by uznac za opuszczony. Zdobiace okap tandetne ornamente w stylu wiktorskim byly polamane i wykrzywione. Dach werandy zapadal sie, w balustradach brakowalo slupkow, a stopnie schodow byly wykoslawione. Nawet slabe swiatlo, rzucane przez wiszacy nisko sierp ksiiezycy, wystarczalo, by stwierdzic, ze dom nalezy gruntownie odmalowac: w wielu miejscach przesywitalo gole drewno, zas plaszczyny pokryte farba luzszyly sie lub przynajmniej utracily barwe, stajac sie przezrzyste niczym skora albinosa.

Candy probowal wczuc sie w myslenie Franka, w nadziei, ze pomoze mu to pojac, dlaczego Frank co jakis czas powracal. Frank bal sie Candy'ego i mial po temu powody. Bal sie takze swoich siostr oraz wszystkich zwiazanych z domem wspomnien. Na dobra sprawe powinien trzymac sie z daleka, a jednak co jakis czas zjawial sie tutaj w poszukiwaniu czegos, czego moze nawet on sam nie potrafil okreslic.

Candy, rozczarowany, puscil galezie i przeszedl wzdluz zywoplotu do furtki, gdzie zatrzymal sie najpierw przy jednym slupku, a pozniej przy drugim, szukajac miejsca, gdzie Frank startl sie z kotami i rozbil czaszke Samanty. Choc wiatr wyraźnie sie uspokoil, to i tak zdrazil wysuszczone plamiaca kamienie krew, a ciemnosci nie pozwalaly dojrzec niczego wyraźnie. A jednak Candy byl pewien, ze zdola okreslic miejsce zabojstwa. Dotykajac lekko slupka zezal wodzic dloni od gory do dolu po wszystkich czterech plaszczynach, zachowujac przy tym ostrozosc, jakby w obawie, ze w kazdej chwili moze poparzyć sobie rece. Lecz choc cierpliwie obmacywal chropowata powierzchnie kamienia i przesuwal palcami

wzdłuż wypełniających spoiny pasm zaprawy, nie osiągnął niczego. Uplynęło zbyt wiele czasu i nawet jego wyjątkowe talenty nie naprowadziły go na ślad aury brata.

Ruszył pospiesznie splekany, nierównym chodnikiem, z chłodu nocy z powrotem wracając do dusznego, za mocno ogrzanego domu. Skierował się do kuchni, gdzie na rozrzucanych w kacie kocach, w towarzystwie kotów siedziały jego siostry. Verbina zajmowała miejsce za plecami Violet. Z grzebieniem w jednej ręce i szczotka w drugiej była zajęta czesaniem jasnych jak len włosów siostry.

-Gdzie jest Samanta? - zapytał Candy.

Przechyliwszy lekko głowę Violet popatrzyła na niego z zakłopotaniem i odpowiedziała:

-Juz ci mowilam. Nie zyje.

-Gdzie jest ciało?

-Tutaj - Violet gestem szeroko rozłożonych rąk wskazała stłoczone wokół siebie koty.

-Który z nich? - nie dawał za wygraną Candy. Polowa zwierząt trwała w tak absolutnym bezruchu, że z powodem mogły być martwe.

-Wszystkie - wyjaśniła Violet. - Wszystkie są teraz Samanta. Tego właśnie Candy się obawiał. Za każdym razem, gdy jakiś kot zdychał, bliźniaczki ustawiały w krag resztkę stada, w środku umieszczały ciało i bezdźwięczna komenda zmuszały żywe istoty do pozarcia martwego stworzenia.

-Cholera - zaklął Candy.

-Samanta wciąż żyje. Jest teraz częścią nas. - Niski głos Violet zawsze przy pominal szept, tym razem był jednak bardziej niż zwykle senny. - Zaden z naszych kotów nie odchodzi od nas naprawdę. Czastki jego... lub jej... pozostają w każdym z nas... i stajemy się przez to silniejsi, silniejsi i bardziej czysti; zawsze razem, zawsze i na zawsze.

Candy nie pytał, czy siostry uczestniczyły w uczcie. Znal już odpowiedź. Violet oblizła kącik ust, jakby usiłowała przy pomnieć sobie jakiś smak; jej wilgotne wargi błyszczały. W chwili później Verbina także przeciągnęła językiem po wargach.

Czasami Candy'ego nachodziła myśl, że bliźniaczki należą do zupełnie innego niż on gatunku. Rzadko kiedy udawało mu się zgłębić ich uczucia czy zachowania. A kiedy wpatrywały się w niego - Verbina nieustannie milczała - ich twarze i oczy nie zdradzały w najmniejszej mierze rodziców w głowach myśli czy uczuć. Były równie tajemnicze, jakich ulubienicy.

Tylko niejasno zdawał sobie sprawę z wiewów łączących jego siostry z kotami. Podobnie jak różniczne talenty Candy'ego, był to dar ich błogosławionej matki, toteż nie kwestionował jego słuszności ani konsekwencji.

Mimo to miał ochotę uderzyć Violet za to, że nie zaczęła ze zwałkami na niego. Wiedziała, że Frank ich dotykał, że w związku z tym Candy mogły się nim posłużyć, a mimo to nie poczęła, aż się obudzi, ani nie obudziła go wcześniej. Miał ochotę zmiażdżyć ją, ale była jego siostrą, jemu zaś nie wolno było krzywdzić siostr. Musiał się o nie troszczyć, zapewniać opiekę. Matka patrzyła.

-A części nie zjedzone? - zapytał.

Violet gestem wskazała mu drzwi kuchni.

Zapalił światło na zewnątrz i wszedł na leżącą z tyłu domu werandę. Na nie malowanych deskach podłogi wałaly się drobne koci i kawalki kregoslupa, przywodzące na myśl niesamowite kostki do gry. Werandę zbudowano w zalamaniu muru, toteż miała otwarte tylko dwa boki, podczas gdy pozostałe tworzyły ściany domu. W miejscu, gdzie się zbiegały, Candy natrafił na ławalek ogona Samanty i skrawek futra, wcisnięte tam przez podmuch nocnego wiatru. Na najwyższym stopniu schodów leżała w poł zmiądzona czaszka. Podniósł ją i położył na nie strzyżonym trawniku.

Wiatr, który poznym popołudniem zaczął tracić na sile, teraz ucichł zupełnie. Zimne powietrze przeniosłoby najłżejszy dźwięk na dużą odległość, jednakże noc milczała.

Zwyczaj, dotknawszy przedmiotu, Candy potrafił ujrzeć, kto miał go w rękach przed nim. Czasami udawało mu się nawet zobaczyć, dokąd taki człowiek odszedł po jego odłożeniu, a gdy podał jego śladem, zawsze znajdował go tam, dokąd zaprowadził go dar jasnowidzenia. Frank zabił kota i Candy miał nadzieję, że kontakt ze szczątkami zwierzęcia wywoła wewnętrzną wizję, dzięki której trafi na trop brata.

Czaszka Samanty została dokładnie oczyszczona z mięsa, opróżniono również jej wnętrze. Ogryzioną, wylizaną do czysta, a następnie wysuszoną przez wiatr, mogłaby uchodzić za wykopaliśko z dawnych epok. Umysł Candy'ego wypełniły obrazy nie Franka, lecz innych kotów oraz Verbiny i Violet, toteż po chwili odrzucił czaszkę z niesmakiem.

Rozczarowanie spotęgowało jego gniew. Czuli narastająca żądzę. Nie mogli dopuścić, by się w pełni rozwinęła... z drugiej jednak strony opieranie się jej było nieskonczenie trudniejsze niż walka z urokiem kobiet czy innymi grzechami. Nienawidził Franka. Nienawidził go tak bardzo, tak głęboko, ani na chwilę nie zapominając o tym w ciągu ostatnich siedmiu lat, że teraz nie mógł pogodzić się z myślą, iż przepadł okazje, by go zniszczyć.

Zadza...

Padł na kolana posrodkiem zachwaszczonego trawnika. Dłonie zwinął w pięści, przygarbił ramiona i zacisnął zęby, usiłując zamienić się w skałę, w potężną masę, która nawet o cal nie przesunie się pod wpływem nagłej potrzeby, ani o włos nie drgnie, gdy do głosu dojdzie straszliwe pragnienie, nienasycony głód, niepokromiona żądzę. Modlił się, by matka dodała mu siły. Ponownie zerwał się wiatr i Candy był pewien, że zesłał go diabeł, pragnąc przywieść go na pokuszenie. Rzucił się na ziemię, wbił palce w miękką glebę, po czym zaczął powtarzać święte imię matki: Roselle. Szeptał je gorączkowo raz po raz, prosto w trawę i pył, zdecydowany zdławić kielkującą w jego sercu ciemną żądzę. Potem zapłakał. A jeszcze później podniósł się z ziemi i ruszył na łowy.

21

Frank poszedł do kina i wysiedział do końca filmu, choć nie był w stanie skoncentrować się na fabule. Zjadł obiad w "El Torito", lecz smak potraw zupełnie do niego nie docierał. Wpychał w siebie enchiladas z ryżem tak, jakby dorzucał opał do pieca. Kilka godzin jeździł bez celu tam i z powrotem przez środkowe i południowe rejony Okręgu Orange tylko dlatego, że będąc w ruchu czuł się bezpieczniej. Na koniec wrócił do motelu. Cały czas usiłował przebiec otaczająca umysł ciemna ściana, za którą skryło się całe jego dotychczasowe życie. Pracowicie poszukiwał najdrobniejszego choćby wylotu, pozwalającego pochwyć przeblysk pamięci. Był pewien, że jeśli tylko uda mu się natrafić na jedną jedyną rysę, zdola rozbić cały gmach amnezji. Niestety, bariera okazała się gładką i mocną.

Kiedy zgasił światło, nie mógł zasnąć.

Wiatr Santa Ana stracił na sile, nie mógł więc złożyć bezsenności na karb dobiegających z zewnątrz hałasów.

Choćby krwi na przescieradłach było rzeczywiście niewiele i choć zdążyła dawno wyschnąć, doszedł do wniosku, że to właśnie myśl o zakrwawionych przescieradłach spędza mu sen z powiek. Zapalił lampkę, sciągnął posciel i nastawił ogrzewanie na wyższą temperaturę, po czym ponownie położył się w ciemnościach na łożku, próbując zasnąć. Na próżno.

Powiedział sobie, że to amnezja - oraz wywołane przez nią poczucie samotności i odizolowania - jest przyczyną jego kłopotów. Choćby tkwilo w tym nieco prawdy, zdawał sobie sprawę, że usiłuje oszukać samego siebie.

Prawdziwym powodem bezsenności był strach. Strach przed tym, dokąd jeszcze mogą zaprowadzić go lunatyczne wedrowki. Strach w obliczu tego, co może uczynić. Strach przed tym, co znajdzie w dłoniach po przebudzeniu.

22

Derek spał. Na drugim łożku. I głośno chrapał. Thomas nie mógł spać. Wstał z łożka i podszedł do okna. Wyjrzał na zewnątrz. Księżyc zniknął. Ciemność była bardzo duża. Nie lubił nocy. Przerazała go. Lubił słońce i jasne kwiaty, zieloną trawę i błękitne niebo nad głową. Wydawało mu się wtedy, że ktoś przykrył świat ogromnym wiekiem, które wszystko utrzymuje na swoim miejscu. Nocą kolory zniknęły i świat stał się pusty, tak jakby ten ktoś unosił pokrywę i wpuszczał do środka dużo nicności. Rozglądając się wówczas po tej nicności czuło się, że samemu mogłoby się odpylnać jak kolory, unieść w górę i zniknąć z tego świata. A rano, kiedy wiatr wróci na swoje miejsce, nie byłby tutaj, tylko gdzieś indziej, i już

nigdy nie udaloby mu sie wrocic. Nigdy .

Dotknal szyby czubkami palcow. Szlo by lo zimne. Zalowal, ze nie mogl zasnac tej nocy. Zazwyczaj spal dobrze. Ale nie dzis.

Martwil sie o Julie. Zawsze troche sie o nia martwil. Brat powinien sie martwic. Ale tym razem zmartwienie nie bylo male. Bylo bardzo duze.

Wszystko zaczelo sie tego ranka. Smieszne uczucie. Nie smieszne cha-cha. Dziwnie smieszne. Bojaco smieszne. Uczucie mowilo, ze Julie spotka cos naprawde zlego. Thomas tak bardzo sie zdenerwowal. Probował ja ostrzec. Nadal ostrzezenie przez telewizj e. Kiedys tłumaczy li mu, ze obrazy, glosy i muzyka z telewizora sa przesy lane przez powietrze. Poczatkowo myslal, ze to klamstwo, ze zartuja sobie z jego glupoty, liczac, ze uwierzy we wszystko, co mu sie powie. Potem jednak Julie powiedziala, ze to prawda, wiec czasami probowal wysylac do niej swoje mysl i przez telewizj e. No bo jesli przez powietrze mozna przesy lac obrazy, muzyke i glosy, to przeslanie mysl i powinno byc zapelnie proste. Badz ostrozna, Julie - nadawal. Uwazaj, badz ostrozna, stanie sie cos zlego.

Najczesciej, kiedy mial odczucie zwiazane z jakas osoba, ta osoba byla Julie. Wiedzial, gdy byla na szczesliwa. Albo smutna. Gdy byla chora, zwijal sie czasami na lozku z reklam i przylozonymi do wlasnego brzucha. Zawsze wiedzial, kiedy przyjedzie do niego z wizyta.

Czul tez rozne rzeczy dotyczace Bobby'ego. Nie od pocztku. Kiedy Julie po raz pierwszy przyprawdzila ze soba Bobby'ego, Thomas niczego nie wyczul. Jednak czasem zaczal do niego docierac. Teraz odbieral Bobby'ego niemal tak samo dobrze jak Julie.

Potrafil rowniez wyczuc pare innych osob. Dereka. Albo Gine - inne mieszkajace w Domu dziecko z zespo em Downa. Tak samo pare kobiet z personelu pomocniczego i jedna pielegniarke. Ale nie czul ich nawet w polowie tak dobrze jak Bobby'ego czy Julie. Pomyslal sobie, ze im bardziej kogos kochal, tym lepiej czul - i znal - zwiazane z nim rzeczy .

Czasami, gdy Julie sie o niego martwila, Thomas bardzo chcial jej powiedziec, ze wie, co ona czuje, i ze wszystko jest w porztku. Poniewaz gdyby wiedziala, ze on to rozumie, poczulaby sie lepiej. Ale niestety, brakowalo mu slow. Nie potrafil wyjasnic jak ani dlaczego odbieral czasami odczucia innych ludzi. Nie probowal nawet rozmawiac z nimi na ten temat, bo bal sie, ze wyjdzie na glupca.

Byl glupi. Wiedzial o tym. Moze nie tak jak Derek, ktory byl bardzo mily i z ktorym dobrze sie mieszkal w jednym pokoju, ale ktory byl niezmiernie powolny. Oni czasami mowia "powolny" zamiast "glupi", zwlaszcza gdy rozmawiaja przy tobie. Julie nigdy tak nie robila. Bobby nigdy tak nie robil. Ale niektorzy ludzie mowili "powolny" i myslili, ze nie rozumial, o co im chodzi. Rozumial dobrze. Poslugiwali sie tez trudniejszymi wyrazami i tych nie rozumial ni w zab, ale "powolny" rozumial z pewnoscia. Nie chcial byc glupi, ale nie mial na to wplywu. Czasami wysylal przez telewizj e wiadomosc do Boga, prosil Go, zeby uleczyl te jego glupote, lecz albo Bog chcial na zawsze pozostawic go glupim - dlaczego mialoby tak byc? - albo wiadomosci do Boga nie docieraly.

Zreszta do Julie nie docieraly takze. Thomas zawsze wiedzial, czy jego wyslana przez telewizj e mysl dotarla do adresata. Do Julie nie przebil sie jeszcze nigdy .

Natomiast czasami udawalo mu sie nawiazac kontakt z Bobby m, co bylo smieszne. Nie smieszne cha-cha. Dziwnie smieszne. Interesujaco smieszne. Kiedy Thomas nadawal przez telewizj e do Julie, czasami wiadomosc odbieral Bobby. Jak chocby dzisiejszego ranka. Wyslal przez telewizj e ostrzezenie:

Stanie sie cos zlego, Julie. Nadciga cos naprawde zlego.

A Bobby je odebral. Moze dlatego, ze obaj kochali Julie. Thomas nie wiedzial. Nie potrafil wyjasnic. Ale tak sie wlasnie stalo. Ostrzezenie odebral Bobby .

Thomas stal przy oknie w pizamie, patrzyl w przerazajaca noc i wyczuwal czajace sie gdzies w mroku Cos Zlego. Czul je, tak jak czuje sie pulsowanie krwi czy lamanie w kosciach. Cos Zlego bylo daleko, nie zagrazalo jeszcze Julie, ale sie zblizalo.

Dzisiaj, podczas wizyty Julie, Thomas chcial jej opowiedziec o nadchodzacy m Cz yms Zly m, nie potrafil jednak znalezc sensownych slow i bal sie, ze to, co powie, wypadnie glupio. Julie i Bobby wiedzieli, ze jest glupi, jasne, ze wiedzieli, ale nienawidzil mowic przy nich glupstw, przypominal im, jak bardzo byl glupi. Za kazdy razem, gdy chcial zaczac opowiadac o Cz yms Zly m, zapominal wlasciwych slow. Mial je poukladane w glowie, linijka po linijce, gotowe do powiedzenia, ale potem mieszal mu sie nagle i nie potrafil ulozyc ich z powrotem. Nie mogl wiec ich powiedziec, bo brzmialy bezsensownie, i wygladaly bardzo, bardzo glupio.

Poza tym, gdyby go zapytali, nie umialby wytumaczyc, czym bylo Cos Zlego. Myslal, ze moze jest to osoba, ktora chce zrobic cos Julie, odbieral ja jednak inaczej niz zwykla osob e. Wyczuwal w niej jeszcze cos - cos, co sprawialo, ze robilo mu sie zimno, nie tylko po wierzchu, ale i od srodka, tak jakby stal na zimnym wietrze i rownoczesnie jadal lody .

Zadrzal.

Nie chcial odbierac tych brzydki ch uczuc, ale nie mogl tez tak po prostu pojsc do lozka i wyliczyc sie, poniewaz im wiecej dowie sie o odlegly m Cz yms Zly m, tym latwiej mu bedzie ostrzec Julie i Bobby'ego, kiedy ono nie bedzie juz tak daleko.

Za jego plecami Derek zamruczal przez sen.

W domu panowala cisza. Wszyscy glupi ludzie spali gleboko. Wszyscy z wyjatkiem Thomasa. Lubil czasami czuwać, gdy wszyscy inni spali. Wydawalo mu sie wtedy, ze jest sprytniejszy niz wszyscy pozostali razem wzeci, bo ogladal obrazy, ktorych oni nie widzieli, zdawal sobie sprawe z rzeczy, o ktorych oni nie mieli pojecia, bo pograzeni byli we snie.

Zapatrzy l sie w pustke nocy .

Przylozyl czolo do szyby .

Dla dobra Julie siegnal w glab nicosci. Daleko.

Otworzy l sie. Na odczucia. Na pulsowanie-mrowienie.

Uderzy lo w niego wielkie brzydkie-wstretne. Jak fala. Wyplynelo z nocy i uderzy lo go, odrzucilo od okna, tak ze potnawszy sie klapnal na podloge obok lozka. A potem nie czul juz Cz yms Zlego w ogole. Odeszlo, ale to, co odczul, bylo tak wielkie i brzydkie, ze z trudem mogl oddychac, a serce tlo klo mu sie w piersi jak oszalale. Natychmiast tez nadal przez telewizj e do Bobby'ego:

Biegnij, uciekaj, ratuj Julie, nadchodzi Cos Zlego, Cos Zlego, uciekaj, uciekaj!

23

Sen wypelniony byl muzyka Moonlight Serena, Glenna Millera, choc, jak to bywa we snach, melodia w nieuchwytny sposob roznila sie od oryginala. Bobby znalazl w domu, ktory sprawial wrazenie dobrze znanego, a zarazem byl calkowicie obcy. W glebi duszy wiedzial jednak, ze jest to nadmorski bungalow, w ktory m zamieszkuje z Julie po przejsci u na weczesna emeryture. Ponad ciemnym perskim dywanem wplynal do salonu. Widzial wygodne, wyscielane krzesla, duza stara sofe chesterfield z zaokraglonym oparciem i grubymi poduchami, sekretarzyk Ruhlmana z brazowymi panelami, lampe Art Deco i pelne ksiazek polki. Muzyka dobiegala z zewnatrz. Ruszyl wiec w tamta strone. Podobala mu sie lekkość, z jaka poruszal sie we snie. Przenikal przez zamknie te drzwi, przeplynal ponad szeroka weranda i po drewnianych schodach opadl w dol, nie wykonujac nogami najmniejszego ruchu. Z boku huczalo morze, rozswietlajac noc slaba poswiata pokrywajacej grzbiety fal fosforyzujacej piany. Na piasku pod palma, posrod rozsypanych dokola muszelek, stal Wurlitzer 950, plonacy zlotym i czerwonym swiatlem, polyskujacy libellami, przyozdobiony figurkami slaczacych gazeli i grajacego na flecie Pana. Mechanizm zmieniajacy plyty lsnil niczym czyste srebro, na talerzu wirowal duzy czarny krizek. Bobby'emu wydalo sie, ze Moonlight Serenade bedzie plynac bez konca, co zreszta zapelnie mu odpowiadalo, bo chyba nigdy dotad nie byl w tak dobrodusznym i spokojnym nastroju. Czul, ze Julie wyszla z domu tuz z nim i teraz czeka na mokry m piasku na samym skraju wody. Chciala z nim zatanczyc, odwrocil sie wiec i dostrzegl, jak stoi, egzoty cznie oswietlona plynacym z Wurlitzera blaskiem. Zrobil krok w jej strone. Biegnij, uciekaj, ratuj Julie, nadchodzi Cos Zlego, Cos Zlego, uciekaj, uciekaj!

Ocean o barwie indygo zachwial sie jak pod uderzeniem szkwalu, eksplodujac w noce niebo strzepakami piany .

Huraganowy wiatr przygial ku ziemi wysokie palmy .

Cos Zlego! Uciekaj! Uciekaj!

Świat zakłócał się pod stopami Bobby'ego, gdy niepewnym krokiem ruszył ku Julii. Otaczało ją skotlowane morze. Morze pragnęło jej, zamierzało ją schwytać; obdarzona wola woda, myślicie morze, którego złowroga świadomość przeblyskiwała metnie z głębin.

Cos Złego!

Melodia Glenna Millera przyspieszyła, odtwarzana dwukrotnie szybciej.

Cos Złego!

Miękkie, romantyczne światło Wurlitzera zapłonęło jasniej, klując w oczy, choć zarazem w najmniejszym stopniu nie rozpraszając mroku nocy. Promieniowało blaskiem, jaki mogłoby się wydobywać z otwartych wrot piekieł, potęgując zalegające wokół ciemności, które skutecznie strzeżły swych tajemnic przed nadnaturalnym światłem.

COS ZŁEGO! COS ZŁEGO!

Świat przechylił się jeszcze raz. Podskoczył i zawirował. Bobby brnął przez plażę ku Julii, która nie była w stanie zrobić najmniejszego ruchu. Wokół niej kipiało oleiste czarne morze.

COS ZŁEGO COS ZŁEGO COS ZŁEGO!

Z przeraźliwym hukiem rozplynął się kamień, niebo rozdarło się nad nimi, lecz z pejącego sklepienia nie spłynęła żadna błyskawica. Dookoła Bobby'ego wystrzeliły gejzery piasku. Wyglądająca jak atrament woda trysnęła ku gorze z otwierających się gwałtownie w plaży dziur.

Popatrzył na siebie. Bungalow zniknął. Ze wszystkich stron rozciągało się morze. Pod jego stopami tonęła plaża.

Krzycząc głośno, Julia skryła się pod wodą.

COS ZŁEGO COS ZŁEGO COS ZŁEGO COS ZŁEGO!

Nad Bobby'ym zawiła dwudziestopięcioletnia fala. Złamała się i pociągnęła go za sobą. Spróbował płynąć. Ciało na ramionach i dłoniach momentalnie pokryło się bąblami, po czym zaczęło odpadać, odsłaniając polyskujące białe kości. Nocne morze okazało się pełne kwasu. Jego głowa zanurzyła się pod powierzchnię. Z jękiem wyrwał się ku gorze, lecz z racie morze zdążyło już wyjść mu wargi. Czuli, jak działy oddzielają się od kości, a język w zetknięciu z gryzącą pianą przekształca w żelczalą papkę. Nawet wilgotne powietrze miało właściwości kwasu. Błyskawicznie wypalilo mu płuca, także gdy spróbował, nie zdołał zaczerpnąć tchu. Zaczął opadać na dno, młocąc wodę ramionami, które składały się już z samych kości. Porwała go cofająca się fala i pociągnęła ku wiecznej ciemności, rozkładowi, zapomnieniu.

COS ZŁEGO!

Bobby usiadł wyprostowany na łóżku. Krzyczał, lecz z jego krtani nie dobiegał żaden dźwięk. Kiedy dotarło do niego, że wszystko to tylko mu się przyśniło, zaniechał próby dobytcia z siebie głosu - i dopiero wtedy udało mu się wydać niski, złośliwy jęk.

Odrzucił posciel. Usiadł na brzegu łóżka z nogami spuszczoneymi na podłogę, obiema dłońmi trzymając się materaca, jakby chciał odzyskać równowagę po wędrowce przez rozkołysaną plażę i plywaniu wśród wzburzonych fal.

Z sufitu słaba poswiata błyszcząły zielone cyfry zegara: 2:43.

Przez chwilę nie słyszał niczego oprócz płynącego z głębi ciała, przy pomijającego loskot bebnów bicia własnego serca. Jednak po paru sekundach, gdy odzyskał kontakt ze światem zewnętrznym, dotarło do niego spokojny, rytmiczny oddech Julii. Był zaskoczony, że jej nie obudził. Widocznie podczas snu nie miał siły, by rzucić się na łóżko.

Przenikająca senny majak panika nie opuszczała go całkowicie. Ponownie poczuł narastający niepokój, zwłaszcza że pokój był równie ciemny, jak straszliwe morze, on zaś, nie chcąc obudzić Julii, nie zapalał nocnej lampki.

Gdy tylko doszedł do siebie na tyle, by stanąć na nogi, podniósł się i obszedł tonacę w absolutnych ciemnościach łóżka. Drzwi do łazienki znajdowały się po przeciwnej stronie sypialni, ale - podobnie jak podczas niezliczonych nocy w przeszłości - bez trudu odnalazł drogę, prowadzoną przez doświadczenie i instynkt.

Cicho zamknął za sobą drzwi i zapalił światło. Przez moment pływający z zarówki blask powstrzymał go przed spojrzeniem w lśniącą płaszczyznę zawieszoną nad podwojną umywalką lustra. Kiedy w końcu dojrzał swoje odbicie, przekonał się, że mięśnie twarzy nie zostały wyżarte. Ten sen był przerażająco wyrazisty, niepodobny do niczego, co śniło mu się wcześniej. Na swój sposób był chyba bardziej realny niż życie na jawie, pełen intensywnych kolorów i dźwięków, pulsujących w pograżonym we śnie umyśle z oszalamiającą żywiołnością. Choć wiedział już, że był to sen, nie potrafił wyzbyć się leku, czy przypadkiem koszmarny ocean nie pozostawił na nim śladów widocznych po przebudzeniu.

Drząc na całym ciele pochylił się nad umywalką. Odkrecił zimną wodę i oblał sobie twarz. Popatrzył na ociekające wodą odbicie, napotkał wpatrzone w siebie oczy i szeptem zapytał:

-Coż to było, u diabła?

24

Candy szukał zdobyczy. Wschodni skraj dwukrotnej posiadłości Pollardów przyłączył się do niewielkiego kanionu o stromych zboczach, zbudowanych przeważnie z wyschniętej, spekanej ziemi, poprzecinanej tu i owdzie pasmami szarego lub różowego łupku. Jedyną spletaną korzonkiem pustynnej roślinności - gestych krzaków i kepek niskiej, ostrej trawy - chroniły je przed erodującym działaniem deszczu. Ze ścian kanionu wyrastały gdzieś tam eukaliptusy i melaluki, zaś tam, gdzie jego dno było dostatecznie szerokie, melaluki i kalifornijskie deby zapuszczały głęboko korzenie po obu stronach wyschniętego koryta, które po każdej ulewie zamieniało się w rwący strumień.

Cichy i szybki pomimo swego wzrostu, Candy podążał kanionem na wschód, posuwając się w górę wzniesienia, dopóki nie napotkał odnogi zbyt wąskiej, by można ją było nazwać kanionem, po czym skręcił na połnoc. Teren wznosił się w dalszym ciągu, choć nie tak stromo jak poprzednio. Po obu stronach piętrzyły się pionowe ściany, miejscami oddalone od siebie zaledwie o parę stop. W tych przesmykach utknęły naniesione wiatrem kłęby kolczastych roślin, które drapali Candy'ego, gdy się przez nie przedzierał.

Na dzień rozpadliny bezsieżycowa noc była wyjątkowo ciemna, lecz on szedł bez wahania, z rzadka tylko przystając. Nie był obdarzony wyjątkowym wzrokiem, w ciemnościach widział tak jak inni, a jednak nawet w środku najczarniejszej nocy wiedział, jakie ma przed sobą przeszkody, wy czuwał zarys terenu tak dokładnie, że mógł pewnie posuwać się do przodu. Nie miał pojęcia, w jaki sposób funkcjonuje ten szorstki zmysł, nie musiał też nic robić, aby go uaktywnić. Odczuwał po prostu z niesamowitą wręcz ostrością swe związki z otoczeniem, w każdej chwili znalazł dokładnie swoje położenie, podobnie jak to bywa z linoskoczami, którzy z zawiazanymi oczami wędrują po linie rozpiętej ponad głowami i wypełniającego cyrkłum.

Był to jeszcze jeden dar jego matki.

Obdarowała wszystkie dzieci, lecz talenty Candy'ego przewyższały umiejętności Verbiny, Violet i Franka.

Waskim przejściem przedostał się do sąsiedniego kanionu i wtedy ponownie zawrócił na wschód. Szedł po skalistym podłożu coraz bardziej przyspieszając kroku, gdy z narastającą w nim żądzą. Wysoko w górę, nad skrajem kanionu, widac było rzadko rozsiane domy. Ich jasne okna były zbyt oddalone, by mogły oświetlić drogę, lecz i tak jakiś czas rzucał ku nim tęskne spojrzenie, ponieważ w swym wnętrzu kryły tak bardzo przez niego pozadana krew.

Bog wyposażył Candy'ego w pragnienie krwi, uczynił z niego drapieżcę, a zatem to Bog był odpowiedzialny za wszystkie uczynki Candy'ego. Matka wytłumaczyła mu to wszystko już dawno temu. Bog pragnął, by zabijając kierował się wyborem. Kiedy jednak Candy potrafił się pohamować, ostateczna wina spadała na Boga, gdyż to On dał mu te zadę, zapominając o zapewnieniu dostatecznie silnych hamulców.

Jak u wszystkich drapieżników, misja Candy'ego polegała na eliminowaniu ze stada osobników chorych i słabych. W jego przypadku chodziło o moralnie zdegenerowane jednostki ludzkiej społeczności złodziei, kłamców, oszustów, cudzołotników. Niestety, nie zawsze potrafił rozpoznać grzeszników w spotykanych ludziach. Było mu znacznie łatwiej wypełnić misję, gdy żyła matka, która bez trudu potrafiła wskazać zepsute dusze.

Dzisiaj ze wszy stkił sil postara sie ograniczyc swe mordercze instynkty do dzikich zwierzat. Zabijanie ludzi - zwlaszcza w poblizu domu - bylo mocno niebezpieczne; moglo zwrócic na niego uwage policji. Zaryzykowalby zabicie kogos w okolicy tylko wówczas, gdyby taka osoba zaszkodzila w jakis sposob rodzinie i trzeba bylo ja ukarac.

Gdyby nie udalo mu sie zaspokoic zadzy krwia zwierzat, musialby odejsc gdzieś dalej i zabijac ludzi. Przebywajaca w Niebie matka rozgniewalaby sie na niego, rozczarowana tym, ze nie umie nad soba zapanowac, ale Bog nie moglby go winic. Ostatecznie byl taki, jakim go stworzyl.

Pozostawisz daleko w tyle swiatla ostatniego domu, zatrzymal sie w chaszczach melaluki. Wiejace od strony wysokich wzgorz silne wiatry przeciagnely w ciagu dnia nad kanionami i rozposzly sie w glebi oceanu. Teraz powietrze trwalo w niemal zapelnym bezruchu. Zwisajacych z galezi melaluki dlugich lisci nie poruszalo nawet najlepsze tchnienie.

Jego wzrok dostosowal sie do ciemnosci. W przymionym blasku gwiazd srebrnymi liniami rysowaly sie kontury drzew, a kaskady lisci wywolaly zdumienie, ze otacza go cichy wodospad lub znieruchomiala w szklanej kuli zawierucha snieznych platkow. Dostrzegal nawet postrzezione krawedzie zwitkow kory odstajacej od pnia i konarow w nieustannym procesie luszczania, nadajacych tym drzewom szeregowe piekno.

W poblizu nie dostrzegl zadnej ofiary.

Do jego uszu nie dotarl chocby najlzejszy odglos przemyskajacej poszyciem zwierzyny.

A jednak wiedzial, ze wiele malych stworzen, wypelnionych goraca krwia, przyrazilo sie w okolicznych norach, stertach zeschylych lisci czy zalomach skal. Na sama mysl o tym poczul graniczny z obledem glod. Wyciagnal przed siebie rece z dlonmi zwróconymi na zewnatrz i szeroko rozstawionymi palcami. Blekitne swiatlo, lekko zabarwione szafirem, slabe jak blask kieszycy w nowiu, rozblyszlo pomiedzy nimi na nie dluzej niz sekunde. Liscie zdrzaly, zaszemrala zmierzwna trawa, po czym dno kanionu z powrotem ogarnely ciemnosci, a wraz z nimi powrocila cisza.

Jeszcze raz blekitne swiatlo wystrzelilo z jego dloni, jak gdyby ktos usunal zaslane ze znajdujacej sie w nich latarni. Tym razem jednak bylo dwukrotnie jasniejsze, mialo intensywniejszy odcien i plonelo okolo dwoch sekund. Zaszlescily liscie, rozklosaly sie zwisajace z drzew pnacza, w promieniu trzydziestu lub czterdziestu stop poruszily sie zdzbla trawy.

Jakies stworzenie, przerazone dzwinyami drganiami, pedzilo w strone Candy'ego. Kierujac sie niezwyklym zmyslem orientacji, nie majacym nic wspolnego ze wzrokiem, sluchem czy powonieniem, blyskawicznie siegnal w lewo i schwytil niewidoczne zwierzatko. Jego refleks byl rownie zdumiewajacy jak pozostale wlasciwosci. Zlupal polna mysz. Mysz na chwile zamarla z przerazenia, a potem zatrzetopala sie gwałtownie w dloni Candy'ego, nie miala jednak szans wyswobodzenia sie z pewnego chwytu.

Jego moc nie rozciagala sie na zywe istoty. Nie potrafil ogluszyc ofiary telekinetyczna energia, promieniujaca z otwartych dloni. Nie mogl jej przyciagnac czy przywolac do siebie. Udawalo mu sie jedyne wyploszyc ja z kryjowki. Umial rozrzascac drzewo albo cisnac w niebo gejerz piasku i kamieni, niezaleznie jednak od tego, jak bardzo by sie staral, nie byl w stanie poruszyc sila woli najmniejszego wloska na skorze myszy. Nie mial pojecia, sklad wzieldo sie to ograniczenie. Violet i Verbina, ktorych dary nawet w polowie nie dorowny waly jego umiejetnosciom, potrafily z kolei oddzialywac tylko na zywe stworzenia, zwlaszcza mniejsze, jak chocby koty. Oczywiscie, rosliny naginaly sie do woli Candy'ego, no i czasem owady, lecz wobec zwierzat wyposazonych w mozg, chocby nawet tak malych jak myszy, byl bezsilny.

Kleczal pod srebrnymi drzewami, a spowijajace go ciemnosci byly tak glebokie, ze z calej myszy widzial zaledwie slabo polyskujace oczy. Zblizyl wargi do uwiezionego w dloni gryzonia.

Mysz wydalacienki, przerazony pisk.

Odgryzl jej glowe, wyplul i przywarl ustami do rozszarpanej szyi. Krew miala slodki smak, lecz bylo jej bardzo niewiele.

Odrzucil martwe ciało i ponownie wzniosl ramiona, dlonie z szeroko rozstawionymi palcami zwracajac na zewnatrz. Tym razem szafirowo-blekitny rozblyszki mial intensywnosc elektrycznego swiatla. Choc zjawisko trwalo nie dluzej niz poprzecnie, przynioslo wielokrotnie silniejszy efekt. W pochyle podloze kanionu jedna po drugiej uderzilo szesc fal wibracji, oddzielonych od siebie ulamkami sekund. W wysokie drzewa zaklosaly sie, setki zwisajacych pnaczy ze swistem przeciegiem powietrze, a liscie zdrzaly gwałtownie, wydujac przy tym odglos przyominajacy brzezzenie roju pszczol. Zwir i mniejsze kamienie unosily sie ponad powierzchnia gruntu, przy wtorce grzechocacych o siebie poluzowanych ch odlamkow skal. Zdzbla trawy wyprostowaly sie i szywno sterczaly ku gorze, niczym wlosy na glowie przestraszonego czlowieka, zas kilka wyrywanych grudek ziem i pomkelo w noc, pociagajac za soba strumien zeschylych lisci, tak jakby nagle dostaly sie w podmuch silnego wiatru. Lecz spokoju nocy nie zalocalo najlepsze tchnienie - jedyным zrodlem zamieszania byl krotkotrwaly blysk szafirowego swiatla i towarzyszące mu potezne drganiam.

Dzkie zwierzeta w poplochu opuszczaly swoje kryjowki. Czesc z nich rzucila sie w jego strone, obierajac droge w glab kanionu. Juz dawno temu przekonal sie, ze zwierzeta nie utozsamialy jego zapachu z wonia czlowieka. Rownie dobrze mogly pobiec ku niemu, jak obracac przeciwny kierunek ucieczki. Wynikalo z tego, ze albo nie potrafily go wykryc... albo wietrzyly w nim cos dzikiego, cos zblzonego bardziej do nich samych niz do istoty ludzkiej, a ogarniete panika nie uswiadamialy sobie, ze maja do czynienia z drapieznikiem.

Dostrzegal je, w najlzejszym wypadku, jako bezszaltalne ciemne plamy, przemyskajace obok niego na podobienstwo rzucanych przez wirujaca lampe cieni, jednak dodatkowo wyuczal je dzieki swemu niezwyklemu zmyslowi. W poblizu przebieglo kilka kojotow, a o jego nogi otarl sie zdezorientowany szop. Pozostawil je w spokoju, bo chcial uniknac podrapania i mocnych ukaszten. W zasiegu rek dostrzegl tez kiladziesiąt myszy, tym razem jednak pragnal czegos wiekszego, bardziej wyplnionego krwia.

Siegnal po stworzenie, ktore wydalac mu sie wiewiorka. Chybil, lecz w chwile pozniej sciskal juz w dloni zadnie lapy krolika. Zwierze zaskrzeczalo. Jakos zalale tluklo przednimi lapami, az zlupal w koncu i za nie. Kroliknie tylko byl unieruchomiony, lecz takze sparalizowany strachem.

Zblizyl go do twarzy. Futro pachnialo wiatrem i piznem. W czerwonych oczach plonelo przerazenie. Slyszal trzopotanie serca.

Przegryzl mu gardlo. Futro, skora i miesnie stawialy opor, ale krew poplynela.

Krolik wierzgnal niemrawo, jakby nie probowal uciec, lecz dawal do zrozumienia, ze pogodzil sie juz z losem. Jego cialem przebieglo wyrazenie wyczulwalne, powolne drzenie, ktorym zwierze zdawalo sie witac smierc. W ciagu wielu lat Candy obserwowal podobna reakcje u mnostwa malych stworzen, szczegolnie u krolikow, i zawsze na ten widok przenikal go dreszcz upojnego uczucia potegi, ktore sprawialo, ze czul sie rowny lisom i wilkom.

Drzenie ustalac krolik zwisl bezwladnie w jego dloni. Choc jeszcze zyl, uswiadamiyal sobie nadchodzaca smierc, totez zapadal w rodzaj transu, w ktorym zapewne nie odczuwal bolu. Najwidoczniej byla to laska, ktora Bog obdarzyl wszystkie male istoty.

Candy ponownie wbil zeby w gardlo krolika, tym razem mocniej zaciskajac szczeki. Po chwili siegnal jeszcze glebiej, a wówczas ze zwierzecia uszlo zycie wraz z krwia, przeplywajaca do spragnionych ust.

W oddali, w innym kanionie, zawyl kojot. Odpowiedzialy mu glosy reszty stada. Chor niesamowitych skwytow podnosil sie i opadal, jakby kojoty byly swiadome, ze tej nocy nie sa jedynymi lowcami, jakby docierala do nich won swiezozabitej zwierzyny.

Ukonczywszy posilek, Candy odrzucil daleko oprozniiony z krwi zewlok. Pragnienie wciaz go dreczilo. Zanim je ugasi, bedzie musial rozszarpac gardla jeszcze wielu krolikom czy wiewiorkom.

Wyprostowal sie i ruszyl w gore kanionu, gdzie zwierzeta nie byly wystraszone wcześniejsza manifestacja jego mocy i wciaz jeszcze kryly sie po norach, czekajac, az je schwyta. Noc byla gleboka i szcudra.

25

Byc moze ogarnal ja zwykly smutek poniedzialkowego poranka. Moze ten nastrój naszedl ja pod wplywem posinialego nieba, niesacego obietnice deszczu. A moze byla spieta i podmionowana po gwałtownych zajsciach w Decodyne, od ktorych minely zaledwie cztery dni i ktore ciagle jeszcze miala swiezio w pamieci. Tak czy inaczej, Julie nie chciala przyjmowac sprawy Franka Pollarda. Prawde mowiac, nie chciala zadnej nowej sprawy. Realizowali obecnie kilka stalych kontraktow na ochrone firm, z ktorymi w spolupracowali od lat, i Julie wolalaby ograniczyc sie do tych spokojnych, dobrze znanych zajec. W swojej praktyce mieli najczesciej do czynienia z zadaniami i rownie niebezpiecznymi, co pojscie do supermarktu po kartonik mleka, jednakze ryzyko bylo nieodlacznym elementem ich pracy, a kazda nowa sprawa stanowila pod tym wzgledem niewiadoma. Gdyby w ten poniedzialkowy poranek w ich biurze zjawila sie watla staruszka, proszac o pomoc w odnalezieniu zaginionego kota, Julie potrakowalaby ja prawdopodobnie jako zagrozenie nie mniejsze od wymachujacego siekiera psychopaty. Byla zdenerwowana. Przeciez gdyby w ubieglym tygodniu mieli mniej szczescia, Bobby nie zylby od czterech dni. Siedzac za masywnym biurkiem z laminatu i metalu, z lokciami zlonymi na zielonym pulpicie, Julie wychylila sie do przodu i uwaznie popatrzyla na Pollarda. Unikal jej wzroku i to wzmglo podejrziwosc dziewczyny, pomimo niegroznego - wręcz sympatycznego - wygladu interesanta.

Wygladal tak, ze powinien nosic imie ktoregos z wystepujacych w Vegas komikow - Shecky, Buddy albo cos w tym rodzaju. Mial okolo trzydziestu lat, piec stop i dziesiec cali wzrostu i jakies sto osiemdziesiąt funtow wagi, czyli - w jego wypadku - o trzydziestu funtow za duzo. Tym niemniej z twarza taka jakta mogl zrobic kariere w komedii. Nie liczac bowiem kilku dzwinych, prawie zabliznionych ch zadrapan, jego geba wygladala sympatycznie: otwarta, uprzeczna, wystarzczajaco zaokrąglona, w robic wrazenie wesolej, z doleczkami na policzkach, ktore barwil silny rumieniec, jakby wieksza czesc zycia spedzil stojac na arkyczym wietrze. Nos takze byl zachwieniony, lecz najwyrazniej nie od nadmiernego zainteresowania trunkami, a z powodu kilkakrotnych zlaman. Jego powierzchnosc mogla budzic rozbawienie, jednakze nie wygladal na zbira.

Ze zwieszonymi ramionami siedział na jednym z dwóch krzeseł ze skóry i chromowanego metalu ustawionych przed biurkiem Julie. Miał miękki, przyjemny, niemal śpiewny głos.

-Potrzebuje pomocy. Nie wiem, gdzie jeszcze mogłby się o nią zwrócić.

Chociaż wyglądał zabawnie, z jego zachowania przebijało przygnębienie. W głosie słychać było rozpacz i zniechęcenie. Co jakiś czas przeciągał dłoń po twarzy, jak gdyby próbował zerwać niewidzialną pajeczynę, a potem przyglądał się jej uważnie, za każdym razem zdziwiony, że okazała się pusta.

Grzbiety obu dłoni również nosiły ślady zadrapań. Niektóre z nich były nieco spuchnięte i zaognione.

Choc mowiac szczerze - dodal po chwili - szukanie pomocy u prywatnych detektywow wydaje się śmieszne, jakby to nie było prawdziwe życie, tylko film w telewizji.

-Meczy mnie zgaga, więc jednak to jest prawdziwe życie - odezwał się Bobby.

Stał przy dużym oknie, z którego, z wysokości szóstego piętra, rozciągał się widok na zamglone morze i pobliskie zabudowania Fashion Island, handlowego centrum Newport Beach, przylegającego do wiozowca, gdzie spółka Dakota and Dakota wynajmowała siedmiopokojowe biuro. Odwrócił się tyłem do okna, przysiadł na parapecie i wetknął ręce w kieszenie zamskiej marynarki.

-Telewizyjni detektywi nigdy nie mają zgagi, łupieżu czy kataru.

-Panie Pollard - wtraciła Julie - jestem pewna, że pan Karaghiosis wyjaśnił panu, że ściśle biorąc, nie jesteśmy prywatnymi detektywami.

-Tak

-Jesteśmy konsultantami do spraw bezpieczeństwa. Przede wszystkim współpracujemy z korporacjami i instytucjami prywatnymi. Mamy jedenastu pracowników, fachowców z wieloletnim stażem pracy, co wyraźnie odbiega od fantastyki czy historii z udziałem samotnego detektywa, które pokazują w telewizji. Nie śledzimy żon, aby sprawdzić, czy są wierne i nie zajmujemy się sprawami rozwodowymi ani tym wszystkim, z czym ludzie najczęściej przychodzą do prywatnych detektywów.

-Pan Karaghiosis wszystko mi wytłumaczył - odparł Pollard, wpatrując się w zacisnięte na udach dłonie.

Ze stojącej na lewo od biurka sofy dobiegł głos Clinta Karaghiosisa.

-Frank opowiedział mi swoją historię i jestem przekonany, że powinnicie usłyszeć, co go do nas sprowadza.

Julie spostrzegła, że Clint użył imienia potencjalnego klienta, co mu się nie zdarzyło w ciągu sześciu lat pracy w Dakota and Dakota. Clint był człowiekiem o mocnej budowie ciała - pięć stop i osiem cali wzrostu, sto sześćdziesiąt funtów żywej wagi. Można by pomyśleć, że stworzono go z odłamków granitu, ciosów marmuru, krzemieni, łupków i żelaza, które jakiś alchemik za sprawą swej sztuki przemienił w żywe ciało. Jego szeroka twarz, choć całkiem miła, również wyglądała jakby ją wykuto z jednej skalnej bryły. Ktoś, kto chciałby się w niej doszukać śladów słabości, mógłby jedynie powiedzieć, że niektóre rysy znaczący się słabiej od pozostałych. Za kamienną posturą kryła się równie niewzruszona osobowość, spokojna i solidna. Bardzo niewielu ludzi robiło na Clincie jakiegokolwiek wrażenie, jeszcze mniejszej ich liczbie udawało się przebiec pokłady rezerwy i uzyskać coś więcej niż grzeczną, rzeczową odpowiedź. Posługując się imieniem klienta, dawał im delikatnie do zrozumienia, że darzy Pollarda sympatią i uznaje za prawdziwe wszystko, co człowiek ten ma do powiedzenia.

-Jeżeli Clint uważa, że to coś dla nas, nie ma się nad czym zastanawiać - powiedział Bobby. - Na czym polega twój problem, Frank?

Julie nie była zaskoczona faktem, że Bobby posługuje się imieniem dopiero co poznanego człowieka. Bobby był przychylnie nastawiony do wszystkich ludzi, przynajmniej dopóki nie dowiedli, że nie są tego warte. Aby jednak do tego doszło, ktoś musiałby tłuc go w kark, śmiejąc się przy tym złośliwie. Dopiero wówczas zacząłby się zastanawiać, czy przypadkiem nie powinien przestać tego kogoś lubić. Czasami miała wrażenie, że wyszła za mąż za wielkiego szczeniaka, udającego człowieka.

Nim Pollard zdążył otworzyć usta, ponownie głos zabrala Julie.

-Na początek musi pan wiedzieć jedno. Jeżeli decydujemy się przyjąć pana sprawę - podkreśliam w tym momencie słowo "jeżeli" - nie należy do najtańszych.

-To żaden problem - odparł Pollard. Podniósł z podłogi skorzana torbę podróżną i umieścił ją sobie na kolanach. Rozpiął zamek, po czym z jej wnętrza wyciągnął kilka paczek banknotów, które następnie położył na biurku. Dwudziestki i setki.

Gdy Julie oglądała pieniądze, Bobby oderwał się od parapetu i podszedł do Pollarda. Zajrzał mu przez ramię do środka torby.

-Jest wypchana po brzegi - oznajmił.

-Sto czterdzieści tysięcy dolarów - dodał Pollard.

Pobieżne oględziny potwierdziły, że pieniądze leżące na biurku są prawdziwe. Julie odsunęła je na bok i zapytała:

-Panie Pollard, czy zawsze nosi pan ze sobą tyle pieniędzy?

-Nie wiem. - Nie wie pan?

Nie wiem - powtórzył zalotnym tonem.

-On naprawdę nie wie - wtracił Clint. - Wysłuchajcie go do końca.

Głosem opanowanym, choć nabrzmiałym emocją, Pollard powiedział:

-Musicie mi pomóc dowiedzieć się, dokąd wychodzę w nocy. Co, na łitosć boską, robie w czasie snu?

-Hej, to brzmi interesująco - zawołał Bobby, przysiadając na rogu biurka Julie.

Chłopcy entuzjazm Bobby'ego zdenerwował Julie jeszcze bardziej. W takim stanie gotów był podjąć zobowiązania wobec Pollarda, zanim zdolała się dowiedzieć, czy mądrze robia przyjmując jego sprawę. Poza tym nie lubiła, gdy siedział na jej biurku. Wyglądało to mało profesjonalnie i obawiała się, że potencjalny klient może to odebrać jako świadectwo ich amatorszczyzny.

Z sofy odezwał się Clint:

-Mam nagrywać?

-Koniecznie - powiedział Bobby.

Clint trzymał w dłoniach zasilany bateriami magnetofon kasetowy. Trzasnął przełącznikiem i ustawił go na stoliku do kawy, tak aby wbudowany w korpus mikrofon zwrócony był w stronę Pollarda, Julie i Bobby'ego.

Mezzy zna o krągłej, nieco pucolowatej twarzy przy patrywał im się z uwagą. Sine obwódki wokół oczu, przekrwione białka i bladosc warg świadczyły - wbrew pozorom świadectwom dobrego samopoczucia - o nie najlepszym zdrowiu. Przez usta przemknął mu niesmiały uśmiech. Przez moment spoglądał Julie prosto w oczy, po czym z powrotem zapatrzył się w swoje dłonie. Był wystraszony, załamany, budził współczucie. Wbrew sobie Julie poczuła do niego sympatię.

Gdy Pollard zaczął mówić, Julie westchnęła i opadła na oparcie krzesła. W dwie minuty później wychylna do przodu w napięciu wsłuchiwała się w jego miękki głos. Nie chciała ulec fascynacji, lecz nie potrafiła temu zapobiec. Opowiadanie wciągnęło nawet flegmatycznego Clinta Karaghiosisa, który wsłuchiwał je po raz drugi.

Jesli Pollard nie był kłamcą lub bredzaczem szalencem - a niewykluczone, że był jednym i drugim - to uczestniczył w zdarzeniach o niemal nadprzyrodzonej naturze. Julie nie wierzyła w zjawiska nadprzyrodzone. Probowała zachować sceptycyzm, lecz sposób bycia Pollarda i jego wiara w to, co mówi, wbrew woli przekonywały ją.

Bobby zaczął pokrzykiwać ze zdumienia i walić dłoń w biurko za każdym razem, gdy historia przybierała nieoczekiwany obrót. Kiedy klient - nie: Pollard, a nie "klient"; jeszcze nie był ich klientem; a więc Pollard - kiedy Pollard opowiedział o swym przebudzeniu w motelu w czwartek po południu z wymazanymi krwią reklamami, Bobby nie wytrzymał.

-Bierzemy te sprawe! - zawołał.

-Bobby, zaczekaj - zaproponowała Julie. - Nie usłyszeliśmy jeszcze wszystkiego, z czym przyszedł do nas pan Pollard. Nie powinniśmy...

-Tak, Frank - powiedział Bobby. - Co, u diabła, było dalej? Julie nie dawała za wygraną.

-Chodzi mi o to, że musimy usłyszeć całą historię, zanim będziemy w stanie stwierdzić, czy w ogóle potrafimy panu pomóc.

-Och, na pewno potrafimy pomóc. My...

-Bobby - powiedziała stanowczo - czy mogę porozmawiać z tobą przez chwilę na osobności?

Wstała, przeszła przez pokój, otworzyła drzwi do przylegającej do niego łazienki i zapaliła wewnątrz światło.

-Zaraz wracam, Frank - rzucił Bobby. W ślad za Julie zniknął w łazience, zamykając za sobą drzwi.

Uruchomiła wieszaki pod sufitem wentylator, chcąc w ten sposób zagłuszyć ich rozmowę, po czym szeptem powiedziała:

-Co ci jest?

-No coż, mam plafiusa: zupełnie nie wysklepione luki stop. No i jeszcze ten brzydki pieprzyk pośrodku pleców.

-Jestes nieznosny.

-Plaskostopie i znamie są dla ciebie nie do zniesienia? Okrutna z ciebie kobieta.

Pomieszczenie było ciasne. Stali pomiędzy sedesem a umywalką, niemal stykając się nosami. Pocałował ją w czoło.

-Bobby, na litose boska, powiedziales przed chwila Pollardowi, że weźmiemy jego sprawę, a może tak się stanie.

-Dlaczego nie? Jest fascynująca.

-Z jednego powodu. On mi wygląda na wariata.

-Wcale nie.

-Mówi, że jakaś dziwna siła spowodowała zniszczenie jego samochodu, rozbijała uliczne lampy. Dziwna muzyka fletu, tajemnicze błękitne światło... Ten facet za dużo się naczytał National Enquirer.

-Ale tak właśnie było. Prawdziwy wariat potrafiłby od razu wytłumaczyć, co go spotkało. Opowiadalby, że spotkał Boga albo Marsjana. A Pollard jest zakłopotany, szuka odpowiedzi. Nie sądzisz, że jest to rozsądna reakcja?

-Poza tym, jesteśmy tutaj w interesach, Bobby. Nie dla rozrywki. Dla pieniędzy. Nie jesteśmy parą cholernych hobbyistów.

-Przecież on ma pieniądze. Sama widziałas.

-Co będzie, gdy forsa okaże się trefna?

-Frank nie jest złodziejem.

-Znasz go niecałą godzinę i już jesteś pewien, że nie jest złodziejem? Jesteś taki ufny, Bobby.

-Dziękuję.

-To nie był komplement. Jak możesz wykonywać nasz zawód, będąc tak ufnym?

Wyszczzerzył zęby w uśmiechu.

-Zaufałem tobie i wszystko się dobrze ułożyło. Nie dała się oczarować.

-Mówi, że nie wie, skąd ma te pieniądze. Aby uniknąć sporów, przyjmijmy jego słowa za dobrą monetę. Przyjmijmy też, że masz rację twierdząc, że nie jest złodziejem. Może więc jest handlarzem narkotyków albo jeszcze kims innym. Są tysiące przyczyn, dla których pieniądź może być trefny, choć nie został skradziony. A kiedy się o tym dowiemy, nie będziemy mogli zatrzymać tego, co nam wypłaci. Wszystko zabiora gliny. Zmarnujemy czas i energię. Poza tym... ta sprawa zaczyna się smierdzić.

-Dlaczego tak uważasz? - zapytał.

-Dlaczego tak uważam? Przecież sam opowiadał o tym, jak obudził się w motelu ze zbroczonymi krwią reklamami!

-Mów ciszej. Możesz urazić jego uczucia.

-O Boże!

-Pamiętaj, że nie było tam żadnego ciała. To musiała być jego własna krew.

-Skąd wiemy, że nie było tam ciała? Ponieważ on tak powiedział? Przecież to może być taki czubek, że nie zauważył ciała, choć będzie deptał po parujących wewnątrznościach i potykał się o odcięta głowę.

-Coż za plastyczny obraz.

-Bobby, on mówi, że może sam się podrapał, ale nie brzmi to zbyt przekonująco. Prawdopodobnie ten człowiek zaatakował jakąś niefortunną kobietę, niewinna dziewczyna, może nawet dziecko albo bezbronna uczennica. Zaciągnął ją do samochodu, zgwałcił i pobił, zgwałcił jeszcze raz, zmusił do popełnienia wszystkich tych upokarzających czynów, jakie rodzą się w perwersyjnym umyśle, po czym wywoził do jakiegoś pustego kanionu. Tam torturował ją igłami, nożem i Bog jeden wie czym jeszcze, potem zatłukł na śmierć i porzucił nagą w korycie wyschniętego strumienia, gdzie kojoty jeszcze dzisiaj uczują na jej ciele, a w otwartych ustach roją się muchy.

-Julie, zapomniałaś o czymś.

-O czym?

-To ja mam nadmiernie pobudliwa wyobraźnię.

Parsknęła śmiechem. Nic nie mogła na to poradzić. Miała ochotę walnąć go w łeb na tyle mocno, by wpadło do niego nieco rozsądka, lecz zamiast tego rozesmiała się i potrząsnęła głową.

Pocałował ją w policzek i sięgnął do klamki.

Przytrzymała jego dłoń.

-Obiecuj, że nie weźmiemy tej sprawy, dopóki nie usłyszymy całej historii, a potem wszystkiego spokojnie nie przemysłimy.

-W porządku. Wrocili do biura.

Niebo za oknem przypominało arkusz stalowej blachy upstrzonej gdziegdzie płatami czarnego kopciucha i musztardowożółtymi liszajami korozji. Deszcz jeszcze nie padał, ale w powietrzu wyczuwano napięcie w oczekiwaniu na początek ulewy.

Cale oświetlenie pokoju stanowiły dwie metalowe lampy na stołach ustawionych po bokach sofy oraz umieszczona w rogu stojąca lampa z jedwabnym abażurem. Górne światło było wyłączone. Bobby nie cierpiał go, utrzymując, że biuro powinno być oświetlone równie przytulnie jak zaciszny pokój w mieszkaniu prywatnym. Julie z kolei była zdania, że biuro powinno wyglądać jak biuro i mieć biurową atmosferę. Szła jednak na ustępstwa na rzecz Bobby'ego i najczęściej pozostawiała światłownice wyłączone. Teraz, gdy nadchodząca burza przyćmiła światło dnia, miała ochotę je zapalić, by rozproszyć cienie zbierające się w miejscach, do których nie docierała bursztynowa poswiata lamp.

Frank Pollard nadal tkwił na swoim krześle, zajęty oglądaniem oprawionych w ramki plakatów z Kaczorem Donaldem, Myszką Miki i Wujkiem Sknerusem, ozdabiających ściany. Ich obecność w biurze była dowodem kolejnego ustępstwa ze strony Julie. Ona sama była wielbicielką kreskówek Braci Warner. Miała bogatą kolekcję kaset video, a nawet parę oryginalnych rysunków z filmów o Kaczorze Daffym, jednak wszystko to trzymała w domu. Bobby przynosił podobnych bohaterów Disneya do biura, ponieważ (jak twierdził) działały na niego odprężająco, wprawiały w dobry nastrój i pomagały myśleć. Zaden z klientów nie kwestionował nigdy ich zawodowych umiejętności z powodu niekonwencjonalnych dzieł sztuki na ścianach, ale wciąż martwiła się tym, co niektórzy z nich mogli sobie pomyśleć.

Wrocila za biurko, a Bobby zaraz na nim przysiadł.

Spojrzawszy na Julie, Bobby powiedział:

-Frank, przedwcześnie zgodziłem się przyjąć twoją sprawę. W rzeczywistości nie możemy podjąć decyzji, dopóki nie usłyszymy wszystkiego do końca.

-No pewnie - odparł Frank, rzucając szybkie spojrzenie na Bobby'ego i Julie, po czym ponownie zaczął studiować swoje podrapane dłonie, które teraz były zacisnięte na podróжной torbie. - To zupełnie zrozumiałe.

-Oczywiście - przytaknęła Julie.

Clint po raz kolejny uruchomił magnetofon. Pollard podniósł z podłogi drugą torbę i powiedział:

-Powinienem wam to dać na samym początku. - Rozpiał zamkniętą po czym wydobyl foliowy woreczek z garścią czarnego piasku, znalezioną w zacisnietej dłoni po przebudzeniu z krótkiego snu w czwartek nad ranem. Następnie wyjął zakrwawioną koszulę, która miała na sobie, gdy zdrzemnął się nieco później tego samego dnia. - Zachowałem ją ponieważ... no wiec, myśle, że to ważne dowody. Może dzięki nim wyjaśnicie, co się ze mną dzieje i co takiego zrobiłem.

Bobby wziął koszulę i piasek, obejrzał je pobieżnie, po czym położył obok siebie na blacie biurka.

Julie zauważyła, że koszula nie była spryskana, lecz całkowicie przesiąknięta krwią; w miejscach, gdzie widniały zesznięte, brązowe plamy, materiał zeszywniał.

-Wiec w czwartek po południu byłeś w motelu - podsunał Bobby.

Pollard skinął głową.

-Tego wieczoru nie wydarzyło się nic ciekawego. Poszedłem do kina, ale nie mogłem się skupić. Potem jeździłem po mieście. Choć przespaliśmy się trochę w dzień, byłem zmęczony. A jednak nie mogłem się zdrzemnąć. Balem się zasnąć. Rano przenieśliem się do innego motelu.

-Kiedy w końcu udało się panu zasnąć? - zapytała Julie.

-Wieczorem.

-Czyli już w piątek?

-Tak. Próbowałem utrzymać się na nogach za pomocą kawy. Siedziałem przy barze w niewielkiej, położonej obok motelu restauracji i piłem kawę za kawą, dopóki nie zakwasilem sobie żołądka. Wtedy przestałem i wróciłem do pokoju. Za każdym razem, gdy morzyłem się sen, wychodziłem na spacer. To było bez sensu. Przecież nie mogłem czuć bez końca. Powoli zaczynałem rozpadac się na kawałki. Musiałem trochę odpocząć. Położyłem się do łóżka zaraz po osmej, natychmiast zasnąłem, a obudziłem się dopiero o wpół do szóstej rano.

-W sobotę rano.

-Tak.

-I wszystko było w porządku? - zapytał Bobby.

-W każdym bądź razie nie było krwi. Znalazłem za to coś innego. Czekali w milczeniu.

Pollard obliznął wargi, po czym pokiwiał głową, jakby chciał samego siebie utwierdzić w zamiarze kontynuowania opowieści.

-Otoż, widzicie państwo, poszedłem spać w spodniach... a gdy się obudziłem, byłem kompletnie ubrany.

-A więc lunaty kował pan i ubrał się podczas snu - stwierdziła Julie.

-Ale tego ubrania nie widziałem nigdy przedtem. Julie szybko zamrugła oczami.

-Co takiego?

-To nie było ubranie, które miałem na sobie, gdy przed dwoma dniami ocknałem się w tamtej alei. Żadnej z tych rzeczy nie kupiłem również w czwartekrano, kiedy robiłem zakupy na mieście.

-W takim razie czyje to ubranie? - zadał kolejne pytanie Bobby.

-Och, z całą pewnością moje - odparł Pollard. - Za dobrze za mnie leży, by mogło być własnością kogoś innego. Pasuje doskonale. Nawet buty mają właściwy rozmiar. Gdybym je komus zabrał, nie byłoby takie dopasowane.

Bobby zsunął się z blatu biurka i zaczął krzyczeć po pokoju.

-Co więc o tym myślisz? Ze wyszedłeś z motelu w białym, udałeś się do jakiegoś sklepu, kupiłeś ubranie i nikt się nie przytrzymał do twojego wyglądu ani nawet cie nie zagadnął?

-Nie wiem - odpowiedział Pollard potrząsając głową.

-Znajdując się w lunatycznym transie mógł się ubrać w pokoju - podsunał rozwiązanie Clint Karaghosis - a dopiero potem wyjść na zewnątrz, kupić nowe ubranie i przebrać się.

-Ale dlaczego miałby to robić? - zastanawiała się Julie. Clint wzruszył ramionami.

-Przedstawiam tylko możliwe wyjaśnienie.

-Panie Pollard - odezwał się Bobby - dlaczego miałby pan coś takiego zrobić?

-Nie wiem. - Pollard tak często posługiwał się tymi dwoma słowami, że kompletnie je zużył; przy każdym następnym powtórzeniu jego głos stawał się bardziej miękki i niewyraźny. - Nie sądzę, abym coś takiego zrobił. Takie wyjaśnienie jest mało przekonujące. Poza tym, zasnąłem dopiero po osmej. Mało prawdopodobne wydaje się, żebym ponownie wstał, wyszedł i kupił te rzeczy przed zamknięciem sklepów.

-Niektóre są otwarte do dziesiątej - wtracił Clint.

-Istnieje taka ewentualność, choć raczej niewielka - przyznał Bobby.

-Nie sądzę też, żebym włamał się do jakiegoś sklepu po jego zamknięciu - dodał Pollard. - Albo żebym te rzeczy ukradł. Mam przeczucie, że nie jestem złodziejem.

-Wiemy, że nim nie jesteś - zapewnił go Bobby.

-Nie wiemy niczego - ostro wtraciła Julie.

Bobby i Clint popatrzyli na nią, zaś Pollard - zbyt niesmiały bądź zmieszany, by się bronić - nie oderwał wzroku od swych rąk.

Czuła się okropnie, podważając jego uczciwość. Ale przecież to nie miało sensu. Nic o nim nie wiedzieli, a co więcej, jeżeli mówił prawdę, on sam wiedział o sobie tyle co nic.

Julie zabrała ponownie głos:

-Słuchajcie, nie jest istotne, czy to ubranie zostało kupione czy skradzione. Nie mogę bez zastrzeżeń przyjąć żadnej z tych możliwości. Przynajmniej w tej wersji, jaką założyliśmy. Jest zbyt nieprawdopodobna: mężczyzna paradyjący po promenadzie czy centrum handlowym w bieliznie, uzupełniający stroj w trakcie lunatycznej przechadzki. Czy może zrobić to wszystko nie budząc się i sprawiając na otoczeniu wrażenie przytomnego? Nie sądzę. Nic nie wiem o lunatykach, ale gdybyśmy zbadali to zagadnienie, z pewnością okazałoby się, że takie rzeczy są niemożliwe.

-Oczywiście nie chodzi tu tylko o ubranie - wtracił Clint.

-Nie, nie tylko o ubranie - jak echo powtórzył Pollard. - Kiedy się obudziłem, spostrzegłem na łóżku obok siebie dużą papierową torbę, podobną do tych, jakie można dostać w supermarkecie zamiast plastikowej reklamówki. Zajrzałem do środka... było w niej pełno... pieniędzy.

-Ile? - zapytał Bobby.

-Nie wiem. Dużo.

-Nie przeliczyłeś tego?

-Zostawiłem torbę w motelu, w którym się teraz zatrzymałem. Cały czas zmieniam miejsce pobytu. Czuje się dzięki temu bezpieczniej. Jeśli pan chce, może pan przeliczyć pieniądze później. Chciałem to zrobić sam, ale straciłem umiejętność wykonywania najprostszych działań arytmetycznych. Tak, brzmi to co najmniej dziwnie, lecz tak właśnie się stało. Nie potrafię dodawać. Próbuje od czasu do czasu, ale... cyfry nic już dla mnie nie znaczą. - Zwiesił głowę, ukrył twarz w dłoniach. - Najpierw straciłem pamięć. Teraz umykają mi podstawowe umiejętności, jak choćby rachunki. Czuje się tak... jakbym rozpadał się na kawałki... rozpuszczał... aż nie będzie po mnie śladu, pozostanie tylko ciało, podczas gdy umysł... zniknie zupełnie.

-Tak sie nie stanie, Frank - zapewnil go Bobby. - Nie dopuscimy do tego. Dowiemy sie, kim jestes i co to wszystko znaczy.

-Bobby - ostrzegawczo wtracila Julie.

-Hmmm? - usmiechnal sie glupio. Wstala zza biurka i przeszla do lazienki.

-O Jezu - Bobby podazyl za nia, zamknal drzwi i wlaczyl wentylator. - Julie, musimy pomoc temu nieszczesnikowi.

-Ten czlowiek z pewnoscia cierpi na jakies zaburzenia psychiczne. Robi wszystkie te rzeczy w stanie nieswiadomosci. Wstaje w srodku nocy, to prawda, ale nie w lunatycznym transie. Jest rozbudzony, ale nie w pelni swiadomy. Moze krasc, mordowac - i tak niczego nie bedzie pamietac.

-Julie, jestem gotow isc o zaklad, ze wtedy mial na rekach wlasna krew. Moze i ma te zacmienia, zaburzenia, czy co tam sobie chcesz, ale nie jest morderca. O ile chcesz sie zalozyc?

-Nadal tez twierdzisz, ze nie jest zlodziejem? Zwyczajnie budzi sie z wypchana pieniedzmi torba u boku, nie wie, skad sie wziala, ale nie jest zlodziejem? Myslisz moze, ze podrobil te banknoty w stanie amnezji? Nie, oczywiscie twoim zdaniem on jest zbyt mily, zeby mogl byc falszerzem.

Posluchaj - przerwal jej Bobby. - W naszej pracy musimy kierowac sie czasami instynktem i wlasnie instynkt podpowiada mi, ze Frank jest w porzadku. Nawet Clint tak mysli.

-Grecy sa nadmiernie towarzyscy. Lubia wszystkich.

-Chcesz mi powiedziec, ze wedlug ciebie Clint jest typowym przykladem greckiej otwartosci? Czy rozmawiamy o tym samym Clincie? Nazwisko: Karaghiosis? Facet, ktory wyglada, jakby odlano go z betonu, i usmiecha sie rownie czesto, jak figura Indianina wystawiona przed sklepem tytoniowym?

Swiatlo w lazience bylo zbyt jasne. Odbijalo sie od lustra, bialej umywalki, bialych scian i kafelkow. Pod wplywem zalewajacego wszystko blasku i dobrotliwego, choc zarazem nieustepliwego nalegania Bobby'ego, by pomoc Pollardowi, Julie dostala bolu glowy.

Zamknela oczy.

-Pollard jest wzruszajacy - przyznala.

-Chcesz wrocic i posluchac do konca?

-Dobrze. Ale, do cholery, nie mow, ze mu pomozemy, dopoki nie uslyszymy wszystkiego. W porzadku?

Wrocili do biura.

Niebo nie przypominalo juz zimnego, okopconego metalu. Stalo sie ciemniejsze, mienilo sie i kipialo. Choc nad sama ziemia ruch powietrza byl ledwie dostrzegalny, w gorze musialy dac silne wiatry, bo

znad morza szybko nadciągaly geste, czarne, burzowe chmury.

Niczym przyciagane magnesem metalowe opilki, po katach gromadziły się cienie. Julie sięgnęła do kontaktu, chcąc włączyć światłówki. W tym samym momencie dostrzegła jednak, jak Bobby z wyraźną przyjemnością rozgląda się wokół, patrzy na delikatnie polyskujący metal lamp, na lśniący w promieniach złotego światła debowy fornir stolów i stolika do kawy. Bez słowa opuściła rękę.

Ponownie zajęła miejsce za biurkiem. Bobby przysiadł na blacie, wymachując zwisającymi nogami.

Clint włączył magnetofon. Pierwsza odezwała się Julie:

-Frank... Panie Pollard, zanim podejmie pan swą opowieść, chciałabym usłyszeć odpowiedzi na kilka istotnych pytań. Pomimo zakrwawionych rak i licznych zadrapan wierz pan, że nie jest pan zdolny zrobić komukolwiek krzywdy?

-Tak. Może wyjawszy obronę własną.

-Nie sądzi pan też, że jest pan złodziejem?

-Nie. Nie mogę... Nie widzę siebie w takiej roli.

-Dlaczego zatem nie zwrócił się pan o pomoc do policji?

Milczał. Sciskał leżącą na kolanach torbę i nie spuszczał z niej wzroku, jak gdyby Julie przemawiała do niego z jej wnętrza. Tymczasem ona ciągnęła dalej.

-Przecież, jeżeli naprawdę czuje się pan pod każdym względem niewinny, policja najszybciej pomoże panu odzyskać tożsamość oraz ustali, kto pana przesładował. Wie pan co? Myślę, że nie jest pan tak bardzo pewien swojej niewinności, jak pan udaje. Wie pan, w jaki sposób uruchomić samochód bez kluczyka - i choć wielu ludzi obeznanym z techniki samochodowej potrafi tego dokonać, jest to jednak pewna wskazówka, która świadczyłaby o kryminalnej przeszłości. No i jeszcze te pieniądze, pełna torba pieniędzy. Nie przypomina pan sobie żadnego przestępstwa, ale w głębi serca jest pan przeswiadczony, że coś przeszkrobał, i dlatego boi się pan iść na policję.

-Jest w tym trochę racji - przytaknął.

-Mam nadzieję, że pan rozumie, że jeśli zajmiemy się pańską sprawą i natkniemy się na dowody przestępstwa, będziemy musieli zawiadomić o tym policję.

-Oczywiście. Pomyślałem sobie jednak, że gdybym najpierw poszedł na policję, oni nawet nie próbowaliby ustalić prawdy. Uznaliby mnie winnym jakiegoś zbrodni, zanim jeszcze skończyłbym moją historię.

-My oczywiście tak nie zrobimy - wtracił Bobby, przesyłając Julie znaczące spojrzenie.

-Zamiast mi pomóc, zaczęliby się rozglądać wśród popełnionych ostatnio przestępstw, aby ktoreś z nich mi przypisać - dokończył Pollard.

-Policja nie pracuje w taki sposób - zapewniła go Julie.

-Oczywiście, że pracuje - złośliwie zaproponował Bobby. Zeskoczył z biurka i zaczął chodzić tam i z powrotem między podobiznami Wujka Sknerusa i Myszkę Miki. - Czy nie widzieliśmy tego w tysiącach telewizyjnych filmów? Czy każde z nas nie czytało Hammetta lub Chandlera?

-Panie Pollard - powiedziała Julie - kiedyś pracowałam w Policji...

-Co potwierdza mój punkt widzenia - wpadł jej w słowo Bobby. - Frank, gdybyś zgłosił to glinom, zostałbyś do tej pory Przymknięty i przesłuchany, dowiedziano by ci winy i skazano na tysiąc lat.

-Jest jeszcze ważniejszy powód, dla którego nie mogę tego zgłosić. Oznaczałoby to publiczne ujawnienie się. Może doszłoby to do prasy, która rozdmuchałaby historię o biednym facecie z amnezją i torbami gotówki. Wtedy on wiedziałby, gdzie mnie znaleźć. Nie mogę tego ryzykować.

-Kto to jest "on", Frank? - zapytał Bobby.

-Człowiek, który mnie ścigał tamtej nocy.

-Ze sposobu, w jaki o nim mówisz, wnioskuję, że wiesz, jak się nazywa, że masz na myśli konkretną osobę.

-Nie. Nie wiem, kto to taki. Nie jestem nawet całkiem pewien, czym on jest. Ale wiem na pewno, że znowu do mnie przyjdzie, gdy tylko dowie się, gdzie jestem. Dlatego właśnie muszę siedzieć cicho.

Z sofy odezwał się Clint:

-Muszę przelozyc kasete.

Przerwali rozmowę, obserwując jak wyjmuje kasetę z magnetofonu.

Chociaż była dopiero trzecia po południu, dzień ustąpił miejsca fałszywemu zmierzchowi, którego jednak nie sposób było odróżnić od prawdziwego. Powiew ciągnący dołem przybierał na sile, usiłując dorównać wichurze pedzacej burzowe chmury. Widac było, jak z zachodu nasuwa się rzadka mgła, nie mająca jednak w sobie nic z właściwej mgłą leniwej powolności. Masy wilgoci klebiły się i wirowały niczym płynne spoivo, mające polaczyc ziemie z sunacymi gora chmurami.

Kiedy Clint dał znak, że jest gotów, Julie spytała:

-Frank, czy to już koniec historii? Kiedy obudziles się w sobote rano w nowym ubraniu i z pełną pieniędzy papierowa torba u boku?

-Nie. To jeszcze nie koniec. - Nie patrzac na nia uniosł głowę. Wpatrywał się w ponury dzień za oknami, chociaż sprawiał wrażenie, że obserwuje coś znacznie odleglejszego niż Newport Beach. - Może konca nie będzie nigdy.

Z drugiej torby, tej samej, z której wcześniej wyciągnął pokrzwawioną koszulę i probkę czarnego

piasku, wydobył pollitrowy słoik, z rodzaju tych, jakich używa się do przechowywania domowych przetworów, z mocnym szklanym wiekiem i gumowa uszczelka. Słoik wypełniało coś, co wyglądem przypominało surowe, nie szlifowane, metnie połyskujące kamienie szlachetne. Niektóre z nich były lepiej wygładzone i plonely migotliwym blaskiem.

Frank zdjął wieko, przechylił słoik i wysypał część zawartości na imitująca jasne drewno okleina biurka.

Julie pochylila się.

Bobby podszedł, chcąc je obejrzeć z bliska.

Bardziej regularne kamienie były okrągłe, owalne, w kształcie kropli lub rombu; niektóre płaszczyzny miały gładkie, inne pokryte naturalnymi, ostrymi krawędziami. Część z nich miała postać nieregularnych bryłek. Największe zbliżone były wielkością do dużych winogron, najmniejsze - do ziarenek grochu. Wszystkie były czerwone, chociaż różniły się między sobą intensywnością barwy. Silnie załamywały światło - rozrzucone na jasnym blacie biurka przypominały plamę szkarłatnej, promieniującej drzącym blaskiem cieczy. Rozproszone światło lamp przenikało przez kamienie jak przez pryzmaty, a następnie szkarłatnymi snopami padało na sufit i jedna ze ścian, znacząc jasnymi plamami dzwiekochłonne płytki i okładziny ze sztucznego kamienia.

-Rubiny? - zapytał Bobby.

-Rubiny wyglądają trochę inaczej - powiedziała Julie. - Co to takiego, Frank?

-Nie wiem. Być może są bezwartościowe.

-Skąd je masz?

-W nocy z soboty na niedzielę prawie nie spałem. Przewalałem się z boku na bok, budząc się niemal natychmiast po zaśnięciu. Bałem się usnąć. W niedzielę po południu nie spałem także, ale wczoraj wieczorem byłem już taki zmęczony, że nie mogłem dłużej utrzymać otwartych oczu. Zasnąłem w ubraniu, a kiedy obudziłem się dzisiaj rano, miałem tego pełno w kieszeniach spodni.

Julie wybrała jeden z lepiej wygładzonych kamieni i uniosła go do prawego oka, spoglądając przez niego na najbliższą lampę. Nawet w stanie surowym klejnot odznaczał się wyjątkową barwą i przejrzystością. Oczywiście, jak sugerował Frank, mógł on nie mieć żadnej wartości, podejrzewała jednak, że trzyma w ręku coś cennego.

-Dlaczego przechowujesz je w słoiku? - zapytał Bobby.

-Ponieważ tak czy inaczej musiałem kupić słoik, żeby zamknąć w nim to - odparł Frank.

Wyjął z torby większy, litrowy słoik, po czym postawił go na biurku.

Julie obróciła się, żeby popatrzeć i natychmiast ogarnęła ją takie zdumienie, że wypuściła z palców badany kamień. W szklanym pojemniku leżał owad wielkości niemal jej dłoni. Choć, jak u żuka, jego

grzbiet chronił pancerz - czarny jak noc, z krwistoczerwonymi plamkami na obwodzie - to okryte nim stworzenie bardziej przypominało pajaka. Miało osiem mocnych, owłosionych odnóży, niczym tarantula.

-Co to jest, u diabła? - zapytał krzywiąc się Bobby. Cierpiał na chorobliwy lek przed owadami. Kiedy spotykał na swej drodze owada obrzydliwszego niż zwyczajna mucha, wzywał na pomoc Julie, a sam przypatrywał się poczynaniom żony z bezpiecznej odległości.

-Czy to żyje? - zainteresowała się Julie.

-Już nie - wyjaśnił Frank.

Wystające spod pancerza, tuż obok głowy, przednie nogi wyglądały jak miniaturowe kleszcze homara, choć miały budowę bardziej skomplikowaną niż odnóża jakiegokolwiek skorupiaka. Ich cztery chitynowe, zakrzywione segmenty, z których każdy połączony był z podstawą, przywodziły na myśl rece; wszystkie krawędzie były paskudnie zębate.

-Założę się, że to stworzenie mogło odciąć palec - powiedział Bobby. - Mówisz, że ono żyło, Frank?

-Gdy się dzisiaj obudziłem, pelzało po mojej piersi.

-O Boże! - Widac było wyraźnie, jak Bobby pobladał.

-Poruszało się bardzo wolno.

-Doprawdy? Wygląda mi na szybkie jak karaluch.

-Chyba już wtedy umierało - dodał Frank. - Krzyknąłem, straciłem je z siebie. Upadło na podłogę, grzbietem do góry. Przez kilka sekund przebierało słabo nogami, a potem znieruchomiało. Z jednej z leżących na łóżku poduszek zdarłem powłoczkę, wrzuciłem do niej żuka i związałem rozcięcie na węzeł, żeby nie mógł wypelznąć, jeśliby jeszcze żył. Potem odkryłem kamienie w kieszeniach, więc kupiłem od razu dwa słoiki. W większym zamknąłem żuka, ale od tej pory nie poruszył się, więc przypuszczam, że nie żyje. Widzieliście kiedykolwiek coś takiego?

-Nie - odrzekła Julie.

-Dzięki Bogu, nie - dodał Bobby. Nie miał zamiaru się nachylać nad słojem, żeby obejrzieć owada dokładniej. Prawde mówiąc, odstąpił nawet na krok od biurka, jak gdyby obawiał się, że stworzenie mogłoby błyskawicznie wyciąć sobie przejście w szklanej ścianie słoika.

Julie podniosła słoje i obróciła go, tak że mogła obejrzieć żuka od przodu. Atlasowoczarnej głowa, wielkości dorównująca sliwce, niemal w połowie ukryta była pod pancerzem. Polyskujące zmetniała żółcia, złożone z wielu części oczy tkwiły wysoko na czubku głowy, a poniżej każdego z nich widac było dodatkowe oko, trzykrotnie mniejsze, czerwono-blekitne. Układające się w dziwne wzory małe otworki, sześć przypominających ciernie wyrostków i trzy skupiska jedwabistych włosków dopełniały obrazu tej odrazającej fizjonomii. Niewielki aparat gębowy, teraz otwarty, odsłaniał okrągły otwór wypełniony pierścieniami drobnych, niezwykle ostrych zębów.

Przypatrując się mieszkancowi słoja, Frank powiedział:

-W jakiegokolwiek diabelstwo jestem zamieszany, jest to coś złego. Coś naprawdę złego. Boję się.

Bobby zadrzał. W zamysleniu, bardziej do siebie niż do pozostałych, powiedział:

-Coś złego...

-Frank, bierzemy twoją sprawę - postanowiła Julie, stawiając słoja na biurku.

-W porządku! - rzucił Clint, po czym wyłączył magnetofon. Bobby odwrócił się od biurka i zmierzając ku łazience powiedział:

-Julie, muszę przez chwilę porozmawiać z tobą na osobności. Po raz trzeci weszli razem do łazienki, zamknęli za sobą drzwi i uruchomili wentylator.

Twarz Bobby'ego nabrała odcienia szarości. Wyglądał jak swój niezwykle wierny, narysowany ołówkiem portret - nawet piegi utraciły normalną barwę. W jego zwykle rozesmianych, błękitnych oczach nie pozostał się najmniejszy cień wesołości.

-Oszalałaś? - wykrzyknął. - Powiedziałaś mi, że weźmiemy tę sprawę.

Julie zaskoczona zamrugła oczami.

-Czy nie o to ci chodziło?

-Nie.

Aha. W takim razie coś niedobrego dzieje się z moim słuchem, mam za dużo wosku w uszach. Muszą być zasklepione na amen.

-Ten człowiek jest najprawdopodobniej niebezpiecznym szalencem.

-Lepiej będzie, jeśli pójdzie do lekarza. Poproszę, żeby fachowo przeczyszczył mi uszy.

-Ta wariacka historia, którą nam opowiedział, jest po prostu... Uniosła rękę, przerywając mu w pół zdania.

-Podejdź do tego rozsądnie, Bobby. Przecież ten zuk to nie wytwór jego wyobraźni. Czym zatem jest? Nigdy nie widziałam podobizny takiego zwierzęcia.

-No, a co z pieniędzmi? Musiał je ukradnąć.

-Frank nie jest złodziejem.

-Co takiego? Czyżby Pan Bóg osobiście pofatygował się, żeby ci o tym powiedzieć? Nie ma innego sposobu, by się o tym upewnić. Pamiętaj, że poznałaś Pollarda zaledwie przed godziną.

-Masz racje - odparla. - Powiedzial mi to Bog. A ja zawsze slucham Boga, poniewaz jesli sie Go nie slucha, On moze nas ukarac plaga szaranczy lub spalic wlosy uderzeniem pioruna. Posluchaj, Frank jest taki zagubiony, taki bezradny. Jest mi go zal. Okay?

Wpatrywala sie w nia przez chwile, przygryzajac pobladla dolna warge, a w koncu powiedzial:

-Dobrze nam sie ze soba pracuje, bo sie nawzajem uzupełniamy. Ty okazujesz sile tam, gdzie ja jestem slaby, i na odwrot. Pod wieloma wzgledami nie jestesmy do siebie podobni, ale trzymamy sie razem, poniewaz pasujemy do siebie jak dwa kawalki lamiglowki.

-O co ci chodzi?

-To nasza motywacja jest tym, czym sie roznimy, a zarazem uzupełniamy. Praca, ktora wykonuje, odpowiada mi, poniewaz moze pomoc ludziom, ktorzy nie z wlasnej winy znajduja sie w opalach. Lubie ogladac triumfujace dobro. Mowie jak bohater komiksu, ale tak to wlasnie czuje. Ciebie natomiast przede wszystkim popycha do dzialania pragnienie zdeptania zla. Tak, oczywiscie, ja takze lubie patrzec, kiedy ci zli faceci skomla zalamani, ale nie jest to dla mnie tak wazne jak dla ciebie. Ty, rzecz jasna, ze swej strony rowniez odczuwasz radosc pomagajac niewinnym ludziom, lecz jest to dla ciebie sprawa drugorzeczna wobec miazdzenia i lamania. Dzieje sie tak pewnie dlatego, ze w dalszym ciagu starasz sie rozladowac zlosc z powodu zamordowania twojej matki.

-Bobby, jezeli zechce skorzystac z psychoanalizy, udam sie do pomieszczenia, gdzie podstawowym sprzetem bedzie lezanka, a nie sedes.

Jej matka byla zakladnikiem podczas napadu na bank. Julie miala wowczas dwanasce lat. Po dwoch naszpikowanych amfetamina bandytach trudno bylo spodziewac sie zdrowego rozsadku czy wspolczucia. Zanim dramat dobiegl kresu, pieciu spozród szesciu zakladników ponioslo smierc. Matka Julie nie byla niestety tym jedynym ocalalym szcieszliwcem.

Obrociwszy sie do lustra, Bobby popatrzył na odbicie zony, jakby obawial sie spojrzec jej prosto w twarz.

-Chodzi mi o to, ze nagle zaczynasz zachowywac sie tak jak ja. A to juz niedobrze. W ten sposob naruszona zostaje rownowaga, zachwianiu ulega harmonia naszego związku. A przeciez to wlasnie ta harmonia pozwalala nam zachowac zycie, odnosic sukcesy i przezyc. Chcesz zajac sie ta sprawa, bo cie fascynuje, pobudza wyobraznie, no i jeszcze dlatego, ze chcesz pomoc Frankowi - jest taki nieszczesliwy. Gdzie sie podziala twoja zlosc? Powiem ci, gdzie. Nie ma jej w tobie, poniewaz jak dotad nie widac nikogo, kto moglby ja wywolac, zadnego typu spod ciemnej gwiazdy. Okay, jest jakis osobnik, ktory podobno scigal go tamtej nocy, ale nawet nie wiemy, czy istnieje naprawde, czy tez jedynie w fantazji Franka. Bez wyraznie widocznego faceta, ktory moglby wyzwolic twoja zlosc, musialem na sile wciagac cie do tej sprawy krok za krokiem, ale teraz ty ciagniesz - i to budzi moj niepokoj. Nie podoba mi sie to.

Stali zapatrzeni w lustro. Julie pozwolila mu sie wygadac, a kiedy wreszcie skonczyl, powiedziala:

-Nie, to nie o to ci chodzi.

-Co masz na myśli?

-Mam na myśli to, że wszystko, co do tej pory powiedziałeś, jest zwyczajną dymną zasłoną. Co naprawdę cie martwi, Robert?

Jego odbicie próbowało uniknąć jej odbicia. Uśmiechnęła się.

-Daj spokój. Powiedz wreszcie. Nigdy nie mieliśmy przed sobą tajemnic.

Bobby w lustrze wyglądał jak kiepska imitacja prawdziwego Bobby'ego Dakota. Prawdziwy Bobby, jej Bobby, był pełen radości, życia i energii. Bobby w lustrze miał ponurą, szarą twarz, jego witalność została podkopana przez troskę.

-Robert? - odezwała się nagle.

-Pamiętasz jak obudziliśmy się w ubiegły czwartek? Wiał Santa, kochaliśmy się.

Pamiętam.

Zaraz potem, gdy tylko przestaliśmy się kochać... ogarnęło dziwne, przerażające uczucie, że cie utracę, że razem z wiatrem przyjdzie coś... co mi ciebie zabierze.

-Opowiedziałeś mi o tym wieczorem u "Ozkiego", podczas rozmowy o grających szafach. Ale wiatr ucichł, a nic się nie stało. Jak widzisz, jestem cała i zdrowa.

-Tej samej nocy, we czwartek, miałem koszmar, najbardziej wyrazisty koszmar, jaki tylko można sobie wyobrazić. - Opowiedział jej o małym domku na plaży, stojącym na piasku grającej szafie, o grzmiącym wewnętrznym głosie - COS ZLEGO NADCHODZI, COS ZLEGO, COS ZLEGO! - oraz o zracym morzu, które pochłonęło ich oboje, rozpuszczając ciała i rzucając kości w mroczne głębiny. - Czulem kolysanie. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo to wszystko wyglądało prawdziwie. Chociaż zabrzmiało to niedorzecznie... ten sen wydawał się bardziej realny niż prawdziwe życie. Obudziliśmy się przerażeni jak nigdy dotąd. Spaliśmy, więc cie nie budziłem. Nie wspominałem o tym także później, bo nie chciałem cie martwić, a oprócz tego... no cóż, przywiązywanie wagi do snów wydaje mi się dziecinne. Koszmar nie powtórzył się, ale od tamtego czasu - w piątek, sobotę i wczoraj - miałem momenty, kiedy ogarniał mnie dziwny niepokój, który wstrząsał mną jak dreszcz. Dlatego myślę, że może coś złego nadciąga, żeby cie zabrać. A teraz w biurze Frank powiedział, że zamieszany jest w coś złego, w coś naprawdę złego, jak się wyraził. Jego słowa skojarzyły mi się natychmiast z tamtym koszmarem, Julie. Może jego sprawa jest właśnie tym czymś złym, co przesładowało mnie we śnie. Może nie powinniśmy jej brać.

Przez chwilę obserwowała Bobby'ego w lustrze, zastanawiając się, w jaki sposób dodać mu otuchy. W końcu doszła do wniosku, że skoro ich role odwróciły się, powinna traktować go tak samo, jak on potraktowałby ją w podobnej sytuacji. Bobby nie uciekałby się do logiki i rozsądku - będących jej specjalnością - lecz próbowałby rozproszyc jej obawy wdziękiem i humorem.

Dlatego też, zamiast nawiązać bezpośrednio do nurtujących go niepokojów, powiedziała:

-Skoro rozmawiamy już o tym, co nam leży na sercu, to wiesz, co mnie denerwuje? Sposób, w jaki czasami siadasz na moim biurku podczas rozmowy z klientem. Wobec niektórych klientów mogłoby to mieć sens, gdybym to ja siedziała na biurku, ubrana w krótka spódnicę, pokazując nogi. Bo śmiało mogę powiedzieć, że nogi mam całkiem niezłe. Ale ty nigdy nie nosisz spódnic, ani krótkich, ani żadnych innych, a gdyby nawet, to i tak nie bardzo miałbys co pokazać.

-Kto tutaj mówi o biurku?

-Ja - odparła, odwracając się od lustra i patrząc wprost na niego. - W ramach oszczędności wynajelismy siedem pokoi zamiast osmiu i gdy usadziliśmy już personel, dla nas pozostało tylko jedno pomieszczenie. Nie widzę w tym nic złego. Jest tutaj dosyć miejsca na dwa biurka, ale ty twierdzisz, że tobie biurko jest niepotrzebne. Biurka są według ciebie zbyt formalne. Utrzymujesz, że wszystko, czego ci potrzeba, to kanapa, z której mogłbys prowadzić rozmowy telefoniczne, a jednak kiedy zjawia się klient, przysiadasz na moim biurku.

-Julie...

-Laminat jest mocny, prawie nie do zderzenia, ale prędzej czy później, skoro spędzasz na moim biurku tyle czasu, w blacie utrwali się wyraźny odcisk twego tyłka.

Ponieważ nie patrzyła w lustro, on także musiał się odwrócić, żeby spojrzeć jej w twarz.

-Czy nie słyszałaś, co mówiłem o śnie?

-Nie zrozum mnie źle. Masz ładny tyłek, Bobby, tylko nie chce, żeby odbił się na moim biurku. W zagłębieniu ciągle staczałyby się ołówki, osiadałby tam kurz.

-O co tu chodzi?

-Ostrzegam cię, że zamierzam przeciągnąć na blacie przewód pod napięciem. Jeśli na nim usiądziesz, wystarczy dotknąć przelacznika, abyś się dowiedział, co czuje mucha schwytna w elektrycznej pułapce.

-Stajesz się niemożliwa, Julie. Dlaczego taka jesteś?

-Frustracja. Nie zniszczyłam ostatnio żadnego złego faceta i to mnie irytuje.

Pomyślał chwilę i powiedział:

-Zaraz, zaraz. Ty wcale nie stajesz się niemożliwa.

-Oczywiście, że nie.

-Ty po prostu stajesz się mna!

-Właśnie. - Pocałowała go w prawy policzek, a jednocześnie poklepała w lewy. - A teraz wracajmy tam i bierzmy się za tę sprawę.

Otworzyła drzwi i weszła do pokoju. Lekko rozbawiony Bobby powiedział:

-A nich to... - i także opuścił łazienkę.

Frank Pollard prowadził cichą rozmowę z Clintem, umilkł jednak natychmiast, gdy tylko weszli, i posłał im pełne nadziei spojrzenie. Po kątach scielily się cienie. Saczaca się z trzech lamp bursztynowa poswiata kojarzyła się Julie z drgającym, tajemniczym światłem plonących w kościele wotywnych świec.

Kupka szkarłatnych kamieni nadal iskrzyła się na biurku.

Martwy żuk nadal leżał w słoiku.

-Czy Clint wyjaśnił panu nasze zasady pobierania opłat? - zapytała Pollarda.

-Tak.

-Okay. Ponadto będziemy potrzebować dziesięciu tysięcy dolarów zaliczki na pokrycie kosztów.

Na zewnątrz błyskawica rozorwała brzuchy chmur. Posiniałe niebo pekło i w szyby załomotał zimny deszcz.

26

Violet nie spała od przeszło godziny. Niemal przez cały ten czas była jastrzebiem, krzaczym wysoko wśród silnych wiatrów, spadającym od czasu do czasu w dół, aby błyskawicznie usmiercić kolejną ofiarę. Otwarte niebo było dla niej niemal tak samo realne jak dla ptaka, którego nawiedziła. Szybowała niesiona termicznym prądem, niemal bez oporu tnąc powietrze krawędziami skrzydeł. Nad sobą miała tylko nisko wiszące szare chmury, pod sobą - cały świat. Równocześnie zdawała sobie sprawę z istnienia zaciemnionej sypialni, gdzie pozostało jej ciało i część świadomości. Violet i Verbina zazwyczaj sypiały w dzień, gdyż przesypanie nocy oznaczało marnowanie najlepszego czasu. Zajmowały wspólny pokój na piątym piętrze, dzieląc okazale łóżko. Nigdy nie oddalały się od siebie bardziej niż na wyciągnięcie ramienia, a najczęściej spoczywały splecione we wzajemnym uścisku. W poniedziałkowe popołudnie Verbina jeszcze spała. Zupełnie naga leżała na brzuchu, z głową odwróconą do siostry i od czasu do czasu pomrukiwała coś niezrozumiałe w poduszce. Jej gorący bok dotykał Violet. Choć była daleko od jastrzebia, uświadamiała sobie ciepło ciała bliźniaczki, gładkość jej skóry, powolny rytmiczny oddech, senne pomruki i wyraźny zapach. Odbierała won zakurzonego pokoju, stęchły odor dawno nie pranych przescieradeł, no i oczywiście kotów. Nie tylko wachala koty, spiące na łóżku i na podłodze wokół niego albo leniwie czyszczące futerka, ale żyła w każdym z nich. Podczas gdy część świadomości pozostawiała we własnym bladym ciele, a część przekazała pierzastemu drapieżnikowi, reszta swej jazni obdzieliła wszystkie koty, teraz już tylko dwadzieścia pięć, bo biedna Samanta odeszła. Tak więc równocześnie Violet doświadczała świata za pośrednictwem własnych zmysłów, przez zmysły jastrzebia oraz przez dwadzieścia pięć par oczu i uszu, dwadzieścia pięć nosów, sto łap i dwadzieścia pięć języków stada. Mogła odbierać won swojego ciała nie tylko za pośrednictwem własnego nosa, ale także przez narząd węchu każdego z kotów: resztki zapachu mydła po wieczornej kąpieli z przyjemną domieszką cytrynowego szamponu;

nieswieża won, występująca zawsze po okresie snu; przykry oddech, przesycony posmakiem jajek, cebuli i surowej wątrobki, które zjadła o świcie, idąc do łóżka wraz ze wstającym słońcem. Każde zwierze w stadzie miało zmysł powonienia rozwinięty znacznie lepiej niż jej własny i każde odnajdywało w jej zapachu coś, czego ona sama nigdy by nie dostrzegła. Dla kotów była to won dziwna, lecz przyjemna, intrygująca, a zarazem znajoma.

Równie dobrze mogła wachac, widzieć, słyszeć i dotykać siebie poprzez zmysły siostry, gdyż cały czas pozostawała w nierozzerwalnym związku z Verbina. Zgodnie ze swą wolą mogła w dowolnej chwili nawiedzić lub opuścić mózg każdego zwierzęcia, natomiast Verbina była jedynym człowiekiem, z którym była w stanie nawiązać podobny kontakt. Było to stałe połączenie, wiążące je od chwili narodzin, i choć Violet potrafiła w dowolnym momencie przerwać związek z jastrzebiem czy kotami, to nigdy nie mogła uwolnić się od swej bliźniaczki. Podobnie, o ile była w stanie kontrolować umysły zwierząt, nie posiadała analogicznej władzy nad siostrą. Łącząc je więc nie miała w sobie nic ze stosunków panujących między lalkarzem a kukielką. Była szczególna i święta.

Przez całe życie w świadomości Violet zlewały się liczne strumienie doznań, omywały ją potężne, kipiące wiry dźwięków, zapachów, smaków i wrażeń dotykowych. Uczyla się świata za pośrednictwem niezliczonej liczby zmysłów. W pewnym okresie dzieciństwa stała się autystyczna, nie mogąc sobie poradzić z naporem wrażeń zmysłowych. Zwrociła się ku własnemu wnętrzu, koncentrując się na tajemnym świecie bogatych, różnorodnych i głębokich doznań, dopóki nie nauczyła się kontrolować napływających wrażeń, ujarzmiając je, zanim zdążyły zniszczyć jej psychikę. Dopiero wówczas wydobyła się z autyzmu i nawiązała kontakt z otaczającymi ją ludźmi. Mówić nauczyła się w wieku sześciu lat, lecz nigdy nie wyrzuciła się na dobre z bezdennej, szybkiego nurtu niezwykłych przeżyć, by stanąć na brzegu w miarę spokojnego życia na równi z innymi ludźmi. Opanowała jedynie umiejętność porozumiewania się z matką, Candym oraz, w ograniczonym zakresie, z osobami spoza rodziny.

Verbina nigdy nie osiągnęła nawet połowy tego, co Violet, i zapewne tak już miało pozostać. Wybrawszy życie sprowadzone niemal wyłącznie do odbioru doznań, przejawiała znikome, jeśli nie żadne, zainteresowanie ćwiczeniami rozwijającymi intelekt. Nigdy nie opanowała sztuki mówienia i nie zwracała uwagi na nikogo z wyjątkiem siostry, bez reszty pogrążona w niosącym radosne zapomnienie oceanie zmysłowych bodźców. Skacząc jako wiewiórka, latając jako sokoł lub mewa, parząc się jako kot, sadząc susami i mordując jako kojot, pijąc zimną wodę ze strumienia pyskiem szopa bądź polnej myszy, wnikając do mózgu sukii otoczonej przez stado psów, dzieląc równocześnie przerażenie zapedzonego w ślepy zaułek krowy i dzikie podniecenie scigającego go lisa, Verbina doświadczała życia w zakresie tak szerokim, że nikt z wyjątkiem Violet nie mógł sobie tego wyobrazić. Wolalała ową ciągłą dreszcz zrodzony z dzikości wypełniającego świat życia niż przyjemną egzystencję zwyczajnych ludzi.

Teraz także, choć Verbina pogrążona była we śnie, jakaś jej część była razem z Violet w szybującym jastrzebiu, gdyż nawet sen nie powodował całkowitej utraty zdolności do łączenia się z mózgiem innych zwierząt. Nieustanny napływ odczuć drobnych stworzeń był nie tylko przedzą, z której było utkane ich życie, ale również materiałem, wypełniającym ich sny.

Pod ciemniejącymi z minuty na minutę burzowymi chmurami szybował jastrząb, kierując się ku ograniczającemu posiadłość Pollardów kanionowi. Polował.

Daleko w dole, posrod zeschlych chwastow i gestych kep kolczastego janowca, poruszyła sie tlusta mysz. Pomknęła dnem kanionu, czujnie wypatrując wroga na poziomie gruntu, zupełnie niepomna czającej sie w gorze skrzydlatej smierci.

Wyczuwając instynktownie, że mysz z daleka mogłaby usłyszeć łopot i skryć się w najbliższej rozpadlinie wraz z pierwszym szelestem, jastrzab złożył bezgłośnie skrzydła, mocno przyciskając je do ciała, po czym runął w dół, ani na chwilę nie spuszczał z oczu upatrzonego gryzonia.

Choć Violet przeżywała to uczucie niezliczona ilość razy, wstrzymała oddech, gdy jak kamień zaczęli spadać z wysokości tysiąca dwustu stop, mineli poziom gruntu i zagłębili się w parow. Pomimo to, że w rzeczywistości leżała bezpieczna w łozku, poczuła skurcz żołądka, a piers scisnął jej pierwotny strach. Piśnęła z podniecenia.

Leżąc obok Verbina krzyknęła również.

Na dnie kanionu mysz zastygła w bezruchu, wietrząc nadchodzące niebezpieczeństwo, nie wiedziała jednak, z której strony ma oczekiwać ataku.

Jastrzab w ostatniej chwili rozpostarł skrzydła. Powietrze ujawniło nagle swoje prawdziwe właściwości i stawilo potężny opór, zatrzymując go niemal w miejscu. Ptak wysunął dolną część ciała do przodu, szeroko rozstawił nogi i rozcapierzonymi szponami chwycił mysz, chociaż na odgłos rozwijanych skrzydeł rzuciła się do ucieczki.

Pozostając w ciele jastrzebia, Violet nawiedziła mózg myszy na ułamek sekundy wcześniej, nim dopadł jej drapieżnik. Odczuła chłodną satysfakcję łowcy i żarliwy strach ofiary. Będąc jastrzebiem czuła, jak ostre szpony przebijają i szarpia ciało tłustej myszy; będąc myszą doświadczała palącego bólu i była obojętna przez straszliwe rany. Ptak spojrział z góry na piszczącego gryzonia i zadrzał, przejęty poczuciem dominacji i potęgi, szczęśliwy, że zaraz zaspokoi głód. Zakrakal triumfalnie, a echo poniosło jego głos w głąb kanionu. Czując się mała i bezradna w żelaznym chwycie skrzydlatego zabójcy, trzesąc się ze strachu tak intensywnego, że aż podobnego do zmysłowej rozkoszy, mysz zadarła głowę i spojrziała w stalowe, nieznające litości oczy drapieżnika. Zaraz potem zaprzestala walki. Leżała bezwładnie, pogodzona ze śmiercią. Widziała opadający dziób, wiedziała, że zostanie rozdarta na strzępy, lecz stała się nieczuła na ból. Cała swa istota wyrażała niema rezygnację. Jeszcze tylko krótki moment druzgocącej błogości i to już koniec, koniec. Podrzucając głowę do tyłu jastrzab przelykał krwawe strzępki ciepłego mięsa.

Na łozku Violet obróciła się twarzą do siostry. Wyrwana ze snu przez potęgę doznania, Verbina wtuliła się w jej ramiona. Nagie, przywarły do siebie całym ciałem i obejmując się nawzajem nie mogły opanować drżenia. Violet dyszała prosto na delikatną szyję Verbiny, a dzięki połączeniu z mózgiem siostry odczuwała ciepło własnego oddechu na jej skórze. Wydając niezrozumiałe dźwięki trwały w uścisku, a ich gorączkowe oddechy nie uspokoiły się, dopóki jastrzab nie oderwał z mysiej skorki ostatniego pasemka pożywnego mięsa i z łopotem skrzydeł nie wzbił się ponownie w niebo.

W dole rozciągała się posiadłość Pollardów: żywoplot z Eugenią, pokryty łupkiem, zaniedbany dom, dwudziestoletni Buick matki, którym od czasu do czasu jeździł Candy, kepi pierwiastków kwitnących czerwono, żółto i purpurowo na wąskiej, zachwaszczonej grządce biegnącej wzdłuż

walacej sie werandy z tyłu domu. Daleko, w polnocno-wschodnim narożniku działki, Violet zauwazyła także Candy'ego.

Wciąż obejmując siostrę, zasypując jej szyję, policzki i skroni delikatnymi pocałunkami, Violet poleciała jastrzebiowi, aby krążył dokładnie nad Candyem. Za pośrednictwem ptaka patrzyła, jak stoi z opuszczoną głową nad grobem matki i oplakuje ją, tak jak to robił bez wyjątku każdego dnia od chwili jej śmierci przed wieloma laty.

Violet nie oplakiwała matki. Matka była dla niej równie obca jak każdy inny człowiek na świecie, a po jej odejściu nie czuła niczego szczególnego. Prawde mówiąc, ponieważ Candy był również obdarowany, Violet była związana bardziej z nim niż z matką, co i tak niewiele znaczyło, gdyż nie znalazła go naprawdę i zupełnie się o niego nie troszczyła. Jak bowiem mógł jej być bliski ktoś, czyjego mózgu nie mogła nawiedzić i żyć z nim, przez niego? To właśnie owa niewiarygodna bliskość łączyła ją z Verbina i skłaniała do niezliczonych związków ze stworzeniami zasiedlającymi świat przyrody. Po prostu nie miała pojęcia, w jaki sposób odnosić się do kogoś, z kim nie można nawiązać wewnętrznej łączności, a jeśli nie mogła kogoś pokochać, nie mogła też oplakiwać.

Daleko w dole Candy ukleknął przy grobie.

27

W poniedziałek po południu Thomas pracował przy stole. Tworzył obrazkowy wiersz. Pomagał mu Derek. Przynajmniej myślał, że pomaga. Grzebał w pudełku z wycinkami, wybierał obrazki i podawał je Thomasowi. Jeśli obrazek pasował, Thomas go przycinał, a potem kleił do zeszytu. Najczęściej jednak nie pasował, więc odkładał go na bok i prosił o następny, aż w końcu Derek dawał mu to, czego potrzebował. Nie powiedział Derekowi okropnej prawdy. Okropna prawda była taka, że chciał ten wiersz zrobić sam. Nie mógł jednak go zranić. Derek i bez tego dużo wycierpiał. Za dużo. To naprawdę boli, jak jest się głupim, a Derek był głupszy niż Thomas. Derek wyglądał też głupiej, co musiało boleć jeszcze bardziej. Miał silniej niż Thomas ściętą czołową część nosa i niekształtną głowę. Okropna prawda.

Potem, gdy zmęczeni się robieniem wiersza, Thomas i Derek zeszli do świetlicy i właśnie tam to się stało. Skrzywdzili Dereka. Tak mocno, że aż płakał. Zrobiła to dziewczyna. Mary. W świetlicy.

Pare osób grało w kacie w kulki. Inni oglądali telewizję. Thomas i Derek usiedli na kanapie pod oknem. Byli Towarzyscy, czekali, żeby ktoś się do nich dosiadł. Pielęgniarki chciały, aby w Domu wszyscy Byli Towarzyscy. Kiedy nikt nie zechciał Być Towarzyskim razem z nimi, Thomas i Derek zajęli się oglądaniem kolibrów przylatujących do wiszącego za oknem karmnika. Kolibry latały w kolko i były bardzo śmieszne do oglądania. Mary, która była w Domu nowa, nie latała w kolko i nie była śmieszna do oglądania, ale za to dużo brzęczała. Bzz, bzz, bzz, bez przerwy.

Mary znalazła się na lamigłówkach. Mówiła, że one są ważne, te lamigłówki. Może tak było naprawdę, choć Thomas nigdy o nich nie słyszał i nie rozumiał, do czego służą, ale przecież było wiele ważnych rzeczy, których nie rozumiał. Oczywiście wiedział, co to głowa, znalazł też słowo "łamac". Wydawało mu się, że stanie się coś bardzo niedobrego, kiedy ktoś złamie sobie głowę, ale Mary powiedziała, że lamigłówki są dobre i nie robią nikomu krzywdy.

-Jestem wysoko rozwiniętym kretynem - powiedziała, bardzo z siebie zadowolona.

Thomas nie wiedział, co to takiego kretyn, ale nie udało mu się wypatrzeć w Mary niczego wysokiego. Cała była gruba i przyklapnięta.

-Prawdopodobnie ty też jesteś kretynem, Thomas, lecz nie tak wysoko rozwiniętym jak ja. Ja jestem prawie normalna, a ty taki nie jesteś.

Całe to gadanie wprowadziło Thomasa w zmieszanie. Derek był zmieszany jeszcze bardziej. Swoim grubym, czasami trudnym do zrozumienia głosem, powiedział:

-Ja? Nie kretyn. - Potrząsnął głową. - Kowboj. - Uśmiechnął się. - Kowboj.

Mary parsknęła śmiechem.

-Nie jesteś kowbojem i nigdy nim nie będziesz. Tak naprawdę, to jesteś imbecylem.

Musieli prosić, żeby powtórzyła im to słowo parę razy, zanim do nich dotarło, ale nawet wtedy nie bardzo je rozumieli. Potrafili je wymówić, lecz jego znaczenie było dla nich równie niejasne jak wygląd jednej z owych lamigłówek.

-Ludzie dzieli się na normalnych - tłumaczyła Mary - potem nieco niżej są kretyni, jeszcze niżej są imbecyle, którzy są głupszy od kretynów, i na końcu idioci, głupszy nawet od imbecyłów. Więc ja jestem wysoko rozwiniętym kretynem i nie zostanie tu na zawsze. Będzie się dobrze sprawować, ciężko pracować, żeby stać się normalną, aż pewnego dnia wróci do domu przejściowego.

-Przejściowego dokąd? - zapytał Derek, a było to dokładnie to pytanie, które pragnął zadać Thomas.

Mary rozesmiała się.

-Do normalnego życia, do czegoś, czego ty nigdy nie osiągniesz, ty biedny, głupi imbecyłu.

Tym razem Derek uswiadomił sobie, że dziewczyna patrzy na niego z góry, nasmiewając się, i choć próbował nie płakać, nie zdołał powstrzymać łez. Zrobił się czerwony na twarzy i płakał, a Mary radosnie szczyrzyła zębami, puszczając się jakby zdobyła jakąś ważną nagrodę. Powiedziała złe słowo i powinno być jej wstyd, ale nie było. Powtórzyła to słowo jeszcze raz, chociaż, jak to już teraz Thomas wiedział, "imbecyl" było złym słowem, i powtarzała je tak długo, aż biedny Derek poderwał się z kanapy i uciekł, a nawet wtedy krzyczała jeszcze w ślad za nim.

Thomas wrócił do pokoju i znalazł wrzeszczącego Dereka w szafie za zamkniętymi drzwiami. Przyszły pielęgniarki i mówiły do Dereka naprawdę łagodnie, ale on nie chciał wyjść z szafy. Musiały go długo namawiać, zanim stamtąd wyszedł, lecz nawet wtedy nie mógł przestać płakać, więc po chwili musiały Cos Mu Dac. Kiedy człowiek jest chory, choćby na grype, pielęgniarki proszą go wówczas, żeby Cos Wziął, a to oznacza pigułkę takiego czy innego kształtu, w takim lub innym kolorze, duża lub mała. Jeśli natomiast mówią, że muszą Cos Ci Dac, zawsze oznacza to zastrzyk, który jest złą rzeczą. Nigdy nie musiały Dawac Czegoś Thomasowi, ponieważ Thomas zawsze był grzeczny. Ale Derekowi robiło się czasem tak niedobrze, że nie mógł pohamować płaczu,

a nawet bil sie po twarzy tak mocno, ze az plynela krew, a on na to nie zwazal i tlukl sie dalej, wiec wtedy pielegniarki musialy Cos Mu Dac Dla Jego Wlasnego Dobra. Derek nigdy nikogo nie uderzyl, byl bardzo spokojny, ale Dla Jego Wlasnego Dobra trzeba go bylo uspokajac albo nawet usypiac, tak jak to sie stalo dzisiaj, gdy Mary, wysoko rozwinieta kretyнка, nazwala go imbecylem.

Kiedy Derek usnal, jedna z pielegniarek usiadla przy stole obok Thomasa. Byla to Cathy. Thomas lubil Cathy. Byla starsza od Julie, lecz nie tak stara, by wygladac na czyjas matke. Byla tez ladna. Nie tak ladna jak Julie, ale ladna i miala przyjemny glos i oczy, w ktore mozna bylo spojrzec bez leku. Ujela w obie dlonie dlon Thomasa i zapytala czy dobrze sie czuje. Odpowiedzial, ze tak, choc naprawde wcale nie czul sie dobrze, a ona o tym wiedziala. Porozmawiali przez chwile i to pomoglo. Byl Towarzyski.

Opowiedziala mu o Mary, tak ze wszystko zrozumial. Poczul sie troche lepiej.

-Ona jest taka rozczarowana, Thomas. Przez jakis czas przebywala w normalnym swiecie, w domu przejsciowym, gdzie nawet pracowala w niepelnym wymiarze godzin i zarabiala troche pieniedzy. Bardzo sie starala, ale poniosla porazke, miala za duzo problemow i musiala wrocic do zakladu zamknietego. Mysle, ze zaluje tego, co zrobila Derekowi. Jest po prostu bardzo rozczarowana, potrzebne jej bylo poczucie wlasnej wyzsosci. Nad kimkolwiek.

-Ja... zylem... zylem kiedys w tamtym swiecie - powiedzial Thomas.

-Wiem, kochanie.

-Z moim tata. Potem z siostra. I z Bobbym.

-Podobalo ci sie tam?

-Niektore rzeczy... mnie przerazaly. Ale kiedy bylem z Julie i Bobbym... bardzo mi sie podobalo.

Z lozka zajmowanego przez Dereka rozbrzmiewalo chrapanie.

Popoludnie z wolna dobiegalo kresu. Niebo zrobilo sie brzydsko-burzowe. W pokoju krolowaly cienie. Palila sie tylko lampka na stole i w jej swietle twarz Cathy wygladala bardzo ladnie. Jej skora przypominala atlas o barwie brzoskwini. Wiedzial, jak wyglada atlas. Julie miala kiedys atlasowa suknie.

Przez chwile milczal razem z Cathy.

Potem powiedzial:

-Czasami jest bardzo ciezko.

Polozyla mu reke na glowie. Pogladzila po wlosach.

-Tak, wiem o tym, Thomas, wiem.

Była taka miła. Nie wiedział, dlaczego zaczął płakać, skoro była taka miła, ale nie mógł nic na to poradzić. Może płakał właśnie dlatego, że ona była taka miła.

Cathy przysunęła się bliżej ze swoim krzesłem. Przytulił się do niej. Objęła go ramionami, a on płakał i płakał. Nie tak mocno jak Derek. Ale nie mógł przestać. Nie chciał płakać, ponieważ płacz sprawiał, że czuł się głupio, a on nienawidził czuć się głupio.

-Nienawidzę czuć się głupio - powiedział przez łzy.

-Nie jesteś głupi, kochanie.

-Tak, jestem. Nienawidzę tego. Ale nic nie mogę poradzić. Staram się o tym nie myśleć, ale jak można nie myśleć, kiedy właśnie taki jesteś, a inni ludzie nie są i codziennie wychodzą na świat i tam żyją, a ty na świat nie wychodzisz i nawet tego nie chcesz, a właściwie, och, bardzo chcesz, nawet jeśli mówisz, że nie chcesz. - Powiedział naraz bardzo wiele słów i aż się zdziwił, że udało mu się tyle powiedzieć. Obok zdziwienia poczuł także rozczarowanie, ponieważ bardzo pragnął opowiedzieć jej, jak to jest, kiedy człowiek jest głupi i boi się normalnego świata, lecz mu się nie udało, nie potrafił wyszukać właściwych słów i uczucie to nadal tkwiło w nim, zakorkowane. - Czas. Widzisz, masz dużo czasu, kiedy jesteś głupi i nie możesz wyjść na świat, mnóstwo czasu do zabicia. Ale tak naprawdę, to jest go za mało, za mało na to, żeby nauczyć się nie bać różnych rzeczy. A ja muszę się nauczyć nie bać, tak aby móc wrócić i być razem z Julie i Bobbym. Bardzo bym chciał, żeby tak się stało, zanim skończy się cały mój czas. Za dużo czasu, a równocześnie za mało - to bardzo głupie, prawda?

-Nie, Thomas. To wcale nie jest głupie.

Nie próbował oswobodzić się z jej ramion. Potrzebował tej pieczyoty.

Cathy powiedziała:

-Wiesz, czasami życie jest trudne dla każdego. Nawet dla mądrych ludzi. Nawet dla tych najmądrzejszych.

Otarł dłońmi mokre oczy.

-Naprawdę? Dla ciebie też?

-Czasami. Ale wierzę, Thomas, że istnieje Bóg, który stworzył nas w jakimś celu, i że każde trudne doświadczenie, któremu musimy stawić czoło, jest sprawdzianem, a my znosząc je cierpliwie stajemy się lepsi.

Uniosł głowę i spojrzał jej w twarz. Miała ładne oczy. Dobre oczy. To były oczy pełne miłości. Tak jak oczy Julie czy Bobby'ego. Thomas powiedział:

-Bóg stworzył mnie głupim, żeby mnie wypróbować?

-Nie jesteś głupi, Thomas. Pod wieloma względami nie jesteś głupi. Nie podoba mi się, gdy tak o

sobie mowisz. Nie jestes tak sprytny jak inni, ale to nie twoja wina. Jesteś inny, to wszystko. Bycie... innym jest własnie twoja proba, a ty radzisz sobie bardzo dobrze.

-Naprawde?

-Pieknie. Spojrz na siebie. Nie jestes zgorzknialy. Nie dasasz sie. Otwierasz sie na innych ludzi.

-Jestem Towarzyski.

Uśmiechnela sie, wyciagnela papierowa chusteczke z pudelka na stole i otarla mu z twarzy lzy.

-Sposrod wszystkich sprytnych ludzi na swiecie, Thomas, ani jeden nie radzi sobie z własnym brzemieniem lepiej od ciebie, a bardzo niewielu rownie dobrze.

Wiedzial, ze Cathy naprawde tak myśli, wiec poczul sie szczesliwy, choc w glebi duszy nie bardzo wierzył, aby zycie mądrych ludzi moglo czasami byc ciezkie.

Zostala z nim jeszcze przez chwile, chciala sie upewnic, ze wszystko jest w porzadku. Potem odeszla.

Thomas wrocil do stolu i sprobował dokonczyc wiersz.

Po chwili zrezygnowal, podszedl do okna. Na dworze padal deszcz. Jego struzki splywaly po szybie. Popoludnie minelo. Wkrotce wszystko przykryje noc.

Przytknal dlonie do szkła. Siegnal w deszcz, w szarosc dnia, w podkradajaca sie niepostrzezenie nicosc nocy.

Cos Zlego nadal tam bylo. Czul to wyraznie. Czlowiek, ale jakby nie czlowiek. Cos wiecej niz czlowiek. Bardzo zle. Brzydkie-paskudne. Wyczuwal je od wielu dni, lecz nie wysylal przez telewizje ostrzezen do Bobby'ego od poprzedniego tygodnia, poniewaz Cos Zlego nie zblizalo sie. Bylo daleko, wiec na razie Julie nic nie grozilo, a gdyby wysylal ostrzezenia za czesto, Bobby moglby przestac zwracac na nie uwage i kiedy Cos Zlego wreszcie nadejdzie, Bobby tego nie zauwazy, przez co Julie znalazlaby sie w niebezpieczenstwie.

Najbardziej martwilo Thomasa, ze Cos Zlego moze zabrac Julie w Zle Miejsce. Jego matka odeszla w Zle Miejsce, kiedy Thomas mial dwa lata, wiec zupełnie jej nie pamietal. Pozniej w Zle Miejsce powedrowal ojciec, zostawiajac Thomasa tylko z Julie.

Nie chodzilo mu o pieklo. Wiedzial o niebie i piekle. Niebo nalezalo do Boga. Pieklem rzadzil diabel. Jezeli tylko niebo istnialo, to byl pewien, ze mama i tata przebywaja własnie tam. Kazdy chcial isc do nieba, jesli tylko mogl. Wszystko w niebie bylo lepsze. W piekle musialy byc niedobre pielegniarki.

Dla Thomasa Zle Miejsce me bylo tym samym, co pieklo. Bylo Smiercia. Slowo "smierc" nie dawalo sie zilustrowac. Smierc znaczyła, ze wszystko zostalo zatrzymane, odeszlo, ze caly czas, jaki sie mialo do dyspozycji, dobiegl kresu, zatrzymal sie raz na zawsze. W jaki sposob mozna to zilustrowac? Rzecz nie byla realna, jezeli nie mozna bylo jej przypisac okreslonego wizerunku. Nie

widział śmierci, nie potrafił wytworzyć sobie w głowie jej obrazu, w każdym razie nie wtedy, gdy próbował o niej myśleć tak jak inni ludzie. Był na to za głupi, dlatego też wyobraził ją sobie jako miejsce. Ludzie mówią, że Śmierć przychodzi kogoś zabrać, tak jak pewnej nocy przyszła po jego ojca, gdy dostał ataku serca. Lecz skoro zabiera, to musi potem przenosić w jakieś miejsce. W Złym Miejsce. Jeżeli tam trafił, nie było już drogi powrotu. Thomas nie wiedział, co działo się z człowiekiem w Złym Miejscu. Może nic strasznego. Z wyjątkiem tego, że nie można było stamtąd wrócić i zobaczyć ukochanych ludzi, co samo w sobie było wystarczająco przykre, niezależnie od tego, czy mieli tam dobre jedzenie. Może część osób szła do nieba, a część do piekła, lecz ani z jednego, ani z drugiego nie było powrotu, a zatem oba stanowiły część Złego Miejsca, jak różne pokoje tego samego domu. Ponadto nie był pewien, czy niebo i piekło istnieją naprawdę, więc może w Złym Miejscu nie było niczego oprócz ciemności, zimna i takiego mnóstwa wolnej przestrzeni, że kiedy już ktoś się tam znajdzie, nie natrafi nawet na ślad ludzi, którzy odeszli wcześniej.

I właśnie tego bał się najbardziej. Nie samego zniknięcia Julie w Złym Miejscu, lecz tego, że nie zdoła jej odszukać, gdy kiedyś tam zawedruje.

Zawsze lekał się nocy. Calej tej ogromnej pustki. Przykrywającego świat wieka. Więc jeżeli zwyczajna noc była tak przerażająca, Złe Miejsce musiało być bez porównania gorsze. Na pewno było większe niż noc, a dzień nigdy się tam nie zaczynał.

Niebo za oknem pociemniało.

Wiatr przyginal palmy ku ziemi.

Po szybie sciekaly krople deszczu.

Cos Złego było daleko.

Ale podejdzie bliżej.

Wkrótce.

28

Candy przeżywał jedne z owych dni, kiedy nie mógł pogodzić się ze śmiercią matki. Za każdym razem, gdy wchodził do jakiegos pokoju lub mijal zakret korytarza, spodziewał się, że ją ujrzy. Wydawało mu się, że w salonie skrzypi bujany fotel, a pochłonięta robotka matka nuci coś cicho pod nosem, lecz kiedy tam zajrzał, nie zastał nikogo, a stojący w kacie bujak ginal pod grubą warstwą kurzu i pajeczyn. W jakimś czasie później pośpieszył do kuchni, wierząc, że spotka tam matkę ubraną w jasną, kwiecistą sukienkę, z nałożonym na wierzch białym fartuchem przyozdobionym szeroką falbaną, zajęta pieczeniem placuszków lub też może wyrabiająca ciasto, lecz oczywiście kuchnia była pusta. W chwili silnego emocjonalnego wzburzenia Candy pognął na górę, pewien, że zastanie ją w łozku, jednak gdy tylko otworzył drzwi, przypomniał sobie, że teraz jest to jego pokój, a matki od dawna już nie ma. Chciał w końcu otrząsnąć się z tego dziwnego, uciążliwego nastroju, wyszedł na rozciągnięte za domem podwórze i przystanął nad jej samotnym grobem, umiejscowionym w północno-wschodnim narożniku posiadłości Pollardów. Pogrzał ją tam siedem lat temu, pod

uroczystym zimowym niebem, takim samym jak dzisiejsze, po którym, tak jak teraz, zataczał kregi jastrzab. Wykopał grob, owinał ją w przescieradła przesycone zapachem Chanel nr 5, po czym potajemnie oddał ziemi. Wszystko musiał robić w najgłębszym sekrecie, ponieważ pochówek na prywatnej działce nie będąc cmentarzem był niezgodny z prawem. Gdyby dopuścił do tego, by matkę pogrzebano gdzie indziej, musiałby się tam przeprowadzić, gdyż nie zniosłby rozstania z jej doczesnymi szczatkami.

Padł na kolana.

Wraz z upływem lat znaczący grob niewielki wzgórek osiadł do tego stopnia, że teraz w tym miejscu widac było płytkie zakleszczenie. Trawa rosła tam rzadziej, a jej zmierzwiłone, poskrecane źdźbła różniły się od otoczenia, czego Candy w żaden sposób nie potrafił wyjaśnić. Tak było od samego początku. Mogiły matki nie upamiętniał nawet najmniejszy nagrobek. Choć bowiem teren otaczał wysoki żywopłot, nie mógł ryzykować zwrocenia czyjejkolwiek uwagi na to nielegalne miejsce jej ostatniego spoczynku.

Wpatrując się w ziemię pod nogami, Candy zastanawiał się, czy nagrobek pomógłby mu pogodzić się ze śmiercią matki. Gdyby codziennie oglądał jej imię i datę śmierci głęboko wyryte w bloku marmuru, to może powoli, ale skutecznie, zapadłby mu one w serce, oszczędzając dni takich jak ten, kiedy nadszedł go stan dziwnej niepamięci i niemożliwych do spełnienia nadziei.

Rozciągnął się na mogile, z głową zwróconą na bok, z jednym uchem przytkniętym do ziemi, jakby oczekując, że przemówi do niego ze swego podziemnego loża. Tuląc się mocno do twardego gruntu zapragnął poczuć wspaniałą żywotność, którą niegdyś promieniowała, czystą energię, płynącą z jej ciała, niczym ciepło z otwartych drzwi pieca. Nie czuł niczego. Choć jego matka była wyjątkową kobietą, Candy zdawał sobie sprawę, iż absurdem było oczekiwać, żeby po siedmiu latach jej szczątki tchnęły choćby namiastką potężnej miłości, jakiej nie szczędziła mu za życia. A jednak poczuł rozczarowanie, gdy ponad ziemią przykrywającą jej święte kości nie rozblęsnęła choćby najslabsza aura.

Poczuł w oczach gorące łzy, więc spróbował je powstrzymać. Jednak z pierwszym toczącym się po niebie echem odległego gromu zaczął padać deszcz, a wraz z nim łzy popłynęły obficie, gdyż podobnie jak nadchodzącej burzy nie sposób ich było uniknąć.

Leżała oddalona od niego zaledwie o pięć czy sześć stopni, toteż nagle zawładnął nim przemożny impuls, aby rozkopać rozdzielającą ich kupa ziemi. Wiedział, że ciało matki zgniło, że w dole znalazłby tylko kości otoczone ohydnymi resztkami czegoś, co nie dałoby się rozpoznać, ale pragnął ją obejmować i być obejmowany, nawet gdyby musiał sam ułożyć jej trupie ramiona. Zaczął drzeć trawę, odrzucił na bok parę garści ziemi. Wkrótce jednak opanowało go lkanie tak przemożne, że, zmęczony, nie miał już siły dłużej walczyć z rzeczywistością.

Matka nie żyła.

Odeszła.

Na zawsze.

Zimne strugi gwałtownego deszczu, spadające na grzbiet Candy'ego, zdawały się wysysać z niego gorącą rozpacz, wypełniając go na to miejsce lodowatą nienawiścią. To Frank zabił ich matkę, musi zapłacić życiem za te zbrodnie. Tarzając się w błocie i płacząc jak dziecko, Candy nigdy nie spełni zemsty. Podniósł się i stał z zacisniętymi pięściami, pozwalając, by burza zmyła z niego brud i żal.

Obiecał matce, że będzie bardziej wytrwały i bezwzględny w poszukiwaniu jej zbrojcy. Gdy następnym razem trafi na ślad Franka, nie straci go z oczu.

Wzniosłszy oczy ku zaciągniętym chmurami, ociekającemu wilgocią niebu, zwracając się do matki, Candy powiedział:

-Odnajdę Franka, zabije go, zmiazdze. Tak właśnie zrobię. Rozbiję mu czaszkę, wyjęę jego przeklęty mózg, pokroję go na kawałki i spuszcze z wodą w sedesie.

Deszcz zdawał się go przenikać, napelniając chłodem aż do szpiku kości. Candy zadrzał.

-Jeśli napotkam kogoś, kto wyciągnął ku niemu pomocną dłoń, odrąbuję te ręce. Wyrwę oczy każdemu, kto spojrzy na Frankie'ego z sympatią. Przysięgam, że tak uczynię. I odetnę język wszystkim draniom, którzy odważą się powiedzieć o nim dobre słowo.

Nieoczekiwanie deszcz lwał z większą siłą, przygniatając trawę ku ziemi, łomocąc o liście pobliskiego dębu, budząc choralny szept w zaroślach eugeniei. Wielkie krople tłukły go po twarzy, zmuszając do zmrużenia oczu, lecz on mimo to trwał zapałszy w niebo.

-Jeśli znalazł kogoś, obojętnie kogo, kto się o niego troszczy, odbiorę mu go, tak jak on odebrał mi ciebie. Rozerwę takim ludziom żyły, wypiję ich krew, a ciała wyrzucę jak śmieci.

Podobne obietnice składał już wielokrotnie w ciągu minionych siedmiu lat, za każdym razem robił to jednak z nie słabnącą pasją.

-Jak śmieci - powtórzył przez zacisnięte zęby.

Trawiace go pragnienie zemsty było równie silne jak w dniu morderstwa. Jego nienawiść do Franka nigdy jeszcze nie przybrała takich rozmiarów.

-Jak śmieci.

Ostrze błyskawicy rozpruło poobtlukiwane niebo. Na krótką chwilę wśród ciemnych chmur zjawilo się postrzępione rozdarcie. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że widzi nie chmury, lecz niezwykle rozedrgane ciało jakiejś boskiej istoty, a światło błyskawicy odsłania przed nim lśniącą tajemnicę tamtego świata.

Clint bardzo nie lubił, kiedy w południowej Kalifornii MKS padał deszcz. Przez większą część roku utrzymywała się tutaj słoneczna pogoda, a ostatnie dziesięciolecie należało do wyjątkowo suchych. Zdarzały się zimy, w czasie których bywało zaledwie kilka burz. Gdy w końcu spadał deszcz, ludzie

zachowywali się tak, jakby zupełnie zapomnieli, jak się jeździ po mokrej nawierzchni. Zakorkowane ulice przypominały przepelnioną wodą rynny. Na drogach publicznych było jeszcze gorzej. Szosy wyglądały jak nieskonieczone długie myjnie, w których popsuly się przenośniki. Przy gasnacym z wolna świetle poniedziałkowego popołudnia podjechał pod Palomar Laboratories w Costa Mesa. Był to jednopiętrowy, betonowy budynek położony o jedną przecznice na zachód od Bristol Avenue. Ich sekcja analiz medycznych przeprowadzała między innymi badania próbek krwi, wydzielin oraz biopsje, można też było tu zlecić wszelkie analizy przemysłowe i geologiczne.

Zostawił swego chevroleta na przyległym parkingu i z plastikową torbą z supermarketu Vona w dłoni pobrnął przez głębokie kaluże, kryjąc twarz przed zacinającym deszczem. Ociekając wodą wszedł do małej sali recepcyjnej.

W okienku siedziała młoda, atrakcyjna blondynka. Miała na sobie biały fartuch, na który nałożyła purpurową wełnianą kamizelkę.

-Powinien pan nosić parasol - zaszczebiotała.

Clint skinął głową, położył torbę na ladzie i zaczął odpinać zamykające ją paski.

-Albo przynajmniej płaszcz przeciwdeszczowy.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął wizytówkę Dakota and Dakota, po czym podał ją dziewczynie.

-Czy życzy pan sobie, żebyśmy tam przesłali rachunek? - zapytała.

-Tak.

-Czy korzystali państwo z naszych usług już wcześniej?

-Tak.

-Czy macie własne konto?

-Tak.

-Nie widziałam pana tutaj przedtem.

-Nie.

-Mam na imię Lisa. Pracuje od tygodnia. Od kiedy tu jestem, jeszcze nie widziałam prywatnego detektywa.

Z dużej białej torby wydobył trzy mniejsze, przezroczyste, zamknięte na plastikowy suwak woreczki i ułożył je równo przed sobą.

-Jak ma pan na imię? - spytała, z uśmiechem przechylając głowę.

-Clint.

-W taka pogodzie powinienes miec przy sobie parasol albo plaszcz przeciwdeszczowy, Clint, bo inaczej zaziębiesz sie na smierc, nawet pomimo silnej budowy.

-Najpierw koszula - powiedzial Clint, popychajac worek do przodu. - Potrzebujemy analiz plam krwi. Sama grupa nie wystarczy. Chcemy miec wszystko, z badaniami genetycznymi wlacznie. Prosze pobrac probki z czterech roznych miejsc, poniewaz na koszuli moze byc krew kilku osob. Jesli tak, nalezy opracowac kazda oddzielnie.

Zmarszczywszy brwi, Lisa spojrzala na Clinta, a potem na zamknieta w torbie koszule. Zaczela wypelniac formularz zlecenia.

-To samo zrobcie z tym - powiedzial popychajac drugi worek. W srodku znajdowal sie zlozony arkusz firmowego papieru Dakota and Dakota, zabarwiony krwawymi plamami. W biurze Julie wysterylizowala szpilke nad plomieniem zapalki i naklula kciuk Franka Pollarda, wyciskajac z niego na papier pare kropel krwi. - Chcemy wiedziec czy krew na koszuli jest identyczna z probka na papierze.

Trzeci worek zawieral czarny piasek.

-Czy jest to substancja organiczna?

-Nie wiem. Wyglada jak piasek.

-No bo jesli to jest substancja organiczna, powinna trafic do sekcji medycznej, w przeciwnym razie nalezy ja skierowac do laboratorium przemyslowego.

-Prosze wyslac po malej probce do kazdego z nich.

-To bedzie drozej kosztowac.

-Koszt nie gra roli. Wypelniajac trzeci formularz, spytala:

-Na Hawajach jest pare plaz z czarnym piaskiem. Byl tam pan kiedys?

-Nie.

-Kaimu. Tak sie nazywa jedna z czarnych plaz. Pochodzi z wulkanu, czy cos w tym rodzaju. Oczywiscie mam na mysli piasek. Lubi pan plaze?

-Tak.

Podniosla glowe i zawiesiwszy pioro nad formularzem, poslala mu szeroki usmiech. Miala pelne wargi i olsniewajaco biale zebry.

-Uwielbiam plaze. Nie ma nic lepszego, jak nalozyc bikini, a potem wchlonac troche slonca,

dosłownie piec się na piasku. Nic mnie nie obchodzi całe to gadanie o szkodliwości opalenizny. Przecież życie jest takie krótkie, prawda? Trzeba wykorzystać je jak najlepiej, poki tu jesteśmy. Poza tym, słońce sprawia, że czuje się... och, właściwie to nie rozleniwiona, bo słońce nie pozbawia mnie energii, a wręcz przeciwnie, wydaje mi się, że energia mnie rozpiera, ale jest to taka leniwa energia, coś takiego, co ma w sobie poruszająca się lwica, rozumiesz? Silna, ale na luzie. Słońce sprawia, że odzywa się we mnie lwica.

Zachował milczenie.

-Słońce jest takie erotyczne - powiedziała po chwili. - Chyba właśnie coś takiego usiłowałam powiedzieć. Wystarczy trochę poleżeć w słońcu na ładnej plaży i znikają wszelkie zahamowania.

Przypatrywał się jej z uwagą.

Skonczywszy wypełniać zlecenia, oddała mu kopie, a oryginały poprzypinała do odpowiednich probek. Gdy się z tym uporała, odezwała się:

-Posłuchaj, Clint, żyjemy w nowoczesnym świecie, prawda? Nie bardzo wiedział, o co jej chodzi.

-Wszyscy jesteśmy dziś wyzwoleni, no nie? - ciągnęła. - Więc jeśli dziewczyna spotka atrakcyjnego chłopaka, to nie musi czekać, aż zrobi on pierwszy krok.

Oho, pomyślał Clint.

Odchylając się do tyłu na oparcie krzesła, być może po to, by zademonstrować mu ukryte pod białym fartuchem pełne piersi, spytała:

-Może interesuje cie obiad albo kino?

-Nie.

Uśmiech zastygł na jej twarzy.

-Przepraszam - dodał.

Poskładał kopie zleceń, po czym wepchnął je do tej samej kieszeni marynarki, z której wcześniej wyjął wizytówkę.

Czując na sobie nieruchome spojrzenie, pojął, że uraził jej uczucia. Gorączkowo szukał jakiegoś usprawiedliwienia, lecz przyszło mu do głowy tylko jedno.

-Jestem pedalem.

Zamrugła oczami i potrząsnęła głową, jakby dochodziła do siebie po nokautującym ciosie. Niczym przedzierające się przez chmury słońce, na jej ponurej twarzy ponownie zagóścił uśmiech.

-Myślę, że naprawdę tak jest, skoro wytrzymałeś taki ładunek.

-Przepraszam.

-Hej, to nie twoja wina. Jesteśmy tacy, jacy jesteśmy, no nie?

Ponownie wyszedł w deszcz. Zrobiło się chłodniej. Niebo wyglądało jak ruiny wypalonego budynku, do którego zbyt późno dotarła straż pożarna: mokre zgliszcza, opadające płatki popiołu.

30

Wieczorem owego deszczowego poniedziałku, stojąc przy szpitalnym oknie, Bobby Dakota powiedział: -Niewiele stąd widac, Frank. No, chyba że interesują ci parkingi. - Odwrócił się i badawczo obejrzał mały, biały pokój. Szpital zawsze wywoływał u niego gęsia skórę, nie widział jednak powodu, by informować o tym Franka. - Wystroj na pewno nie trafi w najbliższym czasie na łamy Architectural Digest, ale jest tutaj dość wygodnie. Masz telewizję, magazyny i trzy posiłki dziennie podane do łóżka. Zauważyłem też parę niezłych pielęgniarek, ale proszę, postaraj się trzymać ręce z dala od siostrzyczek, okay?

Frank był bladejszy niż zwykle. Ciemne kęsy wokół oczu powiększyły się niczym świeże kleksy. Wyglądał jak prawdziwy pacjent i to taki, co przebywa w szpitalu od wielu tygodni. Naciskając odpowiedni przycisk, podniósł oparcie łóżka.

-Czy wszystkie te badania są naprawdę konieczne?

-Twoja amnezja może być spowodowana przyczynami fizycznymi - odezwała się Julie. - Słyszales, co mówił doktor Freeborn. Sprawdza, czy nie masz wrzodu mózgu, nowotworu, cysty, skrzepów i innych tego rodzaju rzeczy.

-Nie jestem przekonany do tego Freeborna - powiedział Frank zmartwionym głosem.

Sanford Freeborn był przyjacielem Bobby'ego i Julie, a równocześnie ich lekarzem. Parę lat temu pomogli mu wyciągnąć brata z poważnych tarapatów.

-Dlaczego? Co ci się nie podoba w Sandy'ego?

-Nie znam go.

-Nie znasz nikogo - wtracił Bobby. - Na tym polega twój problem. Pamiętasz? Masz amnezję.

Gdy tylko zgodzili się przyjąć sprawę Franka, zabrali go prosto do biura Sandy'ego Freeborna celem przeprowadzenia wstępnych badań. Sandy wiedział o nim tylko tyle, że nie pamięta niczego prócz swego imienia. Nie powiedzieli mu o pełnych pieniędzy torbach, pokrzwawionej koszuli, czarnym piasku, czerwonych klejnotach, niezwykłym owadzie i całej reszcie. Sandy ze swej strony nie pytał, dlaczego Frank zgłosił się do nich zamiast na policję ani dlaczego zajęli się jego przypadkiem, skoro tak bardzo odbiegał od profilu ich działalności. Jedną z cech, które czyniły z Sandy'ego idealnego przyjaciela, była jego niezawodna dyskrecja.

-Myslicie, że separotka jest niezbędna? - zapytał Frank, nerwowo poprawiając przescieradła.

Julie skinela głowa.

-Przecież chciales, zebysmy sie dowiedzieli, co robisz w nocy i dokad wychodzisz. A to oznacza ciagla, niezauwazalna dla otoczenia obserwacje.

-Separatka jest bardzo droga - obstawal przy swoim Frank.

-Mozesz sobie pozwolic na najlepsza opieke - uspokoil go Bobby.

-Ale pieniadze w torbach moga nie byc moje. Bobby wzruszyl ramionami.

-Wtedy bedziesz musial odpracowac rachunek za szpital - przescielisz kilkaset lozek, opróżnisz pare tysiecy basenow, przeprowadzisz kilka bezplatnych operacji mozgu. Przecież mozesz byc neurochirurgiem. Kto to wie? Majac kompletna amnezje nie pamietasz, czy byles wzietym chirurgiem, czy tez moze sprzedawales uzywane samochody. Warto sprobowac. Wez pilke do kosci, odetnij jakiemus facetowi czubek glowy, a potem zajrzyj do srodka i sprawdz, czy dostrzegasz cos znajomego.

Pochylajac sie nad poredza lozka, Julie powiedziala:

-Kiedy tylko nie beda ci robic badan na innych oddzialach, zajmie sie toba nasz czlowiek. Ani na chwile nie spusti cie z oka. Dzisiaj bedzie to Hal.

Hal Yamataka zajal juz stanowisko na przeznaczonym dla odwiedzajacych, niewygodnym krzesle. Usadowil sie z boku lozka, miedzy Frankiem a drzwiami, w miejscu, z ktorego mogl obserwowac zarowno swego podopiecznego, jak i wbudowany w sciane telewizor. Hal byl japonska wersja Clinta Karaghiosisa: piec stop i siedem albo osiem cali wzrostu, szerokie ramiona i klatka piersiowa. Wygladal tak, jakby dobry murarz poskladal go z dopasowanych kamiennych ciosow, umiejetnie chowajac w srodku spajajaca je zaprawe. Na wypadek, gdyby w telewizji nie bylo niczego ciekawego, a klient okazal sie kiepskim rozmowca, przyniosl ze soba powiesc Johna D. MacDonalda. Spogladajac w zachlapane deszczem okno, Frank powiedzial:

-Mysle, ze chyba... boje sie.

-Nie masz sie czego obawiac - odparl Bobby. - Hal nie jest taki niebezpieczny, na jakiego wyglada. Nigdy nie zabil dobrego znajomego.

-Z jednym wyjatkiem - uzupelnil Hal.

-Zabiles znajomego? - zdziwil sie Bobby. - Za co?

-Chcial pozyczyc moj grzebien.

-A wiec widzisz, Frank - ciagnal Bobby. - Nie pros go o grzebien, a bedziesz calkiem bezpieczny.

Frank najwyrazniej nie byl w nastroju do zartow.

-Nie moge przestac myslec o tym, ze obudze siez krwia na rekach. Boje sie, ze moze juz kogos skrzywdzilem. Nie chcialbym, zeby jeszcze ktos ucierpial.

-Och, mozesz byc spokojny. Na pewno nie uda ci sie zranic Hala - pocieszal go Bobby. - To praktykujacy czlonek orientalnej sekty.

-Wcale nie jestem praktykujacy czlonek - zaproponowal Yamataka.

-Twoje problemy seksualne nikogo tutaj nie obchodza, Hal. A tak przy okazji, gdybys nie opychal sie na okraglo suszi, nie smierdzialbys potem surowa ryba i mialbys mniej klopotow z dziewczynami.

Wychylajac sie przez porecz lozka, Julie dotknela dloni Franka. Odpowiedzial bladym usmiechem.

-Czy pani maz zawsze jest taki, pani Dakota?

-Mow mi Julie. Chodzi ci o to, czy zawsze zachowuje sie jak wariat albo dziecko? Obawiam sie, ze tak.

-Slyszales, Hal? - zapytal Bobby. - Kobiety i ludzie z amnezja nie maja poczucia humoru.

Zwracajac sie do Franka, Julie powiedziala:

-Moj maz wyznaje poglad, ze w zyciu wszystko powinno byc zabawne, nawet wypadki samochodowe czy pogrzeby...

-I nawet mycie zebow - dodal Bobby.

-...i o ile go znam, stroilby zarty z radioaktywnego pylu w samym srodku atomowej wojny. Taki juz jest. Nie mozna go z tego wyleczyc...

-Raz probowala - wpadl jej w slowo Bobby. - Wyslala mnie do osrodka odszczesliwiania. Obiecali, ze zrobia ze mnie ponuraka. Nie dali rady.

-Bedziesz tutaj bezpieczny - powiedziala Julie, sciskajac dlon Franka. - Hal sie toba zajmie.

31

Dom entomologa znajdowal sie w Turtle Rock, w niewielkiej odleglosci od uniwersytetu. Niskie, czarne, podobne do grzybow latarnie rzucaly kregi swiatla na mokry chodnik prowadzacy do polyskujacych slabo debowych drzwi. Trzymajac w reku jedna ze skorzanych toreb podroznich Franka Pollarda, Clint wszedl na maly zadaszony ganek i nacisnal dzwonek. Z umieszczonego tuz pod dzwoniem domofonu rozlegl sie meski glos.

-Kto tam?

-Doktor Dyson Manfred? Jestem Clint Karaghiosis. Z Dakota and Dakota.

W pol minuty pozniej Manfred otworzyl drzwi. Byl od Clinta przynajmniej o dziesiec cali wyzszy - musial miec jakies szesc stop i piec lub szesc cali - i znacznie chudszy. Ubrany byl w czarne, obszerne spodnie, biala koszule i zielony krawat. Kolnierzyk koszuli mial rozpiety, a krawat mocno poluzowany.

-Dobry Boze, czlowieku, jestes przesiakniety woda.

-Tylko troche zmoklem.

Manfred sie cofnal i szeroko otworzyl drzwi, wpuszczajac Clinta do wylozonego terakota holu. Zamknawszy drzwi powiedzial:

-Na taka pogodzie trzeba bylo zabrac ze soba plaszcz przeciwdeszczowy albo parasol.

-Kiedy to takie orzezwiajace.

-Co?

-Zla pogoda - odparl Clint.

Manfred przyjrzel mu sie z dziwnym wyrazem twarzy, choc to wlasnie Clintowi Manfred wydawal sie dziwny. Facet byl niezmiernie chudy, skora i kosci. Ubranie wisialo na nim jak na kolku. Spodnie splywaly bezkszaltnie z koscistych bioder, a material koszuli zdawal sie opinac pozbawiony miesni szkielek. Kanciasty i niezgrabny, wygladal jakby zostal stworzony ze sterty suchych patykow przez jakiegos poczatkujacego boga. Mial dluga, waska twarz, wysokie czolo i zapadniete policzki, a mocno opalona, sucha skora byla tak napieta, ze w kazdej chwili mogla peknac, zwlaszcza na wystajacych kosciach policzkowych. Jego niezwykle, bursztynowe oczy obserwowaly Clinta z wyrazem chlodnego zainteresowania, z ktorym musialy sie zetknac tysiace zukow, przyszpilonych do dna specjalnych gablot.

Spojrzenie Manfreda powedrowalo ku podlodze, gdzie wokol butow Clinta zdazyla juz sie zebrac spora kaluza.

-Przepraszam - powiedzial Clint.

-To wyschnie. Bylem wlasnie w gabinecie. Chodzmy tam. Zagladajac do salonu na prawo, Clint zauwazyl tapete w burbonskie lilie, gruby chinski dywan, nadmierna liczbe krzesel i kanap, zabytkowe angielskie meble, welurowe zaslony w kolorze czerwonego wina oraz stoly zastawione bibelotami polyskujacymi w swietle lampy. Bylo to bardzo wiktoriańskie wnetrze, pozostajace w sprzeczności zarowno z obowiazujaca w Kalifornii moda, jak i z otoczeniem samego domu.

Mineli salon i przeszli krotkim korytarzem, na ktorego koncu znajdowal sie gabinet. Manfred poruszal sie szczegolnym, sztywnym krokiem. Wysoki, chudy, z pochylymi ramionami i opuszczona glowa, wygladal na stworzenie rownie prehistoryczne jak modliszka.

Clint oczekiwal, ze gabinet profesora uniwersytetu bedzie pelen ksiazek, tymczasem zaledwie czterdziesti czy piecdziesiat tomow wypelnialo jedna szafe na lewo od biurka. Reszte powierzchni

zajmowały regaly o szerokich, płytkich szufladach, najprawdopodobniej pełne wszelkiego rodzaju pelzającego paskudztwa, zaś na ścianach, w oszklonych gablotkach pyszniły się przezroczne okazy insektów.

Spostrzegłszy zainteresowanie Clinta jedną z kolekcji, Manfred wyjaśnił:

-Karaluchy. Piękne stworzenia. Clint nic nie odpowiedział.

-Mam na myśli prostotę budowy i funkcji. Oczywiście ich wygląd może się spodobać tylko nielicznym.

Clint nie mógł się oprzeć wrażeniu, że wszystkie te stworzenia wciąż żyją.

-Co pan sądzi o tym dużym osobniku w rogu? - zapytał Manfred.

-Jest wielki, proszę pana.

-To świszczak karaczan madagaskarski. Nazwa naukowa *Gromphadorrhina portentosa*. Ten tam - ma ponad osiem i pół centymetra długości, czyli jakies trzy i pół cala. Absolutnie piękny, nieprawdaz?

Clint nie odpowiedział.

Siadając na krześle za biurkiem, Manfred zdołał jakos poskładać długie, kosciste ramiona i nogi, tak że zmieściły się na tej niewielkiej przestrzeni - w sposób, w jaki duży pajak przybiera postać małej kulki.

Clint nie siadał. Miał za sobą ciężki dzień, więc jak najszybciej chciał znaleźć się w domu.

-Zadzwoń do mnie rektor i proszę, abym udzielił panu wszelkiej możliwej pomocy, panie Dakota - powiedział Manfred.

UCI - Uniwersytet Kalifornijski w Irvine - od dłuższego czasu walczył o to, by stać się jedną z pierwszych uczelni w kraju. Obecny rektor, podobnie jak jego poprzednik, dążył do osiągnięcia odpowiedniego statusu, oferując ogromne honoraria i duże dodatkowe dochody światowej klasy naukowcom zatrudnionym w innych instytucjach. Zanim jednak dochodziło do podpisania lukratywnej umowy o pracę, uniwersytet korzystał z pomocy Dakoty and Dakoty, chcąc sprawdzić przeszłość swych nowych pracowników. Nawet błyskotliwy fizyk czy biolog mógł bowiem odczuwać nadmierny pociąg do whisky, używać kokainy czy też gustować w nieletnich dziewczynkach. UCI chciał kupować zdolności umysłowe, poważanie i akademicka chwałę, a nie skandale. Agencja wywiązała się z tego zadania bez zarzutu.

Manfred oparł łokcie o poręcz krzesła, wznosząc ku górze złączone dłonie, których palce były tak długie, że wydawały się zaopatrzone w dodatkowy staw.

-Co pana do mnie sprowadza? - zapytał.

Clint otworzył skórzaną torbę podróżną i wydobyl z niej kwadratowy szklany słoik z szerokim

otworem. Bez słowa postawił go na biurku entomologa.

Owad w słoiku był przynajmniej dwukrotnie większy od madagaskarskiego swiszczącego karalucha.

Przez moment doktor Dyson Manfred wyglądał jak skamieniały, nie był w stanie wykonać najmniejszego ruchu, zapomniał nawet o mruganiu powiekami. W napięciu wpatrywał się w umieszczone w słoju stworzenie. W końcu wykrzyknął:

-Co to jest - oszustwo?!

-Jest prawdziwy.

Manfred pochylił się, garbiąc ramiona i opuszczając głowę, aż jego nos niemal zetknął się ze szklaną ścianką naczynia.

-Żywy?

-Martwy.

-Gdzie pan to znalazł - chyba nie tutaj, w południowej Kalifornii?

-Tak.

-To niemożliwe.

-Co to jest? - zapytał Clint. Manfred posłał mu ponure spojrzenie.

-Nigdy czegoś takiego nie widziałem. A jeśli ja nie widziałem, to nie widział także nikt inny. Należy chyba do gromady Arthropoda, obejmującej między innymi pajaki i skorpiony, ale czy można go zaliczyć do owadów, dowiemy się dopiero po przeprowadzeniu badań. Jeżeli to owad, to zupełnie nowy gatunek. W którym dokładnie miejscu pan go znalazł i dlaczego, na litość boską, interesuje to prywatnych detektywów?

-Bardzo mi przykro, ale nie mogę panu nic powiedzieć. Muszę chronić tajemnice klienta.

Manfred ostrożnie krecił słojem, ze wszystkich stron oglądając jego niecodzienną zawartość.

-To niewiarygodne. Muszę go mieć. - Spojrzał na Clintę, a jego bursztynowe oczy nie były już chłodne i wyrachowane. Plonęło w nich podniecenie. - Muszę mieć ten okaz.

-No cóż, zamierzałem zostawić go panu celem przeprowadzenia badań - odrzekł Clint. - Ale co do tego, czy może pan wejść na stałe w posiadanie...

-Tak, tak. Na stałe.

-... musi wypowiedzieć się mój szef i klient. A na razie chcemy wiedzieć, co to jest, skąd pochodzi, wszystko co zdoła pan ustalić.

Z przesadna troska, jakby trzymał w dłoniach bezcenny kryształ, Manfred unosił słoje do góry.

-Sporządze kompletna dokumentację fotograficzną, a także sfilmuje to stworzenie na taśmie video ze wszystkich stron w maksymalnym zbliżeniu. Potem trzeba będzie przeprowadzić sekcję, chce jednak pana zapewnić, że zrobię to szczególnie troskliwie.

-Proszę robić wszystko, co uzna pan za stosowne.

-Panie Karaghiosis, wydaje mi się pan dziwnie obojętny. Czy w pełni dociera do pana to, co powiedziałem? Wygląda, że jest to zupełnie nowy gatunek, co już samo w sobie jest niezwykle. Jak bowiem gatunek posiadający osobniki o takich rozmiarach mógł równie długo pozostać niezauważony? To będzie wielkie wydarzenie w świecie entomologii, panie Karaghiosis, naprawdę wielkie wydarzenie.

Clint popatrzył na zamkniętego w słoju chrząszcza.

-Tak - powiedział. - Tak właśnie myślałem.

32

Wprost ze szpitala Bobby i Julie pojechali należąca do agencji Toyota na zachód, do leżącego wśród równin Garden Grove, szukając numeru 884 przy Serape Way, taki bowiem adres widniał na posiadanych przez Franka prawie jazdy wystawionym na nazwisko George'a Farrisa. Julie rozglądała się przez pokryte kroplami deszczu boczne szyby, sprawdzając numery mijanych domów.

Wzdłuż ulicy ciągnęły się rzędami jasne, sodowe lampy oraz trzydziestoletnie, parterowe domy. Budowano je w dwóch podstawowych modelach, a iluzję indywidualności uzyskiwano dopiero na etapie wykończenia. Stuk przeplatał się tutaj z cegłą, cedrowym gontem, kamieniem z Bouguet Canyon czy też bryłami wulkanicznych skal.

Kalifornia to nie tylko Beverly Hills, Bel Air i Newport Beach, nie tylko pokazywane w telewizji rezydencje i nadmorskie wille. Tanie budownictwo sprawiło, że sen o Kalifornii stał się dostępny dla rzeszy imigrantów, których fale od dziesięcioleci napływały ze Wschodniego Wybrzeża, a obecnie nawet z dalszych stron, o czym świadczyły wietnamskie i koreańskie nalepki na samochodach zaparkowanych wzdłuż Serape Way.

-Następna przecznica - odezwała się Julie. - Po mojej stronie.

Niektórzy ludzie uważali, że podobne miejsca kalają te ziemie, dla Bobby'ego była to jednak esencja demokracji. Wychował się na ulicy podobnej do Serape Way, tyle że dalej na północ, w Anaheim, a nie w Garden Grove, i nigdy nie uważał jej za brzydką. Pamiętał, jak bawił się z innymi dziećmi w długie letnie wieczory, kiedy zachód słońca malował wstęgi pomarańczowego i purpurowego blasku, a pierzaste sylwetki podświetlanych od tyłu palm wyglądały tak, jakby ktoś namalował je czarnym tuszem na niebie. O zmierzchu powietrze pachniało jaszminem i rozbrzmiewało krzykiem nadciągających od zachodu zapoznionych mew. Pamiętał, czym wtedy był dla dziecka w Kalifornii rower, który otwierał przed nim szanse przygody i czekające na zbadanie horyzonty; każda ulica

zabudowana pokrytymi stiukami domami, ogladana po raz pierwszy z siodelka roweru marki Schwinn, wygladala bardzo egzotycznie.

Nad podwierzem pod numerem 884 gorowaly dwa drzewa koralowe. W mroku delikatnym blaskiem swiecily biale kwiaty azalii.

Zabarwiony swiatlem sodowych lamp ulicznych deszcz przypominal plynne zloto. Spieszac chodnikiem za Julie, Bobby poczul na twarzy i dloniach przenikliwe zimno. Zadrzal, choc mial na sobie ocieplana nylonowa kurtke z kapturem.

Julie nacisnela dzwonek. Zapalilo sie swiatlo nad drzwiami, a Bobby odniosl wrazenie, ze ktos obserwuje ich przez wizjer. Sciagnal do tyłu kaptur i zademonstrowal szeroki usmiech.

Drzwi otwarly sie na szerokosc zabezpieczajacego je lancucha, a przez szpare wyjrzel mezczyzna o niewatpliwie azjatyckim pochodzeniu. Mial czterdziestci pare lat, byl niski i chudy, a jego czarne wlosy na skroniach nosily slady siwizny.

-Tak?

Julie pokazala mu legitymacje prywatnego detektywa, po czym wyjasnila, ze poszukuja czlowieka o nazwisku George Farris.

-Policja? - mezczyzna zmarszczyl czolo. - Wszystko w porzadku, nie trzeba policji.

-Nie rozumie pan, jestesmy prywatnymi detektywami - powtorzyl wyjasnienie Bobby.

Oczy czlowieka w szparze zwezily sie. Wygladalo na to, ze za chwile zatrzasnie im drzwi przed nosem, lecz nieoczekiwanie na jego twarzy zajasnial szeroki usmiech.

-Aha, jestescie detektywami! Jak w telewizji. - Bez dalszego gadania zdjal lancuch i wpuscil ich do srodka.

Wlasciwie nie wpuscil, tylko powital jak godnych najwyzszego szacunku gosci. W ciagu kilku minut dowiedzieli sie, ze nazywa sie Tuong Tran Phan (kolejnosc zostala zmieniona, tak aby zgodnie z zachodnim obyczajem nazwisko znalazlo sie na koncu), ze on i jego zona Chinh uciekli lodzia z Wietnamu dwa lata po upadku Sajgonu, ze po przybyciu do Stanow ciezko pracowali w pralniach, az w koncu sami otworzyli dwie pralnie chemiczne. Tuong nalegal, zeby sie rozebrali. Chinh - drobna kobieta o delikatnych rysach, ubrana w workowate czarne spodnie i jedwabna zolta bluzke - poszla do kuchni przygotowac poczestunek, zupełnie nie sluchajac tłumaczen Bobby'ego, ze sprawa, z ktora przychodzi, nie zajmie wiecej niz pare minut.

Bobby wiedzial, ze pierwsze pokolenie wietnamskich Amerykanow nieufnie odnosilo sie do policji, a nieufnosc ta przybierala czesto takie rozmiary, ze nie zwracali sie do niej o pomoc nawet wowczas, gdy stawali sie ofiarami przestepstwa. Policja poludniowowietnamska byla skorumpowana, zas wladze Wietnamu Polnocnego, ktory zajal Poludnie po wycofaniu wojsk USA, dopuscily sie licznych zbrodni. Nic wiec dziwnego, ze nawet po kilkunastoletnim pobycie w Stanach wielu Wietnamczykow odnosilo sie do wszelkich organow porzadku ze spora rezerwa.

Jednakże w przypadku państwa Phan podejrzliwość nie obejmowała prywatnych detektywów. Widocznie po obejrzeniu w telewizji mnóstwa seriali doszli do przekonania, że wszyscy detektywi to mistrzowie w gromieniu przestępczego podziemia, rycerze, którzy w miejsce kopii posługują się płuczącym ogniem trzydziestka osemka. Występujący w roli obrońców ucisnionych Bobby i Julie zostali uroczyście przeprowadzeni do sofy, będącej najnowszym i zarazem najlepszym meblem w całym salonie.

Phanowie wprowadzili do salonu swoje wyjątkowo zadbane dzieci, a następnie dokonali prezentacji trzynastoletniego Rocky'ego, dziesięcioletniego Sylwestra, dwunastoletniej Sissy oraz sześciolatniej Meryl. Wszystkie urodziły się i wychowały w Ameryce, a jedynymi cechami różniącymi je od większości rówieśników była zdumiewająca uprzejmość i znajomość dobrych manier. Gdy ceremonia dobiegała końca, dzieci wróciły do kuchni, gdzie zajmowały się odrabianiem lekcji.

Pomimo grzecznych protestów Bobby'ego i Julie, na stole zjawiała się kawa, skondensowane mleko i doskonale wietnamskie słodczyce.

Tuong i Chinh zasiedli w podniszczonych fotelach, bez wątplenia znacznie mniej wygodnych niż sofa. Większość zgromadzonych w salonie mebli była utrzymana w prostym, współczesnym stylu i neutralnych kolorach. W jednym rogu stała niewielka buddyjska kapliczka; na czerwonym ołtarzu leżał świeży owoc, a z ceramicznych podstawek sterczało parę laseczek kadzidła. Tliła się tylko jedna z nich, wysyłając pod sufit bladoniebieską smuzkę wonnego dymu. Oprócz kapliczki jedynymi azjatyckimi elementami wyposażenia wnętrza były polakierowane na czerwono stoły.

-Szukamy człowieka, który mógł kiedyś mieszkać w tym domu - zaczęła rozmowę Julie, wybierając smakolyk z tacy wniesionej przez panią Phan. - Nazywał się George Farris.

-Tak. Mieszkał tutaj - powiedział Tuong, a jego żona pokiwała głową.

Bobby poczuł się zaskoczony. Był przekonany, że nazwisko i adres Farrisa zostały użyte przypadkowo przez fałszerza dokumentów i że Frank nigdy nie mieszkał w tym domu. Przecież Frank był zupełnie pewien, że jego prawdziwe nazwisko brzmi Pollard.

-Kupiliście państwo ten dom od George'a Farrisa? - zapytała Julie.

-Nie. On nie żyje - odparł Tuong.

-Nie żyje? - zdziwił się Bobby.

-Od pięciu lub sześciu lat - przytaknął Tuong. - Straszliwy przypadek raka.

A więc Frank Pollard nie nazywał się Farris i nigdy tutaj nie mieszkał. Prawo jazdy zostało całkowicie sfalszowane.

-Kilka miesięcy temu kupiliśmy ten dom od wdowy - ciągnął dalej Tuong. Jego angielski był całkiem poprawny, choć od czasu do czasu zdarzało mu się opuścić rodzajnik przed rzeczownikiem. - To znaczy, mówiąc dokładniej, od spadkobiercy wdowy.

-Czyli że pani Farris także nie żyje - wtraciła Julie. Państwo Phan wymienili znaczące spojrzenia. Tuong powiedział:

-To bardzo smutne. Skąd się biorą tacy ludzie?

-O jakim człowieku pan mówi, panie Phan? - zapytała Julie.

-O tym, który zamordował panią Farris, jej brata i dwie córki.

Bobby miał wrażenie, że coś mu pelza i zwija się w żołądku. Instynktownie polubił Franka Pollarda, był przekonany o jego niewinności, a teraz nagle czerw z wątpliwości zaczął nadgryzać gładkie, błyszczące jabłko jego zaufania. Czy mogło być dziełem przypadku, że Frank miał przy sobie dokumenty człowieka, którego rodzina została wymordowana? Czy Frank ponosił za to odpowiedzialność? Przeżuwał kęs ciastka z kremem i chociaż było smaczne, miał kłopoty z jego przełknięciem.

-Stało się to pod koniec lipca - dodała Chinh. - Podczas tej strasznej fali upałów. - Podmuchała na kawę, aby prędzej wystygła. Doskonale mówiła po angielsku i Bobby podejrzewał, że błędy językowe, jakie z rzadka się jej trafiały, zostały popełnione celowo, tak by słuchacze nie odnieśli wrażenia, że mówi lepiej niż maz. Subtelny, typowo azjatycki przejaw uprzejmości. - A dom kupiliśmy w październiku.

-Zabójcy nie schwytano do dziś - podjął Tuong Phan.

-Czy mają jego rysopis? - zadała kolejne pytanie Julie.

-Nie sędze.

Bobby ostrożnie popatrzył na Julie. Wyglądała na równie jak on wstrząśnięta, darowała sobie jednak spojrzenie typu a-co-nie-mowilam. Zamiast tego spytała:

-W jaki sposób zostali zamordowani? Zastrzeleni? Uduszeni?

-Wydaje się, że nożem. Proszę za mną. Pokażę państwu, gdzie zostały znalezione ciała.

Dom posiadał trzy sypialnie i dwie łazienki, z których jedna przechodziła w tej chwili remont. Ze ścian pozdzierano glazurę, z podłogi terakotę. W kacie stały nowe szafki z litego dębu.

Julie z Tuongiem weszli do środka, Bobby przystanął w drzwiach razem z panią Phan.

Z wywietrznika dobiegał głośny grzechot tłukącego w dach deszczu.

-Ciało najmłodszej córki Farrisów - zaczął Tuong - leżało tutaj, na podłodze. Miała trzynastę lat. Coś strasznego. Mnóstwo krwi. Spoiny między płytkami przesiakły nią zupełnie. Musiałem wszystko wyrzucić.

Następnie zaprowadził ich do sypialni zajmowanej przez córki. Identyczne łóżka, szafki i dwa male

biurka zajmowały niemal całą powierzchnię pokoju, lecz Sissy i Meryl udało się jakos poupychać po kątach sporo książek. Tuong Phan powiedział:

-Tutaj został zabity brat pani Farris, który przyjechał do niej na weekend. We własnym łóżku. Krew była na ścianach i na dywanie. Oglądaliśmy ten dom, jeszcze zanim agent od nieruchomości przeprowadził inwentaryzację. Dopiero potem zmienili dywan i przemaalowali ściany.

Chinh Phan dodała:

-Ten pokój był najgorszy. Śnił mi się po nocach.

Przeszli do skromnie urządzonej głównej sypialni. Królewskich rozmiarów łóżko, nocne szafki, dwie lampki, lecz ani śladu komody czy szafy. Ubrania przechowywano w ustawionych pod jedną ścianą kartonowych pudłach z przezroczystymi, plastikowymi wieczkami.

Ta pasja oszczędzania wydawała się Bobby'emu dziwnie znajoma. Może oni także mieli marzenie, że myśla o którym pracowali i odkładali pieniądze.

-Pani Farris znaleziono w tej sypialni, w łóżku. Spotkał ją okropny los. Została pogryziona, ale w gazetach o tym nie napisali - powiedział Tuong.

-Pogryziona? - z niedowierzaniem spytała Julie. - Przez co?

-Prawdopodobnie przez mordercę. W twarz, gardło... i inne miejsca.

-Jeżeli nie napisali o tym w gazetach - odezwał się Bobby - to w jaki sposób pan się dowiedział?

-Sasiadka, która znalazła ciało, ciągle jeszcze mieszka obok. Mówi, że starsza córka i pani Farris były pogryzione.

-Ona nie należy do osób zdolnych wymyślić podobną historię - dorzuciła pani Phan.

-Gdzie znaleziono drugą córkę? - zapytała Julie.

-Proszę za mną.

Tuong poprowadził ich z powrotem przez salon i jadalnię do kuchni.

Przy stole siedziała czwórka dzieci Phanów. Troje z nich pilnie czytało i robiło jakieś notatki. Nie było tu telewizora ani radia, które rozpraszałyby ich uwagę, a dzieci wyglądały tak, jakby nauka sprawiała im przyjemność. Nawet chodząca do pierwszej klasy Meryl, nie mając zapewne żadnej pracy domowej do odrobienia, czytała książeczkę dla dzieci.

Na ścianie obok lodówki Bobby dostrzegł dwie kolorowe tabele. Pierwsza ukazywała oceny, jakie każde dziecko uzyskiwało z najważniejszych sprawdzianów od początku roku szkolnego. Druga była wykazem domowych obowiązków poszczególnych dzieci.

W całym kraju uniwersytety miały ten sam problem: wśród kandydatów na studia legitymujących się najlepszymi wynikami niezwykle wysoki procent stanowili Azjaci. Czarni i hiszpańskojęzyczni Amerykanie skarżyli się, że są wypierani przez inne mniejszości, zaś biali, których nie przyjęto, dając pierwszeństwo studentom azjatyckiego pochodzenia, głosili potrzebę przywrócenia rasizmu. Niektórzy łączyli sukcesy azjatyckich Amerykanów z jakąś złą złą, lecz Bobby w domu Phanów dostrzegał widoczne na każdym kroku proste wyjaśnienie wszystkich tych osiągnięć: po prostu oni ciężiej pracowali. Wzięli do serca ideały, na których wzniesiono zwały tego kraju: ciężka praca, uczciwość, dążenie do wytkniętego celu, skromność, no i wolność, pozwalająca każdemu zostać tym, kim chce. Jak na ironię, ich wielki sukces brał się po części stąd, że wielu rodowitych Amerykanów zaczęło do tych samych ideałów podchodzić cynicznie.

Kuchnia łączyła się z pokojem dziennym, wyposażonym równie skromnie jak pozostałe pomieszczenia.

-Starsza córka Farrisów znaleziono tutaj, przy sofie. Miała siedemnaście lat - wyjaśnił Tuong.

-Bardzo ładna dziewczyna - dodała ze smutkiem Chinh.

-Ona też była pogryziona, jak matka. Tak twierdzi nasza sąsiadka.

-A pozostałe ofiary? - odezwała się Julie. - Młodsza córka i brat pani Farris - czy oni również byli pogryzieni?

-Nie wiem - odparł Tuong.

-Sąsiadka nie widziała ich ciał - wtraciła Chinh.

Przez chwilę trwali w milczeniu, wpatrując się w podłogę, gdzie znaleziono martwą dziewczynę, jakby oczekując, że pod wpływem tej zbrodni na nowym dywanie wystąpią krwawe plamy. Po dachu niezmordowanie bebnął deszcz.

Pierwszy odezwał się Bobby:

-Czy nie boicie się państwo tutaj mieszkać? Nie dlatego, że w tych pokojach dokonano morderstw, ale z powodu niewykrycia sprawcy. Nie obawiacie się, że któregoś nocy może wrócić?

Chinh skinęła głową, Tuong zaś powiedział:

-Wszystko jest niebezpieczne. Samo życie jest niebezpieczne. Jeśli ktoś chce uniknąć ryzyka, nie powinien się rodzić. - Przez usta przemknął mu nikły uśmiech. - Ucieczka z Wietnamu w małej łódce była bardziej niebezpieczna.

Zagładować do przyległej kuchni, Bobby dostrzegał czworokę pochłoniętych nauką dzieci. Ewentualny powrót mordercy na miejsce zbrodni najwidoczniej ich nie przerazał.

-Poza prowadzeniem pralni - wyjaśniła Chinh - zajmujemy się remontami i sprzedajemy domy. Ten jest już czwarty. Pomieszkamy tutaj może przez rok, odnowimy pokój po pokoju, a potem z zyskiem

sprzedamy.

-Z powodu tych zbrojstw - dodał Tuong - niektórzy ludzie nie chcieli się tutaj wprowadzić. Ale niebezpieczeństwo zawsze niesie ze sobą okazje.

-Kiedy opuścimy ten dom - tłumaczyła dalej Chinh - będzie on nie tylko wyremontowany. Stanie się czysty, duchowo czysty. Rozumiecie państwo? Zostanie przywrócona niewinność tego domu. Wypędzimy stąd zło, które przyniósł ze sobą morderca, i w każdym pomieszczeniu pozostawimy nasze własne duchowe ślady.

Kiwając głową Tuong wtracił:

-To daje dużą satysfakcję.

Bobby wyciągnął z kieszeni sfalszowane prawo jazdy i zasłonił palcami nazwisko oraz adres, pozostawiając widoczną tylko fotografię.

-Czy rozpoznają państwo tego człowieka?

-Nie.

Podczas gdy Bobby chował prawo jazdy, Julie spytała:

-Czy wiecie państwo, jak wyglądał George Farris?

-Nie - odparł Tuong. - Jak już mówiłem, zmarł na raka przed wieloma laty.

-Myślałem, że może widział pan gdzieś w domu jego fotografię, zanim usunięto stąd dobytek Farrisów.

-Nie. Bardzo mi przykro.

-Wspomniał pan wcześniej, że nie kupił tego domu przez pośrednika - odezwał się Bobby. - Czy kontaktował się pan bezpośrednio ze spadkobiercami?

-Tak. Wszystko odziedziczył drugi brat pani Farris.

-Czy zna pan przypadkiem jego nazwisko i adres? Myślę, że będziemy musieli z nim porozmawiać.

33

Derek obudził się w porze obiadu. Był otumaniony, ale i głodny. Wspierał się o Thomasa, gdy szli do Jadalni. Zjedli wszystko. Spaghetti. Pulpety. Sałatę. Chleb. Czekoladowy placek. Zimne mleko. Wrocili do pokoju i oglądali telewizję. Derek znowu zasnął. Tego dnia był w telewizji bardzo słaby program. Thomas westchnął z oburzenia. Po jakiejś godzinie wyłączył odbiornik. Żaden show nie był na tyle interesujący, żeby go oglądać. Wszystkie były zbyt głupie - niemiłe nawet dla kretyna, którym był - wedle tego, co mówiła Mary. Może to podobałoby się imbecyloom, ale chyba też

nie.

Poszedl do lazienki. Umyl zeby, potem twarz. Nie patrzyl w lustro. Nie lubil luster, poniewaz pokazywaly mu, jak wyglada.

Przebral sie w pizame i polozyl do lozka. Zgasil lampe, choc bylo dopiero wpol do dziewiatej. Obrocil sie na bok i z glowa wsparta o dwie poduszki zapatrzył w widoczny w najblizszym oknie wycinek nieba. Nie bylo gwiazd. Chmury. Deszcz. Lubil deszcz. Kiedy nadiagala burza, przykrywala soba noc i nie mialo sie wtedy uczucia, ze mozna uleciec w ciemnosc, zniknac w niej bez sladu.

Wsluchal sie w deszcz. W szept splywajacych po szybie lez.

Gdzies daleko znajdowalo sie Cos Zlego. Brzydkie-paskudne fale plynely od niego, jak kregi rozchodzace sie po powierzchni kaluzy, gdy wpadnie do niej kamien. Cos Zlego bylo jak duzy kamien cisniety w srodek nocy, jak nie nalezaca do tego swiata istota. Thomas bez trudu odbieral naplywajace od niej z oddali fale.

Siegnal w przestrzen. Wyczul ja. Istota pulsowala. Zimna i pelna zlosci. Nikczemna. Zapragnal zblizyc sie do niej, dowiedziec sie, czym jest.

Sprobowal nadac przez telewizje pytania. "Czym jestes? Gdzie jestes? Czego chcesz? Dlaczego chcesz skrzywdzic Julie?"

Cos Zlego zaczelo nagle przyciagac go z sila wielkiego magnesu. Nigdy dotad czegos takiego nie doswiadczył. Kiedy probowal nadac przez telewizje swoje mysli do Bobby'ego albo Julie, nie ciagneli go tak, jak zrobilo to teraz Cos Zlego.

Czesc jego umyslu przybrala postac rozwijajacego sie z klebka sznurka, ktorego wolny koniec poplynal przez okno w noc i zaglebial sie coraz bardziej w ciemnosc, az w koncu napotkal Cos Zlego. Nieoczekiwanie Thomas znalazl sie bardzo blisko niego. Zbyt blisko. Otaczalo go ze wszystkich stron, wielkie-brzydkie, a zarazem tak dziwne, ze Thomas czul sie tak, jakby wskoczyl do basenu pelnego lodu i zyletek. Nie wiedzial, czy to czlowiek. Nie widzial go przeciez, a tylko wyczuwal. Od zewnatrz mogl wygladac bardzo ladnie, za to w srodku dygotal i byl ciemny, bardzo niedobry. Czul, ze Cos Zlego wlasnie jadlo. Jedzenie jeszcze zylo i piszczalo. Thomas okropnie sie wystraszył, wiec natychmiast chcial sie cofnac, ale przez chwile tamten paskudny umysl przytrzymal go mocno i udalo mu sie uciec dopiero wtedy, gdy wyobrazil sobie nic nawijajaca sie z powrotem na klebek.

Zwinawszy wszystko, Thomas odwrocil sie od okna. Lezac na brzuchu ciezko dyszal i sluchal, jak wali mu serce.

W ustach czul przyprawiajacy o mdlosci posmak. Taki sam smak pojawial sie, gdy czasami niechcacy ugryzl sie w jezyk albo kiedy dentysta wyrwal mu zab. Krew.

Walczac z mdlosciami i strachem usiadl na lozku i od razu zapalil lampke. Z pudelka na nocnej

szafce wyciągnął papierową chusteczkę. Splunął w nią, żeby sprawdzić, czy pokaze się krew. Nie pokazała się. Sama ślina.

Spróbował jeszcze raz. Ani śladu krwi.

Wiedział, co to znaczy. Przebywał zbyt blisko Czegos Zlego. Może nawet na mgnienie oka znalazł się w jego wnętrzu. Brzydki smak w jego ustach był tym samym smakiem, jaki czuł Cos Zlego rozrywając zębami jakies żywe, piszczące jedzenie. Thomas nie miał krwi w ustach, pozostała mu jednak jej pamięć. I to było już dostatecznie niedobre. Bo tym razem wyglądało zupełnie inaczej niż wtedy, gdy skaleczył się w język lub gdy wyrwano mu ząb, ponieważ krew, którą czuł, nie była jego krwią.

Chociaż w pokoju było całkiem ciepło, zaczął drzeć i nie mógł się uspokoić.

* * *

Gnany przemożną żądzą, Candy przemierzał kaniony, płosząc z kryjówek dziką zwierzynę. Kleczał w błocie wsparty o pień wielkiego, smaganego wichurą i deszczem dębu, pochłonięty wysysaniem krwi z rozdartego gardła krowy, kiedy na głowie poczuł czyjąś rękę. Odrzucił krowę, błyskawicznie poderwał się na równe nogi i rozejrzał dookoła. W pobliżu nie było nikogo. Dwa najczarniejsze koty ze stada jego siostr czaiły się z tyłu, w odległości dwudziestu stóp, widoczne tylko dzięki połyskującym w mroku oczom; podzwały za nim od samego domu. Poza tym był zupełnie sam.

Dotyk niewidzialnej ręki trwał kilka sekund. Potem dziwne wrażenie minęło.

Przyjrzał się okolicznym krzakom, usiłując coś usłyszeć poprzez szmer deszczu tłukącego o liście dębu.

W końcu, wzruszywszy ramionami, ulegając palacemu pragnieniu, ruszył pochyłością w kierunku wschodnim. Szeroki na dwie stopy, głęboki na osiem cali strumyk, który powstał na dnie kanionu, nie mógł mu w tym przeszkodzić.

Przemoknięte koty podzwały w ślad za nim. Nie chciał, żeby się koło niego kreciły, ale wiedział z doświadczenia, że nie zdoła ich odpedzić. Nie zawsze mu towarzyszyły, lecz gdy już do tego dochodziło, nic nie było w stanie zmienić ich zamiarów.

Po przejściu dalszych stu jardów padł na kolana, wyciągnął przed siebie ręce i jeszcze raz objawił swoją moc. W noc pomknęło drzące, szafirowe światło. Krzaki przygięły się ku ziemi, zaszeleszczyły drzewa. Słychać było uderzające o siebie odłamki skalne. W ślad za światłem uniosły się chmury piasku, widmowe srebrne kolumny, które chwiejąc się jak poruszane wiatrem kotary szybko zniknęły wśród ciemności.

Z ukrycia wypadły dziesiątki zwierząt. Część z nich pobiegła w stronę Candy'ego. Wyciągnął rękę po krowę, chybił i musiał zadowolić się wiewiórką. Zwierzątko próbowało go ugryźć, lecz schwycił je za jedną łapę, po czym niezwłocznie ogluszył, silnie uderzając głową o błotnisty grunt.

* * *

Violet przebywała w kuchni razem z Verbina. Siedziały na rozłożonych kocach w towarzystwie dwudziestu trzech spośród dwudziestu pięciu swych kotów. Część jej świadomości - podobnie jak świadomości siostry - przeniosła się obecnie do mózgowi Cinders i Lamii, czarnych kotów, za pośrednictwem których obserwowały swego brata. Cinders i Lamia podniecały się widokiem chwytanych, a następnie usmiercanych przez Candy'ego zwierząt. Violet także była podniecona. Zelektryzowana.

Mokra styczniowa noc rozciągała wokół głębokie ciemności, rozpraszane jedynie przez nikłą lunę, bijącą od położonych na zachodzie miejscowości i odbita od brzuchów nisko wiszących chmur. W tak dzikim krajobrazie Candy był stworzeniem najdziwniejszym. Niczym potężny, nieznający litości drapieżnik, bezgłośnie przemierzał skaliste parowy, biorąc to, co było mu potrzebne. Silny i zwinny, zdawał się płynąć ponad dnem kanionu, wymijając skały, powalone drzewa i kolczaste zarośla, jakby nie był człowiekiem z krwi i kości, lecz nikłym cieniem, rzuconym na ziemię przez jakiegoś krasnoludka wysoko w górę istoty.

Kiedy Candy schwytal wiewiórkę i uderzył nią o dno kanionu, Violet rozdzieliła związana z kotami część świadomości, by niezwłocznie nawiedzić mózg wiewiórki. Zwierze było oszalone otrzymanym ciosem. Niemrawo próbowało walczyć, wpatrując się w Candy'ego z niezmiernym przerażeniem.

Duże, silne dłonie sciskały wiewiórkę, Violet jednak wydawało się, że równocześnie spoczywają one na jej ciele, wędrując wzdłuż nagich nóg, bioder, brzucha i piersi.

Candy z chrząstwą złamał kręgosłup swojej ofiary.

Violet zadrżała. Verbina kwiląc przywarła do siostry.

Wiewiórka natychmiast straciła czucie w kończynach.

Warcząc głucho, Candy wgrzyzł się w gardło zwierzęcia. Rozdarł skórę, dotarł do pełnych krwi tętnic.

Violet czuła jak z wiewiórki uchodzi gorąca krew, a usta Candy'ego zachłannie wpijają się w ranę. Wrażenie było tak mocne, że chwilami Violet wydawało się, iż wargi te przylegają bezpośrednio do jej szyi i że to jej krew ścieka do gardła Candy'ego. Bardzo by chciała móc nawiedzić umysł brata i równocześnie odbierać wrażenia ofiary i zbrojcy. Niestety, jej zdolności ograniczały się do świata zwierząt.

Nie była w stanie dłużej siedzieć. Osunęła się na koce, tylko niejasno zdając sobie sprawę, że miękkiem głosem zawodzi monotonna litanie: "Tak, tak, tak, tak, tak..."

Verbina przykryła siostrę własnym ciałem. Wokół nich zwarta masa klebiły się koty.

* * *

Thomas spróbował jeszcze raz. Dla dobra Julie. Sygnał ku zinnemu, lśniącemu umysłowi Czegos

Zlego. Natychmiast Cos Zlego przyciagnelo go do siebie. Pozwolil, by jego umysl rozwijal sie jak nitka z duzego klebka. Przeszedl przez okno, pomknal w noc. Nawiazal kontakt. Przez telewizje nadal pytania: "Czym jestes? Gdzie jestes? Czego chcesz? Dlaczego chcesz skrzywdzic Julie?"

* * *

Zaraz po tym, jak odrzucil na bok martwa wiewiorke i stanal na nogi, Candy znowu poczul te reke na glowie. Drgnal, obrocil sie, na wszelki wypadek zdzielil ciemnosc piescia. Nikogo za nim nie bylo. Z odleglosci dwudziestu stop swiecacyimi bursztynowymi oczami przypatrywaly mu sie dwa koty - ciemne plamy na tle bialych skal osadowych. Wszystkie zywe stworzenia z najblizszej okolicy uciekly. Jesli ktos go szpiegowal, musial kryc sie w rosnacych nieco z tylu krzakach lub w szczelinach w scianach kanionu, z pewnoscia jednak nie na tyle blisko, zeby moc go dotknac.

Poza tym wciaz odczuwal dotyk dloni. Potarl czubek glowy, na poly oczekujac, ze natknie sie na wplatane w mokre wlosy liscie. Nie znalazl niczego.

A jednak ucisk reki pozostal, a nawet przybral na sile. Stal sie tak wyrazny, ze bez trudu mogli okreslic polozenie czterech palcow i kciuka.

Czym... Gdzie... Czego... Dlaczego...?

Slowa te rozbrzmialy wewnatrz jego glowy. Zaden glos nie wdarl sie w poszum deszczu.

Czym... Gdzie... Czego... Dlaczego...?

Zly i zbity z tropu, Candy wykonal pelen obrot wokol wlasnej osi.

W glowie czul dziwne mrowienie. Wrazenie to bylo odmienne od wszystkiego, czego doznal w dotychczasowym zyciu. Tak jakby cos grzebalo mu w mozgu.

-Kim jestes? - zapytal glosno.

Czym... Gdzie... Czego... Dlaczego...?

-Kim jestes?

* * *

Cos Zlego bylo czlowiekiem. Thomas juz teraz to wiedzial. Brzydkim-paskudnym w srodku czlowiekiem, ktory mial w sobie cos jeszcze, ale przynajmniej czesciowo pozostawal czlowiekiem. Umysl Czegos Zlego przypominal potezny wir, czarniejszy od najczarniejszej czerni, ktory zasysal Thomasa w dol, coraz nizej i nizej, jakby chcial go zywcem pochlonac. Probował sie uwolnic. Odplynac. Bylo bardzo ciezko. Cos Zlego chcialo go zaciagnac w Zle Miejsce i juz nigdy nie moglby wrocic. Myslal, ze juz po nim. Ale strach przed Zlym Miejscem, gdzie Julie i Bobby nigdy by go nie odnalezli i gdzie na zawsze pozostalby samotny, byl tak wielki, ze w koncu udalo mu sie wyrwac. Pospiesznie nawijajac sie na klebek wrocil do pokoju w Cielo Vista.

Opadł na materac i naciągnął koc na głowę, tak aby nie widzieć nocy za oknem i by nic z głębi nocy nie mogło zobaczyć jego.

34

Walter Havalow, brat pani Farris i spadkobierca jej skromnego majątku, mieszkał w dostatniejszej dzielnicy niż Phanowie, choć był znacznie od nich uboższy, jeśli idzie o uprzejmość i dobre maniery. Okna jego domu w stylu Tudorów, położonego w Villa Park, rozjaśniało światło, które wydawało się Julie ciepłe i przyjazne, lecz stojący w progu gospodarz nie zaprosił ich do środka nawet wtedy, gdy okazali mu koncesje prywatnych detektywów. -Czego chcecie?

Havalow był wysokim mężczyzną o wydatnym brzuchu, rzadziejących blond włosach i gestym wąsach, który wyraźnie nabierał rudego odcienia. Jego patrzące badawczo piwne oczy świadczyły o inteligencji, jednocześnie jednak były zimne, czujne i wyrachowane - typowe oczy członka mafii.

-Jak już mówiłam - zaczęła Julie - dowiedzieliśmy się od Phanów, że mogłoby pan nam pomóc. Potrzebujemy fotografii pańskiego świętej pamięci szwagra, George'a Farris'a.

-Dlaczego?

-Coż, pewien człowiek podaje się za pana Farris'a. Tak się składa, że jest zamieszany w sprawę, którą prowadzimy.

-To nie może być mój szwagier. On nie żyje.

-Tak, wiemy o tym. Ale ten oszust dysponuje bardzo dobrymi dokumentami, więc fotografia prawdziwego George'a Farris'a znacznie ułatwiłaby nam pracę. Zależy bardzo, lecz nie mogę panu nic więcej powiedzieć, gdyż naruszyłabym w ten sposób tajemnicę naszego klienta.

Havalow odwrócił się i zamknął im drzwi przed nosem. Bobby spojrzał na Julie, po czym powiedział:

-Sympatyczny jegomość. Julie nacisnęła dzwonek.

Po chwili Havalow otworzył drzwi.

-Czego?

-Wiem, że przybyliśmy bez zapowiedzi - podjęła Julie, wkładając sporo wysiłku w to, aby jej głos nie stracił przyjaznego brzmienia - i przepraszam za najście, ale fotografia pańskiego...

-Właśnie po nią szedłem - przerwał jej niecierpliwie. - Miałbym już ją w ręku, gdyby pani nie zadzwoniła po raz drugi.

Obrocił się na pięcie, jeszcze raz zamykając za sobą drzwi.

-Może to zapach naszych ciał? - Zastanawiał się Bobby.

-Co za cham.

-Myślisz, że wróci?

-Jeśli nie, wywaze drzwi.

Za ich plecami, z daszka kryjącego ostatnie dziesięć stop chodnika z pluskiem skapywała deszczówka. Z rur spustowych dobiegało głośne bulgotanie.

Havalow powrócił z wypełnionym fotografiami pudełkiem po butach.

-Mój czas jest cenny. Pamiętajcie o tym, jeśli chcecie skorzystać z mojej pomocy.

Julie dłuższą chwilę zmagala się ze swymi najdzikszyimi instynktami. Przejawy grubianstwa zawsze doprowadzały ją do wściekłości. Wyobrazała sobie, jak kopniakiem wytraca mu z rąk pudełko, potem chwytając za rękę i do oporu wygina palec wskazujący, tak że porażeniu ulega nerw na grzbiecie dłoni, a równocześnie uciskane są nerwy promieniowy i pośredni od strony jej wnętrza, co zmusza go do kleknienia. Jeszcze cios kolanem w podbródek, szybkie uderzenie w kark i dobrze wymierzone kopnięcie w miękki, sterczący brzuch.

Havalow pogrzał się w pudełku, skąd po chwili wyciągnął wykonane polaroidem zdjęcie mężczyzny i kobiety siedzących na słońcu przy piknikowym stole.

-To jest George i Irene.

Nawet w słabym, żółtawym świetle palacej się nad drzwiami lampy Julie zauważyła, że George Farris był szczupłym, długonogim mężczyzną o pociągłej twarzy. Stanowił fizyczne przeciwieństwo Franka Pollarda.

-Dlaczego ktoś podaje się za George'a? - zapytał Havalow.

-Mamy do czynienia z kryminalistą, który posługuje się wieloma fałszywymi dokumentami tożsamości - wyjaśniła Julie. - George Farris jest jednym z używanych przez niego nazwisk. Nie ulega wątpliwości, że personalia pńskiego szwagra zostały przypadkowo wybrane przez fałszerza, z którego usług skorzystał nasz przestępca. Fałszerze operują często danymi osob zmarłych.

Havalow zmarszczył brwi.

-Czy sądzicie, że to możliwe, aby człowiek podający się za George'a był tym samym typem, który zamordował Irene, mego brata i dwie siostrzenice?

-Nie - bez namysłu odparła Julie. - Nie mamy do czynienia z zbrojcem. To zwykły naciągacz, oszust.

-Oprocz tego - dodał Bobby - żaden zbrojca po popełnieniu morderstwa nie korzystałby z dokumentów na nazwisko meza ofiary.

Patrzac prosto w oczy Julie, aby się przekonać, czy nie wprowadzili go w błąd, Havalow zapytał:

-Czy ten facet jest waszym klientem?

-Nie - sklamala Julie. - Nasz klient zostal przez niego oszukany i wynajal nas, abysmy go odnalezi.

-Czy mozemy pozyczyc te fotografie? - odezwal sie Bobby. Havalow ciagle wpatrywal sie w Julie. Jego twarz przybrala wyraz wahania.

Bobby wreczyl mu firmowa wizytowke.

-Zwrocimy ja panu. Ma panu tutaj nasz adres i numer telefonu. Rozumiem, ze trudno sie panu rozstac z rodzinna pamiatka, zwlaszcza ze panskiej siostry i szwagra nie ma juz wsrod zywych, ale...

Doszedlszy widocznie do wniosku, ze Dakotowie nie klamia, Havalow przerwal mu:

-Tam, do diabla, wezcie je sobie. Nigdy nie przepadałem za George'em. Zawsze twierdzilem, ze siostra zrobila glupstwo wychodzac za niego.

-Dziękujemy - ucieszyl sie Bobby. - Chce... Havalow zrobil krok do tylu i zamknal drzwi. Julie nacisnela dzwonek.

-Prosze, tylko go nie zabij - mruknal Bobby. Jeczac ze zniecierpliwienia, Havalow otworzyl drzwi.

Bobby stanal pomiedzy Julie a Havalowem, po czym wydobyl sfalszowane prawo jazdy George'a Farrisa opatrzone fotografia Franka.

-Jeszcze jedno i bedzie pan mial nas z glowy.

-Mam bardzo napiety program dnia - warknal Havalow.

-Czy widzial pan juz kiedys tego czlowieka?

Poirytowany Havalow ujal dokument w dlonie i dokladnie go obejrzal.

-Nalana twarz, dobrotliwe rysy. W promieniu stu mil znajdziecie milion podobnie wygladajacych lebkow, nie?

-I nigdy go pan nie widzial?

-Czy jestescie przyglupi? Czy musi to byc krotkie, proste zdanie? Nie. Nie widzialem go.

Wkladajac prawo jazdy do kieszeni, Bobby powiedzial:

-Dziękujemy za poswiecony nam czas i... Havalow z trzaskiem zamknal drzwi. Julie siegnela do dzwonka.

Bobby zlapal ja za reke.

-Mamy juz wszystko, czego chcieliśmy.

-Ale ja chce...

-Wiem, co chcesz zrobic - przerwal jej Bobby - ale torturowanie ludzi jest w Kalifornii niezgodne z prawem.

Odcignal ja spod drzwi prosto w ulewny deszcz. W samochodzie wrocila jeszcze raz do tego.

-A to gburowaty, samolubny dran! Bobby uruchomil silnik i wlaczył wycieraczki.

-Zatrzymamy sie w centrum. W sklepie z zabawkami kupimy ci takiego wielkiego misia, wymalujemy na nim nazwisko Havalow, a potem wyprujesz mu flaki. Okay?

-Za kogo, do cholery, on sie uwaza?

Julie odprowadzala dom groznym spojrzeniem, zas Bobby skupil sie na widoku szosy przed soba.

-Za Waltera Havalowa, kochanie, i takim juz pozostanie, poki nie umrze, co bedzie dla niego kara gorsza od wszystkiego, czym moglabys go uraczyc.

W pare minut pozniej, gdy mineli Villa Park, Bobby skrecil na parking pod supermarketem Ralpa. Zgasil swiatla i wylaczyl wycieraczki, lecz pozostawil pracujacy silnik, zeby bylo cieplo.

Przed sklepem stalo zaledwie kilka samochodow. W kaluzach, wielkoscia zblizonych do plywackiego basenu, przegladaly sie sklepowe wystawy.

-Czego zesmy sie dowiedzieli? - zapytal Bobby.

-Ze nienawidzimy Waltera Havalowa.

-Tego tez, ale czego dowiedzielimy sie w zwiazku ze sprawa? Czy to przypadek, ze Frank poslugiwal sie nazwiskiem George'a Farrisa, a potem ktos wymordowal cala rodzine Farrisow?

-Nie wierze w przypadki.

-Ani ja. Ale nadal nie wierze, zeby Frank byl morderca.

-Ja tez nie, choc wszystko jest mozliwe. Jednakze Havalowowi powiedziales prawde. Z pewnoscia Frank nie zabilby Irene Farris i calej reszty, a pozniej korzystal z podrobionych papierow, laczacych go bezposrednio z ofiarami.

Deszcz przybral na sile, duze krople glosno bebnily o blachy toyoty. Supermarket zniknal za ciezka kurtyna wody.

-Wiesz, co mysle? - odezwal sie Bobby. - Ze Frank korzystal z nazwiska Farris juz wczesniej, a ten, ktory go sciga, musial sie o tym dowiedziec.

-Chodzi ci o pana Blekitne Swiatlo. Faceta potrafiacego prawdopodobnie sprawic, ze samochod

rozlatuje sie na kawalki i rozbijajacego zarowki w ulicznych latarniach.

-Wlasnie jego.

-O ile istnieje.

-Pan Blekitne Swiatlo odkryl, ze Pollard korzysta z nazwiska Farris, udal sie wiec pod tamten adres, liczac na to, ze tam go znajdzie. Ale przeciez Frank nigdy tam nie mieszkal. Nazwisko i adres na dokumencie zostaly wpisane zupełnie przypadkowo. Kiedy wiec nie znalazl Franka, zabil wszystkich domownikow. Moze dlatego, iz sadzil, ze go oszukuja i kryja Franka, albo po prostu wyladowal w ten sposob zlosc.

-On wiedzialby, jak rozmawiac z Havalowem.

-Czy myslisz, ze mam racje, ze jestem na dobrym tropie? Zastanawiala sie chwile.

-Moze. Usmiechnal sie do niej.

-Czy to nie zabawne byc detektywem?

-Zabawne? - zapytala z niedowierzaniem.

-No, mialem na mysli "interesujace".

-Reprezentujemy czlowieka, ktory albo zabil cztery osoby, albo sam jest celem brutalnego mordercy, a ty to uwazasz za zabawne?

-Nie tak zabawne jak seks, ale bardziej niz kregle.

-Bobby, czasami doprowadzasz mnie do rozpacz. Ale cie Kocham.

Dotknal jej dloni.

-Jezeli mamy prowadzic to sledztwo dalej, wyciagne z niego tyle przyjemnosci, ile sie da. Ale jesli chcesz, mozemy natychmiast rzucic te sprawe.

-Dlaczego? Z powodu twego snu? Z powodu Czegos Zlego? - Potrzasnela glowa. - Nie. Jak zaczniemy bac sie niezwyklego snu, wktotce bedzie nas przerazac byle drobnostka. Stracimy pewnosc siebie, a bez tego nie da sie wykonywac tej pracy.

W saczacej sie z deski rozdzielczej niklej poswiacie dostrzegla na jego twarzy niepokoj.

Milczal jeszcze chwile, a potem powiedzial:

-Tak. Wiedzialem, ze to powiesz. A wiec brnijmy az do konca, tylko zrobmy to mozliwie jak najszybciej. Z drugiego prawa jazdy wynika, ze nazywa sie James Roman i mieszka w El Toro.

-Jest juz prawie w pol do dziewiatej.

-Zajedziemy tam, odszukamy dom... zajmie nam to moze czterdziesti piec minut. Nie bedzie za pozno.

-W porzadku.

Zamiast wrzucic bieg, Bobby odchylił do tyłu oparcie fotela, a nastepnie sciagnal kurtke.

-Otworz schowek i podaj mi bron. Od tej chwili nie bede sie z nia rozstawac.

Kazde z nich mialo pozwolenie na bron. Julie rowniez zrzucila wierzchnie okrycie, spod fotela wydobyła dwie kabury, a ze schowka przy kierownicy blizniacze, krotkonose rewolwery Smith Wesson kaliber 38 Chief's Special - niewielka, godna zaufania bron, dajaca sie niepostrzezenie nosic pod zwyczajnym ubraniem bez koniecznosci krawieckich przerobek.

* * *

Dom zniknal. Jesli nawet czlowiek nazwiskiem James Roman mieszkal tu kiedys, to obecnie musial sie przeprowadzic. Posrodku dzialki, otoczona trawnikiem, krzewami i kilkoma drzewami, lezala naga, betonowa plyta fundamentu, tak jakby cala reszta budynku zostala porwana przez jakies istoty z kosmosu. Bobby zaparkowal na podjezdzie. Wysiedli z toyoty, zeby z bliska przyjrzec sie posesji. Pomimo zacinajacego deszczu rzucane przez pobliska lampe uliczna swiatlo bylo wystarczajaco silne, by odslonic na trawniku liczne slady stop i opon, a nawet kepy wyrwanej darni. Dokola walaly sie kawalki drewna, jasne odlamki kamiennej okladziny, pokruszony stiuk i metnie polyskujace fragmenty szkla.

Los domu stal sie bardziej zrozumialy, gdy obejrzeli zarosla i drzewa. Krzewy rosnace najblizej plyty byly albo martwe, albo uszkodzone. Dokladne ogladziny ujawnily slady ognia. Pobliskie drzewo zupełnie stracilo liscie, a jego nagie, czarne konary wywoływaly w srodku deszczowej, styczniowej nocy anachroniczne wrazenie nadchodzacego swieta Halloween.

-Pozar - stwierdzila Julie. - Potem uprzatneli to, co zostalo.

-Porozmawiajmy z sasiadami.

Po obu stronach pustej dzialki staly domy, jednak swiatla palily sie tylko w jednym z nich.

Gdy nacisneli dzwonek, w drzwiach ukazal sie piecdziesieciokilkuletni mezczyzna, majacy nieco ponad szesc stop wzrostu, solidnej budowy, o siwych wlosach i starannie przystrzyzonym wasie. Nazywal sie Park Hampstead i mial wyglad emerytowanego wojskowego. Zaprosil ich do srodka, jednak pod warunkiem, ze zostawia swoje przemoczone buty na werandzie. W skarpetkach przeszli za nim do kuchni, gdzie ich mokre ubrania nie mogly wyrzadzic szkody zolтым, plastikowym krzeslom, jednak i tak Hampstead kazal im chwile zaczekac, dopoki nie przykrył mebli grubymi recznikami kapielowymi brzoskwiniowego koloru.

-Przepraszam - powiedzial - ale jestem troche pedantem. Dom mial lsniace debowe podlogi i nowoczesne umeblowanie.

Bobby zauwazył, że wszystko utrzymane było we wzorowym porządku.

-Trzydzieści lat służby w Marine Corps wyrobiło we mnie trwały szacunek dla systematyczności, porządku i schludności - wyjaśnił Hampstead. - Prawde mówiąc, kiedy trzy lata temu zmarła Sharon - moja żona - dostałem chyba lekkiego bzika na punkcie porządków. Przez pierwsze sześć czy osiem miesięcy po jej pogrzebie czyściłem cały dom od góry do dołu przynajmniej dwa razy w tygodniu, bo kiedy miałem zajęcie, serce nie bolało mnie tak bardzo. Wydałem majątek na Windex, papierowe ręczniki, Fantastik i tym podobne rzeczy. Muszę wam powiedzieć, że moja emerytura wojskowa nie starczała na ciągłe zakupy środków czystości! Teraz mam już to za sobą. Nadal lubię porządek, ale to zamilowanie nie ma już rozmiarów obsesji.

Miał w kuchni dzbanek świeżo zaparzonej kawy, więc nalal także dla nich. Filizanki, spodki i łyżeczki lśniły nieskazitelną czystością. Hampstead wręczył im po dwie złożone papierowe chusteczki, a następnie usiadł za stołem naprzeciwko nich.

-Jasne - powiedział, dowiedziawszy się, co ich interesuje. - Znałem Jima Romana. Dobry sąsiad. Latał śmigłowcem w bazie lotnictwa w El Toro. To była moja ostatnia jednostka przed odejściem na emeryturę. Jim był cholernie miłym gościem w rodzaju tych, co to oddadzą ci ostatnią koszulę i jeszcze zapytają, czy nie chcesz pieniędzy na odpowiedni do niej krawat.

-Był? - zapytała Julie.

-Zginął w pożarze? - dodał Bobby, pamiętając o zwęglonych krzakach i wymazanej sadze betonowej płycie.

Hampstead sciągnął brwi.

-Nie. Umarł w jakimś polu roku po Sharon. To będzie... dwa i pół roku temu. Jego helikopter rozbił się podczas ćwiczeń. Miał zaledwie czterdzieści jeden lat, był o jedenastcie lat młodszy ode mnie. Pozostawił żonę Maralee, czternastoletnią córkę Valerie, dwunastoletniego syna Mike'a. Naprawdę miłe dzieciaki. Straszna historia. Byli bardzo zżyta rodzina i wypadek Jima dosłownie ich zdruzgotał. Mieli jakichś krewnych w Nebrasce, ale właściwie nikogo, do kogo mogliby wrócić. - Hampstead patrzył ponad Bobbym w stronę buczającej lodowki. - Wpadałem więc do nich czasami, pomagałem, udzielałem Maralee porad finansowych. Służyłem oparciem i wysłuchiwałem żalów, gdy dzieciaki tego potrzebowały. Od czasu do czasu zabierałem je do Disneylandu albo do Knotta, wiecie, takie tam różne rzeczy. Maralee powtarzała, że Bog mnie zesłał, ale tak naprawdę, to ja potrzebowałem ich bardziej niż oni mnie, gdyż robiąc to wszystko przestawałem wreszcie myśleć o utracie Sharon.

-A więc pożar wydarzył się niedawno? - przerwała mu Julie. Hampstead nie odpowiedział. Wstał, podszedł do obudowanego zlewu, wyciągnął z szafki opakowanie Windexu w aerozolu i ścierekę, po czym tak wyekwipowany zaczął wycierać drzwi lodowki, które nawet bez tego wydawały się równie czyste jak antyseptyczna powierzchnia sali operacyjnej.

-Valerie i Mike były wspaniałymi dziećmi. Po mniej więcej roku wydawało mi się, że to moje własne dzieci, których z Sharon nigdy nie mieliśmy. Maralee oplakiwała Jima bardzo długo, prawie dwa lata, zanim zaczęła sobie uswiadamiac, że jest kobieta w kwiecie wieku. Może to, co nawiązało

sie miedzy nami, zlosciloby Jima, ale nie sadze, by tak bylo. Mysle, ze raczej cieszylyby sie z naszego zwiazku, nawet jesli bylem o jedenascie lat od niej starszy.

Uporawszy sie z lodowka, Hampstead popatrzył na drzwi pod swiatlo, wypatrując odciskow palcow lub smug. Jakby dopiero teraz uslyszawszy pytanie Julie sprzed minuty, nieoczekiwanie powiedzial:

-Pozar wybuchl dwa miesiace temu. Obudzilem sie w srodku nocy, uslyszalem syreny, zobaczylem w oknie pomaranczowa lune. Wstalem, wyjrzałem na zewnatrz...

Odwrocil sie od lodowki, przez chwile lustrowal kuchnie, a nastepnie zabral sie za najblizszy wylozony kafelkami blat, spryskujac i polerujac blyszczaca powierzchnie.

Julie spojrzala na Bobby'ego. Potrzasnal glowa. Zadne z nich nie odezwalo sie slowem.

Po chwili Hampstead podjal swa opowiesc.

-Do ich domu dostalem sie tuz przed strazakami. Przez frontowe drzwi. Przebiegłem przez hol do podstawy schodow, ale nie mogłem wejsc do sypialni na gorze. Bylo za goraco, no i ten dym. Wykrzykiwalem ich imiona, ale nikt nie odpowiedzial. Gdybym uslyszal ktoreś z nich, moze znalazlbym w sobie dosc sily, aby jakos wspiac sie na gore pomimo plomieni. Potem musialem stracic przytomnosc i strazacy wyniesli mnie na zewnatrz. Kaszlac ocknałem sie na trawniku przed domem, a jakis czlowiek z pomocy medycznej podawal mi tlen.

-Czy wszyscy troje zgineli? - zapytal Bobby.

-Tak

-Co bylo przyczyna pozzaru?

-Nie jestem pewien, czy udalo im sie to ustalic. Chyba slyszalem cos o spieciu w instalacji. Przez jakis czas podejrzewali nawet podpalenie, ale ten trop prowadzil donikad. Nie ma to zreszta wiekszego znaczenia, prawda?

-Dlaczego?

-Cokolwiek spowodowalo ogien i tak wszyscy nie zyja.

-Strasznie mi przykro - cicho powiedzial Bobby.

-I dzialka zostala sprzedana. Na wiosne ruszy budowa nowego domu. Jeszcze kawy?

-Nie, dziekuje - odezwala sie Julie.

Hampstead jeszcze raz obrzucil wzrokiem pomieszczenie, skierowal sie ku kuchence i zaczal ja energicznie szorowac, chociaz mogla sluzyc za wzor czystosci.

-Przepraszam za balagan. Nie wiem dlaczego wszystko sie tak brudzi, skoro mieszkam tu sam.

Czasami mysle, ze za moimi plecami czaja sie gremliny, ktore specjalnie rozrzucaja rozne rzeczy, zeby sie ze mna podraznic.

-Gremliny nie sa tu potrzebne - stwierdzila Julie. - Samo zycie tak sie z nami drazni, ze ledwie mozemy to zniesc.

Hampstead odwrocil sie od kuchenki. Po raz pierwszy od chwili, gdy podniosl sie z za stolu i rozpoczel rytualne sprzatanie, spojrzal im prosto w oczy.

-To nie gremliny - przytaknal. - Nic z czym mozna tak prosto i latwo dac sobie rade, jak z gremlinami.

Byl duzym, twardym mezczyzna, zahartowanym przez lata wojskowej sluzby, a jednak jego lsniace wilgociac oczy przepelnione byly rozpacza, a on sam sprawial w tym momencie wrazenie zagubionego, bezradnego dziecka.

* * *

Kiedy z powrotem znalezi sie w samochodzie i przez zalewana deszczem szybe ujrzeli pusta dzialke, na ktorej do niedawna stal dom Romana, Bobby odezwal sie:-Frank odkrywa, ze pan Blekitne Swiatlo wie o dokumentach na nazwisko Farris. Zalatwia wiec nowe papiery, staje sie Jamesem Romanem. Pan Blekitne Swiatlo wpada w koncu takze na ten trop i przychodzi szukac Franka w domu Romana, gdzie zastaje jedynie wdowe i dzieci. Zabija ich, w ten sam sposob, w jaki wczesniej usmiercil rodzine Farrisow, ale tym razem podpala dom, chce zatrzec slady zbrodni. Czy ty tez tak to widzisz?

-Calkiem mozliwe - powiedziala Julie.

-Pali ciala, poniewaz je pogryzl, tak jak to opowiadali Phanowie, a slady ukaszen pomoglyby policji polaczyc obie zbrodnie.

-Dlaczego wiec nie robi tego za kazdym razem?

-Poniewaz bylaby to wskazowka rownie czytelna jak odciski zebow. Czasami pali zwloki, czasami nie, a kiedy indziej moze pozbywa sie ich tak, ze znikaja bez sladu.

Przez chwile oboje trwali w milczeniu. Potem Julie powiedziala:

-A wiec mamy do czynienia z wielokrotnym zabojca, a rownoczesnie niebezpiecznym psychopata.

-Albo wampirem - wtracil Bobby.

-Dlaczego sciga Franka?

-Nie wiem. Moze Frank probowal kiedys wbic mu w serce drewniany kolek.

-To wcale nie jest smieszne.

-Zgadzasz się - powiedział Bobby. - Teraz nic nie wygląda śmiesznie.

35

Po wizycie u Dysona Manfreda i jego owadów Clint Karaghiosis wyjechał z Irvine i w padającym nieustannie zimnym deszczu ruszył w stronę domu, do Placentii. Miał tam przytulny bungalow o krytym gontem dachu, z dwiema sypialniami, dużą werandą w stylu Craftsmana od frontu i francuskimi oknami pełnymi ciepłego, bursztynowego blasku. Zanim dotarł na miejsce, ogrzewanie wozu podsuszyło jego przemoczone ubranie. Kiedy Clint wszedł do środka przez drzwi łączące dom z garażem, Felina była w kuchni. Objęła go, pocałowała, przytuliła się mocno na chwilę, jakby zaskoczona tym, że jeszcze żyje.

Była przeswiadczona, że jego codzienna praca obfituje w niebezpieczeństwa, choć często tłumaczył jej, że zazwyczaj sprowadza się do nudnego dreptania po mieście. Zamiast przestępców poszukiwał faktów, podał raczej śladem papieru niż krwi.

Potrafił jednak zrozumieć obawy żony, zwłaszcza że sam także bardzo się o nią niepokoił. Przede wszystkim z powodu jej urody. Była atrakcyjną kobietą o czarnych włosach, oliwkowej cerze i zdumiewająco pięknych, szarych oczach. W dzisiejszych czasach wyrozumiałych sędziów, gdy na ulicy roilo się od wszelkiego rodzaju socjopatów, ładna kobieta łatwo mogła stać się obiektem napasci. Ponadto, chociaż biuro, w którym pracowała przy przetwarzaniu danych, dzieliły od domu zaledwie trzy przecznice - odległość łatwa do przejścia nawet przy złej pogodzie - Clint obawiał się zagrożeń związanych z leżącymi na jej drodze ruchliwymi skrzyżowaniami. W razie jakiegos niebezpieczeństwa okrzyk czy klakson nie ostrzeże jej przecież przed nadciągającą śmiercią.

Nie chciał, by wiedziała, jak bardzo się o nią martwi. Była taka dumna z niezależności, jaka udało jej się osiągnąć pomimo głuchoty. Nie mógł osłabiać jej pewności siebie, okazując w jakikolwiek sposób wątpliwości, czy poradzi sobie z każdą kłoda rzuconą jej pod nogi przez los. Dlatego też powtarzając sobie codziennie, że przeżyła dwadzieścia dziewięć lat i nie spotkało jej nic złego, usiłował stłumić odruchy nadmiernej opiekunczości.

Podczas gdy mył ręce nad zlewem, Felina nakryła stół do spóźnionego obiadu. Na kuchence grzał się duży garnek zupy. Napelnili miski. Clint wyjął z lodówki parmezan, a Felina rozwinęła z opakowania bochenek chrupiącego, włoskiego chleba.

Czuł głód, a zupa była wysmienita, gęsta od warzyw i kawałków chudej wołowiny, lecz gdy Felina zjadła swoją porcję, on nie dotarł nawet do połowy, gdyż co chwila przerywał, żeby z nią porozmawiać. Miała kłopoty z odczytywaniem z ruchu jego warg, gdy usiłował mówić z pełnymi ustami, toteż pragnąc opowiedzieć jej o tym, jak spędził dzień, odłożył jedzenie na później. W tym czasie Felina wzięła sobie dolewke, dołączyła też gorącej zupy do jego miski.

Poza ścianami ich małego domku był milczący jak glaz, za to w towarzystwie Feliny stawał się gadatliwy niczym telewizyjny spiker. Nie plotł jednak byle czego. Z zadziwiająco łatwością przemieniał się we wprawnego gawędziarza. Nauczył się opowiadać anegdoty w taki sposób, aby uzyskać jak najlepszy efekt i jak najskuteczniej rozbawić Felinę. Uwielbiał doprowadzać ją do śmiechu albo patrzeć w jej rozszerzone zdumieniem oczy. W całym dotychczasowym życiu Clinta

była to pierwsza osoba, na opinii której naprawdę mu zależało. Pragnął, by widziała w nim kogoś bystrego, inteligentnego, mądrego i dowcipnego.

Na początku ich znajomości zastanawiał się, czy jej głuchota rzutuje w jakiś sposób na łatwość, z jaką się przed nią otwierał. Głucha od urodzenia, nigdy nie słyszała ludzkiego głosu i dlatego nie nauczyła się mówić. Rozmawiała z Clintem za pomocą języka migowego, którego i on musiał się nauczyć, chcąc zrozumieć wyrażane za pomocą dłoni myśli żony. Sądził najpierw, że ta łatwość intymnego kontaktu wiąże się z jej ułomnością, bowiem dawała mu ona pewność, że odsłonięte przed Feliną najtajniejsze myśli czy uczucia nigdy nie rozejdą się dalej. Mogł z nią rozmawiać tak jak z sobą samym. W miarę upływu czasu zrozumiał jednak, że otwiera się przed nią niezależnie od jej głuchoty, że chce, by dzieliła z nim każdą myśl i przeżycie po prostu dlatego, że ją kocha.

Gdy opowiedział Felinie, jak Bobby i Julie trzykrotnie udawali się na pogawedkę do łazienki w trakcie spotkania z Frankiem Pollardem, rozesmiała się radośnie. Ubóstwiał ten dźwięk. Był taki ciepły i melodyjny, jak gdyby przepelniająca ją wielką radość życia, której nie mogła wyrazić słowami, manifestowała się właśnie poprzez śmiech.

-Ci Dakotowie to świetna para - powiedział. - Kiedy widzisz ich po raz pierwszy, wydają się tak do siebie niepodobni, że dochodzisz do przekonania, że nie mogą razem pracować. Dopiero przy bliższym poznaniu dostrzegasz, jak bardzo są zgrani. Pasują do siebie jak dwa kawałki lamigłówek. Okazuje się, że są małżeństwem prawie doskonałym.

Felina odłożyła łyżkę i westchnęła.

To tak jak my.

-Jasne, że tak.

Pasujemy lepiej niż kawałki lamigłówek. Pasujemy jak wtyczka i gniazdko.

-Jasne, że tak - przytaknął z uśmiechem. Po chwili dotarł do niego zabarwiony seksualnie podtekst jej słów, więc wybuchnął śmiechem. - Ach, ty dziewczucho o brudnych myślach.

Wyszczерzyła zęby.

-Wtyczka i gniazdko, co?

Duża wtyczka, ciasne gniazdko, dobrze pasują.

-Później sprawdzę twoją instalację.

Bardzo potrzebuje pierwszorzędny elektryk. Ale najpierw opowiedz mi więcej o tym nowym kliencie.

Na zewnątrz poprzez noc przetoczył się przeciągły grom, nagły podmuch wiatru uderzył o szyby. Przez kontrast odgłosy burzy uczyniły ciepłą, pachnącą kuchnię jeszcze bardziej przytulną. Clint westchnął z zadowolenia, lecz zaraz ogarnął go smutek, gdy pomyślał, że wywołana grzmotami i

pluskiem deszczu przyjemna świadomość bezpiecznego schronienia była specyficzną radością, której Felina nigdy nie będzie mogła z nim dzielić.

Z kieszeni spodni wyciągnął jeden z czerwonych kamieni przyniesionych do biura przez Franka Pollarda.

-Przyniosłem to, ponieważ chciałem, żebyś sobie ten drobiazg obejrzała. Facet miał tego cały słoik.

Schwyciła bryłkę wielkości winogrona pomiędzy kciuk i palec wskazujący, podniosła pod światło.

Piękny - zasygnalizowała wolną ręką.

Położyła klejnot obok miski z zupą, na kremowobiałym laminacie stołu.

Czy jest bardzo cenny!

-Jeszcze nie wiemy - odparł. - Opinie specjalisty poznamy dopiero jutro.

Mysle, że jest cenny. Gdy będziesz go odnosić do biura, upewnij się, czy nie masz dziur w kieszeniach. Mam przecucie, że musiałbyś długo pracować, gdyby przyszło ci za niego zapłacić.

Kamień wchłaniał światło wiszące nad stołem lampy, przepuszczał je jak przez pryzmat, po czym jasnym strumieniem wyrzucał na zewnątrz, znacząc twarz Feliny szkarłatnymi plamami i smugami. Wyglądała jak zbryzgana krwią.

Clintem zawiadnęło dziwne przecucie czegoś złego.

Dostrzegła to.

Czym się martwisz!

Nie wiedział, co powiedzieć. Jego niepokój był nieproporcjonalny w stosunku do przyczyny. Wzdłuż grzbietu przebiegł mu zimny dreszcz, szybko przesuwał się od podstawy kregosłupa aż do szyi, niczym padający rzad lodowych kostek domina. Wyciągnął rękę i przesunął klejnot o parę cali. Krwawy refleks z twarzy Feliny przesunął się teraz na ścianę.

36

O wpół do drugiej nad ranem Hal Yamataka był bez reszty pogrążony w powieści Johna D. MacDonalda "Pozostał tylko ostatni". Jedyne krzesło w pokoju nie należało do najwygodniejszych sprzętów, na jakich zdarzało mu się siedzieć, a zapach szpitala jak zwykle przyprawiał go o lekkie mdłości, toteż zjedzone na obiad chile relleños przypominało mu od czasu do czasu o swoim istnieniu, jednak książka okazała się tak pasjonująca, że zupełnie nie zwracał uwagi na drobne niedogodności. Na jakiś czas zapomniał o Franku Pollardzie i pomyślał o nim dopiero wówczas, gdy usłyszał krotki syk przypominający odgłos uchodzącego pod ciśnieniem powietrza oraz poczuł nagły przeciąg. Uniosł wzrok znad książki, spodziewając się zobaczyć siedzącego na łóżku Pollarda, ale Pollarda nie było.

Zaskoczony Hal poderwał się na nogi, wypuszczając z dłoni książkę.

Łózko było puste. Pollard leżał na nim całą noc, przespał ostatnią godzinę, a teraz zniknął. Pokój był słabo oświetlony, ponieważ zgasili światłówki nad łóżkiem, ale cienie zalegające poza zasięgiem lampy, przy której czytał, nie mogły dać dostatecznej osłony człowiekowi. Posciel nie była odrzucona na bok, lecz równo przykrywała materac, a barierki po bokach łózka tkwiły na swoim miejscu, jak gdyby Frank Pollard po prostu wyparował niczym figura wyrzeźbiona w bryle suchego lodu.

Hal był pewien, że by usłyszał, jeśli by Pollard opuścił jedną z barierek, wyszedł z łózka, a następnie umieścił barierkę na miejscu. Usłyszałby także, gdyby usiłował przejść ponad barierką.

Okno było zamknięte. Deszcz splukiwał szybę, na której błyszczały srebrne refleksy płonących w pokoju świateł. Znajdowali się na piątym piętrze, więc Pollard nie mógł uciec oknem, zwłaszcza że, jak sprawdził Hal, otwierało się je specjalnym kluczem.

Podchodząc do drzwi przyległej łazienki, zawołał:

-Frank?

Gdy nie było odpowiedzi, wszedł do środka. Wewnątrz nie zastał nikogo.

Do sprawdzenia pozostała mu jeszcze tylko wąska szafa. Hal otworzył drzwi i zobaczył dwa wieszaki z ubraniami Pollarda, w którym przybył do szpitala. Na dole stały męskie pantofle z wetkniętymi do środka, starannie zwiniętymi skarpetkami.

-Nie mógł przejść obok mnie i wyjść na korytarz - powiedział Hal, jakby głośne wypowiedzenie tej uwagi w magiczny sposób czyniło ją bardziej prawdziwą.

Szarpieniem otworzył ciężkie drzwi, po czym wypadł na korytarz. Nie było nikogo.

Poszedł w lewo, wprost do zapasowego wyjścia na końcu korytarza. Otworzył drzwi i stanął na podestce, nadsluchując odgłosu biegnących stop. Cisza. Wychylił się przez metalową poręcz, popatrzył na dół, potem do góry. Był sam.

Ruszył w drugi koniec korytarza. Mijając pokój Pollarda jeszcze raz spojrzał na puste łózko. Wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co się stało, doszedł do skrzyżowania korytarzy. Skreślił w prawo i poszedł do obudowanej szkłem dyżurki pielęgniarek.

Zadna z pięciu pracujących na nocnej zmianie kobiet nie widziała przechodzącego Pollarda. Ponieważ windy znajdowały się dokładnie naprzeciwko dyżurki, czekający na otwarcie drzwi Frank musiałby wpasć komuś w oko. Było mało prawdopodobne, by opuścił szpital tą drogą.

-Myślałam, że pan go pilnuje - powiedziała Grace Fulgham, siwowłosa przelozona dyżurującej na piątym piętrze zmiany. Jej mocna, nieugięta, zniszczona przez życie, lecz miła twarz świetnie pasowałaby do filmu, gdyby w Hollywood postanowili krecić nową wersję Annie z holownika czy Mama i Tato Kettle. - Czy nie po to pan tu jest?

-Nie wychodziłem z pokoju, ale...

-Wiec w jaki sposob przeszedl obok pana?

-Nie wiem - odparl Hal smutnym glosem. - Najistotniejsze jest jednak to... ze on cierpi na czesciowa amnezje. Mogl pojsc dokadkolwiek, moze nawet poza szpital, Bog jeden wie. Nie mam pojecia, w jaki sposob mnie minal, ale tak czy inaczej musimy go odnalezc.

Pani Fulgham i mlodsza pielegniarka, Janet Soto, zaczely szybka i cicha inspekcje sal na korytarzu.

Hal poszedl razem z siostra Fulgham. Sprawdzali wlasnie pokoj 604, gdzie lagodnie pochrapywalo sobie dwoch staruszkow, gdy niemal na progu slyszalnosci pochwycil jakas dziwna muzyke. Odwrocil sie, chcac ustalic jej zrodlo, lecz w tej samej chwili dzwieki umilkly.

Jezeli nawet siostra Fulgham cos slyszala, nie dala tego po sobie poznac. Wkrotce potem, w pokoju 606, kiedy niezwykle dzwieki powtorzily sie nieco glosniej niz poprzednio, wyszeptala:

-Co to takiego?

Halowi kojarzily sie one z fletem. Niewidzialny flecista gral niemozliwa do rozpoznania, a mimo to przykuwajaca uwage melodie.

Gdy tylko wyszli na korytarz, muzyka ucichla, a zaraz potem owional ich silny prad powietrza.

-Ktos zostawil otwarte okno albo drzwi do awaryjnych schodow - cicho, ale zgryzliwie powiedziala pielegniarka.

-To nie ja - zapewnil Hal.

Janet Soto wyszla z pokoju po drugiej stronie korytarza akurat w chwili, gdy dziwny podmuch raptownie zanikl. Rzucila im znaczące spojrzenie, wzruszyla ramionami i weszla do nastepnej sali po swojej stronie.

Flet zagwizdal lagodnie. Ponownie zrobil sie przeciąg, jeszcze silniejszy niz przed chwila, niosac ze soba, jak sie wydawalo Halowi, wyczuwalna nawet przez zapach szpitala won dymu.

Opusciwszy Grace Fulgham, Hal pospieszyl w odlegly koniec korytarza. Zamierzal sprawdzic drzwi do zapasowych schodow, by sie upewnic, ze nie zostawil ich otwartych.

Katem oka pochwycil ruch - to zamykaly sie drzwi pokoju Pollarda. Uswiadomil sobie, ze wlasnie stamtad musial plynac prad powietrza. Wszedl do srodka zanim drzwi zdazyly sie zatrzasnac i ujrzal siedzacego na lozku Franka, ktory wygladal na wystraszonego i zbitego z tropu.

Przeciąg i muzyka fletu ustapily miejsca spokojowi i ciszy.

-Dokad chodziles? - zapytal Hal, podchodzac do lozka.

-Swietliki - wysapal Pollard, najwyrazniej niezupełnie jeszcze przytomny. Mial nastroszone, zmierzwione wlosy i chorobliwie blada cere.

-Swietliki?

-Swietliki na wietrze - powiedzial.

A potem zniknal. Siedzial na lozku, realny i namacalny jak kazdy normalny czlowiek, a juz w nastepnej chwili rozplynal sie bez sladu, jak gdyby byl duchem opuszczajacym nawiedzone miejsce. Zjawisku temu towarzyszył krotki syk, podobny do odglosu wydawanego przez przebita detke.

Hal zatoczył się jak po otrzymaniu silnego ciosu. Na moment serce zamarło mu w piersi, a on sam nie był zdolny do najmniejszego ruchu.

W drzwiach pojawila sie siostra Fulgham.

-Nie ma go w zadnej sali na tym korytarzu. Mogl pojsc na inne pietro, nie sadzi pan?

-Mhmm...

-Zanim zajmiemy sie sprawdzeniem reszty tego pietra, moze lepiej bedzie, jesli zadzwonie do straznikow i powiem, zeby podjeli poszukiwania w calym szpitalu. Panie Yamataka?

Hal popatrzył na nią, potem jeszcze raz omiotł wzrokiem puste lozko.

-Mhmm... tak. Tak, tak, to dobry pomysl. Mogl pojsc do... Bog jeden wie dokad.

Siostra Fulgham pospiesznie wyszła z pokoju. Czujac miekkosc w nogach, Hal podszedl do drzwi, zamknal je, podparl plecami i ponownie spojrzal na lozko. Po chwili spytal:

-Jestes tam, Frank?

Nie otrzymal zadnej odpowiedzi, zreszta za bardzo na nią nie liczył. Frank Pollard nie stal sie niewidzialny. W jaki sposob przenosl sie w inne miejsce?

Nie bardzo wiedzac, dlaczego to, co widzial, bardziej go przerazilo niz zdumialo, Hal z wahaniem podszedl do lozka. Ostroznie dotknal stalowej barierki, jakby w obawie, ze znikniecie Pollarda wzbudzilo w metalowej ramie zabojcze prady. Na szczescie obylo sie bez przeskakujacych z trzaskiem isker; poręcz byla chlodna i gladka.

Czekal zastanawiajac sie, na jak dlugo zniknal Pollard, czy powinien zadzwonic do Bobby'ego juz teraz, czy tez poczekac, az Frank sie zmaterializuje. Probowal odgadnac, czy tym razem materializacja w ogole nastapi, czy moze ich klient przepadl na zawsze. Po raz pierwszy w zyciu Hal Yamataka nie wiedzial, co robic. Zazwyczaj szybko podejmowal decyzje i rownie szybko przystepowal do dzialania, jednak nigdy dotychczas nie stanal twarza w twarz z czymś nadprzyrodzonym.

Na pewno wiedział tylko jedno. Nie wolno mu było dopuścić, aby Fulgham, Soto lub ktokolwiek inny z personelu szpitala poznał prawdziwy przebieg wydarzeń. Pollard podlegał zjawiskom tak niezwykłym, że wiadomość o nim szybko przedostalaby się do prasy. Ochrona tajemnicy klienta zawsze była jednym z głównych celów Dakota and Dakota, a w tym wypadku stawiało się to jeszcze ważniejsze niż zwykle. Bobby i Julie uważali, że ktoś ścigał Pollarda, zapewne w złych zamiarach, dlatego też utrzymywanie prasy z dala od sprawy mogło mieć decydujące znaczenie dla życia Franka.

Drzwi otworzyły się nagle, sprawiając, że Hal podskoczył jak ukłuty szpilka.

W progu stała Grace Fulgham. Wyglądała tak, jakby przed chwilą odeszła od steru pływającego po wzburzonym morzu holownika albo skończyła rabac i wiazać w paczki drewno, którym nie chciał zająć się leniwy Tato.

-Strażnicy ustawia człowieka przy każdym wyjściu, aby uniemożliwić mu opuszczenie szpitala. Zmobilizowaliśmy też do poszukiwania personelu pielęgniarskiego na wszystkich piętrach. Czy chce pan do nas dołączyć?

-No, wie pani... muszę zadzwonić do biura, do szefa.

-Gdzie będzie można pana zastać, w razie gdybyśmy go znaleźli?

-Tutaj. Cały czas będę tutaj; wykonam parę telefonów. Skinęła głową i odeszła, zamykając za sobą drzwi.

Z łukowato wygiętej, umocowanej do sufitu prowadnicy zwisał złożony parawan. Hal rozciągnął go na całą szerokość, dzięki czemu łóżko stało się niewidoczne od strony wejścia do pokoju. Było to zabezpieczenie na wypadek, gdyby ktoś znalazł się w środku akurat w momencie materializacji Pollarda.

Nie mógł opanować drżenia dłoni, więc wepchnął je do kieszeni. Zaraz potem wyciągnął jednak lewą rękę i popatrzył na zegarek. Była pierwsza czterdzięci osiem.

Pollarda nie było od przeszło osiemnastu minut, nie licząc oczywiście tych kilku sekund, gdy się zjawił, gadając coś o świetlikach na wietrze. Hal postanowił zaczekać do drugiej, a potem zadzwonić do Bobby'ego i Julie.

Stał w nogach łóżka, z jedną ręką na poręczu, nasłuchując zawodzącego za oknem nocnego wiatru i zacinającego w szyby deszczu. Minuty wlokły się jak pelznacy pod gorę slimak, lecz dzięki temu wyczekiwaniu zdolał się trochę uspokoić i pomyśleć, co powie Bobby'emu.

Gdy wskazówki zegarka dotarły do drugiej, obszedł łóżko dookoła, po czym skierował się do nocnej szafki, na której stał telefon. Siegał właśnie po słuchawkę, kiedy usłyszał niesamowite zawodzenie odległego fletu. Tkanina parawanu załopotowała w nagłym przeciągu.

Wrócił na miejsce w nogach łóżka i ostrożnie wyjrzał spoza zasłony. Prowadzące na korytarz drzwi były zamknięte, nie to więc było przyczyną powietrznego prądu.

Flet zamikł. Powietrze w pokoju stało się nieruchome i ciężkie.

Nagle parawan zafalował, wywołując ciche dzwonięcie mocujących go do prowadnicy zaczepów. Przez pokój przemknął podmuch zimnego powietrza. Był na tyle silny, że zwichrzył mu włosy. Widmowa muzyka rozbrzmiała jeszcze raz.

Ponieważ drzwi i okno cały czas pozostawały zamknięte, jedynym źródłem przeciągu mogła być kratka wentylacyjna na ścianie nad nocną szafką. Kiedy jednak wspiął się na palce i wyciągnięta ręka dotknął otworu, nie poczuł niczego niezwykłego. Wyglądało na to, że chłodne zawirowania powietrza w pokoju tworzyły się samoistnie.

Zaczął krążyć od ściany do ściany, próbując określić położenie fletu. Gdy wsłuchał się dokładniej, stwierdził zresztą, że dźwięki nie mogą pochodzić z tego instrumentu. Bardziej przypominały zmienny wiatr, dmący naraz w wiele piszczałek dużych i małych, i dobywający z nich wiele odrębnych dźwięków, które następnie układały się w dziwne zawrodożenie, niesamowite, a zarazem melancholijne, ponure i jakby... niosące w sobie groźbę. Zawrodożenie ucichło, by zaraz powrócić po raz trzeci. Zaskoczony i zdumiony stwierdził, że tajemnicze tony wydobywały się z pustej przestrzeni nad łóżkiem.

Hal był ciekawy, czy te muzyki słyszał w szpitalu ktoś jeszcze oprócz niego. Zapewne nie. Choć dźwięki stały się głośniejsze niż na początku, nadal były słabe. Gdyby spał, to taka niesamowita serenada z pewnością by go nie zbudziła.

Na oczach Hala powietrze nad łóżkiem zamigotało. Przez moment nie był w stanie zaczerpnąć tchu, jakby pokój przekształcił się w komorę próżniową. Poczuł klucie w uszach, takie samo jak wówczas, gdy zbyt szybko zmienia się wysokość.

Dziwne odgłosy i falowanie powietrza ustały w tym samym momencie i Frank Pollard pojawił się równie nagle, jak zniknął. Leżał na boku w pozycji płodowej, z podciągniętymi wysoko kolanami. Przez kilka sekund był zupełnie dezorientowany; gdy wreszcie uswiadomił sobie, gdzie się znajduje, złapał za poręcz i podciągnął się do pozycji siedzącej. Skóra wokół oczu miała ciemną i podpuchniętą, natomiast reszta ciała okrywała śmiertelna bledność. Twarz błyszczała mu tłustym połyskiem, jakby zamiast potu spływały po niej krople gęstej oliwy. Błękitna bawelniana pizza była wymięta, pokryta dużymi, ciemnymi plamami potu i przybrudzona w paru miejscach.

-Zatrzymaj mnie - powiedział.

-Co tu się dzieje, u diabła? - zapytał Hal łamiącym się głosem.

-Straciłem kontrolę.

-Gdzie byłeś?

-Na miłość boską, pomóż mi. - Pollard cały czas ścisnął poręcz prawą dłoń, podczas gdy lewą wyciągnął błagalnie w stronę Hala. - Proszę, proszę...

Pochodząc bliżej, Hal wyciągnął rękę... lecz Pollard zniknął. Tym razem towarzyszył temu nie tylko

swist powietrza, ale także pisk i zgrzyt torturowanego metalu. Wykonana z nierdzewnej stali barierka, która tak mocno trzymała, została wyrwana z łózka i zniknęła razem z Frankiem.

Hal Yamataka wpatrywał się osłupiały w zawiasy, jeszcze przed chwilą połączone barierką. Były skrecone i porozrywane niczym kartonowe atrapy. Niewiarygodnie potężna siła wyciągnęła Pollarda z pokoju, radząc sobie bez trudu z cwierczałową stalą.

Spoglądając na własne wyciągnięte ramię, Hal usiłował sobie wyobrazić, co by się z nim stało, gdyby chwycił Pollarda. Czy zniknąłby razem z nim? Dokąd by się przenieśli? Z pewnością nie było to miejsce, do którego kiedykolwiek chciałby trafić.

A może Pollard zabrałby ze sobą tylko część jego ciała, tak jak to zrobił z barierką? Być może wyrwałby mu ramię ze stawu barkowego, z trzaskiem głośnym jak zgrzyt skreconych zawiasów, a on zostałby na podłodze, krzycząc z bólu i tryskając krwią z porozrywanych żył.

Szybko cofnął rękę, jakby w obawie, że Frank raptem powróci i chwyci ją.

Okrażając łóżko poczuł, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Omal nie wypuścił słuchawki z drżącej dłoni i miał poważne kłopoty z wybraniem domowego numeru Dakotów.

37

Bobby i Julie wyjechali do szpitala za piętnaście trzecia. Ciemności nocy wydawały się głębsze niż zazwyczaj; uliczne lampy i reflektory wozu nie były w stanie zupełnie przeniknąć mroku. Krople deszczu uderzały z taką siłą, że odbijały się od asfaltu ulic, jakby stanowiły odłamki pekającego sklepienia, nakrywającego noc. Prowadziła Julie, ponieważ Bobby nie doszedł jeszcze do siebie. Straszliwie ciążyły mu powieki i nie mógł przestać ziewać, a myślenie przychodziło mu z najwyższą trudnością. Poszli spać zaledwie trzy godziny przed telefonem Hala Yamataki. Jeżeli Julie musiała zadowolic się taką ilością snu, zupełnie jej to wystarczało, natomiast Bobby'emu do normalnego funkcjonowania potrzebna była co najmniej sześć, a najlepiej osiem godzin wypoczynku. Był to drobny szczegół, lecz z powodu jeszcze kilku podobnych szczegółów zrodziło się w Bobbym podejrzenie, że ogólnie rzecz biorąc Julie jest od niego mocniejsza, nawet jeżeli silując się na rękę wygrywał z nią dziesięć razy na dziesięć.

Zachichotał cicho.

-Co jest?

Zahamowała, bo zapaliło się czerwone światło. Jego zniekształcone, krwawe odbicie plonęło na czarnej, przypominającej lustro, zalewanej deszczem jezdni.

-Musiałem oszaleć, skoro ci to mówię, ale tak sobie myślę, że pod niektórymi względami jesteś mocniejsza ode mnie.

-To żadna rewelacja - odparła. - Zawsze wiedziałam, że jestem od ciebie mocniejsza.

-Doprawdy? Klade cię na rękę za każdym razem. Potrząsnęła głową.

-To ci dopiero. Czy ty naprawdę uważasz, że pokonanie kogoś mniejszego, i to w dodatku kobiety, czyni z ciebie supermana?

-Mogę pokonać wiele kobiet większych ode mnie - zapewnił ją Bobby. - A jeśli będa dostatecznie stare, mogę walczyć z dwiema, trzema lub czterema naraz. Prawde mówiąc, możesz rzucić przeciwko mnie sześć dużych babć, a ja stawie im czoło z jedną ręką skrepowaną na plecach!

Światło zmieniło się na zielone, więc ruszyli z miejsca.

-Mówię o dużych babciach - kontynuował - a nie o jakichś tam kruchych, drobnych starowinkach. Duże, grube, silne babcie, sześć naraz.

-To robi wrażenie.

-Pewnie, że tak. Dlatego dobrze by było mieć pod ręką łyżkę do opon.

Rozesmiała się, a on wyszczerzył zęby. Ale cały czas pamiętali przecież, dokąd jada i dlaczego, toteż uśmiechy szybko ustąpiły miejsca zatroskanym minom. Dalsza droga przebyli w milczeniu. Szum wycieraczek, który dawno powinien był ukolysać Bobby'ego do snu, tym razem nie pozwalał mu zasnąć.

W końcu odezwała się Julie:

-Jak myślisz, czy Frank naprawdę zniknął na oczach Hala, tak jak on to przedstawia?

-Nigdy nie słyszałem, żeby Hal skłamał albo wpadł w histerię.

-Ja też.

Na najbliższym skrzyżowaniu skręciła w lewo. W odległości kilku przecznicy przez falującą kurtyne deszczu zabłysły światła szpitala, pulsując i tancząc, jakby były pogrążone w opalizującym płynie. To sprawiało, że wyglądały równie nierealnie jak widmowa oaza, polyskująca poprzez unosząca się nad rozgrzanym piaskiem ściana gorąca.

* * *

Kiedy weszli do pokoju, ujrzeni Hala stojącego w nogach łózka niemal zupełnie zasłoniętego parawanem. Wyglądał jak człowiek, który nie tylko zobaczył ducha, ale jeszcze go objął i pocałował w zimne, osłizłe, gnijące usta. -Dzięki Bogu, że już jesteście. - Spojrzał ponad nimi w głąb korytarza. - Przelozona pielęgniarek chce wezwac policje, zglosic zaginięcie chorego...

-Juz to załatwilismy - uspokoil go Bobby. - Doktor Freeborn rozmawial z nia przez telefon. Podpisalismy oswiadczenie zwalnijace szpital od wszelkiej odpowiedzialności.

-To dobrze. - Wskazując otwarte drzwi, Hal powiedział: - Bedziemy musieli zachowac to w najglebszej tajemnicy.

Zamknawszy drzwi, Julie również podeszła do łózka. Bobby wskazał na polamane zawiasy.

-Co to takiego?

Hal z trudem przelknął ślinę.

-Gdy zniknął, trzymał się tej poręczki... Zabrał ją ze sobą. Nie wspomniałem o tym przez telefon, ponieważ doszedłem do wniosku, że i bez tego weźmiecie mnie za wariata.

-Opowiedz nam o wszystkim - cicho powiedziała Julie. Każde z nich mówiło przyciszonym głosem, bo inaczej na pewno zwróciliby na siebie uwagę siostry Fulgham, która pofatygowalaby się zaraz, by im przypomnieć, że jednak większość pacjentów na tym pięttrze śpi.

Gdy Hal skończył swoją opowieść, Bobby po namyśle powiedział:

-Flet, dziwny wiatr... Frank wspominał, że właśnie te odgłosy słyszał, gdy tylko odzyskał przytomność w ciemnej alei i że w jakiś sposób wiedział, iż zwiastują one czyjeś nadejście.

Odrobina brudu, który zauważył Hal na piżamie Franka po jego drugim pojawieniu się, pozostała na przescieradle. Julie dotknęła jej palcem.

-Właściwie to nie jest brud.

Bobby roztarł w dłoni drobne ziarenka.

-Czarny piasek.

-Frank nie pojawił się od chwili, gdy zniknął z poręczki? zapytała Julie, zwracając się do Hala.

-Nie.

-A kiedy to było?

-Parę minut po drugiej. Może dwie, może trzy po drugiej, jakos tak.

-Czyli mniej więcej godzinę i dwadzieścia minut temu - dodał Bobby.

Przez jakiś czas stali w milczeniu wpatrując się w zawiasy, z których została wyrwana poręczka. Na zewnątrz nawałnica tłukła deszczem o szyby z wystarczającą siłą, by odgłos uderzenia mógł się skojarzyć z zapoznionymi zartownisiami ze święta Halloween, ciskającymi w okna garściami suszonej kukurydzy.

W końcu Bobby spojrzał na Julie.

-Co teraz zrobimy?

Zamrugnęła oczami.

-Nie pytaj mnie. To pierwsza sprawa, w której mam do czynienia z czarami. - Czarami? - nerwowo powtórzył Hal.

-Tylko tak mówie - uspokoiła go Julie. Może, pomyślał Bobby. A głośno powiedział:

-Musimy przyjąć, że wróci przed świtem, może nawet kilka razy, i przedzej czy później zostanie na dłużej. To właśnie dzieje się z nim każdej nocy podczas snu. W ten sposób odbywa podroże, których nie pamięta po przebudzeniu.

-Podroże - powiedziała Julie. Biorąc pod uwagę okoliczności, to zwyczajne słowo zabrzmiało bardziej egzotycznie i tajemniczo niż jakikolwiek inny wyraz.

* * *

Zachowując się jak najciszej, by nie obudzić pacjentów, przyniesli dwa dodatkowe krzesła z innych pokoi. Hal siedział w napięciu tuż za zamkniętymi drzwiami pokoju 638, gotów w każdej chwili zapobiec nieoczekiwanym odwiedzinom szpitalnego personelu. Julie usadowiła się w nogach łóżka, zaś Bobby zajął stanowisko od strony okna, przy ocalałej poręczu. Czekali.

Ze swego miejsca, lekko skrecając głowę, Julie mogła zobaczyć Hala. Patrząc w drugą stronę widziała Bobby'ego. Natomiast, z powodu rozciągniętego wzdłuż boku łóżka parawanu, Hal i Bobby nie mieli łączności wzrokowej.

Zastanawiała się, czy Hal okazałby zdumienie, gdyby zobaczył, jak szybko Bobby usnął. Hal wciąż jeszcze był poruszony tym, co się wydarzyło, a Julie wysłuchawszy zaledwie relacji z drugiej ręki o magicznym zniknięciu Franka, nie była zdenerwowana, lecz ciekawa; cieszyła się, że ma okazję ujrzeć czary na własne oczy. Bobby był człowiekiem o niezwykle wrażliwej wyobraźni, obdarzonym dziecięcą wręcz ciekawością, więc zapewne całkiem go bardziej niż ja czy Hala. Co więcej, z powodu swych złych przeżyć podejrzewał, że ta sprawa obfitować może w przykre niespodzianki, toteż teraz na pewno musiał czuć niepokój. A jednak zaraz po tym jak usiadł, osunął się na niewygodnym krześle, opuścił głowę na piersi i natychmiast usnął. Stres nigdy go nie pokonał. Czasami jego poczucie hierarchii poszczególnych spraw i umiejętność odsuwania wszystkiego w bliższą lub dalszą przyszłość wydawały się nadludzkie. Kiedy parę lat temu hitem stała się piosenka Bobby'ego McFerrina Don't Worry, Be Happy, uznał ją za swój prywatny hymn. Siła woli potrafił narzucić sobie spokój, co zawsze budziło jej podziw.

Okolo czwartej czterdzięci, kiedy Bobby od przeszło godziny pogrążony był w błogiej drzemce, podziw Julie raptownie ustąpił miejsca niezdrowej zazdrości. Zapragnęła kopnąć krzesło, na którym siedział i wywrócić wraz z nim na podłogę. Powstrzymała się tylko dlatego, że wiedziała, co nastąpiłoby potem. Bobby ziewnąłby szeroko i ułożył się wygodnie na boku, ani na chwilę nie przerywając snu, a wtedy jej zazdrość stałaby się tak nieobliczalna, że po prostu musiałaby go zabić. Wyobraziła sobie przemowę w sądzie: "Wiem, że zabicie jest rzeczą złą, proszę Wysokiego Sądu, ale on był zbyt flegmatyczny, aby dłużej żyć."

Z powietrza na wprost niej popłynęła kaskada cichych, niemal melancholijnych dźwięków.

-Flet! - wyszeptal Hal, podrywajac sie z krzesla z gwałtownoscia podskakujacego na rozgrzanej patelni ziarna kukurydzy.

Równocześnie, nie wiadomo skąd, przez pokój przemknal zimny podmuch.

Podnoszac sie na nogi, Julie powiedziala:

-Bobby!

Potrzasnala go za ramie, a gdy sie ocknal, atonalna muzyka akurat ucichla, zas powietrze ponownie zamarlo w bezruchu. Bobby przetarl oczy dlonmi i ziewnal.

-Co sie dzieje?

Nim skonczyl mowic, niesamowita melodia poplynela ponownie, nieco glosniejsza niz przed chwila. Wlasciwie nie byla to muzyka. Hal mial racje - wsluchawszy sie dokladnie, mozna bylo stwierdzic, ze dzwieki nie pochodzily z fletu.

Podeszla do lozka.

Hal, ktory opuscil posterunek przy drzwiach, polozyl jej dlon na ramieniu.

-Uwazaj.

Frank opowiadal, ze owej nocy w Anaheim, przed pojawieniem sie Pana Blekitne Swiatlo, wystapily trzy lub cztery fale zaburzen dzwiekowych i powietrznych. Z kolei Hal zauwazyl, ze kazdemu powrotowi Franka towarzyszyly trzy takie cykle. Widocznie jednak zjawisko to nie bylo podporzadkowane jakimis niezmiennym zasadom, bo gdy tylko urwala sie druga sekwencja luzno powiazanych tonow, powietrze nad lozkiem zalsnilo, jak gdyby ktos cisnal w nie garsc bladych, zasniedzialych cekinow, ktore trzepoczac zawisly nieruchomo, unoszone goracym pradem. W sekunde pozniej posrod wymietych przescieradel pojawil sie Frank Pollard.

Julie poczula klucie w uszach.

-O Jezu! - powiedzial Bobby i byly to dokladnie te slowa, ktore spodziewala sie uslyszec Julie.

Sama Julie nie byla w stanie otworzyc ust.

Frank ciezko dyszac usiadl na lozku. W jego twarzy nie pozostala nawet kropla krwi. Skora otaczajaca zaropiale oczy sprawiala wrazenie posiniaczonej, a na czole perlil sie kwasny pot, ktorego krople splywaly az na nie ogolony podbrodek.

Mial przy sobie powloczke na poduszke, wypelniona czyms do polowy i zwiazana od gory dlugim sznurkiem. Gdy wypuscil ja z reki, potoczyla sie na bok przez pozbawiona poreczy krawedz lozka i z miekkim pacnieciem spadla na podloge.

Pollard odezwal sie dziwnym, ochrypłym głosem:

-Gdzie jestem?

-Jestes w szpitalu, Frank - poinformowal go Bobby. - Juz wszystko w porzadku. Jestes tam, gdzie powinienes byc.

-Szpital... - powiedzial Frank, wypowiadajac to slowo tak, jakby je uslyszal i wymawial po raz pierwszy. W najwyzszym zdumieniu rozejrzal sie dokola; wciaz jeszcze nie wiedzial, gdzie sie znajduje. - Nie pozwolcie mi...

Zniknal w polowie zdania. Jego raptownej ucieczce towarzyszył krotki swist. Mozna bylo pomyslec, ze to przez dziure w powloce realnosci umyka wypelniajace pokoj powietrze.

-Cholera! - zaklela Julie.

-Gdzie sie podziala jego pizama? - zapytal Hal.

-Co?

-Byl ubrany w pantofle, spodnie koloru khaki, koszule i sweter - wyjasnil Hal. - Gdy go widzialem poprzednio, pare godzin temu, mial jeszcze na sobie pizame.

W drugim koncu pokoju zaczely otwierac sie drzwi, ale uderzyly w puste krzeslo Hala. W szczelinie ukazala sie glowa siostry Fulgham.

Popatrzyła na krzesło, po czym przeniosła wzrok na Hala, Julie i Bobby'ego, który właśnie wylonil sie zza parawanu, by dolaczyc do stojacej w nogach lozka dwojki.

Chyba nie udalo im sie zbyt dobrze ukryc spowodowanego zniknieciem Franka zdumienia, bo pielegniarka sciagnela brwi i spytala:

-Czy cos jest nie w porzadku?

Odsunela krzeslo i otworzyła drzwi na cala szerokosc. Julie pospieszyła jej na spotkanie.

-Nie. Wszystko w porzadku. Rozmawialismy własnie przez telefon z naszym pracownikiem prowadzacy poszukiwania i dowiedzielismy sie, ze znalezli kogos, kto widzial dzisiejszej nocy pana Pollarda. Wiadomo juz, w ktora strone sie skierowal, wiec jego odnalezienie bedzie teraz juz tylko kwestia czasu.

-Nie sadzilismy, ze zostaniecie panstwo tutaj tak dlugo - powiedziala siostra Fulgham, zerkajac ponad ramieniem Julie na przesloniete parawanem lozko. Mozliwe, ze nawet przez grube drzwi dotarło do niej slabe swiergotanie fletu-niefletu.

-No coz - odparla Julie - to najwygodniejsze miejsce, z ktorego mozemy koordynowac poszukiwania.

Stanawszy w otwartych drzwiach, oddzielona od pielegniarki pustym krzeslem Hala, Julie usilowala zagrodcic jej droge, robiac rownoczesnie wszystko, aby na to nie wygladalo. Gdyby siostra Fulgham

weszła za parawan, spostrzegłaby urwana poręcz, czarny piasek i wypełniona Bog wie czym powłoczka. Na pytanie o którąkolwiek z tych rzeczy trudno byłoby znaleźć przekonującą odpowiedź. W dodatku zostając w pokoju dłużej, mogła trafić na moment powrotu Franka.

-Sadzę, że nie zakłóciliśmy spokoju żadnemu z pani pacjentów. Zachowywaliśmy się bardzo cicho - powiedziała Julie.

-Nie, nie - odrzekła siostra Fulgham. - Nie obudziliście nikogo. Zastanawialiśmy się tylko z koleżankami, czy nie chcecie napić się kawy.

-Ach tak. - Julie popatrzyła na Hala i Bobby'ego. - Chcecie kawy?

-Nie - odparli zgodnym chórem. - Nie, dziękuję - powiedział w następnej chwili Hal, zaś Bobby, wpadając mu w słowo, dodał: - To bardzo miło z pani strony.

-Ja również nie jestem senna - stwierdziła Julie, drżąc z chęci pozbycia się tej kobiety, a równocześnie usiłując nadać słowom jak najbardziej niedbale brzmienie. - Hal nie pija kawy w ogóle, a Bobby, mój mąż, nie może jej pić z powodu problemów z prostatą. - Gadam głupoty, pomyślała. - Tak czy inaczej wkrótce się stąd wyniesiemy. Jestem pewna.

-No dobrze - powiedziała pielęgniarka - jeśli zmienicie zdanie...

Gdy tylko Fulgham wyszła, zamykając za sobą drzwi, Bobby wyszeptał:

-Problemy z prostatą?

-Nadużywanie kofeiny prowadzi do takich właśnie problemów. Ten przekonujący szczegół pozwolił mi wyjaśnić, dlaczego pomimo ziewania nie chcesz kawy.

-Ale ja nie mam problemów z prostatą. Robisz ze mnie starego piernika.

-Ja za to mam - wtracił Hal. - I wcale nie jestem starym piernikiem.

-Co się dzieje? - zaniepokoiła się Julie. - Wszyscy mówimy o rzeczy.

Podparła krzesłem drzwi i wróciła do łóżka. Podniosła z podłogi powłoczka przyniesioną przez Franka Pollarda z... miejsca, w którym przebywał.

-Bądź ostrożna - upomniął ją Bobby. - Ostatnim razem Frank przechowywał w powłoczce schwytanego owada.

Julie delikatnie ustawiła zaimprovizowaną torbę na krześle i uważnie ją obejrzała.

-Chyba nic się w środku nie rusza. Zabrała się za rozplatywanie węzłów.

-Jeżeli wypuścisz stamtąd coś tak wielkiego jak domowy kot, z mnóstwem nog i czulków, pójdzie stąd prosto do adwokata zajmującego się rozwodami - powiedział krzywiąc się Bobby.

Sznurek spadł na podłogę. Rozsunęła brzozy powłoczki i zajrzała do środka.

-O Boże!

Bobby cofnął się o kilka kroków.

-Nie, to nie to - uspokoiła go. - Po prostu jeszcze więcej pieniędzy. - Siegnęła w głąb torby i wydobyla parę paczek studenckich banknotów. - Jeśli są tutaj same setki, to będzie tego ze ćwierć miliona.

-Czym, u licha, zajmuje się nasz Frank? - głośno zastanawiał się Bobby. - Praniem brudnych pieniędzy mafii w Strefie Mroku?

Powietrze jeszcze raz wypełniło się pustym, pozbawionym wszelkiej melodii piskiem, i niczym ciągnięta przez igłę nitka wraz z dźwiękiem napłynął wyczuwalny powiew.

Drżąc na całym ciele, Julie spojrzała na łóżko.

Na chwilę dźwięki i powiew ucichły, znowu powróciły, ucichły, wróciły, aż po czwartym okresie ciszy ujrzeli Franka Pollarda. Leżał na boku, z przycisnietymi do piersi rękami i zwiniętymi w pięści dłońmi. Miał wykrzywioną twarz i mocno zacisnięte oczy, jakby szykował się na przyjęcie śmiertelnego uderzenia topora.

Julie ruszyła w stronę łóżka, lecz i tym razem Hal ją powstrzymał.

Frank zrobił głęboki wdech, zadrzał, wydal z siebie jęk udreki, otworzył oczy... i zniknął. Po upływie dwóch lub trzech sekund zjawił się z powrotem, lecz natychmiast zniknął, pojawił się, zniknął, pojawił się, zniknął, migając im przed oczami jak obraz w zepsutym telewizorze. Na koniec wreszcie wcisnął się jakos w rzeczywistość i z cichym jękiem padł na łóżko.

Przetoczył się z boku na plecy, a nieruchome spojrzenie wbil w sufit. Oderwał pięści od piersi, otworzył dłonie i zapatrzył się w nie ze zdumieniem, jakby nigdy przedtem nie widział własnych palców.

-Frank? - powiedziała Julie.

Nic nie odpowiedział. Czubkami palców obmacywał twarz, jak gdyby próbował przypomnieć sobie w ten sposób szczegóły swego wyglądu.

Serce Julie tłukło się jak oszalałe, mięśnie miała napięte niczym sprężyna w zbyt mocno nakreconym zegarze. Właściwie się nie bała. Napiecie miało swoje źródło nie w strachu, lecz w niesamowitej wręcz niezwykłości tego, co się działo.

-Frank, nic ci nie jest?

Spoglądając na nią przez szpary między palcami, powiedział:

-Ach, to pani, pani Dakota. Tak... Dakota. Co się stało? Gdzie jestem?

-Jesteś teraz w szpitalu - wtracił Bobby. - Posłuchaj, naprawdę istotne jest nie to, gdzie teraz jesteś, ale gdzie, u diabła, byłeś?

-Byłem? Co masz na myśli?

Frank usiłował usiąść, lecz było widać, że na razie ma za mało sił, by się unieść.

Naciskając guziki urządzenia sterującego łóżkiem, Bobby podniósł górną część materaca.

-Nie było cie w tym pokoju przez parę ostatnich godzin. Jest prawie piąta nad ranem, a ty wpadasz tu i wypadasz jak... jak... członek załogi kosmolotu Enterprise, który nieustannie transmituje się na pokład statku-bazy!

-Enterprise? Transmituje się? O czym ty mówisz? Bobby spojrzał na Julie.

-Kimkolwiek jest ten człowiek, skądkolwiek przybywa, wiemy teraz o nim na pewno, że był poza zasięgiem współczesnej kultury. Czy znasz jakiegos Amerykanina, który przynajmniej nie słyszał o Star Trek?

-Dzięki za analizę, panie Spock - powiedziała Julie, zwracając się do Bobby'ego.

-Pan Spock? - zdziwił się Frank.

-A widzisz! - ucieszył się Bobby.

-Możemy porozmawiać z Frankiem później - stwierdziła Julie. - Nie czuję się chyba najlepiej. Musimy go stąd zabrać. Jeśli ta pielęgniarka wróci i zobaczy go tutaj, jak wytłumaczymy jego obecność? Sądźcie, że ona naprawdę uwierzy, że wszedł do szpitala, minął strażników i personel medyczny i przez nikogo nie zauważony dotarł na piąte piętro?

-Racja - powiedział Hal. - A poza tym, choć wygląda, że zakotwiczył się tu na dobre, co będzie, jeśli znowu zniknie - i to na jej oczach?

-Okay, zabierzmy go z łóżka i sprowadźmy na dół schodami w końcu korytarza - postanowiła Julie.

Frank przysłuchiwał się tej wymianie zdań dotyczącej jego osoby, śledząc wzrokiem rozmawiających. Wyglądał jak ktoś, kto po raz pierwszy wybrał się na mecz tenisa i nie może pojąć reguł gry.

-Kiedy już go stąd zabierzemy, powiemy siostrze Fulgham, że został znaleziony parę ulic dalej i że spotkamy się z nim, aby ustalić, czy chce wrócić do szpitala. Mimo wszystko jest naszym klientem, a nie pacjentem, i musimy uszanować jego wolę - powiedział Bobby.

Nie musieli już czekać na przeprowadzenie jakichkolwiek badań. Wiedzieli, że Frank nie cierpi na żadne fizyczne dolegliwości, takie jak wrzody mózgu, skrzepy, aneurizm, cysty czy nowotwory. Jego

amnezja nie była wynikiem choroby mózgu, lecz czegoś o wiele bardziej niezwykłego. Żadna przypadłość, choćby nie wiadomo jak rzadka, nie mogła wyposażyć swej ofiary w moc pozwalającą wkraczać w czwarty wymiar - lub gdziekolwiek indziej, gdzie trafiał Frank po zniknięciu.

-Hal - poleciała Julie - wyjmij z szafy rzeczy Franka, zwin w klebek i zapakuj do powłoczki z pieniędzmi.

-Tak jest.

-Bobby, pomóż mi wyciągnąć Franka z łóżka. Zobaczymy, czy zdoła stać o własnych siłach. Wygląda na bardzo osłabionego.

Ocalała barierka stawiała przez chwilę opór, gdy Bobby usiłował ją opuścić, nie mogli jednak podejść do Franka z drugiej strony, bo wówczas musieliby złożyć parawan, wystawiając się tym samym na spojrzenie każdego, kto przypadkiem mógł otworzyć drzwi.

-Mogłeś mi zrobić uprzejmość, zabierając te poręcz razem z tamtą do Krainy Oz - powiedział Bobby.

-Oz? - powtórzył Frank.

Gdy poręcz wreszcie opadła, otwierając dostęp do łóżka, Julie stwierdziła, że nie potrafi dotknąć Franka z obawy przed tym, co może ją spotkać, gdyby przypadkiem zechciał znowu zniknąć. Widziała roztrzaskane zawiasy, na których zamocowana była poręcz. Zdawała sobie sprawę, że Frank wrócił bez poręczy, a więc musiał pozostawić ją w innym miejscu lub czasie, w jakie udało mu się zawedrować.

Bobby wahał się również, lecz szybko przezwyciężył obawę. Złapał za nogi leżącego, przeniósł je poza krawędź łóżka, następnie ujął go pod ramiona i pomógł usiąść. Choć Julie pod wieloma względami była silniejsza od męża, to w zetknięciu z nieznanym Bobby wykazywał większą elastyczność i zdolność adaptacji.

W końcu jej także udało się stłumić lek i razem z Bobbym dopomogła Frankowi stanąć na nogi. Cały czas musieli go przy tym podpierać, bo chwiał się na wszystkie strony, narzekając na osłabienie i zawroty głowy.

Upychając ubranie w powłoczke, Hal powiedział:

-Jeśli będzie trzeba, znieśliśmy go z Bobbym na dół.

-Bardzo mi przykro, że sprawiam wam tyle kłopotu - wyszeptał Frank.

Julie pomyślała, że nigdy dotąd nie wyglądał tak wzruszająco, i zrobiło jej się wstyd.

Podtrzymując Franka pod ramiona, Julie i Bobby przeszli z nim parę razy tam i z powrotem wzdłuż skapanego w deszczu okna, dając mu czas na odzyskanie władzy w nogach. Stopniowo zaczęły mu wracać siły i poczucie równowagi.

-Spadaja mi spodnie - poskarzyl sie Frank. Podprowadzili go do lozka i podczas gdy Julie nadal pomagala mu utrzymac pozycje stojaca, Bobby podciagnal w gore niebieski sweter, chcac sprawdzic, czy nie trzeba zacisnac paska o jedna dziurke. Okazalo sie, ze wolny koniec paska pokryty jest dziesiatkami malych dziurek, jakby dobraly sie do niego jakies pracowite insekty. Ale jakie insekty jedza wyprawiona skore? Kiedy Bobby dotknal zasniezdzialej metalowej sprzaczki, rozsypala mu sie w palcach niczym francuskie krusze ciasto.

Gapiac sie na przyklejone do palcow polyskliwe kawalki metalu, Bobby spytal:

-Gdzie kupujesz ubrania, Frank? Na smietniku?

Pomimo zartobliwego tonu Julie wiedziala, ze byl zdenerwowany. Jaka substancja lub sila mogla tak doglebnie zmienic strukture blachy? Kiedy przeciagnal palcami po przescieradle, chcac zetrzec z nich dziwny osad, zadrzala, przygotowana na to, ze skazone kontaktem ze sprzaczka ciało zacznie sie kruszyc podobnie jak metal.

* * *

Po zalozeniu paska, ktory Frank mial na sobie zgłaszając się do szpitala, Hal i Bobby wyprowadzili go z pokoju. Ubezpieczani przez idaca z przodu Julie, szybko i cicho przebyli korytarz i otworzywszy ewakuacyjne drzwi znalezi sie na gornym podescie awaryjnych schodow. Skora Franka byla zimna w dotyku i wciaz jeszcze wilgotna od potu. Spowodowany ruchem wysilek zabarwil jego policzki lekkim rumiencem, dzieki czemu przestal przypominać chodzacego trupa. Julie zeszla na dol, aby sprawdzic, dokad prowadzi wyjscie. Trojka mezczyzn bez wiekszych trudnosci pokonala cztery pietra, budzac swym przemarszem glosne echo, odbijajace sie wielokrotnie od nagich, betonowych scian. Jednak na podescie pierwszego pietra musieli przystanac i pozwolic Frankowi zlapac nieco tchu.

-Czy zawsze jestes taki slaby, gdy sie obudzisz i nie pamietasz, co sie z toba dzialo? - zapytal Bobby.

Frank pokrecil glowa. Jego slowa przypominaly cienki pisk.

-Nie. Zawsze jestem wystraszony... zmeczony, ale nie az tak... Czuje, ze... cokolwiek robie... dokadkolwiek docieram.. za kazdym razem place coraz wyzsza cene. Jesli... tak dalej pojdzie... to tego nie przezyje.

Sluchajac Franka, Bobby odkryl cos niezwyklego w jego niebieskim swetrze. W wielu miejscach wzor przedzy byl bardzo nieregularny, jakby maszyna dziewiarska od czasu do czasu dostawala krotkotrwalych napadow szalu. Ponadto na plecach, w poblizu prawej lopatki, w dzianinie widoczny byl ubytek o rozmiarach czterech znaczkow pocztowych i nierowno postrzepionych brzegach, przy czym nie byla to zwyczajna dziura. Otwor wypelniala bowiem jakas tkanina w kolorze khaki, w dodatku nie naszyta na wierzchu jak lata, lecz polaczona scisle z otaczajaca ja przedza, tak jakby stalo sie to jeszcze w fabryce. Material w barwie khaki mial ten sam odcien i wykonczenie co drelach, z ktorego byly uszyte spodnie Franka.

Bobbym wstrzasnal dreszcz przerazenia, choc nie potrafil okreslic zrodla niepokoju. Mial wrazenie,

ze jego podświadomość rozumie, w jaki sposób powstała ta plama i jakie to ma znaczenie, że dostrzega straszliwe konsekwencje, których świadomy umysł nie potrafił jeszcze ogarnąć.

Zauważył, że idący po drugiej stronie Franka Hal ze zmarszczonym czołem również wpatruje się w dziwną latę.

Wrocila Julie.

-Mamy szczęście - rzuciła. - Na dole znajduje się dwoje drzwi. Jedne prowadzi na korytarz poczekalni, gdzie pewnie spotkalibyśmy strażników, nawet jeżeli już nie szukają Franka. Za to drugie otwierają się na garaż, na ten sam poziom, na którym stoi nasz samochód. Jak się czujesz, Frank? Wytrzymasz?

-Lapie... drugi oddech - odparł głosem mniej piskliwym niż poprzednio.

-Popatrz na to - powiedział Bobby, zwracając jej uwagę na połączenie tkaniny niebieskiego swetra z materiałem khaki.

Podczas gdy Julie badała dziwną wstawkę, Bobby puścił ramię Franka i kierując się nagłym przeczuciem przysiadł, żeby obejrzeć nogawki jego spodni. Znalazł to, czego szukał. Niebieska bawełniana przedzia ze swetra wpleciona była w materiał spodni. Nie tworzyła jednej plamy, wielkości i kształtem odpowiadającej ubytkowi w swetrze, lecz ciąg trzech niewielkich latek w pobliżu mankietu prawej nogawki. A jednak był pewien, że dokładne pomiary potwierdza to, co on wiedział od pierwszego spojrzenia: całkowita ilość przedzi wypełniającej trzy dziury odpowiada zużytej na laty na plecach swetra.

-Cos nie tak? - zaniepokoił się Frank.

Bobby nie odpowiedział, tylko naciągnął materiał na obszernej nogawce jego spodni, chcąc dokładniej przyjrzeć się odkrytym nieprawidłowościom. Tutaj również materiał nie sprawiał wrażenia cerowanego ręcznie. Zbyt dokładnie i gładko niebieska nitka łączyła się z tkaniną spodni.

Julie kucnęła obok i powiedziała:

-Najpierw musimy wydostać stąd Franka.

-Tak, ale to jest naprawdę dziwne. - Bobby dotknął nogawki. - Dziwne i... w jakiś sposób ważne.

-Cos nie tak? - powtórzył Frank.

-Skąd masz to ubranie? - zapytał Bobby.

-No coż... nie wiem.

Julie wskazała białą frotową skarpetkę na prawej stopie Franka. Bobby od razu spostrzegł, co zwróciło jej uwagę: kilka niebieskich nitok o barwie swetra. Nie przyczepiły się po prostu do skarpety. Zostały mocno wplecione w tkaninę.

A potem obejrzał jego lewy but. Był to ciemnobrazowy pantofel, którego skóra na nosku szpeciła kilka cienkich, poskrecanych białych linii. Zbadawszy je dokładniej przekonał się, że są to kosmate białe nitki identyczne z tymi, z których utkany jest materiał skarpet. Usiłował zdrapać je paznokciem, okazało się jednak, że włókna zostały jakby wtopione w licową warstwę skóry.

Przed nią ze swetra stała się część spodni i jednej ze skarpet; nitki z tej skarpety trafiły do pantofla na drugiej stopie.

-Coś nie tak? - jeszcze raz zapytał Frank, dużo bardziej niespokojnym głosem.

Bobby obawiał się popatrzeć w górę, spodziewając się odnaleźć pasemka skóry z prawego pantofla wkomponowane w twarz Franka oraz usunięte stamtąd skrawki ciała zgrabnie wplecione w dzianinę swetra. Podniósł się i zmusił do spojrzenia na swego klienta.

Poza ciemnymi, napuchniętymi kregami wokół oczu, chorobliwą bladocią, ożywioną jedynie przez słaby rumieniec, oraz wyrazem dezorientacji i strachu na jego twarzy, nie dostrzegł nic nadzwyczajnego. Żadnych ozdóbek ze skóry, żadnych zszywających wargi nitok w kolorze khaki, żadnych sterczących z oczu błękitnych włókien, plastikowych końcówek sznurowadeł czy kawałków guzika.

Przeklinając w duchu swą wyobraźnię, Bobby poklepał Franka po ramieniu.

-Okay. Wszystko w porządku. Zastanowimy się nad tym później. Zabierajmy się stąd.

38

W głębokich ciemnościach, otoczony zapachem Chanel nr 5, spowity w koce i przescieradła, które kiedyś ogrzewały jego matkę, a które tak starannie przechowywał, Candy drzemiał. Budził się od czasu do czasu z nagłym drzeniem, choć nie mógł sobie przypomnieć żadnych koszmarów. W przerwach między okresami niespokojnego snu zastanawiał się nad zdarzeniem w kanionie, kiedy to w trakcie polowania poczuł nagle, jak ktoś niewidzialny kładzie mu rękę na głowie. Nie spotkał się z tym nigdy przedtem. Był zaniepokojony nie wiedząc, czy kryje się za tym groźba czy coś dobrego, i nie mogąc pojąć natury tego zjawiska.

Początkowo myślał, że w ten sposób zmanifestowała się anielska obecność jego matki, jednak szybko odrzucił to wyjaśnienie. Gdyby zstąpiła ku niemu z tamtego świata, rozpoznałby jej ducha, jej niepowtarzalną aureę miłości, ciepła i współczucia. Upadłby na kolana pod dotykiem jej dłoni i zapłakałby ze szczęścia.

Przyszło mu do głowy, że może któraś z jego siostr, a może obie, posiada nie ujawniony dotąd talent psychiczny i z niewiadomych powodów usiłuje się z nim porozumieć. Przecież w jakiś sposób panowały nad swymi kotami, a także potrafiły wywierac podobny wpływ na inne małe zwierzęta. Dlaczego by nie miały więc wnikać do umysłu człowieka? Nie chciał, aby ta para bladych bliźniaczek o zimnych oczach wdzierała się do wnętrza jego umysłu. Czasami, gdy na nie patrzył, przypominały mu weże - złowieszcze albinosy, ciche i czujne - kierowane pragnieniami równie obcymi, jak wszystko, co popycha gady do działania. Ewentualność, że zdolają przeniknąć do jego

umysłu - nawet jeżeli nie mogły sprawować nad nim kontroli - przyprawiała go o dreszcze.

W końcu odrzucił i ten pomysł. Gdyby Violet i Verbina dysponowały podobnymi umiejętnościami, zniewolilyby go już dawno temu, tak jak to uczyniły ze swymi kotami. Zmuszałyby go do robienia różnych poniżających, bezwstydných rzeczy. Brak im było samokontroli w sprawach ciała, toteż gdyby tylko mogły, żyłyby w ciągłym pogwałceniu Boskich przykazań.

Nie mógł pojąć, dlaczego matka kazała mu przysiąc, że będzie się o nie troszczył, tak samo jak nie wiedział, w jaki sposób mogła je kochać. Oczywiście, uczucie, które żywiła wobec tych niegodnych potomków, było jeszcze jednym świadectwem jej świętej natury. Przebaczenie i zrozumienie wypływało z niej niczym czysta, chłodna woda z artezyjskiej studni.

Drzemal jeszcze przez chwilę. Kiedy obudził się, wstrząsany nagłym dreszczem, obrócił się na bok i zapatrzył w słaby blask poranka, przeswitujący wzdłuż krawędzi zaciągniętych zasłon.

Zaczął się zastanawiać, czy tam, w kanionie, nie odczuł czasem obecności swego brata Franka. Jednak to także było nieprawdopodobne. Gdyby Frank posiadał zdolności telepatyczne, już dawno temu znalazłby sposób, żeby zniszczyć Candy'ego. Frank był trochę mniej utalentowany od swoich siostr i znacznie mniej - od brata.

A zatem kto dwukrotnie nawiedził go w kanionie, wciskając się w głąb jego umysłu? Kto wysłał oderwane słowa, odzywające się echem w jego głowie: Czym... Gdzie... Czego... Dlaczego... Czym... Gdzie... Czego... Dlaczego?

Zeszłej nocy spróbował osaczyć swym umysłem tamtą obecność. Kiedy pośpiesznie się cofnęła, chciał przyczepić do niej część własnej świadomości, żeby wraz z nią uleciała w mrok, lecz nie wytrzymał tej pogoni. Jednakże przekonał się przy okazji, że może w sobie rozwiniąć taką umiejętność.

Gdyby jeszcze kiedyś tamten powrócił, przywiąże do niego pasemko swego umysłu i pozwoli nieść się aż do źródła. Przez całe dwadzieścia dziewięć lat życia nie spotkał nikogo, poza własnym rodzeństwem, kto byłby obdarzony ponadnormalnymi zdolnościami psychicznymi. Jeżeli na świecie był jeszcze jakiś obdarowany, musi go poznać. Taka osoba, nie zrodzona z jego świętej matki, była rywalem, zagrożeniem, wrogiem.

Choć za zaciemnionymi oknami słońce nie wstało jeszcze na dobre, wiedział, że nie zdola już zasnąć. Odrzucił posciel, z wprawą ślepego poruszającego się po znanym sobie terenie przeszedł przez mroczny, zagracony pokój i zniknął w przyległej łazience. Upewniwszy się, czy zamknął za sobą drzwi, rozebrał się, ani razu nie spojrzawszy w lustro. Wysuszał się, usiłując przy tym nie patrzeć na swój odrażający organ, a gdy wszedł pod prysznic, mydlil go i plukał tylko za pomocą frotowej rękawicy, chcąc uchronić w ten sposób swą niewinna dłoń przed zetknięciem z potwornym, grzesznym ciałem podbrzusza.

ich dużo pracy, a jego pogarszający się stan uświadomił im konieczność jak największego pośpiechu. Frank jechał z Halem, a Julie za nimi z tyłu - gotowa do pomocy, gdyby podczas jazdy zaszły jakieś nieoczekiwane wypadki. Prawde mówiąc cała sprawa wyglądała jak ciąg nieoczekiwanych wypadków. Gdy dotarli do opustoszałego biura - reszta załogi Dakota and Dakota miała pojawić się dopiero za kilka godzin - słońce zdążyło już wzniesć się ponad rozciągające się na wschodzie chmury. Na zachodzie, ponad oceanem przeswitywał wąski skrawek błękitnego nieba, przypominający szparę pod uchylonymi drzwiami burzy. Gdy cała czwórka przeszła z pokoju recepcyjnego do sanktuarium Dakotow, przestało nagle padać, jakby boska reka zakreciła kurek niebieskiego prysznica. Woda nie sciekła już z okien błyszczącymi strumykami, natomiast powierzchnia szyb pokryta była setkami małych kropelek, które polyskiwały metnie w rzeziowym świetle pochmurnego poranka.

Bobby wskazał na trzymana przez Hala wypchana powłoczka.

-Zabierz Franka do łazienki i pomóż mu się przebrać w ubranie, które miał na sobie przed wyjściem do szpitala. Potem obejrzymy dokładnie to, co teraz ma na sobie.

Frank doszedł już do siebie i niepotrzebna mu była asysta Hala, Julie wiedziała jednak, że Bobby nie pozwoli mu już oddalić się samemu nawet na krok. Musieli mieć go na oku przez cały czas, tak by nie przegapić żadnych szczegółów, które mogłyby wyjaśnić jego nagłe zniknięcia i powroty.

Hal wydobyl z powłoczki zwinięte w klebek ubranie, a resztę jej zawartości zostawił na biurku Julie.

-Kawy? - zapytał Bobby.

-Koniecznie - przytaknęła Julie.

Przeszedł do urządzonych w niszy kuchenki i nastawił jeden z dwóch ekspresów.

Julie siadła za biurkiem i opróżniła powłoczka. Było w niej trzydzieści paczek studenckich banknotów, scisniętych gumowymi opaskami. Przerzuciła banknoty w dziesięciu paczkach, chcąc się upewnić, czy nie ma wśród nich niższych nominalów; były same setki. Wybrała na chybił trafił dwie paczki i przeliczyła je. Każda zawierała sto banknotów. Po dziesięć tysięcy w każdej. Zanim wrócił Bobby z ustawionymi na tacy filiżankami, łyżeczkami, śmietanką, cukrem i dzbankiem gorącej kawy, Julie już wiedziała, że była to największa z dotychczasowych zdobyczy Franka.

-Trzysta tysięcy - powiedziała, gdy Bobby ustawił tace na biurku.

Cicho zagwizdał.

-Ile to daje razem?

-Z tym tutaj, bedziemy mieli szescset tysiecy.

-Wkrotce bedzie trzeba wstawic do biura wiekszy sejf.

* * *

Hal Yamataka polozył zdjete z Franka ubranie na stoliku do kawy.-Cos sie stalo z zamkiem u spodni. Nie chodzi o to, ze nie dziala, to swoja droga. Zrobilo sie z nim cos naprawde zlego.

Hal, Frank i Julie przysuneli krzesla do niskiego stolika o szklanym blacie i popijali mocna, czarna kawe, podczas gdy Bobby usiadl na kanapie i uwaznie ogladal przyniesione rzeczy. Oprocz osobliwosci zauwazonych juz wczesniej w szpitalu, odkryl, ze wsrod metalowych zebow zamka, a wiec takich, jakie byc powinny, okolo czterdziestu rozrzuconych przypadkowo wykonanych bylo z twardej, czarnej gumy. Suwak zacial sie wlasnie na kilku takich zebach.

Bobby wpatrywal sie zaskoczony w niezwykly zamek, wodzac powoli palcem wzdluz jego zabkowanych krawedzi, dopoki w jego oczach nie pojawil sie nagly blysk zrozumienia. Podniosl jeden z pantofli Franka i zbadal jego podeszwe. Wygladala calkiem normalnie, za to w obcasie drugiego buta tkwilo, rowno z powierzchnia gumy, trzydziesci lub czterdziesci jasnych metalowych punkcikow.

-Czy ktos ma scyzoryk? - zapytal Bobby.

Hal wyciagnal z kieszeni niewielki nozyk. Za jego pomoca Bobby wydlubal pare blyszczacych przecinkow, ktore musialy zostac zatopione w plynnej gumie. Zabki suwaka. Z brzekiem padaly na szklany blat: "tink...tink". Pobiezny szacunek wskazywal, ze ilosc gumy, ktora zastapiono metalem, odpowiada tej, ktora znajdowala sie w zamku.

* * *

Franka Pollarda, siedzacego w ozdobionym rysunkami Disneya biurze Dakotow, ogarnelo znuzenie tak ogromne, ze dajace sie przedstawic chyba tylko za pomoca filmu rysunkowego. Gdyby na jego miejscu znalazl sie Kaczor Donald, to pod wplywem tak skrajnego wyczerpania splynalby bezwladnie z krzesla na podloge, gdzie przyjalby postac bezkszaltnej sterty pokrytego pierzem kaczego miesa. Dzień po dniu, godzina po godzinie, od chwili, gdy w ubieglym tygodniu ocknal sie w opustoszonej alei, wzbieralo w nim zmeczenie, teraz zas, jakby przerwala sie jakas wewnetrzna tama, zalalo go potezna fala. Jednak ta slabosc byla nie jak woda, ale jak roztopiony olow, totez wkrotce zaczelo mu ciazyc wlasne cialo. Uniesienie stopy czy poruszenie reka kosztowalo go sporo wysilku i nawet miesnie szyi napinaly sie w odczuwalny sposob, gdy chcial utrzymac prosto glowe. Tepym bolem promieniowaly doslownie wszystkie stawy, poczynajac od palcow, nadgarstkow i lokci, a konczac na kolanach, biodrach i barkach, ktore zreszta dokuczaly najbardziej. Czul sie, jakby mial goraczkę. Nie byl chory, ale mial wrazenie, ze jego sily przez cale zycie byly podkopywane przez rozwijajaca sie powoli wirusowa infekcje. Znuzenie nie wplynelo na przytepienie zmyslow, wrecz przeciwnie, wyczulilo zakonczenia jego nerwow skuteczniej, niz uczynilby to drobnoziarnisty papier scierny. Kurczyl sie pod wplywem glosnych dzwiekow, mruzył oczy przed piekacym jasnym swiatlem, stal sie nadmiernie wyczulony na cieplo, zimno i chropawosc powierzchni wszystkiego,

czego dotyczył. Tylko częściowo zmęczenie to było spowodowane małą ilością snu. Jeśli wierzyć Halowi i Dakotom - a Frank nie widział powodów, dla których mieliby go oszukiwać - kilkakrotnie znikal w nocy w niewiarygodny sposób, choć po powrocie do łóżka nie potrafił sobie niczego przypomnieć. Cokolwiek powodowało te zniknięcia i niezależnie od tego dokąd, jak i po co się udawał, już samo znikanie wymagało zapewne energii, tak jak chodzenie, bieganie, podnoszenie ciężarów czy jakakolwiek aktywność fizyczna. Tak więc jego ciągle wyczerpanie mogło być w znacznej mierze rezultatem owych tajemniczych nocnych podróży.

Bobby Dakota wydobyl kilka metalowych zabków z podeszwy buta. Przyjrzał się im dokładnie, odłożył szczypek, opadł na oparcie sofy i w zamysleniu zapatrzył się w widoczne za oknami ponure niebo. Wszyscy siedzieli w milczeniu, czekając, aż im powie, co wydedukował na podstawie oględzin ubrania i obuwia.

Nawet zmęczony i zaabsorbowany własnymi zmartwieniami, po zaledwie jednodniowej znajomości z Dakotami, Frank mimo to już spostrzegł, że z pary detektywów to właśnie Bobby był osobą o bujnej wyobraźni i bardziej elastycznym umyśle. Julie miała więcej sprytu, lecz rozumowała bardziej schematycznie. Wszystko wskazywało na to, że Bobby znacznie szybciej potrafi zdobyć się na odejście od utartego sposobu myślenia, na wykorzystanie intuicji czy wyobraźni. Julie na pewno częściej niż Bobby miała rację, ale w przypadkach, gdy firma musiała szybko uporać się ze sprawą klienta, rozwiązanie najczęściej przychodziło od Bobby'ego. Stanowili dobraną parę i Frank zaczął wierzyć, że dzięki swoim uzupełniającym się cechom zdołają go ocalić.

Zwracając się do Franka, Bobby spytał:

-No a jeżeli w jakiś sposób możesz się teleportować, w mgnieniu oka przenosić się w inne miejsce?

-Ale to byłyby... czary - zaproponował Frank. - Nie wierzę w czary.

-A ja wierzę - odparł Bobby. - Nie w czarownice, zaklęcia czy dziny w butelkach, ale w możliwość występowania fantastycznych zjawisk. Już sam fakt istnienia naszego świata, fakt, że żyjemy, że możemy śmiać się i śpiewać, czuć na skórze słońce... zakrawa mi na czary.

-Ja miałbym się teleportować? Nic mi na ten temat nie wiadomo. Widocznie najpierw muszę zasnąć, a to oznacza, że teleportacja jest funkcją mojej podświadomości, działającej całkowicie niezależnie od woli.

-Nie spałeś, gdy kilkakrotnie zjawiałeś się w szpitalu - wtracił Hal. - Może za pierwszym razem, ale później na pewno nie. Miałeś otwarte oczy, mówiłeś do mnie.

-Zupełnie tego nie pamiętam - powiedział zmartwiony Frank. - Pamiętam tylko, jak szedłem spać, potem nagle zdenerwowany i zdezorientowany ocknałem się w łóżku, a wy wszyscy staliście dookoła.

Julie westchnęła.

-Teleportacja. Jak to jest możliwe?

-Sama widziałas. - Bobby wzruszył ramionami. Uniosł filiżankę i pociągnął łyk kawy, bardziej rozluźniony niż ktokolwiek inny w pokoju, jak gdyby wizyta klienta o zdumiewających zdolnościach psychicznych była, jeśli nie zjawiskiem powszednim, to przynajmniej sytuacją, z którą należało się liczyć, prowadząc dostatecznie długo agencję detektywistyczną.

-Widziałam, jak znikła - przyznała Julie - nie jestem jednak pewna, czy dowodzi to jego umiejętności teleportacji.

-Kiedy znikł - nie usteępował Bobby - dokądś się przesuwał. Tak?

-No... tak.

-A natychmiastowe przeniesienie z miejsca na miejsce, jedynie przez wykorzystanie duchowej energii, nosi, o ile się nie myli, nazwę teleportacji.

-Ale w jaki sposób? - zapytała Julie. Bobby jeszcze raz wzruszył ramionami.

-W tej chwili nie ma to znaczenia. Przyjmijmy po prostu hipotezę o teleportacji jako punkt wyjścia.

-Jako teorii - dodał Hal.

-Okay - zgodziła się Julie. - Przyjmijmy teoretycznie, że Frank może się teleportować.

Dla Franka, którego amnezja pozbawiła wszelkich wspomnień, równie dobrze można było założyć, że żelazo jest lżejsze od powietrza, by w ten sposób otworzyć dyskusję o możliwościach budowy opancerzonych stali sterowców.

-Dobrze. Przy takim założeniu łatwo będzie wyjaśnić stan tego ubrania - powiedział Bobby.

-Jak? - zapytał Frank.

-Za chwilę dojdziemy do ubrania. Słuchaj uważnie, Frank. Wierzę przede wszystkim, że teleportując się musisz rozbić swoje ciało na atomy, które następnie łączą się z powrotem po przybyciu do celu podróży. To samo dzieje się z ubraniami i każdym przedmiotem, który mocno uchwycisz, jak choćby z poręczą łóżka w szpitalu.

-To tak jak na tym filmie Mucha - wtracił Hal.

-Tak - powiedział Bobby, coraz bardziej podniecony. Odstawił kawę, przesunął się na skraj sofy i gestykulując ciągnął dalej. - Coś w tym rodzaju. Jednak z tą różnicą, że energii temu procesowi dostarcza umysł Franka, a nie jakaś przyszłościowa maszyna. Frank myśli sobie po prostu, że chciałby być gdzieś indziej, w przeciągu ułamka sekundy rozkłada się na atomy - puuf! - i przybiera poprzednią postać w miejscu przeznaczenia. Zakładam przy tym oczywiście, że umysł pozostaje nietknięty nawet wówczas, gdy ciało zamienia się w chmurę luznych atomów, ponieważ to zapewne sama siła umysłu przemieszcza owe miliardy cząsteczek, nie pozwalając im się rozproszyc, niczym pilnujący stada owiec owczarek, a na koniec spaja ze sobą we właściwe konfiguracje.

Chociaz jego oslabienie bylo dostatecznie silne, by moglo powstac w wyniku niesamowicie skomplikowanych i pracochlonnych dzialan, ktore przed chwila opisal Bobby, Franka to nie przekonalo.

-No, sam nie wiem... Tego nie mozna nauczyc sie w szkole. Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles nie prowadzi kursow teleportacji. Wiec czy to jest... instynktowne? Ale nawet przyjmujac, ze potrafie instynktownie zmienic ciało w strumien atomow i przeslac je w jakies miejsce, a potem zlozyc z powrotem... w jaki sposob ludzki umysl, nawet nalezacy do najwiekszego geniusza, znajdzie dosyc sily, by sledzic miliardy czasteczek, a nastepnie prawidlowo je zlozyc. Trzeba by na to stu, tysiacu geniuszy, a ja nie mam do dyspozycji zadnego. Nie jestem glupi, ale nie jestem tez bystrzejszy niz przecietny czlowiek.

-Sam sobie odpowiedziales - stwierdzil Bobby. - Nie potrzebujesz do tego nadludzkiej inteligencji, poniewaz teleportacja nie jest jej funkcja. Z drugiej strony nie jest to takze instynkt. Jest to po prostu zdolnosc zaprogramowana na poziomie genow, podobnie jak wzrok, sluch czy powonienie. Pomysl o tym w ten sposob: kazdy docierajacy do twoich oczu obraz sklada sie z miliardow oddzielnych punktow o roznej barwie, jasnosci i strukturze, a jednak twój wzrok z owych miliardow fragmentow natychmiast tworzy spojna calosc. Nie musisz myslec o patrzeniu. Po prostu widzisz, dzieje sie to automatycznie. Rozumiesz teraz, co mialem na mysli, mowiac o czarach? Zdolnosc widzenia ociera sie o magie. Jesli zas idzie o teleportacje, musi prawdopodobnie istniec jakis mechanizm wyzwalajacy, ktory bezwiednie uruchamiasz - moze wystarczy do tego pragnienie, by znalezc sie gdzie indziej - a dalsze procesy zachodza juz niemal automatycznie, tak jak to sie dzieje z docierajacym do twoich oczu swiatlem.

Frank zacisnal powieki, usilujac skoncentrowac sie na pragnieniu, by znalezc sie na korytarzu. Kiedy otworzyl oczy i stwierdzil, ze nadal przebywa w biurze, powiedzial:

-Nic z tego. To nie takie proste. Nie moze tego zrobic sila woli.

-Bobby - zapytal Hal - czy chcesz powiedziec, ze kazdy z nas posiada takie umiejetnosci, lecz tylko Frank odkryl, jak z nich korzystac?

-Nie, nie! Prawdopodobnie dzieje sie tak za sprawa wyjatkowego materialu genetycznego Franka, ktory mogl ulec zmianom nawet na skutek jakichs uszkodzen genetycznego kodu.

Zamilkli, rozwarzajac to, co powiedzial Bobby.

Na zewnatrz warstwa chmur pekala, luszczyla sie, odslanjajac coraz wieksze placki zwyklej, blekitnej farby nieba. Jednak rosnacy blask dnia nie poprawil nastroju Franka.

W koncu Hal Yamataka wskazal na zascielajaca stolik do kawy sterte ubran.

-A w jaki sposob to wszystko tlumaczy stan tych rzeczy? Bobby wzial niebieski sweter i podniosl go tak, aby wszyscy widzieli wstawke w kolorze khaki na plecach.

-Okay, przypuscmy, ze umysl automatycznie steruje czasteczkami wlasnego ciala podczas procesu

teleportacji, nie popelniajac przy tym najmniejszego bledu. Zajmuje sie tez pewnie innymi przedmiotami, jakie Frank chce ze soba zabrac, chociazby ubraniem.

-I torbami pelnymi pieniedzy - podpowiedziala Julie.

-A co z poredza lozka? - zapytal Hal. - Nie bylo zadnego powodu, aby chcial ja ze soba zabrac.

-Teraz tego nie pamietasz - Bobby popatrzył na Franka - ale wygladalo na to, ze wiedziales, co sie dzieje, gdy podlegales serii teleportacji. Starales sie zatrzymac, prosiles Hala o pomoc, a sam zlapales za poredz, probujac w ten sposob zakotwiczyć sie w szpitalnym pokoju. Skoncentrowales sie na tej poredzy, totez gdy znikales, zabrales ja ze soba. Natomiast jesli chodzi o dziwne uszkodzenie czesci garderoby... Moze twój umysl koncentruje sie przede wszystkim na prawidłowym odtworzeniu ciala, gdyz wolna od bledow rekonstrukcja ma decydujace znaczenie dla przezycia organizmu. Czasami moze sie zdarzyc, ze nie starczy ci energii, aby rownie starannie potraktowac rzeczy drugorzędne w rodzaju ubrania.

-No coz - powiedzial Frank - moja pamiec nie siega dalej niz do ubieglego tygodnia, ale cos takiego przytrafilo mi sie po raz pierwszy, choc zapewne musialem czesto podrozowac. Poza tym, jesli nawet wracalem w nie uszkodzonym ubraniu, to za kazdym razem bylem bardziej wyczerpany. A jezeli moj stan pogarsza sie z dnia na dzien...

Nie dokonczyl, bo malujaca sie na ich twarzach troska wskazywala wyraznie, ze rozumieja, o co chodzi. Jezeli teleportacja kosztowala go tyle wysilku, pochlaniala sily, ktore nie dawaly sie pozniej odbudowac, to stopniowo coraz mniej starannie bedzie odtwarzac ubranie i inne posiadane przy sobie przedmioty. Co wazniejsze, w pewnym momencie moga pojawiac sie klopoty z rekonstrukcja samego ciala. Po powrocie z ktorejs z nocnych wypraw moze znalezc kawalek swetra wkomponowany w skore dloni, podczas gdy zastapiona bawelna skora pojawi sie w postaci jasnej plamy na ktoryms z butow. Dla odmiany skora z buta moze sie okazac integralna czescia jego jezyka... albo w postaci pasma obcych komorek zasiedlic wnetrze mozgu.

Strach, zawsze czajacy sie w poblizu, krazacy niczym rekin w glebinach duszy Franka, raptownie wyplynal na powierzchnie, wywolany przez troske i wspolczucie widoczne na twarzach tych, od ktorych zalezalo jego ocalenie. Zamknal oczy, lecz nie byl to szczesliwy pomysl, gdyz natychmiast wyobraznia podsunela mu wizje wlasnej twarzy - takiej, jak moglaby wygladac po nieudanej rekonstrukcji konczacej telekinetyczna podroz: osiem lub dziesiec zebow sterczacych z prawego oczodolu, pozbawione powiek oko zerkajace ze srodka policzka, przytwierdzony do boku twarzy przerazajacy zlepek miesa i chrzastek, ktory niegdys byl nosem. Widmowa glowa otworzyla spotworniale usta, odslanjajac dwa palce i kawalek dloni w miejscu, gdzie powinien byc jezyk.

Otworzyl oczy, a z jego gardla wyrwal sie cichy okrzyk przerazenia i udreki.

Ogarnelo go niepowstrzymane drzenie.

* * *

Dolawszy wszystkim kawy - zgodnie z sugestia Bobby'ego, w przypadku Franka pomimo wczesnej

pory wzmocnionej burbonem - Hal przeszedł do kuchni, aby przygotować następny dzbanek. Gdy po paru łykach tak doprawionej kawy Frank doszedł nieco do siebie, Julie podsunęła mu fotografię, bacznie obserwując jego reakcje.

-Rozpoznajesz kogoś z tych osób?

-Nie. Nie znam ich.

-Ten mężczyzna - powiedział Bobby - to George Farris. Prawdziwy George Farris. Dostaliśmy to zdjęcie od jego szwagra.

Frank przyjrzał się fotografii z nowym zainteresowaniem.

-Może go znałem i dlatego pozyczyłem sobie jego nazwisko, jednak nie pamiętam, że bym kiedykolwiek go widział.

-On nie żyje - powiedziała Julie i pomyślała, że zaskoczenie Franka było szczere. Wyjaśniła, w jaki sposób zmarł przed laty Farris... oraz jak niedawno wymordowano jego rodzinę. Powiedziała mu również o Jamesie Romanie i listopadowym pożarze, w którym zginęła jego rodzina.

Przerazenie Franka wyglądało na szczere.

-Dlaczego oni wszyscy zginęli? Czy to przypadek? Julie ścisnęła brwi.

-Uważamy, że zabił ich pan Blekitne Światło.

-Kto?

-Pan Blekitne Światło. Człowiek, który ścigał cię tamtej nocy w Anaheim, który z jakichś powodów cię przesładował. Sądymy, że dowiedział się o twoich dokumentach na nazwiska Farris i Roman, udał się więc pod tamte adresy, a gdy cię nie zastał, zabił wszystkich, albo próbując wydusić z nich informacje, albo... dla samej przyjemności zabijania.

Frank wyglądał na kompletnie załamane. Jego blada twarz pociemniała jeszcze bardziej, jakby była obrazem zanikającym powoli na kinowym ekranie. Smutek w jego oczach pogłębił się.

-Gdybym nie używał podrobionych papierów, on nigdy nie dotarłby do tych ludzi. To przede mną zginęli.

Julie współczuła temu człowiekowi i wstydziła się teraz swoich podejrzeń.

-Nie obwiniaj się, Frank. Najprawdopodobniej fałszerz, który robił twoje dokumenty, posłużył się nazwiskami wybranymi na chybił trafił z wykazu zmarłych. Gdyby postąpił inaczej, rodziny Romanów i Farrisów nigdy nie zwróciłyby na siebie uwagi pana Blekitne Światło. To nie twoja wina, że fałszerz poszedł na łatwiznę.

Frank potrząsnął głową, spróbował coś powiedzieć, ale mu się nie udało.

-Nie mozesz winic o to siebie - powiedzial Hal. Widac bylo, ze przejmujecie sie cierpieniem Franka. Podobnie jak Clint, Hal rowniez ulegl urokowi tego skromnego czlowieka o lagodnym glosie.

Frank chrzaknal i wreszcie odezwal sie:

-Nie, nie, to przeze mnie. Moj Boze, wszyscy ci ludzie zgineli z mojego powodu.

* * *

W centrum komputerowym agencji Dakota and Dakota Bobby i Frank zasiedli w dwoch wyposazonych w gumowe kolka fotelach dla maszynistek. Bobby uruchomil jeden sposrod trzech komputerow IBM PC, z ktorych kazdy mial polaczenie ze swiatem przez wlasny modem i linie telefoniczna. Gorne oswietlenie, choc zapewniло dostateczna ilosc swiatla do pracy, bylo lagodne i rozproszone, tak by nie rzucalo blasku na ekrany terminali. Z tych samych powodow jedyne w tym pomieszczeniu okno zasloniete bylo gruba kotara. Podobnie jak policjanci w epoce krzemowych obwodow scalonych, nowoczesni prywatni detektywi i konsultanci do spraw bezpieczenstwa zaopatrzyli sie w komputery. W ten sposob ulatwili sobie prace, a ponadto zyskali dostep do bezmiaru informacji, do ktorych nigdy by nie dotarli stosujac staroswieckie metody Sama Spade czy Philipa Marlowe'a. Szlifowanie bruku w wedrowkach po miescie, rozmowy ze swiadkami i potencjalnymi podejrzanymi czy wreszcie inwigilacja nadal pozostawaly oczywiscie nieodlaczonymi elementami ich zawodu, lecz bez komputerow bylby rownie efektywni, jak kowal naprawiajacy przebita oponę za pomoca mlota, kowadla i reszty swoich narzedzi. W ostatniej dekadzie dwudziestego wieku prywatni detektywi, ktorzy zignorowali rewolucje mikroelektroniczna, wystepowali jedyne na ekranach telewizorow oraz zaludniali dziwnie anachroniczny swiat wiekszosci powiesci kryminalnych.

Lee Chen, ktory zaprojektowal, a teraz obslugiwal ich elektroniczny system gromadzenia danych, nie zjawial sie w biurze przed dziewiata. Bobby nie chcial czekac jeszcze prawie cala godzine na zaprzegniecie komputera do pracy nad sprawa Franka. Nie byl tak utalentowanym piratem komputerowym jak Lee, ale wiedzial wszystko o sprzecie, a jesli zachodzila taka potrzeba, potrafil szybko opanowac kazdy nowy program. Wyluskiwanie danych ze zbiorow przychodzilo mu rownie latwo, jak przekopywanie sie przez grube zszywki pozolklych ze starosci gazet.

Poslugujac sie nalezaca do Lee ksiazka kodow, ktora wydobyl z zamknietej szuflady biurka, Bobby polaczyl sie najpierw z siecia danych Administracji Ubezpieczen Spolecznych. Czesc ich zbiorow byla legalnie dostepna dla kazdego, natomiast niektore rodzaje danych w ramach tego samego systemu byly utajnione i teoretycznie zupełnie niedostepne z powodu chroniacych je niczym grube sciany kodow bezpieczenstwa, czego wymagaly rozne przepisy prawne.

Dotarlszy do zbiorow ogolnodostepnych, zapytal o liczbe mezczyzn o nazwisku Frank Pollard, wystepujacych w spisach Administracji. Po uplywie kilku sekund na ekranie zjawila sie odpowiedz: uwzgledniajac takie odmiany Franka jak Franklin, Frankie i Franco oraz imie Francis, ktorego zdrobieniem mogl byc wlasnie Frank, Ubezpieczenia Spoleczne dysponowaly wykazem szesciuset dziewieciu Frankow Pollardow.

-Bobby - powiedzial niespokojnie Frank. - Czy to cos na ekranie ma dla ciebie jakikolwiek sens?

Czy są tam słowa, prawdziwe słowa, czy tylko pierwsze litery?

-Co? Oczywiście, że to są słowa.

-Nie dla mnie. Nie widzę tam niczego zrozumiałego. Sam groch z kapustą.

Bobby wyciągnął egzemplarz Byte, leżący na biurku pomiędzy dwoma komputerami, otworzył na jakims artykule i powiedział:

-Czytaj.

Frank wziął magazyn, wpatrywał się przez chwilę w tekst, potem przerzucił parę stron i jeszcze parę. Zaczęły mu się trząść ręce. Magazyn wyraźnie podskakiwał w jego dłoniach.

-Nie umiem. Jezus, to także straciłem. Wczoraj zapomniałem rachunków, a dzisiaj nie umiem już czytać. Mam coraz większy metlik w głowie, boli mnie każdy staw, każdy miesiąc. Ta teleportacja doprowadza mnie do ruiny, zabija. Ja się rozpadam, Bobby, psychicznie i fizycznie, coraz szybciej i szybciej.

-Wszystko będzie dobrze - powiedział Bobby, choć ta pewność była w znacznej mierze udawana. Był głęboko przekonany, że uda mu się dotrzeć do sedna sprawy, dowiedzieć się, kim jest Frank, gdzie znika nocą, w jaki sposób i dlaczego. Dostrzegł jednakże, że fizycznie i umysłowo Frank ulega szybkiej degradacji i nie byłby gotów się założyć, czy - kiedy znajdzie wreszcie odpowiedź - Frank będzie jeszcze wśród żywych, zdrowy na umyśle, zdolny korzystać z dobrodziejstw ich odkrycia. Położył mu dłoń na ramieniu i lekko uscisnął. - Trzymaj się chłopie. Wszystko będzie okay. Naprawdę tak myślę.

Frank odetchnął głęboko i pokiwał głową.

Powróciwszy przed monitor terminalu Bobby czuł się winny z powodu wypowiedzianego przed chwilą kłamstwa. Spytał:

-Pamiętasz, ile masz lat, Frank?

-Nie.

-Wyglądasz na jakieś trzydzieści dwa, trzydzieści trzy.

-Czuje się starszej.

Pogwizdując cicho Satin Doll Duke'a Ellingtona, Bobby myślał przez chwilę, po czym poprosił komputer Ubezpieczeń o wyeliminowanie Franków Pollardów młodszych niż dwadzieścia osiem i starszych niż trzydzieści osiem lat. Dzięki temu lista skurczyła się do siedemdziesięciu dwóch nazwisk.

-Frank, jak myślisz, żyjesz kiedykolwiek w innym miejscu czy też jesteś rodowitym Kalifornijczykiem.

-Nie wiem.

-Przyjmijmy, że jesteś synem tego słonecznego stanu.

Tym razem polecił komputerowi pozostawić tylko tych Franków Pollardów, którzy ubiegali się o numery Ubezpieczeń Społecznych mieszkając w owym czasie w Kalifornii (było takich piętnastu), a następnie zawiadził swe zainteresowania do osób posiadających aktualnie kalifornijskie adresy (szesciu).

Zgodnie z przepisami prawa sieć publiczna nie mogła zawierać szczegółowych danych dotyczących poszczególnych pozycji. Dlatego też Bobby musiał posłużyć się instrukcjami zawartymi w książce kodów Lee Chena, aby dotrzeć do utajnionych zbiorów, wykonując najpierw wiele skomplikowanych manewrów, mających na celu obejście strzegących ich zabezpieczeń.

Był nieszczęśliwy łamiąc prawo, ale takie właśnie zasady narzucało życie w czasach wysoko rozwiniętej techniki. Przestrzegając wszelkich reguł gry nie można było uzyskać maksymalnych korzyści z posiadanego systemu gromadzenia danych. Komputery były narzędziami wolności, podczas gdy rządy, w większym lub mniejszym stopniu, instrumentami przymusu; pierwsze z drugimi nie zawsze mogły współistnieć w harmonii.

Otrzymał numery i adresy szesciu zamieszkałych w Kalifornii Franków Pollardów.

-I co teraz? - zaniepokoił się Frank.

-Teraz - wyjaśnił Bobby - korzystając z tych danych połączymy się z kalifornijskim Departamentem Pojazdów Mechanicznych, wojskiem, policją stanową, policją w większych miastach, a także innymi agencjami rządowymi i odszukamy rysopisy tych szesciu ludzi. Kiedy już poznamy ich wzrost, wagę, kolor włosów i oczu, rasę... będziemy mogli przeprowadzić stopniową eliminację. Byłoby jeszcze lepiej, gdybyś okazał się jednym z nich i odbył kiedyś służbę wojskową albo został aresztowany za jakieś przestępstwo. Wygrzebalibyśmy wówczas twoje zdjęcie i w ten sposób potwierdzili tożsamość.

* * *

Siedząc naprzeciw sobie przy jednym biurku, Julie i Hal usunęli gumowe banderole z ponad połowy paczek. Przeglądali studolarowe banknoty, próbując sprawdzić czy nie pojawia się wśród nich kolejne numery serii, co mogłoby wskazywać, że pieniądze pochodzą z kradzieży. Nagle Hal unosił głowę i powiedział:

-Dlaczego te przypominające flet dźwięki i przeciąg pojawiają się za każdym razem, gdy Frank ma ulec teleportacji?

-Ktoż to wie - odparła Julie. - Może w ten sposób zachowuje się powietrze wypychane przez jego ciało z tunelu, łączącego przez inny wymiar punkt początkowy i końcowy podróży.

-Właśnie się zastanawiałem... Jeśli ten pan Blekitne Światło istnieje naprawdę i ściga Franka i jeżeli Frank słyszał dźwięk fletu, czuł podmuch wiatru wtedy w alei... to z tego wynika, że pan Blekitne

Swiatlo rowniez potrafi sie teleportowac.

-No tak. I co z tego?

-Wiec Frank nie jest jedyny. Kimkolwiek by byl, jest jeszcze ktos, potrafiacy to samo co on. Moze jest ich wiecej.

-Jest jeszcze cos, nad czym warto sie zastanowic - powiedziala Julie. - Skoro pan Blekitne Swiatlo umie sie teleportowac, to gdy odkryje miejsce pobytu Franka, nie zdolamy sie przed nim obronic. W kazdej chwili bedzie mogl zmaterializowac sie wsrod nas. A co bedzie, jesli zabierze ze soba karabin maszynowy i od razu zasypie nas kulami?

Po dluzszej chwili ciszy Hal odezwal sie:

-Wiesz, ogrodnictwo zawsze wydawalo mi sie przyjemnym zajeciem. Potrzebna ci tylko kosiarka, srodki do zwalczania chwastow, pare prostych narzedzi. Niczym sie nie przejmujesz, a i strzelaja do ciebie raczej rzadko.

* * *

Frank i Bobby weszli do pokoju, gdzie Julie z Halem zajeci byli sprawdzaniem pieniedzy. Kladac na biurku arkusz papieru, Bobby powiedzial:-Sherlock Holmes moze sie schowac. Dzisiaj swiat ma wiekszego detektywa.

Julie przesunela kartke tak, aby rownoczesnie widzial ja Hal. Byla to laserowa kopia podania zlozonego przez Franka do kalifornijskiego Wydzialu Pojazdow Mechanicznych, kiedy ostatnim razem ubiegal sie o przedluzenie okresu waznosci prawa jazdy.

-Wyglad zewnetrzny sie zgadza - stwierdzila Julie, zapoznawszy sie z trescia dokumentu. - Czy twoje pierwsze imie naprawde brzmi Francis, a drugie Ezekiel?

Frank skinal glowa.

-Nie pamietalem o tym, dopoki nie zobaczylem. Ale to ja. Ezekiel, tak, tak.

Uderzajac palcem w wydruk, powiedziala:

-Ten adres w El Encanto Heights z niczym ci sie nie kojarzy?

-Nie. Nie potrafie nawet powiedziec, gdzie lezy to El Encanto.

-Przylega do Santa Barbara - podsunela Julie.

-Bobby tez tak mowi, ale nie pamietam, zebym tam byl. Moze tylko...

-Co?

Frank podszedł do okna i zapatrzył się na odległe morze, ponad którym wisiało czyste, błękitne niebo. Pojawiły się pierwsze mewy, zataczając ogromne kregi, poruszając się tak szybko i sprawnie, że aż patrzącego przenikał dreszcz. Frank jednak z pewnością nie drżał z ich powodu, a i krajobraz nie robił na nim żadnego wrażenia.

W końcu, nie odwracając się od okna, powiedział:

-Nie pamiętam swego pobytu w El Encanto Heights... tylko za każdym razem, gdy słysze tę nazwę, kurczy mi się żołądek. Wiecie, tak jakbym siedział w górskiej kolejce w wesołym miasteczku, która właśnie zaczyna zjeżdżać w dół. A kiedy usiłuję myśleć o El Encanto i staram się sobie coś przypomnieć, serce bije mi jak szalone, czuję suchość w ustach i mam kłopoty z oddychaniem. Myślę, że w jakiś sposób muszę tłumaczyć wspomnienia związane z tym miejscem, być może z powodu czegoś złego, co mnie tam kiedyś spotkało, czegoś zbyt strasznego, abym chciał to pamiętać.

-Jego prawo jazdy utraciło ważność przed siedmiu laty - dodał Bobby. - Zgodnie z danymi z Wydziału Pojazdów Mechanicznych, w ogóle nie próbował w tym czasie go przedłużyć. Pod koniec roku powinni go wymazać ze swych akt, mieliśmy więc szczęście, że udało nam się do nich dotrzeć. - Położył na biurku jeszcze dwa wydruki. - Zabierajcie się, Holmesie i Samie Spade.

-Co to takiego?

-Raporty aresztowania. Frank był zatrzymany za naruszenie przepisów ruchu drogowego, po raz pierwszy w San Francisco, nieco ponad sześć lat temu. Drugi raz wpadł na autostradzie 101, na północ od Ventura, a działo się to przed pięciu laty. W obu przypadkach posiadał nieważne prawo jazdy, a ponieważ dziwnie się zachowywał, został zabrany do aresztu.

Dolaczone do obu raportów fotografie ukazywały nieco młodszego i bardziej pekatego mężczyznę, który bez wątpliwości był ich obecnym klientem.

Bobby odsunął na bok część pieniędzy i przysiadł na skraju biurka.

-Uciekał z więzienia za każdym razem, więc szukają go nawet teraz, choć zapewne niezbyt usilnie, jako że nie został zatrzymany za poważne zbrodnie.

-To też wymazałem z pamięci - wtracił Frank.

-Zaden z raportów nie wymienia sposobu, w jaki dokonano ucieczki - ciągnął Bobby - podejrzewam jednak, że nie wypiłował sobie przejścia przez kraty, nie kopał tunelu, nie wystrzelał pistoletu z kawałka mydła, ani nie posłużył się jakąś inną od dawna znaną, tradycyjną metodą odzyskania wolności. O nie, to nie dla naszego Franka.

-Teleportował się - odgadł Hal. - Zniknął, kiedy nikt nie patrzył.

-Założył się, że właśnie tak to wyglądało - przytaknął Bobby. - A zaraz potem zaopatrzył się w fałszywe dokumenty, na tyle dobre, by nie budziły podejrzeń zwykłych policjantów.

Spoglądając w leżące przed nią papiery, Julie powiedziała:

-No coz, Frank, wiemy przynajmniej, ze to twoje prawdziwe nazwisko i odnalezlismy twój adres w okregu Santa Barbara. Zawsze to lepsze niz pokoj w motelu. Zaczynamy robic postepy.

-Zabierajcie sie, Holmesie, Spade i Miss Marple - rzucil Bobby. Nie dzielajac ich optymizmu, Frank wrocil na zajmowane poprzednio krzeslo.

-Postep. Ale za maly. I za powolny. - Pochylil sie do przodu z ramionami wspartymi o uda i zwieszonymi pomiedzy rozstawionymi kolanami dlonmi. Wzrok wbil ponuro w podloge. - Przyszlo mi do glowy cos nieprzyjemnego. Co bedzie, jesli bledy zdarzaja sie nie tylko przy odtwarzaniu ubrania? Co, jesli juz zaczalem zmieniac wlasna budowe? Nie cos wielkiego. Nic, co daloby sie zauwazyc. Setki czy tysiace drobnych pomylek na poziomie komorkowym. To tłumaczyloby, dlaczego czuje sie tak paskudnie, ciagle jestem zmeczony i obolaly. A jesli zmiany zachodza w samym mozgu... moze to dlatego nie potrafie jasno myslec, czytac czy rachowac.

Julie popatrzyła na Hala i Bobby'ego. Wiedziala, ze obaj chcieli rozproszyc obawy Franka, lecz nie zrobili niczego, gdyz przedstawiona przez niego sytuacja byla bardziej niz prawdopodobna.

Frank zauwazyl:

-Metalowa sprzaczka wygladala zupełnie normalnie, dopoki Bobby jej nie dotkнал... a wtedy zmienila sie w proszek.

40

Przez cala noc, gdy sen uczynil pustke w glowie Thomasa, przewijaly sie przez nia brzydkie sny. Sny o jedzeniu malych, zywych stworzen. Sny o picciu krwi. Sny o byciu Czymś Złym. Obudzil sie nagle siedzac na lozku, z otwartymi do krzyku ustami, z ktorych nie byl w stanie wydobyć zadnego dzwieku. Siedzial tak przez chwile drzac ze strachu, oddychajac tak szybko, ze az poczul bol w piersiach.

Wrocilo slonce, a noc odeszla i to sprawilo, ze poczul sie lepiej. Wstajac z lozka wsunal stopy w kapcie. Jego pizama byla zimna i mokra od potu. Zaczal sie trzasc, wiec nalozyl szlafrok. Podeszedl do okna i wyjrzal na zewnatrz. Blekitne niebo bardzo mu sie podobalo. Po niedawnym deszczu pozostaly jedynie zmoczone trawniki, ciemniejszy niz zazwyczaj chodnik, prawie czarna ziemia na kwiatowych grzadkach, no i kaluze, w ktorych jak w lustrze przegladalo sie bezchmurne niebo.

Ciekawilo go, czy Cos Zlego wciaz jeszcze bylo daleko, czy tez moze podeszlo blizej, ale wolal tego nie sprawdzac. Bo ostatniej nocy probowalo go zlapac. Bo bylo takie silne, ze tylko z najwyzszym trudem udalo mu sie oswobodzic. A nawet kiedy juz sie uwolnil, probowalo go scigac. Czul, jak sie do niego przyczepilo, jak razem z nim pedzilo przez noc. Strzasnal je z siebie naprawde szybko, ale nastepnym razem moze nie miec tyle szczescia i przyciagnie je przez cala droge tutaj, do pokoju. I nie bedzie to tylko jego mysl, lecz Cos Zlego we wlasnej osobie. Nie mial pojecia, jak mogloby do tego dojsc, cos mu jednak mowilo, ze bylo to mozliwe. A jesli Cos Zlego przyjdzie do Domu, jawa wygladac bedzie jak wypelniajace glowe nocne koszmary. Wydarza sie straszne rzeczy i nie bedzie zadnej nadziei.

Odwrociwszy sie od okna ruszyl w strone zamknietych drzwi lazienki, a gdy rzucil okiem na lozko

Dereka, zobaczył, że Derek nie żyje. Leżał na plecach i miał potłuczona, zsiniała, opuchnięta twarz. Jego oczy były szeroko otwarte, lśniły w świetle padającym od okna i od lampki przy łozku. Z rozwartych ust, choć złożonych do krzyku, nie dochodził najmniejszy dźwięk, bo niczym z przeklętego balonu uszło z niego całe powietrze; wyglądało na to, że już nigdy nie zaczerpnie tchu. Krew uszła z niego także, dużo krwi, a z brzucha sterczały wbite aż po uchwyt nożyczki, te same, którymi Thomas wycinał z magazynów obrazki do swoich wierszy.

Poczuł w sercu bolesny skurcz, jakby to jego dzgnął ktoś nożyczkami. Właściwie nie był to prawdziwy ból, tylko coś, co nazywał "bolem czucia", gdyż w ten sposób odczuwał stratę Dereka. Było to jednak równie niedobre jak prawdziwy ból, ponieważ Derek był jego przyjacielem i bardzo go lubił. Czuł też strach, ponieważ wiedział, że to Cos Złego wypuściło życie z Dereka, że Cos Złego było tutaj, w Domu. Zaraz potem przyszło mu do głowy, że sprawy mogą się potoczyć tak, jak to się czasami dzieje w filmach telewizyjnych. Przyjda gliny i uwierza, że to Thomas zabił Dereka, oskarża Thomasa o morderstwo i każdy go znienawidzi za to, czego nie zrobił, a w tym czasie Cos Złego wciąż będzie przebywać na wolności i popełniać nowe zbrodnie, może nawet robić Julii to samo, co zrobił Derekowi.

Ból, lęk o siebie, strach o Julię - tego było za wiele. Thomas zacisnął dłonie na poprzeczce swego łozka, zamknął oczy i spróbował zrobić głęboki wdech. Nie udało się, miał za bardzo scisniętą pierś. Spróbował jeszcze raz. Do płuc napłynęło powietrze, a wraz z nim brzydki-paskudny zapach. Po chwili uswiadomił sobie, że to cuchnęła krew Dereka, zatkał więc usta dłonią i omal nie wymiotował.

Wiedział, że musi Panować Nad Sobą. Pielęgniarki nie lubiły kiedy ktoś Przesztawał Nad Sobą Panować, więc Dawały Mu Coś Dla Jego Własnego Dobra. Nigdy dotąd nie Przestał Nad Sobą Panować i nie chciał przestać teraz.

Starł się nie czuć zapachu krwi. Robił głębokie wdechy. Zmusił się do otwarcia oczu i ponownego spojrzenia na zwłoki. Sądził, że za drugim razem powinien znieść to lepiej niż za pierwszym. Wiedział już, co go czeka, nie będzie więc takiego zaskoczenia.

A jednak spotkało go zaskoczenie - ciało zniknęło.

Thomas zamknął oczy, zakrył je dłonią, po czym spojrzał ukradkiem spod między rozstawionych palców. Ciała w dalszym ciągu nie było.

Zaczął drzeć, gdyż najpierw pomyślał, że uczestniczy w czymś, co przypomina inny rodzaj pokazywanych w telewizji filmów, w których paskudne-martwe ciała chodzą sobie jak żywe, gnijące i pełne robactwa, przeswiecając w niektórych miejscach kości, i zabijają bez powodu ludzi, a czasem nawet ich zjadają. Nigdy nie mógł długo oglądać takich historii. A już na pewno nie chciał w jednej z nich uczestniczyć.

Tak się wystraszył, że gotów był ostrzec przez telewizję Bobby'ego - Umarli ludzie, uważaj, uważaj, umarli ludzie, głodni i zli, chodzą w pobliżu - lecz powstrzymał się, kiedy spostrzegł, że na przescieradłach i kocach nie było śladów krwi. Łozko nie było też skotłowane. Równo poscielone. Żadna chodząca umarła osoba nie była na tyle szybka, aby wstać z łozka, zmienić przescieradła i

koce, a następnie doprowadzić wszystko do porządku w ciągu tych kilku sekund, gdy oczy Thomasa pozostawały zamknięte. Zaraz potem usłyszał jak na podłogę kabiny natryskowej w łazience scieka woda z prysznica, a spoza drzwi dobiega cichy śpiew Dereka. Derek zawsze tak śpiewał, kiedy się kąpał. Na krótką chwilę w głowie Thomasa powstał obraz nieżywej osoby biorącej prysznic, żeby ładnie wyglądać. Razem z brudem odpadały z niej kawałki gnijącego ciała, odsłaniając więcej kości i zatykając odpływ brodzika. Dopiero wówczas zrozumiał - że Derek nigdy nie umarł. Thomas w rzeczywistości nie widział na łóżku żadnego ciała. Oglądał kiedyś w telewizji taki film, więc wiedział, że to, co widział było wizją. Prorocza wizja. Był więc jasnowidzem.

Derek nie został zamordowany. To, co Thomas przez moment oglądał, było obrazem Dereka jutro albo jakiegos innego dnia. Mogło to być zdarzenie, które nastąpi bez względu na to, co Thomas uczyni, aby mu zapobiec, albo też dojdzie do niego tylko wtedy, gdy do tego dopuści. Najważniejsze, że coś takiego jeszcze się nie wydarzyło.

Wypuścił z rąk poprzeczkę i podszedł do stołu, przy którym zwykle pracował. Trzesły mu się nogi. Z ulgą usiadł na krześle. Otworzył górną szufladę stojącego przy stole sekretarzyka. Nożyczki leżały na swoim miejscu, obok kolorowych ołówków, długopisów, wycinków z gazet, samoprzylepnej taśmy i zszywacza - no i na wpol zjedzonego batonika Hersheya w rozdartym opakowaniu, którego nie powinno tam być, ponieważ Przyciągał Owady. Wyjął cukierek z szuflady, po czym wetknął do kieszeni szlafroka, zapamiętując, żeby schować go później do lodówki.

Przez jakiś czas przypatrywał się nożyczkom, nasłuchiwał śpiewającego pod prysznicem Dereka i myślał, jak głęboko utkwily one w jego brzuchu, wypędzając na zawsze muzykę i inne dźwięki, przenosząc go w Złe Miejsce. Z wahaniem dotknął czarnego, plastikowego uchwyty. Wszystko było w porządku, przesunął więc z kolei palcem po metalowym ostrzu. Ostrze okazało się złe, bardzo złe, jakby skryła się w nim błyskawica z niedawnej burzy i teraz przeskoczyła na niego. Skwierczac i trzeszczac rozbłysło białe światło. Gwałtownie cofnął rękę. W palcach czuł silne mrowienie. Zatrzasnął szufladę i pospiesznie wrócił do łóżka. Usiadł, a na ramiona narzucił sobie koc, tak jak to robili pokazywani w telewizji Indianie, gdy zasiadali przy telewizyjnym ogniskach.

Woda przestała lecieć. Urwał się też śpiew. Po chwili z łazienki wyszedł Derek, ciągnąc za sobą chmurę wilgotnego, pachnącego mydłem powietrza. Był już ubrany. Mokre włosy miał zaczesane do tyłu.

Wcale nie wyglądał jak gnijąca umarła osoba. Cały był żywy, w każdym bądź razie żywe było wszystko to, co wyglądało spod ubrania, i nigdzie nie sterczały kości.

-Dzień dobry - powiedział Derek, niewyraźnie wymawiając słowa z powodu wykrzywionych ust i za dużego języka. Uśmiechnął się.

-Dzień dobry.

-Dobrze spałeś?

-Tak - odparł Thomas.

-Zaraz bedzie sniadanie.

-Tak.

-Moze dadza swieze buleczki z rodzynkami.

-Moze.

-Lubie swieze buleczki.

-Derek?

-No?

-Jesli kiedys ci powiem...

Derek czekal z usmiechem na twarzy.

Thomas zastanawial sie chwile nad tym, co chcial powiedziec, po czym dokonczyl:

-Jesli kiedys ci powiem, ze nadchodzi Cos Zlego i kaze ci uciekac, to nie stoj w miejscu jak glupi, tylko szybko uciekaj.

Derek wpatrywal sie w niego, nie przestajac sie usmiechac. Po krotkim namysle powiedzial:

-No pewnie, okay.

-Obiecujesz?

-Obiecuje. Ale co to jest cos zlego?

-Tak dokladnie to nie wiem, ale czuje, kiedy nadchodzi, wiec ci powiem, a ty uciekniesz.

-Dokad?

-Dokadkolwiek. Na korytarz. Odszukasz jakies pielegniarki i z nimi zostaniesz.

-Jasne. Lepiej sie umyj. Zaraz sniadanie. Moze dadza buleczki z rodzynkami.

Thomas zrzucil z ramion koc i podniosl sie z lozka. Ponownie wsunal nogi w kaptcie, po czym ruszyl w strone lazienki. Otwieral wlasnie drzwi, kiedy Derek zapytal:

-Chodzi ci o sniadanie? Thomas odwrocil sie.

-Co?

-Myslisz, ze cos zlego moze byc na sniadanie?

-Moze - przyznal Thomas.

-Czy to moga byc... gotowane jajka?

-Co takiego?

-No, cos zlego - czy to moga byc jajka w koszulkach? Nie lubie takich jajek, sa takie oslizle i wstretne, to by bylo naprawde niedobre, nie to co kaszka, banany i swieze buleczki z rodzynekami.

-Nie, nie - szybko zaprzeczyl Thomas. - Cos Zlego to nie jajka w koszulkach. To osoba. Taki smieszny-dziwny czlowiek. Wyczuje, kiedy bedzie blisko, powiem ci o tym, a ty uciekniesz.

-Aha. Tak, no jasne. Osoba.

Thomas wszedl do lazienki, zamknal za soba drzwi. Mial slaby zarost, wiec nie musial golic sie codziennie. Uzywaj elektrycznej golarki, ale robil to zaledwie pare razy w miesiacu, a dzisiaj nie bylo takiej potrzeby. Umyl zeby. Wysiusial sie. Odkrecil prysznic. Dopiero wtedy wybuchal smiechem. Uplynelo wystarczajaco duzo czasu, aby Derek sie nie domyslil, ze Thomas smieje sie wlasnie z niego.

Jajka w koszulkach!

Choc Thomas zazwyczaj nie lubil swego odbicia w lustrze, bo przypominalo mu, jak nieforemna i glupia byla jego twarz, tym razem zerknal w zaporowana tafle. Dawno, dawno temu, tak dawno, ze prawie tego nie pamietal, smial sie stojac przed lustrem i ze zdumieniem stwierdzil wtedy, ze wyglada lepiej, niz tego oczekiwaj. Smiejac sie bardziej przypominal normalna osobe. Kiedy tylko udawal smiech, nie wygladal bardziej normalnie. To musial byc prawdziwy smiech. Zwyczajny usmiech tez nie wystarczal. Za malo w nim bylo radosci, aby zmienic jego twarz. Prawde mowiac jego usmiech byl czasami taki smutny, ze w ogole nie mogl na siebie patrzec.

Jajka w koszulkach.

Thomas pokrecil glowa, a gdy smiech minal, odwrocil sie od lustra.

Dla Dereka najgorsza rzecz, jaka potrafil wymyslic, byly jajka w koszulkach i brak swiezych buleczek. Bylo to bardzo smieszne cha-cha. Ty tu opowiadasz Derekowi o chodzacych niezwyklych ludziach, o sterczacych z brzucha nozyczkach, o czyms co zjada male, zywe zwierzeta, a dobry Derek bedzie ci sie przygladal i usmiechal, i kiwal glowa, a na koniec i tak niczego nie pojmie.

Jak daleko siegal pamiecia, Thomas zawsze chcial byc normalnym czlowiekiem, a nie glupolem i wiele razy dziekowal Bogu za to, ze przynajmniej nie uczynil go takim glupim jak biedny Derek. Teraz jednak prawie zalowal, ze nie jest glupszy na tyle, by moc wyrzucic z pamieci brzydkie-paskudne wizje, pozbyc sie wiedzy o bliskiej smierci Dereka, o grozacych Julie ze strony Czegos Zlego niebezpieczenstwie. Tak, by nie miec innych zmartwien poza jajkami, co zreszta nie byloby specjalnym powodem do zmartwien, jako ze Thomas lubil jajka w koszulkach.

Kiedy na krótko przed dziewiątą Clint Karaghiosis wszedł do biura Dakota and Dakota, Bobby wziął go pod ramię, obrócił w miejscu i z powrotem poprowadził do windy. -Ty kierujesz, a ja po drodze opowiem ci, co wydarzyło się w ciągu nocy. Wiem, że masz na głowie parę innych rzeczy, ale sprawa Pollarda nabiera tempa z minuty na minutę.

-Dokąd jedziemy?

-Najpierw do Laboratoriów Palomar. Dzwonili stamtąd. Maja już gotowe wyniki.

Na niebie pozostało zaledwie parę chmur. Słońce daleko nad górami niczym wydęte żagle wielkich galeonów ruszających w daleką podróż na wschód. To była kwintesencja kalifornijskiego dnia: pogodnie, ciepło, dookoła świeża zielen i powodujący niesamowity hałas ruch uliczny, zdolny przekształcić zwykłego obywatela w zapienionego socjopata, ogarniętego chęcią pociągnięcia za spust polautomatycznej broni.

Clint unikał głównych dróg, lecz nawet lokalne ulice były niesamowicie zatłoczone. Gdy Bobby skończył omawiać wypadki, które wydarzyły się od chwili, gdy rozstali się minionego wieczoru, wciąż jeszcze znajdowali się o dziesięć minut jazdy od Palomar i to pomimo tego, że w tym czasie Bobby musiał jeszcze odpowiadać na pytania zdumionego Clinta - choć stłumione, jak wszystkie inne jego reakcje, było to bez wątpienia zdumienie - dotyczące niezwykłych uzdolnień Franka.

W końcu Bobby zmienił temat, ponieważ rozwodzenie się nad zjawiskami paranormalnymi w oczach flegmatycznego faceta pokroju Clinta mogło wyrobic mu opinie tracące kontakt z rzeczywistością wiatroglowa. Wlekli się właśnie po Bristol Avenue, kiedy powiedział:

-Pamiętam czasy, gdy można było dojechać w dowolne miejsce Okręgu Orange i ani razu nie utknąć w korku.

-Tak jeszcze było do niedawna.

-Pamiętam, że jeśli chciałeś kupić dom, to nie musiałeś zapisywać się na listę oczekujących. Dzisiaj popyt pięciokrotnie przewyższa podaż.

-Tak.

-I pamiętam też, jak w całym Okręgu Orange rosły pomarańcze.

-Ja też. Bobby westchnął.

-Do diabła, zaczynam zachowywać się jak stary przyk, gładzacy bez końca o starych, dobrych czasach. Jak tak dalej pójdzie, wkrótce będę się zachwycał, jak było wspaniale, gdy dookoła laziły dinozaury.

-Marzenia - powiedział Clint. - Każdy o czymś marzy, a najwięcej ludzi marzy o Kalifornii, więc nigdy nie przestana tu przyjeżdżać, chociaż gdy jest ich teraz aż tylu, spełnienie marzenia stało się praktycznie nieosiągalne, zwłaszcza w tej klasycznej formie, od której wszystko się zaczęło. Oczywiście, może marzenie powinno tak właśnie być lub leżeć przynajmniej u kresu twoich możliwości. Inaczej, gdy jego spełnienie przychodzi zbyt łatwo, staje się mało ważne. Bobby był

zaskoczony długim potokiem słów wypływającym z ust Clint, lecz jeszcze bardziej zaskoczyło go to, że ten człowiek rozmawia o czymś równie nieuchwytnym jak marzenia.

-No a ty? - zapytał. - Jesteś już Kalifornijczykiem, o czym więc marzysz?

Po chwili wahania Clint odparł:

-Ze Felina któregoś dnia odzyska słuch. W dzisiejszych czasach w medycynie dokonuje się tylu odkryć, coraz to nowe lekarstwa, coraz lepszy sprzęt.

Z Bristol Avenue Clint skręcił w lewo, w boczną ulicę, przy której leżały Laboratoria Palomar, a Bobby doszedł do wniosku, że było to dobre marzenie, cholernie piękne marzenie, może nawet lepsze od tego, którym był razem z Julie - o kupieniu sobie, za zebrane pieniądze, czasu wolnego od pracy i zabranii Thomasa z Cielo Vista na łono rodziny.

Zaparkowali na placu przed dużym betonowym budynkiem, w którym mieściły się laboratoria. Gdy dochodzili do wejścia, Clint powiedział:

-Och, przy okazji, przyjmująca zlecenia dziewczyna myśli, że jestem pedalem, co mi osobiście nie robi żadnej różnicy.

-Co takiego?

Nie mówiąc nic więcej, Clint wszedł do środka. Bobby dogonił go dopiero przy okienku recepcji. Za szybą siedziała atrakcyjna blondynka.

-Cześć, Lisa - powiedział Clint.

-Cześć! - podkreśliła swoją odpowiedź trzaskiem balonowej gumy.

-Dakota and Dakota.

-Pamiętam - powiedziała. - Twój towar jest gotowy. Zaraz go przyniosę.

Popatrzyła na Bobby'ego i uśmiechnęła się. Odpowiedział uśmiechem, choć wyraz jej twarzy wydał mu się nieco dziwny.

Wrocila z parą dużych zapieczętowanych szarych kopert. Etykieta na jednej głosiła PROBKI, na drugiej zaś ANALIZY. Clint wręczył te ostatnie Bobby'emu. Odeszli w kąt pomieszczenia.

Bobby rozerwał kopertę i szybko przejrzał włożone do niej papiery.

-Kocia krew.

-Mówisz poważnie?

-Tak. Gdy Frank obudził się w motelu, miał na sobie krew kota.

-Wiedzialem, ze nie jest morderca.

-Kot moglby byc odmiennego zdania - zauwazyl Bobby.

-No a ta druga probka?

-Zaraz... mnostwo naukowych terminow... ale ogolnie wychodzi na to, ze wyglad odpowiada rzeczywistosci. Czarny piasek.

Clint wrocil do okienka.

-Lisa, pamietasz, rozmawialismy o czarnej plazy na Hawajach?

-Kaimu - podsunela. - Bombowe miejsce.

-Tak, Kaimu. Czy jest tylko jedna taka plaza?

-Z czarnym piaskiem? Nie. Jest jeszcze Punaluu, tez niezla. To na duzej wyspie. Mysle, ze na innych wyspach musza byc takze, poniewaz wszedzie tam pelno wulkanow, no nie?

-Co maja do tego wulkany? - wlaczyl sie do rozmowy Bobby. Lisa wyjela z ust gume i odlozyla ja na papierek.

-No wiec, z tego co slyszalam, rozgrzana lawa wpada do morza i kiedy sie styka z woda, dochodzi do silnych eksplozji, ktore wyrzucaja w gore cale miliardy naprawde tycich, tyciutenkich kropelek czarnego szkla, a potem przez bardzo dlugi czas morskie fale powoduja, ze kulki ocieraja sie o siebie, az w koncu zostaja zmielone na piasek.

-Czy takie plaze sa tylko na Hawajach? - zapytal Bobby. Wzruszyla ramionami.

-Pewnie tak. Clint, czy ten facet to twoj... przyjaciel?

-Tak.

-Rozumiesz, chodzi mi o to, czy to twoj bliski przyjaciel.

-Tak - odparl Clint, nie patrzac na Bobby'ego. Lisa zrobila oko do Bobby'ego.

-Posluchaj, namow Clinta, zeby zabral cie do Kaimu, bo mowie ci - to cudownie wyjsc w nocy na czarna plaze i kochac sie pod gwiazdami. Czarny piasek jest miekki i, co wazniejsze, w odroznieniu od zwyklego piasku zupełnie nie odbija swiatla ksiezycy. Masz wtedy wrazenie, ze unosisz sie w przestrzeni, ze wszystkich stron otoczony ciemnoscia. To naprawde wyostrza zmysly, jesli rozumiesz, co mam na mysli.

-Brzmi fantastycznie - powiedzial Clint. - Trzymaj sie, Lisa. Ruszyl w strone drzwi.

Gdy Bobby chcial pojsc w slady Clinta, Lisa zawolala:

-Pamiętaj, niech cie zabierze do Kaimu. Bedziecie swietnie sie bawic.

Juz na zewnatrz Bobby powiedzial:

-Clint, chyba winien mi jestes pewne wyjasnienia.

-Nie slyszales, co mowila? Te male kropelki czarnego szkla...

-Nie o to mi chodzi. Hej, spojrz na siebie, ty sie usmiechasz. Nie sadze, zebym kiedykolwiek przedtem widzial twój usmiech. I wiesz, chyba mi sie on nie podoba.

42

Okolo dziesiatej w biurze zjawil sie Lee Chen. Otworzył butelke wody sodowej o smaku pomaranczowym i wszedl do pomieszczenia komputerow, gdzie oprócz ukochanego sprzetu czekala na niego Julie. Mial piec stop i szesc cali, byl szczuply, lecz silny i mial skore o cieplej karnacji mosiadzu oraz czarne jak smola wlosy, zjezone w zmodyfikowanym stylu punk. Byl ubrany w czerwone tenisowki i skarpety, obszerne czarne bawelniane spodnie z bialym paskiem, czerwono-szara koszule ozdobiona subtelnym motywem roslinnym oraz czarna marynarka z waskimi klapami i duzymi poduchami na ramionach. Byl najbardziej stylowo ubranym pracownikiem Dakota and Dakota i bez trudu wytrzymywal konkurencje nawet z Cassie Hanley, ich sekretarka. Podczas gdy Lee, pociagajac sodowke, zasiadl przed swymi komputerami, Julie zapoznala go z wydarzeniami w szpitalu, a na koniec pokazala wydruki sporzadzone przez Bobby'ego z samego rana. Frank Pollard byl z nimi, siedzial na trzecim krzesle, tak ze Julie przez caly czas miala go na oku. W trakcie rozmowy Lee nie wykazal najmniejszego zdziwienia tym, co uslyszal, jakby komputery uzyczaly mu swej olbrzymiej wiedzy i zdolnosci przewidywania, tak ze doslownie nic - nie wylaczajac czlowieka poslugujacego sie teleportacja - nie moglo go zaskoczyc. Julie byla pewna, ze Lee, podobnie jak kazdy nalezacy do rodziny Dakota and Dakota, nikomu nie pisnie slowa o sprawie ktoregokolwiek z klientow. Nie wiedziala natomiast, na ile jego wyjatkowe opanowanie bylo prawdziwe, a w jakim stopniu stanowilo swiadoma poze, ktora nakladal co rano wraz ze swymi supermodnymi ciuchami.

Chociaz jego niewzruszona nonszalancja mogla byc po czesci udawana, to talent do komputerow nie podlegal zadnej dyskusji. Gdy Julie skonczyla streszczenie ostatnich wydarzen, zapytal po prostu:

-Okay, czego ode mnie teraz potrzebujesz?

I oboje wiedzieli, ze predzej czy pozniej dostarczy jej wszystkiego, czego zazada.

Podala mu notatnik. Pierwszych dziesiec stron zapelnialy podwojne kolumny numerow banknotow.

-Masz tutaj wybrane przypadkowo probki gotowki z obu toreb, ktore przechowujemy dla Franka. Czy mozesz dowiedziec sie, czy te pieniadze nie sa trefne - czy nie zostaly skradzione, nie pochodza z wymuszenia albo okupu?

Lee szybko przejrzal liste.

-Nie ma kolejnych numerow? To sprawe komplikuje. Zazwyczaj policja nie prowadzi zapisu

numerów skradzionej gotówki, chyba że są to nowiotki banknoty prosto spod prasy, w oryginalnych banderolach i o kolejnych numerach serii.

-Większość tych pieniędzy jest mocno zniszczona.

-Jest tylko jedna szansa. Jeżeli, tak jak mówisz, wypłacono nimi okup, policja zanotowała wszystkie numery, na wypadek gdyby porywaczom udało się uciec. Słaba to nadzieja, ale spróbuj. Co jeszcze?

-W ubiegłym roku w Garden Grove zamordowano całą rodzinę Farrisów.

-Przeze mnie - wtracił Frank.

Lee oparł łokcie o poręcz krzesła, odchylił się do tyłu i złożył dłonie jak do modlitwy. Wyglądał niczym mądry mistrz Zen zmuszony do przywdziania stroju awangardowego artysty, ponieważ na lotnisku otrzymał nie swoją walizkę.

-Nikt nie umiera naprawdę, panie Pollard. Oni po prostu stąd odchodzą. Żal jest dobry, lecz poczucie winy mija się z celem.

Chociaż Julie nie znalazła zbyt wielu komputerowych fanatyków, to podejrzewała, że tylko niewielu z nich udało się połączyć twarde realia nauki i techniki z religią. Natomiast Lee dotarł do Boga właśnie przez prace z komputerami oraz zainteresowanie współczesną fizyką. Kiedyś tłumaczył jej, dlaczego głębokie zrozumienie bezwymiarowej przestrzeni wewnątrz komputerowej sieci, połączone z obrazem wszechświata sporządzonym przez nowoczesną fizykę, w sposób nieunikniony wiedzie ku wierze w istnienie Stwórcy, ale niewiele udało jej się z tego zrozumieć.

Przedstawiła Lee Chenowi szczegóły zbrojstwa Farrisów i Romanów.

-Uważamy, że wszyscy zostali zabici przez tego samego człowieka. Nie wiem, jak się naprawdę nazywa, dlatego też określam go mianem Pan Blekitne Światło. Biorąc pod uwagę okrucieństwo morderstw, przypuszczamy, że jest to wielokrotny zbrojca, mający na sumieniu długą listę ofiar. Jeżeli nasze podejrzania są słuszne, to albo miejsca kolejnych zbrodni są od siebie bardzo oddalone, albo też Pan Blekitny tak dobrze zaciera ślady, że prasa nigdy nie połączyła ze sobą poszczególnych przypadków.

-W przeciwnym razie stanowiłoby to sensację z pierwszych stron gazet - dodał Frank. - Zwłaszcza że ten facet z reguły gryzie swoje ofiary.

-Skoro jednak w dzisiejszych czasach - ciągnęła Julie - większość policyjnych agencji posiada komputerowe połączenia, może któreś z nich udało się wpasać na ślad czegoś, co przeoczyła prasa. Może jakieś lokalne, stanowe czy federalne władze prowadzi w tej sprawie ciche śledztwo. Chcemy wiedzieć, czy któraś z policji w Kalifornii - lub może FBI - nie zajmuje się Panem Blekitnym, a jeśli tak, to musimy mieć wszystko, czego się o nim dowiedzieli.

Lee odsłonił zęby w uśmiechu.

-To oznacza, że trzeba będzie sięgnąć poza ogólnie dostępne zbiory danych. Będzie musiał łamać kody

zabezpieczające każdej agencji z osobna, i tak aż do samego FBI.

-Trudne?

-Bardzo. Ale mam pewną wprawę.

Podciągnął wyżej rękawy marynarki, kilkakrotnie zgiał i rozprostował palce, a następnie pochylił się nad klawiaturą terminalu, jak gdyby był pianista szykującym się do zagrania Mozarta. Z wahaniem popatrzył spod oka na Julie.

-Nie będę pchał się w ich systemy bezpośrednio, by nie uruchomić programów śledzących. Nie zniszczy żadnych danych ani nie naruszę bezpieczeństwa narodowego, więc prawdopodobnie nawet mnie nie zauważą. Gdyby jednak ktoś odkrył, że szperam w jego systemie i zaczął mnie śledzić, a ja bym tego nie zauważył lub nie potrafił w porę uciec, mogą ci za to zabrać licencję detektywa.

-Poswiecę się, wezmę winę na siebie. Licencja Bobby'ego pozostanie nie zagrożona, więc agencja będzie funkcjonować nadal. Jak długo to potrwa?

-Cztery do pięciu godzin, może więcej, może dużo więcej. Czy ktoś mógłby mi tu przynieść lunch? Nie będę robił przerwy, zjem na miejscu.

-Jasne, co chcesz?

-Dużego hamburgera od MacDonalda, podwójną porcję pieczonego kurczaka i napój waniliowy.

Julie skrzywiła się z niesmakiem.

-Jak to się stało, że taki wykształcony facet jak ty nigdy nie słyszał o cholesterolu?

-Słyszał, ale się nie przejmuję. Jeśli nie umieramy naprawdę, cholesterol nie może mnie zabić. Najwyżej nieco wcześniej usunie mnie z tego życia.

43

Archer van Corvaire z trzaskiem otworzył kratę i spojrzał przez grubą, kuloodporną szybę w drzwiach swego sklepu w Newport Beach. Obrzucił podejrzliwym spojrzeniem Bobby'ego i Clinta, choć był z nimi umówiony i wiedział, że przyjdą. W końcu uchylił drzwi, wpuszczając ich do środka. Van Corvaire miał około pięćdziesięciu lat, lecz poświęcał dużo czasu i pieniędzy, aby wygładzić młodziej. Chcac oszukać czas poddawał się masażom, odtłuszczaniu i wygładzaniu zmarszczek; chcąc poprawić naturę przeszedł operacje nosa, przeszczepy policzków oraz korektę podbrodka. Nosił peruke tak doskonalej roboty, że z łatwością mogłaby uchodzić za jego własne, farbowane na czarno włosy, gdyby tylko sam nie zepsuł efektu, upierając się przy bujnej, sterczącej nienaturalnie czuprynie. Jeśli wszedłby kiedyś w peruce do basenu, przypominałby okret podwodny z wystającym ponad powierzchnię wody kioskiem.

Zatrzasnąwszy za nimi oba zamki, powiedział:

-Nigdy nie załatwiam interesów z rana. Umawiam się z klientami tylko na popołudnie.

-Doceniamy wyjątek, jaki zechciał pan dla nas uczynić - odparł Bobby.

Van Corvaire westchnął w wyuczony sposób.

-No dobrze, o co chodzi?

-Chciałbym dokonać wyceny pewnego kamienia.

Van Corvaire rzucił im spojrzenie z ukosa, co nie wyglądało zbyt zachęcająco, zwłaszcza że i tak miał małe oczy lasicy. Zanim przed trzydziestu laty zmienił nazwisko, był Jimem Bobem Spleenerem, i ktoś, kto by go znał od dawna, mógłby powiedzieć, że kiedy tak podejrzliwie zezował, bardziej wyglądał na Spleenera niż na van Corvaire'a.

-Wycena? Tylko tyle?

Poprowadził ich w głąb niewielkiego, lecz bogato wykończonego salonu sprzedaży. Były tu ręcznie zdobione gipsem sufity, ściany o barwie jasnego zamszu, drobna posadzka, na której położono dywan firmy Patterson, Flynn and Martin utrzymany w odcieniach brzoskwini, bladego błękitu i piaskowca, nowoczesna biała sofa z dwoma eleganckimi stolami Baua po bokach, cztery wyplatane krzesła ustawione wokół okrągłego stołu o szklanym blacie, dostatecznie grubym, by wytrzymał uderzenie kowalskiego młota.

Jedyna niewielka gablotka wystawowa znajdowała się na lewo. Van Corvaire prowadził interes wyłącznie na zasadzie umówionych spotkań. Jego biżuteria projektowana była zazwyczaj dla ludzi bogatych, a pozbawionych smaku - takich, którzy przychodzą na dobroczynny obiad po tysiąc dolarów od osoby w naszym kraju za sto tysięcy i nie widzą w tym niczego niestosownego.

Ściana w głębi wyłożona była lustrami. Idąc przez salę van Corvaire przeglądał się w nich w wyraźną przyjemność. Odwrócił wzrok od swego odbicia dopiero wówczas, gdy dotarli do drzwi pracowni.

Bobby'ego ciekawiło, czy temu człowiekowi zdarzało się, że był tak zafascynowany własnym wyglądem, że aż wchodził w ściany. Nie lubił Jima Boba van Corvaire'a, lecz fachowa wiedza tego typu o narcystycznych skłonnościach często bywała użyteczna.

Przed wielu laty, kiedy Dakota and Dakota Investigations było po prostu Dakota Investigations, bez łącznika i niepotrzebnej rozwlekłości (czego lepiej było nie mówić w obecności Julie, która choć cenila sobie zwyczajność stylu, mogła mu owa "rozwlekłość" wcisnąć z powrotem do gardła), Bobby pomógł van Corvaire'owi odzyskać wartość majątku nieoprawione diamenty, skradzione przez kochankę jubilera. Jim Bob strasznie chciał dostać swoje kamienie z powrotem, nie chciał natomiast posyłać tej kobiety do więzienia, dlatego zamiast na policję, udał się po pomoc do Bobby'ego. Było to jedyne słabe miejsce van Corvaire'a, jakie udało się odkryć Bobby'emu - zresztą do tej pory zapewne również i ono zdążyło pokryć się pancerzem.

Bobby wyłowił z kieszeni jeden z czerwonych kamieni, wielkością i kształtem przypominający kulke

do gry. Na jego widok oczy jubilera rozszerzyły się ze zdumienia.

Mając obok siebie Clinta, a za plecami zerkającego mu przez ramię Bobby'ego, van Corvaire usiadł na wysokim stolku przy zastawionym narzędziami stole, po czym obejrzał brylke przez lupe. Skonczywszy oględziny umieścił kamień na podświetlonym stoliku mikroskopu i pochylił się nad okularzem.

-I co? - zapytał Bobby.

Jubiler nie odpowiedział. Wstał od mikroskopu, roztracił ich na boki, a następnie szybko przesiadł się na inny stolec przy tym samym długim stole. Tam posługując się jedną wagą zważył kamień, zaś za pomocą drugiej sprawdził, czy jego ciężar właściwy odpowiada któremukolwiek ze znanych kamieni szlachetnych.

Na koniec przeniósł się na trzecie stanowisko, przy którym zamocowane było małe imadło. Z szuflady wydobyl okrągłe pudełko, wewnątrz którego na kwadracie niebieskiego aksamitu leżały trzy duże, oszlifowane klejnoty.

-Wybrakowane diamenty, odpadki - wyjaśnił, stawiając pudełko na stole.

-Wydają mi się bardzo ładne stwierdził Bobby.

-Mają za dużo wad.

Wybrał jeden diament i kilkoma obrotami dźwigni zamocował go pomiędzy zaciskami imadła. Schwyciwszy czerwony klejnot w niewielkie szczytce, pociągnął ostrą krawędzią po wyszlifowanej płaszczyźnie tkwiącego w imadle kamienia. Widac było, że włożył w to sporo wysiłku. Odłożył zaraz szczytce wraz z badaną próbka na bok, schwycił jubilerską lupe i zastygł nad imadłem.

-Słaba rysa - powiedział. - Diament kroi diament. - Wpatrywał się w trzymany pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym kamień z nie pozbawioną zazdrości fascynacją. - Skąd go macie?

-Nie mogę powiedzieć - odrzekł Bobby. - Wciąż to tylko czerwony diament?

-Tylko? Czerwony diament to najrzadszy, najcenniejszy kamień na świecie! Musicie pozwolić mi go sprzedać. Znam klientów, którzy zapłacą każdą cenę, byle tylko mieć ten klejnot w swoim naszyjniku czy wisiorku. Na pierścionek będzie chyba za duży, nawet po ostatecznym oszlifowaniu. Jest wprost olbrzymi!

-Jaka jest jego wartość? - zapytał Clint.

-Nie można tego dokładnie określić przed końcową obróbką. Z pewnością miliony.

-Miliony? - powatpiewajaco rzucił Bobby. - Przecież nie jest aż taki duży.

Van Corvaire oderwał wreszcie wzrok od kamienia i popatrzył na Bobby'ego.

-Pan mnie nie rozumie. Do chwili obecnej na świecie znanych było zaledwie siedem czerwonych diamentów. Ten jest osmy. A po cieciu i szlifowaniu będzie jednym z dwóch największych. Trudno znaleźć coś bardziej bezcennego.

* * *

Tuż za progiem niewielkiego sklepu Van Corvaire'a uderzył w niego ryk pedzacego po autostradzie Pacific Coast strumienia samochodów. Powietrze drgało oszalamiająco, przepelnione błyskami słonecznego światła odbijającego się od chromów i szkła. Wprost trudno było uwierzyć, że zaciszny Newport Harbor z cumującymi tam pięknymi jachtami leżał zaraz za budynkami po drugiej stronie ulicy. Bobby'ego raptownie naszła myśl, że całe jego życie (a pewno także i każdego człowieka) przypomina te ulice w tym właśnie momencie: krzatanina i hałas, blask i nieustanny ruch, rozpaczliwy pęd ku temu, by wyrwać się ze stada, coś osiągnąć i wtedy nareszcie zostawić za sobą obłakancy wir komercji, znaleźć trochę czasu na zadumę i odrobinę spokoju - podczas gdy spokój przez cały czas był zaledwie o parę kroków stąd, po drugiej stronie ulicy, tuż poza zasięgiem wzroku. Pod wpływem tej myśli nasiliło się w nim przecucie, że sprawa Pollarda stanowi swego rodzaju pułapkę - lub, dokładniej mówiąc, kolowrot umieszczony w klatce wiewiorki, wirujący coraz szybciej i szybciej, zmuszający do gorączkowego przebierania nogami, tak by zachować równowagę na obracającej się podłodze. Przystanął na parę sekund w otwartych drzwiach samochodu, nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia, że został schwytany, usidlony. W tej chwili nie był pewien dlaczego, pomimo oczywistych niebezpieczeństw, tak bardzo pragnął zająć się kłopotami Franka, zupełnie nie zwracając uwagi na ryzyko. Dopiero teraz uswiadomił sobie, że powody, na które powoływał się wobec Julie i samego siebie - sympatia dla Franka, ciekawość, podniecenie wywołane zupełnie nowym rodzajem pracy - były tylko pozornym uzasadnieniem, natomiast swej prawdziwej motywacji nie potrafił wciąż zrozumieć.

Zdenerwowany wszedł do wozu i z trzaskiem zamknął drzwi. Clint uruchomił silnik.

-Bobby, jak myślisz, ile czerwonych diamentów może być w tamtym słoiku? Będzie ze sto?

-Wiecej. Kilkaset sztuk.

-Ile to może być warte - setki milionów?

-Może miliard, a może wiecej.

Popatrzyli po sobie w milczeniu. Nie dlatego, że nie mogli znaleźć słów odpowiednich w takiej sytuacji. Po prostu zbyt wiele było do powiedzenia i w związku z tym nie bardzo wiedzieli, od czego zacząć.

W końcu odezwał się Bobby.

-Ale nie mogłbyś sprzedać tych kamieni od razu. Musiałbyś rzucić je na rynek przez całe lata, aby uniknąć nagłej obniżki wartości oraz rozgłosu, niepotrzebnie zwracającego na Ciebie uwagę i prowadzącego do pytań, na które nie potrafisz odpowiedzieć.

-Skoro na całym świecie diamenty wydobywa się od setek lat i dotychczas znaleziono tylko siedem czerwonych... to w takim razie skąd, u diabła, Frank wykombinował cały słoje?

Bobby bez słowa potrząsnął głową.

Clint sięgnął do kieszeni spodni, skąd wyciągnął czerwony diament, mniejszy od tego, który Bobby zademonstrował Archerowi van Corvaire'owi.

-Zabrałem go do domu, żeby pokazać Felinie. Zamierzałem wrzucić go z powrotem do słoja po przyjściu do biura, ale nie zdążyłem, bo zaraz zabrałeś mnie do garażu. Teraz, kiedy już wiem, co to takiego, nie chcę mieć tego diamentu przy sobie ani minuty dłużej.

Bobby przyjął kamień i wrzucił go do tej samej kieszeni, w której spoczywał większy okaz. -
Dziękuję, Clint.

* * *

Gabinet doktora Dysona Manfreda w jego domu w Turtle Rock był najstraszliwszym miejscem, w jakim Bobby kiedykolwiek przebywał. Czuł się o wiele lepiej w ubiegłym tygodniu, gdy rozciągnięty na podłodze własnej furgonetki usiłował nie dać się posiekac na kawałki ogniem broni automatycznej, niż teraz, otoczony ze wszystkich stron kolekcją wielonogich, opancerzonych, najezonych czulkami, zaopatrzonych w potężne szczęki i absolutnie odpychających egzotycznych owadów. Co chwila na granicy pola widzenia Bobby dostrzegał jakieś poruszenie w którejś spośród zdobiących ściany oszklonych gablot, lecz gdy spoglądał w tamtym kierunku, chcąc się upewnić, czy odrazające stworzenie nie wydostało się na wolność, jego obawy okazywały się bezpodstawne. Wszystkie koszmarnie okazy tkwiły nieruchomo na swoich szpilkach, poukładane w równe rzędy jeden obok drugiego, tak że nigdzie nie było pustego miejsca.

Jakby tego było mało, Bobby mógł również przysiąc, że słyszy dobiegające z płytkich szuflad - które, jak wiedział, kryły kolejną część zbiorów - delikatne szuranie i chrobot. Przypuszczał jednak, że dźwięki te są wytworem jego wyobraźni, podobnie jak chwytane kątem oka ruchy.

Bobby znalazł usposobienie Clinta, ale mimo wszystko był poruszony widoczną obojętnością, z jaką ten człowiek znosił wystroj gabinetu. Postanowił jeszcze tego samego dnia dać Clintowi poważną podwyżkę.

Doktor Manfred wydał się Bobby'emu równie niepokojący jak jego kolekcja. Wysoki, chudy, wyposażony w długie kończyny entomolog sprawiał wrażenie potomka zawodowego koszykarza i jednego z owych afrykańskich, przypominających patyki insektów, które człowiek ogląda na przyrodniczych filmach, mając nadzieję, że nigdy nie spotka ich w rzeczywistości.

Manfred stał za swym biurkiem, od którego daleko odsunął krzesło. Przybyli zatrzymali się na wprost niego, a uwagę ich przykuła stojąca na środku blatu biała, emaliowana laboratoryjna kuweta o wymiarach ćwierć na pół metra i głębokości cala, zasłonięta niewielkim białym ręcznikiem.

-Nie spałem od chwili, gdy pan Karaghiosis przyniósł mi to wczoraj wieczorem - powiedział

Manfred - i dzisiaj także nie zmruży oka, próbując znaleźć odpowiedź na dręczące mnie pytania. Ta sekcja była najbardziej fascynująca w całej mojej dotychczasowej karierze i wątpię, abym jeszcze kiedykolwiek w życiu doświadczył czegoś równie pięknego.

Dzwieczący w głosie Manfreda entuzjazm oraz świadomość, że ani dobre jedzenie, ani seks, ani wspaniały zachód słońca czy znakomite wino nie może choć po części dać tyle satysfakcji, co krojenie insekta, sprawiły, że żołądek Bobby'ego zaczął się niebezpiecznie kurczyć.

Tylko po to, by odwrócić uwagę od rozmiłowanego w owadach gospodarza, przeniósł wzrok na czwartego mężczyznę w pokoju. Był to człowiek grubo powyżej czterdziestki, w przeciwieństwie do Manfreda pulchny i różowy, o złotorudych włosach, błękitnych oczach oraz usianej piegami twarzy. Siedział na krześle w kacie gabinetu, dokładnie wypełniając sobą szary dres. Zaciśnięte w pięści dłonie wsparł o potężne uda, co jeszcze bardziej nadawało mu wygląd poczciwego Irlandczyka, usiłującego zrobić karierę w zapasach Sumo. Entomolog nie zwracał na niego żadnej uwagi i wcale nie kwapił się z dokonaniem prezentacji. Bobby doszedł do wniosku, że przedstawienie nieznanego nastąpi dopiero w przewidzianym przez Manfreda momencie. Postanowił nie przyspieszać biegu wydarzeń, zwłaszcza że grubas w milczeniu przyglądał się im z mieszaniną zdumienia, podejrzliwości, strachu i ciekawości, co utwierdziło Bobby'ego w przekonaniu, że gdy już otworzy usta, nie powie im niczego przyjemnego.

Przypominające odnoża pajaka, zakończone długimi palcami ręce Dysona Manfreda usunęły znad białej kuwety ręcznik, odsłaniając szczatki żuka Franka. Głowe, parę nóg, jedno z parę wyspecjalizowanych szczypiec oraz kilka innych, trudnych do rozpoznania fragmentów odcięto i ułożono równo z boku. Każdy przerazający element spoczywał na miękkiej, bawełnianej poduszeczce niczym klejnot na aksamitnym podłożu, wystawiony przez jubilerę dla zwrócenia uwagi potencjalnych klientów. Bobby jak urzeczony wpatrywał się w głowę przypominającą wielkością sliwkę, w małe czerwono-niebieskie oczy i drugą parę dużych, metnozoltych, tak bardzo zbliżonych kolorem do oczu Dysona Manfreda. Zadrzał. Główna część żuka leżała na grzbiecie na środku kuwety. Spodnia strona została rozcięta, zewnętrzne warstwy tkanki usunięto lub rozchyłono na boki, odsłaniając widok na organy wewnętrzne.

Używając jako wskazówki Isniacego, wąskiego skalpela, którym posługiwał się z wdziękiem i precyzją, entomolog rozpoczął od zademonstrowania im układu oddechowego, trawiennego i wydalniczego żuka. Mówiąc co chwila odwoływał się do "wielkiego arcyzmu" biologicznego planu budowy, lecz Bobby nie dostrzegł tam niczego, co mogłoby dorównać malarstwu Matisse'a. Prawde powiedziawszy, zwierzak w środku wyglądał jeszcze gorzej niż od zewnątrz. Dziwny wydał mu się tylko jeden termin: "komora polerująca". Poprosił o wyjaśnienie, lecz Manfred rzucił tylko:

-Wszystko w swoim czasie - i dalej kontynuował wykład. Kiedy wreszcie skończył, Bobby odezwał się:

-Okay, wiemy już, jak to działa, lecz czy na tej podstawie możemy znaleźć odpowiedź na interesujące nas pytania? Na przykład skąd ten owad pochodzi?

Manfred wpatrywał się w niego bez słowa.

-Dzungle Ameryki Południowej? - zapytał Bobby.

Z dziwnych, bursztynowych oczu uczonego niczego nie można było wyczytać, a jego długie milczenie stawało się coraz bardziej zagadkowe.

-Afryka? - niepewnie podsunął Bobby. Pod wpływem wzroku entomologa stał się jeszcze bardziej zdenerwowany.

-Panie Dakoto - odezwał się w końcu Manfred - zadaje pan niewłaściwe pytania. Pozwoli pan, że sformułuję je za pana. Czym to stworzenie się odżywia? No coż, ujmując to jak najprościej, w sposób zrozumiały dla każdego laika, badany okaz zjada szeroki wachlarz mineralów, skal i gleby. Co wy...

-On je ziemię? - upewnił się Clint.

-Wyraził pan to jeszcze prościej ode mnie - potwierdził Manfred. - Niezbyt precyzyjnie, daruje pan, ale prościej. Nie rozumiemy jeszcze, w jaki sposób te substancje zostają rozdrobnione, czy też dzięki jakim procesom dochodzi do uzyskania z nich energii. Niektóre aspekty biologii tego zwierzęcia są dla nas doskonale zrozumiałe, lecz te sprawy stanowią na razie zagadkę.

-Myślałem, że owady zjadają rośliny, siebie nawzajem albo... padline - powiedział Bobby.

-Tak jest w istocie - przytaknął Manfred. - Tyle tylko, że to coś nie należy do owadów ani żadnej innej klasy gromady Arthropoda.

-Dla mnie z pewnością wygląda jak owad - stwierdził Bobby, spoglądając na pokrojonego zuka i mimowolnie się krzywiąc.

-Nie - zaprzeczył Manfred. - To stworzenie wgryza się w glebę i skały, jest zdolne strawić kawałki o wielkości dużych winogron. Czas na następne pytanie. Jeżeli czymś takim się odżywia, to co w takim razie wydala? A odpowiedź, panie Dakoto, jest następująca: wydala diamenty.

Bobby drgnął, jak gdyby entomolog go uderzył.

Spojrzał na Clinta, który wyglądał na równie zaskoczonego. Sprawa Pollarda spowodowała już w Grecji kilka zmian, a teraz zdarła mu z twarzy maskę pokerzysty.

-Chce pan nam wmówić, że to coś zamienia ziemię w diamenty? - spytał Clint, a ton jego głosu świadczył, że podejrzewa Manfreda o chęć zrobienia z nich głupców.

-Nie, nie - zaproponował uczonego. - Stworzenie to przedziera się metodycznie przez diamentonosne żyły węgla i innych mineralów, dopóki nie natrafi na kamienie. Wtedy polyka je razem z zaskorupiałą otoczką skały, trawi zawarte w niej minerały, a surowe diamenty przemieszcza do komory polerującej, gdzie resztki materiałów ubocznych zostają usunięte w trakcie energicznego ocierania się o wystające ze ścian komory setki małych, podobnych do drutów wyrostków. - Wskazał skalpelem omawiany właśnie szczegół budowy zuka. - Na koniec oczyszczone diamenty usuwane są na zewnątrz.

Entomolog otworzył środkową szufladę biurka, wyjął z niej białą chusteczkę i rozwinawszy ją zademonstrował trzy czerwone diamenty, wszystkie dużo mniejsze od sztuki, którą Bobby zabrał do van Corvaire'a, a przecież i tak warte setki tysięcy, jeśli nie miliony.

-Znalazłem je w różnych punktach przewodu pokarmowego. Największy kamień w dalszym ciągu okrywała częściowo upstrzona brązowymi, czarnymi i szarymi żyłkami minerałów otoczka.

-To są diamenty? - zapytał Bobby, udając kompletnego ignorantę. - Nigdy nie widziałem czerwonych diamentów.

-Ani ja. Dlatego też poszedłem do innego profesora, geologa będącego równocześnie gemmologiem, i wyciągnąłem go w środku nocy z łóżka, żeby mu to pokazać.

Bobby rzucił okiem na niedoszłego irlandzkiego zapasnika Sumo, lecz tkwił on nadal na swoim krześle; zapewne to nie on był wspomnianym geologiem.

Manfred wytłumaczył w tym miejscu to, co Bobby i Clint już wiedzieli - że czerwone diamenty są niesłychanie rzadkie - ale oni zachowywali się tak, jakby była to dla nich absolutna nowość.

-Odkrycie to wzmogło moje podejrzenia, związane z dostarczoną przez was okazem, udałem się więc prosto do domu doktora Gavenalla i obudziłem go tuż po drugiej dziesiątce nad ranem. Naciągnął na siebie dres i trampki, przyszedł ze mną tutaj i od tej pory pracujemy bez przerwy, nie mogąc wprost uwierzyć własnym oczom.

W tym momencie otyły człowiek w kacie podniósł się wreszcie i podszedł do biurka.

-Roger Gavenall - przedstawił go Manfred. - Roger jest genetykiem, specjalista od rekombinacji DNA, szeroko znanym ze swych twórczych projektów dotyczących inżynierii genetycznej w skali makro, które mogą przynieść znaczny postęp w tej dziedzinie wiedzy.

-Przepraszam - powiedział Bobby. - Zgubiłem się zaraz po "Roger jest..." Obawiam się, że będa panowie musieli w dalszym ciągu używać języka dla laików.

-Jestem genetykiem i futurystą - odezwał się Gavenall, a jego głos okazał się nieoczekiwanie melodyjny, przypominał głosy showmanów prowadzących telewizyjne konkursy. - W dającej się przewidzieć przyszłości inżynieria genetyczna skupi się przede wszystkim na zadaniach w skali mikro, na tworzeniu nowych, pożytecznych bakterii, naprawianiu błędów w kodzie genetycznym człowieka, będzie nastawiona na wyeliminowanie odziedziczonych niedomagań i przekazywanych drogą dziedziczenia chorób. Z czasem będziemy jednak w stanie tworzyć zupełnie nowe gatunki zwierząt i owadów, działac w skali makro. Powstana użyteczne stworzenia, jak choćby zwierzęta żywiące się moskitami, co pozwoli zaprzestac opryskiwania tropikalnych regionów, w rodzaju Florydy, malathionem. Można będzie wyhodować krowy o połowę mniejsze od dzisiejszych, ale za to o znacznie wydajniejszym metabolizmie, dzięki czemu przy obniżonym zużyciu paszy uzyska się dwa razy więcej mleka.

Bobby chciał zaproponować Gavenallowi, aby rozpatrzył możliwość połączenia obu swoich

pomyslow i zajal sie wyprodukowaniem malej krowy pochlaniajacej ogromne ilosci moskitow i dajacej trzykrotnie wiecej mleka. Nie powiedzial jednak tego glosno, zdajac sobie sprawe, ze zaden z uczonych nie docenilby jego poczucia humoru. W glebi duszy musial przyznac, ze jego chec do zartow stanowila probe zagluszenia gleboko zakorzonego strachu przed coraz bardziej niesamowita sprawa Pollarda.

-To cos - kontynuowal Gavenall, wskazujac poszatowanego zuka w kuwecie - nie zostalo stworzone przez nature. Jest to bez watpienia forma zywa zbudowana na zasadach inzynierii genetycznej; tak zdumiewajaco celowa w kazdym aspekcie swej konstrukcji biologicznej, ze smialo mozna tu mowic o biologicznej maszynie. Kopaczka do diamentow.

Pomagajac sobie para kleszczy i skalpelem, Dyson Manfred przewrocil delikatnie owada, ktory nie byl owadem, tak ze mogli zobaczyc smoliscie czarny pancerz ozdobiony na obwodzie czerwonymi znakami.

Bobby'emu wydawalo sie, ze slyszy dobiegajace z roznymi czesci gabinetu szeleszczace dzwieki. Poczulby sie pewniej, gdyby Manfred wpuscil do pokoju nieco slonecznego blasku. Niestety okno zaslanialy od wewnatrz drewniane zaluzje o scisle przylegajacych do siebie listewkach. Robactwo lubilo ciemne, zacienione miejsca, a lampy dawaly zbyt slabe swiatlo, by odstraszyc je przed uciezka z plytkich szuflad i lazeniem po butach Bobby'ego, wspinaniem sie na skarpetki i wyzej, w nogawki spodni.

Kolyszac swym wydatnym brzuchem, Gavenall pochylil sie nad biurkiem, wskazal na szkarlatne plamki na pancerzu i powiedzial:

-Kierujac sie przeczuciem, pokazalismy z Dysonem rysunek tego wzoru koledze z wydzialu matematycznego. Potwierdzil, ze jest to wyrazny kod binarny.

-To tak, jak uniwersalny kod wyrobu, umieszczony na wszystkim, co kupujemy w sklepie spozywczym - wtracil entomolog.

-Chodzi panu o to, ze te czerwone znaczki sa numerem tego zuka?

Tak.

-Tak... tak jak tablica rejestracyjna?

-Mniej wiecej - odparl Manfred. - Nie pobralismy jeszcze probki czerwonego materialu do analizy, podejrzewamy jednak, ze okaze sie on substancja ceramiczna naniesiona w jakis sposob na pancerz.

-Gdzies tam musi byc ich duzo - powiedzial Gavenall. - Wydobywaja diamenty na skale przemyslowa, czerwone diamenty, a kazdy z nich ma na grzbiecie wymalowany numer seryjny, pozwalajacy na identyfikacje tym, ktorzy go stworzyli i wyslali do pracy.

Bobby zmagal sie przez chwile z tym obrazem, usilujac dopasowac go jakos do swiata, w ktorym zyl, okazalo sie to jednak po prostu niemozliwe.

-Okay, doktorze Gavenall, potrafi pan wymyslic stworzenia podobne do tego...

-Takiego bym nie wymyslil - zdecydowanie odparl uczony. - Cos takiego nigdy nie przyszloby mi do glowy. Ja tylko odkrylem jego przeznaczenie - to, czym musi byc.

-No dobrze. Ale tym niemniej odgadl pan, czym musi ono byc, podczas gdy Clint czy ja nigdy byśmy tego nie dokonali. Proszę mi więc powiedzieć, kto mogl zrobic te przeklęta rzecz?

Manfred i Gavenall wymienili znaczace spojrzenia i zamilkli na dluzsza chwile, jak gdyby znali odpowiedz na to pytanie, lecz nie chcieli jej wyjawic. W koncu, ubierajac swój glos prezentera w jeszcze slodsze tony, Gavenall powiedzial:

-Wiedza genetyczna i inzynieryjne umiejetnosci niezbedne do wytworzenia czegos takiego jeszcze nie istnieja. Nie zblizyliśmy sie nawet do... do... jesteśmy daleko w tyle.

-Jak dlugo potrwa, zanim nauka osiagnie odpowiedni poziom? - zapytal Bobby.

-Udzielenie precyzyjnej odpowiedzi jest niemozliwe - stwierdzil Manfred.

-A w przyblizeniu?

-Dziesieciolecia? Stulecia? Ktoz to wie?

-Zaraz, zaraz - wykrzyknal Clint. - Co panowie chcecie przez to powiedziec? Ze ta rzecz dotarla do nas z przyszlosci poprzez... jakies zawirowania czasu wypadla tutaj z nastepnego stulecia?

-Albo to - powiedzial Gavenall - albo... ten gosc nie pochodzi z naszego swiata w ogole.

Oszolomiony Bobby popatrzył na zuka z nie mniejsza niz przedtem odraza, ale za to z o wiele wiekszym zainteresowaniem i szacunkiem.

-Naprawde panowie myslicie, ze moze to byc biologiczna maszyna skonstruowana przez ludzi z innego swiata? Obiekt obcego pochodzenia?

Manfred bezdzwiecznie poruszył ustami, jak gdyby stracil glos pod wrazeniem tego, co chcial powiedziec.

-Tak - potwierdzil Gavenall - obcy obiekt. Taka ewentualnosc trafia mi bardziej do przekonania niz powrot do przeszlosci przez hipotetyczna dziure w czasie.

Podczas wypowiedzi Gavenalla, Dyson Manfred bez przerwy poruszał szczekami, probujac najwyrazniej odzyskac glos, a zapadle policzki upodabnialy go do zarlocznej modliszki przesuwejacej tlusty kasek. W koncu zaczal pospiesznie wyrzucac z siebie slowa.

-Chcemy, abyscie zrozumieli, ze nie oddamy, absolutnie nie oddamy tego okazu. Marni byliby z nas naukowcy, gdybysmy dopuscili, aby cos tak niewiarygodnego spoczywalo w rekach laikow. Musimy go zakonserwowac, a pozniej chronic i uczynimy tak, nawet gdybysmy zostali zmuszeni do uzycia

sily.

Na bladej twarzy entomologa wykwitl spowodowany wzruszeniem rumieniec, nadajac jej nieco zdrowszy wyglad.

-Nawet uzywajac sily - powtorzyl.

Bobby ani przez chwile nie watpil, ze wraz z Clintem rozprawiliby sie bez trudu z para naukowcow, nie widzial jednak powodu, dla ktorego mieliby tak uczynic. Nie mial nic przeciwko temu, aby zatrzymali sobie spoczywajace w kuvecie stworzenie - o ile tylko zgodza sie co do tego, jak i kiedy wystapia ze swymi rewelacjami publicznie.

Teraz pragnal tylko jednego, wydostac sie na zalana sloncem przestrzen i odetchnac swiezym powietrzem. Szelesty w gablotach, choc bez watpienia stanowiace wytwor jego wyobrazni, z kazda minuta przybieraly na sile i stawaly sie bardziej goraczkowe. Entomofobia wktotce zawladnie nim do reszty, a wtedy z krzykiem wybiegnie z tego pokoju. Zastanawial sie, czy targajacy nim niepokoje byl widoczny dla kazdego, czy tez na tyle jeszcze panowal nad soba, ze potrafil go ukryc. Namyslajac sie nad odpowiedzia poczul, jak po lewej skroni scieka mu kropla potu.

-Bedziemy calkowicie szczerzy - wtracil z kolei Gavenall. - Nasze pragnienie zachowania tego okazu wyplywa nie tylko z czystego oddania nauce. Opublikowanie takiego odkrycia ustawi nas w zyciu, tak pod wzgledem zawodowym, jak i finansowym. Zaden z nas nie nalezy w swojej branzy do slabeuszy, ale ta historia wywinduje nas na sam szczyt, dlatego tez uczynimy wszystko, co niezbedne, dla zabezpieczenia naszych interesow. - Jego niebieskie oczy zwezily sie, a otwarta, irlandzka twarz zastygla w twardym wyrazie determinacji. - Nie powiem, ze zabilbym, zeby tylko zachowac ten okaz... ale nie powiem tez, ze bym tego nie zrobil.

Bobby westchnal.

-Wielokrotnie przeprowadzalem dla uniwersytetu w Irvine badania przebiegu kariery jego przyszłych pracowników, zdaje wiec sobie sprawe, ze swiat nauki potrafi byc przesiakniety duchem bezwzglednej konkurencji, zdeprawowany i rownie - a moze nawet bardziej - brudny, jak swiat polityki czy show-businessu. Nie zamierzam sie z wami bic. Musimy jednak osiagnac porozumienie co do terminu, w którym bedziecie mogli opublikowac wyniki badan. Nie chce, byście zrobili cokolwiek, co mogloby zwrocic na mojego klienta uwage prasy, dopoki nie zamkniemy jego sprawy i upewnimy sie, ze nie grozi mu niebezpieczenstwo.

-Kiedy to nastapi? - zapytal Manfred. Bobby wzruszyl ramionami.

-Za dzien lub dwa. Moze za tydzien. Watpie, aby potrwalo to dluzej.

Entomolog i genetyk popatrzyli po sobie z wyraznym zadowoleniem. Manfred powiedzial:

-A zatem nie ma problemu. Dokonczenie badan, przygotowanie pierwszych materialow do publikacji oraz opracowanie strategii dzialania wzgledem spolecznosci naukowej i srodkow masowego przekazu zajmie nam znacznie wiecej czasu.

Wyobraznia podsunela Bobby'emu obraz plytkich szuflad otwierajacych sie pod naporem klebowiska madagaskarskich karaczanow.

-Te trzy diamenty zabieram ze soba - powiedzial. - Sa cenne i stanowa wlasnosc naszego klienta.

Manfred i Gavenall po chwili wahania probowali protestowac, lecz szybko dali za wygrana. Clint wzial kamienie i zawinal je we wlasna chusteczke. Latwa kapitulacja uczonych utwierdzila Bobby'ego w przekonaniu, ze diamentow musialo byc wiecej, co najmniej piec, i ze zostawili sobie dwa kamienie na poparcie tezy o pochodzeniu i przeznaczeniu zuka.

-Bedziemy chcieli spotkac sie z waszym klientem i porozmawiac z nim - dodal Gavenall.

-To zalezy od niego - wyjasnil Bobby.

-Jest to bardzo wazne. Musimy z nim pomowic.

-Decyzja nalezy do niego - powtorzyl Bobby. - Dostaliscie prawie wszystko, czego chcieliscie. Kiedys moze sie zgodzi i wtedy bedziecie miec wszystko. Ale na razie zostawcie go w spokoju.

Genetyk skinal glowa.

-Brzmi to uczciwie. Ale prosze mi powiedziec... gdzie on to znalazl?

-Nie pamietam. Cierpi na amnezje. - Szuflady za jego plecami byly szeroko otwarte. Slyszal, jak wielkie karaluchy, zderzajac sie pancerzami, biegnia w dol regalu i obrzydliwym strumieniem zalewaja podloge, zblizajac sie szybko ku niemu. - Naprawde musimy juz isc - powiedzial. - Nie mamy chwili do stracenia.

Pospiesznie wyszedl z gabinetu, usilujac nie rozgladac sie na boki, jakby od tego zalezalo jego zycie.

Clint i dwaj naukowcy podazyli za nim. Juz w progu Manfred powiedzial:

-Wezmie mnie pan za czlowieka pisujacego do sensacyjnych gazet, ale musze o to zapytac. Jesli w posiadaniu panskiego klienta znalazl sie obiekt obcego pochodzenia, to czy sadzi pan, ze mogl on przebywac wewnatrz... statku kosmicznego? Ludzie opowiadajacy o tym, jak zostali zabrani na poklad kosmicznego pojazdu i jak ich tam badano, zawsze przechodza okresowa amnezje, zanim poznaja prawde.

-Tacy ludzie to wariaci albo oszusceni - rzucil ostro Gavenall. - Nie mozemy pozwolic, aby kojarzono nas z tego rodzaju sprawami. - Silnie zmarszczyl czolo, a jego twarz przybrala ponury wyraz. - Chyba ze w tym przypadku to prawda.

Juz na tarasie, zadowolony z opuszczenia tego domu, Bobby obejrzal sie za siebie.

-Moze tak wlasnie jest. W tej chwili gotow jestem uwierzyc we wszystko, czego nie mozna obalic. Cos wam powiem. Mam przecucie, ze cokolwiek dzieje sie z moim klientem, jest to o wiele dziwniejsze niz porwanie przez obcych.

-O wiele - przytaknal Clint.

Nie wdajac sie w dalsze dyskusje, poszli do samochodu. Bobby otworzyl drzwi i zatrzymal sie w nich na moment, z niechecia myslac o zajeciu miejsca w chevroletcie Clinta. Lagodna bryza splywajaca z otaczajacych Irvine wzgorz wydawala sie taka czysta w porownaniu z zatechlým powietrzem gabinetu Manfreda. Wlozyl reke do kieszeni i wymacal trzy diamenty.

-Zucze gówno - mruknal pod nosem.

Kiedy wreszcie wsiadl do wozu, z trzaskiem zamykajac za soba drzwi, z trudem powstrzymal sie przed siegnięciem pod koszule i sprawdzeniem, czy wciaz jeszcze pelzajace po nim robactwo istnieje naprawde.

Manfred i Gavenall przystanęli na tarasie i obserwowali ich w napieciu, jakby oczekiwali, ze za chwile samochod stanie pionowo na tylnym zderzaku, a następnie pomknie prosto w niebo na spotkanie z wielkim blyszczącym pojazdem z filmu Spielberga.

Clint przejechal dwie przecznice, skrecil za rogiem, po czym zatrzymal sie przy krawezniku, gdy tylko stracili z oczu dom Manfreda.

-Bobby, skad, u diabla, Frank wytrzasnal tego stwora? Bobby mogl odpowiedziec jedynie pytaniem:

-Ile roznych miejsc odwiedza w trakcie teleportacji? Pieniadze, czerwone diamenty i zuk, czarny piasek. Jak odlegle sa niektore z nich?

-I kto to jest? - dodal Clint.

-Frank Pollard z El Encanto Heights.

-Chodzi mi o to, kim on jest? - Clint uderzyl piescia w kierownice. - Kim, u diabla, jest Frank Pollard z El Encanto?

-Sadze, ze to, kim jest, nie ma wiekszego znaczenia. Istotniejsze wydaje sie to... czym on jest.

44

Z niespodziewana wizyta przyszedl Bobby. Kiedy Bobby przyszedl, lunch byl juz zjedzony. Deser wciaz jeszcze tkwil w pamieci Thomasa. Nie jego smak. Wspomnienie. Waniliowe lody, swieze truskawki. Nastroj, w jaki moze wprawic czlowieka dobry deser. Byl w pokoju sam. Siedzial w fotelu i myslal o zrobieniu obrazkowego wiersza oddajacego uczucia, jakie sie ma, jedzac lody z truskawkami, nie po prostu smak, ale dobry nastroj, tak zebys pewnego dnia, gdy nie dostaniesz lodow ani truskawek, mogl popatrzec na wiersz i nawet nie jedzac niczego, odzyskac tamten nastroj. Oczywiscie, w wierszu nie mogl sie posluzyc zdjeciem lodow czy truskawek, bo wtedy nie bylby to wiersz, tylko opowiadanie o tym, jak lody i truskawki budza w tobie dobre samopoczucie. Wiersz nie mowil wprost. Pokazywal i wywoływal uczucia.

I wlasnie wtedy wszedl drzwiami Bobby, a Thomas tak sie ucieszyl, ze zapomniat o wierszu.

Usciskali sie. Ktos przyszedl z Bobbym, ale to nie byla Julie, wiec Thomas byl rozczarowany. Byl tez zaklopotany, bo okazalo sie, ze spotkal tego czlowieka juz pare razy, a zupełnie go nie pamietal, przez co poczul sie bardzo glupio. To byl Clint. Thomas powtorzyl sobie jego imie wiele razy, wiec moze przy nastepnej okazji bedzie pamietac: Clint, Clint, Clint, Clint, Clint.

-Julie nie mogla przyjsc - powiedzial Bobby. - Nianczy klienta. Thomas zastanawial sie, do czego dziecku moze byc potrzebny prywatny detektyw, lecz o to nie zapytal. W telewizji detektywow zatrudniali tylko dorosli. Ciekawilo go tez, w jaki sposob dziecko im zaplaci, poniewaz Julie i Bobby, tak jak wszyscy inni, pracowali za pieniadze. Dzieci nie pracowaly, bo byly za male, zeby robic cokolwiek. Skad wiec to dziecko wezmie pieniadze na zaplate dla Bobby'ego i Julie? Mial nadzieje, ze nie dadza sie oszukac i dostana wynagrodzenie za swoja ciezka prace.

-Prosila, zebym ci powiedzial, ze dzisiaj kocha cie bardziej niz wczoraj, a jutro bedzie cie kochac jeszcze mocniej - powiedzial Bobby.

Uscisneli sie ponownie, poniewaz tym razem Thomas przekazywal Bobby'emu pozdrowienia dla Julie.

Clint zapytal, czy moze obejrzec ostatni zeszyt wierszy. Przeszedl z zeszytem przez pokoj i usiadl w fotelu Dereka, co bylo w porzadku, bo Dereka tu nie bylo, szedl do swietlicy.

Bobby wzial sobie krzeslo od stolu i przysunal sie z nim blisko do fotela Thomasa. Zaczeli rozmawiac o tym, jaki piekny byl dzisiaj dzien i jak ladnie w slonecznym blasku wygladaly kwiaty za oknem Thomasa. Przez chwile rozmawiali o roznym rzeczach i Bobby byl smieszny. Zmienial sie tylko wtedy, gdy zaczynali rozmawiac o Julie. Widac bylo, ze sie o nia martwi. Kiedy o niej mowil, wygladal jak dobry obrazkowy wiersz - nie wspominal o samym zmartwieniu, lecz je okazywal i sprawial, ze ty czules to samo.

Thomas martwil sie o Julie od dawna, wiec niepokoj Bobby'ego sprawil, ze poczul o nia prawdziwy strach.

-Mamy pelne rece roboty z ta nowa sprawa - powiedzial Bobby - wiec zadne z nas nie bedzie moglo przyjsc do ciebie wczesniej niz pod koniec tego tygodnia, a moze nawet na poczatku nastepnego.

-Okay, jasne - odparl Thomas, czujac jak cale wnetrze wypelnia mu wielki chlod. Za kazdym razem, gdy Bobby mowil o nowej sprawie, tej z dzieckiem, jego obrazkowy wiersz o niepokoju stawal sie latwiejszy do odczytania.

Thomas pomyslal, ze moze wlasnie w trakcie pracy nad ta sprawa dojdzie do spotkania z Czymys Zlym. Byl pewien, ze tak sie stanie. Chcial opowiedziec Bobby'emu o Czymys Zlym, ale nie wiedzial, jak to zrobic. Jakichkolwiek by uzyl slow, jego opowiesc zabrzmialaby glupio, a on sam mogl sie im wydac najglupsza z glupich osob mieszkajacych w calym Domu. Lepiej juz bylo zaczekac, az niebezpieczenstwo podejdzie znacznie blizej, i wtedy nadac przez telewizje do Bobby'ego naprawde mocne ostrzezenie, tak zeby sie wystraszył, zaczal szukac Czegos Zlego i zastrzelil je przy pierwszym spotkaniu. Bobby zwroci uwage na ostrzezenie przez telewizje, bo nie bedzie wiedzial, od kogo ono pochodzi, nigdy sie nie domysli, ze nadala je taka glupia osoba.

Dobrze, że Bobby umiał strzelac. Wszyscy prywatni detektywi umieli strzelac, poniewaz kazdego dnia tam, na swiecie, dzialo sie duzo zlego. Wiadomo, ze mozna spotkac kogos, kto pierwszy do ciebie strzeli albo sprobie cie przejechac, albo pchnac nozem, albo udusic. Mogles tez zostac wypchniety przez okno albo nawet zli ludzie mogli Probowac Zrobic Tak, Zeby To Wygladalo Na Samobojstwo. Dlatego tez, jako ze wiekszosc dobrych ludzi nie nosila przy sobie broni, prywatni detektywi, ktorzy sie o nich troszczyli, musieli byc dobrymi strzelcami.

Po chwili Bobby musial wyjsc. Nie do lazienki, tylko z powrotem do pracy. Usciskali sie wiec jeszcze raz, po czym Bobby i Clint odeszli, a Thomas zostal sam.

Podszedl do okna. Wyjrzal na zewnatrz. Dzień był dobry, lepszy niż noc. Ale nawet kiedy słońce zepchnelo prawie cala ciemnosc poza krawedz swiata, a jej resztki kryly sie za drzewami i domami, w jasnosci dnia bylo tez zlo. Cos Zlego nie poszlo za ciemnoscia poza krawedz swiata. Caly czas gdzieś tam bylo, zupełnie obojetne na panujacy dzien.

Ostatniej nocy, kiedy podszedl zbyt blisko, Cos Zlego probowalo go zlapac. Bardzo sie wystraszył i szybko uciekl. Czul, ze Cos Zlego chcialo wiedziec, kim jest i gdzie mieszka, a gdyby sie dowiedzialo, przysloby do Domu i zjadlo go tak samo, jak male zwierzeta. Dlatego tez postanowil sobie, ze następnym razem bedzie sie trzymac z daleka, ale teraz musial postapic inaczej, ze wzgledu na Julie i dziecko. Jezeli Bobby, który sie nigdy niczym nie martwi, tak bardzo martwil sie o Julie, to Thomas powinien byc zmartwiony bardziej od niego. A jesli Julie i Bobby uwazali, ze dziecku potrzebna jest ochrona, to Thomas musial sie martwic takze i o nie, poniewaz to, co wazne dla Julie, wazne bylo rowniez dla niego.

Siegnal w dzien.

Bylo tam. Na razie daleko.

Nie podchodzil blizej.

Bal sie.

Lecz dla dobra Julie, Bobby'ego oraz dziecka bedzie musial przewyciezyc strach i podejsc blisko, tak aby przez caly czas wiedziec, gdzie Cos Zlego sie znajduje i czy przypadkiem nie nadchodzi.

45

Jackie Jaxx przybyl do biura Dakota and Dakota dopiero dziesiec po czwartej, w cala godzine po powrocie Bobby'ego i Clinta, po czym stracil nastepne pol godziny na wytwarzaniu atmosfery sprzyjajacej jego pracy, czym doprowadzil Julie do szewskiej pasji. Stwierdzil, ze w pokoju bylo zbyt jasno, wiec pozaslalial okna, choc zimowy zmierzch oraz nadciagajacy znad Pacyfiku wal chmur zabraly juz wieksza czesc swiatla dziennego. Wyprobowal rozne ustawienia trzech metalowych lamp, z ktorych kazda wyposazona byla w trzyzakresowa zarowke, co pozwalalo na stworzenie niemal nieskonczonej liczby kombinacji. W koncu zdecydowal sie wylaczyc jedna calkowicie, a pozostale przelaczyl na trzydziesci i siedemdziesiat watow. Poprosil, zeby Frank przesiadl sie z sofy na jedno z krzesel, doszedl do wniosku, ze cos jest nie tak, wyciagnal zza biurka wielkie krzeslo Julie i na nim

usadził ostatecznie klienta Dakotow, zaś na wprost niego rozstawił polkolem cztery dalsze krzesła. Julie przypuszczała, że równie dobrze Jackie mogłoby pracować bez zasłon na oknach i przy zapalonych wszystkich lampach. Był jednak artysta nawet poza sceną i nie potrafił zrezygnować z teatralnych gestów.

W ostatnich latach magicy porzucili sceniczne pseudonimy, w rodzaju Wielki Blackwell czy Harry Houdini, na rzecz brzmiących normalnie nazwisk, lecz Jackie należał w tym względzie do zapoznionych. Naprawdę nazywał się David Carver. Od wczesnej młodości marzył mu się nocne kluby i sceny Vegas, toteż już wtedy wybrał sobie pseudonim, który dla niego i ludzi z jego otoczenia brzmiał niczym królewskie nazwisko. Podczas gdy inne dzieci chciały zostać nauczycielami, lekarzami, handlarzami nieruchomości czy mechanikami samochodowymi, młody Dave Carver pragnął być Jackie Jaxxem; teraz z boską pomocą był tak, jak sobie wymarzył.

Chociaż miał akurat przerwę pomiędzy tygodniowym kontraktem w Reno a występami na otwarcie programu Sammy'ego Davisa w Vegas, Jackie nie nosił dzinsów czy zwyczajnego ubrania. Miał na sobie stroj, którego używał podczas występów: czarny garnitur ze szmaragdowozielonym szamerunkiem na wylogach i mankietach marynarki, dobrana kolorem zielona koszula i czarne, skorzane pantofle. Miał trzydzieści sześć lat, pięć stop i osiem cali wzrostu, opalona twarz, ufarbowane na czarno włosy oraz olsniewająco, wręcz nienaturalnie białe zęby, będące doskonałym przykładem cudów, jakie może zdziałać nowoczesna stomatologia.

Trzy lata temu agencja Dakota and Dakota została zaangażowana przez pewien hotel w Las Vegas, z którym Jackie miał podpisany długoterminowy kontrakt. Obarczono ich wtedy nieprzyjemnym zadaniem ustalenia tożsamości szantazysty, usiłującego zagarnąć niemal cały zarobek magika. Sprawa była skomplikowana i obfitowała w nieoczekiwane zwroty, ale z czasem udało im się doprowadzić ją do szczęśliwego końca. Dla Julie największym zaskoczeniem okazał się fakt, że w trakcie dochodzenia wyzbyła się niechęci, jaka na początku darzyła Jaxxa i nawet trochę go polubiła.

Jackie zakończył przesuwanie krzesel.

-Julie z Clintem usiada po mojej prawej stronie, Bobby usiadzie po lewej.

Julie nie widziała powodu, dla którego nie mogłaby usiąść na dowolnym spośród trzech krzesel, zastosowała się jednak do poleceń.

W wielu swoich programach Jackie uzyskiwał komiczne efekty, wykorzystując w tym celu pograżonych w hipnozie widzów. Posiadał rozległą wiedzę w zakresie technik hipnotycznych i doskonale rozumiał funkcjonowanie umysłu w stanie transu, toteż często zapraszano go na poważne medyczne konferencje z udziałem lekarzy, psychologów i psychiatrów wykorzystujących w swej praktyce hipnozę. Być może zdolaliby namówić jakiegos psychiatrę, aby pomógł im przezwyciężyć amnezję Franka na drodze hipnotycznej regresji, jednak żaden lekarz nie zrobiłby tego lepiej niż Jackie Jaxx.

Poza tym, bez względu na to, jak fantastycznych rzeczy dowiedziałby się Jackie od Franka, można było liczyć, że zachowa to dla siebie. Wiele zawdzięczał Bobby'emu i Julie, a oprócz tego, mimo swych wad, należał do ludzi, którzy splacają długi i obdarzeni są szczerą, początkową lojalnością,

co w egocentrycznym swiecie show-businessu nalezalo do rzadkosci.

W padajacym z dwoch lamp lagodnym, bursztynowym swietle, przy zapadajacym szybko za zaslonietymi oknami mroku, miękki, starannie modulowany glos Jackiego, pelen lagodnych tonow i dzwieczacych od czasu do czasu dramatycznych wibracji, przyciagal uwage wszystkich. Aby doprowadzic Franka do stanu pelnej koncentracji, posluzyl sie krysztalem w ksztalcie kropli, zawieszonym na zlotym lancuszk, uprzedziwszy wczesniej zebranych, ze o ile nie chca zapasc w trans, powinni obserwowac raczej twarz Franka niz wirujacy klejnocik.

-Frank, prosze, patrz na migoczace wewnatrz kryształu swiatlo, bardzo lagodne, cudowne swiatlo wedrujace od plaszczyny do plaszczyny, od plaszczyny do plaszczyny, bardzo cieple i sympatyczne swiatlo, cieple, drzace...

Po chwili, sama odczuwajac lekka sennosc pod wplywem profesjonalnego szczebiotu Jackiego, Julie zauwazyła, ze oczy Franka przybraly niewidzacy wyraz.

Siedzacy u jej boku Clint uruchomil maly magnetofon, ten sam, ktorym rejestrowal opowiesc Franka wczoraj po poludniu.

Wciaz krecac lancuszk, trzymanym miedzy kciukiem a palcem wskazujacym, to w jedna, to w druga strone, Jackie powiedzial:

-W porzadku, Frank, zapadasz teraz w stan odprezenia, stan glebokiego odprezenia. Bedziesz slyszal tylko i wylacznie moj glos i bedziesz odpowiadac tylko i wylacznie na pytania, ktore ja zadam.

Kiedy Jackie wprowadzil juz Franka w gleboki trans i skonczyl przekazywac instrukcje dotyczace czekajacej ich rozmowy, polecil mu zamknac oczy. Frank posluszenie opuscil powieki.

Jackie odlozyl krysztal.

-Jak sie nazywasz? - zapytal.

-Frank Pollard.

-Gdzie mieszkasz?

-Nie wiem.

Z wczesniejszej rozmowy telefonicznej z Julie, Jackie dowiedzial sie, jakie informacje Dakotowie chcieli wydobyć ze swego klienta, dlatego tez spytal:

-Czy mieszkales kiedys w El Encanto? Wahanie. Po chwili przyszła odpowiedz:

Frank mowil dziwnie stlumionym glosem. Mial wymizerowana, smiertelnie blada twarz, tak ze sprawial wrazenie ekshumowanych zwlok, ktore ktos czarodziejska sztuka przywrocil do zycia, by stanowiły pomost pomiedzy uczestnikami seansu a kims z krainy umarłych, z kim chcieli rozmawiac.

-Czy przypominasz sobie jakis adres w El Encanto?

-Nie.

-Czy mieszkales pod numerem 1458 na Pacific Hill Road? Przez twarz Franka przemknal cien.

-Tak. Taki adres... Bobby znalazl... przez komputer.

-A czy ty przypominasz sobie tamto miejsce?

-Nie.

Jackie nastawil swego rolexa, po czym obiema dlonmi odrzucil do tyłu geste, czarne wlosy.

-Kiedy mieszkales w El Encanto, Frank?

-Nie wiem.

-Musisz mowic mi prawde.

-Tak.

-Nie mozesz mnie oklamac, Frank, ani niczego przede mna ukryc. W twoim obecnym stanie jest to niemozliwe. Kiedy tam mieszkales?

-Nie wiem.

-Czy mieszkales tam sam?

-Nie wiem.

-Czy pamietasz ostatnia noc w szpitalu, Frank?

-Tak.

-I to jak... zniknales?

-Tak mowia.

-Dokad sie przeniosles po zniknieciu, Frank? Cisza.

-Frank, dokad sie przeniosles po zniknieciu?

-Ja... ja sie boje.

-Dlaczego?

-Ja... nie wiem. Nie moge myslec.

-Frank, czy pamiętasz, jak w ubiegły czwartek rano obudziles sie w samochodzie zaparkowanym na ulicy w Laguna Beach?

-Tak.

-W dłoniach miales pelno czarnego piasku.

-Tak. - Frank wytarl rece o spodnie, jakby chcial sie pozbyc przylepionych do spoconej skory ziarenek.

-Skad wziales ten piasek, Frank?

-Nie wiem.

-Zastanow sie. Pomysl o tym.

-Nie wiem.

-Czy pamiętasz, jak pozniej wynajales pokoj w motelu... zasnales... a gdy sie obudziles, caly byles we krwi?

-Pamiętam - potwierdzil Frank i zadrzal.

-Co to byla za krew, Frank?

-Nie wiem.

-To byla krew kota, Frank. Wiedziales o tym?

-Nie. - Zatrzepotal powiekami, lecz nie otworzyl oczu. - Kocia krew? Naprawde?

-Czy pamiętasz jakies spotkanie z kotem tamtego dnia?

-Nie.

Bylo oczywiste, ze aby dotrzec do prawdy, nalezy zastosowac bardziej agresywna technike. Jackie zaczal cofac Franka w czasie, wracajac z nim stopniowo od poprzedniego wieczoru, kiedy przyjeto go do szpitala, az do momentu, gdy w ubiegły czwartek nad ranem ocknal sie na ulicy Anaheim, nie pamietajac niczego procz nazwiska. Poza ta granica mogla ukrywac sie jego zagubiona pamiec; jesli tylko uda sie zrobic nastepny krok wstecz, zaslonamnezi zostanie rozdarta i Frank odzyska przeszlosc.

Julie pochylila sie, chcac spoza Jackie Jaxxa dojrzec Bobby'ego. Ciekawilo ja, czy podobal mu sie ten show. Sadtzila, ze wirujacy krysztal i rozne inne sztuczki przemawialy do jego chlopiecego ducha przygody, powinien wiec byc usmiechniety i zadowolony.

Tymczasem Bobby byl ponury. Musial miec zacisniete zeby, bo na szczekach wystapily mu wezly

miesni. Wcześniej opowiedział jej, czego dowiedzieli się od Dysona Manfreda; Julie, podobnie jak on i Clint, była zdumiona i wstrząsnieta. Nie tłumaczyło to jednak jego obecnego nastroju. Może ciągle jeszcze nie mógł zapomnieć wypełniających gabinet entomologa owadów. Albo może dreczył go sen z ubiegłego tygodnia: coś złego nadchodzi, coś złego...

Nie potraktowała tego snu poważnie, ale teraz nie miała pewności, czy nie była to prorocza wizja. Po wszystkich tych niesamowitościach, które wraz z Frankiem wtargnęły w ich życie, była bardziej skłonna dać wiare złowrobnym znakom, wizjom i proroczym snom.

Cos złego nadchodzi, coś złego...

Może coś złego to poszukiwany przez nich Pan Blekitny.

Jackie przeniósł Franka w czasie do momentu, gdy na samym początku, zdezorientowany i przerażony, ocknął się w nieznannej alei.

-A teraz cofnij się jeszcze dalej, Frank, jeszcze trochę, tylko o parę sekund, i jeszcze parę, cofnij się poza zalegająca twój umysł ciemność, za te czarna sciane...

Od początku tej rozmowy Frank zdawał się kurczyć, jakby cały był z wosku poddanego działaniu wysokiej temperatury. Pogłębiała się też jego bladłość - jeśli to w ogóle było możliwe - nabierając odcienia białej parafiny. Teraz jednak, zmuszony do przebiccia się przez spowijający umysł mrok ku plonacemu po drugiej stronie światła pamięci, usiadł prosto, położył ręce na oparciu krzesła i zacisnął dłonie na winylowym obiciu z taką siłą, że wydawało się, iż lada chwila je rozerwie. Można by pomyśleć, że rośnie, powraca do swych poprzednich rozmiarów, jak po wypiciu czarodziejskiego eliksiru z przygod Alicji w Krainie Czarów.

-Gdzie jesteś teraz? - zapytał Jackie.

Oczy Franka poruszały się szybko pod zamkniętymi powiekami. Z jego ust dobiegł zduszony, nieartykułowany dźwięk:

-Uu... uu...

-Gdzie teraz jesteś? - łagodnie, lecz zdecydowanie powtórzył Jackie.

-Świetliki - powiedział wstrząsniety Frank. - Świetliki na wietrze! - Jego oddech stał się szybki, nierówny, jakby miał kłopoty z nabraniem w płuca powietrza.

-Co masz na myśli, Frank?

-Świetliki.

-Gdzie jesteś, Frank?

-Wszędzie. Nigdzie.

-W południowej Kalifornii nie ma świetlików, Frank, musisz więc być gdzie indziej. Pomyśl, Frank. Rozejrzyj się dookoła i powiedz mi, gdzie jesteś.

-Nigdzie.

Jackie podjął jeszcze kilka prób zmuszenia Franka do opisu otoczenia i podania szczegółów dotyczących świetlików, lecz bez skutku.

-Zabierz go stamtąd - poradził Bobby. - Głębiej w przeszłość. Julie spojrzała na tkwiący w dłoni Clint'a magnetofon. Pod plastikową szybka obracały się szpule z taśmą.

Melodyjnym, wibrującym głosem, układającym się w wabiące, rytmiczne kadencje, Jackie polecił Frankowi cofnąć się poza roziskrzoną świetlikami ciemność.

-Co ja tu robie? - odezwał się nagle Frank. Nie chodziło mu o biuro Dakota and Dakota, tylko o miejsce, w które przeniósł go Jackie Jaxx. - Dlaczego tutaj?

-Gdzie jesteś, Frank?

-Ten dom. Co ja, u diabła, tutaj robie, dlaczego tutaj przyszedłem? To szalenstwo, nie powinno mnie tutaj być.

-Czyj to dom, Frank? - zapytał Bobby.

Zgodnie z wcześniejszą instrukcją, Frank słyszał tylko głos hipnotyzera, nie odpowiedział więc, dopóki Jackie nie powtórzył pytania.

-Jej. To jej dom. Oczywiście, ona nie żyje już od siedmiu lat, ale to wciąż jej dom i zawsze taki będzie. Ta suka nawiedza to miejsce. Takiego zła nie sposób zupełnie zniszczyć, jego część tkwi w pokojach, w których mieszkała, we wszystkim, czego dotykała.

-Kim ona była, Frank?

-Matka.

-Twoja matka? Jak się nazywała?

-Roselle. Roselle Pollard.

-Czy ten dom znajduje się przy Pacific Hill Road?

-Tak. Spojrz na niego. Moj Boże, co za miejsce, co za ciemne, złe miejsce. Czy ludzie nie widzą, co to za miejsce? Czy nie widzą, że mieszka tam coś przerażającego? - Zaczął płakać, po policzkach popłynęły mu łzy. W jego głosie zabrzmiała udreka. - Czy nie widzą, czym jest to, co tam mieszka, kryje się po kątach i mnoży w złym miejscu? Czy ludzie są ślepi? A może po prostu nie chcą widzieć?

Julie była poruszona umęczonym głosem Franka. Jego wykrzywiona boleścią i rozpaczem twarz przypominała wizerunek zagubionego, przerażonego dziecka. W końcu odwróciła się od niego i za plecami hipnotyzera spoglądała na Bobby'ego, chcąc sprawdzić, czy zareagował na słowa "złe miejsce".

Wpatrywał się w nią. Jego niebieskie oczy, pociemniałe z rozpaczem, świadczyły dobitnie, że zbieżność ze słowami ze snu nie uszła jego uwadze.

Przez drzwi z holu wszedł z plikiem wydruków Lee Chen i przystanął w odległym końcu pokoju. Julie położyła palec na ustach, po czym gestem wskazała mu miejsce na sofie.

Jackie przemawiał łagodnie do Franka, próbując osłabić miotający nim strach.

Nieoczekiwanie Frank głośno krzyknął, a krzyk ten bardziej przypominał ryk wystraszonego zwierzęcia niż głos człowieka. Drząc na całym ciele, napreżył mięśnie. Otworzył oczy, lecz najwyraźniej nie dostrzegał niczego; był pogrążony w transie.

-O, mój Boże, on tu idzie, idzie tutaj, bliźniaczki musiały mu powiedzieć, że tutaj jestem, idźcie po mnie!

Przerazenie Franka było tak wielkie, tak intensywne, że jakaś jego część udzieliła się Julie. Jej tętno uległo przyspieszeniu, a oddech stał się płytszy, bardziej nerwowy.

Starając się uspokoić zahipnotyzowanego na tyle, by umożliwić dalszą współpracę, Jackie powiedział:

-Odpierz się, Frank. Odpierz i uspokój. Nikt ci nie zrobi krzywdy. Nie stanie się nic złego. Uspokój się, odpierz, spokojnie...

Frank potrzaskał głową.

-Nie. Nie, on tu idzie, idzie, dopadnie mnie tym razem. Cholera, dlaczego tutaj wróciłem? Dlaczego wróciłem i dałem mu szansę?

-Odpierz się...

-On tam jest! - Frank próbował stanąć na nogi, lecz nie starczyło mu siły, więc tylko wbijał jeszcze głębiej palce w winylowe obicie krzesła. - Jest właśnie tam i widzi mnie, widzi...

-Kto to jest, Frank? - zapytał Bobby, a Jackie niezwłocznie powtórzył jego słowa.

-Candy. To Candy!

Zapytany ponownie o imię osoby budzącej w nim taki lek, powtórzył:

-Candy.

-On ma na imie Candy?

-Widzi mnie!

Silniejszym, bardziej rozkazującym niż dotychczas głosem, Jackie powiedział:

-Odpierz się, Frank. Zaraz uspokoisz się i zrelaksujesz.

Ale wzburzenie Franka było coraz większe. Zaczął się pocić. Jego oczy, spoglądające w jakiś punkt odległy w czasie i przestrzeni, nabrały dzikiego wyrazu. Przerazenie w każdej chwili mogło przerodzić się w panikę.

-Prawie nie mam nad nim kontroli - powiedział zmartwiony Jackie. - Będzie musiał wyprowadzić go z transu.

Bobby przesunął się na skraj krzesła.

-Nie, jeszcze nie teraz. Za minutę, ale nie teraz. Zapytaj go o tego Candy'ego. Co to za facet?

Jackie powtórzył pytanie.

-To trup - odparł Frank.

-To nie jest wyraźna odpowiedź, Frank - marszcząc czoło powiedział Jackie.

-To chodzący, żywy trup, to mój brat, jej dziecko, jej najukochansze dziecko. Jej pomiot. Nienawidzę go, a on chce mnie zabić. O, idźcie!

Z rozpaczliwym wrzaskiem Frank poderwał się z krzesła.

Jackie rozkazał mu pozostać na miejscu.

Frank usłuchał, ale jego panika jeszcze bardziej przybrała na sile, bowiem ciągle widział podchodzącego coraz bliżej Candy'ego.

Jackie usiłował przenieść Franka z tamtego miejsca w przeszłość w teraźniejszość i wyrwać go z transu, okazało się to jednak niemożliwe.

-Muszę uciekać i to już, już, już - powtarzał zrozpaczony Frank.

Julie zrobiło się go żal. Nigdy nie widziała kogoś równie wzruszającego i bezbronnego. Był cały złany potem, drżał gwałtownie, a spadające z czoła włosy zasłaniały oczy, co jednak wcale nie przeszkadzało mu widzieć dramatyczny obraz z przeszłości. Jeszcze mocniej zacisnął ręce na poręczach krzesła, aż w końcu paznokcie prawej dłoni przebiły winylowe obicie.

-Muszę stąd uciec - niecierpliwie powtórzył Frank. Jackie ponownie próbował go powstrzymać.

-Nie, musze przed nim uciekac! - uslyszal w odpowiedzi.

-Nigdy nie przytrafilo mi sie cos takiego - powiedzial Jackie do Bobby'ego. - Stracilem nad nim kontrole. Jezu, popatrzcie na niego. Boje sie, ze facet dostanie ataku serca.

-Daj spokoj, Jackie. Musisz mu pomoc - ostro rzucil Bobby. Wstal ze swego miejsca, przykucnal obok Franka i polozyl mu reke na ramieniu w gescie otuchy i uspokojenia.

-Bobby, nie rob tego - krzyknal Clint, podrywajac sie tak gwaltownie, ze lezacy na jego udzie magnetofon polecial na podloge.

Bobby nie zwrocil na niego uwagi, bo byl zbyt skoncentrowany na Franku, ktory na ich oczach dosloownie rozsypywal sie na kawalki. Przypominal kociol z zatkanym zaworem bezpieczenstwa, gotow lada moment wybuchnac, jednak nie pod wplywem cisnienia pary, lecz z powodu oblednego przerazenia.

Julie nie mogla zrozumiec, dlaczego Clint tak gwaltownie podniosl sie z krzesla. Dostrzegla natomiast to, co wszyscy oprócz Bobby'ego przegapili: swieza krew na prawej rece Pollarda. Gest Bobby'ego nie bral sie jedynie z checi niesienia pociechy. Bobby probowal, jak tylko mogl najlagodniej, poluzowac zacisniete na oparciu krzesla palce, gdyz rozdarszy obicie Frank pokaleczyl sie, moze nawet wielokrotnie, o wystajace zszywki czy gwozdzie.

-On jest coraz blizej, musze uciekac! - Frank poderwal sie na rowne nogi, zlupal Bobby'ego za reke, po czym zaczal biec, ciagnac go za soba.

W naglym przeblysku Julie pojela, czego obawia sie Clint. Podskoczyla z wrazenia, z rozmachem przewracajac krzeslo.

-Bobby, nie!

Zdjety panika na widok swego brata-mordercy, Frank przeciagle krzyknal. Zniknal ze swistem przypominajacym odglos wydawany przez pare wylatujaca z kotla lokomotywy. I zabral ze soba Bobby'ego.

46

SWIETLIKI NA WIETRZE. Bobby mial wrazenie, ze unosi sie swobodnie w przestrzeni. Stracil zupełnie swiadomosc polozenia swego ciala. Nie wiedzial, czy lezy, siedzi czy tez moze stoi, normalnie czy do gory nogami, zawieszony w bezkresnej pustce w stanie kompletnej niewazkosci. Nie czul smaku ani zapachu, a do jego uszu nie docieraly zadne dzwieki. Nie bylo mu ani zimno, ani goraco; w jednej chwili wszystko stalo sie bezcielesne. Wokol siebie widzial jedynie bezmierna, zdajaca sie siegac granic wszechswiata ciemnosc i miliony drobnych, efemerycznych, migoczacych niczym iskierki swietlikow. Wlasciwie to nie byl pewien, czy widzi cokolwiek, bo zupełnie nie czul swoich oczu. Bardziej chyba uswiadamiat sobie ten obraz, niz odbieral go za posrednictwem zwyklych zmyslow.

Z poczatku ogarnela go panika. Calkowite wylaczenie zmyslow nasuwalo mysl, ze doznal paralizu.

Nie mogąc napiąć najmniejszego mięśnia, z pozbawioną czucia skórą, został powalony przez rozległy wylew krwi do mózgu. Głuchy i ślepy, stał się wiecznym więźniem uszkodzonego mózgu, który utracił wszelki kontakt ze światem zewnętrznym.

Po chwili zrozumiał jednak, że się porusza. Nie płynął powoli, jak się mu w pierwszej chwili wydawało, lecz pedził przez ciemność z ogromną, zatrważającą szybkością, niczym strzępek nitki zasysany przez jakiś kosmiczny odkurzacz. Dookoła drżącym ruchem wirowały świetliki. Przypominało to jazdę na karuzeli tak ogromnej i szybkiej, że tylko Bóg mógłby ją zaprojektować dla własnej uciechy, gdyż mknący z zapartym tchem Bobby nie widział w tym niczego przyjemnego.

Uderzył stopami o lesne poszycie, zachwiał się i omal nie upadł na stojącego naprzeciw Franka, który w dalszym ciągu bolesnie sciskał jego przegub.

Brakowało mu powietrza. Klulo go w piersiach, a płuca wydawały się zeschnięte na wior. Zrobił głęboki wdech, jeszcze jeden, zaczął łapczywie oddychać.

Spostrzegł krew, przez głowę przemknął mu obraz rozdartego obicia. Jackie Jaxx. Bobby odzyskał pamięć.

Spróbował oswobodzić rękę, lecz Frank nie zwolnił uścisku.

-Nie tutaj. Nie, nie mogę tak ryzykować. To zbyt niebezpieczne. Dlaczego się tu znalazłem?

Powietrze przesycone było zapachem sosen. Bobby rozglądał się po pierwotnym lesie, pełnym gestniejących cieni, zwiastujących nadejście nocy. Panował lekki mróz, konary potężnych drzew gięły się pod ciężarem śniegu, lecz nigdzie nie mógł dostrzec niczego niepokojącego.

Uswiadomił sobie, że Frank spogląda gdzieś do góry. Popatrzył za siebie i wówczas okazało się, że stoją na skraju lasu. Lekko pod górę była się zasypana śniegiem ląka. Na szczycie wzniesienia stał domek z ociosanych kłód, nie prosty barak, ale przemyślna konstrukcja, po której znać było rękę architekta. Miejsce wypoczynku dla kogoś dysponującego dużą gotówką. Czapa śniegu przykrywała zarówno główny dach, jak i mniejszy daszek nad werandą, z krawędzi obu zwisały się okazałe sople, polyskując blade w ostatnich promieniach chłodnego słońca. W oknach nie było widać światła, z żadnego spośród trzech kominów nie unosił się dym. Miejsce to wyglądało na zupełnie opuszczone.

-On o tym wie - powiedział wciąż jeszcze zdjęty panika Frank. - Kupiłem ten dom pod innym nazwiskiem, lecz on się o tym dowiedział, przyszedł tutaj i prawie mnie zabił. Pewnie pilnuje go cały czas, regularnie sprawdza w nadziei, że złapie mnie jeszcze raz.

Bardziej niż panujący wokół chłód zmroziła Bobby'ego świadomość, że za pomocą teleportacji przenosił się z biura na zbocza Sierry lub innego pasma gorskiego. Odzyskawszy wreszcie głos, powiedział:

-Frank, co...

Ciemnosc.

Swietliki.

Predkosc.

Toczył się po podłodze; wpadając na stół do kawy poczuł, że Frank puszcza jego dłoń. Stół przewrócił się na niego, a waza i inne ozdobne i delikatne przedmioty wylądowały na drewnianej podłodze.

Coś mocno uderzyło go w głowę. Gdy podniósł się na kolana, stwierdził, że z powodu oszłomienia nie może stanąć na nogi. Tymczasem Frank zdążył już do niego i ciężko dysząc rozglądał się dookoła.

-San Diego. Kiedyś tutaj mieszkałem, dopóki on się nie dowiedział. Musimy szybko uciekać.

Kiedy Frank wyciągnął rękę, aby pomóc Bobby'emu wstać, Bobby odruchowo przyjął jego dłoń.

-Ktoś tu teraz mieszka - powiedział Frank. - Pewnie jest w pracy, mamy szczęście.

Ciemnosc.

Swietliki.

Predkosc.

Bobby stał przy osadzonej pomiędzy dwoma kamiennymi filarami, zardzewiałej żelaznej bramie i spoglądał na zbudowany w wiktoriańskim stylu dom, którego weranda miała przekrzywiony dach, polamane balustrady oraz powyginane na wszystkie strony stopnie. Chodnik był spekany i nierówny, a nie strzyżony trawnik porastały chwasty. W przyćmionym świetle zmierzchu posiadłość wyglądała jak dziecięca wizja domu, w którym straszy. W blasku dnia wszystko musiało wyglądać jeszcze gorzej.

Frank jeknął.

-Jezu, tylko nie tutaj! Ciemnosc.

Swietliki.

Predkosc.

Nieoczekiwany podmuch, jaki przemknął przez pokój pomimo pozamykanych okien, z masywnego, mahoniowego biurka zrzucił na podłogę plik papierów. Znajdowali się w zastawionym książkami gabinecie o francuskich oknach. Ze skórzanego fotela unosił się stary mężczyzna. Ubrany był w szare, flanelowe spodnie, białą koszulę, niebieski sweter i wyglądał na kompletnie zaskoczony.

Frank powiedział:

-Doktorze - po czym wyciągnął ku staruszkowi wolną rękę.

Ciemność.

Bobby doszedł do wniosku, że wszystko niknęło w ciemności, ponieważ na chwilę przestawał istnieć jako spójna, fizyczna istota; nie miał oczu, uszu czy zakończeń nerwowych zapewniających czucie. Zrozumienie tego nie wpłynęło jednak w najmniejszym stopniu na zmniejszenie strachu.

Światliki.

Miliony małych, wirujących świetlnych punktów były zapewne atomami jego własnego ciała, prowadzonymi przez pustkę jedynie mocą umysłu Franka.

Prędkość.

Proces teleportacji miał prawdopodobnie przebieg natychmiastowy. Pomiedzy rozpadem a odbudową mijaly najwyżej mikrosekundy, choć subiektywnie czas ten wydawał się znacznie dłuższy.

Jeszcze raz zniszczony dom. Miejsce to musiało leżeć pośród wzgórz na północ od Santa Barbara. Znajdowali się na zboczu powyżej bramy, przy otaczającym działkę żywopłocie eugeni.

Frank krzyknął z przerażenia.

Bobby bał się spotkania z Candy równie mocno jak Frank, równocześnie jednak obawiał się Franka i teleportacji. Ciemność.

Światliki.

Prędkość.

Tym razem ich materializacja nie przebiegała równie gładko i spokojnie, jak po przybyciu do gabinetu starego lekarza czy zaniedbanego domu z zarzewiałą bramą, lecz przypominała nieudane lądowanie w mieszkaniu w San Diego. Potykając się, Bobby zrobił parę kroków w górę zbocza, podczas gdy Frank trzymał go chwytem tak pewnym, jak gdyby byli skuci kajdankami. Obaj upadli na kolana w miękkiej, starannie skoszonej trawie.

Bobby zapamiętał, że usiłował wyrwać rękę, lecz Frank przytrzymał go z nieczłowiecką siłą, po czym wskazał oddalony zaledwie o kilka stop nagrobek. Bobby rozejrzał się dookoła i przekonał się, że i znajdują się sami na cmentarzu. Rosną tu drzewa koralowe i palmy majaczące dziwacznie na tle purpurowo-szarego zmierzchu.

-To był nasz sąsiad - powiedział Frank.

Niezdolny wydobyć z siebie słowa, z trudem łapiąc oddech, raz po raz ponawiając próby uwolnienia ręki, Bobby spostrzegł w granicy nazwisko: NORBERT JAMES KOLREEN.

-To ona go zabiła - wyjaśnił Frank. - Kazała go zabić swojemu drogiemu Candy'emu tylko dlatego, iż

sadzila, ze byl wobec niej nieuprzejmy. Nieuprzejmy! Szalona suka!

Ciemnosc.

Swietliki.

Predkosc.

Wypelniony ksiazkami gabinet. Stary czlowiek, tym razem w drzwiach. Spogladal ku nim, nie majac najwyrazniej zamiaru ruszyc sie z miejsca.

Bobby czul sie tak, jakby od wielu godzin jezdzil bez przerwy jakas szalona kolejka gorska w lunaparku, krecac nieustannie petle na pelnej szybkoosci, az w koncu nie byl pewien, czy sie porusza... czy tez stoi nieruchomo, a swiat wiruje wokol niego w oszalamiajacym tempie.

-Nie powinienem byl tutaj przychodzic, doktorze Fogarty - powiedzial Frank zmartwionym glosem. Z rozcietej dloni sciekala mu krew, plamiac bladozielona partie zascielajacego podloge chinskiego dywanu. - Candy mogl mnie widziec przy domu, mogl pojsc moim sladem. Nie chce przyprawdzic go do pana.

-Frank, zaczekaj - rzucil Fogarty. Ciemnosc.

Swietliki.

Predkosc.

Byli na podworzu, z tylu chylacego sie ku ruinie domu, o trzydziesci czy czterdziesci stop od werandy, rownie zniszczonej, jak ta od frontu. W oknach na pietrze palilo sie swiatlo.

-Chce odejsc, chce stad zniknac - powiedzial Frank.

Bobby przygotowal sie do natychmiastowej teleportacji, lecz nic sie nie wydarzylo.

-Chce stad zniknac - powtorzyl Frank. Gdy i to nie pomoglo, zaklal z rozpacz.

Nagle otworzily sie kuchenne drzwi i pojawila sie w nich kobieta. Przystanela na progu, uwaznie mierzac ich wzrokiem. Gasnace, metne swiatlo zmierzchu prawie do niej nie docieralo, a padajacy z kuchni blask zarowki podkreslal jedynie sylwetke, nie odslanjajac twarzy. Czy wydawala sie taka pod wplywem niezwyklego oswietlenia, czy tez rzeczywiscie tak wygladala, Bobby nie wiedzial, ale uznal ja za niezmiernie pociagajaca: szczupla sylwetka o wyraznie zaznaczonych kobiecych ksztaltach, powiewna zjawa, naga albo bardzo cienko ubrana, przyzywala cala swa postacia, bez potrzeby wypowiedzania jakichkolwiek slow. Z tajemniczej kobiety emanowal tak potezny ladunek erotyzmu i rozwiadzlosci, ze czynilo to z niej najniebezpieczniejsza syrene, jaka kiedykolwiek wabila okreta prosto na zdradzieckie skaly.

-Moja siostra Violet - powiedzial Frank z nie ukrywany strachem i odraza.

Bobby spostrzegł, jak u jej stop poruszyły się jakieś cienie. Cienie spłynęły po stopniach na trawnik i wówczas okazało się, że sunie ku nim fala kotów o świecących oczach.

Bobby mocno scisnął dłoń Franka, gdyż pozostanie w tym miejscu napelniało go nie mniejszym przerażeniem niż jeszcze do niedawna, dalsza podróż.

-Frank, zabierz nas stąd.

-Nie mogę. Nie potrafię tego kontrolować.

Kotów było dziesięć, później dwadzieścia i ciągle przybywały nowe. Gdy zbiegały ze schodów, a potem przemierzały pierwsze jardy zaniedbanego trawnika, zachowywały milczenie. W chwili później wrzasnęły potępięczo, jakby stanowiły jedną istotę. Dzikie piski złości i głodu natychmiast wyleczył Bobby'ego z zawrotów głowy, wywołując w zamian nerwowy skurcz żołądka.

-Frank!

Zalował, że zostawił w biurze kabure z bronią. Jego rewolwer leżał bezużytecznie na biurku Julie. Kiedy jednak spojrzał uważnie na obnażone zęby nadchodzącego stada, pojął, że rewolwer niewiele by tu pomógł.

Najbliższy kot skoczył...

* * *

Julie stała przy swoim krześle, na czas hipnotycznej sesji wysuniętym na środek pokoju. Nie potrafiła stąd odejść, bo tu właśnie widziała Bobby'ego po raz ostatni i wydawało się jej, że w ten sposób jest najbliżej meza.-Jak długo?

Clint był tuż obok. Spojrzał na zegarek.

-Niecałe sześć minut.

Jackie Jaxx przeszedł do łazienki i zimna woda spryskiwał sobie twarz. Tkwiący wciąż na sofie z grubym plikiem wydruków w garści Lee Chen nie był już taki rozluźniony jak przed sześcioma minutami. Jego spokój wyznawcy Zen został zdruzgotany. Sciskał papiery w obu dłoniach, jakby w obawie, że one również mogą zniknąć, szeroko rozwartymi oczami wpatrując się w miejsce, gdzie jeszcze niedawno stali Bobby i Frank.

Choć Julie ogarnął przemożny strach, była zdecydowana panować nad sobą do końca. W obecnej sytuacji niewiele można było zrobić, aby pomóc Bobby'emu, lecz konieczność działania mogła powstać w najmniej spodziewanym momencie, dlatego też chciała zachować spokój i rozwagę.

-Hal opowiadał, że ubiegłej nocy Frank wrócił po raz pierwszy po osiemnastu minutach.

Clint skinął głową.

-A wiec musimy poczekac jeszcze dwanascie minut.

-Za drugim razem nie bylo go kilka godzin.

-Sluchaj - powiedzial Clint - jezeli nie wroca za dwanascie minut, godzinie albo i trzy, to wcale nie bedzie znaczc, ze Bobby'emu przytrafilo sie cos zlego. Przeciez za kazdym razem moze sie to zmieniac.

-Wiem. Bardziej martwi mnie ta cholerna porecz. Clint nic nie odpowiedzial.

Nie bardzo panujac nad glosem, dodala:

-Frank nie przyniosl jej z powrotem. Co sie z nia stalo?

-On wroci razem z Bobbym - zapewnil ja Clint. - Nie zostawi go tam... dokadkolwiek sie przenosi.

Bardzo chciala w to wierzyc.

* * *

Ciemnosc.Swietliki.

Predkosc.

Deszcz lal prosto w dol cieplymi strumieniami, jakby zmaterializowali sie u podstawy wodospadu. Przemoczona ubrania w jednej chwili przylygnely im do ciala. Powietrze bylo zupełnie nieruchome, jak gdyby gwaltownosc i ogromny ciezar spadajacych z nieba mas wody stlumily wszelki wiatr. Przemiescili sie wokol ziemskiego globu dostatecznie daleko, by zostawic za soba zmierzch; gdzies poza gruba zaslon szarych chmur na niebie wisialo slonce.

Tym razem lezeli na boku, zwroceni ku sobie twarzami, niczym para silujacych sie pijakow, ktorzy zwalili sie ze stolcow na podloge baru z rekami splecionymi w pozorowanej walce. Tyle tylko, ze nie przebywali w barze, a posrod bujnej, tropikalnej roslinnosci: paproci, ciemnozielonych roslin o gumowatych, mocno postrzepionych lisciach, wtulonych w ziemie sukulentow, ktorych liscie byly grube niczym kostki rozpuszczalnej gumy do zucia, a owoce barwa i ksztaltem przypominaly mandarynki.

Bobby szybko odsunal sie od Franka, na co ten pozwolil bez cienia protestu. Gramolac sie niezgrabnie stanal na nogi i powoli ruszyl przed siebie po sliskim, gabczastym kobiercu gesto splatanego poszycia.

Nie wiedzial, dokad idzie, lecz zupełnie mu to nie przeszkadzalo. Pragnal jedynie oddalic sie od Franka, od zagrozenia, jakie soba przedstawial. Byl przytloczony tym, co sie wydarzylo, czul przesyty nowych doswiadczen i potrzebował nieco spokoju, aby sie do nich przyzwyczaić i wszystko sobie uporządkowac.

Po przejściu paru krokow zostawil za plecami tropikalne zarosla i znalazl sie na rozleglej, ciemnej

rowninie. Ryczące srebrnoszare kaskady deszczu radykalnie ograniczyły widoczność, do czego przyczyniały się również zalepiające oczy pasma włosów. Przypuszczał, że ludzie siedzący przy oknach w suchych pokojach mogli nawet zachwycac się pięknem burzy, lecz na zewnątrz było nie do wytrzymania, istny potop. Strugi wody tłukły o ziemię i listowie z ogluszającym pluskiem. Deszcz nie tylko wyczerpywał, ale również doprowadzał do wściekłości, budził irracjonalną złość, jak gdyby zalewała go nie woda, a plwocina, spadające z góry wielkie kawałki flegmy, zaś głośny ryk pochodził ze zmieszanych głosów tysięcy gapiów obrzucających go obelgami i wyzwiskami. Brnął dalej naprzód, grzeznąć w dziwnie gąbczastym gruncie - nie błotnistym, ale właśnie gąbczastym - szukając kogoś, na kim mogłoby wylądować złość, na kogo mogłoby na wrzeszczec, a może nawet uderzyć. Po przejściu następnych ośmiu kroków dostrzegł toczące się ku brzegowi fale, niosące na sobie koczuch skłębionej, białej piany. Pojął, że znajduje się na czarnej plaży. Natychmiast przystanął, czując jak jego ciało ogarnia chłód.

-Frank! - krzyknął, a gdy obejrzał się za siebie, ujrzał go w odległości kilku kroków. Frank podążał za nim cały czas, przygięty do ziemi, jakby był starcem, niezdolnym stawic czoło nawałnicy, lub jakby jego kregosłup wykrzywił się pod wpływem straszliwej wilgoci.

-Frank, do cholery, gdzie my jesteśmy?

Frank zatrzymał się, rozprostował nieco plecy, unosił głowę i głupio zamrugał oczami.

-Co?

Wyteżając głos jeszcze bardziej, Bobby spróbował przekrzyczeć ulewę.

-Gdzie jesteśmy?

Wyciągając rękę w lewo Frank wskazał tajemniczy, przesłonięty deszczem obiekt, przywodzący na myśl starożytną świątynię dawno zapomnianej religii, oddalony o jakieś sto stop.

-Posterunek ratownika! - Przesunął dłoń w drugą stronę. Podążając za nią wzrokiem, Bobby ujrzał duży, drewniany budynek, leżący znacznie dalej, lecz mniej tajemniczy, gdyż jego rozmiary ułatwiały rozpoznanie. - Restauracja. Jedna z najpopularniejszych na wyspie.

-Jakiej wyspie?

-Dużej wyspie.

-Jakiej dużej wyspie?

-Hawaii. Stoimy na plaży Punaluu.

-To tutaj miał mnie zabrać Clint - powiedział Bobby. Rozesmiał się, lecz był to dziwny, dziki śmiech, który napędzał mu stracha, toteż szybko umilkł.

-Dom, który kupilem, a później opuściłem, jest tam. - Frank machnął ręką w kierunku, z którego przyszli. - Z widokiem na pole golfowe. Uwielbiałem to miejsce. Byłem tu szczęśliwy przez osiem

miesiecy. Potem on mnie znalazł. Bobby, musimy stąd uciekać.

Zrobił parę kroków w stronę Bobby'ego, wychodząc z gąbczastego piasku na bardziej ubity odcinek plaży.

-Wystarczy! - krzyknął Bobby, gdy Frank zbliżył się na jakieś sześć stop. - Nie podchodź bliżej.

-Bobby, musimy uciekać, teraz, natychmiast. Nie potrafisz teleportować się dokładnie w chwili, kiedy tego chce. Dzieje się to przypadkowo, a my musimy przynajmniej wydostać się z tej części wyspy. On wie, że tutaj mieszkalem. Zna ten teren. I może nas śledzić.

Deszcz nie zdołał stłumić płonącej w sercu Bobby'ego wściekłości. Nigdy jeszcze nie był tak zdenerwowany.

-Ty kłamliwy draniu.

-Kiedy to prawda - zapewnił Frank, wyraźnie zdumiony porwawczością Bobby'ego. Znajdowali się dostatecznie blisko siebie, by móc rozmawiać bez konieczności wznoszenia głosu do krzyku. - Candy przyszedł tu za mną i był bardziej zły, bardziej przerażający, niż można to sobie wyobrazić. Wszedł do mego domu z dzieckiem, niemowlakiem, które gdzieś porwał. Miało zaledwie parę miesięcy, więc pewnie zabił wcześniej rodziców. Przegryzł gardło biednego malenstwa, Bobby, a potem ze śmiechem proponował mi jego krew, chciał mnie poczęstować. Jak wiesz, Candy pije krew, ona go tego nauczyła, i teraz przepada za krwią, nie może bez niej żyć. Kiedy nie chciałem się przyłączyć do tej uczty, odrzucił dziecko jak pustą puszkę po piwie i ruszył na mnie, lecz ja... teleportowałem się.

-Nie chodzi mi o Candy'ego. - Kolejna fala dalej niż inne wdarła się w głęb plaży, omywając Bobby'emu stopy oraz pozostawiając na czarnym piasku przypominający koronkę, szybko niknący ornament z piany. - Mam na myśli twoją amnezję. Wszystko pamiętasz. Wiesz dobrze, kim jesteś.

-Nie, nie. - Frank pokręcił głową, wykonując równocześnie przeczące gesty dłońmi. - Nie wiedziałem. Miałem w głowie zupełną pustkę. Może ten stan powróci, gdy przestanę podróżować i zatrzymam się gdzieś na dłużej.

-Gówno prawda! - warknął Bobby.

Schylił się gwałtownie, zaczerpnął garść mokrego, czarnego piasku, po czym w przypływie ślepej furii cisnął nim we Franka. Czynność tę powtórzył jeszcze cztery razy, zanim dotarło do niego, że zachowuje się niczym ulegające napadom złego humoru dziecko.

Robiąc uniki, Frank czekał cierpliwie, aż Bobby się uspokoi.

-To całkiem do ciebie niepodobne - powiedział, gdy wreszcie Dakota opuścił ręce.

-Idź do diabła.

-Twoja złość jest nieproporcjonalnie wielka w stosunku do wszystkiego, co twoim zdaniem ci zrobiłem.

Bobby wiedział, że to prawda. Wycierając o koszule pokryte piaskiem dłonie i próbując złapać oddech zrozumiał, że złościł się nie na Franka, lecz na to, co Frank sobą uosabiał. Chaos. Teleportacja przypominała przejazd tunelem grozy, gdzie potwory i niebezpieczeństwa nie były złudzeniem, a stała groźba śmierci braci trzeba było jak najbardziej poważnie, gdzie nie obowiązywały żadne reguły, żadne godne zaufania prawdy, gdzie wszystko odwrócone było do góry nogami. Chaos. Galopowali na grzbiecie byka imieniem Chaos i właśnie to napelniało Bobby'ego przerażeniem.

-Dobrze się czujesz? - zapytał Frank. Bobby skinął głową.

W grę wchodził nie tylko strach. Na poziomie leżącym głębiej niż intelekt czy nawet instynkt, może tak głęboko, jak sama dusza, Bobby czuł się przez chaos obrazony. Az do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak potężna była jego potrzeba stabilności i porządku. Zawsze myślał o sobie jak o wolnym ptaku, czującym się najlepiej w żywiole ciągłych zmian i niespodzianek. Teraz jednak dostrzegł, że zmiany te miały swoje granice, że pod powłoką zachowań typu "niech-sie-dzieje-co-chce" równym rytmem biło serce zakłonnego stabilizacji tradycjonalisty. Nagle zdał sobie sprawę, że jego pasja do swingu miała korzenie, których istnienia zupełnie sobie nie uświadamiał: eleganckie, złożone rytmy i melodie granego przez big-bandy jazzu trafiały zarówno do rozmiłowanej w bebopie powierzchni jego osobowości, jak i do ukrytego głęboko w jego sercu poszukiwacza porządku. Nic dziwnego, że podobały mu się filmy Disneya, gdzie szalał Kaczor Donald, a Myszka Miki do spółki z Pluto robili mnóstwo zamieszania, lecz na koniec nieodmiennie triumfował porządek. Nie dla niego był chaotyczny świat Looney Tunes Braci Warner, gdzie logika i rozum rzadko kiedy osiągały coś więcej niż chwilowy sukces.

-Przepraszam, Frank - powiedział wreszcie. - Jeszcze chwila. Na pewno nie jest to odpowiednie miejsce, ale doznałem czegoś w rodzaju objawienia.

-Bobby, wysłuchaj mnie, proszę. Mówię prawdę. Widocznie podczas podróży odzyskuje pamięć. Sam fakt teleportacji burzy ściany blokujące moje wspomnienia, lecz kiedy tylko wychodzę z transu, mur wyrasta ponownie. Chyba jest to element procesu degeneracji, jakiemu podlegam. A może bierze się to tylko z rozpaczliwego pragnienia, aby zapomnieć, co działo się ze mną w przeszłości, co spotyka teraz i co z pewnością dzieć się będzie w przyszłości.

Choc nadal było bezwietrznie, fale urosły i sięgały dalej w głąb plaży. Napływając uderzały w łydki Bobby'ego, a gdy spływały ku morzu, grzebały jego stopy w czarnym jak węgiel piasku.

Frank kontynuował wyjaśnienia.

-Widzisz, podróżowanie nie przychodzi mi tak łatwo, jak Candy'emu. On potrafi kierować tym, dokąd i kiedy chce się udać. Może podróżować, gdy tylko przyjdzie mu na to ochota, kontrolując wszystko siłą woli, a więc tak, jak sadziłeś, że mogę to robić ja. Niestety, ja tak nie umiem. Moją talent teleportacji nie jest właściwie talentem, tylko przekleństwem. - Głos zaczął mu drzeć. - Nie wiedziałem nawet, że to potrafię, i tak było aż do dnia jej śmierci przed siedmiu laty. Wszyscy, którzy wyszliśmy z jej łona, jesteśmy przekleci, nie możemy przed tym uciec. Myślałem, że zabijając ją zdołam się jakos uwolnić, lecz nie przyniosło to żadnej ulgi.

Po przeczyciach ostatniej godziny Bobby sadził, że nic już nie może go zadziwić, tymczasem wyznaczenie Franka wprowadziło go w ogromne zdumienie. Ten wzruszający, puchowaty mężczyzna o smutnych oczach nie wyglądał na zdolnego do matkobójstwa.

-Zabiłeś własną matkę?

-Nie przejmuj się nią. Nie mamy na to czasu. - Frank popatrzył za siebie, w stronę krzaków, z których wyszli, a następnie rozejrzał się po plaży. Wciąż byli sami na zalewanym wodą brzegu. - Gdybyś ją znalazł, gdybyś zaznał cierpienia z jej ręki - powiedział z drgającym ze złości głosem - gdybyś poznał okropności, do jakich była zdolna, też złapałbyś za siekiere i zarabiał ją na miejscu.

-Wziąłeś siekiere i zamordowałeś ją? - Bobby ponownie zanosił się obłakającym śmiechem, mokrym jak deszcz, lecz nie tak ciepłym, i ponownie, wystraszony jego brzmieniem, ucichł.

-Odkryłem, że umiem się teleportować, kiedy Candy zapędził mnie w ślepy zaułek i chciał ukarać śmiercią za zabicie matki. I właśnie tylko w takich sytuacjach potrafię podróżować - gdy zagrożone jest moje życie.

-Ubiegłej nocy w szpitalu nic ci nie groziło.

-No cóż, być może kiedy zaczynam podróżować we śnie, śni mi się Candy i usiłuje przed nim uciec, co wyzwala mechanizm teleportacji. Co prawda zaraz się budzę, ale nie mogę się już zatrzymać, przeskakuje z miejsca na miejsce, przebywając w każdym kilka sekund, czasami godzinę lub więcej. Nie mam na to żadnego wpływu. Czuje się wtedy tak, jakby jakaś potężna siła potrząsała mną na kosmicznych rozmiarach. To straszliwie wyczerpuje, dosłownie zabija mnie. Sam widzisz, co się ze mną dzieje.

Gorliwa szczerosc Franka oraz nieustannie lejacy deszcz zmyły z Bobby'ego cały gniew. Nadal bał się swego klienta i chaosu, którego tamten był przedstawicielem, lecz nie czuł już do niego złości.

-Przed laty - powiedział Frank - podróżowałem we śnie nie częściej niż raz na miesiąc. Stopniowo częstotliwość teleportacji zaczynała wzrastać, a w ostatnich tygodniach doszło już do tego, że przytrafia mi się to niemal za każdym razem, gdy zasnę. A kiedy wreszcie nasza podróż dobiegnie kresu w twoim biurze lub jakimś innym miejscu, ty będziesz pamiętać wszystko, co nas spotkało, podczas gdy mnie znowu ogarnie amnezja. I to nie tylko dlatego, że pragnę zapomnieć, lecz również dlatego, iż twoje przypuszczenia są prawdziwe - nie zawsze udaje mi się uniknąć pomyłek przy rekonstrukcji własnego ciała.

-Twoje zaburzenia pamięci, zanik możliwości intelektualnych, amnezja - to wszystko są symptomy takich właśnie pomyłek.

-Tak. Jestem pewien, że podczas każdej podróży dochodzi do większych lub mniejszych uszkodzeń komórek. Nie są to zniszczenia wielkie, lecz ich efekty kumulują się... i narastają. Wcześniej czy później przekroczy punkt krytyczny i albo umrę, albo ulegnę jakiejś potwornej biologicznej degeneracji. Zwracanie się do was o pomoc było bezcelowe, choćbyście byli nie wiem jak dobrzy w tym, co robicie. Po prostu nikt nie może mi pomóc. Nikt.

Bobby juz wczesniej doszedl do takiej konkluzji, nadal jednak ciekawilo go wiele spraw.

-Co sie dzieje z twoja rodzina, Frank? Twój brat potrafi rozbijac samochody sila woli, rozsadza zarowki ulicznych lamp i potrafi teleportowac sie. A o co chodzi z tymi kotami?

-Moje siostry blizniaczki maja wladze nad zwierzetami.

-W jaki sposob weszlicie wszyscy w posiadanie takich... umiejetnosci? Kim byli wasza matka i wasz ojciec?

-Pozniej. Nie mamy teraz na to czasu, Bobby. Spróbuj wytlumaczyc ci to pozniej. - Wyciagnal skaleczona reke, na ktorej krew juz zaschla albo zostala obmyta przez gwałtowny deszcz. - Moge zniknac w kazdej chwili, a ty wtedy tu zostaniesz.

-Nie, dziekuje - odparl Bobby, unikajac jego reki. - Mysl sobie o mnie co chcesz, ale ja wole samolot. - Poklepal sie po kieszeni spodni. - Mam w portfelu karty kredytowe. Bede w Orange County dopiero jutro, ale przynajmniej dotre tam majac pewnosc, ze na miejscu nosa nie wyrosnie mi lewe ucho.

-Ale Candy prawdopodobnie podazy za nami. Gdy bedziesz tutaj, kiedy sie zjawi, zabije cie.

Bobby skrecil w prawo, kierujac sie ku odleglej restauracji.

-Nie boje sie zadnego Candy'ego.

-To lepiej zacznij - powiedzial Frank, chwytajac go za reke i osadzajac w miejscu.

Odskakujac, jak gdyby dotkniecie tego czlowieka grozilo zarazeniem dzuma, Bobby zapytal:

-W jaki sposob on zdola nas odnalezc?

Podczas gdy Frank ze zmartwiona mina jeszcze raz rozejrzal sie po plazy, Bobby pojal, ze z powodu plusku deszczu i szumu lamiacych sie fal mogli nie uslyszec dzwiekow fletu, ostrzegajacych przed nadejsciem Candy'ego.

-Czasami - wyjasnil Frank - gdy dotyka przedmiotu, ktory niedawno miales w rekach, wewnetrznym wzrokiem widzi twój wizerunek; niekiedy moze tez dostrzec, dokad poszedles po odlozeniu takiej rzeczy.

-Ale tam, przy domu, niczego nie dotykalem.

-Stales na trawniku.

-No to co?

-Jesli odnajdzie miejsce ze zdeptana trawa, na ktorym stalismy, przykladajac do niej palce moze nas zobaczyc. Ujrzy te okolice i przyjdzie tu po nas.

-Na litosc boska, Frank, mowisz o tym typie, jakby byl istota nadprzyrodzona.

-Bo tak jest.

Bobby chcial juz powiedziec, ze mimo wszystko sprobujecie swoich szans w spotkaniu z Candym, ale wlasnie wtedy przypomnialo mu sie, co powiedzieli Phanowie o okrutnym mordzie na rodzinie Farrisow. Przyszla mu tez na pamiec rodzina Romanow: okaleczone ciala, spalone po to, by ukryc rozdarne zebami Candy'ego gardla. W uszach dzwieczaly mu slowa Franka, opowiadajacego o Candym, ktory czestowal go swieza krew niemowlecia i widoczne w jego oczach bezgraniczne przerazenie. Odzylo wspomnienie tajemniczego, proroczego snu o "czymś złym". Dlatego po chwili namyslu powiedzial:

-A wiec dobrze, jezeli on ma sie tu pokazac, a ty zdazysz zmienic miejsce pobytu, zanim nas obu zabije, to wole trzymac sie ciebie. Bede cie trzymal za reke, ale tylko dopoki nie dotrzemy do restauracji. Tam zadzwonimy po taksowke i pojedziemy na lotnisko. Niechetnie ujal wyciagnieta dlon Franka.

-W porzadku. Moze byc - zgodzil sie Frank.

Mruzac oczy przed zalewajacym twarze deszczem, ruszyli w kierunku restauracji. Oddalony o jakies sto piecdziesiat jardow budynek wykonany byl z szarego, zniszczonego drewna i szkla. Bobby'emu wydawalo sie, ze dostrzega przycmione swiatla, nie byl jednak tego calkiem pewien; w wielkich oknach tkwily barwione szyby, ktore wraz z deszczem skutecznie pochlanialy niemal caly blask.

Co czwarta z naplywajacych fal byla znacznie wieksza od pozostalych, siegala daleko w glab plazy i uderzala w nogi z dostateczna sila, aby ich wywrocic. Przeszli ku wyzej lezacej czesci brzegu, dalej od wody, lecz tam natrafili na znacznie bardziej grzaski piasek. Zasysal gleboko ich buty, totez kazdy krok musieli oplacac zwiekszonym wysilkiem.

Bobby'emu przypomniala sie Lisa, recepcjonistka o blond wlosach z Laboratoriow Palomar. Wyobrazil sobie, ze nadchodzi brzegiem z naprzeciwka, zadowolona ze zwariowanego, romantycznego spaceru w cieplym deszczu w towarzystwie jakiegos faceta, ktory zafundowal jej wycieczke. Zaczal zastanawiac sie nad wyrazem jej twarzy, gdyby ujrzala go przechadzajacego sie po czarnym piasku plazy pod reke z innym mezczyzna, zupełnie niepodobnym do Clinta.

Tym razem jego smiech zabrzmial normalniej.

-Co jest? - zapytal Frank.

Nim Bobby zdazyl otworzyc usta, zauwazyl przez kurtyne deszczu, ze ktos zmierza w ich kierunku. Ciemna postac, z pewnoscia nie Lisa, mezczyzna, oddalony najwyzej o trzydziestci jardow.

Jeszcze przed chwila nie bylo tam nikogo.

-To on - powiedzial Frank.

Nawet z tej odleglosci facet wygladal poteznie. Dostrzegl ich i przyspieszyl kroku.

-Wydostan nas stad, Frank - naglaco rzucil Bobby.

-Przeciez wiesz, ze nie potrafie tego zrobic na zyczenie.

-Wiec lepiej biegnijmy - zaproponowal, probujac rownoczesnie ciagnac Franka wzdluz plazy, w strone opuszczonej budki ratownika.

Zrobiwszy pare niepewnych krokow, Frank przystanal i powiedzial:

-Nic z tego, nie dam rady. Za bardzo jestem zmeczony. Modle sie, zebym zdazyl na czas stad wyskoczyc.

Wygladal na bardziej niz zmeczonego. Sprawial wrazenie polmartwego.

Bobby raz jeszcze obejrzal sie na Candy'ego i stwierdzil, ze choc nie bez trudu, przekopuje sie przez zwaly miekkiego, mokrego piasku znacznie szybciej od nich.

-Dlaczego nie teleportuje sie prosto na nas?

Widok nadciągającego przeznaczenia napelnil Franka tak wielkim przerazeniem, ze wydawal sie niezdolny do wypowiedzenia chocby jednego slowa. Jednak wraz z plytkim oddechem nadeszla chrapliwa odpowiedz:

-Krotkie skoki, ponizej kilkuset stop, sa niemozliwe. Nie wiem dlaczego.

Moze, jesli droga byla zbyt krotka, umysl mial mniej czasu niz minimum niezbedne do rozpadu, a nastepnie pelnej rekonstrukcji ciala. Przyczyny nie byly wazne. Nawet nie mogac teleportowac sie ponad lawica piasku, Candy dopadnie ich w ciagu kilku sekund.

Byl od nich oddalony zaledwie o trzydziesci stop - niszczycielski moloch w ludzkiej skorze, o karku wystarczajaco grubym, by utrzymac ustawiony na glowie samochod, i ramionach zdolnych zapewnic mu zwyciestwo w zmaganiach z czterotonowym robotem przemyslowym. Jego blond wlosy mialy niemal bialy odcien. Szeroka twarz o ostrych, mocnych rysach, skazona byla owym okrucienstwem, jakie maluje sie na twarzach niektorych chlopcow, lubiacych przypiekac mrowki zapalkami czy tez wyprobowywac dzialanie stezonego lugu na psach z sasiedztwa. Pedzac przez burze i wyrzucajac przy kazdym kroku fontanny czarnego piasku, bardziej niz czlowieka przypominal spragnionego ludzkich dusz demona.

Sciskajac mocno dlon swego klienta, Bobby powtarzal:

-Frank, zabierz nas stad.

Gdy Candy byl juz tak blisko, ze Bobby ujrzal jego blekitne, dzikie, nieprzytomne oczy, oczy grzechotnika podnieconego benzedryna, pozwolil sobie na ryk triumfu. Potem zaatakowal.

Ciemnosc.

Swietliki.

Predkosc.

Blade swiatlo poranka saczylo sie z czystego nieba w glab wskiego przejscia pomiedzy dwoma chylacymi sie, zniszczonymi budynkami, pokrytymi tak gruba skorupa brudu, ze nie sposob bylo okreslic, z jakiego materialu wzniesiono ich sciany. Bobby i Frank stali po kolana w smieciach wyrzuconych z okien i pozostawionych wlasnemu losowi, dopoki nie rozloza sie w cuchnacy szlam o zapachu kompostu. Ich nieoczekiwane przybycie sploszylo kolonie karaluchow i wywolalo poploch wsrod rojow czarnych, tlustych much. Kilka szczurow o blyszczacym futrze przysiadlo na tylnych lapach, z ciekawoscia rozgladajac sie w poszukiwaniu sprawcow zamieszania. Byly zbyt odwazne na to, by dac sie wystraszyć.

W domach, ciagnacych sie po obu stronach uliczki, niektore otwory okienne nie byly niczym przyslone, w innych tkwilo cos przypominajacego przetluszczony papier, nigdzie natomiast nie bylo widac kawalka szkla. Choc w zasiegu wzroku nie pokazal sie zaden czlowiek, spoza nadgryzionych zebem czasu scian dobiegaly rozne dzwieki: smiech, odglosy sprzeczeki, monotony zaspiew mantry, splywajacy z pietra budynku po prawej. Bobby nie znal tego jezyka, przypuszczal jednak, ze wyladowali w Indiach, moze w Bombaju lub Kalkucie.

Z powodu nieznosnego smrodu, przy którym zaduch rzeźni był jak nowe perfumy Calvina Kleina, a także przez natretne muchy, okazujące szczególne zainteresowanie jego ustami i nosem, Bobby nie był w stanie zaczerpnąć tchu. Zakrztusił się, osłonił usta wolną dłonią, lecz w dalszym ciągu nie mógł oddychać. Wiedział, że za chwilę zemdleje i padnie twarzą prosto w ohydne, parujące błoto.

Ciemnosc.

Swietliki.

Predkosc.

Miejsce bylo ciche i spokojne. Skosne promienie popoludniowego slonca przebijaly sie przez galezie mimozy, rzucajac na ziemie plamy zlotego blasku. Stali na czerwonym orientalnym mostku, przerzuconym ponad stawem koi w japonskim ogrodzie, gdzie bonsai i inne starannie pielegnowane rosliny rosly miedzy pieczolowicie wygrabionymi zwirowymi sciezkami.

-Ach, tak - powiedzial Frank glosem stanowiacym mieszanine ciekawosci, satysfakcji i ulgi. - Mieszkalem tutaj przez jakis czas.

Byli zupełnie sami w ogrodzie. Frank zawsze materializował ich albo w ustronnych miejscach, gdzie nikt nie mógł ujrzeć momentu przybycia, albo w takich okolicznościach - jak choćby urwanie chmury - które zapewniały dyskrecję nawet w miejscach bardziej uczeszczanych. Widocznie, oprócz nieprawdopodobnie absorbującego cyklu: rozkład-podroz-rekonstrukcja, jego umysł był jeszcze zdolny do zbadania trasy i wyboru odpowiedniego punktu przybycia.

-Byłem tutaj najdłużej mieszkającym gościem - odezwał się Frank. - Jesteśmy w tradycyjnej

japońskiej gospodzie na przedmieściach Kioto.

Bobby zwrócił uwagę na fakt, że wszystko na nich wyschło. Ubrania były co prawda wymięte i wymagały prasowania, lecz uciekając z Hawajów Frank pozbył się całej wchłoniętej przez odzież i włosy wody.

-Byli bardzo uprzejmi - ciągnął Frank. - Szanowali moje pragnienie odosobnienia, a równocześnie dbali, żeby niczego mi nie brakowało.

W jego skrajnie wyczerpanym głosie zadzwieczyły teskne tony, jakby chciał zakończyć tutaj swoją podróż, choćby nawet miało to oznaczać śmierć z ręki brata.

Bobby poczuł ulgę stwierdziwszy, że Frank nie zabrał ze sobą błota z wąskiej uliczki w Kalkucie czy innym miejscu. Buty i spodnie mieli zupełnie czyste.

W trakcie oględzin dostrzegł jednak coś dziwnego na nosku prawego buta. Pochylił się, aby to lepiej obejrzieć.

-Szkoda, że nie możemy tu zostać - dodał Frank. - Na zawsze.

Karaluch z pokrytej brudem ulicy stał się częścią obuwia Bobby'ego. Jedną z wielkich zalet pracy na własny rachunek była możliwość rezygnacji z krawatów i niewygodnych butów, dlatego też, jak zwykle, miał na nogach parę mięciutkich pantofli Rockport Supersports. Owad nie był po prostu przyklejony do skóry o barwie kitu, lecz sterczał do połowy w nią wtopiony. Karaluch był najwyraźniej martwy, zapewne jakaś jego część pozostała w poprzednim miejscu, tym niemniej reszta tkwiła w bucie Bobby'ego.

-Ale musimy się stąd zabierać - ciągnął Frank, nie wiedząc nic o karaluchu. - On próbuje podążać naszym śladem. Musimy go zgubić, jeśli...

Ciemność.

Światliki.

Prędkość.

Tym razem byli gdzieś wysoko na skalistym szlaku, z roztaczała się wspaniała panorama.

-Góra Fudzi - wyjaśnił Frank tonem człowieka, który nie wiedział, dokąd się udaje i jest przyjemnie zaskoczony, że znalazł się w tym miejscu. - Mniej więcej w połowie drogi na szczyt.

Bobby'ego nie interesował egzotyczny widok; nie czuł też zimna. Bez reszty pochłonęło go odkrycie, że karaluch nie jest już częścią jego buta.

-Japonczycy myśleli kiedyś, że Fudzi jest święta. Chyba nadal tak uważają, a przynajmniej część z nich. Teraz już wiesz dlaczego. Jest cudowna.

-Frank, co sie stalo z karaluchem?

-Jakim karaluchem?

-Mialem karalucha wtopionego w skore tego buta. Widzialem go przed chwila w ogrodzie. Widocznie zabrales go z tamtej odrazajacej uliczki. Gdzie jest on teraz?

-Nie wiem.

-Czy zgubiles jego atomy po drodze?

-Nie wiem.

-A moze caly czas sa one we mnie?,

-Bobby, ja naprawde nie wiem.

Wyobraznia Bobby'ego podsuwala obraz ukrytego w czelusciach klatki piersiowej jego wlasnego serca, tajemniczego jak wszystkie serca, a ponadto posiadajacego nowy, osobny sekret - sterczace nogi i lśniacy pancerz karalucha wbudowane w tkanke miesniowa formujaca sciany przedsionka lub komory.

Mogl znajdowac sie wewnatrz niego i nawet jesli byl martwy, jego obecność tam byla niedopuszczalna. Napad strachu przed owadami ogarnal Franka z taka sila, ze czul sie, jakby dostal cios piescia w zoladek, zapierajacy dech w piersiach i budzacy fale mdlosci. Walczyl o oddech, a rownoczesnie robil wszystko, zeby nie zwymiotowac na uswiecona ziemie gory Fudzi.

Ciemnosc.

Swietliki.

Predkosc.

Uderzyli o podloze gwałtowniej niz zazwyczaj, tak jakby zmaterializowali sie w powietrzu i przelecieli pare stop, zanim dotkneli gruntu. Nie udalo im sie wyladowac na nogi, totez pod wplywem wywołanego upadkiem silnego wstrzasu rozdzielili sie. Straciwszy kontakt z Frankiem, Bobby poturlal sie po stoku lagodnego zaglebiecia, wpadajac co chwila na drobne okruchy skalne, ktore bolesnie kaleczyly mu cialo. Uderzaly o siebie z dzwieczacym grzechotem. Kiedy zasapany i przestraszony znieruchomial na dnie niecki, okazalo sie, ze lezy twarza do szarej, pylistej jak popiol ziemi. Na matowym tle ostro polyskiwaly rozrzucone wokol setki, jezeli nie tysiace, surowych czerwonych diamentow.

Unioslszy z niepokojem glowe ujrzal w poblizu dziesiatki zukow-gornikow, takich samych ogromnych owadow jak ten, ktorego zaniesli do Dysona Manfreda. Ogarnela go panika. Byl przekonany, ze kazdy z nich juz go dostrzegl, ze wszystkie oczy zwrocily sie w jego strone, a owlosione nogi tarantuli grzebiac w pylistym gruncie popychaja ku niemu pekate korpusy.

Poczuł, że coś pelźnie mu po karku. Wiedział, co to musi być, więc przewrócił się na plecy, przygniatając natręta do ziemi. Zwierze zaczęło gorączkowo przebierać łapami. Powodowany odrzą poderwał się gwałtownie na nogi, nie bardzo wiedząc, jak tego dokonał. Złuk wciąż jeszcze trzymał się koszuli na plecach; czuł jego ciężar, pospieszny ruch do góry. Siegnął za siebie ręką, oderwał insekta od koszuli i krzycząc z obrzydzenia cisnął go najdalej jak mógł.

Usłyszał swój ciężki oddech oraz dziwne, ciche piski strachu i rozpacz. Nie był w stanie ich powstrzymać.

W ustach czuł przykry posmak. Sądził początkowo, że to pył, którego drobiny musiały przylepić mu się do języka, jednak kiedy splunął, ślina okazała się zupełnie czysta. Dopiero wtedy przyszło mu do głowy, że w ten sposób smakowało tutejsze powietrze. Było ciepłe i gęste, nie wilgotne, ale właśnie gęste i nie przypominało niczego, z czym zetknął się do tej pory. Oprócz gorzkiego smaku miało równie nieprzyjemny zapach, przypominający skwasniałe mleko z domieszką siarki.

Rozglądając się po najbliższej okolicy stwierdził, że stoi na środku płytkiej niecki, głębokiej na jakieś cztery stopy i mającej około stu stop średnicy. Pochyle ściany upstrzone były dwoma rzędami regularnie rozmieszczonych otworów, wokół których kreciło się znacznie więcej stworzonych przez inżynierię genetyczną owadów. Niektóre z nich dopiero znikwały w dziurach, inne już wracały, niewątpliwie obciążone ładunkiem diamentów.

Niewielka głębokość obniżenia pozwalała dostrzec teren poza krawędzią niecki. Przez rozległą, nagą, lekko pochyloną równinę ciągnęły się dziesiątki identycznych zagłębień, przypominających wygładzone przez czas krateru meteorytów. Ich regularne rozmieszczenie wskazywało jednak na sztuczne pochodzenie. Znajdował się w samym środku gigantycznej kopalni.

Odrzuciwszy kopniakiem owada, który miał nieszczęście podejść zbyt blisko, Bobby odwrócił się, by zobaczyć, co znajduje się za nim. Przy odległej ścianie krateru, podpierając się rękami, klęczał Frank. Na jego widok Bobby poczuł ulgę, natomiast nie uspokoiło go to, co zobaczył na rozciągającym się ponad Frankiem niebie.

Pomimo pełnego blasku dnia lśnił tam bowiem księżyc, przy czym nie był to widmowy cień, jaki czasami można oglądać na bezchmurnym ziemskim niebie. Pokryta szarozłotymi plamami kula, szesciokrotnie przekraczająca wymiary naszego Księżyca, zalewała ziemię złowieszczym światłem. Wyglądało to tak, jakby wkrótce miało dojść do jej zderzenia z planetą, wokół której powinna krążyć w o wiele większej, bezpieczniejszej odległości.

Ale to nie było jeszcze najgorsze. Wielki statek o dziwacznych kształtach wisiał w absolutnej ciszy na wysokości czterystu czy pięciuset stop. Był pod każdym względem tak obcy, że jego widok uswiadomił Bobby'emu prawdę, która do tej chwili od siebie odpychał. Już nie przebywał we własnym świecie.

-Julie - powiedział, zrozumiałwszy nagle, jak straszliwie się od niej oddalił.

Na skraju krateru Frank Pollard podniósł się na nogi i zniknął.

W miare jak zapadaly ciemnosci, Thomas podchodzil do okna, siadal na krzesle lub rozciagal sie na lozku, siegajac od czasu do czasu ku Czemuś Zlemu, chcac sie upewnic, ze nie podchodzi blizej. Bobby byl zmartwiony w czasie wizyty, wiec Thomas martwil sie takze. Strach sciskal mu gardlo, lecz musial byc dzielny, by ochronic Julie. Nie podchodzil do Czegos Zlego tak blisko, jak ostatniej nocy. Nie na tyle, by dac sie zlapac tamtemu umyslowi. Nie na tyle, zeby tamten zdolal podazyc za szybko zwijana nicia mysli az do samego Domu. Ale jednak blisko. Znacznie blizej, niz Thomas by chcial.

Za kazdym razem, gdy siegal w strone Czegos Zlego, zeby sprawdzic, czy wciaz tkwi w miejscu, gdzie na polnoc od Domu, czul, ze Cos Zlego go wyczuwa. To napelnialo Thomasa strachem. Cos Zlego wiedzialo, ze jest obserwowane, ale nie robilo niczego i czasami Thomas myslal, ze Cos Zlego czeka jak ropucha.

Kiedys w ogrodzie z tylu Domu Thomas widzial ropuche. Siedziala w zupelnym bezruchu naprawde dlugo, a zolty motylek, szybki i zwinny, przefruwal z listka na listek, z kwiatka na kwiatek, tu i tam, dookola, blisko ropuchy, potem nie tak blisko, potem jeszcze blizej i bardzo daleko, i znowu blizej, tak jakby drazil sie z ropucha, ale ona sie nie ruszala, nawet nie drgnela. Mozna by pomyslec, ze to sztuczna ropucha albo kamien wygladajacy jak ropucha. Dlatego w koncu motylek poczul sie bezpieczny albo za bardzo spodobala mu sie zabawa, dosc ze podfrunal strasznie blisko. Mlask! Jezyk ropuchy wystrzelil jak jedna z tych zabawek, ktore daja glupim ludziom na Nowy Rok, i schwycil motylka, a potem zielona ropucha zjadla zoltego motylka co do odrobinki i tak sie skonczyla ta zabawa.

Jesli Cos Zlego udawalo ropuche, Thomas musial bardzo uwazac, zeby nie zostac motylkiem.

I wlasnie wtedy, gdy Thomas pomyslal, ze powinien sie umyc i przebrac do kolacji, kiedy juz, juz mial cofnac sie od Czegos Zlego, ono gdzieś sobie poszlo. Czul, jak to sie stalo - trzask, w jednej sekundzie bylo tutaj, a w nastepnej daleko stad, przesuwajac sie nad swiatem w strone zachodzacego slonca. Nie mial pojecia, w jaki sposob moglo poruszac sie tak szybko, chyba ze siedzialo w odrzutowcu, mialo dobre jedzenie i wino, usmiechalo sie do ladnych dziewczat w mundurach, ktore podkladaly male poduszeczki pod jego plecy i dawaly mu czasopisma, odpowiadajac pieknym usmiechem, a moze nawet je calowalo, jak to czesto pokazuja w telewizji. Okay, tak, to musial byc' odrzutowiec.

Thomas sprobował jeszcze raz odszukac Cos Zlego. Potem, gdy dzien zniknal zupelnie i przyszla noc, dal za wygrana. Podniosl sie z lozka i przygotowal do kolacji, majac nadzieje, ze moze Cos Zlego odeszlo na dobre i nigdy nie wroci, Julie juz zawsze bedzie bezpieczna, a na deser podadza czekoladowe ciasto.

* * *

Bobby pedzil dnem zaslanego diamentami krateru, tratujac napotykanie po drodze zuki. Biegnac powtarzal sobie, ze zawodzi go wzrok, ze umysl plata mu brzydkie figle, ze Frank nie teleportowal sie bez niego. Kiedy jednak dotarl na miejsce, w ktorym przed chwila widzial Franka, dostrzegl

jedynie kilka śladów stop odcisniętych w mialkim gruncie. Padł na niego jakiś cien, a gdy zadarł do góry głowę, ujrzał, że obcy statek cicho niczym sterowiec przesunął się nad krater i znieruchomiał dokładnie nad nim, utrzymując poprzednią wysokość. Obiekt ten w niczym nie przypominał pokazywanych na filmach gwiazdnych krązowników. Nie wyglądał ani jak twór organiczny, ani jak latający zyrandol. Kształtem zbliżony był do rombu o przekątnych około pięciuset i dwustu stop. Olbrzym. Po bokach i od góry pokrywały go setki czarnych, metalowych kolców, wielkością zbliżonych do kościelnych iglic, co nadawało mu wygląd mechanicznego jeżozwierza w pozycji obronnej. Spód był gładki i czarny, pozbawiony nie tylko iglic, ale także wszelkich czujników, spinów, luków czy śluz powietrznych.

Bobby nie wiedział, czy zmiana pozycji statku była przypadkowa, czy też wiązała się z odkryciem jego obecności. Jeśli znajdował się pod obserwacją, to wolał nie myśleć o naturze śledzących go istot, a już na pewno nie chciał zastanawiać się, jakie wobec niego mogą mieć zamiary. Przecież każdemu filmowi ukazującemu przyjaźnie nastawionych obcych, zdolnych przemienić dziecinny rowerek w latający pojazd, przeciwstawić można było dziesięć innych, gdzie obcy byli przedstawiani jako drapieżni miesozercy, tak przesiaknięci okrucieństwem, że każdy nowojorski kelner zastanowiłby się parę razy, zanim okazałby im brak uprzejmości. Bobby był pewien, że w tym jednym punkcie Hollywood miało rację. Kosmos był człowiekowi wrogi, a kontakty z braćmi w rozumie kryły w sobie wielkie niebezpieczeństwo. Nie chciał spotkania z obcą rasą, która dysponowała zapewne całą masą nowych, wymyślonych przez siebie okrucieństw.

Poza tym, jego odporność na strach była na wyczerpaniu. Przerazenie wypełniało go po brzegi, przelewało się na zewnątrz; nie potrafił przyjąć niczego więcej. Został zupełnie sam na odległym świecie, gdzie powietrze - jak zaczął podejrzewać - mogło zawierać tlen i inne niezbędne do oddychania gazy w ilości nie wystarczającej do przeżycia; dookoła pelzały owady wielkości kodaka, zachodziła obawa, że znacznie mniejszy, martwy insekt wtopił się w tkanke któregoś z jego organów wewnętrznych, a psychopatyczny, jasnowłosy olbrzym obdarzony nadludzkimi właściwościami i rozsmakowany we krwi podał jego śladem. Miał jedną szansę na wiele miliardów, że kiedykolwiek zobaczy jeszcze Julie, pocałuje ją i przytuli.

Gruntem pod stopami Bobby'ego wstrząsnęła seria wibracji. Pod ich wpływem zadzwoniły mu zęby, a on sam z trudem zachował równowagę.

Rozejrzał się w poszukiwaniu kryjówki. Ani krater, ani ciągnąca się wokół niego płaska równina nie zapewniały najskromniejszego choćby ukrycia.

Wibracje ustaly.

Nawet w rzucanym przez statek głębokim cieniu widac było, jak z otworów w ścianach krateru wysypują się stada identycznych owadów, wezwanych przez statek na powierzchnię.

Choć w brzuchu statku nie pojawiły się żadne otwory, wystrzeliły z niego promienie kilkudziesięciu laserów słabej mocy - żółte, białe, niebieskie i czerwone i zaczęły przeczesywać dno krateru. Każdy promień miał średnicę srebrnej dolarówki i poruszał się niezależnie od pozostałych. Niczym reflektory omiatały krater i wszystko, co się w nim znajdowało, czasami sunąc równoległe do siebie, czasami krzyżując się i tworząc ulotne wzory. Bobby miał wrażenie, że znalazł się na bezdźwięcznym

pokazie sztucznych ogni.

Pamiętał, co Manfred i Gavenall mówili mu o czerwonych znaczkach zdobiących obrzeże pancerza zuka. Przyjrzawszy się uważniej odkrył, że białe lasery skupiały się tylko na owadach, pracownicy przebiegając oznakowania na każdym korpusie. Właściciele przyzywali swych pracowników. Widział jak biały promień roztoczył się niespokojnie nad ciałem rozdeptanego zuka. Dołączył do niego czerwony, który po chwili przeskoczył na Bobby'ego. Odnalazło go również kilka innych promieni. Światło laserów zaczęło wędrować po jego ciele, jakby był puszką brzoskwin poddana identyfikacji w kasie supermarketu.

Krater zaroił się od insektów przesłaniających zupełnie szary grunt i warstwę wydalonych diamentów. Powtarzał sobie, że to nie są prawdziwe zuki, tylko biologiczne maszyny stworzone przez tę samą rasę, która zbudowała wiszacy nad jego głową statek, lecz nie przyniosło to większych rezultatów, ponieważ zwierzęta ciągle bardziej wyglądały na zuki niż na maszyny. Zostały zaprojektowane do wydobywania diamentów, toteż nie przejawiały najmniejszego zainteresowania Bobby'm, co jednak nie wpłynęło na poprawę jego samopoczucia, bo z powodu fobii nie mógł przestać się nimi interesować. Dostał gęsiej skorki, a przewrażliwione zakończenia nerwów czuciowych przekazywały fałszywe sygnały o pelzających po jego ciele stworzeniach. Wydawało mu się, że od stop do głów pokrywają go wędrujące niezdarnie owady. I rzeczywiście, od czasu do czasu któryś z nich wspinał mu się na buty, lecz żaden nie wybrał drogi w górę. Był za to wdzięczny opatrznosci, bo z pewnością by zwariował, gdyby naprawdę oblażyły jego ciało.

Zasłonił oczy dłonią, chcąc w ten sposób uchronić je przed osłepieniem przez obmacujące go lasery. Zauważył, że w blasku jednego z nich coś zalsniło w odległości zaledwie kilku stop - zakrzywiony kawałek czegoś, co wyglądało na pustą w środku stalową rurkę. Sterczała ukosnie z pyłu, częściowo zasłonięta przez przelazące nad nią owady. Choć była niezbyt dobrze widoczna, Bobby rozpoznał ją na pierwszy rzut oka, a wówczas ogarnęło go przeraźliwe uczucie spadania w pustkę. Ruszył do przodu, starając się nie rozdeptać żadnego owada, bo domyślał się, że kara za zniszczenie własności obcych mogła przybrać formę natychmiastowego spopielenia winnego. Gdy wreszcie dotarł do lśniacej krzywizny metalu, chwycił za wystający z ziemi koniec i bez trudu wyciągnął całość z pyłu. Trzymał w ręku urwana poręcz szpitalnego łóżka.

* * *

-Jak długo? - zapytała Julie.-Dwadziesiąt jeden minut - powiedział Clint. Wciąż stali obok krzesła Franka.

Lee Chen opuścił sofę, a jego miejsce natychmiast zajął Jackie Jaxx. Magik-hipnotyzer wyciągnął się na całą długość i przyłożył sobie do czoła zmoczony ręcznik. Co parę minut zapewniał wszystkich, że nie potrafi spowodować, by ludzie znikali, chociaż nikt nie obarczał go odpowiedzialnością za to, co spotkało Franka i Bobby'ego.

Wyciągnawszy z barku butelkę szkoockiej, szklanki i lod, Lee Chen przygotował sześć mocnych drinków, po jednym dla każdej osoby w pokoju, a także dla Franka i Bobby'ego.

-Jeżeli nawet nie potrzebujecie tego dla uspokojenia nerwów w tej chwili - powiedział - przyda

wam sie, aby uczcic ich bezpieczny powrot.

Sam zdazyl juz polknac jedna porcje szkockiej i walczył obecnie z druga. Po raz pierwszy w zyciu odczuwal potrzebe mocnego alkoholu.

-Jak dlugo? - powtorzyla pytanie Julia.

-Dwadziescia dwie minuty - poinformowal ja Clint.

A ja jeszcze nie zwariowalam, pomyslala ze zdziwieniem. Bobby, do cholery, wroc do mnie. Nie zostawiaj mnie. Jak bede sama tanczyc? Jak zyc? Jak mam zyc?

* * *

Bobby wypuscil z reki porecz, a zaraz potem promienie laserow zgasly, pozostawiajac go w plamie cienia rzucanego przez kolczasty statek, ktory po zniknieciu swiatel wydawal sie ciemniejszy niz poprzednio. Ciekaw, co bedzie dalej, zadarl do gory glowe, akurat w pore, by zobaczyc jak na brzuchu statku rozblysko inne swiatlo, zbyt blade, by trzeba bylo mruzyc przed nim oczy. Siegajacy ziemi snop mial srednice dokladnie taka sama jak krater. Objete dziwna, perlowa poswiata owady zaczely odrywac sie od gruntu, jak gdyby znalazly sie nagle w stanie niewazkosci. Najpierw dziesiatkami, a pozniej setkami zuki powoli i bez wysilku poszybowały w gore, wirujac powoli z zastyglymi w bezruchu nogami, niczym niesione wiatrem nasiona dmuchawca. W miare wznoszenia w ich oczach gasl dziwny blask, jakby ktos wylaczyl w nich zasilanie. W ciagu niecalych dwoch minut dno krateru zostalo oczyszczone z insektow, ktorych stado, w grobowej ciszy towarzyszonej wszystkim manewrom statku, majestatycznie znikalo w jego wnetrzu. W chwile pozniej cisze przerwal podobny do fletu swiergot.

-Frank! - krzyknal z ulga Bobby, odwracajac sie plecami do porywistego, paskudnie cuchnacego wiatru.

Gdy zimny, pusty swist przebrzmial echem po raz drugi, plynace ze statku swiatlo subtelnie zmienilo odcien. Na ten sygnal z szarej, przypominajacej popiol powierzchni gruntu wzbily sie w powietrze tysiace czerwonych diamentow i podazyly w slad za owadami, rozsiewajac dookola barwne lsnienia. Bylo ich tyle, ze Bobby czul, jakby stal w krwawym deszczu.

Kolejny podmuch smrodliwego wiatru uniosl w gore chmure pyłu, ktora ograniczyla widoczność. Bobby rozgladal sie niecierpliwie, oczekujac przybycia Franka, choc zdawal sobie sprawe, ze rownie dobrze mogl to byc jego brat.

Melodia rozbrzmiala po raz trzeci. Nastepujace po niej zawirowania powietrza odegnaly kleby kurzu, totez bez trudu dostrzegl zmaterializowanego w odleglosci dziesieciu stop Franka.

-Dzieki Bogu!

Kiedy Bobby ruszyl w jego strone, perlowe swiatlo uleglo kolejnej delikatnej zmianie. Siegajac po dlon Franka poczul, ze traci ciezar. Spojrzawszy w dol ujrzal, ze jego stopy odrywaja sie od podloza.

Frank mocnym chwytem złapał jego wyciągnięta reke.

Nigdy w życiu Bobby nie poczuł się lepiej, jak w tym uścisku. Przez moment czuł się bezpieczny, lecz zaraz potem uswiadomił sobie, że Frank również zawisł w powietrzu. Podobnie jak zuki i diamenty, płyneli w stronę spodu obcego pojazdu, ku Bog wie jakim koszmarom.

Ciemność.

Światliki.

Prędkość.

Ponownie byli na plaży Punaluu i tylko deszcz przybrał jeszcze bardziej na sile.

-Gdzie, u diabła, leżało tamto miejsce? - zapytał.

-Nie wiem - odparł Frank. - Napelnia mnie przerażeniem, jest takie niesamowite, ale czasami wydaje mi się... że coś mnie tam ciągnie.

Nienawidził Franka za to, że go tam zabrał; kochał za to, że po niego wrócił. Gdy się odezwał, próbując przekrzyczeć deszcz, w jego głosie nie było ani nienawiści, ani miłości, wszystko zdominowała bowiem powstrzymywana histeria.

-Myślałem, że możesz podróżować tylko do miejsc, w których przedtem byłeś?

-Niekoniecznie. Ale tam akurat już byłem.

-A jak trafiłeś tam za pierwszym razem, przecież to obcy świat, zupełnie ci nie znany, prawda?

-Nie wiem. Nic z tego nie rozumiem, Bobby.

Stojąc twarzą w twarz z Frankiem Bobby mógł ocenić, jak znacznemu pogorszeniu uległ jego stan od chwili teleportacji z biura Dakota and Dakota w Newport Beach. Choć deszcz w ciągu kilku sekund przemoczył mu ubranie, zmieniając je w oblepiające ciało bezkształtne szmaty, nie była to jedyna przyczyna jego wymizowanego, chorobliwego wyglądu. Białka głęboko zapadniętych oczu miały silnie żółty odcień, a skóra wokół nich stała się tak ciemna, że wyglądała, jakby czarna pasta do butów wymalowano na niej fałszywe since. Twarz przybrała nienaturalny, wpadający w szarosc kolor, a zsiniałe usta mogły wskazywać na zaburzenia w układzie krążenia. Bobby'emu zrobiło się głupio, że na niego nakrzyczał, więc położył wolną reke na ramieniu Franka i powiedział, że go przeprasza, że wszystko będzie dobrze, że nadal stoją po tej samej stronie barykady i że wszystko dobrze się skończy - o ile tylko nie przeniesie ich z powrotem do krateru.

-Czasami wydaje mi się - odparł Frank - że nawiązuje kontakt z... z umysłami tamtych ludzi, stworzeń, które są na statku. - Wspierali się o siebie nawzajem, próbując przezwyciężyć wyczerpanie. - Być może posiadam jeszcze jakiś dar, z którego istnienia nie zdaje sobie sprawy. Przecież przez większą część życia nic nie wiedziałem o teleportacji, dopóki Candy nie próbował mnie zabić. Może przejawiam słabe zdolności telepatyczne, a długość wysyłanych przeze mnie fal

odpowiada falom aktywnosci mozgowej tamtej rasy? Zapewne w jakis sposob wyczuwam ich obecność nawet poprzez miliardy lat swietlnych przestrzeni. Moze dlatego wydaje mi się, że jestem przez nich przyciągany.

Odstąpiwszy nieco do tyłu, Bobby dluga chwile patrzył w udrezone oczy Franka. Potem usmiechnal się, uszczypnal go w policzek i powiedział:

-Ty cwaniaku, duzo nad tym myslales, no nie? Musiales zdrowo wytezac mozgownice.

Frank takze się usmiechnal.

Bobby odpowiedzial glosnym smiechem.

Smieli się obaj, wsparci o siebie niczym tyczki indianskiego tipi. Czesciowo ich smiech byl zdrowy, sluzyl rozladowaniu napiecia, rownoczesnie jednak brzmiala w nim histeria, ta sama, która zaniepokoilą Bobby'ego juz wczesniej. Uwieszony ramienia swojego klienta, powiedział:

-Frank, twoje zycie to chaos. Zyjesz w chaosie i musisz z tym skonczyc. Inaczej chaos cie zniszczy.

-Wiem.

-Musisz znalezc sposob, by to powstrzymac.

-Nie ma takiego sposobu.

-Musisz, chłopie, sprbowac. Musisz. Nikt nie potrafi zrobic tego za ciebie. Nie moglbym tak zyc nawet przez jeden dzien, a ty meczysz się juz od siedmiu lat!

-Nie. Z poczatku nie bylo tak zle. Dopiero w ciagu kilku ostatnich miesiecy proces nabral tempa.

-Kilka miesiecy - w zamysleniu powtorzyl Bobby. - Do diabla, jesli przez pare najblizszych minut nie zgubimy twojego brata i nie wrocimy do biura, nie zejdziemy z tej cholernej karuzeli, to przysiegam Bogu, że zwariuje. Frank, ja potrzebuje porzadku, porzadku i stabilności, kontaktu z czymś znajomym. Musze wiedziec, że to, co robie dzisiaj, okresli, gdzie jestem i kim jestem, a takze wskaze, co bede robil jutro. Doskonale uporzadkowana kolejnosc, Frank, przyczyna i skutek, logika i rozum.

Ciemnosc.

Swietliki.

Predkosc.

* * *

-Jak dlugo?-Dwadziescia siedem... prawie dwadziescia osiem minut.

-Gdzie oni sa, u diabla?

-Julie - powiedzial Clint - mysle, ze powinnas usiasc. Drzysz jak lisc, a i twoja twarz ma nie najlepszy odcien.

-Nic mi nie jest.

Lee Chen podal jej szklanke szkockiej.

-Napij sie.

-Nie.

-To moze pomoc - poparl go Clint.

Schwycila szklanke, oproznila ja kilkoma dlugimi lykami i z powrotem wcisnela w dlon Lee.

-Zrobie ci jeszcze jedna.

-Dzieki.

Z sofya odezwal sie Jackie Jaxx.

-Sluchajcie, czy ktos chce mnie za to zaskarzyc?

Julie natychmiast stracila cala sympatie dla hipnotyzera. Poczula do niego niechec rownie silna, jak podczas pierwszego spotkania w Vegas, gdy zajeli sie jego sprawa. Miala ochote kopnac go w glowe. Choc zdawala sobie sprawe, ze pragnienie to bylo zupełnie irracjonalne, ze to nie on byl przyczyna znikniecia Bobby'ego, nie potrafila go stlumic. W ten sposob ujawniala sie impulsywna strona jej osobowosci - ta ktora szybko wpadala w zlosc i nie przysparzala jej powodow do dumy. Nie zawsze byla w stanie nad nia zapanowac, poniewaz stanowila ona element jej genetycznego wzorca; byc moze, jak przypuszczal Bobby, owo szczegolne upodobanie do gwałtownych reakcji zaczelo sie w niej rozwijac od dnia, gdy w dzieciństwie nafaszerowany narkotykami socjopata brutalnie zamordowal jej matke. Tak czy inaczej wiedziala, ze Bobby'ego przerazala czasami ciemna strona jej natury, totez teraz postanowila zawrzec ukklad z Bobbym i z Panem Bogiem: Posluchaj, Bobby, gdziekolwiek jestes - i ty posluchaj takze, Panie Boze - jezeli wszystko dobrze sie skonczy, jesli dostane z powrotem mojego Bobby'ego, nigdy wiecej juz taka nie bede, nigdy nie zapragne kopac w glowe Jackiego ani nikogo innego, rozpoczne w moim zyciu nowy rozdzial, przysiegam, ze to uczynie, tylko niech Bobby wroci do mnie caly i zdrowy.

* * *

Znowu byli na plazy, lecz ta pokryta byla bialym piaskiem, ktory lekko fosforyzowal we wczesnym zmierzchu. Na lewo i na prawo brzeg niknal w dosyc gestej mgle. Nie padalo, a powietrze bylo wyraznie chlodniejsze niz na Punaluu. Bobby zadrzal pod wplywem chlodu.

-Gdzie my jestesmy?

-Nie jestem pewien - odparł Frank - ale wydaje mi się, że to miejsce leży gdzieś na półwyspie Monterey. - Po oddalonej o sto jardów szosie przemknął samochód. - To jest prawdopodobnie Seventeen-Mile Drive. Znasz ją? Droga wiodąca z Carmel przez Pebble Beach...

-Wiem.

-Kocham ten półwysep, Big Sur południa. To jeszcze jedno miejsce, w którym byłem szczęśliwy... przez chwilę.

Mgła dziwnie tłumila ich głosy. Bobby'ego cieszył stały grunt pod nogami oraz fakt, że przebywa nie tylko na swojej planecie, ale we własnym kraju i w rodzinnym stanie. Wolałby jednak miejsce, gdzie mgła nie przesłaniałaby szczegółów widoku. Białe kleby stanowiły kolejną formę chaosu, a tymczasem jego zapotrzebowanie na nieporządek zostało zaspokojone do końca życia.

Frank odezwał się:

-A tak przy okazji, przed chwilą na Hawajach martwiłeś się, jak zgubić Candy'ego. Nie musisz się tym przejmować. Stracił nasz ślad w Kioto albo może na zboczach Fudzi.

-Na miłość boską, skoro nie musimy już się obawiać, że zaprowadzimy go do biura, wracajmy do domu.

-Bobby, ja nie mam...

-Zadnej kontroli. Tak, wiem, to żadna tajemnica. Ale coś ci powiem - możesz tym sterować na jakimś poziomie leżącym głęboko w podświadomości i to lepiej, niż ci się zdaje.

-Nie, ja...

-Tak. Bo wróciłeś po mnie do krateru - obstawał przy swoim Bobby. - Mówiłeś, że nienawidzisz tamtego miejsca, że przeraża cię najbardziej spośród wszystkich miejsc, do jakich udało ci się dotrzeć, a jednak wróciłeś i zabrałeś mnie stamtąd. Nie zostawiłeś mnie obok poręczki łózka.

-Czysty przypadek, że udało mi się wrócić.

-Nie sądzę.

Ciemność.

Światliki.

Prędkość.

* * *

Ze ściany nadawali delikatny, łagodny sygnał bim-bom. W ten sposób mówili wszystkim ludziom w Domu, że do kolacji zostało dziesięć minut. Derek zniknął za drzwiami, zanim Thomas podniósł się z

krzesła. Derek lubił jedzenie. Oczywiście każdy lubił jedzenie, ale Derek lubił jedzenie za trzech.

Kiedy Thomas stanął w drzwiach, Derek był już na dole i idąc szybko w swój śmieszny sposób zbliżał się do jadalni. Thomas popatrzył do tyłu, w stronę okna.

Za oknem była noc.

Nie lubił widoku nocy w oknie i dlatego najczęściej, kiedy światło znikало ze świata, zaciągał zasłony. Tym razem jednak, zakończywszy przygotowania do kolacji, próbował odszukać Cos Złego, a łatwiej mu było wysłać nic myśli, gdy miał noc przed oczami.

Cos Złego ciągle przebywało tak daleko, że nie można było go wyczuć. Postanowił jednak spróbować jeszcze raz, zanim pojdzie jeszcze i stanie się Towarzyski. Sięgnął poza okno, rozwijając przez wielką nic, aż do miejsca, gdzie zazwyczaj można było znaleźć Cos Złego - i natychmiast poczuł jego obecność. A więc wróciło. Thomas wiedział, że Cos Złego wyczuło go także. Przypomnił sobie zieloną ropuchę pozerającą wesołką, żółtego motylka, więc cofnął się do pokoju szybciej, niż zdążył wystrzelić język ropuchy.

Nie wiedział, czy powinien się cieszyć, czy też martwić z tego powodu. Kiedy zniknęło, Thomas był szczęśliwy, ponieważ przypuszczał, że może odeszło na długo, choć zarazem nieco się wystraszył, bo skoro odeszło, to zupełnie nie wiedział, gdzie go szukać.

A teraz wróciło.

Przez chwilę stał nieruchomo w drzwiach.

Potem poszedł jeszcze na kolację. Był pieczony kurczak. Były frytki, marchewka z groszkiem, surowka z kapusty. Był też domowy chleb, a ludzie mówili, że na deser będzie czekoladowy placek i lody, chociaż ludzie, którzy to mówili, byli głupi, więc nie można było tego być pewnym. Wszystko dobrze wyglądało, dobrze pachniało i nawet smakowało dobrze. Ale Thomas cały czas zastanawiał się, jak mógł smakować zabie motylek, i zdolał przełknąć bardzo niewiele.

* * *

Chwiejąc się na wszystkie strony wylądowali na pustej działce budowlanej w Las Vegas, po której chłodny, pusty wiatr przetaczał kleby zeschłych chwastów. Frank powiedział, że kiedyś tutaj mieszkał. Stali przy chacie na stoku pokrytej śniegiem górskiej łąki, gdzie po raz pierwszy znaleźli się po teleportacji z biura.

Byli na cmentarzu w Santa Barbara.

Zjawili się na wierzchołku zigguratu Azteków w bujnej meksykańskiej dżungli, gdzie wilgotne nocne powietrze przepelniało buczenie moskitów i ryki nieznanymi zwierząt, a Bobby nie zdając sobie sprawy, gdzie tym razem wylądowali, omal nie spadł ze stopni piramidy.

Wpadli do biura Dakota and Dakota...

Przeskakowali tak szybko, pozostając w każdym miejscu tylko krótką chwilę - za każdym razem krótsza - że jakiś czas tkwił w kacie własnego biura, mrugając głupawo oczami, zanim dotarło do niego, gdzie się znajduje i co powinien zrobić. Wyszarpnął dłoń z uścisku Franka i zawołał:

-Przestaj, zatrzymaj się tutaj...

Nim jednak skończył, Frank zniknął.

Julie w następnej sekundzie była przy nim. Przytuliła się do niego z taką siłą, że niemal nie polamała mu żeber. On objął ją również i całował do utraty tchu. Jej włosy pachniały czystością, a zapach skóry był o wiele słodszy, niż to zapamiętał. Oczy miała o wiele jaśniejsze i piękniejsze niż te, których obraz podsuwała mu pamięć.

Choć z natury powściągliwy, Clint położył dłoń na ramieniu Bobby'ego.

-Boże, jak to dobrze znowu cię widzieć. Dobrze, że znowu jesteś z nami. - Chyba nawet lekko zadrżał mu głos. - Martwilismy się przez chwilę.

Lee Chen wręczył mu szklanke szkockiej z lodem.

-Nie rob tego więcej, dobrze?

-Nie zamierzam - odparł Bobby.

Nie przypominający w niczym zazwyczaj pewnego siebie i dowcipnego showmana, Jackie Jaxx miał dosyć jak na jedną noc.

-Posłuchaj, Bobby, jestem pewien, że to, co masz nam do opowiedzenia, jest fascynujące i że gdziekolwiek byś był, musiałeś wrócić z mnóstwem zabawnych anegdotek, ale ja nie chcę tego słuchać.

-Zabawne anegdotki? - zdziwił się Bobby. Jackie potrząsnął głową.

-Nie chcę ich słyszeć. Przepraszam. To moja wina. Lubie show-business, ponieważ jest to płytkie życie. Mały, cienki plasterek prawdziwego świata, ale podniecający, pełen jaskrawych barw i głośnej muzyki. W show-businessie nie musisz myśleć, po prostu jesteś. I wiesz, ja właśnie chcę być. Grac, trzymać się tego życia, cieszyć się nim. Oczywiście, mam na każdy temat swoje opinie, kolorowe i głośne opinie show-businessu, ale tak naprawdę nic nie wiem i nie chcę niczego wiedzieć, a już na pewno nie chcę wiedzieć, co wydarzyło się tutaj dziś wieczorem. Takie historie wywracają człowiekowi świat do góry nogami, pobudzają ciekawość, skłaniają do myślenia, a wtedy bardzo szybko przestajesz cieszyć się rzeczami, które do niedawna sprawiały ci radość. - Uniosł obie ręce, jakby chciał uprzedzić ewentualne protesty, po czym powiedział: - Już mnie tu nie ma - i w chwili później rzeczywiście już go nie było.

Opowiadając o swoich przeżyciach, Bobby krążył wolno po pokoju, zachwycając się zwyczajnymi przedmiotami, odnajdując piękno w codzienności, smakując stałość otaczających go rzeczy. Położył dłoń na biurku Julie i wydało mu się, że na świecie nie było niczego cudowniejszego od

najzwyklejszego pod słońcem laminatu wszystkich tych czasteczek wytworzonego przez człowieka materiału, uszeregowanych w doskonałym porządku. Oprawione portrety bohaterów Disneya, tanie meble, na wpol opróżniona butelka szkockiej, ustawione na oknie kwiaty - wszystko to nagle nabrało dla niego wartości.

Podróżował zaledwie trzydzieści jeden minut. Niemal tyle samo czasu pochłonęło mu opowiadanie skróconej wersji swoich przygód. Zniknął z biura o 16:47, wrócił o 17:26, lecz podróżowania za pomocą teleportacji lub w jakikolwiek inny sposób miał dosyć do końca życia.

Gdy wreszcie usiadł na sofie, a Julie, Clint i Lee zgromadzili się wokół niego, powiedział:

-Chcę mieszkać właśnie tutaj, w Kalifornii. Nie potrzebuje Paryża czy Londynu. Nigdy więcej. Chcę zostać tam, gdzie znajduje się moje ulubione krzesło, każdą noc spędzać w znajomym łóżku...

-Dopilnuje, żeby tak było - wpadła mu w słowo Julie.

-...jeździć moim małym, zółtym samurajem, a po otwarciu szafki z lekarstwami znaleźć anacina, pastę do zębów, płyn do ust, antyseptyczny ołówek i plaster dokładnie tam, gdzie powinny być.

Do piętnastki po szóstej Frank nie pojawił się. Podczas relacji Bobby'ego nikt nie wspominał o jego ponownym zniknięciu ani nie zastanawiał się głośno, kiedy mogłoby wrócić. A jednak oczy wszystkich wędrowały co chwila w stronę krzesła, na którym siedział przed rozpoczęciem teleportacji, oraz w kąt pokoju, gdzie na chwilę się zmaterializował.

-Jak długo będziemy na niego czekać? - zapytała w końcu Julie.

-Nie wiem - odparł Bobby. - Mam jednak przeczucie... naprawdę złe przeczucie... że może tym razem Frank nie zdoła odzyskać kontroli nad sobą i będzie przeskakiwać z miejsca na miejsce, coraz szybciej i szybciej, aż prędzej czy później nie będzie w stanie poskładać się z powrotem.

48

Kiedy bezpośrednio po powrocie z Japonii wszedł do kuchni rodzinnego domu, Candy dosłownie kipiał złością. A kiedy na dodatek zobaczył koty harcujące po stole, przy którym jadł posiłki, jego złość przerodziła się w ślepa wściekłość. Violet siedziała na przysuniętym do stołu krześle, a jej wiecznie milcząca siostra tkwiła obok na drugim krześle, kurczowo uczeplona ramienia Violet. Koty leżały pod krzesłami, a także wokół ich nóg, zaś pięć największych królowało na stole, zjadając kawałki rzucaanej im przez bliźniaczki szynki.

-Co robicie? - rzucił zaczepnie.

Violet nie zaszczyciła go nawet najmniejszym słowem czy spojrzeniem. Jej wzrok był całkowicie skoncentrowany na ciemnoszarym mongrelu, siedzącym nieruchomo niczym posąg kota w egipskiej świątyni i wyjadającym cierpliwie drobne kawałki mięsa z jej bladej dłoni.

-Mówię do ciebie - warknął, ale nie odpowiedziała.

Miał dosyć jej milczenia, był smiertelnie znudzony jej nieskonczona obcością. Gdyby nie dana matce obietnica, natychmiast rozerwałby żyły Violet i posiliłby się jej krwią. Wiele lat upłynęło od czasu, gdy kosztował wypełniającej jego święta matkę ambrozji i coraz częściej przychodziło mu do głowy, że krew Violet i Verbiny była w pewnym stopniu taka sama jak ta, która krążyła w organizmie Roselle. Wyobrażał sobie - a czasami nawet o tym snił - jak napawa się smakiem spływającej po języku krwi siostr.

Pochyliwszy się, obserwował ponuro jej spokojną zabawę z szarym kotem. Nagle wykrzyknął:

-To jest moje miejsce, do cholery!

Violet wciąż nie odpowiadała, więc Candy uderzył ją w rękę, wyrzucając w powietrze pozostałe kawałki szynki. Następnie zmiotł ze stołu talerz z resztką szynki, a odgłos rozpryskującej się po podłodze porcelany przyniósł mu ogromną satysfakcję.

Piątka kotów na stole zdawała się zupełnie nie dostrzegać jego furii, a zwierzęta na podłodze również zachowały całkowity spokój, jakby głuche na dźwięk spadającego talerza.

Violet wreszcie odwróciła głowę, przechyliła ją na bok i spojrzała na Candy'ego.

Równocześnie ze swoją panią, koty na stole zwróciły głowy w jego stronę, posyłając mu wyniosłe spojrzenie, jakby chciały dać do zrozumienia, że spotkał go wielki zaszczyt, skoro raczyły zwrócić na niego uwagę.

To samo zdawał się mówić pogardliwy wzrok Violet i słaby uśmiešek pelzający w kącikach jej pełnych warg. Nieraz zdarzało się, że pod wpływem jej bezpośredniego spojrzenia jego wola słabła i wówczas, zmieszany i wstrząsnięty, musiał od niej odwracać wzrok. Wiedząc, że przewyższa ją pod każdym względem, nie mógł pogodzić się z jej umiejętnością zmuszania go do odwrotu siłą samego spojrzenia.

Tym razem było jednak inaczej. Jeszcze nigdy nie był tak wściekły, nawet przed siedmioma laty, gdy odnalazł skrwawione, porabane ciało matki i dowiedział się, że zamordował ją Frank. Jego złość przybrała na sile, ponieważ ową starą gniew nie znalazł dotychczas ujścia; rosnął w glebi jego serca przez wszystkie te lata, karmił się upokorzeniem płynącym z powtarzających się nieudanych prób schwytania Franka. Czulił, że w tej chwili w jego żyłach zamiast krwi krąży czarna złość, omywając mięśnie serca i karmiąc komórki mózgu, gdzie jedna po drugiej rodziły się wizje spełnionej zemsty.

Nie ulegając przerazającej sile jej wzroku, schwycił ją za szczupłe ramiona i gwałtownie poderwał na nogi.

Z usta oddzielonej od siostry Verbiny wyrwał się miękki, bolesny jęk, jak gdyby były syjamskimi bliźniętami, których rozdzieleniu towarzyszyło rozdarcie tkanek i rozszczepienie kości.

Zbliżając twarz do Violet, rozpryskując na nią ślinę, powiedział:

-Nasza matka miała jednego kota, tylko jednego. Lubiła czystość i porządek, z pewnością nie pochwaliliby tego bałaganu i waszego śmierdzącego stada.

-Kogo to obchodzi - odrzekła Violet obojętnym, a zarazem szyderczym tonem. - Przecież ona nie żyje.

Wzmocniony ucisk, oderwał ją od ziemi. Krzesło za jej plecami poleciało do tyłu, gdy szarpnął ją gwałtownie. Uderzył nią o drzwi kuchni z taką siłą, że wywołany ciosem huk przypominał eksplozję, budząc dzwoniące poluzowane szyby w oknach oraz leżące na stole brudne sztucce. Z radością patrzył, jak jej twarz wykrzywia się bólem, a oczy uciekają do tyłu, jakby za chwilę miała stracić przytomność. Gdyby uderzył nieco silniej, złamałby jej kręgosłup. Bezlitosnie zagłębił palce w białym ciele ramienia Violet, odsunął ją od drzwi i uderzył jeszcze raz, choć nie tak mocno jak poprzednio, wkładając w ruch tylko tyle siły, by zaznaczyć, że uderzenie mogłoby być równie mocne i że takie właśnie będzie, gdy zdenerwuje go w przyszłości.

Głowa półprzytomnej dziewczyny poleciała do przodu. Candy bez wysiłku przyciskał ją do drzwi; jej stopy hustały się swobodnie jakieś osiem cali nad podłogą, tak jakby zawisła w stanie nieważkości. Chciał w ten sposób zademonstrować swoją niewiarygodną siłę. Czekal, aż Violet dojdzie do siebie.

Miała trudności z oddychaniem, a kiedy wreszcie przestała sapać i uniosła głowę, Candy spodziewał się ujrzenia zupełnie innej Violet. Nigdy przedtem jej nie uderzył. Przekroczył tym samym linię, której naruszenie do niedawna wydawało mu się czymś niemożliwym. Mając w pamięci złożoną matkę obietnicę, chronił siostrę przed niebezpieczeństwami zewnętrznego świata, zapewniał im żywność, dbał o to, by nie marzły w chłody i nie było im gorąco w upały, by nie lalo im się na głowy podczas deszczu. Jednak w miarę upływu lat wypełniał swoje obowiązki z coraz większą niechęcią, przerażony coraz bardziej bezwstydnym i tajemniczym zachowaniem dziewcząt. Teraz pojął, że wdrożenie ich do dyscypliny było naturalną częścią jego zadania; tam w Niebie matka musiała rozpaczyc, że nie dostrzegł wcześniej potrzeby dyscypliny. Dzięki swej wściekłości doznał oświecenia. Nastraszenie Violet było rzeczą dobrą, gdyż mogło przywrócić jej rozsadek i zapobiec dalszemu staczaniu się w dekadencję i zwierzęcą zmysłowość, której zdawała się coraz bardziej ulegać. Wiedział, że karząc ją postępuje właściwie. Czekal niecierpliwie, aż uniesie głowę i spojrzy mu w twarz, bo rozpoczynali właśnie nowy etap wzajemnych stosunków, a świadomość owych głębokich przemian powinna znaleźć odbicie w jej wzroku.

W końcu, wyrównawszy oddech, popatrzyła prosto w oczy Candy'ego. Ze zdumieniem stwierdził wówczas, że siostra nie podzielała żadnej z jego natchnionych myśli. Jasne włosy opadały jej na twarz, upodabniając ją do dzikiego zwierzęcia z dżungli, spoglądającego przez sklebioną wiatrem grzywe. W lodowatych, błękitnych oczach Violet dostrzegał uczucia dziwniejsze i bardziej prymitywne niż wszystko, co kiedykolwiek w nich oglądał. Radosna dzikość. Nie dający się opisać głód. Żądza. Choć zderzenie z kuchennymi drzwiami sprawiło jej ból, na ustach ponownie zaigrał uśmiech. Rozchyliła wargi, tchnąc w jego twarz gorącym oddechem.

-Jesteś silny - powiedziała. - Nawet koty lubią czuć, jak mnie dotykasz... Verbina też.

Uswiadomił sobie obecność jej długich, nagich nóg, zauważył kuse majtki i obciągnięty czerwony podkoszulek, podkreślający płaską linię brzucha. Jej piersi w porównaniu z resztą szczupłego ciała wydawały się pełniejsze niż w rzeczywistości, a brodawki wyraźnie rysowały się pod materiałem koszulki. Czuł gładkość skóry, jej zapach.

Obrzydzenie zalalo go niczym ropa z ukrytego wewnatrz organizmu wrzodu. Wypuscil siostre z rak. Odwracajac sie stwierdzil, ze koty przypatruja mu sie uwaznie, a co gorsza, zajmuja te same miejsca, w ktorych sie znajdowaly, gdy wyszarpnal Violet z krzesla, tak jakby nie zrobilo to na nich najmniejszego wrazenia. Zdawal sobie sprawe, ze ich spokoj oznacza, ze rowniez Violet nie dala sie zastraszyt i ze jej erotyczna reakcja na jego furie oraz ironiczny usmiech byly prawdziwe.

Verbina ze spuszczone glowa osunela sie na krzesle. Nie byla w stanie wpatrywac sie dluzej prosto w niego, lecz nadal sie usmiechala, a jej lewa dlon tkwila miedzy nogami. Dlugie palce zataczaly leniwie kregi po cienkiej tkaninie majtek, pod ktorymi kryla sie ciemna rozpadlina seksu. Byl to najlepszy dowod, ze w jakis sposob nieczyste pragnienia Violet udzielily sie rowniez Verbinie. Wstrzasniety, odwrocil od niej wzrok.

Szybko wyszedl z pokoju, starajac sie, by nie wygladalo to na ucieczke.

Znalazlszy sie w przesyconej znajomym zapachem sypialni, posrod nalezacych do matki rzeczy, Candy zamknal za soba drzwi. Nie byl pewien, dlaczego czul sie bezpieczniej przy przekreconym zamku, choc z pewnoscia nie bylo to podyktowane obawa przed siostrami. Nie widzial powodu, dla ktorego mialby sie ich bac. Raczej nalezalo im wspolczuc.

Usiadl na chwile w bujanym fotelu Roselle, wspominajac czasy dzieciinstwa, gdy zwijal sie w klebek na jej podolku i szczesliwy ssal krew z nacietego kciuka lub miesistej czesci dloni. Pewnego razu - a niestety byl to tylko jeden, jedyny raz - zrobila dluga na pol cala ranke na jednej ze swych piersi i przytulila go do lona, by napil sie krwi z tego samego zrodla, z ktorego inne matki karmia swe dzieci mlekiem.

Mial piec lat, gdy tamtej nocy, w tym samym pokoju i w tym samym fotelu, smakowal krwi z piersi matki. Liczacy sobie wowczas siedem lat Frank spal w pokoju na koncu korytarza, a blizniaczki, ktore niedawno obchodzily pierwsze urodziny, lezaly w lozeczku w pokoju naprzeciwko. Przebywanie sam na sam z matka, podczas gdy wszyscy inni spali - och, jakze wyjatkowe i cudowne bylo to uczucie, zwlaszcza ze pozwolila mu skosztowac ozywczego plynu krazacego w jej zylach, ktorego nie uzyczala nikomu sposrod jego rodzenstwa. Byla to uswiecona komunია, dawanie i branie, pozostajace ich slodka tajemnica.

Przypomniat sobie zblizony do omdlenia stan, w jaki zapadl tamtej nocy, wywolany nie tylko bogatym smakiem krwi i plynaca za tym darem fala niewzruszonej milosci, ale takze miarowym bujaniem fotela oraz rytmicznym, usypiajacym glosem matki. Kiedy tak ssal, odgarnela mu wlosy z czola i opowiedziala o zawilych planach Boga wobec swiata. Wyjasnila mu, jak to juz czynila wielokrotnie przedtem, ze Bog wybacza uzycie przemocy, o ile dopuszczono sie jej w obronie ludzi dobrych i sprawiedliwych. Opowiedziala, jak to Bog stworzyl zywiacych sie krwia mezczyzn, aby mogli sie stac ziemskimi narzedziami boskiej zemsty w imie sprawiedliwosci. Mowila dalej, ze ich rodzina byla sprawiedliwa i dlatego Bog zeslal im Candy'ego, aby ich bronil. Nie slyszal wowczas nic nowego, i choc matka wielokrotnie opowiadala o tych rzeczach podczas ich sekretnych komunii, Candy za kazdym razem sluchal jej z nieslabnacym zainteresowaniem. Dzieci czesto lubia, gdy powtarza sie im ulubione historie. I jak to sie dzieje z wyjatkowo cudownymi opowiesciami, w miare powtarzania bajka ta nie tracila uroku, a wrecz przeciwnie, stawala sie coraz bardziej tajemnicza i pociagajaca.

Owej nocy historia ta nabrała nowego wymiaru. Matka oświadczyła, że nadszedł czas, aby ujawnił wyjątkowe talenty, jakimi go obdarowano, i rozpoczął misję, do której stworzył go Bog. Fenomenalne uzdolnienia zaczął przejawiać w wieku trzech lat, podobnie jak Frank, który dysponował jednak znacznie skromniejszymi możliwościami. Jego zdolności telekinetyczne - a zwłaszcza umiejętność przemieszczania własnego ciała - szczególnie zachwyciły Roselle, która szybko dostrzegła kryjące się za tym możliwości. Nie brakowało im pieniędzy, dopóki mogli teleportować się nocą do miejsc, gdzie zamykano gotowke i wartościowe przedmioty: skarbców banków oraz zasobnych w biżuterie sejfów w posiadłościach rozrzuconych po Beverly Hills. A gdyby zdołał zmaterializować się w domach wrogów rodziny Pollardów w czasie ich snu, mógłby dokonać zemsty bez obawy przed odkryciem czy jakimikolwiek represjami.

-Jest pewien człowiek o nazwisku Salfont - wymruczała matka, gdy posilał się z jej zranionej piersi. - To prawnik, jeden z tych szakali zerujących na uczciwych ludziach. Nie można o nim powiedzieć dobrego słowa, ani jednego dobrego słowa. Prowadził sprawy majątkowe mojego ojca - a twego drogiego dziadka, mój maly Candy - i przy poswiadczeniu testamentu pobral zbyt duza oplata, o wiele za duza. Taki byl chciwy. Oni wszyscy sa chciwi, ci prawnicy.

Jej cichy, lagodny glos pozostawal w sprzeczności z przepelnionymi zloscia slowami, co jednak tylko powiekszalo hipnotyczna sile slodkiego przeslania.

-Przez wiele lat probowalam odzyskac nalezna mi czesc pieniedzy. Chodzilam po prawnikach, lecz oni wszyscy mowili, ze Salfont prawidlowo naliczyl oplata. Ta banda popiera sie nawzajem, sa oni niczym ziarnka grochu w straczk, male gnijace ziarnka w gnijacym straczk. Poszlam z tym do sadu, ale przeciez sedziowie to nikt inny, jak tylko prawnicy w czarnych togach. Ta chciwa halastra przyprawia mnie o mdlosci. Martwilam sie tym calymi latami, mój maly Candy, nie mogac stlumic przepelniajacego serce zalu. Ten Donald Salfont, mieszkajacy w wielkim domu w Montecito, zdzierajacy skore z ludzi, oszukujacy mnie, powinien za to zaplacic. Nie sadzisz, mój maly Candy? Nie sadzisz, ze powinien zaplacic?

Mial dopiero piec lat i nie byl zbyt duzy jak na swoj wiek, jak to sie stalo pozniej, gdy mial dziewiec czy dziesiec. Nawet gdyby udalo mu sie teleportowac do sypialni Salfonta, przewaga zaskoczenia mogla nie wystarczyc do osiagniecia sukcesu. Jesli Salfont lub jego zona zbudziliby sie w chwili przybycia Candy'ego albo gdyby pierwszy cios noza nie usmiercil prawnika, a tylko przerazonego wyrwal ze snu, Candy by sobie z nim nie poradzil. Co prawda nie grozilo mu schwytnie czy jakies obrazenia, bo mógł w okamgnieniu dokonac teleportacji, istnialo wszakze ryzyko, ze zostanie rozpoznany. Policja uwierzylaby czlowiekowi pokroju Salfonta, nawet gdyby zglosil sprawe tak niezwykla, jak zarzut usilowania morderstwa przez piecioletniego chlopca. Zjawiliby sie w domu Pollardow, zadajac rozne pytania i weszac, a wtedy Bog jeden wie, co mogliby znalezc lub zaczac podejrzewac.

-Tak wiec nie mozesz go zabic, choc na to zasluguje - szeptala Roselle. Kolyszac swe ukochane dziecko z napieciem wpatrywala sie w jego oczy, wzniesione ku gorze sponad odslonietych piersi. - Zamiast tego cos mu zabierzesz i bedzie to zemsta za pieniadze, ktorzych mnie pozbawil. Musi to byc cos, co ma dla niego wielka wartosc. Salfontowie maja male dziecko. Czytalam o tym w gazetach kilka miesiecy temu - mala dziewczynke imieniem Rebecka Elizabeth. Coz to za imie dla dziewczynki, nie sadzisz? Wydaje mi sie wysoce niestosowne. Mógł je wymyslic tylko taki zadufany w sobie

prawnik i jego zona, poniewaz uwazaja sie za cos lepszego od innych. Wiesz, Elizabeth to imie krolewskie, a czytajac Biblie mozesz sie dowiedziec, kim byla Rebeka. Wtedy pojmysz, jak wysoko cenia siebie i swego berbecia. Rebeka... ma teraz prawie szesc miesiecy, jest z rodzicami dostatecznie dlugo, by tesknili za nia, gdy odejdzie, tesknili naprawde mocno. Zawioze cie jutro pod ich dom, moj cudny, maly Candy. Zobaczysz, gdzie to jest, a w nocy dostaniesz sie do srodka i przyniesiesz im zemste Pana, moja zemste. Powiedza potem, ze do pokoju zakradl sie szczur albo cos w tym rodzaju i beda sie z tego powodu obwiniac az do dnia swojej smierci.

Gardlo Rebeki Salfont bylo delikatne, a jej krew slonawa. Candy'emu ta przygoda bardzo sie spodobala, podniecalo go przebywanie w obcym domu bez zgody czy wiedzy wlascicieli. Zabicie dziewczynki, podczas gdy nieswiadomi niczego dorosli spali w przyległym pokoju, napelnilo go poczuciem potegi. Byl tylko chlopcem, a jednak przeslizgnal sie przez ich zabezpieczenia i zadal cios w imieniu swej matki, a postepek ten uczynil zen pelnoprawnego czlonka rodziny Pollardow. To przyprawiajace o zawrot glowy uczucie oprocz wywołanego zabojstwem podniecenia mialo w sobie posmak chwaly.

Od tamtej pory matka nieustannie domagala sie coraz to nowych aktow zemsty.

Przez kilka pierwszych lat jego misji ofiarami padaly wylacznie niemowleta i bardzo male dzieci. Czasami, chcac utrudnic zadanie policji, nie zagryzal ich, lecz pozbywal sie w inny sposob, a niekiedy teleportowal sie wraz z nimi, tak ze ciala nigdy nie zostaly odnalezione.

Nawet przy podjeciu takich srodkow ostroznosci, gdyby wszyscy wrogowie Roselle zamieszkiwali w najblizszej okolicy Santa Barbara lub w samym miescie, nie daloby sie ukryc zwiazku pomiedzy poszczegolnymi zbrodniami. Na szczescie matka czesto zadala, by dokonat zemsty w roznych odleglych miejscach - na ludziach, o ktorych przeczytala w gazetach czy magazynach.

Szczegolnie utkwila mu w pamieci pewna rodzina ze stanu Nowy Jork, ktorej udalo sie wygrac na loterii wiele milionow dolarow. Matka doszla do wniosku, ze ta fortuna zostala zdobyta kosztem Pollardow, a czlonkowie owej rodziny sa zbyt chciwi, by mogli dluzej zyc. Candy mial wtedy czternascie lat i nie rozumial takiego tlumaczenia, lecz nie podawal go w watpliwosc. Matka byla dla niego jedynym zrodlem prawdy i nawet do glowy mu nie przyszlo, ze moglby okazac wobec niej nieposluszenstwo. Dlatego wtedy w Nowym Jorku zabil cala piatek, a nastepnie puscil z dymem dom wraz z zamknietymi w nim cialami.

Trawiace Roselle pragnienie zemsty przybralo postac dajacych sie przewidziec cykli. Zaraz po tym, jak Candy kogos dla niej zabijal, byla szczesliwa i snula plany na przyszlosc. Specjalnie dla niego piekla wtedy ciasta, zas w kuchni rozbrzmiewal jej melodyjny spiew. Zaczynala tez nowa robotke lub robila projekt skomplikowanej koronki. W ciagu nastepnych czterech tygodni jej radosc stopniowo przygasala, niczym zarowka z plynna regulacja blasku, i po uplywie miesiaca od dnia zabojstwa, tracac zainteresowanie kuchnia i domowymi zajeciami, ponownie podejmowala temat ludzi, ktorzy wyrzadzili jej krzywde, a tym samym skrzywdzili rowniez rodzine Pollardow. Nastepne dwa do czterech tygodni uplywaly jej na wyborze celu. Gdy tylko to nastapilo, Candy otrzymywal kolejne zadanie w ramach swej swietej misji. Prosty rachunek dowodzil, ze w ciagu roku przypadalo mu w udziale tylko szesc czy siedem zabojstw.

Taka czestotliwosc w zupelnosci satysfakcjonowala Roselle, natomiast wraz z uplywem lat coraz mniej odpowiadala Candy'emu. Wypelniajac jej wole nabral nawyku picia krwi, ktory z czasem przyjal postac przemoznej, nie zawsze dajacej sie opanowac zadzy. Dreczyl go rowniez bakcyl lowow i od pewnego momentu tesknil za nimi bez przerwy, jak alkoholik za butelka. Ku czestszyz zabojstwom popychala go takze bezrozumna wrogosc okazywana przez swiat jego blogoslawionej matce. Czasami wydawalo mu sie, ze nastawiony przeciw niej byl doslownie kazdy, kazdy knul, jak ja zranic lub zagarnac nalezne jej pieniadze. Nigdy nie narzekala na brak nieprzyjaciol. Pamietal dni, kiedy ogarnial ja strach. Spuszczala wowczas wszystkie zaslony i rolety, zamykala drzwi na klucz i, czasami, barykadowala je dodatkowo krzeslami i innymi meblami, w obawie przed wscieklym atakiem wrogow, ktorzy nigdy nie nadeszli, ale w kazdej chwili mogli nadciagnac. Ktoregos z takich zlych dni, wyjatkowo przygnebiona oswiadczyła mu, ze na zewnatrz czyha na nia tak wielu ludzi, ze nawet jemu nie zawsze uda sie ja ochronic. Gdy zaczal blagac, aby ich wskazala i pozwolila zabic, odmowila, stwierdzajac jedynie, ze to nic nie da.

Wkrotce potem zaczal uzupełniac dozwolone morderstwa wyprawami w glab kanionow w poszukiwaniu malych zwierzat. Jednakze owe krwawe uczty, niezaleznie od tego, jak byly obfite, nigdy nie byly w stanie ugasic jego pragnienia rownie skutecznie, jak krew z ludzkich gardel.

Przygnebiony pod wplywem natloku wspomnien, Candy podniosl sie z bujanego fotela i nerwowo przeszedl przez pokoj. Rolety byly podniesione, totez widzial rozpostarta za oknem noc i widok ten pociagal go coraz bardziej.

Nieudana pogon za Frankiem i jakimś nieznanym, ktory teleportowal sie razem z nim, a takze nieoczekiwane starcie z Violet, rozniecily w nim zlosc, ktora rozladowac moglo jedynie zabojstwo. Do tego byl mu jednak potrzebny odpowiedni cel. Nie majac na oku zadnego wroga rodziny, musialby pozbawic zycia albo niewinnych ludzi, albo zamieszkujace w kanionie male zwierzeta. Problem byl powazny. Z jednej strony nie chcial rozczarowac swej swietej matki w Niebie, z drugiej zas - nie mial ochoty na rzadka krew plochliwych stworzen.

Rozterka i zadza narastaly w nim z minuty na minute. Wiedzial, ze zaraz zrobi cos, czego pozniej bedzie zalowac, pod wplywem czego Roselle odwroci od niego twarz.

I wlasnie wtedy, gdy bliski juz byl wybuchu, uratowalo go przybycie prawdziwego wroga.

Jakas reka dotknela od tylu jego glowy.

Obrocil sie wokol wlasnej osi, czujac, jak reka pospiesznie znika. Owa dlon musiala nalezec do ducha, gdyz w pokoju nie bylo nikogo.

On jednak wiedzial, ze ma do czynienia z ta sama obecnościa, ktora czul ubieglej nocy w kanionie. Gdzies tam znajdowal sie ktos, nie nalezacy do rodziny Pollardow, podobnie jak on obdarzony psychicznymi zdolnościami, a sam fakt, iz Roselle nie byla jego matka, wystarczal, aby uznac go za wroga, wytropic i zlikwidowac. Ta sama osoba odwiedzala kilkakrotnie Candy'ego po poludniu, siegajac ku niemu badawczo, dotykajac, lecz powstrzymujac sie przed pelnym kontaktem.

Candy powrocil na bujak. Skoro mial sie pojawic prawdziwy wrog, to warto bylo na niego

poczekac.

W kilka minut później ponownie poczuł dotknięcie. Lekkie i pełne wahania, ustąpiło równie szybko, jak się pojawiło.

Uśmiechnął się, zakolysał na fotelu. Zaczął nawet cicho nucić jedną z ulubionych piosenek matki.

49

Podsycany nieustannie ogień wściekłości zaplonał z całą mocą. Do czasu, gdy płochliwy gość nabierze odwagi, płomień rozpala się do białosci i pochłona go bez trudu. Za dziesięć siódma zadzwonił dzwonek. Felina Karaghiosis oczywiście go nie usłyszała, lecz każdy pokój wyposażony był w małą czerwoną lampkę sygnalizacyjną, migocącą po naciśnięciu dzwonka, której blasku nie mogła przeoczyć.

Poszła do przedpokoju i wyjrzała przez świetlik obok drzwi frontowych. Rozpoznawszy Alice Kasper, sąsiadkę mieszkającą trzy domy dalej, przekreśliła klucz w zamku, zdjęła lancuch i wpuściła ją do środka.

-Cześć, dziecino. Jak leci?

Ladne masz włosy - pokazała na migi Felina.

-Naprawdę? Musiałam coś z nimi zrobić i fryzjerka zapytała, czy ma mnie uczesać po staremu, czy też może chce coś nowoczesnego. Pomyślałam wtedy sobie, że nie jestem jeszcze taka stara, żeby nie mogła wyglądać sexy, no nie?

Alice miała dopiero trzydzieści trzy lata, była o pięć lat starsza od Feliny. Swoje blond loki zamieniła na fryzurę bardziej nowoczesną i choć zanosilo się na to, że będzie potrzebować dodatkowego źródła dochodów na zakup lakieru, wyglądała naprawdę świetnie.

Wejdz. Chcesz drinka?

-Marzę o drinku, dziecino. W tej chwili wypilabym chyba ze szesciu od razu, ale niestety muszę odmówić. Przyjda dziś do nas nasi szwagrowie i albo będziemy grać z nimi w karty albo ich zastrzelimy - w zależności od tego, jak będą się zachowywać.

Śród wszystkich ludzi, z którymi Felina spotykała się na co dzień, Alice była jedyną oprócz Clinty, która rozumiała język migowy. Biorąc pod uwagę fakt, że większość ludzi traktuje głuchych z uprzedzeniem, choć nie chce się do tego przyznać, Alice była zarazem jej jedyną przyjaciółką. Jednak Felina gotowa byłaby poświęcić te przyjaźni, żeby tylko Mark Kasper - syn Alice, z którego powodu matka nauczyła się języka znaków - nie był głuchy od urodzenia.

-Przyszłam, bo zadzwonił Clint i prosił, by ci powiedzieć, że jeszcze pracuje i raczej nie wróci do domu przed osmą. Od kiedy zaczął tak długo pracować?

Zajmują się teraz dużą sprawą. To zawsze oznacza godziny nadliczbowe.

-Zamierza zabrać cię gdzieś na obiad. Prosił, żebyś ci powtórzyła, że dziś był niesamowity dzień.

Chodziło mu chyba o tę sprawę, no nie? To fascynujące być zoną detektywa. I to takiego milego. Masz szczęście, dziecino.

Tak, ale on też.

Alice rozesmiała się.

-Szczera prawda! A jeśli jeszcze kiedyś wróci do domu tak późno, nie daj się zbyć obiadem. Niech kupi ci za to diamenty.

Felina pomyślała o czerwonych kamieniach, które przyniósł wczoraj do domu Clint, i zrobiło się jej żal, że nie może opowiedzieć o nich Alice. Niestety, wszystko, co dotyczyło interesów Dakota and Dakota, a zwłaszcza prowadzonych aktualnie spraw, przy których zagrożone było życie klienta, stanowiło w ich domu tajemnice równie święte jak sekrety małżeńskiego łoża.

-To co, w sobotę o szóstej trzydziestej u nas? Jack przyrzadzi mnóstwo chilli i będziemy grać w pinochle, zjadając się i popijając wszystko piwem, dopóki nie padniemy. Dobrze?

Tak.

-Powiedz też Clintowi, że nie pogrywamy się, jeśli nie będzie się odzywał.

Felina parsknęła śmiechem.

Ostatnio się poprawił.

-To dlatego, że go cywilizujesz, dziecino. Uscisnęły się na pożegnanie i Alice wyszła.

Felina zamknęła drzwi, po czym, spojrzawszy na zegarek, stwierdziła, że dochodzi siódma. Miała tylko godzinę, żeby przygotować się do wyjścia. Chciała wyglądać wyjątkowo dobrze, nie z powodu jakiejś szczególnej okazji, ale dlatego, że zawsze pragnęła wyglądać jak najlepiej dla Clinta. Ruszyła w stronę sypialni, lecz po drodze przypomniały się jej drzwi wejściowe. Zamknęła je tylko na zatrask. Wróciła do holu, zasunęła zasuwę i założyła na miejsce lancuch.

Clint za bardzo się o nią martwił. Gdyby wrócił do domu i przekonał się, że zapomniała o zasuwie, na jej oczach postarzałby się o rok w ciągu jednej minuty.

50

Po wolnym dniu, stosując się do telefonicznego polecenia Clinta, Hal Yamataka zjawił się w biurze we wtorek pięć po południu do siódmej, aby objąć dyżur na wypadek, gdyby w nocy wrócił Frank. Clint czekał na niego w holu, gdzie przy filiżance kawy przedstawił mu pokrótce wydarzenia dnia. Hal musiał przecież poznać aktualną sytuację, a kiedy usłyszał, co zaszło podczas jego nieobecności, ponownie z tęsknotą pomyślał o karierze ogrodnika. Prawie każdy członek jego rodziny prowadził ogrodniczą firmę lub przynajmniej był właścicielem niewielkiego sadu. Wszystkim powodziło się doskonale, zarabiali więcej niż Hal w Dakota and Dakota, niektórzy znacznie więcej. Jego trzech bracia oraz różni dobrze sytuowani wujkowie co jakiś czas namawiali go, żeby dla nich pracował

lub przyłączył się do interesu, lecz on na razie odmawiał. Nie dlatego, by miał coś przeciwko prowadzeniu szkółki, sprzedawaniu ogrodniczych towarów, kształtowaniu krajobrazu, przycinaniu drzew czy wreszcie samemu ogrodnictwu. Po prostu w południowej Kalifornii określenie "japoński ogrodnik" stało się raczej wyswiechtanym frazesem niż synonimem jakiegokolwiek kariery, a on nie mógł znieść myśli o podporządkowaniu się stereotypom.

Przez całe życie zaczytywał się namietnie powieściami sensacyjnymi i przygodowymi, toteż pragnął upodobnić się do postaci, o których czytał. Szczególnie pociągali go główni bohaterowie utworów Johna D. MacDonalda, obdarzeni skomplikowanym życiem wewnętrznym na równi z odwagą, wrażliwi, a zarazem twardzi. W głębi serca Hal przyznawał, że na co dzień jego praca w Dakota and Dakota była równie nieciekawa jak zajęcia ogrodnika, a okazje do wykazania się bohaterstwem w ochronie przemysłowej pojawiały się o wiele rzadziej, niż wydawało się to ludziom spoza branży. Równocześnie jednak, sprzedając worek nawozu, puszkę Spectricidu czy nasiona nagietka nie potrafiłby wmawiać sobie, że jest romantycznym bohaterem lub że ma szansę nim zostać. A przecież obraz własnej osoby bywa na ogół najważniejszym elementem rzeczywistości.

-Jeśli zjawi się tutaj Frank, to co mam z nim zrobić? - zapytał Clint.

-Zapakuj go do wozu i natychmiast zawieź do Bobby'ego i Julie.

-Do ich domu?

-Nie. Do Santa Barbara. Jada tam dziś wieczorem. Zatrzymają się w "Red Lion Inn", tak by jutro od rana móc zacząć szperac wokół rodziny Pollardów.

Marszcząc czoło, Hal unosił się z sofy.

-Wydawało mi się, że powiedziałeś, iż oni nie wierzą, abysmy jeszcze kiedykolwiek ujrzeli Franka.

-Bobby sądzi, że Frank rozpada się na kawałki, że nie przetrwa takiej serii przeskoków. Takie jest po prostu jego zdanie.

-Kto w takim razie jest ich klientem?

-Na razie w dalszym ciągu Frank.

-Wszystko to dalej wydaje mi się dziwne. Bądź ze mną szczery, Clint. Co naprawdę łączy ich z tą sprawą, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę narastające z godziny na godzinę niebezpieczeństwo?

-Lubia Franka. Ja też go lubię.

-Prosiłem o szczerosc. Clint westchnał.

-Sam nie wiem. Bobby wrócił śmiertelnie wystraszony, a jednak nie zrezygnował. Można by sądzić, że dadzą temu wszystkiemu spokój, przynajmniej do czasu, aż znowu pojawi się Frank, o ile to kiedykolwiek nastąpi. Ten jego braciszek, Candy, wygląda na wcielonego diabła. Nikt mu nie da rady. Bobby i Julie bywają czasem uparci, ale nie są przecież głupi. Spodziewałem się, że odpuszcza

sobie te sprawie, zwłaszcza teraz, gdy przekonali się, że jest to zadanie na miarę Boga, a nie prywatnego detektywa. Tymczasem sam widzisz, co się dzieje.

* * *

Bobby i Julie usiedli przy biurku Lee Chena, który przedstawił im zgromadzone do tej pory informacje.-Jeśli nawet te pieniądze zostały skradzione, to można je spokojnie wydać - powiedział Lee. - Nie znalazłem tych numerów na żadnych wykazach - federalnych, stanowych czy lokalnych.

Bobby'emu przyszło do głowy kilka źródeł, z których Frank mógł wynieść spoczywające aktualnie w ich sejfie sześćset tysięcy dolarów. Wystarczy znaleźć miejsce, gdzie są duże przyływy gotówki i skąd nie zawsze przewozi się do banku dzienny utarg - i już mamy potencjalny cel. Weźmy na przykład czynny do północy supermarket. Dyrektor nie zechce przewozić do banku większej sumy i oddawać jej w automatyczny depozyt, zaopatrzy się więc we własny sejf. Po zamknięciu sklepu, będąc Frankiem, teleportujesz się do środka, korzystając ze swoich zdolności, otwierasz sejf, pakujesz dzienny utarg do torby na zakupy i znikasz. Nie trafisz w ten sposób na wielki łup rzędu kilkuset tysięcy, ale w ciągu godziny odwiedzasz trzy lub cztery supermarkety i wychodzisz na swoje.

Najwidoczniej Julie musiała rozważać te same kwestie, bo po chwili odezwała się:

-Kasyna. Wszystkie mają sale rozliczeń, które można odnaleźć na planach i gdzie inspekcja finansowa może się dostać bez większego wysiłku. Oprócz tego posiadają jednak także ukryte pomieszczenia, do których spływa cała smietanka. Coś w rodzaju ogromnych sejfów. Fort Knox może im pozazdrościć. Korzystając z pomniejszych zdolności psychicznych określasz położenie takiej sali, a następnie teleportujesz się do środka, gdy nikogo tam nie ma, i zabierasz sobie, co tylko chcesz.

-Przez jakiś czas Frank mieszkał w Vegas - wtracił Bobby. - Pamiętasz, opowiadał o pustej działce, na której przedtem stał jego dom.

-Nie musiał ograniczać się do Vegas - dodała Julie. - Reno, Tahoe, Atlantic City, Karaiby, Makao, Francja, Anglia, Monte Carlo - wszystkie ośrodki wielkiego hazardu.

Ta rozmowa o łatwym dostępie do nieograniczonych zasobów gotówki wprowadziła Bobby'ego w podniecenie, choć nie potrafił określić jego przyczyny. Ostatecznie to Frank, a nie on, posiadał sztuki teleportacji, a w dziewięćdziesięciu procentach był pewien, że więcej go nie ujrzy.

Rozkładając sterte wydruków na blacie biurka, Lee Chen powiedział:

-Pieniądze są w tym wszystkim najmniej ważne. Jak pamiętacie, chcieliście, abym się zorientował, czy policja trafiła na trop Pana Blekitnego.

-Candy'ego - odpowiedział Bobby. - Znamy już jego imię. Lee zrobił nachmurzoną minę.

-Szkoda. Bardziej podobał mi się Pan Blekitny. To było bardziej stylowe.

-Nie sądzę, abym zawierzył ocenie stylu dokonanej przez faceta noszącego czerwone buty i skarpetki - rzucił od drzwi Hal Yamataka.

Lee potrzasnal glowa.

-My, Chinczyzy, pracowalismy od tysiecy lat nad wytworzeniem oniesmielajacego wizerunku wszystkich Azjatow, tak aby utrzymac rownowage pomiedzy nami a tymi nieszczesnikami z Zachodu. I wtedy wy, Japonczyzy, zniszczyliscie wszystko, krecac filmy o Godzilli. Nie mozesz byc tajemniczy, robiac rownoczesnie filmy o Godzilli.

-Tak? To pokaz mi kogos, kto rozumie te filmy, moze z wyjatkiem pierwszego.

Lee i Hal tworzyli interesujaca pare. Jeden szczuply, modnie ubrany - delikatne, pelne entuzjazmu dziecko epoki krzemowych obwodow - drugi przysadzisty, szeroki w barach, o grubo ciosanej twarzy i minimalnej znajomosci wysoko rozwinietej techniki.

Dla Bobby'ego najciekawsze jednak bylo to, ze az do tej chwili nie zdawal sobie sprawy z nieproporcjonalnie wysokiego procentu Azjatow wsrod niewielkiej zalogi Dakota and Dakota. Mial przeciez jeszcze dwoch Wietnamczykow: Nguyen Tuan Phu i Jamie Quanga. Czterech sposrod jedenastu. Choc czesto zartowali z Halem na temat stosunkow Wschod-Zachod, nigdy nie traktowal zadnego z tej czwórki jako pracownika gorszej kategorii. Byli po prostu soba, rozniac sie od innych tak, jak jablka rozniac sie od gruszek, a pomarancze od brzoskwin. Uswiadomil sobie nagle, ze jego szczegolne upodobanie do wspolpracownikow azjatyckiego pochodzenia mowilo cos o nim samym i bylo to cos wiecej niz oczywisty i godny podziwu brak uprzedzen rasowych, nie potrafil jednak tego sprecyzowac.

-Nic nie wyglada bardziej tajemniczo niz sama koncepcja olbrzymiej cmy Motry - powiedzial Hal. - Przy okazji, Bobby, Clint poszedl do domu, do Feliny. Wszyscy powinniemy miec jakas przyjemnosc.

-Lee opowiadal wlasnie o Panu Blekitnym - poinformowala go Julie.

-Candym - poprawil ja Bobby.

Wskazujac dane, jakie udalo mu sie uzyskac z policyjnych zrodel z terenu calego kraju, Lee powiedzial:

-Wikszosc policyjnych agencji zostala skomputeryzowana i polaczona w jedna siec dopiero jakies dziewiec lat temu. Dlatego tez elektroniczne zbiory danych na ogol siegaja wstecz tylko do tego momentu. Ale nawet w tym okresie na obszarze dziesieciu stanow wydarzylo sie siedemdziesiat osiem brutalnych morderstw, wykazujacych wystarczajace podobienstwo, by mozna bylo przypuszczac, ze sa one dzielem tego samego sprawcy. Zwracam uwage, ze chodzi tu tylko o teoretyczna mozliwosc. Tym niemniej cala sprawa wydala sie FBI na tyle interesujaca, ze w ubieglym roku powolali specjalny trzyosobowy zespol - jeden czlowiek w biurze, a dwoch w terenie - koordynujacy lokalne dochodzenia.

-Trzech ludzi? - zdziwil sie Hal. - Chyba nie bardzo im na tym zalezy.

-FBI zawsze za bardzo sie rozdrabnialo - stwierdzila Julie. - A w ciagu ostatnich trzydziestu lat, gdy sedziowie przestali ferowac surowe wyroki w sprawach kryminalnych, namnozylo sie mnostwo

bandytow. Trzech ludzi pracujacych na pelnych etatach to w obecnej sytuacji przejaw zupełnie powaznego zaangażowania.

Wyciagajac jakis wydruk z lezacego na biurku stosu, Lee strescil widniejace na nim dane.

-Wszystkie te morderstwa maja kilka cech wspolnych. Po pierwsze - za kazdym razem ofiary byly pogryzione, najczesciej w okolicy gardla, choc wyglada na to, ze ten facet nie gardzi zadna czescia ciala. Po drugie - wiele z nich zostalo pobitych, doznalo obrazen glowy, lecz doslownie w kazdym przypadku podstawowym czynnikiem, ktory spowodowal smierc, byl uplyw krwi wywolany rozdarciem zyly lub tetnicy szyjnej, niezaleznie od tego, czy wystapily jeszcze jakies obrazenia.

-Wiec na dodatek ten typ jest jeszcze wampirem? - zapytal Hal. Traktujac pytanie powaznie - tak jak w tej niesamowitej sprawie nalezalo podchodzic do kazdej ewentualnosci, bez wzgledu na to, jak nieprawdopodobna moglaby sie wydawac - Julie odparla:

-Nie jest wampirem w sensie nadprzyrodzonym. Z tego, co juz wiemy, cala rodzina Pollardow z jakichs przyczyn zostala szczodrze obdarzona. Znasz tego magika z telewizji, Zdumiewajacego Randiego, ofiarujacego sto tysiecy dolarow kazdemu, kto wykaze swe zdolnosci psychiczne? Pollardowie doprowadziliby go do bankructwa. Nie oznacza to jednak, ze sa istotami nadprzyrodzonymi. Nie sa demonami, dziecmi szatana czy nawiedzonymi, nic z tych rzeczy.

-Maja po prostu nieco zmieniony material genetyczny - dodal Bobby.

-Wlasnie. Jezeli Candy zachowuje sie jak wampir, przegryzajac ludziom gardla, to jest to jedynie przejawem choroby psychicznej - ciagnela Julie - i wcale nie oznacza, ze mamy do czynienia z chodzacych umarlakiem.

Bobby'emu stanal przed oczami potezny blondyn, pedzacy ku niemu i Frankowi przez zalewana deszczem czarna plaze Punaluu. Facet byl wielki jak lokomotywa. Gdyby musial wybierac pomiedzy Candym Pollardem a Dracula, zdecydowalby sie raczej na niesmiertelnego Ksiecia. Nic tak prostego jak zabek czosnku, krucyfiks czy odpowiednio wbity drewniany kolek nie mogloby bowiem powstrzymac brata Franka.

Ponownie glos zabral Lee:

-Kolejne podobienstwo. W przypadkach, gdy ofiary nie pozostawily otwartych drzwi lub okien, nie mozna bylo ustalic, w jaki sposob zabojca dostal sie do srodka. Policja znalazla pozamykane od wewnatrz zasuwki i nie naruszone okna, tak jakby napastnik po dokonaniu zbrodni ulotnil sie kominem.

-Siedemdziesiat osiem morderstw - powiedziala Julie, czujac przenikajacy cialo dreszcz.

Lee odlozyl papier na biurko.

-Oni sadza, ze moze byc tego wiecej, moze nawet znacznie wiecej, poniewaz czasami ten osobnik usilowac zatrzec slady ukaszen okaleczajac ciala lub nawet je palac. Chociaz policja nie dala sie nabrac w przedstawionych tu przypadkach, mozna przyjac, ze przegapila wiele innych. Tak wiec

liczba koncowa jest o wiele wyzsza, zwlaszcza ze przedstawione sprawozdanie obejmuje tylko ostatnie dziewiec lat.

-Dobra robota, Lee - z uznaniem stwierdzila Julie, a Bobby byl tego samego zdania.

-Jeszcze nie skonczylem - odparl informatyk. - Zamowie sobie pizze, a potem troche poszperam.

-Przesiedziales tu dzisiaj juz ponad dziesiec godzin - zauwazyl Bobby. - To przekracza warunki umowy. Musisz odpoczac, Lee.

-Gdybys wierzyl, jak ja, ze czas jest zjawiskiem subiektywnym, zawsze mialbys go pod dostatkiem. Gdy bede juz w domu, rozciagne pare godzin w kilka tygodni i rano zjawie sie w biurze zupełnie wypoczety.

Hal Yamataka potrzasnal glowa i westchnal.

-Choc z niechecia, musze jednak przyznac, Lee, ze jestes cholernie dobry w te orientalne klocki.

Lee usmiechnal sie tajemniczo.

-Dziekuje.

* * *

Kiedy juz Bobby i Julie pojechali do domu, aby spakowac sie przed nocna wyprawa do Santa Barbara, a Lee z powrotem zamknal sie w sali komputerow, Hal zasiadl na sofie w pokoju szefow, zrzucil buty i oparl stopy na blacie stolika do kawy. Wciaz mial przy sobie kieszonkowe wydanie powiesci Pozostal tylko ostatni, ktora przeczytal juz dwukrotnie, a poprzedniej nocy w szpitalu zaczal po raz trzeci. Jesli Bobby mial racje, twierdzac, ze nigdy wiecej nie ujrza Franka, Hal mial przed soba spokojna noc - prawdopodobnie dotrze do polowy powiesci. Byc moze jego szczesliwa egzystencja w Dakota and Dakota nie miala nic wspolnego z perspektywa przygod i unikaniem stereotypowych zajec ogrodnika, przy ktorych nie mialby szans na zostanie bohaterem. Byc moze o wyborze zawodu zadecydowala swiadomosc, ze nie da sie kosic trawnika, przystrzygac zywoplotu badz tez obsiewac kwiatowych rabat, czytając rownoczesnie ksiazke.

* * *

Derek siedzial na swoim krzesle. Wyciagnal pilota w strone telewizora i telewizor sie wlaczyl. - Chcesz obejrzec wiadomosci? - zapytal.

-Nie - odparl Thomas. Siedzial na lozku z plecami podpartymi poduszka, zapatrzony w ciemniejace za oknem niebo.

-To dobrze, bo ja tez nie. - Derek nacisnal guzik. Na ekranie pojawil sie nowy obraz. - Chcesz obejrzec teleturniej?

-Nie.

Wszystko, czego chciał Thomas, to dotrzeć do Czegos Zlego.

-To dobrze. - Derek wybrał inny przycisk, a niewidzialne promienie sprawiły, że obraz na ekranie znow się zmienił. - Chcesz obejrzyć wyglupy Trzech Oferm?

-Nie.

-Co chcesz obejrzyć?

-Nieważne. To, co i ty.

-Naprawdę?

-To, co i ty - powtórzył Thomas.

-Ojej, to fajnie. - Przez ekran przemknęło wiele obrazów, zanim znalazł film o kosmosie, gdzie kosmonauci w kombinezonach rozglądali się po jakimś strasznym miejscu. Derek westchnął ze szczęścia i powiedział:

-To jest dobre. Podobają mi się ich kapelusze.

-Helmy - sprostował Thomas. - Kosmiczne helmy.

-Chciałbym mieć taki kapelusz.

Tym razem, sięgając w wielką ciemność Thomas postanowił nie wyobrazić sobie myślowej nitki rozwijającej się w stronę Czegos Zlego. Zamiast tego wywołał obraz pilota wysyłającego niewidzialne promienie. To było o wiele lepsze! Pstryk - i w mgnieniu oka był już przy Czymś Złym. Czuł je mocniej niż poprzednio, tak mocno, że aż się wystraszył, więc wyłączył pilota i natychmiast wrócił do pokoju.

-Oni mają telefony w tych kapeluszach - poinformował go Derek. - Widzisz, rozmawiają między sobą.

Na ekranie telewizora kosmonauci zawędrowali w jeszcze straszliwsze miejsce. Ciągłe się rozglądali, bo to właśnie kosmonauci robili najczęściej, choć zazwyczaj w takich strasznych miejscach czekały na nich różne brzydkie-paskudne stworzenia. Kosmonauci nigdy niczego się nie uczyli.

Thomas odwrócił wzrok od ekranu.

Spojrzał w okno.

W ciemność.

Bobby bał się o Julie. Bobby wiedział coś, czego nie wiedział Thomas. Jeśli Bobby boi się o Julie, Thomas musi być dzielny i zrobić Co Należy.

Pomysł z pilotem okazał się doskonały. Z początku wystraszył się jego skutków, ale potem stwierdził, że to naprawdę dobre rozwiązanie, gdyż w ten sposób łatwiej mógł odnaleźć Cos Złego. Szybciej do Czegoś Złego docierał, a w razie potrzeby mógł także szybciej uciec. Pozwoli mu to częściej sprawdzać jego zamiary, bez obawy, że schwyci ono myślowa nic i dotrze po niej do Domu. Złapanie niewidzialnego promienia było znacznie trudniejsze, nawet dla kogoś równie szybkiego, przebiegłego i okrutnego jak Cos Złego.

Jeszcze raz wyobraził sobie pilota, nacisnął guzik i jakaś część jego umysłu pomknęła przez ciemność - pstryk! - prosto ku Czemus Złemu. Od razu poczuł, jak bardzo Cos Złego było wściekłe, bardziej niż kiedykolwiek. Cały czas myślało o krwi, więc Thomasa omal nie zemdliło. Zaprzagnął natychmiast wrócić do Domu; wiedział, że Cos Złego wyczuło jego obecność i bardzo mu się to nie podobało, ale pozostał kilka sekund dłużej, żeby sprawdzić, czy wśród tych wszystkich myśli o krwi nie znajdzie się jakaś myśl o Julie. Gdyby Cos Złego wiedziało o Julie, Thomas natychmiast przesłałby przez telewizję ostrzeżenie do Bobby'ego. Ucieszył się, nie mogąc natrafić na ślad Julie w umyśle Czegoś Złego, i szybko cofnął promień do Domu.

-Jak myślisz, gdzie mogłbym dostać taki kapelusz? - zapytał Derek.

-Helm.

-Widzisz, ma nawet światełko.

Unosząc się nieco na poduszkach, Thomas powiedział:

-Wiesz, o czym jest ten film? Derek potrząsnął głową.

-O czym?

-To taka historia, gdzie w każdej chwili może wyskoczyć coś brzydkiego-paskudnego i przykleić się do twarzy kosmonauty albo przez usta wpelznąć mu do brzucha i założyć tam gniazdo.

Derek z niesmakiem skrzywił twarz.

-A niech to. Nie lubię takich filmów.

-Wiem - odparł Thomas. - Dlatego cię ostrzegam. Podczas gdy Derek wywoływał na ekranie coraz to inne obrazy, chcąc zostawić daleko za sobą kosmonautę, któremu coś miało się przysnąć do twarzy, Thomas próbował zastanowić się, ile czasu powinien poczekać, zanim ponownie sięgnie ku Czemus Złemu. Bobby naprawdę się martwił, choć usiłował to ukryć, a nie był Głupia Osoba, więc Thomas robił chyba najlepiej, jeśli zaczął sprawdzać Cos Złego regularnie, na wypadek, gdyby pojawiła się nagle myśl o Julie.

-Chcesz to oglądać? - zapytał Derek.

Na ekranie ukazał się człowiek w masce hokeisty, z wielkim nożem w dłoni, podchodzący ostrożnie do łóżka, w którym spała młoda dziewczyna.

-Lepiej daj cos innego - poprosil Thomas.

* * *

Poniewaz minela juz godzina szczytu, poniewaz Julie znala wszystkie skroty, a przede wszystkim dlatego, ze nie byla w nastroju do ostroznej jazdy zgodnej z przepisami, trase z biura do domu na wschodnich krancach Orange pokonali w znakomitym czasie. Po drodze Bobby opowiedzial jej o karaluchu z Kalkuty, ktory stal sie czescia jego buta, gdy razem z Frankiem wyladowali na czerwonym moscie w ogrodzie w Kioto.

-Ale kiedy przeskoczyliśmy na gore Fudzi, moje buty znowu byly w porzadku, karaluch zniknal.

Zwolnila przed skrzyzowaniem, ale poniewaz kierowala jedynym w zasiegu wzroku pojazdem, zlekcewazyla znak "stop".

-Dlaczego nie powiedziales o tym w biurze?

-Nie mielismy czasu na wszystkie szczegoly.

-Jak myslisz, co stalo sie z karaluchem?

-Nie wiem. I to mnie wlasnie martwi.

Jechali Newport Avenue, opodal Crawford Canyon. Oswietlajace ulice sodowe lampy rzucaly na jezdnie dziwne swiatlo.

Wierzcholki stromych wzgorz po lewej stronie zajmowalo kilka okazalych domow w stylu Tudorow, plonacych swiatlami niczym luksusowe liniowce. Domy robily niesamowite wrazenie, czesciowo dlatego, ze z powodu niezwykle wygorowanych cen ziemi ogromne gmazyska wznoszono na nieproporcjonalnie malych parcelach, po czesci zas z powodu niezgodnosci angielskiej architektury z subtropikalnym otoczeniem. Wszystko to bylo czescia kalifornijskiego cyrku, ktory czasami budzil w Bobbym nienawisc, znacznie czesciej jednak zyskiwal sobie jego milosc. Domy na gorze nigdy dotychczas mu nie przeszkadzaly i doprawdy nie potrafil powiedziec, dlaczego majac na glowie tyle problemow, akurat teraz zwrocił na nie uwage. Moze byl jeszcze tak poruszony, ze najmniejszy przejaw dysharmonii przypominal mu chaos, w jakim omal nie przepadl podrozujac z Frankiem.

-Musisz jechac tak szybko? - zapytal.

-Tak - odrzekla uprzejmie. - Chce wpasc do domu, spakowac sie, dojechac do Santa Barbara, dowiedziec sie mozliwie wszystkiego o rodzinie Pollardow i zamknac te cholernie paskudna sprawe.

-Jezeli tak do tego podchodzisz, to dlaczego nie zamkniesz jej juz teraz? Kiedy wroci Frank, oddamy mu pieniadze i sloik czerwonych diamentow, powiemy, ze nam przykro, ze fajny z niego facet, ale dluzej sie nie bawimy.

-Nie mozemy tego zrobic. Przygryzl dolna warge.

-Wiem. Ale nie mogę pojąć, co popycha nas do tej roboty. Pokonali grzbiet wzniesienia i przyspieszając ruszyli na północ, mijając zjazd na Rocking Horse Ridge. Ich własne osiedle znajdowało się zaledwie o trzy ulice dalej na lewo. Gdy w końcu zaczęła hamować przed zakretem, spojrzała na niego i powiedziała:

-Naprawdę nie wiesz, dlaczego nie możemy zrezygnować?

-Nie. A ty wiesz?

-Wiem.

-To powiedz.

-Sam kiedyś do tego dojdiesz.

-Nie bądź taka tajemnicza. To do ciebie niepodobne. Skreśliła służbowa toyota w drogę dojazdową, potem w ulicę, przy której stał ich dom.

-Jeśli powiem, co myślę, to się zdenerwujesz. Będziesz mi zaprzeczać, zaczniemy się kłócić. Nie chcę kłótni z tobą.

-Dlaczego mielibyśmy się kłócić?

Wjechała na podjazd, zaparkowała, wyłączyła światła i silnik. Zwrociła ku niemu twarz. Jej oczy polyskiwały w ciemności.

-Kiedy zrozumiesz, dlaczego brniemy w to dalej, nie będziesz zadowolony, bo wystawia nam to nie najlepsze świadectwo. Zaczнеш dowodzić, że się mylę, że jesteśmy tylko parą słodkich dzieciaków. Lubisz myśleć o nas jak o parze dzieciaków, mądrych, a zarazem z gruntu niewinnych, coś jakby młodzi Jimmy Stewart i Donna Reed. Kocham cię za to - za to, że jesteś takim marzycielem - i będzie mi naprawdę przykro, gdy zechcesz się kłócić.

Omam nie zaczął kłótni o to, że nie będzie się z nią kłócić. Zamiast tego przyjrzał się jej uważnie i powiedział:

-Mam takie uczucie, że kiedy będzie już po wszystkim i zrozumie, dlaczego tak bardzo mi zależało na przeprowadzeniu tej historii do końca, moje motywacje okazały się mniej szlachetne, niż to sobie teraz wyobrażam. Dziwne, nieprzyjemne uczucie. Jakbym dokładnie nie znał samego siebie.

-Może przez całe życie uczymy się poznawać samych siebie. I chyba nigdy nie udaje nam się to do końca.

Pocałowała go lekko, po czym szybko wysiadła z wozu.

Idąc za nią chodnikiem w stronę frontowych drzwi, popatrzył w niebo. Przejrzystość dnia zniknęła bez śladu. Księżyc i gwiazdy zgasły, przesłonięte całunem chmur. Niebo stało się bardzo ciemne, a na ten widok ogarnęło go dziwne przeswiadczenie, że ogromny, przerażający ciężar - czarny, a więc

Candy stlumil w sobie furie, usilujaca wyrwac sie na swobode niczym przytrzymywany na smyczy bojowy pies. Kolysal sie w fotelu, czekajac, az jego niesmiały gość nabierze stopniowo odwagi. Co jakiś czas czuł na głowie dotyk niewidzialnej dłoni. Początkowo był delikatny jak muszkieta jedwabnej rekawiczki i ustawał niemal w tej samej chwili, w której się pojawiał. Jednak w miarę, jak udawał brak zainteresowania tak reka, jak i osoba, do której należała, przybysz zaczął poczynac sobie śmieiej, jego dłoń stała się ciezsza i mniej nerwowa. Choć, nie chcąc spłoszyć intruza, Candy nawet nie próbował szperac w jego umyśle, niektóre z myśli obcego docierały do niego samoistnie. Był pewien, że przybysz nie zdawał sobie sprawy z faktu, że obrazy i słowa z jego pamięci przenikały do świadomości Candy'ego, saczyły się powoli niczym kropelki wody, wypływające z niewidocznych dziurek w dnie żardzewiałego wiadra.

Kilkakrotnie przemknęło imię "Julie". Za którymś razem towarzyszył mu wizerunek atrakcyjnej kobiety o brązowych włosach i ciemnych oczach, lecz Candy nie był pewien, czy to, co widzi, to twarz intruza, czy też kogoś mu znanego. Taka osoba mogła nawet w rzeczywistości nie istnieć. Pewne cechy zdawały się wskazywać na jej nierealny charakter: promieniowała bladym światłem i miała tak łagodne, przesycone spokojem rysy, że wyglądała niczym portret świętej z ilustrowanej Biblii.

W umyśle przybysza powtarzało się również słowo "motylek", czasami powiązane z innymi wyrazami, jak choćby "pamiętaj o motylku" czy "nie zostan motylkiem". Za każdym razem, gdy pojawiał się to słowo, gość szybko uciekał.

Ale potem wracał, bo przecież Candy nie robił niczego, żeby go zniechęcić.

Candy wciąż się kolysał. Fotel poskrzypywał cicho: krik... krik... krik... krik...

Czekał.

Szeroko otworzył umysł.

... krik... krik... krik...

Dwukrotnie pojawiło się imię "Bobby", a za drugim razem wiązało się z nim zamglony obraz twarzy, tak samo wyidealizowanej, jak twarz Julie. Candy uchwycił w niej coś znajomego, lecz portret był zbyt rozmazany, zaś Candy nie chciał się na nim koncentrować, gdyż gość mógłby to wyczuć i nabrać podejrzeń.

W ciągu długiego okresu cierpliwego wyczekiwania płochliwy intruz odsłonił Candy'emu wiele innych słów i obrazów, choć nie bardzo można było w nich uchwycić jakikolwiek sens.

... mężczyźni w kosmicznych skafandrach...

... Cos Złego...

... człowiek w masce hokeisty...

... Dom...

... Głupi Ludzie...

... szlafrok, nadgryziony batonik Hersheya, nagła, gorączkowa myśl: Przyciąga Zuki, niedobrze; Przyciąga Zuki, trzeba dbać o Czystość...

Kontakt urwał się na ponad dziesięć minut i Candy zaczął się już martwić, że przybysz odszedł na dobre. Lecz właśnie wtedy nagle powrócił. Tym razem kontakt był mocny, silniejszy niż kiedykolwiek.

Gdy tylko Candy wyczuł, że natętał nabral odwagi, pojął, że nadszedł czas działania. Wyobraził sobie własny umysł w postaci stalowej pulapki, zaś intruza jako wścibska mysz. Sprawił, że pulapka się zatrzasnęła, przygwożdżając mysz do podstawy.

Przerazony przybysz próbował się uwolnić. Candy trzymał mocno, usiłując równocześnie szturmować wejście do jego umysłu, aby ustalić, kim jest, gdzie się znajduje i czego chce.

Candy w ogóle nie miał zdolności telepatycznych, niczego, co mogłoby się równać nawet ze słabymi umiejętnościami natęta. Nigdy przedtem nie czytał cudzych myśli i nie miał najmniejszego pojęcia, jak się do tego zabrać. Na szczęście okazało się, że wystarczyło, by sam się otworzył i przyjął to, co miał mu do zaoferowania gość. Jego imię brzmiało Thomas. Bał się Candy'ego, tego, że Zrobił Coś Naprawdę Głupiego i naraził Julie na niebezpieczeństwo; te trzy leki zdruzgotwały jego psychiczną obronę, powodując samorzutny wypływ potoku informacji.

Prawde mówiąc, tych informacji było aż za wiele, by Candy zdołał je uporządkować, zalewany zewsząd falami słów i obrazów. Rozglądał się rozpaczliwie w poszukiwaniu wskazówek pomocnych w określeniu tożsamości Thomasa i jego lokalizacji.

Głupi Ludzie, Cielo Vista, Dom, nikt tu się nie zna na lamigłówkach, Dom Opieki, dobre jedzenie, telewizja, Najlepsze Miejsce Dla Nas, Cielo Vista, pielęgniarki są miłe, oglądamy kolibry, na zewnątrz świat jest zły, bardzo dla nas niedobry, Dom Opieki Cielo Vista...

Z pewnym zdumieniem Candy uświadomił sobie, że przybysz był osobą upośledzoną umysłowo - pochwycił nawet termin "zespol Downa" - i z niepokojem zaczął zastanawiać się, czy z belkotu Thomasa zdoła wyłowić myśli dotyczące miejsca jego pobytu. W zależności od posiadanego ilorazu inteligencji, Thomas mógł nie wiedzieć, gdzie znajduje się Dom Opieki Cielo Vista, choć najwidoczniej w nim mieszkał.

Jakby w odpowiedzi na te wątpliwości, z umysłu Thomasa wysnuwał się ciąg obrazów, łańcuch powiązanych ze sobą wspomnień, wciąż jeszcze przyprawiających go o ból: podróż samochodem do Cielo Vista w towarzystwie Julie i Bobby'ego, w dniu, gdy po raz pierwszy miał tam zamieszkać. W odróżnieniu od innych scen, pełno tu było szczegółów odnotowanych z fotograficzną wręcz dokładnością, przesuwających się przed oczami Candy'ego jak na filmie, dostarczających mu

odpowiedzi na wszystkie pytania. Widział drogi, którymi jechali tamtego dnia, migające za oknem wozu drogowskazy, stojące przed każdym zakretem znaki, wszystko to, co Thomas starał się zapamiętać, przez całą drogę nurtowany niespokojnymi myślami: Jeśli mi się tam nie spodoba, jeśli są tam zli ludzie, jeśli będzie zbyt strasznie, jeśli nie zniosę samotności, muszę wiedzieć, jak w każdej chwili odnaleźć drogę do Bobby'ego i Julie, muszę to zapamiętać, muszę wszystko zapamiętać, ten zakret na 7-11, w tym miejscu na 7-11, żeby tylko nie zapomnieć tej 7-11, a teraz obok tamtych trzech palm. A co będzie, jeśli nie przyjada mnie odwiedzić? Nie, to zła rzecz tak myśleć, przecież mnie kochają, na pewno przyjada. No, ale jeśli nie? Patrz, zapamiętaj ten dom, przejeżdżasz obok niego, zapamiętaj dom z niebieskim dachem..

Candy wchłonął wszystko, a był to opis równie precyzyjny, jak podane przez geografa współrzędne. Wiedział więcej, niż potrzebował, by móc skorzystać ze swego daru. Otworzył pulapkę i pozwolił Thomasowi odejść.

Wstał z fotela.

Wywołał obraz Domu Opieki Cielo Vista, tak doskonale zachowany w pamięci Thomasa.

Wywołał obraz pokoju Thomasa w połnocno-zachodnim narożniku zachodniego skrzydła.

Ciemność, miliardy wirujących w pustce, rozgrzanych do białości iskier, prędkość.

* * *

Ponieważ Julie chciała jak najszybciej zamknąć sprawę, przebywali w domu nie dłużej niż piętnaście minut - wystarczająco długo, by spakować przybory toaletowe i ubrania na zmianę. Na Chapman Avenue w Orange zajeżdżała do baru MacDonalda, gdzie kupili jedzenie na drogę: duże hamburgery, frytki i dietetyczna cola. Nim wyjechali na autostradę, podczas gdy Bobby wciąż jeszcze rozdzielał dodatkowe porcje musztardy i otwierał pojemnik z hamburgerami, Julie przymocowała do wstecznego lusterka wykrywacz radarów, podłączyła go do samochodowej zapalniczki, po czym nacisnęła włącznik. Bobby jeszcze nigdy nie jadł w czasie tak szybkiej jazdy. Mieli na liczniku dobrze ponad osiemdziesiąt pięć mil na godzinę, gdy z Riveside Freeway wypadli na bieżniacę ku połnocy Orange Freeway. Nim zdążył zjeść frytki, już dojeżdżali do Foothill Freeway, okrążającej od wschodu Los Angeles. Choć szczyt dawno minął i na drogach panował minimalny ruch, utrzymywanie takiej prędkości wymagało częstej zmiany pasów i mocnych nerwów.-Jeśli nadal będziesz tak gnać, nie będę miał okazji umrzeć z powodu cholesterolu zawartego w tym hamburgerze - powiedział Bobby.

-Lee utrzymuje, że cholesterol nas nie zabija.

-Czy to są jego słowa?

-Twierdzi, że żyjemy wiecznie i że cholesterol może nas jedynie usunąć z tego życia nieco wcześniej. To samo spotka nas, jeżeli się pomylimy i parę razy przeokożolujemy.

-Nie sądzę, aby nas to czekało - odparł. - Jesteś najlepszym kierowcą, jakiego znam.

-Dziękuję, Bobby. Jesteś najlepszym pasażerem.

-Zastanawiam się tylko...

-Tak?

-Jeśli nie umieramy naprawdę, a tylko przeskakujemy w inne życie i nie musimy się o nic martwić, to po cholere kupowałem dietetyczną colę?

* * *

Thomas poderwał się na równe nogi i zawołał: -Derek, uciekaj, on nadchodzi!

Derek oglądał w telewizji gadającego konia i nie usłyszał Thomasa.

Telewizor stał pośrodku pokoju, pomiędzy łózkami, toteż zanim Thomas podszedł do Dereka, żeby go złapać za rękę i skłonić do słuchania, wokół nich rozległ się śmieszny dźwięk, nie śmieszny cha-cha, tylko dziwnie śmieszny, jakby ktoś gwizdał, ale to nie było zwyczajne gwizdanie. Powiał też wiatr, zaledwie parę podmuchów, ani ciepłych, ani zimnych, lecz pod ich wpływem Thomas zdrztał.

Wyciągając Dereka z krzesła, zawołał:

-Cos Złego nadchodzi, uciekaj, zrób tak, jak ci mówiłem, już! Derek zrobił głupią minę, a po chwili się uśmiechnął, jakby doszedł do wniosku, że Thomas się wygłupia i chce być zabawny jak Trzy Ofermy. Zupełnie zapomniał o danej Thomasowi obietnicy. Myślał, że Cos Złego to jajka w koszulkach na śniadanie, a gdy od tamtego czasu jajka nie pojawiły się na jego talerzu, uznał, że jest całkowicie bezpieczny. Teraz jednak nie był, choć zupełnie o tym nie wiedział.

Znowu rozległy się śmieszne-dziwne swisty i powiał wiatr.

Popychając Dereka w stronę drzwi, Thomas wrzasnął:

-Uciekaj!

Umilkł swist, zamarł wiatr, a zaraz potem, nie wiadomo skąd, pojawiło się nagle Cos Złego. Dokładnie pomiędzy nimi a otwartymi drzwiami.

Był to człowiek, o czym Thomas już wiedział, ale człowiek inny niż zwyczajni ludzie. Można by rzec, ciemność zwinięta w ludzkie kształty, kawalek nocy, który wleciał przez okno do pokoju - i to nie dlatego, że miał na sobie czarną koszulkę i spodnie, tylko ponieważ był cały czarny od środka.

Derek od razu się wystraszył. Nikt nie musiał mu mówić, że ma przed sobą Cos Złego, nie teraz, kiedy widział go na własne oczy. Nie rozumiał natomiast, że jest już za późno na ucieczkę. Ruszył prosto na Cos Złego, jakby chciał w ostatniej chwili przeslizgnąć się obok niego i zapewne taki właśnie był jego zamiar, gdyż nawet Derek nie był na tyle głupi, by sadzić, że zdoła powalić takiego olbrzyma.

Cos Zlego nie dal mu zadnych szans. Zlupal go i uniosl w gore, po prostu oderwal od podlogi, jakby nie wazyl wiecej niz zwykla poduszka. Derek krzyknal, a wtedy Cos Zlego uderzyl nim o sciane tak mocno, ze krzyk sie urwal i zdjecia mamy, taty i brata Dereka posypaly sie ze sciany, nie z tej, w ktora uderzyl Derek, tylko tej naprzeciwko, przy ktorej stalo jego lozko.

Cos Zlego byl strasznie szybki. To bylo w nim najgorsze. Ta okropna szybkość. Kiedy grzmotnal Derekiem o sciane, usta Dereka otworzily sie szeroko, lecz nie wyplynal z nich zaden dzwiek. Zaraz potem Cos Zlego uderzyl ponownie, jeszcze mocniej niz poprzednio, choc juz pierwszy raz byl wystarczajaco mocny dla kazdego czlowieka, i oczy Dereka zrobily sie dziwne. Cos Zlego oderwal go od sciany i cisnal na blat stolu. Stol jeknal, jakby mial rozleciec sie w kawalki, ale sie nie rozlecial. Glowa Dereka zwislala w dol, poza krawedz blatu, wiec Thomas ogladal jego twarz do gory nogami, widzial mrugajace raz po raz oczy i rozwarzte w bezglosnym krzyku usta. Oderwal wzrok od twarzy Dereka i ponad jego ciałem popatrzył na Cos Zlego, który smial sie, jakby wszystko to byl zart, zabawne cha-cha, chociaz wcale tak nie bylo. A potem podniosl lezace na brzegu stolu nozyce, te same, z ktorych Thomas korzystal tworzac swe obrazkowe wiersze i ktore omal nie spadly na podloge, gdy rzucil Dereka na stol. Wsadzil te nozyce w Dereka tak, ze wyszla z niego krew, w biednego Dereka, ktory nie skrzywdzil nikogo oprócz samego siebie, ktory nawet nie wiedzial, jak mozna kogos skrzywdzic. A potem Cos Zlego wepchnal nozyce w inne miejsce na ciele Dereka i wypuscil wiecej krwi, uderzyl jeszcze raz i jeszcze. Krew poplynela nie tylko z czterech zrobionych nozycami dziur w piersi i brzuchu Dereka, ale takze z nosa i ust. Cos Zlego podniosl Dereka ze stolu, z nozycami wciaz tkwiacymi w jednej z ran, a nastepnie odrzucil go jak poduszke. Nie, jak worek smieci; cisnal nim tak, jak smieciarze wrzucaja worki z odpadkami na ciezarowke. Derek wyladowal na plecach w swoim lozku, z nozycami wepchnietymi w glab ciala. Wcale sie nie ruszal i pewnie odszedl w Zle Miejsce. Najgorsze bylo to, ze wszystko rozegralo sie tak szybko, szybciej niz Thomas zdazyl pomyslec, co nalezalo zrobic, aby temu zapobiec.

W korytarzu zalomotaly stopy biegnacych ludzi.

Thomas zawolal o pomoc.

W drzwiach ukazal sie Pete, jeden z pielęgniarzy. Pete zobaczyl lezacego na lozku Dereka, sterczace w jego brzuchu nozyce, rozlana wokol krew i na ten widok przestraszyl sie. Zwrocil sie ku Czemus Zlemu i powiedzial.

-Kim..

Cos Zlego zlupal go za szyje, a wtedy Pete zakaszal tak, jakby cos utkwilo mu w gardle. Zacisnal obie dlonie na ramieniu tamtego, ktore wydawalo sie grubsze niz dwie rece Pete'a razem wziete, lecz nie zdoal sie oswobodzic. Caly czas sciskajac go za szyje, Cos Zlego uniosl Pete'a w gore, sprawiajac, ze glowa odchylila sie mocno do tylu, po czym schwycil go jeszcze za pasek od spodni i wziawszy zamach, wyrzucil na korytarz. Pete upadl na nadbiegajaca pielęgniarkę i oboje znalezi sie na podlodze. Slychac bylo dobiegajacy z klebowiska rak i nog krzyk dziewczyny.

Wszystko to wydarzylo sie w czasie kilku tykniec zegarka. Tak szybko.

Cos Zlego zatrzasnal drzwi, spostrzegl, ze nie dadza sie zamknac i wtedy zrobil rzecz

najsmieszniejsza, dziwnie śmieszna, przerażająco śmieszna. Wyciągnął w stronę drzwi obie ręce, a pomiędzy jego dłoni wystrzeliło takie błękitne światło, podobne do błysku flesza, który, rzecz jasna, błękitny nie jest. Z zawiasów, klamki oraz krawędzi drzwi posypały się iskry. Wszystkie metalowe części zaczęły dymić i stały się miękkie niczym rzucone na tłuźzone ziemniaki masło. To były Drzwi Ogniove. Powtarzano im, żeby zamykali drzwi, jeśli zobaczą na korytarzu ogień. Nie wolno było wtedy biegać. Trzeba było zamknąć drzwi i spokojnie czekać. Mówili, że są to Drzwi Ogniove, bo nie przepuszczają ognia. Thomas zawsze zastanawiał się, dlaczego nie nazywają ich Drzwiami Przez Które Nie Przejdzie Ogień, jednak nigdy o to nie zapytał. Problem tkwił w tym, że Drzwi Ogniove całe były z metalu, więc nie mogły zająć się od ognia, ale teraz nadtopiły się po brzegach, podobnie jak metalowa framuga, do której przywarły, i wyglądało na to, że już nigdy nie da się przez nie wyjść.

Ludzie z korytarza zaczęli walić w drzwi, próbowali je otworzyć, ale oczywiście nie dali rady, więc zawołali Thomasa i Dereka. Thomas rozpoznawał niektóre głosy i chciał poprosić, aby ludzie z tamtej strony drzwi przyszli mu z pomocą, ponieważ był w niebezpieczeństwie, lecz podobnie jak biedny Derek nie zdołał wydobyć z siebie głosu.

Cos Złego zgasił błękitne światło. Potem odwrócił się i popatrzył na Thomasa. Uśmiechnął się, a uśmiech ten wcale nie był miły.

-Thomas? - zapytał.

Thomas tak się wystraszył, że ledwie stał na nogach. Opierał się plecami o ścianę obok okna, więc przyszło mu do głowy, żeby je otworzyć i podnieść do góry - nauczył się tego podczas Cwiczeń - wiedział jednak, że jest na to za wolny, a Cos Złego był najszybszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widział.

Cos Złego zrobił parę kroków w jego stronę.

-Czy ty jesteś Thomas?

W dalszym ciągu nie mógł wydobyć z siebie głosu. Poruszał ustami, lecz wyglądało to tak, jakby udawał, że mówi. Walcząc z nieposłusznym gardłem pomyślał, że jeśli skłamie i powie, że nie jest Thomasem, może Cos Złego mu uwierzy i sobie pójdzie. Toteż, gdy nieoczekiwanie odzyskał mowę, odrzekł:

-Nie. Ja... nie... nie Thomas. On jest teraz w świetle. Znal się na lamigłówkach i był wysoko rozwiniętym kretyńcem, no to pozwolili mu żyć w świetle.

Cos Złego rozesmiał się. Był to śmiech, w którym nie było nic śmiesznego, najpaskudniejszy śmiech, jaki Thomas kiedykolwiek słyszał. Cos Złego powiedział:

-Kim ty, u diabła, jesteś, Thomas? Skąd się wzięłaś? Jak taki przyglup jak ty może umieć coś, czego nie umiem nawet ja?

Thomas nie odpowiedział. Nie wiedział, co powiedzieć. Żałował, że ludzie w korytarzu wciąż tłuką

w drzwi, zamiast poszukać innego sposobu na wejście do środka, skoro widac było, że tłuczenie nie skutkuje. Może należało zadzwonić na policję i powiedzieć, żeby przyjechali z Ratownicza Pila, tak, z Ratownicza Pila, taka, jakie pokazują w telewizyjnych wiadomościach, kiedy jakiś człowiek nie może wyjść z rozbitego samochodu. Za pomocą Ratowniczej Pily mogliby otworzyć drzwi pokoju, tak samo jak otwierają zmiżdżone drzwi samochodu, żeby wydobyć ze środka rannych ludzi. Miał przy tym nadzieję, że gliny nie odpowiedzą: przepraszamy, ale Ratownicza Pila możemy otwierać tylko drzwi w samochodach, a nie w Domu Opieki - bo wtedy nie miałby szans na ratunek.

-Dlaczego nie odpowiadasz? - zapytał Cos Zlego.

Krzesło, z którego Derek oglądał telewizję, przesunęło się podczas walki i teraz znajdowało się pomiędzy Thomasem a Czymś Złym. Cos Zlego położyło na nim jedną rękę, tylko jedną, rozbłysło błękitne światło - wuum! - i krzesło wybuchło, rozrzucając dokoła mnóstwo drzazg wielkości wykalaczki. Thomas zakrył twarz rękami akurat na czas, by zasłonić oczy. Odlamki wbily się w grzbiety obu dłoni, w policzki oraz podbródek, inne przebiły koszulę i utkwiły w brzuchu, był jednak tak przerażony, że zupełnie nie czuł bólu.

Natychmiast opuścił ręce, ponieważ musiał zobaczyć, co robi Cos Zlego. Okazało się wtedy, że Cos Zlego siedzi na piersi Thomasa, a przed jego twarzą wirują w powietrzu kawałki miękkiej wysciolki krzesła.

-Thomas? - powtórzył, po czym położył wielką dłoń na jego szyi, podobnie jak przed chwilą zrobił z Pete'em.

Thomas usłyszał wypowiedziane przez siebie słowa, choć nie miał pojęcia w jaki sposób udało mu się dobrać głosu. Potem, kiedy uchwycił ich sens, nie mógł wprost uwierzyć, że powiedział coś takiego Czemuś Złemu, ale właśnie tak było:

-Nie starasz się Być Towarzyski.

W odpowiedzi Cos Zlego złapał go za pasek i nie zwalniając uścisku szyi podniósł z podłogi, a następnie uderzył o ścianę, tak samo, jak zrobił to z Derekiem i - och - był to najgorszy ból, jakiego Thomas doświadczył w życiu.

* * *

Wewnętrzne drzwi garażu zaopatrzone były w zasuwę, nie posiadały natomiast zabezpieczającego lancucha. Gdy wpychając do kieszeni klucze Clint wszedł do kuchni, było dziesięć po osmej. Felina czekała na niego, siedziała przy stole i przeglądała jakiś magazyn. Na jego widok uśmiechnęła się, a jemu serce zaczęło szybciej bić w piersi, niczym bohaterowi jakiegoś tkliwego melodramatu. Zawsze zastanawiał się, jak mogło do tego dojść. Zanim poznał Felinę, był taki opanowany. Szczycił się tym, że nie potrzebował nikogo, kto dzieliłby z nim uczucia i stymulował intelektualnie, że dzięki temu unikał bólu i rozczarowań, nieodłącznych od kontaktów z innymi ludźmi. A potem spotkał ją i stał się równie podatny na zranienie, jak każdy inny - lecz był z tego powodu szczęśliwy.

Wyglądała wspaniale w prostej, niebieskiej sukience z czerwonym paskiem oraz dopasowanych do

calosci czerwonych pantoflach. Byla taka silna, a zarazem lagodna, mocna, a rownoczesnie krucha.

Podszedl do niej, na dluzsza chwile znieruchomieli przy lodowce obok zlewu, obejmujac sie i calujac. Nic przy tym nie mowili, na zaden ze znanych sobie sposobow. Clint pomyslal, ze nawet gdyby oboje byli glusi i niemi, nie umieli czytac z ruchu warg ani nie potrafili opanowac jezyka migowego, to i tak bylby szczesliwi szczesciem plynacym z bycia razem, czego nie mogly w pelni oddac zadne slowa.

W koncu przerwal cisze.

-Co za dzien! Nie moze sie doczekac, zeby ci o wszystkim opowiedziec. Zaraz wezme prysznic i zmienie ubranie. O osmej trzydziesci wyjdziemy z domu, pojedziemy do "Caprabella", wezwiemy stolik w kacie, zamowimy wino, spaghetti, chleb z czosnkiem... dostaniemy zgagi.

Oboje bardzo lubili "Caprabella", choc podawane tam potrawy byly niezwykle ostre i czesto wywoływaly zaburzenia zoladka.

Pocalowal ja jeszcze raz. Felina z powrotem usiadla przy stole, a on przeszedl przez jadalnie i ruszyl korytarzem w strone lazienki. Odkrecil wode. Czekajac, az poplynie ciepla, wlaczyl elektryczna golarke. Zaczal sie golic, posylajac od czasu do czasu usmiech swemu odbiciu w lustrze. Byl przeciez takim cholernym szczesiarzem.

* * *

Cos Zlego znajdowal sie tuz przy jego twarzy, warczal i zadawal mnostwo pytan, zbyt wiele, by Thomas zdolal zastanowic sie nad odpowiedziami, nawet gdyby spokojny i szczesliwy siedzial w fotelu, a nie wisial nad podloga przycisniety do sciany, z karkiem obolalym tak bardzo, ze az chcialo mu sie krzyczec. Powtarzal w kolko:-Jestem zapchany, jestem zapchany.

Zawsze, gdy tak powiedzial, ludzie przestawali go wypytywac lub opowiadac jakies historie, dawali mu czas, zeby sobie wszystko poukladal w glowie. Ale Cos Zlego nie zachowywal sie tak, jak inni ludzie. Nie obchodzilo go, czy Thomas ma w glowie porzadek, chcial tylko odpowiedzi. Kim byl Thomas? Kim byla jego matka? Skad tu przybyl? Kim byla Julie? Kim byl Bobby?

W koncu Cos Zlego powiedzial:

-Do diabla, jestes po prostu glupi. Wyglada na to, ze nie potrafisz odpowiedziec. Jestes taki glupi, na jakiego wygladasz.

Odsunal Thomasa od sciany, caly czas trzymajac go nad podloga zacisnieta na szyi reka, tak ze Thomas z trudem lalal oddech. Mocno uderzyl Thomasa w twarz i choc Thomas bardzo staral sie nie plakac, nie zdolal opanowac lez bolu i przerazenia.

-Dlaczego pozwala sie zyc ludziom takim jak ty? - zadal kolejne pytanie.

Rozluznil palce i Thomas upadl na podlogę. Cos Zlego popatrzył na niego z gory w taki sposob, ze ogarnela go zlosc niemal rownie silna jak strach. Bylo to dziwnie smieszne, bo prawie nigdy nie

wpadał w złość. A teraz, po raz pierwszy w życiu, był równocześnie zły i przestraszony. Ale Cos Złego przypatrywał mu się tak, jakby był zukiem czy jakimś smieciem, które należało uprzątnąć z podłogi.

-Dlaczego nie zabijają takich ludzi od razu po urodzeniu? Do czego ty się nadajesz? Powinni was zabijać przy urodzeniu, rąbać na kawałki i robić karmę dla psów.

Thomas przypominał sobie, jak ludzie w świetle na zewnątrz patrzyli czasem na niego w taki sam sposób albo mówili nieprzyjemne rzeczy i jak Julie kazała im Sie Odpieprzyć. Mówiła też, że Thomas nie musi być miły dla takich ludzi, że może im powiedzieć jacy są Niegrzeczni. Teraz Thomas był bardzo zły, bo Miał Do Tego Wszelkie Prawa, i nawet gdyby Julie mu tego nigdy nie powiedziała, pewnie i tak by się rozszalał, ponieważ o niektórych rzeczach wie się od razu, czy są dobre, czy złe.

Cos Złego kopnął go w nogę i zamierzał kopnąć jeszcze raz, kiedy przy oknie zrobił się jakiś hałas. Na zewnątrz było paru pielęgniarzy. Wybili małą szybkę, po czym któryś z nich wsadził rękę do środka, szukając klamki.

Gdy tylko rozległ się brzęk tłuczonego szkła, Cos Złego odwrócił się od Thomasa, wyciągając w stronę okna ręce, jakby prosił pielęgniarzy, żeby nie wchodzić do pokoju. Thomas jednak wiedział, że w rzeczywistości zrobił tak, chcąc wywołać błękitne światło.

Thomas pragnął ostrzec pielęgniarzy, lecz natychmiast doszedł do wniosku, że nikt go nie usłyszy, a gdyby nawet, to nim zdąży cokolwiek zrobić, będzie już za późno. Dlatego też, dopóki Cos Złego stał do niego plecami, popęzł po podłodze, byle dalej od niego, nawet jeśli każdy ruch sprawiał ból, nawet jeśli musiał nurzać się w kałużach krwi Dereka, przez co oprócz złości i strachu poczuł jeszcze mdłości.

Błękitne światło. Bardzo jasne.

Jakas eksplozja.

Usłyszał brzęk szkła i, co gorsza, taki odgłos, jakby na pielęgniarzy poleciało nie tylko okno, ale i kawałek ściany.

Rozległy się ludzkie krzyki. Większość z nich szybko ucichła, lecz jeden niosł się bez końca, naprawdę straszny, jakby ktoś w ciemności za wysadzonym oknem cierpiał jeszcze bardziej niż Thomas.

Thomas nie oglądał się za siebie. Okrzykiwał właśnie łóżko Dereka, a ponieważ cały czas leżał na podłodze, i tak niczego by nie zobaczył. Poza tym wiedział już, czego chce, dokąd musi dojść, zanim Cos Złego znowu sobie o nim przypomni.

Szybko przeczołgał się w nogi łóżka i spojrzawszy w górę ujrzał zwisające bezwładnie poza materac ramie Dereka. Krew wyciekła spod mankietu koszuli, spływała wzdłuż dłoni, a następnie - kap-kap - skapywała z czubków palców. Nie chciał dotykać nieżywej osoby, nawet takiej, którą lubił. Ale

musiał to zrobić, przecież był przyzwyczajony do tego, że musi robić różne rzeczy, których wolałby nie robić - takie właśnie było życie. Schwycił się więc skrajną łozką i podciągnął do góry, najszybciej jak tylko potrafił, próbując zapomnieć o silnym bólu w plecach i pokopanej nodze, bo gdyby się na tym skupił, stałby się sztywny i powolny. Derek miał otwarte oczy i usta, cały ociekał krwią i był taki smutny i wystraszony, gdy tak leżał na fotografiach bliskich, które pospadały ze ściany, zupełnie nieżywy, już na zawsze zamknięty w Złym Miejscu. Thomas wyszarpał sterczące z Dereka nożyce, powtarzając, że jest to w porządku, bo Derek nie mógł czuć już niczego ani teraz, ani kiedykolwiek w przyszłości.

-Ty! - powiedział Cos Złego.

Thomas obrócił się, chcąc zobaczyć, gdzie w tej chwili stoi jego przesładowca. Cos Złego był tuż za nim i podchodził bliżej. Z całej siły wepchnął więc w niego nożyce, a wtedy twarz Czegos Złego przybrała zdziwiony wyraz. Nożyczki weszły od przodu w jego ramię. Cos Złego był bardzo zdziwiony. Pojawiła się krew.

Wypuszczając z dłoni nożyce, Thomas powiedział:

-Za Dereka - zaraz też dodał - i za mnie.

Nie był pewien, co stanie się dalej. Liczył na to, że wypuszczając z niego krew, sprawi Czemus Złemu ból, a może nawet doprowadzi do jego śmierci, tak jak on doprowadził do śmierci Dereka. Po drugiej stronie pokoju dojrzał dym klebiący się w miejscu, gdzie zniknęło okno i kawałek ściany. Pomyslał, że tam dobiegnie i wyskoczy na zewnątrz, nawet jeśli po drugiej stronie dziury czaiła się noc.

Nie przewidział jednak tego, że Cos Złego zachowa się tak, jakby w jego ramieniu nie było żadnych nożyczek, a z rany nie lala się krew. Złapał Thomasa i ponownie unosił w górę, po czym grzmotnął nim o szafę Dereka. Szafa sprawiła więcej bólu niż ściana, bo miała sterczące klamki i ostre krawędzie.

Usłyszał, jak coś w nim chrupnęło, coś się urwało, ale, co śmieszne, już nie płakał i w ogóle nie chciało mu się płakać, jakby zużył wszystkie nagromadzone w sobie lzy.

Cos Złego zbliżył swoją twarz do twarzy Thomasa, tak że ich oczy dzieliło zaledwie parę cali. Nie podobały mu się te oczy. Były przerażające. Choć blekitne, tak naprawdę były ciemne, zdawać by się mogło, że pod tym blekitem ktoś zgromadził dużo czegoś czarnego, równie czarnego jak noc zalegająca za oknem, którego nie było.

Jeszcze śmieszniejsze było to, że nie bał się już tak bardzo jak przed chwilą, jakby razem ze łzami wyczerpał się cały jego strach. Wpatrywał się w oczy Czegos Złego, dostrzegł w nich wielką ciemność, większą od tej, która codziennie spowijała świat po zachodzie słońca, i już wiedział, że Cos Złego chce jego śmierci, że zamierza go zabić - i to było okay. Wcale nie bał się tak bardzo, jak zawsze to sobie wyobrażał, tego, że zostanie zabity. Śmierć nadal pozostawiała Złym Miejscem i wolałby tam nie iść, ale nagle ogarnęło go śmieszne-ladne uczucie o Złym Miejscu, uczucie, że może wcale nie będzie tam tak bardzo samotny, jak zawsze się tego obawiał, może nawet będzie mniej

samotny niż po tej stronie. Cos mu mowilo, ze moze jest tam ktos, kto go kocha, ktos kochajacy go bardziej nawet niż Julie, bardziej nawet niż kiedyś kochal go ich tatus, ktos, kto był sama jasnością, a nie ciemnością, był taki jasny, ze można było patrzeć na Niego jedynie katem oka.

Cos Złego przyciskał Thomasa jedną ręką do szafy, podczas gdy druga wyszarpnął z siebie nożyce.

A potem wbil te nożyce w Thomasa.

Thomasa przepelnilo swiatlo, swiatlo, ktore go kochalo. Odchodził. Miał nadzieję, że gdy już zupełnie odejdzie, Julie dowie się, jaki dzielny był do samego końca, jak przestał płakać, opanował strach i podjął walkę. A zaraz potem przypomniał sobie nagle, że nie ostrzegł przez telewizję Bobby'ego, że Cos Złego może przyjść także i do nich, więc natychmiast się za to zabrał.

... nożyce ponownie pograżyły się w jego ciele...

Nim jeszcze wysłał wiadomość, pojął, że musi zrobić coś ważniejszego nawet od ostrzeżenia. Musiał dać znać Julie o tym, że Złe Miejsce nie było ostatecznie takie złe, że rozświetlało je kochające światło. Potrzebowała tej wiedzy, bo w głębi duszy nie wierzyła w jego istnienie. Podobnie jak przedtem Thomas, sądziła, że nie czeka jej tam nic prócz ciemności i samotności. Dlatego też liczyła każde uderzenie zegara, martwiac się nieustannie o wszystkie te rzeczy, jakie musiała zrobić, zanim jej czas dobiegnie kresu, o wszystko, czego musiała się nauczyć, zobaczyć, poczuć i zdobyć, o wszystko, co musiała zrobić dla Thomasa i Bobby'ego, tak żeby byli okay, gdyby Cos Jej Sie Stało.

... nożyce przebiły go jeszcze raz...

Była szczęśliwa z Bobbym, ale tak naprawdę nigdy nie będzie szczęśliwa, dopóki się nie dowie, że nie musi złościć się z powodu nieuniknionego końca, jaki czeka wszystkich w wielkich ciemnościach. Była bardzo miła i trudno było uwierzyć, że w środku kryła złość, lecz tak właśnie to wyglądało. Thomas wpadł na to dopiero teraz, gdy przepelnilo go swiatlo, na to, jak wielka złość kipiała w sercu Julie. Wściekała się, że ciężka praca, wszelkie nadzieje i marzenia, wszelkie wysiłki i postępy, i miłość, w gruncie rzeczy nie miały żadnego znaczenia, ponieważ wcześniej czy później każdy umierał na zawsze.

... nożyce...

Jeżeli będzie wiedziała o świetle, to przestanie się złościć w głębi duszy. Dlatego też, obok ostrzeżenia, Thomas nadal przez telewizję wiadomość dla niej i Bobby'ego, dołączając na koniec parę słów od siebie, z nadzieją, że nie wyjdzie z tego groch z kapusta:

Cos Złego nadchodzi, uważajcie, Cos Złego, jest tutaj światło, które was kocha, Cos Złego, ja też was kocham i jest tutaj światło, jest światło, COS ZŁEGO NADCHODZI...

* * *

Pietnascie po osmej mknęli po Foothill Freeway, zmierzając w stronę skrzyżowania z Ventura Freeway, która przejeżdża San Fernando Valley niemal do samego oceanu, zanim skreca na północ, ku Oxnard, Yentura i Santa Barbara. Julie wiedziała, że powinna zwolnić, ale tego nie zrobiła. Szybkość

zmniejszała nieco jej napięcie. Gdyby zbliżyła się do dopuszczalnej granicy pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę, z pewnością zaczęłyby płakać jeszcze przed minieciem Burbank. W odtwarzaczu stereo tkwiła kasetka Benny Goodmana. Bogata muzyka, pełna synkopowych rytmów, doskonale pasowała do tej jazdy na lew na szyję. Gdyby to był film, melodie Goodmana stanowiłyby świetny podkład do mrocznej panoramy upstrzonych światłami wzgórz, które mijali po drodze.

Wiedziała, skąd bierze się to napięcie. W sposób, jaki nigdy nie przyszedłby jej do głowy, Marzenie znalazło się o wyciągnięcie ręki, lecz sięgając po nie mogli stracić wszystko. Wszystko. Nadzieje. Siebie nawzajem. Życie.

Siedzący obok Bobby musiał jej ufać bezgranicznie, skoro spał sobie spokojnie przy szybkości przekraczającej osiemdziesiąt mil na godzinę, choć przecież wiedział, że ona również przespala ostatniej nocy zaledwie trzy godziny. Spoglądała na niego od czasu do czasu, bo po prostu dobrze było mieć go blisko siebie.

On jeszcze nie rozumiał, dlaczego pedzili na północ, żeby sprawdzić rodzinę Pollardów, podejmując wobec swojego klienta zobowiązania przekraczające granice zdrowego rozsądku. Jego niewiedza brała się z faktu, że był niemal tak dobrym człowiekiem, na jakiego wyglądał. Co prawda czasami omijał przepisy lub łamał prawo, działając na korzyść klientów, za to w życiu prywatnym był najuczciwszą znaną Julie osobą. Pewnego razu była świadkiem, jak automat sprzedający gazety wyrzucił mu niedzielny Los Angeles Times, a na dokładkę zwrócił jeszcze trzy spośród czterech wrzuconych czterechdolarówek. Bobby bez wahania wsunął je z powrotem w otwór na monety, chociaż ta sama maszyna w ciągu kilku lat oszukała go na ładnych parę dolarów. "No coż - odrzekł rumieniąc się, gdy zaczęła kpić z jego szlachetnego uczynku - może ten automat potrafi być nieuczciwy i żyć z tym na co dzień, ale ja nie potrafię."

Julie mogłaby mu powiedzieć, że trzymali się sprawy Pollarda, ponieważ dostrzegli życiową szansę na naprawdę duże pieniądze, Wielką Szansę, jakiej szukali wszyscy cwaniacy na świecie i jakiej większość z nich nigdy nie znajdowała. Od chwili, gdy Frank pokazał im podróżną torbę pełną pieniędzy i opowiedział o jeszcze jednej porcji gotówki w motelu, byli niczym zamknięci w labiryncie szczury, gnane do przodu zapachem ukrytego sera, choć każde z nich w pewnym momencie odmówiło udziału w tej sprawie. Kiedy Frank wrócił, Bog wie skąd, do szpitalnego pokoju z kolejnymi trzema setkami tysięcy, ani ona, ani Bobby nie podnieśli kwestii legalności pieniędzy, a przecież wtedy nie można już było dłużej udawać, że ich klient był całkowicie niewinny. Zapach sera stał się wówczas zbyt silny, by można mu było się oprzeć. Brnęli dalej, ponieważ dostrzegli szansę na wykorzystanie Franka do zdobycia pieniędzy na Marzenie szybciej, niż się tego spodziewali. Pragnęli skorzystać z brudnych pieniędzy i wątpliwych środków, aby osiągnąć upragniony cel, pragnęli tego bardziej, niż mogli się sami przed sobą przyznać, chociaż Julie przypuszczała, że na ich korzyść przemawiał fakt, iż nie byli na tyle chciwi, żeby po prostu ukrąść gotówkę i diamenty, pozostawiając Franka własnemu losowi. Albo może ich poczucie obowiązku wobec klienta było fałszywe, może chcieli się nim tylko posłużyć jako usprawiedliwieniem innych, mniej szlachetnych postępów i pobudek.

Mogła mu to wszystko powiedzieć, ale powstrzymała się, bo nie miała ochoty na sprzeczkę. Musiała mu pozwolić dojść do tego własną drogą, zaczekać, aż sam to zrozumie. Gdyby poruszyła ten temat wcześniej, wszystkiemu by zaprzeczył. Jeśli nawet przyznałby jej nieco racji, wyjechałby zaraz z

argumentem, że Marzenie jest uczciwa sprawa, zgodna z fundamentalną moralnością, i próbowałby w ten sposób usprawiedliwić prowadzące do jego spełnienia środki. Osobiście nie sądziła, żeby szlachetny cel pozostawał taki, jeśli osiągnięto go niemoralnymi środkami. I choć nie mogła zaprzepścić Wielkiej Okazji, to martwiła się, że gdy zrealizują Marzenie, będzie tym zbrukane i nie takie, jakie mogłoby być.

A jednak mimo wszystko jechała dalej. Szybko. Bo prędkość łagodziła częściowo jej strach i napięcie. Tłumiła ostrożność. Dzięki temu nie wycofa się tak łatwo z niebezpiecznego starcia z rodziną Pollardów, które wydawało się nieuniknione, o ile chcieli skorzystać ze sposobności zdobycia ogromnego, dającego wolność bogactwa.

Na szosie praktycznie nadal nie było ruchu. Najbliższy samochód jechał jakieś ćwierć mili przed nimi, ale właśnie wtedy Bobby krzyknął głośno i poderwał się z fotela, jakby chciał ją ostrzec przed bliskim zderzeniem. Rzucił się do przodu, napinając pasy, po czym scisnął dłońmi głowę, niczym ktoś dotknięty nagłym atakiem migreny.

Wystraszona puściła pedał gazu, lekko nacisnęła hamulec, po czym spytała:

-Bobby, co się stało?

Ochryplym ze strachu głosem, w którym pobrzmiwały ostre, nagłe tony, zagłuszając muzykę Benny Goodmana, powiedział:

-Cos Złego, Cos Złego, uważajcie, jest tutaj światło, jest tutaj światło, które was kocha...

* * *

Candy spojrzał na leżące u swych stóp zakrwawione ciało i dopiero wtedy dotarło do niego, że nie powinien był zabijać Thomasa. Zamiast tego należało zabrać go w jakieś ustronne miejsce i torturami wydusić z niego odpowiedzi, nawet jeśli ten dupek potrzebowałby wiele godzin na przypomnienie sobie wszystkiego, co chciał wiedzieć Candy. To mogłoby być nawet zabawne. Dał się jednak ponieść złości tak silnej, że nigdy jeszcze czegoś takiego nie doświadczył. Utracił kontrolę nad sobą w stopniu dającym się tylko porównać z momentem, gdy znalazł martwe ciało matki. Pragnął zemsty nie tylko za matkę, lecz i za samego siebie oraz tych wszystkich z całego świata, którzy zasługiwali, aby ich pomścić, ale nigdy nie doczekali się zemsty. Bog uczynił z niego narzędzie pomsty i teraz Candy ze wszystkich sił chciał przystąpić do wypełniania tej funkcji; pragnął tego bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Tesknął do chwili, gdy rozszarpie gardło i skosztuje krwi nie jednego grzesznika, lecz całej ich gromady. Aby stłumić tę złość, musiał pić krew, tak żeby się nią upić, skapać się w niej, brodzić w jej strumieniach, stąpać po przesiąkniętym krwią piasku. Chciał, by matka zwolniła go z wszelkich zasad, wcześniej krepujących jego złość; chciał, by Bog spuścił go ze smyczy.

Usłyszał odległe syreny i wiedział, że musi szybko zniknąć.

Ramię pulsowało mu gorącym bolem w miejscu, gdzie nożyce rozdarły mięsień i zadrapały kość. Zajmie się tym w czasie podróży. Podczas rekonstrukcji z łatwością odtworzy swoje ciało całe i

zdrowe.

Stapając pośród zascielających podłogę śmieci, rozglądał się za czymś, co naprowadziłoby go na ślad Julie lub Bobby'ego, o których wspominał Thomas. Mogli oni wiedzieć, kim był Thomas i dlaczego posiadał dar, jakiego nawet błogosławiona matka Candy'ego nie potrafiła przekazać swoim dzieciom.

Dotykał różnych przedmiotów i mebli, lecz wszystko, co udało mu się dostrzec, to obrazy Thomasa i Dereka, a także opiekujących się nimi pielęgniarek i sprzątaczek. A potem zauważył zeszyt z wycinankami, leżący na podłodze obok stołu, na którym zaszlachtował Dereka. Otwarte strony pełne były przeroznych obrazków, poprzyklejanych w rzędach, czasami zaś tworzących dziwaczne wzory. Podniósł zeszyt i przekartkował go, zastanawiając się, co to takiego, a kiedy spróbował wywołać twarz ostatniej osoby, która położyła na nim rękę, ujrzał w nagrodę kogoś, kto nie był ani przyglupem, ani pielęgniarką.

Mocno zbudowany mężczyzna. Nie tak wysoki jak Candy, ale niemal równie jak on silny.

Głosy syren narastały z sekundy na sekundę, rozbrzmiewały z odległości nie przekraczającej mili.

Candy zaczął badawczo wodzić prawą dłoń po okładce.

Czasami wyczuwał tylko niewiele, czasami bardzo dużo. Tym razem musiało mu się udać, jeżeli nie chciał, aby to miejsce stało się ślepym zaułkiem na drodze do wyjaśnienia mocy tego przyglupa.

Szukał dalej...

Napotkał imię. Clint.

Clint siedział tego popołudnia w fotelu Dereka i przeglądał te dziwne kolekcje wycinków.

Kiedy spróbował dojrzeć, dokąd udał się Clint po wyjściu z tego pokoju, zobaczył go za kierownicą chevroleta, a potem ujrzał miejsce zwane Dakota and Dakota. Potem znowu był chevrolet, noca na autostradzie, i wreszcie mały domek w Placentia.

Syreny były już bardzo blisko, prawdopodobnie wozy pedziły po drodze dojazdowej do parkingu przed Cielo Vista.

Candy cisnął zeszyt na podłogę. Był gotów.

Przed teleportacją musiał jeszcze zrobić tylko jedną rzecz. Kiedy odkrył, że Thomas był niedorozwinięty, a w Cielo Vista zamieszkiwało wielu podobnych mu ludzi, poczuł się rozwścieżony, a zarazem obrażony istnieniem takiego domu.

Wyciągnął przed siebie dłonie rozstawione na odległość dwóch stop, zwrócone ku sobie spodami. Pomiedzy palcami zalsniło błękitne światło.

Pamiętał, co sąsiedzi oraz inni ludzie mówili o jego siostrach, a także o nim samym, gdy jako

chłopiec z powodu trapiących go problemów musiał opuścić szkołę. Violet i Verbina wyglądały i zachowywały się jak opóźnione w rozwoju i zapewne niewiele je obchodziło, że uważano je za osoby upośledzone umysłowo. Wykazując zupełną ignorancję i jego także uznano za polgłowka, gdyż ludzie sadzili, że wyleciał ze szkoły z powodu kłopotów z nauką oraz dziwnego zachowania. (Spośród rodzeństwa jedynie Frank uczył się razem z normalnymi dziećmi.)

Światło zaczęło przybierać postać kuli. W miarę jak przepływało do niej coraz więcej energii, jej błękit pogłębiał się i gestniał, tak że można było odnieść wrażenie, że w powietrzu unosi się jakiś materialny obiekt.

Candy był dzieckiem zdolnym, nauka nie sprawiała mu trudności. Matka nauczyła go czytać, pisać i rachować, dlatego też wściekał się słysząc, że ludzie biorą go za tępaka. Ze szkoły wyrzucili go za coś innego, a główną przyczyną był jego organ płciowy. Kiedy podrosł i stał się silniejszy, nikt nie wymyślał mu od polgłowków ani nie stroił z niego żartów, przynajmniej nie tak, by Candy to słyszał.

Szafirowobłękitna kula wyglądała jakby ją sporządzono z prawdziwego szafiru, tyle tylko, że wielkością przypominała piłkę do koszykówki. Była już prawie gotowa.

Sam niesłusznie zaliczany do osób upośledzonych umysłowo, Candy nie darzył sympatią prawdziwych kalek, a wręcz przeciwnie, żywił do nich głęboką nienawiść, która miała, jak się spodziewał, unaocznic wszystkim, że nie jest - i nigdy nie był - jednym z nich. Uznanie jego lub jego siostr za ludzi tego rodzaju stanowiło obrazę ich świętej matki, która przecież nie mogła dać życia kretynom.

Odciał dopływ energii, po czym cofnął dłoń. Przez chwilę wpatrywał się w kulę z uśmiechem, myśląc o tym, co ona zrobi z tym niegodnym miejscem.

Poprzez wyrwę po oknie i częściowo rozwaloną ścianę jak syren docierał z ogluszającą mocą, by po chwili z wysokiego zawołania opasć do szybko cichnącego, niskiego pomruku.

-Nadchodzi pomoc, Thomas - powiedział i rozesmiał się.

Popchnął jedną reka szafirową kulę, która pomknęła przez pokój niczym wystrzelony z wyrzutni balistyczny pocisk. Dotknęła ściany nad łóżkiem Dereka i przeszła na drugą stronę, pozostawiając za sobą postrzępioną dziurę, jak po uderzeniu kuli armatniej. W podobny sposób pokonała wszystkie napotkane po drodze ściany, znacząc swój ślad językami płomieni.

Candy usłyszał krzyki i głośnie eksplozję, a w następnym momencie zniknął, kierując się ku domowi w Placentia.

52

Bobby stał na poboczu drogi, przytrzymując się otwartych drzwi samochodu i z trudem łapiąc oddech. Był pewien, że zwymiotuje, jednak mdłości szybko ustąpiły. -Nic ci nie jest? - niespokojnie zapytała Julie.

-Chyba nie.

Tuż obok z pełną prędkością przejeżdżały samochody. Za każdym pojazdem przewalała się fala wiatru i ryku, budząc w Bobbym dziwaczne uczucie, że on, Julie i Toyota w dalszym ciągu poruszają się z prędkością osiemdziesięciu pięciu mil na godzinę. On cały czas wisiał uczepony otwartych drzwi, a Julie go obejmowała, jakimś czarodziejskim sposobem sprawiając, że pozbawiony kierowcy samochód trzymał się drogi.

Ten sen poważnie go zaniepokoił i dezorientował.

-Właściwie to nie był sen - powiedział po chwili.

Nadal miał zwieszoną głowę, a wzrok wbity w okruchy żwiru zasłaniające wyłożone płytkami pobocze. Bał się wyprostować, w obawie przed nawrotem nudności.

-Nie przypominało to snu, który miałem wcześniej, o nas i grającej szafie, i o oceanie kwasu.

-Tylko znowu o "czymś złym".

-Tak. Choć nie można nazwać tego snem, ponieważ był to wybuch słów, wewnątrz mojej głowy.

-Skąd pochodziły?

-Nie wiem.

Ostrożnie unosił głowę i choć kreciło mu się w niej z oszłomienia, mdłości ustąpiły bez śladu.

-"Cos złego... uważajcie... jest tutaj światło, które was kocha..." Nie pamiętam wszystkiego. Było to takie głośne, jakby ktoś mówił przez tubę, której drugi koniec przycisnięto mi do ucha. W rzeczywistości było jednak inaczej. Nie słyszałem żadnych słów, one rozbrzmiewały od razu tutaj, w mojej głowie. Niemniej jednak wydawały mi się głośne, choć nie wiem, czy to ma jakikolwiek sens. Nie było też żadnych obrazów, jak zwykle we snach. Zamiast tego słowom towarzyszyły uczucia, silne i przemieszane. Strach z radością, złość i przebaczenie... a na samym końcu dziwne wrażenie spokoju, którego... nie potrafię opisać.

Z hukiem gromu pedził ku nim Peterbilt, holujący największą naczepę, jaka tylko przepisy dopuszczają do ruchu. Rozpraszając mrok nocy swymi potężnymi reflektorami przypominał lewiatana, wynurzającego się z głębi morskiej otchłani, pełnego dzikiej siły i zimnej złości, trawionego głodem, który nigdy nie daje się zaspokoić. Nie wiedząc czemu, widok mijającej ich ciężarówki wywołał w pamięci Bobby'ego postać mężczyzny spotkanego na plaży w Punaluu. Zadrzał.

-Nic ci nie jest? - zapytała Julie.

-Nie.

-Jestes pewien? Skinal głowa.

-To tylko lekkie oszolomienie.

-Co dalej? Obrzucił ją spojrzeniem.

-Co dalej? Jedziemy do Santa Barbara. W El Encanto Heights doprowadzimy tę sprawę do końca... jakkolwiek by on nie był.

* * *

Candy zmateriałizował się w przejściu między salonem a jadalnią. Oba pomieszczenia były zupełnie puste. Z głębi domu dolatywało słabe brzęczenie, w którym po chwili rozpoznał odgłos elektrycznej maszynki do golenia. Wkrótce maszynka umilkła. Z kranu nad umywalką popłynęła woda, a zaraz potem do uszu Candy'ego dotarł poszum pracującego w łazience wentylatora. Zamierzał właśnie szybko przebyć korytarz i zaskoczyć mężczyznę w łazience, kiedy usłyszał szelest papieru.

Przeszedł jadalnię i przystanął na progu kuchni. Była mniejsza niż kuchnia w domu matki, ale czysta i wysprzątana nie gorzej od tamtej w czasach, gdy żyła matka.

Przy stole, odwrócona do niego plecami, siedziała kobieta w niebieskiej sukience. Pochylona, kartkowała jakiś magazyn, jakby szukając czegoś ciekawego do czytania.

Candy potrafił kontrolować swe telekinetyczne umiejętności w stopniu znacznie wyższym niż Frank, toteż jego pojawieniu się towarzyszyły tylko nieznaczne zaburzenia powietrza i lekki szmer wywołany oporem cząsteczek materii. Jednakże zdziwiło go, że kobieta nie wstała, by sprawdzić, co się dzieje. Ponieważ była tak blisko, musiała usłyszeć swist, a był on na tyle niezwykle, że powinien wzbudzić jej ciekawość.

Przewróciła jeszcze parę stron i zaczęła czytać.

Patrząc z tyłu nie widział jej zbyt dokładnie. Włosy miała gęste i lśniące, tak czarne, jakby utkano je z tej samej co noc materii. Ramiona i plecy były szczupłe, zaś wsparte po jednej stronie krzesła, skrzyżowane na wysokości kostek nogi rysowały się kształtna linia. Przypuszczał, że gdyby był mężczyzną przejawiającym zainteresowanie seksem, odczułby podniecenie na widok kształtu jej tyłka.

Ciekawy jak wyglądał i ogarnięty nagle przemożnym pragnieniem poznania smaku jej krwi, postąpił kilka kroków w jej stronę. Nie starał się specjalnie o zachowanie ciszy, ale ona i tak nie uniosła głowy. Zdawała sobie sprawę z jego obecności dopiero wtedy, gdy chwycił ją za włosy i szarpnięciem rozpaczliwie uniosł z krzesła.

Odwrócił ją, czując natychmiastowy przyływ podniecenia. Zgrabne nogi, krągłość bioder, wcięta talia czy pełne piersi nie robiły na nim żadnego wrażenia. Również twarz, choć niewatpliwie piękna, nie była przyczyną elektryzujących wzruszeń. To było coś innego. Coś w wyrazie jej szarych oczu. Witalność. Miała w sobie więcej życia niż zwyczajni ludzie, cała wibrowała życiem.

Nie krzyczała, wydała tylko z siebie niski jęk strachu i złości, po czym z wściekłością zaczęła okładać go piściami, tłukać po twarzy i piersi.

Witalnosc! Tak, przepelnialo ja zycie, promieniowalo na wszystkie strony i wlasnie owa witalnosc podniecala go bardziej niz jakiegokolwiek uroki ciala.

Wciaz slyszal dobiegajacy z lazienki plusk wody i warkot wentylatorka. Byl pewien, ze zdola uporac sie z kobieta bez zwracania uwagi mezczyzny, o ile tylko nie pozwoli jej krzyczec. Dlatego tez uderzyl ja w bok glowy i ogluszyl, nim zdazyla ponownie otworzyc usta. Osunela sie na niego, przytomna, lecz mocno oszolomiona.

Drzac na mysl o nadchodzacej przyjemnosci, Candy ulozyl ja na plecach na blacie stolu, z nogami zwisajacymi swobodnie poza jego krawedz. Rozsunal je szeroko, a nastepnie pochyлил sie miedzy nimi. Jego celem nie byl wszakze gwalt, nigdy nie pozwolilby sobie na cos tak odrazajacego. Obserwowala zamglonym wzrokiem, jak zbliza ku niej swoja twarz. Wciaz jeszcze odczuwala skutki otrzymanych uderzen, totez mrugala niezbyt przytomnie oczami. Po chwili jednak odzyskala ostrosc widzenia, a w jej spojrzeniu odmalowalo sie zmieszane z przerazeniem zrozumienie. Nie zwlekajac dluzej przypadl do gardla ofiary, ugryzl gleboko i szybko dotarl do krwi, ktora byla czysta, slodka, upajajaca.

Zatrzepotala pod nim.

Byla taka zywa. Tak cudownie zywa. Przez chwile.

* * *

Kiedy poslaniec przyniosl pizze, Lee Chen zabral ja do pokoju Bobby'ego i Julie i zaproponowal kawalek Halowi. Odkladajac na bok ksiazke, z nogami wciaz opartymi o blat stolika do kawy, Hal powiedzial:

-Wiesz, jak takie zarcie wpływa na twoje tetnice?

-Dlaczego wszyscy tak sie dzis troszcza o moje tetnice?

-Jestes bardzo milym mlodym czlowiekiem. Nikt z nas nie chce, zebys umarl przed osiagnieciem trzydziestki. Poza tym, zastanawialibysmy sie wtedy, jakie stroje moglbys nosic, gdybys byl.

-Zapewniam cie, ze nic podobnego do tego, co masz na sobie. Hal pochyлил sie i zajrzal w glab podsuwanego przez Lee pudelka.

-Wyglada calkiem niezle. Kiedy kupujesz pizze na zamowienie, najczesciej placisz za usluge, a nie za dobre jedzenie. Ale ta tutaj nie wyglada najgorzej. Widac nawet, w ktorym miejscu konczy sie pizza, a zaczyna kartonik.

Lee oderwal pokrywke pudelka, polozyl ja na stoliku, a nastepnie na tak zaimprovizowanym talerzu umiescil dwa kawalki pizzy.

-To dla ciebie.

-Nie dasz mi polowy?

-A co z cholesterolem?

-Do diabla, cholesterol to tylko zwierzczy tluszcz, a nie zaden arszenik.

* * *

Candy wyprostowal sie, gdy tylko mocne serce kobiety przestalo bic. Choc krew w dalszym ciagu saczyła sie z rozdartego gardla, nie tknal juz ani kropli. Mysl o picciu ze zwlok przyprawiala go o mdlosci. Przypomnial sobie koty siostr, pozerajace wspolnie kazdego padlego czlonka stada, i na jego twarzy pojawil sie grymas. Unoszac wilgotne usta znad szyi ofiary uslyszal jak gdzies w glebi domu zaskrzypialy drzwi, a zaraz potem rozlegly sie ciezkie kroki.

Szybko okrazil stol, odgradzajac sie nim od wejscia do jadalni. Na podstawie wizji, ktora uzyskal dzieki zeszytowi z wycinankami, wiedzial, ze Clint wyglada na twardego przeciwnika, trudniejszego niz wiekszosc ludzi, dlatego wolal trzymac go na dystans i miec czas na ocene sytuacji, a nie dzialac przez zaskoczenie.

W drzwiach pojawil sie Clint. Jesli nie liczyc ubrania - szarych spodni, niebieskiej kurtki, brazowego swetra oraz bialej koszuli - wygladal tak samo, jak pozostawiony na zeszyt psychiczny odcisk. Swego czasu musial przerzucic mase ciezarow. Mial zaczesane do tylu geste, czarne wlosy, a z przypominajacej kamienna maske twarzy twardo spogladala para ciemnych oczu.

Podniecony niedawnym zabojstwem i wciaz wypelniajacym usta posmakiem krwi, Candy z zainteresowaniem obserwowal tego mezczyzne, zastanawiajac sie, co teraz nastapi. Sytuacja mogla rozwinac sie na wiele roznych sposobow, lecz zaden z nich nie zapowiadal sie nudnie.

Clint zareagowal inaczej, niz Candy tego oczekiwal. Nie okazal zdumienia na widok rozciagnietej na stole martwej kobiety, nie wygladal na przerazonego czy zdruzgotanego utrata zony. Gdzies w glebi jego kamiennej twarzy zaszla jakas powazna zmiana, rownie nieuchwytna, jak ruchy plyt tektonicznych ukrytych pod plaszczem ziemskiej skorupy.

W koncu napotkal wzrok Candy'ego i rzekl:

-To ty.

W jego glosie zabrzmiala niepokojaca nuta rozpoznania. Przez chwile Candy nie potrafil odgadnac, skad ten czlowiek mogl go znac, a potem przyszedl mu na mysl Thomas.

Mozliwosc, ze Thomas opowiedzial Clintowi - a moze takze innym - o jego istnieniu, byla najdramatyczniejszym zwrotem w zyciu Candy'ego od czasu smierci matki. Jego sluzba w armii boskich mscicieli byla calkowicie tajna, jej tajemnica nie powinna byla wydostac sie poza rodzine Pollardow. Matka przestrzegala go, ze nalezy byc dumnym z wypelniania boskiej woli, lecz duma ta szybko doprowadzilaby go do upadku, gdyby zaczal chwalic sie otrzymana od Boga laska. "Szatan - powtarzala niejednokrotnie - bez przerwy poszukuje nazwisk boskich zolnierzy, a ty jestes przeciez jednym z nich. Gdy uda mu sie kogos odnalezc, zsyla na niego robaki, ktore za zycia wyjadaja mu

wnetrznosci, robaki grube jak weze, a na jego glowe spuszcza ognisty deszcz. Jesli nie dotrzymasz tajemnicy, umrzesz i pojedziesz do piekla za swoja gadatliwosc."

-Candy - powiedzial Clint.

Wypowiedziane imie rozwialo wszelkie watpliwosci. Tajemnica wydostala sie poza rodzine. Candy wpadl w powazne tarapaty, choc to nie on zlamal zmowe milczenia.

Wyobrazil sobie Szatana, jak w jakims ciemnym, parnym miejscu pokiwal glowa i powiedzial:

-Kto? Jak powiedziales? Jak sie nazywa? Candy? Candy i co dalej?

W rownej mierze wsciekly, co wystraszony, Candy ruszyl dookolą stolu, zastanawiajac sie, czy Clint poznal go dzieki Thomasowi. Postanowil zlamac tego czlowieka, zmusic do mowienia, zanim odbierze mu zycie.

Zaskakujacym ruchem Clint siegnal pod kurtke, wyciagnal rewolwer i natychmiast dwukrotnie wystrzelil.

Stralow moglo byc wiecej, w kazdym razie Candy slyszal tylko dwa. Pierwszy pocisk trafil go w zoladek, drugi uderzyl w piers, odrzucajac go daleko w tyl. Na szczescie glowa i serce nie doznaly zadnych uszkodzen. Gdyby tkanka mozgu zostala naruszona, zachwianiu uleglaby tajemnicza i delikatna wiez pomiedzy nim a umyslem, zostawiajac ten ostatni zamkniety w pulapce zdruzgotanego mozgu, nim zdazylby oddzielic go od ciala. Nie moglby sie wowczas teleportowac i bezbronny musialby oczekiwac na dobiecie. Gdyby zas dokladnie wymierzona kula przerwala natychmiast prace jego serca, zginalby na miejscu, bez jakichkolwiek szans na dematerializacje. Byly to jedyne organy, niszczac ktore mozna bylo go usmiercic. Pomimo wszystkich swych niezwyklych wlasciwosci nie byl przeciez niesmiertelny, dlatego tez czul do Boga wielka wdziecznosc za to, ze pozwolil mu ujsc z zyciem z kuchni i powrocic do domu matki.

* * *

Julie nadal jechala szybko, choc nie tak szybko, jak poprzednio. Z glosnikow plynal Nightmare Artie Shawa. Bobby w zamysleniu wpatrywal sie w nocny krajobraz za oknem. Nie mogl pozbyc sie mysli o nawale slow, ktora niczym ognisty wiatr przemknela mu przez glowe, glosna jak wybuch bomby, jaskrawa jak ogien hutniczego pieca. Jakos poradzil juz sobie z przerazajacym snem z poprzedniego tygodnia; ostatecznie kazdy miesza zle sny. Choc wyjatkowo zywy, bardziej namacalny niz prawdziwe zycie, nie kryl w sobie niczego niezwyklego - w kazdym razie udalo mu sie dojsc do takiego przekonania. Tutaj mial jednak do czynienia z czyms zupełnie odmiennym. Nie potrafil uwierzyc, ze te naglace, zarliwe slowa wyplynely z jego wlasnej podswiadomosci. Sen, wypelniony zlozonymi freudowskimi przeslaniami, ujetymi w postac skomplikowanych scen i symboli, byl rzecza jak najbardziej zrozumiala. Ostatecznie podswiadomosc czesto ujawnia sie pod postacią eufemizmow i metafor. Ale glosne slowa niosly w sobie bezposrednia wiadomosc, jakby ktos nadal depesze po drucie podlaczonym wprost do jego kory mozgowej.

Gdy od czasu do czasu Bobby otrzasal sie z zadumy, ogarnial go z kolei niepokoj. O Thomasa.

Nie wiadomo dlaczego, im dłużej rozmyślał nad odebranymi słowami, tym częściej przed jego oczami stawał Thomas. Ponieważ Thomas nie miał z tym nic wspólnego, starał się przestać o nim myśleć i skupić się na wyjaśnieniu tego przeżycia. Tymczasem Thomas powracał nieodmiennie, raz po raz. Po jakimś czasie Bobby doszedł do niepokojącego wniosku, że istnieje jakiś związek między Thomasem a eksplozją słów w jego głowie, chociaż nie miał zielonego pojęcia, na czym miałby on polegać.

Co gorsza, w miarę jak na liczniku przybywało przejechanych mil, a zachodni kraniec doliny stawał się coraz bliższy, zaczęło narastać w nim przeczucie, że Thomas znalazł się w niebezpieczeństwie.

Kto, lub co, mu zagraża?

Największym niebezpieczeństwem, z jakim Bobby i Julie kiedykolwiek mieli do czynienia, był Candy Pollard. Jednakże starcie z nim mieli dopiero przed sobą. Candy nic jeszcze o nich nie wiedział, nie miał pojęcia, że pracują na rzecz Franka, a w zależności od tego, jak rozwina się wypadki w Santa Barbara i El Encanto Heights, mógł nawet nigdy się o tym nie dowiedzieć. Co prawda widział Bobby'ego na plaży w Punaluu w towarzystwie Franka, nie miał jednak możliwości, by poznać jego tożsamość. W najgorszym wypadku, gdyby nawet Candy dowiedział się o powiązaniach łączących Dakota and Dakota z Frankiem, Thomas i tak pozostałby z dala od tego wszystkiego. Thomas stanowił zupełnie odrębny rozdział ich życia.

-Cos nie tak? - zapytała Julie, zmieniając pas ruchu, aby wyprzedzić wielką ciężarówkę.

Nie widział powodu, by mówić jej o grożącym Thomasowi hipotetycznym niebezpieczeństwie. Ogarnąłby ją niepokój, zaczęłaby się martwić. I z jakiego powodu? Tylko dlatego, że dał się ponieść swej wybujałej wyobraźni. Thomas był w Cielo Vista absolutnie bezpieczny.

-Bobby, co cie gryzie?

-Nic.

-Czym się przejmujesz?

-Moja prostata.

* * *

Chanel nr 5, miękki blask lampy, przytulne obicia i tapety w rozyczki...Po zmaterializowaniu się w sypialni rozesmiał się z ulgą. Kule pozostawił ponad sto mil za sobą, w kuchni w Placentii. Rany zablizniły się niemal bez śladu. Utracił może parę mililitrów krwi i nieco tkanki mięśniowej, bo jeden z pocisków przeszył go na wylot, porywając ze sobą trochę materii jego ciała, zanim zdążył umknąć poza zasięg rewolweru. Na szczęście teraz wszystko już było w porządku, a po bólu zostało tylko wspomnienie.

Dłuższą chwilę stał w bezruchu, wdychając głęboko won perfum, którymi przesycona była leżąc na toalecie chusteczka. Ten zapach dodał mu odwagi, a równocześnie przypominał, że oni wszyscy muszą zapłacić za śmierć matki, wszyscy, nie tylko Frank, ale cały świat, spiskujący przeciwko niej.

Spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Z podbrodka i ust zniknęła krew szarookiej kobiety; pozostawił ją za sobą, podobnie jak wodę, gdy teleportował się podczas ulewy. Jednak w ustach wciąż czuł jej smak. Bez wątplenia wyglądał jak uosobienie zemsty.

Licząc na element zaskoczenia oraz zdolność precyzyjnego określenia miejsca przybycia, zwłaszcza teraz, gdy zapoznał się z rozkładem kuchni, powrócił do domu Clint. Zamierzał pojawić się w drzwiach jadalni, tuż za plecami detektywa, dokładnie naprzeciwko miejsca, z którego się przed chwilą teleportował.

Czy to wywołany postrzałem wstrząs był silniejszy, niż mu się wydawało, czy też trawiąca go złość utrudniła koncentrację, dość że zmateriałizował się przy drzwiach do garażu, w połowie drogi do miejsca, które było jego celem, na prawo od Clint, w odległości zbyt dużej, by zdołał skoczyć na niego i wyszarpnąć rewolwer, zanim tamten zdążyłby strzelić.

Na szczęście dla Candy'ego, Clint zniknął. A razem z nim ciało kobiety ze stołu. Jedynie ślady krwi znaczyły miejsce jej śmierci.

Candy'ego nie było najwyżej minuty - czas spędzony w pokoju matki plus kilka sekund na podróż w obie strony. Sądził, że po powrocie zastanie Clint pochylonego nad zwłokami, rozpaczającego lub gorączkowo szukającego pulsu. Widocznie jednak mężczyzna musiał wziąć ciało na ręce, gdy tylko usłyszał o zniknięciu Candy'ego i... No właśnie, co dalej? Zapewne uciekł z domu - licząc, wbrew zdrowemu rozsądkowi, że w żonie tli się jeszcze iskierka życia, i chce uchronić ją przed ponownym pojawieniem się Candy'ego.

Klnąc cicho, a zaraz potem błagając o przebaczenie matce i Bogu za swój plugawy język, Candy spróbował otworzyć drzwi do garażu. Były zamknięte. Gdyby Clint poszedł tą drogą, z pewnością nie traciłby czasu na zamykanie za sobą drzwi.

Pospieszenie opuścił kuchnię, kierując się przez jadalnię w stronę korytarza, żeby sprawdzić trawnik przed domem i ulicę. Przystanął jednak, nim dotarł do frontowych drzwi, bo z głębi domu dobiegł jakiś hałas. Ostrożnie ruszył w kierunku sypialni.

W pokoju paliło się światło. Uchylił drzwi i zaryzykował rzut oka do środka.

Clint ułożył właśnie kobietę na królewskich rozmiarów łożu i obciągał jej sukienkę na kolanach. W jednej ręce wciąż jeszcze ścisnął rewolwer.

Po raz drugi w ciągu ostatniej godziny Candy usłyszał rozdzierające noc wycie syren. Zapewne sąsiedzi, słysząc strzały, wezwali policję.

Clint dostrzegł go, lecz nie unosił broni. Zachował milczenie, a w jego nieruchomej twarzy nie drgnął żaden mięsień. Sprawiał wrażenie głuchoniemego. Dziwne zachowanie tego człowieka denerwowało Candy'ego, sprawiało, że czuł się niepewnie.

Doszedł do wniosku, że przed chwilą, w kuchni, Clint mógł opróżnić cały magazynek, nawet jeżeli on

sam teleportował się stamtąd po drugim strzale. Być może jego palec odruchowo naciskał spust pod wpływem złości lub strachu, dopóki nie zużył całej amunicji. Nie zdążyłby przenieść żony do sypialni i jeszcze przeladować broni, a zatem prawdopodobnie Candy mógł podejść do niego bez obawy i po prostu zabrać mu rewolwer.

Został jednak przy drzwiach. Każdy z tamtych dwóch strzałów mógł okazać się śmiertelny. Jego wewnętrzna energia była naprawdę wielka, lecz nie potrafił rozwinąć jej na tyle szybko, by wyprzedzić nadlatującą kulę.

Zamiast w jakikolwiek sposób zająć się Candy, Clint odwrócił się do niego plecami, obszedł łóżko dookoła, po czym położył się obok żony.

-Co jest, u diabła? - powiedział głośno Candy.

Dłoń Clinta zacisnęła się na jej martwej ręce, podczas gdy druga obejmowała kolbę trzydziestki osemki. Ułożył głowę na poduszce, tak by widzieć twarz kobiety. W jego oczach zalsniło coś na podobieństwo skrywanych łez. W następnej chwili wcisnął lufę rewolweru pod brode i zastrzelił się.

Candy'ego ogarnęło oszłomienie tak wielkie, że przez jakiś czas nie był w stanie wykonać najmniejszego ruchu, nie wiedział też, co powinien teraz zrobić. Z odretwienia wyrwało go zawołanie syren. Zrozumiał, że trop wiodący od Thomasa do Bobby'ego i Julie, kimkolwiek by byli, urwie się ostatecznie w tym miejscu, o ile nie odkryje, co łączyło z nimi leżące na łóżku mężczyźni. Jeżeli chciał się dowiedzieć, kim był Thomas, skąd Clint znalazł jego imię i ile jeszcze osób wiedziało o jego istnieniu, jeżeli chciał wiedzieć, jak wielkie grozi mu niebezpieczeństwo oraz w jaki sposób można go uniknąć, nie mógł zaprzepścić tej szansy.

Pospieszył do łóżka, przewrócił na bok zwłoki mężczyzny i wyciągnął mu portfel z kieszeni spodni. Otworzył go i natrafił na licencje prywatnego detektywa. Obok, pod plastikową folią, tkwiła wizytówka Dakota and Dakota.

Candy przypomniał sobie zamglony obraz biur Dakota and Dakota, który odebrał w pokoju Thomasa, gdy oglądał trzymany przez Clinta zeszyt z wycinankami. Na kartoniku znajdował się adres, zaś poniżej drobniejszą czcionką wydrukowano nazwiska Roberta i Julie Dakota.

Na zewnątrz umilkł głos syren. Ktoś zaczął walić we frontowe drzwi.

-Policja! - zawołał jakiś głos.

Candy odrzucił portfel, po czym wyjął rewolwer spomiędzy zacisniętych w śmiertelnym skurczu palców Clinta. Otworzył bebenek. Rewolwer był pięciostrzałowy i we wszystkich komorach tkwiły puste łuski. Clint wystrzelił w kuchni czterokrotnie, lecz nawet w momencie największego wzburzenia panował nad sobą na tyle, że zostawił ostatnią kulę dla siebie.

-I to wszystko z powodu kobiety? - zapytał ze zdumieniem Candy, jak gdyby nieboszczyk był w stanie udzielić mu odpowiedzi. - Dlatego, że nie mogłbyś więcej uprawiać z nią seksu? Czemu seks jest taki ważny? Dlaczego seks akurat z nią był tak ważny, że nie chciales bez niego żyć?

Wciaz jeszcze dobijali sie do frontowych drzwi. Odezwal sie megafon, ale Candy zupełnie nie zwracal uwagi na padajace slowa.

Upuscil bron, po czym wytarl dlon o spodnie, poniewaz nagle poczul sie zbrukany. Rewolwer znajdowal sie w rece zabitego, a czlowiek ten mial najwyrazniej obsesje na punkcie seksu. Nie bylo watpliwosci, ze swiat stanowi kloake chuci i rozpusty, totez Candy byl szczesliwy, ze Bog i matka ustrzegli go od niezdrowych pragnien, ktore zdawaly sie zatruwac wszystkich wokol.

Niezwlocznie opuscil dom grzesznikow.

53

Hal Yamataka siedzial rozparty na sofie z kawalkiem pizzy w jednej rece, a powiescia MacDonalda w drugiej, kiedy uslyszal drzace, przypominajace flet trele. Odlozyl ksiazke i kolacje, po czym szybko poderwal sie na nogi.-Frank?

Nie domkniete drzwi otworzily sie do wewnatrz, popychane naglym podmuchem z holu, na tyle silnym, ze zdolal je poruszyc.

-Frank? - powtorzyl Hal.

Gdy byl na srodku pokoju, wszystko ucichlo, lecz nim doszedl do drzwi, przemieszane dzwieki rozbrzmialy ponownie, a podmuch wiatru zburzyl mu wlosy.

Na lewo stalo biurko sekretarki, puste o tej porze. Umieszczono je dokladnie naprzeciwko drzwi otwierajacych sie na ogolny korytarz, z ktorego korzystaly wszystkie zajmujace to pietro firmy. Drzwi byly teraz zamkniete. Drugie drzwi w odleglym koncu prostokatnego holu rowniez byly zamkniete. Za nimi lezal wewnetrzny korytarz, prowadzacy do szesciu dalszych pomieszczen biura Dakota and Dakota, miedzy innymi takze do sali komputerow, gdzie ciagle jeszcze sleczal Lee, oraz do lazienki. Dziwne dzwieki i wiatr nie mogly dotrzec tu przez zamkniete drzwi, a zatem musialy powstac wlasnie tutaj, w holu.

Powrociwszy na srodek pokoju, zaczal powoli rozgladac sie dookola.

Pisk fletu wraz z towarzyszacy mu podmuchem powtorzily sie po raz trzeci.

-Frank - powiedzial Hal, pochwyciwszy katem oka zarys meskiej postaci w poblizu drzwi wychodzacych na ogolny korytarz.

Wykonal obrot i natychmiast stwierdzil swa pomylke. To nie byl Frank. Przybysz byl zupełnie obcy, lecz Hal rozpoznal go natychmiast. Candy. Nie mial co do tego zadnych watpliwosci. Tak wlasnie wygladal czlowiek widziany przez Bobby'ego na plazy w Punaluu.

Hal byl krepym, szerokim w barach mezczyzna i jeszcze sie nie zdarzylo, zeby ktos go pokonal w walce. Candy przewyzszal go o dobrych osiem cali, lecz Halowi udawalo sie juz wygrac nawet z wiekszymi przeciwnikami. Z kolei Candy nalezal najwyrazniej do tych ludzi, ktorzy od urodzenia maja mocny kosciec, pokryty platami silnych miesni, ktore rozwijaja sie, choc ich wlasciciel nie

poswieca zbyt wiele czasu na cwiczenia fizyczne, choc takze jemu najwyrazniej nie byla obca dyscyplina oraz bolesny rytual hantli, sztangi czy ukosnej laweczki. Hal mial podobna budowe ciala, byl twardy niczym zamrozona wolowina. Wzrost lub muskulatura Candy'ego nie zrobily na nim wiekszego wrazenia. Przerazala go natomiast emanujaca z sylwetki Pollarda atmosfera obledu, zlosci i przemocy, rownie dobrze wyczuwalna, jak odor smierci unoszacy sie nad liczacymi sobie tydzien zwlokami.

Z chwila gdy brat Franka zjawil sie w pokoju, Hal wyczul jego szalencza furie z taka sama nieomylnoscia, z jaka zdrowy pies poznaje wscieklego pobratymca, i zareagowal podobnie jak on. Byl bez butow, nie mial przy sobie broni, a w zasiegu reki nie widzial niczego przydatnego do obrony. Dlatego zawrocil na piecie i popedzil do pokoju szefow, gdzie, jak wiedzial, pod biurkiem Julie tkwil w sprezynowym uchwycie nabity polautomatyczny, dziewieciomilimetrowy browning. Umieszczono go tam jako zabezpieczenie na wszelki wypadek, ale az do tej chwili nigdy nie byl nikomu potrzebny.

Hal nie byl specem od walki wrecz, co moglyby sugerowac jego wyglad i pochodzenie. Cala jego wiedza sprowadzala sie do podstawowych zasad Tai Kwan Do. Nie zmienialo to w niczym sytuacji, gdyz tylko glupiec probowalby zastosowac jakakolwiek forme walki wrecz w obronie przed szarzujacym bykiem, ktorego uzadlil trzmiel.

Dopadl drzwi, nim Candy zlupal go za koszule i szarpnieciami sprobował rzucic na podloge. Koszula puscila w szwach, pozostawiajac szalencowi w garosci kawalek materialu.

Hal utrzymal sie na nogach, ale stracil rownowage. Wpadajac do pokoju zderzyl sie z duzym krzeslem Julie, ktore wciaz stalo na srodku, otoczone polkolem czterech innych krzesel, ustawionych zgodnie ze wskazowkami Jackie Jaxxa podczas sesji hipnotycznej. Szukajac oparcia, zlupal za porecz. Na nieszczescie krzeslo wyposazone bylo w kolka, ktore, choc z oporem, potoczyly sie po dywanie, co sprawilo, ze wymknelo sie spod jego rak.

Szaleniec zwalil sie na niego, wtlaczajac w glab krzesla i popychajac je do przodu, dopoki nie uderzyli w biurko. Pochylony nad Halem, walac masywnymi piesciami podobnymi do kowalskich mlotow, Candy zaatakowal korpus detektywa. Hal mial opuszczone rece, totez przez chwile byl calkowicie bezbronny. W koncu udalo mu sie jednak zlaczyc dlonie i wyprowadzic cios, ktory trafil Candy'ego w jablko Adama. Uderzenie bylo tak silne, ze z ust napastnika wyrwal sie okrzyk bolu. Hal czul, jak jego kciuki przesuwaja sie ku podbrodkowi Pollarda, zlobia jego cialo, pozostawiajac za soba rozdarta skore.

Krztuszac sie, niezdolny zaczerpnac tchu przez obolale gardlo, Candy chwiejnie cofnal sie o kilka krokow, obiema dlonmi trzymajac sie za szyje.

Hal natychmiast poderwal sie z krzesla, lecz nie podazyl za Candym. Uderzenie, ktorym potraktowal tego wariata, mozna bylo najwyzej porownac do klapniecia packa na muchy po pysku rozjuszonego byka. Obolaly od otrzymanych ciosow, z kwasnym posmakiem pizzy w ustach, zamiast ryzykowac niebezpieczny atak, pospieszyl za biurko, cala nadzieje pokladajac w ukrytym pod nim browningu.

Biurko bylo wielkie, totez miejsce na nogi okazalo sie rownie obszerne. Nie wiedzial, gdzie

dokładnie przymocowano pistolet, a nie chciał zaglądać pod blat, bo wówczas straciłby z oczu Candy'ego. Przesunął dłoń z lewa na prawo, a gdy to nie dało rezultatu, sięgnął głębiej.

Zmacał właśnie kolbę pistoletu, gdy zauważył, że Candy wyciąga przed siebie obie ręce z dłońmi zwróconymi na zewnątrz, jakby wiedział, że Hal znalazł właśnie bronię. Gestem tym zdawał się mówić: "Nie strzelaj, poddaj się". Gdy jednak Hal oswobodził browninga z metalowego uchwytu, stwierdził, że Candy w ogóle nie myślał o poddaniu się. Z dłoni szalensa wystrzeliło błękitne światło. Ciężkie biurko zaczęło się nagle zachowywać niczym zdalnie sterowany rekwizyt z drewna balsa używany w filmie o duchach. Hal nie zdążył jeszcze unieść pistoletu, gdy biurko runęło na niego, popychając go prosto na wielkie okno. Biurko było szersze niż otwór okienny, toteż jego brzegi zatrzymały się na murze, co uchroniło je przed wypadnięciem na zewnątrz razem z tafelką szkła.

Hal natomiast znalazł się dokładnie pośrodku okna. Niski parapet podciął mu od tyłu nogi na wysokości kolan i od tej chwili już nic nie było w stanie powstrzymać jego upadku. Przez mgnienie oka wydało mu się, że zdolają go uratować brzęczące głośno żaluzje, jednakże było to tylko pobożne życzenie; pociągnął je za sobą, wypadając przez szybę w mrok nocy. Z dłoni wymknął mu się pistolet, z którego nie zdążył ani razu wystrzelić.

Zdumiał go, jak niezmiernie dużo czasu potrzebował na przebycie pięciu pieter. Choć nie był to upadek z zawrotnej wysokości, ale musiał być śmiertelny. Hal miał trochę czasu, żeby podziwiać, jak powoli odpływa od niego oświetlone okno biura, by pomyśleć o ludziach, których kochał i marzeniach, których nie dane mu było spełnić. Zdążył nawet zauważyć, że z chmur nagromadzonych o zmierzchu zaczął siąpić drobny deszcz. Ostatnia myśl dotyczyła ogrodu położonego z tyłu jego małego domu w Costa Mesa, gdzie przez cały rok uprawiał mnóstwo kwiatów, co zawsze dostarczało mu wiele radości. Doskonała miękkość koralowoczerwonych płatków niecierpki, lśniaca na skraju kwiatu drobna kropelka porannej rosy...

* * *

Candy odsunął ciężkie biurko, po czym wychylił się z okna na piątym piętrze. W twarz uderzył go plynący z dołu podmuch zimnego powietrza. Na dole, na szerokim betonowym chodniku, leżał na plecach bosy mężczyzna, oświetlony przez sączącą się z ulicznych lamp bursztynowa poświata. Otaczały go odłamki szkła, splatane metalowe żaluzje, a także powiększająca się szybko kałuża krwi.

Candy wciąż jeszcze kaszlał i obmacywał obolałą krtan, nie mogąc głębiej zaczerpnąć tchu. Śmierć tego człowieka wzbudziła w nim fale wściekłości. Nie dlatego, że do niej doszło, lecz dlatego, iż nastąpiło to tak szybko. Zamierzał bowiem najpierw go przesłuchać, aby dowiedzieć się, kim byli Bobby i Julie oraz co łączyło ich z tym polgłównikiem Thomasem.

Kiedy tylko Candy zjawił się w holu, człowiek, którego zabił, wziął go za Franka, wymówił jego przekleństwo. Ludzie pracujący w Dakota and Dakota byli w jakiś sposób powiązani z Frankiem - wiedzieli nawet o jego umiejętnościach teleportacji - a zatem powinni znać miejsce, gdzie ukrywa się ten matkobójca.

Candy przypuszczał, że w biurze Dakotow znajdzie odpowiedzi przynajmniej na niektóre spośród nurtujących go pytań, obawiał się jednak, iż zwabiona upadkiem policja zmusi go do ucieczki, zanim

zdobędzie wszystkie niezbędne informacje. Muzyka syren stanowiła nieodłączne tło jego dzisiejszych wyczynów.

Na razie jednak noc milczała. Może tym razem bardziej mu się poszczęści, może nikt nie zauważył spadającego mężczyzny. Nie wydawało się prawdopodobne, żeby o tej porze ktoś jeszcze pracował w biurówcu. Było przecież już dziesięć po dziewiątej. Może gdzieś tam sprzątaczkę froterowały podłogi lub opróżniały kosze na śmieci, ale mogły niczego nie słyszeć.

Człowiek, z którym walczył Candy, pomknął na spotkanie śmierci ze zdumiewającą łatwością. W ogóle nie krzyknął. Dopiero tuż przed zderzeniem z ziemią w jego gardle zrodził się jakiś dźwięk, lecz trwał zbyt krótko, by zwrócić czyjąkolwiek uwagę. Eksplozja pekającego szkła i metaliczny grzechot zaluzji były co prawda bardzo głośne, lecz ucichły, nim ktoś mógłby zlokalizować źródło hałasu.

Wokół centrum handlowego Fashion Island biegła czteropasmowa jezdnia, która odbywał się także ruch samochodowy wychodzący od rozmieszczonych na obrzeżu centrum biurowych wieżowców. Najwidoczniej w momencie upadku nie przejeżdżał po niej żaden samochód.

Dopiero teraz z lewej nadjechały dwa wozy. Oba przejechały ani na chwilę nie zmniejszając prędkości. Zywopłot, oddzielający chodnik na ulicy, skutecznie zasłaniał zwłoki przed wzrokiem kierowców. Rozległy pierścien biurowców nie należał w nocy do miejsc chętnie odwiedzanych przez pieszych, toteż przy odrobinie szczęścia ciało mogło nie zostać odkryte aż do rana.

Przeniósł wzrok na drugą stronę ulicy, na ciąg sklepów i restauracji, oddalonych o jakieś sześćset jardów. Kilka postaci, pomniejszych przez odległość, kreciło się pomiędzy samochodami zaparkowanymi przed wejściami do budynków. Wyglądało na to, że nikt niczego nie zauważył i właściwie nie było w tym nic dziwnego. Nie było łatwo dostrzec ubranego na ciemno mężczyźnię, spadającego w ciągu zaledwie kilku sekund z pozbawionego niemal światła biurowca.

Krzywiąc się z bólu Candy odchrząknął, po czym splunął w stronę rozciągniętego w dole ciała.

Poczuł smak krwi. Tym razem to była jego krew.

Odwracając się od okna jeszcze raz omiotł biuro spojrzeniem. Próbował odgadnąć, gdzie mogły się kryć potrzebne mu odpowiedzi. Gdyby zdołał odnaleźć Bobby'ego i Julie Dakotów, może dzięki nim poznałby tajemnice telepatii Thomasa oraz, co ważniejsze, dostałby w swoje ręce Franka.

* * *

Dwukrotnie ostrzeżona przez wykrywacz radarów, Julie uniknęła kontroli drogowych w zachodniej części doliny, a teraz ponownie rozpedziła toyotę do osiemdziesięciu pięciu mil na godzinę. Na szybie pokazało się parę kropel deszczu, lecz mżawka ustąpiła zaraz po włączeniu wycieraczek.

-W Santa Barbara będziemy za około godzinę - powiedziała - o ile nie natrafimy na jakiegoś gliniarza z silnym poczuciem obowiązku.

Bolał ją kark i walczyła ze straszliwym zmęczeniem, nie chciała jednak zamienić się na miejsca z

Bobbym. Nie starczyłoby jej cierpliwości, by dzisiejszej nocy występować w roli pasażerki. Choć piekły ją oczy, nie odczuwała senności; prawdopodobnie nie dałaby rady zasnąć. Pod wpływem wydarzeń minionego dnia odbiegał od niej sen, a jej czujność była jeszcze dodatkowo wzmocniona przez niepewność tego, co mogło ich spotkać w El Encanto Heights.

Bobby był markotny od chwili, gdy obudziła go słowna eksplozja. Julie widziała, że się czymś martwi, lecz najwidoczniej nie miał ochoty o tym rozmawiać.

Po jakimś czasie, wyraźnie próbując oderwać się od ponurych rozmyślań, podjął rozmowę na zupełnie inny temat. Przyciszył muzykę, psując tym samym stereofoniczne efekty American Patrol Glenna Millera, po czym rzekł:

-Czy zauważyłaś kiedykolwiek, że czterech spośród jedenastu naszych pracowników jest azjatyckiego pochodzenia?

Nie odrywała wzroku od szosy.

-No i co z tego?

-Jak sądzisz, dlaczego tak się dzieje?

-Ponieważ zatrudniamy tylko pierwszorzędnych ludzi, a tak się złożyło, że czterech z nich to Chinczyki, Japonczycy i Wietnamczycy.

-To tylko część prawdy.

-Tylko część? - zdziwiła się Julie. - Jak zatem wygląda reszta? Może według ciebie podły Fu Manchu skierował na nas sterujące wola promieniowanie ze swej tajemniczej twierdzy w gorach Tybetu i wymusił w ten sposób ich zatrudnienie?

-To także tylko część prawdy. Oprócz tego ważnym czynnikiem jest fakt, że pociąga mnie osobowość Azjatów. A przynajmniej to, co ludziom przychodzi do głowy, gdy myślą o osobowości Azjatów: inteligencja, wysoki stopień samodyscypliny, uprzejmość, silne przywiązanie do tradycji i porządku.

-Takimi cechami obdarzeni są wszyscy nasi pracownicy, nie tylko Jamie, Nguyen, Hal i Lee.

-Wiem, ale Azjaci odpowiadają mi szczególnie, ponieważ zatrudniając ich kupuje zarazem przypisywany im stereotyp. Wydaje mi się, że dzięki nim wszystko dzieć się będzie w uporządkowany, ustalony sposób, a prawdę mówiąc, bardzo mi takiego stereotypu potrzeba, bo widzisz... no więc, nie jestem takim typem człowieka, za jakiego się uważałem. Czy jesteś gotowa usłyszeć coś szokującego?

-W każdej chwili - odparła Julie.

* * *

Często podczas pracy z komputerem Lee Chen wkładał płyte kompaktowa do odtwarzacza firmy Sony

i słuchał muzyki przez słuchawki. Nie chciał, żeby ktoś mu przeszkadzał, zamykał się wtedy w pokoju, przez co część współpracowników uważała go za osobę mało towarzyską. Tymczasem Lee rzeczywiście potrzebował koncentracji, gdy zajmował się przeszukiwaniem skomplikowanych, a do tego dobrze strzeżonych sieci danych. W zależności od nastroju zdarzało się, że muzyka przeszkadzała mu bardziej niż cokolwiek innego, najczęściej jednak pomagała w pracy. Czasami podobały mu się partie solowe na pianinie w wykonaniu George'a Winstona, grającego muzykę Nowego Wieku, zazwyczaj jednak słuchał rock and rolla. Dzisiaj były to utwory Hueya Levisa: Hip to Be Square, The Power of Love, The Heart of Rock and Roll oraz You Crack Me Up. Wpatrzony z uwagą w ekran terminalu (jego okno w hipnotyzujący świat cyberprzestrzeni), z uszami zalewanymi dźwiękami Bad Is Bad, nie usłyszałby niczego, nawet gdyby w zewnętrznym świecie Bog rozdarł powłokę niebios i obwiesił natychmiastową zagładę ludzkiej rasy.

* * *

Przez rozbite okno wpadał do pokoju prąd zimnego powietrza, lecz Candy'emu z powodu zniecierpliwienia zrobiło się gorąco. Krawał powoli po obszernym biurze, podnosząc kolejno różne przedmioty, dotykając mebli, usiłując wywołać wizję, która naprowadziłaby go na trop Dakotów i Franka. Na razie nie miał szczęścia. Mogł co prawda zabrać się za przeglądanie zawartości biurka oraz szaf, trwałoby to jednak wiele godzin, bo nie miał pojęcia, gdzie umieszczono interesujące go dokumenty. Poza tym uswiadomił sobie, że mógłby nawet nie rozpoznać właściwych papierów, kryjących się w teczkach lub kopercie oznakowanej numerem sprawy czy też nic nie mówiącym symbolem. Wprawdzie matka nauczyła go czytać i pisać i podobnie jak ona stał się w końcu zagorzałym czytelnikiem - dopóki nie stracił serca do książek po jej śmierci - opanowując wiele przedmiotów na poziomie nie gorszym od szkolnego, jednak zawsze bardziej polegał na swych niezwykłych umiejętnościach, przedkładając je ponad słowo pisane.

W holu natrafił na domowy adres i numer telefonu Dakotów. Zadzwoił niezwłocznie, aby sprawdzić, czy przypadkiem nie ma ich u siebie. Po trzecim dzwonku odezwał się automat zgłoszeniowy. Bez słowa odłożył słuchawkę. Nie obchodziło go, gdzie Dakotowie mieszkają, gdzie mogą zjawić się za jakiś czas. Musiał wiedzieć, gdzie znajdują się w chwili obecnej, pragnął natychmiast wydusić z nich wszystkie odpowiedzi.

Podniósł szklanke po szkockiej. Porozstawiano je po całym pokoju. Psychiczny osad, który pozostał na naczyniu, natychmiast podsunał mu żywy obraz mężczyzny nazwiskiem Jackie Jaxx. Candy ze złości odstawił szklanke, aż ta potoczyła się i spadła z sofy na pokryta dywanem podłogę.

Ten Jaxx pozostawił po sobie kolorowy, krzykliwy ślad, podobnie jak pies z chorym pecherzem znaczący każdy swój krok kropelką cuchnącego moczu. Candy wyczuł, że w tej chwili Jaxx znajdował się wśród wielkiej liczby ludzi na przyjęciu w Newport Beach i szukanie Dakotów za jego pośrednictwem byłoby tylko stratą czasu. Pomimo to, gdyby Jaxx był zupełnie sam, Candy przeniósłby się tam natychmiast i zabił tylko dlatego, że jego aura była tak odrazajaco hałasliwa.

Albo nie natrafił jeszcze na przedmiot, który znajdował się w rękach Dakotów dostatecznie długo, by pozostał na nim wyraźny ślad, albo też należeli do osób nie posiadających dającej się wyczuć aury. Z nieznanego przyczyn Candy miał czasami kłopoty z odnalezieniem niektórych ludzi.

Odszukanie tropu Franka zawsze sprawialo mu pewna trudnosc, ale dzisiaj szlo mu wyjatkowo opornie. Raz po raz natrafial na drobne slady potwierdzajace obecnośc Franka w tym pokoju, z poczatku jednak nie znalazl niczego, co nosiloby na sobie wyrazna aure jego brata.

W pewnym momencie zabral sie do czterech krzesel, zaczynajac badania od najwiekszego z nich. Kiedy tylko wyczulonymi koncami palcow musnal oparcie, zadrzal z podniecenia. Wyczul od razu, ze niedawno siedzial na nim Frank. Winylowe obicie na poroczy szpecilo niewielkie rozdarcie. Przylozywszy do niego kciuk, Candy otrzymal wyjatkowo wyrazny obraz Franka.

Zbyt wiele wizji. Splynela na niego cala seria widokow miejsc, ktore odwiedzal Frank po opuszczeniu krzesla: Wysoka Sierra, mieszkanie w San Diego, zardzewiala brama przed domem ich matki na Pacific Hill Road, cmentarz, pelen ksiazek gabinet, ktory przemknal tak szybko, ze Candy zdazyl zaledwie uchwycic jego ogolny zarys, plaza w Punaluu, gdzie omal go nie dopadl... Obrazow bylo tak wiele, ze nakladajac sie na siebie zamazywaly wizje pozniejszych przystankow.

Z niesmakiem odsunal krzeslo na bok, po czym podszedl do stolika do kawy, na ktorym staly dwie szklanki, obie zawierajace nadtopiony lod i szkocka. Podniosl jedna z nich, a wtedy stanela mu przed oczami wizja Julie Dakota.

Podczas gdy Julie pedzila ku Santa Barbara z takim pospiechem, jakby uczestniczyla w wyscigach samochodowych, Bobby przekazal jej szokujaca wiadomosc: ze w glebi duszy nie jest tak beztroskim facetem, jak to sugeruje jego powierzchownosc, ze podczas oszalamiajacych podrozy z Frankiem - a zwlaszcza w momentach, kiedy byl rozbity na oswobodzony z ciala umysl i chaotyczny wir wolnych atomow - odkryl w sobie gleboka milosc do stabilizacji i porzadku, siegajaca glebiej, niz kiedykolwiek mogl to sobie wyobrazic. Doszedl takze do wniosku, ze jego zamilowanie do swingu bralo sie bardziej z zachwytu nad jego precyzyjna budowa, anizeli z oszalamiajacej muzycznej swobody, ucielesnionej przez jazz. Nawet w polowie nie byl takim lekkoduchem, za jakiego sie dotychczas uwazal; nigdy by nie przypuszczal, ze az tak bardzo jest przywiazany do tradycji.

-Krotko mowiac - podsumowal swoj wywod - przez caly czas, gdy sadzilas, ze wyszlas za maz za faceta na luzie w stylu mlodego Jamesa Garnera, mialas w rzeczywistosci do czynienia z typem pokroju starego Charlesa Bronsona.

-Potrafie z toba zyc, jakimkolwiek bys byl.

-To powazna sprawa. Dawno skonczylem trzydziesci lat. Nie jestem dzieckiem. Powinienem byl wiedziec to o sobie znacznie wczesniej.

-Wiedziales.

-Doprawdy?

-Kochasz porzadek, rozsadek, logike. To dlatego zdecydowales sie na taka prace, w ktorej mozesz naprawiac krzywdy, pomagac niewinnym, karac zlo. To dlatego dzielisz ze mna Marzenie, dzieki ktoremu uporzadkujemy sprawy naszej malej rodziny, umkniemy przed chaosem wspolczesnego swiata do oazy ciszy i spokoju. Dlatego tez nie pozwolisz mi kupic Wurlitzera 950 - te libelle i

skaczace gazele sa dla ciebie za bardzo chaotyczne.

Milczal przez chwile, zaskoczony jej odpowiedzia. Na zachodzie rozciagal sie ciemny bezmiar morza.

-Moze masz racje - powiedzial w koncu. - Moze rzeczywiscie zawsze wiedzialem, jaki jestem tam w srodku. To straszne, ze tak dlugo oszukiwalem samego siebie.

-Wcale nie oszukiwales. Jestes niefrasobliwy, a rownoczesnie masz w sobie cos z Charlesa Bronsona. To bardzo dobrze. Inaczej zapewne w ogole nie moglibysmy sie porozumiec. Przeciez oprócz mnie wiecej z Bronsona ma chyba tylko sam Bronson.

-Boze, to prawda! - rzucil Bobby i oboje parskneli smiechem. Predkosc toyoty spadla ponizej siedemdziesiatki. Przyspieszyla do osiemdziesiatki, po czym zapytala:

-Bobby... co cie gryzie naprawde?

-Thomas.

Spojrzala na niego zdziwiona.

-A co sie z nim dzieje?

-Od czasu eksplozji slow nie moze pozbyc sie uczucia, ze grozi mu niebezpieczenstwo.

-A co on ma z tym wszystkim wspolnego?

-Nie wiem. Ale poczulbym sie lepiej, gdybysmy znalezi telefon i zadzwonili do Cielo Vista. Po prostu, zeby sie upewnic.

Julie gwałtownie zwolnila. Po przejechaniu trzech mil zjechali z szosy do stacji obslugi. Pracownik stacji zajal sie myciem szyb i sprawdzeniem oleju; napelnil tez zbiornik bezolowiowa benzyna, a w tym czasie Dakotowie weszli do srodka, by skorzystac z telefonu.

Znalezi nowoczesny, elektroniczny aparat, przyjmujacy zarowno monety, jak i karty kredytowe. Wisial na scianie obok stojaka z krakersami, batonikami i paczkami orzeszkow. Tuz obok stal automat z prezerwatywami, stanowiac najlepsza ilustracje wywołanego przez AIDS społecznego zamieszania. Poslugujac sie karta kredytowa AT and T, Bobby wybral numer Domu Opieki Cielo Vista.

W sluchawce panowala cisza, ktora po chwili zastapil sygnal informujacy, ze numer jest zajety. Zaraz potem rozlegla sie seria dziwnych elektronicznych dzwiekow i glos z tasmy oswiadczył, iz wybrany numer jest chwilowo nieczynny na skutek uszkodzenia linii. Monotonnie proponowal, zeby zadzwonic pozniej.

Sprobowali polaczyc sie za posrednictwem centrali, efekt byl jednak taki sam.

-Bardzo mi przykro - powiedziała telefonistka. - Proszę spróbować nieco później.

-Co mogło stać się z linią?

-Nie wiem, proszę pana, ale jestem pewna, że łączność zostanie wkrótce przywrócona.

Odsunął słuchawkę od ucha, tak że Julie, pochyliwszy się, mogła słyszeć całą rozmowę.

Powiesił słuchawkę na widelki i obrzucił żonę przeciągłym spojrzeniem.

-Wracajmy. Mam przeczucie, że Thomas nas potrzebuje.

-Wracac? Jesteśmy zaledwie o poł godziny drogi od Santa Barbara. Do domu mamy znacznie dalej.

-On może nas potrzebować. Przyznaje, że wrażenie to nie jest zbyt silne, ale uporczywie powraca i jest... jakies dziwne.

-Jeżeli jest mu potrzebna szybka pomoc - odparła - to i tak nie zdążymy na czas. A jeśli sprawa nie jest aż tak pilna, nic się nie stanie, gdy zadzwonimy później z motelu w Santa Barbara. Gdyby okazało się, że jest chory lub ranny, dodatkowa jazda stąd do Santa Barbara i z powrotem zajęłaby nam tylko godzinę.

-No cóż...

-On jest moim bratem, Bobby. Martwie się o niego tak samo jak ty. Mówię ci, że tak będzie najlepiej. Jesteś kochany, ale nigdy nie wykazałeś talentów psychicznych na tyle, żeby mnie teraz wpędzić w histerię.

Skinal głową.

-Masz rację. Jestem po prostu roztrzesiony. Moje nerwy nie doszły jeszcze do siebie po tych podróżach z Frankiem.

Gdy z powrotem znaleźli się na szosie, natrafili na kilka ciągnących się od morza wąskich pasemek mgły. Ponownie zaczęło padać, lecz w ciągu minuty po deszczu nie było już ani śladu. Ciepkie, nieruchome powietrze i niemal namacalny ucisk absolutnie czarnego nocnego nieba zapowiadały nadejście burzy.

Po przejechaniu kilku mil Bobby powiedział:

-Powiniennem być zadzwonić do Hala w biurze. Skoro tam siedzi, czekając na Franka, mogłoby wykorzystać nasze kontakty z kompanią telefoniczną albo policją i upewnić się, że w Cielo Vista wszystko gra.

-Jeśli dzwonić z motelu dowiesz się, że linia w dalszym ciągu jest uszkodzona, wtedy skontaktujesz się z Halem.

* * *

Słaby psychiczny osad na szklance odsłonił Candy'emu obraz Julie Dakota. Była to ta sama twarz, która oglądał wcześniej przez umysł Thomasa, tyle tylko, że pozbawiona idealizujących ją upiększeń, dodanych przez pamięć głupka. Dzięki swemu szostemu zmysłowi zobaczył, że z biura udala się do domu, którego adres znalazł na biurku sekretarki. Przebywała w nim bardzo krótko, a potem odjechała gdzieś samochodem w towarzystwie jeszcze jednej osoby, najprawdopodobniej mężczyzny o imieniu Bobby. Nie mógł dojrzec niczego więcej, toteż załował, że pozostawione przez nią ślady nie były równie wyraźne jak trop Jaxxa. Odstawił szklankę, postanawiając obejrzeć ten dom. Choć obecnie nie było w nim ani Julie, ani Bobby'ego, mógł tam natrafić na jakiś przedmiot, który, podobnie jak szklanka z alkoholem, pozwoliłby mu zrobić następny krok w pogoni za Dakotami. Gdyby nie znalazł niczego, powróci później do biura i dokładnie je przeszuka, o ile oczywiście nie zjawi się tu policja, ściągająca odkryciem zwłok leżących na dole.

* * *

Lee wyłączył komputer, a zaraz potem także kompaktowy odtwarzacz - Huey Levis dotarł właśnie do połowy Walking On a Thin Line - i ściągnął z uszu słuchawki. Zadowolony z długiej, owocnej sesji w krainie krzemu i arsenku galu wstał, przeciągnął się, ziewnął, a potem spojrzął na zegarek. Nieco po dziewiątej. Pracował przez dwanaście godzin.

Zdawac by się mogło, że nie powinien pragnąć niczego więcej, jak tylko wślizgnąć się do łóżka i przespacerować pół dnia. Jednak doszedł do wniosku, że szybko wyskoczy do swego mieszkania, oddalonego od biura o niecałe dziesięć minut jazdy, odświeży się i lyknie nieco nocnego życia. W ubiegłym tygodniu odkrył nowy klub, "Nuclear Grin", w którym serwowano głośną muzykę i drinki bez nadmiernej ilości wody, gdzie goście byli do siebie przyjaźnie nastawieni, a kobiety gorące. Miał ochotę potanczyć, trochę wypić, a na koniec znaleźć dziewczynę chętną do szalenstwa.

W obecnych czasach nowych chorób seks stał się rozrywką ryzykowną; czasami można było odnieść wrażenie, że picie z naczynia, z którego ktoś napił się już przed nami, równało się samobójstwu. Jednakże po całym dniu, spędzonym w rządzonej nieublagana logiką wszechświecie mikroelektroniki, człowiekowi potrzeba nieco dzikości, ryzyka, tanca na krawędzi chaosu, o ile chce odzyskać równowagę ducha.

A potem przypomniał sobie, jak Frank i Bobby zniknęli na jego oczach. Zaczął zastanawiać się, czy jak na jeden dzień nie była to wystarczająca porcja mocnych wrażeń.

Pozbierał ostatnie wydruki. Zawierały one więcej wyszperanych z policyjnych kartotek danych na temat zdecydowanie dziwnego zachowania Pana Blekitnego, który z pewnością nie potrzebował dodatkowej porcji dzikości dla zachowania równowagi. On tę dzikość uosabiał. Lee otworzył drzwi, zgasił światła, przeszedł korytarzem i przez następne drzwi dotarł do holu. Zamierzał zostawić wydruki na biurku Julie, a przy okazji pożegnać się z Halem.

Gdy wszedł do pokoju Bobby'ego i Julie, wydało mu się, że trafił do pomieszczenia, w którym Narodowa Federacja Wrestlingu przeprowadziła mecz dwóch drużyn składających się z wazaczy po trzysta funtów zawodników.

Poprzewracane meble, porozrzucane po podłodze szklanki. Przekrzywione biurko Julie chwiała się na jednej nodze. Oderwany blat zsunął się na jedną stronę, jakby ktoś potraktował go łomem.

-Hal?

Zadnej odpowiedzi.

Pospiesznie otworzył drzwi do przyległej łazienki.

-Hal? Łazienka była pusta.

Podszedł do wybitego okna. Pare małych odłamków szkła nadal tkwiło w ramie. Na ich krawędziach polyskiwało drzące światło.

Przytrzymując się jedną ręką ściany, Lee ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Popatrzył w dół. Mocno zmienionym głosem powtórzył:

-Hal?

* * *

Candy zmaterializował się w cichym i ciemnym holu domu Dakotów. Przez chwile trwał w bezruchu, krecąc głową na wszystkie strony, dopóki nie upewnił się, że jest sam. Bol gardła minal bez śladu. Ponownie był zdrowy, a perspektywa tego, co mogło się w najbliższym czasie wydarzyć, wprawiała go w podniecenie.

Poszukiwania zaczął od korytarza. Położył dłoń na klamce, w nadziei, że pozostał na niej jakiś osad. Nie wyczuł niczego, co było częściowo zrozumiałe, jako że Dakotowie w trakcie krótkiego pobytu w domu niemal jej nie dotykali.

Oczywiście zdarzało się, że jakaś osoba dotykając stu przedmiotów pozostawiała swój odcisk tylko na jednym z nich, a powtarzając tę czynność po godzinie użyczala swej aury wszystkim. Przyczyny takiego stanu rzeczy były dla Candy'ego równie niezrozumiałe jak zainteresowanie ludzi seksem. Choć był wdzięczny matce za ten dar, to podążając psychometrycznym śladem swoich ofiar często miał trudności, a nawet popełniał omyłki.

Jadalnia i salon Dakotów były nieumeblowane, nie miał więc tam zbyt wiele do roboty, natomiast sama pustka tych pomieszczeń sprawiała, że poczuł się swojsko. Zastanowiło go to. W domu matki wszystkie pokoje były umeblowane, a teraz oprócz krzeseł, sof, stolów i lamp, zjawiała się w nich wilgoć, grzyb i brud. Nagle uswiadomił sobie, iż podobieństwo brało się zapewne stąd, że, tak jak Dakotowie, zamieszkiwał tylko niewielki fragment domu, którego pozostałe pomieszczenia równie dobrze mogłyby być zupełnie puste i zamknięte naглуcho.

Kuchnia i przyległy do niej pokój były zagospodarowane. Nie ulegało wątpliwości, że właśnie tutaj koncentrowało się życie Dakotów. Choć istniało raczej niewielkie prawdopodobieństwo, że ktoreś z nich zaglądało do pokoju w trakcie krótkotrwałych przygotowań do wyjazdu, Candy miał nadzieję, że może odwiedzić kuchnię, żeby coś szybko zjeść lub wypić. Niestety, uchwycił szafek,

kuchenki mikrofalowej, piecyka i lodowki nie dostarczyły mu żadnych wizji.

Wchodząc na piętro Candy poruszał się powoli. Badawczo wodził dłoń wzdłuż debowej poręczy schodów. W paru miejscach natrafił na słabe psychiczne odciski, które, choć krótkotrwałe i niewyraźne, umocniły w nim przekonanie, że w sypialni lub łazience znajdzie to, czego szuka.

54

Zamiast niezwłocznie zgłosić morderstwo Hala Yamataki pod numer 911, Lee podbiegł najpierw do biurka sekretarki i zgodnie z wyuczoną procedurą z dna dolnej szuflady po prawej stronie wyciągnął mały, brązowy notes. Na użytek pracowników takich jak Lee, którzy niezbyt często działali w terenie i rzadko kontaktowali się bezpośrednio z funkcjonariuszami agencji policyjnych, a których pewnego dnia okoliczności mogły do tego zmusić, Bobby sporządził listę najbardziej kompetentnych, rozsądnych i godnych zaufania oficerów, detektywów i urzędników. Ponadto brązowy notes zawierał drugą listę osób, których należało unikać. Były na niej nazwiska gliniarzy instynktownie nie lubiących prywatnych detektywów i ochroniarzy, takich, którzy czepiali się dla zasady, a także funkcjonariuszy wyznających idee, że dla sprawnego działania aparatu sprawiedliwości niezbędny jest zielony smar. Na korzyść sił strzegących ładu w Okręgu Orange przemawiał fakt, że pierwsza lista była znacznie dłuższa od drugiej. Według Bobby'ego i Julie wprowadzenie do akcji policji, o ile było to nieuniknione, należało kontrolować w jak największym zakresie, próbując nawet wpływać na wybór odpowiedniego funkcjonariusza. Zdawanie się w tym względzie na szczęśliwy przypadek czy też humor dyspozytora byłoby po prostu niemądre.

Lee zaczął się nawet zastanawiać, czy w ogóle powinien zawiadomić policję. Nie miał wątpliwości, kto zabił Hala. Pan Blekitny. Candy. Równocześnie wiedział jednak, że Bobby nie chciałby ujawniać szczegółów sprawy Franka w stopniu większym, niż było to niezbędne. Co prawda prawo nie chroniło aż tak bardzo tajemnicy klienta agencji detektywistycznej, jak miało to miejsce w przypadku prawników czy lekarzy, tym niemniej była to sprawa niezmiernie ważna. Ponieważ Bobby i Julie byli chwilowo nieosiągalni, Lee nie mógł się nikogo poradzić co do tego, ile wolno mu powiedzieć policji.

Niezależnie od wszystkiego nie mógł jednak pozwolić, aby zwłoki leżały przed budynkiem, zwłaszcza że należały do człowieka, którego znał i lubił.

A zatem musi zadzwonić na policję, pamiętając przy tym, żeby na ochotnika nie podawać żadnych szczegółów.

Przejrzawszy notes, Lee połączył się z policją w Newport Beach i zapytał o detektywa Harry'ego Ladsbroke'a. Okazało się, że Ladsbroke miał właśnie wolne. Podobnie detektyw Janet Heisinger. Na szczęście służbę pełnił Kyle Ostor, a kiedy podszedł do telefonu, jego miękki baryton zabrzmiał pewnie i kompetentnie.

Lee przedstawił się, ze zdziwieniem stwierdzając, że mówi podwyższonym, niemal piskliwym głosem, a słowa wypowiada znacznie szybciej niż zazwyczaj.

-Popelniono... popelniono morderstwo.

Nim Lee zdążył podać szczegóły, Ostor zawołał:

-O Jezu, to znaczy, że Bobby i Julie już wiedzą? Dopiero co się o tym dowiedziałem. Na mnie spadł przykry obowiązek zawiadomienia ich i właśnie siedziałem, zastanawiając się, w jaki sposób przekazać im tę straszną wiadomość. Miałem już w ręku słuchawkę, kiedy pan zadzwonił. Jak oni to przyjęli?

-Nie sądzę, żeby o tym wiedzieli - powiedział zmieszany Lee. - Widzi pan, to musiało się stać kilka minut temu.

-Trochę wcześniej - poprawił go Ostor.

-W jaki sposób zdążyliście się już o tym dowiedzieć? Przed chwilą wyglądałem przez okno i nie widziałem żadnych wozów patrolowych, karettek, niczego. - Zadrzał gwałtownie. - O Boże, jeszcze niedawno z nim rozmawiałem, zaniósłem mu pizzę, a teraz leży roztrzaskany na betonie, pięć pieter niżej.

Ostor zamilkł na dłuższą chwilę, a potem zapytał:

-O jakim morderstwie mówisz, Lee?

-Hal Yamataka. Musiało tu dojść do walki, a potem... - Urwał raptownie, zamrugł oczami. - A o jakim morderstwie pan mówi?

-Thomas - krótko rzucił Ostor.

Lee zrobiło się niedobrze. Widział Thomasa tylko raz, ale wiedział, że Bobby i Julie byli do niego bardzo przywiązani.

-Oprócz Thomasa zginął także jego kolega z pokoju - dodał Ostor. - Ogień mógł pochłonąć dalsze ofiary, o ile nie wyprowadzili wszystkich na czas z budynku.

Naturalny komputer, z którym Lee przyszedł na świat, nie działał tak sprawnie, jak zainstalowane w biurze modele IBM, toteż potrzebował nieco czasu, by uchwycić wszystkie implikacje wypływające z uzyskanych od Ostora informacji.

-Pomiedzy tymi morderstwami musi istnieć jakiś związek, nie sądzi pan?

-Jestem o tym przekonany. Czy zna pan kogoś żywiącego urazę wobec Dakotów?

Lee rozejrzał się po hoku, pomyślał o opustoszałych pomieszczeniach Dakota and Dakota, wymarłych biurach całego piątego piętra i wyludnionych poziomach niżej. Przypomniał mu się także Candy oraz wszystkie rozszarpane przez niego ofiary; olbrzym, którego widział Bobby na plaży Punaluu, w niezwykle sposób przenoszący się z miejsca na miejsce. Nagle poczuł się ogromnie osamotniony.

-Panie Ostor, czy nie mogłby pan przysłać tu jak najszybciej paru ludzi?

-Rozmawiając z panem, uruchomiłem komputer - odrzekł Ostor. - Kilka wozów jest już w drodze.

* * *

Candy przesunął czubkami palców po powierzchni komody, następnie obmacał metalowe uchwyty wszystkich szuflad. Dotknął kontaktu na ścianie oraz przelaczników nocnych lampek. Przejechał dłońmi wzdłuż ościeżnic drzwi w nikłej nadziei, że któreś z małżonków przystanęło w progu z ręką wspartą na framudze. Zbadał galki lustrzanych drzwi szafy, po czym pieszczośliwie pogładził pilota telewizora, licząc na to, że w trakcie przelotnej wizyty w domu włączali odbiornik.Nic.

Chcąc osiągnąć sukces musiał działać spokojnie i metodycznie, dlatego starał się powściągnąć gniew i niezadowolenie. A jednak, pomimo wszystkich wysiłków, złość w nim narastała. Złością towarzyszyło zawsze pragnienie krwi, tego wina zemsty. To pragnienie mógł ugasić jedynie krwią i dopiero wówczas odstępowała go furia i przychodził okres względnego spokoju.

Gdy przeszedł z sypialni do łazienki, zapanowała nim żądza krwi, przemożna i nieodparta jak potrzeba oddychania. Spojrzawszy w lustro przez moment nie mógł dostrzec swojej twarzy, tak jakby nie dawała żadnego odbicia. Przed sobą widział jedynie krew, jak gdyby lustro zamieniło się w świetlik na dolnym pokładzie piekielnego okrętu, zeglującego po morzu posoki. Kiedy iluzja zniknęła i ujrzał własną twarz, szybko odwrócił wzrok.

Zacisnął szczęki, próbując nad sobą zapanować, i delikatnie dotknął kurka gorącej wody...

* * *

Motelowy pokój w Santa Barbara był obszerny, cichy, czysty i urządzone bez razących dysonansów barw i wzorów, które zdawały się obowiązywać w większości amerykańskich moteli. Niemniej jednak Julie nie wybrałaby go na miejsce, w którym musiałaby wysłuchać straszliwych wieści. Cios wydał się dotkliwszy, a ból serca bardziej rozdzierający, bo dopadły ją w tym dziwnym, bezosobowym otoczeniu. Naprawdę była przeswiadczone, że Bobby po raz kolejny popuścił wodze swojej wyobraźni i że z Thomasem wszystko było w najlepszym porządku. Ponieważ telefon znajdował się na nocnym stoliku, przysiadł na skraju łóżka, podczas gdy Julie zajęła miejsce na krześle oddalonym zaledwie o parę stop. Kiedy także i tym razem nagrany głos wyjaśnił, że połączenie z Cielo Vista jest niemożliwe z powodu jakichś uszkodzeń na linii, ogarnął ją bliżej nie określony niepokój, lecz w dalszym ciągu była pewna, że jej brata nie spotkało nic złego.

Jednak stopniowo - słysząc, jak po wybraniu numeru ich biura w Newport zamiast Hala zgłosił się Lee Chen, a Bobby, wyraźnie wstrząsnięty, słuchał go w milczeniu przez ponad minutę, rzucając tylko od czasu do czasu niezrozumiałe słowa, zaczęła pojmować, że ma przed sobą noc, która zdruzgoce jej dotychczasowe życie, że nadchodzące lata będą ciemniejsze od tych przeżytych do dnia dzisiejszego. Potem, unikając wzroku Julie, Bobby zaczął wypytywać Lee, co tym bardziej wzmogło jej złe przeczucia i przyspieszyło tetno. Gdy w końcu na nią popatrzył, zamknęła oczy, nie chcąc oglądać malującego się w jego oczach smutku. Pytania, które zadawał Bobby, były krótkie, toteż niewiele mogła z nich wywnioskować. Może zresztą tego właśnie chciała.

Rozmowa zdawała się dobiegać końca.

-Nie, świetnie się spisales, Lee. Dalej postępuj w ten sposób. Co takiego? Dziękuję, Lee. Nie, wszystko w porządku. Poradzimy sobie, Lee. Tak czy inaczej, jakos sobie poradzimy.

Bobby odłożył słuchawkę, po czym zamarł w bezruchu, wpatrując się w swoje scisnięte między kolanami dłonie.

Julie nie pytała go, co zaszło, jak gdyby przekazana przez Lee wiadomość nie stała się jeszcze faktem, jakby jej pytanie miało czarnoksięską moc i wypowiedziane nadaloby realny kształt nie ujawnionej dotychczas tragedii.

Bobby podniósł się z łózka i kleknął przed jej krzesłem. Ujął w dłonie jej obie ręce, zaczął je łagodnie całować.

Już wiedziała, że wiadomość należała do tych najgorszych.

-Thomas nie żyje - powiedział cicho Bobby.

Nastawiła się wewnętrznie na coś takiego, a jednak te słowa raniły ją głęboko.

-Bardzo mi przykro, Julie. Boże, jak mi jest przykro. Ale to jeszcze nie wszystko. - Opowiedział jej o Hali. - A na kilka minut przed rozmową ze mną Lee dowiedział się o Clincie i Felinie. Oboje nie żyją.

Tragedia była zbyt wielka, by można się było z nią oswoić. Julie bardzo lubiła i szanowała Hala, Clinta oraz Feline, szczególnie podziwiała darzącą głuchą kobietę za jej odwagę i samodzielność. Los był bardzo niesprawiedliwy, nie pozwalając jej oplakiwać każdego z nich z osobna. Z pewnością na to zasługiwali. Czuli też, że w pewnym stopniu ich zdradza, ponieważ żal z powodu śmierci tych ludzi był zaledwie bladym cieniem rozpacz, jaką odczuła po stracie Thomasa, choć oczywiście nie mogło być inaczej.

Oddech uwiązł jej w gardle, a kiedy wreszcie zdołała wypuścić z płuc powietrze, towarzyszący temu dźwięk bardziej przypominał lkanie niż oddech. To nie było dobre. Nie mogła pozwolić sobie na zalamanie. W żadnym momencie swego dotychczasowego życia nie musiała być tak twarda jak obecnie. Morderstwa popełnione tego wieczoru w Okręgu Orange były pierwszymi z ciągu padających kostek domina śmierci, które zmiotła ją i Bobby'ego, jeśli tylko pogrąży się w rozpacz.

Nie podnosząc się z kolan Bobby podał więcej szczegółów.

-Derek zginął także, a możliwe, że podobny los spotkał i innych pensjonariuszy Cielo Vista.

Mocno zacisnęła palce na jego dłoni, niezmiernie wdzięczna losowi za to, że ma go przy sobie w tych ciężkich chwilach. Widziała jak przez mgłę, lecz wysiłkiem woli powstrzymywała łzy, choć nie odwazyła się jeszcze spojrzeć w oczy Bobby'emu; byłby to koniec jej panowania nad sobą.

Gdy skończył, powiedziała:

-Oczywiście zrobił to brat Franka. Przeraziła się, słysząc jak bardzo drży jej głos.

-To niemal pewne - przytaknal Bobby.

-Ale skad sie dowiedzial, ze Frank jest naszym klientem?

-Nie wiem. Widzial mnie na plazy w Punaluu...

-Tak, ale stracil twoj slad. Nie mial mozliwosci, by dowiedziec sie, kim jestes. I skad, na litosc boska, dowiedzial sie o Thomasie?

-Na razie brakuje nam zasadniczego elementu, dlatego nie mozemy rozwiacz lamiglowki.

-Czego chce ten dran? - w glosie Julie obok rozpaczy pojawila sie wscieklosc.

-Poluje na Franka - wyjasnil jej Bobby. - Przez siedem lat Frank byl zupełnie sam, wiec znalezienie go sprawialo wiele trudnosci. Teraz, kiedy ma przyjaciol, przed Candym otwieraja sie nowe mozliwosci poszukiwan.

-Zabilam Thomasa w chwili, kiedy wzielam te sprawe.

-Nie chcialas jej wziac. To ja cie namowilem.

-Nieprawda, to ja cie namowilam, a ty sie chciales wycofac.

-Jezeli mozna tu mowic o winie, to spada ona na nas oboje. Uwazam jednak, ze nie jestesmy winni. Po prostu wzielismy nowego klienta, tylko tyle. A potem wszystko... jakos tak wyszlo.

Julie pokiwalala glowa i w koncu popatrzyla w oczy meza. Choc glos mial spokojny, po policzkach sciekaly mu lzy. Pograzona we wlasnym bolu zapomniala, ze przyjaciele, ktorych utracila, byli takze jego przyjaciolmi, a przez lata ich malzenstwa pokochal Thomasa niemal tak samo jak ona. Jeszcze raz musiala odwrocic wzrok.

-Dobrze sie czujesz? - zapytal.

-W tej chwili musze. Pozniej chce porozmawiac o Thomasie, o tym, jak dzielnie znosil swa odmiennosc, jak nigdy sie nie skarzyl, jak bardzo byl kochany. Chce, zebysmy o tym porozmawiali, ty i ja, i nigdy o tym nie zapominali. Nikt nigdy nie zbuduje Thomasowi pomnika, nie byl przeciez slawny. Byl tylko zwyklym czlowiekiem, ktory nie dokonil niczego wielkiego. Po prostu staral sie byc najlepszy, jak tylko potrafil. Dlatego jedyny jego pomnik zostanie wzniesiony w naszej pamieci, tam wlasnie bedzie zyc, prawda?

-Tak.

-Bedzie zyc w naszej pamieci dopoki... sami nie odejdziemy. Ale to pozniej, gdy bedzie czas. Na razie musimy utrzymac sie przy zyciu, bo ten sukinsyn zechce dopasc takze i nas, nie?

-Mysle, ze tak - przytaknal Bobby.

Podniosl sie z kleczek i dopomogl zonie wstac z krzesla.

Mial na sobie ciemnobrazowa kurtke, pod ktora ukryta byla kabura z bronia. Julie zdjela z siebie sztruksowa kurtke i kabure, sprawdzila rewolwer, po czym wszystko nalozyla z powrotem. Cieszyl ja umocowany na lewym boku ciezar. Miala nadzieje, ze nadarzy sie sposobnosc, by z niego skorzystac.

Odzyskala ostrosc widzenia, oczy jej wyschly.

-Jedno jest pewne - powiedziala. - Koniec z marzeniami. Po co miec marzenia, skoro i tak nigdy sie nie spelniaja?

-Czasami sie spelniaja.

-Nie. Mojej mamie czy tacie nigdy sie nie spelnily. Nigdy sie nie spelnia Thomasowi. Zapytaj Clint'a i Feliny, czy spelnili swoje marzenia. Zobaczysz, co ci odpowiedza. Zapytaj rodzine George'a Farrisa, czy zaszlachtowanie przez maniaka bylo szczytem ich marzen.

-Zapytaj Phanow - cicho wtracil Bobby. - Znaleziono ich w lodce na Morzu Poludniowochinskim bez zynosci i pieniedzy, a dzisiaj sa wlascicielami kilku pralni i remontuja domy warte dwiescie tysiecy dolarow, zeby je potem sprzedac, no i maja swietne dzieciaki.

-Predzej czy pozniej, los dopadnie takze i ich - odparla, zaskoczona gorycza wlasnego glosu. Czula, jak gdzies gleboko zaczyna sie w niej kotlowac czarna rozpacz, przybierajac postac groznego wiru, gotowego ja pochlonac. Nie potrafila z nia walczyc. - Zapytaj Parka Hampsteada z El Toro, co czul, gdy jego zona umierala na raka, albo jak marzyl o wspolnej przyszlosci z Maralee Roman, gdy wreszcie pogodzil sie ze smiercia zony. Na drodze stanal mu wstretny zboczeniec o imieniu Candy. Zapytaj nieszczesnikow lezacych w szpitalu z wylewem krwi do mozgu lub z rakiem. Zapytaj tych, ktorzy zapadli na chorobe Alzheimer'a tuz po piecdziesiatce, akurat wowczas, kiedy powinny sie rozpoczac zlote lata ich zycia. Zapytaj male dzieci przykute do inwalidzkich wozkow przez dystrofię miesni. Zapytaj rodzicow dzieci przebywajacych w Cielo Vista, czy zespol Downa odpowiada ich marzeniom. Zapytaj...

Umilkla w polowie zdania. Tracila panowanie nad soba, a dzisiejszej nocy nie mogla do tego dopuscic.

-No dobra, ruszajmy - rzucila po chwili.

-Dokad?

-Najpierw znajdziemy dom, w ktorym ta suka go wychowala. Przejedziemy obok, zbadamy okolice. Moze jego widok podsunie nam jakis pomysl.

-Ja juz go widzialem.

-Ale ja nie.

-A wiec dobrze.

Z szuflady nocnej szafki wyjął książkę telefoniczną zawierającą numery Santa Barbara, Montecito, Goleta, Hope Ranch, El Encanto Heights i innych okolicznych miejscowości. Najwyraźniej zamierzał zabrać ją ze sobą.

-Po co ci to potrzebne? - zapytała Julie.

-Przyda nam się później. Wszystko wyjaśnię ci w samochodzie. Znowu zaczął padać deszcz. Silnik toyoty tak bardzo rozgrzał się podczas jazdy na północ, że teraz, pomimo chłodnej nocy, spadające na maskę krople wody natychmiast zamieniały się w parę. Gdzieś w oddali przetoczył się przez niebo niski pomruk gromu. Thomas był martwy.

* * *

Napływające obrazy były słabe i zniekształcone, jakby powstawały na marszczonej wiatrem powierzchni wody. Pojawiały się wielokrotnie, w miarę jak dotykał kranów, brzegu zlewu, lustra, szafki z lekarstwami oraz jej zawartości, kontaktu czy prysznic. Żadna z tych wizji nie była jednak dostatecznie wyraźna, a poza tym nie kryła w sobie wskazówek co do celu podróży Dakotów. Dwukrotnie pojawiły się wyraziste sceny związane z odrazajacymi praktykami seksualnymi Dakotów. Tubka kremu do zwilżania pochwy oraz pudełko chusteczek higienicznych nosiły na sobie ślady starego psychicznego osadu, który w niewytłumaczalny sposób oparł się działaniu czasu, zapoznając Candy'ego z grzesznymi uczynkami, których w ogóle nie chciał oglądać. Szybko cofnął dłoń i poczekał, aż mina mu mdłości. Wściekał się na myśl, że ścigając Franka musiał trafić na tych zepsutych ludzi, przez co znalazł się w sytuacji, w której jego zmysły zostały wystawione na taką brutalną zniewagę.

Rozzłoszczony brakiem powodzenia oraz nieczystym kontaktem z obrazem ich grzechu (obrazem, którego nie potrafił usunąć z pamięci) doszedł do wniosku, że w imię Boga musi ogniem wypalić zło tego domu. Wypalić do cna. Obrocić w popioł. Może wtedy jego dusza odzyska czystość.

Wyszedł z łazienki, unosił dłoń, a następnie posłał z nich do sypialni straszliwą, niszczyliską falę. Drewniany szczyt okazałego łóżka rozpadł się na kawałki. Na pikowanej narzucie i kocach zapęgały języki płomieni. Rozsypały się również nocne szafki, a wszystkie szuflady komody otworzyły się gwałtownie, zascielając podłogę swą zawartością. Firanki splonęły, jakby wykonano je z papieru, a zaraz potem usytuowane na przeciwległej ścianie okna eksplodowały, wpuszczając do środka strumień podsycającego płomienie powietrza.

Candy często żałował, że tajemnicze światło, którym się posługiwał, nie miało mocy oddziaływania na ludzi i zwierzęta, a jedynie na przedmioty nieożywione, rośliny i kilka gatunków owadów. Od czasu do czasu ogarniało go pragnienie, aby wybrać się do miasta i w przeciągu jednej nocy obdrzeć z ciała dziesięć tysięcy grzeszników, albo lepiej sto tysięcy. Nieważne, jakie miałyby to być miasta, wszystkie przypominały gnijący rynsztok niegodziwości, zaludniony przez zdeprawowane masy czczące szatana i praktykujące wszelkie odpychające, zdegenerowane bezcenstwa. W żadnym z miast nie udało mu się do tej pory spotkać choćby jednej osoby żyjącej w łasce bożej. Dysponując taką mocą sprawiłby, że grzesznicy biegaliby, krzycząc z przerażenia. Porzucaliby swoje nędzne kryjówki, a on rozłupywałby im kości, rozgniatał ciała na miazgę, odrywał narządy płciowe, które tak bardzo zaprzatały ich uwagę. Gdyby został w ten sposób obdarowany, nie okazałby im nawet

cienia laski, jaka zawsze splywala na nich z rak Stworcy, aby wreszcie do nich dotarlo, jak wdzieczni i posluszni winni byc Bogu, ktory z nieodmienna cierpliwoscia tolerowal nawet najgorsze wystepki.

Tylko Bog i matka Candy'ego obdarzeni byli tak bezgranicznym wspolczuciem. Jemu bylo ono obce.

W holu odezwal sie alarm pozarowy. Podeszedl tam, wyciagnal palec i urzadzenie rozpadlo sie na kawalki.

Ta czesc otrzymanego od matki daru dzisiejszej nocy wydawala sie silniejsza niz kiedykolwiek. Stal sie potezna, niszczycielska maszyna.

To zapewne Bog wynagradzal jego czystosc, przydajac mu wiekszej mocy.

Dziekowal Najwyzszemu, ze jego wlasna matka nigdy nie odwiedzala owych siedlisk rozpusty, w ktorej nurzala sie tak znaczna czesc ludzkosci. Nigdy nie tknal jej zaden mezczyzna, dzieki czemu zrodzone z niej dzieci wolne byly od grzechu pierworodnego. Wiedzial, ze byla to prawda, bo ona mu tak powiedziala, a na dodatek pokazala jeszcze dowod.

Zszedl na dol i wypuszczona z lewej dloni blyskawica podpalil dywan w salonie.

Frank i blizniaczki nigdy nie doceniali faktu swego niepokalanego poczecia, wlasciwie odrzucajac ten z niczym nieporownywalny stan laski, aby pograzyc sie w grzechu i podjac dzieło szatana. Candy nigdy nie popelni tego bledu.

Nad jego glowa ryczaly plomienie, pekaly sciany. O swiecie, gdy slonce odsloni dymiaca kupe poczernialego gruzu, szczatki tego gniazda zepsucia stana sie zwiastunem wiecznego potepienia dla wszystkich grzesznikow.

Candy poczul sie oczyszczony. Z jego duszy zniknely obrazy zdeprawowanych igraszek Dakotow.

Wrocil do biura agencji, aby podjac dalsze poszukiwania.

* * *

Prowadzil Bobby, gdyz uznal, ze tej nocy Julie nie powinna wiecej siadac za kierownica. Nie spala od ponad dziewietnastu godzin i choc nie byl to jeszcze calodobowy maraton, zdradzala juz oznaki wyczerpania. Stlumiona rozpacz po smierci Thomasa rowniez nie wplywala korzystnie na jej refleks i stan nerwow. On natomiast zdrzemnal sie pare razy od czasu, gdy ubieglej nocy Hal obudzil ich dzwoniac ze szpitala. Zostawil za soba prawie cale Santa Barbara i dopiero kiedy wjechal do Goleta, postanowil rozejrzec sie za stacja benzynowa, gdzie mogliby zapytac o Pacific Hill Road.

Na jego prosbe Julie otworzyla ksiazke telefoniczna i przyswiecajac sobie latarka wyjeta ze schowka przy kierownicy, zaczela przegladac strony na litere F, w poszukiwaniu nazwiska Fogarty. Nie znalazl imienia tego czlowieka, za to wiedzial, ze jest on mezczyzna i ma tytul doktora.

-Oczywiscie moze nie mieszkac na tym obszarze, ale przeczucie podpowiada mi, ze musi byc gdzies

w pobliżu.

-Kto to taki?

-Podróżując z Frankiem dwukrotnie znalazłem się w jego gabinecie.

Zrelacjonował jej przebieg dwóch krótkich wizyt.

-Jak to się stało, że nie wspomniałeś o nim wcześniej?

-Wtedy w biurze, gdy opowiadałem ci, co mnie spotkało, jakie miejsca odwiedziłem w towarzystwie Franka, musiałem się streszczać, a ten Fogarty wydał mi się stosunkowo mało interesujący, więc go pominąłem. Im dłużej się jednak nad nim zastanawiałem, tym bardziej dochodziłem do wniosku, że w całej sprawie może on jednak odgrywać kluczową rolę. Widzisz, Frank zabierał nas stamtąd tak szybko, ponieważ najwyraźniej szczególnie mu zależało, aby nie narazić Fogarty'ego na odwiedzinę Candy'ego. A skoro Frank darzył go szczególnymi względami, my także powinniśmy z nim porozmawiać.

Julie ze wzmożoną uwagą zabrała się za wertowanie spisu nazwisk.

-Fogarty James. Fogarty Jennifer. Fogarty Kevin...

-Jeśli nie jest lekarzem, przestał się posługiwać swoim tytułem albo jeżeli "Doc" to tylko przydomek, będziemy mieli kłopoty. Ale gdyby nawet był lekarzem, nie szukaj go na żółtych stronach w rozdziale "Lekarze", ponieważ to starszy człowiek. Musi już być na emeryturze.

-Jest! - powiedziała po chwili. - Fogarty, Dr Lawrence J.

-Czy jest tam jego adres?

-Tak.

Wyrwała z książki odpowiednią stronę.

-Doskonale. Jak tylko obejrzyś sobie siedzibę Pollardów, złożymy Fogarty'emu wizytę.

Chociaż Bobby odwiedzał ten dom trzykrotnie razem z Frankiem, w położeniu numeru 1458 na Pacific Hill Road orientował się równie dobrze, jak w tym, którym stokiem wspinał się na górę Fudzi. Tym niemniej, kierując się wskazówkami długowłosego mężczyzny o bujnym wasie ze stacji przy Union 76, bez trudu dotarli na miejsce.

Chociaż domy przy Pacific Hill Road należały administracyjnie do El Encanto Heights, faktycznie nie wchodziły w obręb ani tego przedmieścia, ani Golety, oddzielającej El Encanto od Santa Barbara, zajmując wąski pas leżący między nimi ziemi, który przebiegał nieco na wschód od rezerwatu przyrody, porośniętego meskita, pustynnymi krzakami oraz kepami kalifornijskich debów.

Dom Pollardów znajdował się przy końcu ulicy, na samym obrzeżu zagospodarowanych terenów, w

sasiedztwie jeszcze paru domostw. Zwrocony w kierunku południowo-zachodnim, wychodził na urokliwe osiedla zwroconych ku Pacyfikowi domków, malowniczo położonych na opadających tarasami w dół zboczach wzgórz. W nocy widok stawał się szczególnie efektowny - ocean światel wysuwał się na spotkanie prawdziwego, pograzonego w ciemnościach oceanu. Nie ulegało wątpliwości, że okolica zachowała swój wiejski charakter i uchroniła się przed ekspansją nowych domów tylko dzięki zaostrzonym przepisom, chroniącym najbliższe otoczenie rezerwatu.

Bobby od razu rozpoznał poszukiwany dom. Reflektory samochodu odsłoniły jedynie żywoplot z eugenii i żardzewiała żelazna brama, osadzona pomiędzy parą kamiennych filarów. Zwolnił, gdy obok niej przejeżdżali. Na parterze domu było ciemno. Na piętrze w jednym z okien paliło się światło. Błada poświata saczyła się wzdłuż brzegów spuszczonego żaluzji.

Nachyliwszy się, by mieć lepszy widok, Julie powiedziała: - Niewiele stąd widać.

-Nie ma tu nic do oglądania. To ruina.

Jechali przed siebie jeszcze ze ćwierć mili, a gdy skończyła się ulica, zawrócili i ruszyli z powrotem. Tym razem dom znalazł się po stronie Julie, która, chcąc mieć więcej czasu na oględziny, zaczęła nalegać, by ponownie zwolnił.

Gdy mijali bramę, Bobby dostrzegł światło na parterze z tyłu domu. Nie widział samego okna, a jedynie padający z niego blask, który na piasku podwórza utworzył widmowy prostokąt.

-Wszystko tam niknie w cieniach - powiedziała w końcu Julie, odwracając głowę, by jeszcze raz popatrzeć na pozostającą w tyle posiadłość. - Widziałam jednak dosyć, by stwierdzić, że jest to złe miejsce.

-Bardzo złe - dodał Bobby.

* * *

Violet leżała na plecach w łóżku obok siostry. W ciemnym pokoju pełno było kotów, które ciepłym kobiercem otuliły ciała dziewcząt. Verbina ułożyła się na prawym boku, z jedną ręką przerzuconą przez piersi siostry. Jej wargi dotykały nagiego ramienia Violet, a ciepły oddech opływał gładką skórę. Wbrew pozorom nie szykowały się do snu. Żadna z nich nie zamierzała spać w nocy, gdyż była to najlepsza pora, kiedy wiele drapieżników ruszało na łowy i życie stawało się bardziej podniecające.

W tej chwili były nie tylko w sobie nawzajem oraz w dzielących z nimi łóżkach kotach, ale także w głodnej sowie, przemykającej przez mrok w poszukiwaniu myszy na tyle nierozważnej, by opuścić nore po zapadnięciu zmierzchu. Żadne stworzenie nie widziało w ciemnościach lepiej niż sowa, żadne nie miało ostrzejszego dzioba czy pazurów.

Violet drżała z niecierpliwości, czekając na chwilę, gdy w polu widzenia ukaze się mysz lub inne małe zwierze, zbyt ufające w osłone wysokich traw. Z wcześniejszych przeżyć знаła już przerażenie i ból ofiary, dziką radość myśliwego, a teraz pragnęła doświadczyć obu tych uczuć.

rownocześnie.

U jej boku sennie zamruczala Verbina.

Zataczajac obszerne kola, szybujac w dol, by po chwili ponownie nabrac wysokosci, sowa nie wypatrzyła jeszcze zdobyczy. Droga w gore zbrocza przejechal jakis samochod, który wyraźnie zwolnil, mijajac dom Pollardow. Oczywiście wzbudzil zainteresowanie Violet, a za jej posrednictwem takze i sowy, jednak przestala sie nim zajmowac, gdy po chwili przyspieszyl i odjechal. W kilkadziesiat sekund pozniej znow przypatrywala sie mu ze zdwojona uwaga, poniewaz jadac z powrotem jeszcze raz prawie stanal naprzeciwko frontowej bramy.

Pchnela ku niemu sowe, która zaczęła krzyc na wysokosci jakichs szescdziesieciu stop. Potem wyslala ja naprzod i obnizyla pulap lotu do dwudziestu stop. Powtorzyła oględziny, chcąc wypatrzeć dziwnego kierowce.

Gdy ptak nadlecial blizej, jego znakomity wzrok w zupelnosci wystarczyl, by ujawnic rysy twarzy kierowcy i siedzacej obok pasazerki. Violet nigdy przedtem nie widziala tej kobiety, za to mezczyzna wydal sie jej znajomy. Po chwili przypomniala sobie, ze to wlasnie jego zobaczyla obok Franka na podworzu przed paroma godzinami.

Frank zabil ich droga Samante i musial za to umrzec, a teraz pojawil sie czlowiek, który znal Franka i mogl ich do niego zaprowadzic. Koty na lozku poruszaly sie niespokojnie, wydajac ciche pomruki, w miare jak docierala do nich jej zadza zemsty. Pozbawiony ogona kot z wyspy Mann i czarny mieszaniec zeskoczyly z lozka, przez otwarte drzwi wypadly z sypialni, zbiegly po schodach do kuchni, wyjsciem dla zwierzat przedostaly sie na zewnatrz i po okrazeniu domu znalazly sie na ulicy. Samochod oddalal sie nabierajac predkosci na pochylym odcinku drogi. Oprócz obserwacji z powietrza Violet postanowila sledzic go rowniez na ziemi, aby miec pewnosc, ze nie straci jego sladu.

55

Candy przybyl do holu biura Dakota and Dakota. Od wybitego w sasiednim pokoju okna w strone pootwieranych drzwi ciagnely chlodne strugi powietrza. Ciche dzwieki, towarzyszace jego materializacji, musialy utonac w gwarze ochrypłych głosow dobiegajacych z radiotelefonow, które policjanci mieli przypiete do pasow. Jeden gliniarz stal w wejsciu do pokoju Julie i Bobby'ego, drugi blokowal drzwi na ogolny korytarz. Obaj pochlonieci byli rozmowa z jakimis niewidocznymi ludzmi i obaj stali tyłem do Candy'ego, co uznal za znak, ze Bog wciaz ma go w swej opiece.

Choc ta przeszkoda na drodze do odnalezienia Dakotow bardzo go rozzloscila, wyniosl sie stamtad natychmiast, prosto do swojej sypialni, oddalonej o dobre sto piecdziesiat mil w kierunku polnocnym. Potrzebowal nieco czasu, aby zastanowic sie, w jaki sposob moglby teraz odnalezc ich slad, trafic do miejsca - poza biurem i domem - w którym ostatnio przebywali i gdzie moglby odebrac wyrazniejsze wizje.

* * *

Kiedy z powrotem znaleźli się na stacji przy Union 76, długowłosa, wasata mężczyzna, który wskazał im drogę na Pacific Hill Road, powiedział im z kolei jak trafić na ulicę, gdzie mieszkał Fogarty. Okazało się, że nawet znalazł tego człowieka. - Miły staruszek. Od czasu do czasu przyjeżdża tu po benzynę.

- Czy on jest lekarzem? - zapytał Bobby.

- Byłem. Przeszedł na emeryturę.

Nieco po dziesiątej Bobby zaparkował przy krawężniku na wprost domu Lawrence'a Fogarty'ego. Był to piętrowy budynek o ciekawej, hiszpańskiej architekturze, wyposażony w stylowe francuskie okna, które Bobby zapamiętał ze swych dwukrotnych odwiedzin z Frankiem. We wszystkich pomieszczeniach na parterze paliły się światła. Szyby od frontu miały sfazowane krawędzie, przyjemnie załamujące promienie płonących wewnątrz lamp. Kiedy Bobby i Julie wysiedli z samochodu, w ich nozdrza uderzył zapach dymu, którego biała wstęga unosiła się nad kominem, płynąc prosto w górę w nieruchomym, chłodnym powietrzu. W dziwnej, nieco purpurowej, przypominającej zmierzch poświacie pobliskiej latarni na krzakach azalii można było dostrzec trochę różowych kwiatów. Na południu Okręgu Orange o tej porze roku było ich znacznie więcej. Wiekowe drzewo o poskrecanym pniu i rozłożystych gałęziach ocieniało większą część domu, nadając całosci wygląd cudownie zacisznej przystani w jakiejś hiszpańskiej wersji fantastycznego świata hobbitów.

Znajdowali się już na ścieżce wiodącej do frontowych drzwi, gdy coś przemknęło między dwiema niskimi latarniami, przecinając im drogę i straszac Julie. Zjawa przystanęła na trawniku, po czym wlepiła w nich zielone, błyszczące oczy.

- To tylko kot - powiedział Bobby.

Lubił koty, jednak na widok tego zadrzał. Zwierze poruszyło się, niktak szybko posród cienistych zarośli z boku domu.

Jego niepokój wzbudziło nie tyle samo stworzenie, co wspomnienie kociego stada z domu Pollardów, które rzuciło się na niego i Franka. Atak przebiegał początkowo w niezwyklej ciszy, potem jednak koty zgodnym chórem podniosły potępiency wrzask, działając z wprost niezwyklej dla zwierząt celowoscia. Polujący samotnie, milczący i ciekawy kot na ścieżce był całkiem zwyczajny, przejawiał jedynie właściwa swemu gatunkowi tajemniczość i wyniosłość.

Na końcu ścieżki wspieli się po trzech stopniach i pod lukowatym przejściem weszli na małą werandę.

Julie nacisnęła dzwonek, budząc miękki, melodyjny sygnał, a gdy w ciągu pół minuty nikt się nie zjawił, zadzwoniła jeszcze raz.

Gdy kuranty ponownie zamilkły, cisze nocy zmącił łopot skrzydeł jakiegoś ptaka, który usadowił się na dachu werandy tuż nad ich głowami.

Julie wyciągała właśnie rękę, by zadzwonić po raz trzeci, gdy na werandzie zapaliła się żarówka, a

Bobby wyczuł, że ktoś obserwuje ich przez wizjer. Po chwili drzwi otworzyły się i stanął w nich doktor Fogarty, oświetlony od tyłu potokami padającego z korytarza światła.

Wyglądał dokładnie tak, jak go Bobby zapamiętał. On również zdawał się rozpoznawać Bobby'ego.

-Proszę wejść - powiedział, odstepując w bok, by ich przepuścić. - Spodziewałem się, że możecie mnie odwiedzić. Wejdźcie, choć nie należycie do miłych gości.

-Proszę do biblioteki. - Poprowadził ich korytarzem do pokoju na lewo.

To właśnie biblioteka była pomieszczeniem, które Bobby zapamiętał, a później opisał Julie jako gabinet. Jeśli od zewnątrz, pomimo hiszpańskiego stylu, dom miał w sobie przytulność jakby żywcem przeniesioną z opowieści o hobbitach, to pokój, w którym się znaleźli, należał do takich właśnie miejsc, gdzie można było sobie wyobrazić Tolkiena, jak podczas długich oxfordzkich wieczorów przelewa na papier przygody Froda. Ciepła, sympatyczna przestrzeń wypełniał łagodny blask mosiężnej stojącej lampy oraz lampki z witrażowym abazurem, będącej albo oryginalnym wyrobem Tiffany'ego, albo jego doskonała imitacja. Przy ścianach piętrzyły się polki z książkami, sięgając do pokrytego głębokimi kasetonami sufitu, a drobna podłoga przykrywał grubym chińskim dywanem, utrzymany w odcieniach zieleni i brzozy. Duże mahoniowe biurko było wykonane na wysoki połysk. Na zielonym filcowym białym rzedem leżały, oprawne w kosc i złoto, otwieracz do listów, szkło powiększające oraz nożyczki, a przed nimi, dopełniając zestawu, w kwadratowej marmurowej podstawie tkwiło złote pióro. Sofa w stylu królowej Anny miała obicie doskonale dopasowane barwą do dywanu, zaś kiedy Bobby odwrócił się, aby spojrzeć na fotel, w którym po raz pierwszy ujrzał Fogarty'ego, drgnął zaskoczony widokiem Franka.

-Coś mu się stało - powiedział Fogarty, wskazując Pollarda. Nie zdawał sobie sprawy z zaskoczenia Bobby'ego i Julie. Był przekonany, że przybyli do jego domu wiedząc, że właśnie tutaj odnajdą Franka.

Wygląd Franka znacznie się pogorszył od chwili, gdy dwadzieścia sześć minut po piątej Bobby widział go po raz ostatni w biurze w Newport Beach. Oczy zapadły mu w głąb czaszki, a otaczające je ciemne kregi rozszerzyły się, jakby używając odcienia smiertelnej szarości całej twarzy. Jesliby porównywać, to malująca się na niej wcześniej bledność śmiało można było uznać za przejaw zdrowia.

Najgorszy był jednak nieobecny wyraz twarzy, z jakim obserwował ich wejście do biblioteki. Nic nie wskazywało na to, że ich poznaje. Wpatrywał się w nich obojętnie, z obwisłymi bezwładnie mięśniami twarzy i lekko rozwartymi ustami, jakby zaczął mówić dawno temu, lecz do chwili obecnej nie zdołał sobie przypomnieć pierwszych słów. W Domu Opieki Cielo Vista Bobby widział zaledwie kilku pacjentów o równie pustych twarzach. Byli to ludzie głęboko upośledzeni, znajdujący się w hierarchii rozwoju umysłowego o kilka stopni niżej niż Thomas.

-Jak długo on już tu jest? - zapytał Bobby, podchodząc do Franka.

Julie chwyciła go za ramię i pociągnęła do tyłu.

-Nie ruszaj go!

-Przybył tuż przed siódmą - wyjaśnił Fogarty.

A zatem Frank podróżował przez następne półtorej godziny po tym, jak zostawił Bobby'ego w biurze.

-Siedzi u mnie od ponad trzech godzin, a ja nie mam zielonego pojęcia, co z nim zrobić. Od czasu do czasu dochodzi nieco do siebie, patrzy gdy do niego mówisz, a nawet usiłuje odpowiadać na twoje słowa. Chwilami staje się wręcz rozmowny. Gada bez końca, nie odpowiada na żadne pytania, ale bez wątpienia zależy mu, żeby do kogoś mówić. Na przykład opowiadał mi dużo o was, więcej niż chciałbym usłyszeć. - Ściągnął brwi i potrząsnął głową. - Może wy jesteście na tyle szaleni, żeby dać się wciągnąć w ten koszmar. Ja tego nie chcę i protestuję przeciwko temu, co się tutaj dzieje.

Na pierwszy rzut oka doktor Lawrence Fogarty sprawiał wrażenie miłego dziadka, który w czasach, gdy jeszcze pracował, złożył liczne dowody poświęcenia i zaangażowania, zaskarbiając sobie miłość i szacunek całej społeczności. W dalszym ciągu ubrany był w kapturę, szare spodnie, białą koszulę oraz niebieski sweter, a więc tak samo jak po południu, podczas odwiedzin Bobby'ego. Oprócz tego założył jeszcze okulary do czytania. Ze swymi gestymi białymi włosami, błękitnymi oczami i łagodnie zaokrąglonymi rysami twarzy byłby doskonały w roli Świętego Mikołaja, gdyby tylko wazył o jakieś sześćdziesiąt funtów więcej.

Jednak, przy baczniejszym przyjrzeniu się, błękit jego oczu zamiast ciepła odsłaniał chłód stali, zaś zbyt miękkie rysy bardziej niż o łagodności świadczyły o braku charakteru, tak jakby ukształtowały się w ciągu całego życia strawionego na poblazaniu samemu sobie. Szerokie usta pozwalały staremu lekarzowi bez trudu wyczarować złośliwy uśmiech, równocześnie jednak zdradzały drapieżną naturę prawdziwego doktora Fogarty'ego.

-A więc Frank panu o nas opowiadał - podjął Bobby. - A tymczasem my o panu nie wiemy nic i myślę, że trzeba to zmienić.

Fogarty posłał mu nachmurzone spojrzenie.

-Tym lepiej dla mnie, jeśli nic nie wiecie. Wystarczy, że go stąd zaraz zabierzecie.

-Chcę pan, żebyśmy uwolnili go od Franka - zimno wtraciła Julie - zatem najpierw proszę nam opowiedzieć o sobie i o tym, co ma pan z tym wspólnego - wszystko, co panu na ten temat wiadomo.

Starszy człowiek powiodł wzrokiem od Julie do Bobby'ego.

-Nie było go tutaj od pięciu lat. Dzisiaj, kiedy zjawił się z panem, byłem po prostu zaszokowany. Sądziłem, że skończyłem z nim na zawsze. A kiedy później wrócił wieczorem...

Frank przekrzywił głowę na bok. Jego usta wciąż były uchylone, niczym drzwi pokoju, którego mieszkaniec musiał pośpiesznie wyjść. Spoglądając kwasno na Franka, Fogarty powiedział:

-Nigdy nie widziałem go w takim stanie. Nie chciałem mieć z nim nic wspólnego wtedy, gdy był jeszcze sobą, więc tym bardziej nie chcę teraz, kiedy po części przypomina bezwolną roślinę. No

dobrze, dobrze, porozmawiamy. Ale kiedy już skończymy, odpowiedzialność za niego weźmiecie na siebie.

Fogarty przemieścił się za mahoniowe biurko i usiadł na krześle obitym taką samą ciemnokasztanową skórą co fotel, w którym tkwił Frank.

Choć gospodarz nie zachęcał ich, aby usiedli, Bobby podszedł do sofy. Julie przeslizgnęła się obok niego i w ostatniej chwili usiadła od strony Franka. Posłała przy tym mężowi spojrzenie, które zdawało się mówić: "Jestes zbyt impulsywny. Jeśli on jeknie, westchnie czy też się zapluje, ty dotkniesz go, aby przynieść mu ulgę, i znikniesz w mgnieniu oka, tak więc trzymaj się lepiej z daleka."

Zdjawszy szylkretowe okulary, Fogarty położył je na biurku, po czym mocno zacisnął powieki i scisnął nasadę nosa między kciukiem a palcem wskazującym, tak jakby siłą woli chciał rozprawić się z bólem głowy lub zebrać myśli - albo jedno i drugie. W końcu otworzył oczy, zamrugał parę razy i powiedział:

-Jestem lekarzem, który asystował przy narodzinach Roselle Pollard czterdzieści sześć lat temu, w lutym 1946 roku. Ja także pomogłem przyjść na świat wszystkim jej dzieciom: Frankowi, bliźniaczkom oraz Jamesowi... czy też Candy'emu, które to imię on osobście woli. Przez wiele lat leczyłem Franka z typowych dla dzieci chorób i chyba dlatego uważa, że może przyjść do mnie teraz, kiedy ma kłopoty. No cóż, w tym miejscu się myli. Nie jestem cholernym lekarzem z telewizji, który chce, aby wszyscy traktowali go jak powiernika. Leczyłem ich, oni mi za to placili i na tym powinno się wszystko skończyć. Tak naprawdę... to leczyłem tylko Franka i jego matkę, ponieważ dziewczynki i James nigdy nie chorowali, o ile nie brac pod uwagę chorób psychicznych, na które cierpia od urodzenia i z których nigdy się nie wyleczy.

Z prawego kąca ust Franka wypłynęła na brode srebrzysta nitka śliny.

-Niewatpliwie znane są panu ich niezwykle zdolności - powiedziała Julie.

-Dowiedziałem się o nich dopiero przed siedmiu laty, w dniu, kiedy Frank zabił matkę. Byłem już wtedy na emeryturze, ale on przyszedł do mnie, opowiadając więcej, niż chciałem wiedzieć, wciągnął mnie w ten koszmar, prosił o pomoc. W jaki sposób mogłem mu pomóc? W jaki sposób ktokolwiek może mu pomóc? Tak czy inaczej, to nie mój interes.

-Skąd się jednak wzięły te zdolności? - wypytywała dalej Julie. - Ma pan jakie pomysły, teorie?

Fogarty parsknął śmiechem. Jego śmiech był twardy i kwasny. Rozproszyłby niewatpliwie wszelkie iluzje, jakie Bobby mógł żywić co do jego osoby, gdyby nie nastąpiło to już wcześniej, na samym początku spotkania.

-O tak, mam swoje teorie, mam wiele informacji na ich potwierdzenie. Byłoby dla was lepiej, gdybyście niektórych z nich nigdy nie usłyszeli. Osobście nie mam zamiaru dać się wciągnąć w tę aferę, co to, to nie, ale nie zawsze udaje mi się o tym nie myśleć. Ktoż by to zresztą potrafił? Cała sprawa jest niezdrowa, pogmatwana i fascynująca zarazem. Moja teoria zakłada, że wszystko zaczęło

sie od ojca Roselle. Przypuszcza sie, iz jej ojcem byl jakis przyjezdny, z ktorym matka zaszla w ciaze. Od dawna wiem, ze to klamstwo. Jej ojcem byl Yarnell Pollard, rodzony brat matki. Roselle urodzila sie jako owoc gwaltu i kazirodztwa.

Twarz ktoregos z Dakotow musiala przybrac ponury wyraz, gdyz Fogarty pozwolil sobie na kolejny wybuch zimnego smiechu, wyraznie rozbawiony ich wspolczuciem.

-To nic takiego - rzucil po chwili. - W tym miejscu historia dopiero sie zaczyna.

* * *

Pozbawiony ogona kot z Mann o imieniu Zita pelnil warte ukryty w krzakach azalii opodal frontowych drzwi. Stary, hiszpanski dom posiadal od zewnatrz biegnace pod oknami parapety. Po nich wlasnie przemykal drugi kot - czarny jak noc Darkle - wypatrujac pokoju, do ktorego stary mezczyzna zaprowadzil mloda pare. Przymkniecie od wewnatrz okiennice, a takze opuszczone zaluzje w znacznym stopniu ograniczaly pole widzenia, tym niemniej podnoszac lub opuszczajac glowe Darkle byl w stanie obserwowac pewna czesc pomieszczenia.

Slyszac wypowiedziane glosno imie Franka kot zeszywnial, a wraz z nim zeszywniala Violet, lezaca w swoim lozku w domu na Pacific Hill.

W srodku, wsrod ksiazek, znajdowal sie stary czlowiek. Obok niego widac bylo pare gosci. Darkle musial opuscic glowe, zeby popatrzec przez nastepny przeswit w zaluzji. Przekonal sie wowczas, ze Frank wystepowal nie tylko jako przedmiot rozmowy, ale byl przy niej obecny, zajmujac miejsce w wysokim fotelu, ustawionym pod takim katem do okna, ze widac bylo czesc jego twarzy i jedna reke lezaca bezwladnie na szerokim, skorzanym oparciu.

* * *

Pochylony nad biurkiem, usmiechajac sie ponuro w trakcie rozmowy, doktor Fogarty przypominal trolla, ktory wypelzil ze swej kryjowki pod mostem i nie mogac sie doczekac jakichs dzieci, sam postanowil wyruszyć na poszukiwanie swego przerazajacego posilku. Bobby powsciagnal wodze wyobrazni. Musial podchodzic do Fogarty'ego bez uprzedzen, bo tylko w ten sposob mogl ocenic jego prawdomownosc i wartosc przekazywanych informacji. Od tego moglo przeciez zalezec ich zycie.

-Tamten dom zostal zbudowany w latach trzydziestych przez Deetera i Elizabeth Pollardow. Deeter zarobil troche pieniedzy w Hollywood produkujac tanie westerny i inne smiecie. Nie byla to fortuna, ale starczylo gotowki, zeby porzucic film i Los Angeles, ktorego nie cierpial. Postanowil przeniesc sie tutaj, zainwestowac w jakis niewielki interes i dostatnio przezyc reszte swych dni. Mieli dwojke dzieci. Kiedy sie tutaj sprowadzili w 1938, Yarnell mial pietnascie lat, a jego siostra Cynthia zaledwie szesc. W czterdziestym piatym, po tym, jak Deeter i Elizabeth zgineli w wypadku samochodowym - zostali staranowani przez pijanego kierowce ciezarowki wiozacej kapuste z doliny Santa Ynez - wprost trudno w to uwierzyc, ale Yarnell w wieku dwudziestu dwoch lat zostal panem domu i prawnym opiekunem swojej trzynastoletniej siostry.

-I... mowi pan, ze on ja zgwalcil? - zapytala Julie.

Fogarty skinal glowa.

-Jestem tego pewien. W ciagu nastepnego roku Cynthia stala sie zamknieta w sobie, czesto plakala. Ludzie wiazali to z rozpacza po stracie rodzicow, wedlug mnie jednak dzialo sie tak, poniewaz Yarnell zmuszal ja do wspolzycia. Nie chodzilo tu tylko o seks, choc byla to piekna dziewczyna i trudno mu odmowic dobrego gustu. Zarzadzanie domem przemawialo do jego wyobrazni, dawalo poczucie wladzy, Yarnell zas byl typem czlowieka, który nie osiagnie szczescia, dopoki jego wladza nie stanie sie absolutna, a dominacja calkowita.

Slowa "trudno mu odmowic dobrego gustu" wzbudzily w Bobbym szczere przerazenie, uswiadamiajac mu ogrom moralnego zepsucia, w jakim byl Fogarty.

Nieswiadom niesmaku, który budzil w swych gościach, Fogarty ciagnal dalej.

-Yarnell jako czlowiek uparty, a zarazem lekkomyslny, przysparzal swym rodzicom wielu zmartwien. Byly to zmartwienia wszelkiego rodzaju, najczesciej jednak chodzilo o narkotyki. Stal sie narkomanem, zanim termin ten wszedl w uzycie, zanim jeszcze pojawilo sie LSD. Peyotl, meskalina... wszelkie naturalne srodki halucynogenne, jakie tylko mozna bylo otrzymac z kaktusow, grzybow czy innych roslin. Choc w tamtych czasach moda na narkotyki nie byla tak bardzo rozpowszechniona, to znalezienie tego gowna nie stanowilo problemu. Wpadl w nalog dzieki znajomosci z pewnym aktorem wystepujacym w wielu realizowanych przez ojca filmach. Zaczal sie narkotyzowac majac pietnascie lat, a mowie wam o tym, poniewaz w swietle mojej teorii jest to sprawa o decydujacych znaczeniu.

-To, ze Yarnell byl narkomanem, ma niby byc takie wazne? - zdziwila sie Julie.

-To oraz fakt, ze zaplodnil wlasna siostre. Srodki chemiczne dokonaly prawdopodobnie zniszczen, i to niemalych, w jego materiale genetycznym, nim jeszcze osiagnal wiek dwudziestu dwu lat. W jego przypadku musialy to byc zniszczenia osobliwe. Uwzgledniajac dodatkowo fakt, ze material genetyczny potomstwa byl bardzo ubogi - przeciez Cynthia byla jego siostra - nalezalo oczekiwac, ze zrodzone z tego związku dzieci moga posiadac rozne wady.

Frank jeknal cicho, a zaraz potem westchnal. Wszyscy spojrzeli w jego strone, lecz on nadal sprawial wrazenie nieprzytomnego. Co prawda w pewnym momencie zamrugal szybko oczami, ale nie pojawil sie w nich blysk zrozumienia. Wyplywajaca z kacika ust struzka sliny dotarla do brody, skad opadala w dol w postaci cienkiej nitki.

Bobby chetnie rozejrzalby sie za papierowymi chusteczkami, a nastepnie wytarl Frankowi twarz, pozostal jednak na miejscu, glownie z obawy przed reakcja Julie.

-Tak wiec, mniej wiecej w rok po smierci rodzicow, Yarnell i Cynthia zlozyli mi wizyte - podjal Fogarty. - Dziewczyna byla w ciazy. Opowiedzieli mi historie o zgwalceniach przez wedrownego robotnika rolnego. Opowiesc nie brzmiala zbyt prawdziwie, a ja bez trudu odgadlem rzeczywisty przebieg wydarzen. Wystarczylo tylko popatrzec, jak sie do siebie odnosili. Usilowala ukryc ciaze

noszac luzne stroje i nie wychodzac z domu przez ostatnie pare miesiecy. Nigdy nie zdolalem pojac takiej postawy. Zachowywali sie tak, jakby sadzili, ze pewnego dnia problem zniknie samoistnie. A kiedy juz do mnie przyszli, aborcja nie wchodzila w rachube. Lada moment mogl rozpoczac sie porod.

Im dluzej Bobby przysluchiwal sie slowom Fogarty'ego, tym bardziej wypelniajace biblioteka powietrze wydawalo mu sie cuchnace i geste od wilgoci, slodkie i kwasne zarazem.

-Udajac, ze chce za wszelka cene uchronic Cynthie przed publicznym potepieniem, Yarnell zaoferowal mi mase pieniedzy, proszac, abym nie wysylal jej do szpitala i przyjal porod w moim gabinecie. Bylo to nieco ryzykowne, ze wzgledu na mozliwosc wystapienia komplikacji, ale ja potrzebowalem pieniedzy, a gdyby cos poszlo nie tak, zawsze mozna to bylo w jakis sposob zatuszowac. Pielegniarka, ktora wtedy ze mna pracowala - Norma, do takich spraw podchodzila bardzo elastycznie.

Wspaniale, pomyslal Bobby. Lekarz pozbawiony morale znalazl sobie asystentke o rownie socjopatycznej osobowosci. Taka para swietnie nadawalaby sie na personel medyczny w Dachau lub Oswiecimiu.

Julie polozyla dlon na kolanie Bobby'ego i mocno zacisnela palce, jakby chcac sie upewnic, czy to, czego slucha, nie jest sennym koszmarem.

-Szkoda, ze nie widzieliscie, co ta dziewczyna urodzila. Jak sie mozna bylo spodziewac, na swiat przyszla istota wynaturzona.

-Zaraz, zaraz - powiedziala Julie. - Wydawalo mi sie, ze powiedzial pan, iz dzieckiem tym byla Roselle. Matka Franka.

-Tak tez bylo w istocie - przytaknal Fogarty. - Byla wyjatkowym malym potworkiem i zarobilaby fortune w kazdym gabinecie osobliwosci, gdyby tylko ktos odwazyl sie naruszyc prawo, wystawiajac ja na widok publiczny. - Zrobil przerwe, bawiac sie ich zniecierpliwieniem. - Byla hermafrodyta.

Przez chwile slowo to z niczym sie Bobby'emu nie kojarzylo. Pozniej powiedzial:

-Nie chce pan chyba powiedziec, ze ona miala dwie plcie, meska i zenska?

-Wlasnie to mialem na mysli. - Fogarty wyskoczyl zza biurka i zaczal krazyc po pokoju, nagle podniecony swa opowiescia. - Hermafrodytyzm jest wsrod ludzi defektem niezmiernie rzadkim. Uczestnictwo w przyjsciu na swiat takiego osobnika jest doprawdy zdumiewajacym przezyciem. Hermafrodytyzm moze byc mieszanym, kiedy organizm wyposazony jest w zewnetrzne narzady jednej plci i wewnetrzne drugiej, albo uboczny... wystepuje tez kilka innych typow. Przypadek Roselle nalezal do najrzadszych, jakie tylko mozna sobie wyobrazic. Natura obdarzyla ja bowiem kompletem zewnetrznych i wewnetrznych organow obu plci. - Wyciagnal z polki opasly tom, po czym wreczyl go Julie. - Fotografie na stronie sto czterdziestej szostej ilustruja zagadnienie, o ktorym rozmawiamy.

Julie pospiesznie przekazala ksiazke Bobby'emu, jak gdyby Fogarty zamiast medycznego

opracowania podsunął jej weza. Bobby wziął co prawda tom z rak żony, ale nawet go nie otwierając położył natychmiast na sofie obok siebie. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebował przy swej nadwrażliwej wyobraźni, były zdjęcia klinicznych przypadków.

Poczuł nagły chłód w stopach i dłoniach. Miał wrażenie, że cała krew z jego organizmu została przepompowana do głowy, by zasilić pracujący na najwyższych obrotach mózg. Żałował, że nie może przestać myśleć o tym, co powiedział im Fogarty. Cała ta historia była obrzydliwa. Najgorsze było jednak to, że sadzać po dziwnym uśmiechu lekarza, wszystko, co do tej pory usłyszeli, stanowiło tylko przygrywkę. Prawdziwe okropności mieli jeszcze przed sobą.

Ponownie rozpoczynając marsz dookoła pokoju, Fogarty kontynuował:

-Jej pochwa znajdowała się tam, gdzie być powinna, natomiast narządy męskie uległy pewnemu przesunięciu. Mocz był oddawany właśnie przez nie, podczas gdy organy żeńskie zdolne były do rozrodu.

-Sadzę, że rozumiemy już sytuację - wpadła mu w słowo Julie. - Szczegóły techniczne nas nie interesują.

Fogarty podszedł bliżej. Jego oczy błyszczały z podniecenia, jak gdyby opowiadał zabawną medyczną anegdotkę, za pomocą której na przestrzeni lat udawało mu się rozbawić tłumy kolegów podczas licznych przyjęć.

-Nie, nie, musicie dobrze zrozumieć, czym ona była, bo tylko wówczas pojmiecie następne wydarzenia.

* * *

Chociaż Violet rozszczepiła umysł na wiele części - nawiedzając ciało Verbiny, wszystkie koty, a dodatkowo sowe siedzące na dachu werandy Fogarty'ego - była zupełnie świadoma sygnałów docierających do niej za pośrednictwem zmysłów Darkle'a, przyczajonego na parapecie za oknem biblioteki. Dzięki wyostrzonemu słuchowi kota, nie uroniła ani jednego słowa z toczonej wewnątrz rozmowy, i to pomimo tłumiącej dźwięki bariery szyb. Była oczarowana tym, co usłyszała. Rzadko kiedy znajdowała czas, by pomyśleć o matce, choć przecież jeszcze teraz w starym domu można było napotkać wiele jej śladów. Prawdę powiedziawszy, rzadko zdarzało się jej myśleć o jakimkolwiek człowieku z wyjątkiem siebie, siostry-bliźniaczki oraz - w znacznie mniejszym stopniu - Candy'ego i Franka. Wynikało to z tego, że miała bardzo mało wspólnego z innymi ludźmi i przez całe życie utozsamiała się ze światem zwierząt. Kierujące nimi uczucia były o wiele bardziej prymitywne i intensywne, przyjemności przychodziły łatwiej, a na dodatek wolne były od poczucia winy. Właściwie nie знаła swojej matki, nigdy nie próbowała się do niej zbliżyć. Taki porządek rzeczy nie zmieniłby się nawet wówczas, gdyby matka zechciała użyć swej miłości jeszcze komuś oprócz Candy'ego.

Teraz jednak była głęboko poruszona słowami Fogarty'ego, nie dlatego, że stanowiły dla niej nowość (tak zresztą istotnie było), ale dlatego, iż cokolwiek w sposób tak totalny zdeterminowało życie Roselle, wywarło również głęboki wpływ na życie Violet. A spośród niezliczonych zachowań i

odczuc, które Violet sobie przyswoiła, nawiedzając miriady dzikich stworzeń, fascynacja własną osobą była bodajże najsilniejsza. Pielegnowała swoje ciało i zaspokajała jego potrzeby i pragnienia z właściwą zwierzęcą, zabarwioną narcyzmem gorliwością. Z jej punktu widzenia nic na świecie nie było godne uwagi, o ile nie służyło zaspokojeniu jej potrzeb, nie mogło dostarczyć przyjemności, czy też nie miało się jej przydać w przyszłości.

Pomyślała niejasno, że powinna odnaleźć brata i powiedzieć mu o Franku przebywającym w odległości niecałych dwóch mil od ich domu. Wkrótce potem usłyszała śpiewne zawrodożenie wiatru zwiastujące powrót Candy'ego.

* * *

Fogarty odwrócił się od Bobby'ego i Julie, po czym wrócił za biurko, gdzie zaczął spacerować wzdłuż zapelnionych książkami polek, postukując palcem o grzbiety niektórych tomów i podkreślając w ten sposób ważniejsze punkty swej opowieści. Przysłuchując się historii rodziny Pollardów, przeżywającej genetyczną katastrofę, Julie pomyślała o Thomasie i uposledzeniu zesłanym na niego pomimo normalnego, zdrowego trybu życia rodziców. Los obchodził się równie okrutnie z ludźmi niewinnymi, jak i z grzesznikami.

-Kiedy Yarnell zobaczył, że dziecko nie jest normalne, gotów był je zabić i wyrzucić na śmietnik lub w najlepszym razie przekazać pod opiekę specjalnej placówki. Jednakże Cynthia nie chciała o tym słyszeć. Powiedziała, że to jej dziecko i deformacja nie ma tu nic do rzeczy. Nadala mu imię Roselle po zmarłej babce. Podejrzewam, że jej chęć zatrzymania dziecka była w znacznej mierze reakcją na niechętną postawę Yarnella. Pragnęła mieć Roselle przy sobie, by nieustannie przypominała mu o konsekwencjach jego postępków.

-Czy za pomocą chirurgii nie można było usunąć jednej płci? - zapytał Bobby.

-Dzisiaj taki zabieg byłby możliwy. Wówczas nie miał szans powodzenia.

Fogarty zatrzymał się przy biurku. Z dolnej szuflady wyciągnął butelkę Wild Turkey i szklanke. Nalał sobie, zupełnie nie troszcząc się o gości, co zresztą bardzo odpowiadało Julie. Choć bowiem nie można było mieć zastrzeżeń co do panującego w domu Fogarty'ego porządku, czułaby się skazona, gdyby cokolwiek w nim zjadła lub wypila. Pociągnawszy łyk ciepłego płynu, Fogarty powiedział:

-Poza tym zachodziło niebezpieczeństwo, że usunięte zostaną organy tej płci, która później, w miarę rozwoju, mogłaby zacząć dominować w zachowaniach i wyglądzie dziecka. Oczywiście, już u małego dziecka można wyróżnić drugorzędne cechy płciowe, zinterpretowanie ich nie jest jednak rzeczą prostą - a już na pewno nie było taka w roku 1946. W każdym razie Cynthia i tak nie wyraziłaby zgody na zabieg. Pamiętajcie, co powiedziałem - kalectwo dziecka potraktowała jako brzoń przeciwko swemu bratu.

-Mógł pan stanąć pomiędzy nimi a dzieckiem - wtracił Bobby. - Mógł pan jego położeniem zainteresować publiczną służbę zdrowia.

-Dlaczego, u licha, miałbym to robić? Dla dobra psychiki dziecka? Nie bądźcie naiwni. - Wypil

jeszcze jeden lyk. - Zostalem dobrze oplacony za przyjecie porodu i zachowanie tajemnicy. Takie byly warunki umowy. Zabrali dziecko do domu i dalej podtrzymywali wersje o gwałciicielu.

-No, a to dziecko... Roselle - przerwala mu Julie - nigdy nie chorowalo?

-Nigdy - odparl Fogarty. - Pomimo swej odmiennosci byla zdrowa jak kon. Rozwoj umyslowy i fizyczny przebiegal bez zaklocen, zupełnie tak samo, jak u innych dzieci. W pewnym momencie stalo sie oczywiste, ze dojrzewajac przybierze postac kobiety. W miare, jak doroslala, widac bylo, ze nigdy nie bedzie atrakcyjna dziewczyna. Z silnie zbudowanym ciałem i grubymi nogami nie miala szans na zostanie modelka, tym niemniej wygladala dosc kobieco.

W lewym policzku pustej twarzy Franka dwukrotnie zadrzal miesien.

Alkohol musial wpłynac na lekarza relaksujaco, bo ponownie usiadl przy biurku i pochyлил sie, zaciskajac dlonie na szklance.

-Cynthia umarla w 1959 roku, kiedy Roselle miala trzynascie lat. Dokladnie mowiac, zabila sie. Palnela sobie w leb. W nastepnym roku, jakies siedem miesiecy po samobojstwie siostry, w moim gabinecie zjawil sie Yarnell z corka - to znaczy z Roselle. Ani razu nie nazwal jej corka, caly czas podtrzymywal wersje, ze byla jego siostrzenica niewiadomego pochodzenia. W kazdym razie Roselle byla w ciazy, a miala wowczas czternascie lat, czyli tyle samo, co Cynthia w chwili narodzin Roselle.

-Wielkie nieba! - wykrzyknal Bobby.

Wstrzasajace wydarzenia pietrzyly sie zatrwazajaco. Julie byla juz niemal gotowa chwycic stojaca na biurku butelke i napic sie prosto z niej, nie przejmujac sie tym, ze nalezala do Fogarty'ego.

Zadowolony z wywołanego wrazenia, stary lekarz saczyl trunek, dajac im czas na oswojenie sie z szokujaca informacja.

-Yarnell zgwałcił corke, która splodzil z własna siostra? - niedowierzajaco spytala Julie.

Fogarty pomilczal jeszcze troche, rozkoszujac sie nastrojem chwili.

-Alez nie. Dziewczyna dzialala na niego odpychajaco i jestem przekonany, ze nawet jej nie tknal. Wierze, iz naprawde bylo tak, jak to opowiedziala Roselle. - Uniosl szklanke do ust. - Po urodzeniu Roselle Cynthia stala sie osoba religijna i swa miloscia do Boga natchnela takze corke. Roselle znala Biblie na pamiec, wertowala ja bez przerwy tam i z powrotem. Tak wiec przyszla tutaj brzemienna i oswiadczyla, ze doszla do wniosku, iz powinna miec dziecko. Wedlug jej slow Bog uczynil ja wybrana - coz za okieslenie dla hermafrodytyzmu! - poniewaz miala stac sie czystym naczyniem, ktore da temu swiatu naznaczone bozym blogoslawienstwem dzieci. Dlatego zebrala nasienie swojej meskiej polowy, a nastepnie mechanicznie wprowadzila je do organow zenskich.

Bobby poderwal sie z sofy, jakby nieoczekiwanie dzgniety przez peknieta sprezyne, i bez pytania zlupal za stojaca na biurku butelke Wild Turkey.

-Znajdzie pan jeszcze jedna szklanke?

Fogarty wskazał mu barek stojący w kącie pokoju. Bobby otworzył podwójne drzwi, za którymi oprócz szklanek znajdowało się jeszcze pięć butelek o takiej samej zawartości. Widocznie lekarz przechowywał jedną butelkę w biurku tylko po to, aby nie chodzić za każdym razem w przeciwną stronę pokoju. Dakota napełnił dwie szklanki, a wróciwszy na sofę jedną z nich podał Julie.

Zwracając się do Fogarty'ego, powiedział:

-Nigdy nie uważałem Roselle za bezpłodną. Przecież wiadomo, że rodziła dzieci. Sądziłem jednak, że jej męskie narządy były sterylne.

-Płodna była zarówno jako mężczyzna, jak i jako kobieta. Nie mogła jedynie połączyć się sama z sobą, że tak powiem, i dlatego, jak już wspominałem, musiała się uciec do sztucznego zapłodnienia.

Kiedy późnym popołudniem w ich biurze w Newport Bobby usiłował wyjaśnić, jak bardzo podróżowanie z Frankiem przypominało jazdę bobslejem gdzieś poza granice świata, Julie nie potrafiła pojąć jego zdenerwowania. Teraz przyszło jej na myśl, że nareszcie rozumie, o co mu chodziło. Chaos wzajemnych powiązań członków rodziny Pollardów, ich kontakty seksualne, wszystko to budziło w niej dreszcz przerażenia i niepokoju. Natura była dziwniejsza i bardziej skłonna do anarchii, niż to sobie dotychczas wyobrażała.

-Yarnell zadał, abym usunął płód; aborcja była w owych czasach lukratywnym, choć jak najbardziej nielegalnym źródłem dodatkowych dochodów. Jednak dziewczyna ukrywała przed nim ciążę przez ponad siedem miesięcy, podobnie jak czternastę lat wcześniej uczyniła to Cynthia. Było już za późno na jakikolwiek zabieg. Dziewczyna mogłaby umrzeć na skutek krwotoku. Poza tym i tak prędzej postrzelilibyśmy się w nogę, niż usunąć tę ciążę. Pomyslcie tylko, co to za niezwykle przypadek chowu wsobnego: zrodzony z kazirodczego związku brata z siostrą hermafrodytą zapładnia sam siebie! Matka płodu była zarazem ojcem. Jego babka - babka cioteczna, dziadek - dziadkiem stryjeczny! Tylko jedna linia genetyczna i to na dodatek uszkodzona na skutek używania przez Yarnella środków halucynogennych. Praktycznie dawało to gwarancję, że na świat przyjdzie odmieniec; nie mogłem więc zaprzepścić takiej okazji.

Julie pociągnęła ze swojej szklanki długi łyk. Alkohol miał kwasny posmak i szczypał w gardło, ale tego jej właśnie było potrzeba.

-Zostałem lekarzem ze względu na dobre zarobki - kontynuował Fogarty. - Później, kiedy zająłem się nielegalnymi aborcjami, zarobki skoczyły w górę, a przerywanie ciąży stało się moim głównym zajęciem. Nie wiązało się z nim zbyt duże niebezpieczeństwo, ponieważ wiedziałem, co robię, a w razie potrzeby mogłem przekupić władzę. Kiedy zarabiasz grube pieniądze, człowiek nie musi przyjmować wielu pacjentów. Ma się wtedy dużo wolnego czasu, pieniędzy i przyjemności na tym najlepszym ze światów. Decydując się na ten rodzaj kariery, nawet nie pomyślałem, że zetknę się z czymś tak interesującym z medycznego punktu widzenia, tak fascynującym i zabawnym zarazem, jak przypadek rodziny Pollardów.

Julie udało się zapanować nad sobą, została więc na miejscu, zamiast przejść przez pokój i

wepchnac te slowa staremu lekarzowi do gardla. Postapila tak nie ze wzgledu na jego podeszly wiek, ale po to, by uslyszec zakonczenie tej historii, bo mogly sie tu kryc jakies istotne wskazowki.

-Tymczasem narodziny pierwszego dziecka Roselle, wbrew moim oczekiwaniom, nie przyniosly niczego niezwyklego - powiedzial Fogarty. - Dziecko, ktore przyszlo na swiat, bylo zdrowe i najzupelniej normalne. Dzialo sie to w 1960 roku, a tym dzieckiem byl wlasnie Frank.

Pograzony w podobnym do spiaczki stanie Frank cicho zamamrotal.

* * *

Wciaz wsluchujac sie, za posrednictwem Darkle'a, w opowiesc doktora Fogarty'ego, Violet usiadla i spuscila nagie nogi poza krawedz lozka, przeganiajac kilka kotow oraz wywolujac pomruk protestu Verbiny, ktora w ten sposob wyrazala swoje niezadowolenie. Otoczona stadkiem placzacych sie wokol nog kotow, wspomagajac swoj wzrok obrazem odbieranym za posrednictwem ich oczu, Violet skierowala sie w strone otwartych drzwi wychodzacych na ciemny korytarz. Potem przypomniala sobie, ze jest naga, wiec wrocila, zeby nalozyc podkoszulek i majtki.

Nie bala sie Candy'ego ani jego gniewu. Prawde mowiac z radoscia powitalaby taki gwałtowny wybuch, bo przypomnialby on smiertelna gre myśliwego i zwierzyny, jastrzebia i myszy, brata i siostry. Candy byl jedynym dzikim stworzeniem, do ktorego jej umysl nie mial dostępu; chociaz dziki, mial jednak w sobie cos z czlowieka i dlatego wlasnie byl dla niej nieosiagalny. Lecz gdyby rozszarpal jej gardlo, wchlonal jej krew, stalaby sie jego czescia. Byl to jedyny sposob, w jaki moglo do tego dojsc. Byla to tez jedyna droga, ktora Candy mogl wnknac do jej wnetrza - wgryzajac sie w glab jej ciala.

Kazdego innego dnia zawolalaby go, pozwolila, by ogladal ja nago, majac przy tym nadzieje, ze swym bezwstydem sprowokuje go wreszcie do gwałtownej reakcji. Musiala jednak powsciagnac swe najskrytsze marzenia, poniewaz Frank znajdowal sie blisko, wciaz nie ukarany za to, co zrobil ich biednej Samancie.

Ubrawszy sie wyszla na korytarz i ruszyla w glab ciemnosci - ani na moment nie tracac kontaktu z Darkle'em i Zita - az znalazla sie przy drzwiach pokoju matki, do ktorego po jej smierci wprowadzil sie Candy. Saczyla sie spod nich waska struga swiatla. - Candy - powiedziala.

-Candy, jestes tam?

* * *

Niczym wspomnienie minionych wojen lub zapowiedz nadchodzacego ostatecznego starcia w noc uderzyla oslepiajaca blyskawica, a zaraz po niej powietrze wypelnil loskot gromu. Szyby w oknach zadrzaly. Byl to pierwszy grzmot, jaki uslyszal Bobby od czasu, gdy wychodzac z motelu poltorej godziny temu pochwycil odlegly pomruk burzy. Chociaz w gorze na dobre rozszalaly sie niebieskie fajerwerki, deszcz wciaz nie padal. Znalezli sie w zasiegu sunacego powoli czola burzy. Pirotechniczne popisy natury stanowily idealne tlo dla opowiesci Fogarty'ego. -Bylem rozczarowany Frankiem - podjal Fogarty, wyciagajac z przepastnej szuflady biurka druga butelke i ponownie

napelniajac swoja szklanke. - Nie mial w sobie niczego zabawnego. Byl taki normalny. Na szczescie w dwa lata pozniej znowu zaszla w ciaze! Tym razem porod przyniosl niespodzianke. Teraz takze urodzil sie chlopiec, ktoremu dala na imie James. Powiedziala, ze byly to juz drugie jej dziewicze narodziny i wcale nie przeejala sie faktem, iz dziecko bylo prawie takim samym odmiencem jak ona. Mowila, ze to tylko dowod laski bozej, ze James przyszedl na swiat pozbawiony potrzeby nurzania sie w deprawujacym blocie seksu. Chyba wlasnie wtedy ostatecznie zwariowala.

Bobby zdawal sobie sprawe, ze musi pozostac trzezwym. Wiedzial, jakie niebezpieczenstwa niesie ze soba nadmierna dawka alkoholu po nie przespanej nocy. A mimo to wydawalo mu sie, ze natychmiast spala wszystko, co wypija. Whisky zupełnie na niego nie dzialala, przynajmniej na razie. Pociagnal jeszcze jeden lyk, po czym powiedzial:

-Nie chce pan chyba nam wmowic, ze ten byk tez jest hermafrodyta?

-Nie, nie - zaprzeczyl Fogarty. - To cos znacznie gorszego.

* * *

Candy otworzyl drzwi.-Czego chcesz?

-On jest tutaj, w miescie - rzucila pospiesznie.

Oczy Candy'ego rozszerzily sie.

-Chodzi ci o Franka?

-Tak.

* * *

-Gorszego - powtorzyl glucho Bobby.Uniosl sie z sofy na tyle, by moc odstawic szklanke na biurko. Byla jeszcze w trzech czwartych pelna, doszedl jednak nagle do wniosku, ze w tym przypadku nawet alkohol nie bedzie dostatecznym srodkiem usmierzajacym.

Mysli Julie musialy biec podobnym torem, bo rowniez pozbyla sie szklanki.

-James - lub, jesli wolicie, Candy - urodzil sie wyposazony w cztery jadra zamiast dwoch, ale za to bez czlonka. Zaraz po urodzeniu niemowleta plci meskiej maja jadra bezpiecznie ukryte w jamie brzusznej, skad zostaja wypchniete na zewnatrz w trakcie wzrostu organizmu. U Candy'ego proces ten nie zaszedl i nigdy nie zajdzie, poniewaz Candy nie posiada moszny, do ktorej jadra powinny opasc. Zreszta nawet gdyby ja mial, to opadniecie jader i tak uniemozliwilaby dziwna kostna narosl. Jednakze sadze, ze jadra funkcjonuja zupełnie niezle, wytwarzajac ogromne ilosci testosteronu, co mozna poznac po rozbudowanej muskulaturze i poteznym wzroscie mlodszeo Pollarda.

-Czyli ze nie jest on w stanie uprawiac seksu - zauwazyl Bobby.

-Majac jadra ukryte w jamie brzusznej i nie dysponujac narzadem do kopulacji, jest wedlug mnie

najcnotliwszym ze wszystkich zyjacych mezczyzn.

Slyszac smiech starego lekarza, Bobby poczul obrzydzenie.

-Ale posiadajac cztery gonady musi wytwarzac istne potoki testosteronu, ktory, o ile wiem, steruje nie tylko rozwojem miesni, czyz nie tak?

Fogarty skinal glowa.

-Ujmujac to jezykiem literatury medycznej: utrzymujacy sie przez dlugi czas nadmiar testosteronu zmienia normalne funkcje mozgu, czasami w sposob bardzo radykalny i jest czynnikiem wywolujacym niedopuszczalny ze spolecznego punktu widzenia wzrost poziomu agresji. Przekladajac to na jezyk laika: ten facet znajduje sie pod wplywem silnego napiecia seksualnego, ktorego nie jest w stanie rozladowac. Nagromadzona energie usiluje wydatkowac na inne cele, co uzewnetrznia sie glownie w atakach niewiarygodnej wprost gwaltownosci. Czlowiek ten jest grozniejszy niz jakiegokolwiek potwory wymyslone przez filmowcow.

* * *

Slyszac nadciagajaca burze Violet uwolnila sowe, lecz w dalszym ciagu przebywala w Darkle'u i Zicie. Pozbawila zwierzeta uczucia strachu, nie chcac, aby uciekly przed odglosami piorunow. Stala w drzwiach pokoju Candy'ego, a jej umysl odbieral slowa Fogarty'ego, opowiadajacego Dakotom o deformacjach na ciele jej brata. Oczywiscie wiedziala o tym od dawna. Matka opowiadala im, ze w ten sposob Bog chcial podkreslic wyjatkowa role Candy'ego. Violet niejasno zdawala sobie sprawe, ze owe zniekształcenia pozostaja w jakims zwiazku z ogromna dzikoscia Candy'ego i czynia go tak strasznie atrakcyjnym. Stala przed nim, marzac o tym, by dotykac jego wielkich ramion, gladzic poteznie rzezbione miesnie. W koncu opanowala sie.

-On jest w domu Fogarty'ego. Wygladal na zaskoczzonego.

-Matka mowila, ze Fogarty jest narzedziem w reku Boga. To on pomogl przyjsc na swiat calej naszej dziewczczo zrodzonej czworce. Dlaczego daje schronienie Frankowi? Przeciez Frank jest naszym wrogiem.

-Ale tam wlasnie jest. A oprocz niego jakas para. On ma na imie Bobby, ona zas Julie.

-Dakotowie - wyszeptal.

-U Fogarty'ego. Dopilnuj, zeby zaplacic nam za Samante, Candy. Kiedy juz z nim skonczysz, przynies go tutaj. Nakarmimy nim nasze koty. Nienawidzil kotow, wiec teraz bedzie wsciekly, gdy na zawsze stanie sie czescia kazdego z nich.

* * *

Zlosc, nad ktora Julie nie zawsze udawalo sie zapanowac, bliska byla osiagniecia punktu wybuchu. Wraz z nadejsciem burzy zdolala ja nieco poskromic, przekonujac sama siebie, ze wiecej osiagnie uciekajac sie do dyplomacji. Musiala jednak wtracic swoje trzy grosze.

-Przez wszystkie te lata wiedział pan, że Candy jest niebezpiecznym mordercą i nie uczynił pan niczego, żeby ludzi ostrzec?

-Dlaczego miałbym to robić? - zdziwił się Fogarty.

-Czy nigdy pan nie słyszał o odpowiedzialności społecznej? - Te piękne słowa nic nie znaczą.

-Wielu ludzi zostało brutalnie zamordowanych tylko dlatego, że pozwolił pan, aby ten człowiek...

-Ludzie byli, są i zawsze będą brutalnie mordowani. Historia pełna jest brutalnych mordów. Hitler wymordował miliony. Stalin wiele milionów więcej. Mao Tsetung więcej niż ci dwaj razem wzięci. Wszyscy oni zostali obecnie uznani za potwory, a przecież swego czasu wielu ich podziwiała, nieprawdaz? Nawet dzisiaj znajdują się ludzie twierdzący, iż Hitler czy Stalin zrobili tylko to, co do nich należało, że Mao zaprowadził jedynie publiczny porządek i pozbył się chuliganów. Mnóstwo ludzi podziwia morderców, o ile tylko działają z rozmachem, a zadze krwi ubiora w płaszczyk szlachetnych pobudek w rodzaju braterstwa narodów, politycznych reform, sprawiedliwości bądź też społecznej odpowiedzialności. My wszyscy jesteśmy mięsem. Mięsem i niczym więcej. Wiemy o tym dobrze w głębi serca i dlatego po cichu podziwiamy ludzi dostatecznie śmiałych, by traktować nas zgodnie z tym czym jesteśmy. Mięso.

Dla Julie stało się oczywiste, że ma do czynienia z socjopata, osobnikiem pozbawionym sumienia, niezdolnym do miłości czy współodczuwania z innymi ludźmi. Nie wszyscy socjopaci byli grasującymi po ulicach bandytami czy nawet wysokiej klasy fachowcami w rodzaju Toma Rasmussena. Niektórzy z nich musieli być lekarzami albo prawnikami, szefami telewizji, politykami. Nie można było z nimi dyskutować, ponieważ obce im były odczucia normalnych ludzi.

-Dlaczego miałem mówić komukolwiek o Candy Pollardzie? Nic mi z jego strony nie grozi, bo Roselle zawsze nakazywała swemu przekletemu potomkowi okazywać mi szacunek. Tak więc to nie mój interes. Ukrył przed światem śmierć matki, gdyż nie chciał, aby po domu kreciła się policja. Ludziom powiedział, że wyjechała do eleganckiej miejscowości wypoczynkowej w pobliżu San Diego. Nie sadzę, aby ktokolwiek uwierzył, że na te stuknieta suke spłynęło nagle ośnienie i postanowiła oddać się plazowaniu, nikt jednak nie wypowiadał głośno wątpliwości, nie chcąc być w tej sprawie zamieszany. Każdy uważa, że to nie jego interes. Zupełnie jak ja. Jakich cierpień nie przysporzyłby Candy światu, będą one niedostrzegalne. Jego dziwaczna psychika i fizjologia sprawia jedynie, iż to, co uczyni, będzie bardziej niezwykle od uczynków innych.

Poza tym, kiedy Candy miał jakieś osiem lat, przyszła do mnie Roselle, aby podziękować za asystowanie przy narodzinach całej czwórki. Prosiła też o zachowanie tajemnicy, tak żeby Szatan nie dowiedział się o obecności na świecie jej błogosławionych dzieci. Właśnie w ten sposób to przedstawiła! A jako dowód wdzięczności przekazała mi wypełnioną pieniędzmi walizkę. Było tego tyle, że mogłem przejść na wcześniejszą emeryturę. Nie miałem pojęcia, skąd je wzięła. Pieniądze zgromadzone w latach trzydziestych przez Deetera i Elizabeth musiały rozejść się dawno temu. Opowiedziała mi wtedy co nieco o umiejętnościach Candy'ego, nie za dużo, ale tyle, że bym zrozumiał, iż nie musi martwić się brakiem pieniędzy. Dopiero wówczas pojąłem, że z genetycznym upośledzeniem wiązały się również pewne korzyści.

Fogarty wzniosł szklanke w toście, do którego się nie przyłączyli.

-Za niezbadane drogi boskiej opatrności.

* * *

Niczym archanioł wieszczący koniec świata w Księdze Apokalipsy, Candy pojawił się w momencie, gdy niebiosy rozwarły swe podwoje i zaczął padać deszcz. Co prawda zwyczajny deszcz, a nie czarna ulewa, niosąca potop dla Armageddonu, lecz i tak miał w sobie coś niesamowitego. Zmaterializował się w ciemnościach, pomiędzy dwiema rozstawionymi daleko od siebie latarniami, niemal o całą przecznice od domu doktora. Wybrał to miejsce, ponieważ nie chciał, by ludzie zebrani w bibliotece usłyszeli ciche dźwięki zapowiadające jego przybycie. Idąc w stronę domu przez zacinający deszcz czuł, że jego płynąca od Boga moc stała się dzisiaj większa niż kiedykolwiek i że nic nie mogło mu przeszkodzić w spełnieniu pragnień.

* * *

-W szesćdziesiątym szóstym urodziły się bliźniaczki. Fizycznie były tak samo normalne jak Frank - powiedział Fogarty, podnosząc głos, by nie dać się zagłuszyć deszczowi, który nagle zaczął bebnąć o szyby. - Nie miały w sobie niczego niezwykłego. Wprost nie mogłem w to uwierzyć. Trojka spośród czworga dzieci była zupełnie zdrowa. Spodziewałem się całej serii ciekawych deformacji, jak choćby asymetrycznych czaszek, rozszczepionych twarzy, niedorozwiniętych kończyn, dodatkowych głów lub, w najgorszym przypadku, zajęczych warg! Bobby złapał Julie za rękę. Potrzebował tego kontaktu z żoną.

Chciał stąd wyjść. Czuł się wypalony od środka. Czy nie usłyszeli wystarczająco wiele?

Nie było to jednak takie proste. Nie znalazł przecież zakończenia tej historii, nie wiedział, czy nie znajdzie tam wskazówek co do sposobu postępowania z Pollardami.

-Oczywiście, kiedy Roselle przyniosła mi walizkę pieniędzy, dowiedziałem się, że wszystkie jej dzieci były w jakimś stopniu wynaturzone, jeśli nie fizycznie, to umysłowo. Przed siedmiu laty Frank przyszedł do mnie po zabiciu matki, tak jakby uważał, że coś mu jestem winien - zrozumienie, schronienie. Powiedział mi o swojej rodzinie więcej, niż chciałbym wiedzieć, o wiele za dużo. W ciągu następnych dwóch lat wracał tutaj od czasu do czasu. Pojawiał się jak duch, pragnąc zniszczyć mój spokój, w końcu jednak zrozumiał, że nie ma tu czego szukać i na pięć lat zniknął z mego życia. Nie było go aż do dzisiejszego wieczoru.

Frank poruszył się w fotelu. Unosił nieco ciało, przechylając głowę w drugą stronę. Poza tym krótkim przejawem aktywności jego stan nie uległ zmianie. Stary lekarz wspominał, że Frank kilkakrotnie odzyskiwał przytomność, stając się wówczas niezwykle rozmowny, jednak ostatnia godzina nie wydawała się tego potwierdzać.

Julie siedziała najbliżej Franka. W pewnej chwili ściągnęła brwi i pochyliwszy się do przodu, zaczęła bacznie oglądać prawą stronę jego głowy.

-O, moj Boze.

Te trzy slowa wypowiedziala takim tonem, ze Bobby'ego ogarnal chlod.

Czujac biegnace w gore kregoslupa igielki lodu, Bobby opuscil swoj koniec sofy i przysunal sie do Julie. Ponad ramieniem zony popatrzył na bok glowy Pollarda. Natychmiast tego pozalowal. Sprobował odwrocic wzrok, lecz mu sie to nie udalo.

Kiedy Frank trzymal glowe przekrzywiona na prawo, niemal dotykajac nia wlasnego ramienia, tamta skron byla calkowicie niewidoczna. Po tym, jak zostawil Bobby'ego w biurze, musial w dalszym ciagu podrozowac wbrew swej woli i w ktorymś momencie jeszcze raz odwiedzil jeden z owych kraterow, gdzie wytworzone sztucznie owady skladaly swoje diamenty. Na odcinku od skroni do szczeki cialo Franka usiane bylo guzami, a w kilku miejscach ze skory sterczaly surowe klejnoty, wrosniete gleboko w tkanke organizmu. Widocznie Frank postanowil zabrac ze soba garśc kamieni, a przy rekonstrukcji wlasnego ciala popelnil jakas pomyłke.

Bobby zacal zastanawiac sie, jakie skarby mogla zawierac szara substancja wypelniajaca czaszke ich klienta.

-Tez to widzialem - powiedzial Fogarty. - Obejrzyjcie jeszcze jego prawa dlon.

Nie zwazajac na protesty Julie, Bobby zlapal za rekaw marynarki Franka i pociagnal do gory, odrywajac jego reke od fotela. Z miesistej czesci dloni wystawal lśniacy pancerz karalucha. Martwymi oczami owad wpatrywal sie we wskazujacy palec Pollarda.

* * *

Okrazajac dom, Candy minal siedzacego na okiennym parapecie czarnego kota. Zwierze odprowadzilo go spojrzeniem, po czym ponownie przytknelo nos do szyby. Wszedl na werande z tylu domu i sprobował otworzyc drzwi. Byly zamkniete.

Kiedy siegnal ku klamce, jego dlon rozblysla niklym, pulsujacym blekitnym swiatlem. Cos zachrobotalo w zamku. Drzwi stanely otworem. Candy ostrożnie wszedl do srodka.

* * *

Julie slyszala i widziala wystarczajaco wiele, zeby miec dosyc. Chcac oddalic sie od Franka, wstala z sofy, a nastepnie podeszla do biurka, gdzie przez chwile zamyslila sie nad nie dokonczona szklanka whisky. Alkohol nie byl zadnym rozwiazaniem. Straszliwie zmeczona, usilowala stlumic w sobie rozpacz po stracie Thomasa. Z jeszcze wiekszym wysilkiem starala sie dostrzec jakis sens w groteskowej historii Fogarty'ego. Choc alkohol wygladal zachecajaco, mogl sprawic jej wiele klopotow.

-Tak wiec jakie mamy szanse w walce z Candym?

-Zadnych.

-Musi byc jakis sposob.

-Nie.

-Musi.

-Dlaczego?

-Bo on nie moze wygrac. Fogarty usmiechnal sie.

-Dlaczego nie?

-Bo jest zlym czlowiekiem, cholera! A my jestesmy dobrzy. Moze nie doskonali, mamy swoje wady, ale ogolnie jestesmy dobrzy. I dlatego wlasnie musimy wygrac, bo jesli tak sie nie stanie, to caly ten kram okaze sie jednym wielkim bezsenssem.

Fogarty odchylił się na oparcie krzesła.

-Calkowicie sie z pania zgadzam. To wszystko jest bez sensu. Nie jestesmy dobrzy, nie jestesmy zli, jestesmy tylko miesem. Nie mamy duszy, a nikt chyba nie wyobraza sobie zycia wiecznego polcia miesa. Przeciez nikt nie oczekuje, ze zjedzony przez kogos hamburger powedruje do nieba.

W tej chwili Julie nienawidzila Fogarty'ego bardziej niz kogokolwiek na swiecie. Czesciowo za jego samozadowolenie i podejscie do czlowieka, czesciowo zas dlatego, ze w jego argumentach odnalazla cos niebezpiecznie bliskiego wlasnym myslom, wypowiedzianym w motelu zaraz po tym, jak dowiedziala sie o smierci Thomasa. Mowila wtedy, ze nie ma sensu marzyc, ze marzenia nigdy sie nie spelniaja, ze nawet jesli udalo ci sie dopiac swego, to i tak zawsze w poblizu czaila sie smierc. A przeklinanie zycia za to, ze predzej czy pozniej konczylo sie smiercia... no coz, bylo prawie tym samym, co wmawianie ludziom, iz sa tylko miesem.

-Jest tylko przyjemnosc i bol - ciagnal stary lekarz - wiec zupełnie nie ma znaczenia, kto jest dobry, a kto zly, kto wygra, a kto przegra.

-Czy on ma jakies slabe punkty? - zapytala ze zloscia.

-Nie widze zadnych. - Beznadziejnosc ich polozenia zdawala sie cieszyc Fogarty'ego. Jezeli prowadzil praktyke juz na poczatku lat czterdziestych, to obecnie musial miec kolo osiemdziesiatki, choc wygladal zdecydowanie mlodziej. Doskonale zdawal sobie sprawe, jak niewiele czasu mu pozostalo i bez watpienia zazdroscil wszystkim mlodszy od siebie. Ich smierc z reki Candy'ego Pollarda z pewnoscia by go ucieszyla. - Zadnych slabosci.

Bobby usilowal nie dac za wygrana.

-Moze jego slabosc tkwi w jego umysle. Fogarty pokrecil glowa.

-Powiedzialbym nawet, ze psychologia stanowi zrodlo jego sily. Cale to gadanie o narzedziu boskiej zemsty pomaga mu uzbroic sie skutecznie przeciwko zalamaniu, zwatpieniu i calej reszcie mogacych

go oslabic niebezpieczenstw.

Frank wyprostowal sie raptownie w fotelu i potrzasnal glowa, jak gdyby chcial odzyskac jasnosc mysli. Rozlegl sie jego glos.

-Gdzie... Dlaczego ja... Czy to... Czy to... czy to...

-Czy co, Frank? - zapytal Bobby.

-Czy to przyszlo? - powiedzial Frank. Jego oczy z wolna nabieraly blasku. - Czy to w koncu przyszlo?

-Co w koncu przyszlo, Frank? Jego glos stal sie ochryply.

-Smierc. Czy w koncu przyszla? Czy to juz?

* * *

Candy bezszelestnie dotarl do wiodacego w strone biblioteki korytarza. Zblizajac sie do otwartych drzwi po lewej uslyszal ludzkie glosy. Ledwie zdolal sie opanowac, gdy posrod nich rozpozнал glos swego brata. Zgodnie z tym, co mowila Violet, Frank nie byl w pelni sprawny. Jego kontrola nad zdolnosciami telekinetycznymi zawsze pozostawiala wiele do zyczenia i miedzy innymi na tym wlasnie Candy opieral przekonanie, ze pewnego dnia dopadnie go i wykonczy, zanim zdola on umknac w bezpieczne miejsce. Byc moze dlugo wyczekiwany moment triumfu byl bardzo blisko.

Kiedy zajrzal do pokoju, na wprost siebie dostrzegl plecy jakiejś kobiety. Nie widzial jej twarzy, lecz i tak byl pewien, ze jest to ta sama osoba, ktorej wyidealizowany obraz napotkal w umysle Thomasa.

Zaraz potem zobaczyl tez Franka. Frank wpatrywal sie w niego rozszerzonymi ze strachu oczami. Jezeli ten matkoboja byl wedlug slow Violet zbyt oslabiony, by teleportowac sie poza zasieg Candy'ego, to teraz w szybkim tempie zrzucal to oslabienie z siebie. Wygladal na gotowego do dzialania, mogl zniknac na dlugo przedtem, nim Candy zdazylby go dotknac.

Candy zamierzal poczatkowo poslac w glab biblioteki niszczycielska fale, od ktorej ksiazki zajelyby sie ogniem, a zarowki popekaly, tak by przestraszyc i odwrocic uwage Dakotow oraz doktora Fogarty'ego, po czym bez przeszkod dopasc Franka. Teraz jednak, na widok drzacego brata, szykujacego sie do dematerializacji, zmuszony byl zmienic plany.

Wbiegl do pokoju i od tylu zaatakowal kobiete, otaczajac prawym ramieniem jej szyje. Rownoczesnie mocno odchylil jej glowe, by zarowno ona, jak i przebywajacy z nia dwaj mezczyzni zrozumieli, ze moze jej skrecic kark, kiedy tylko zechce. Pomimo zaskoczenia dziewczyna probowala sie bronic. Kopnela w tyl, przeciaagajac mu po goleni obcasem buta, a zaraz potem przydepnela z gory jego stope. Byly to chwyt jakiejś sztuki walki i sprawily mu wiele bolu. Ze sposobu, w jaki chciala oswobodzic sie z jego uchwytu, widac bylo, ze ma w tym duza wprawe. Szarpnal jej glowe jeszcze raz, nawet mocniej niz poprzednio, a napiety bicipsem przycisnal tchawice. Musialo ja to zabolec wystarczajaco mocno, by uswiadomila sobie bezcelowosc dalszego oporu.

Fogarty przypatrywał mu się ze swojego krzesła, wystraszony, jednak nie na tyle, żeby poderwać się na nogi. Natomiast mąż szarpiając się z nim kobiety zareagował bardzo szybko. Wskoczył z sofy z rewolwerem w dłoń, jednak Candy nie zwracał na niego większej uwagi. Interesował go Frank, który wstał z fotela i najwyraźniej zamierzał zniknąć, przenieść się do Punaluu, Kioto lub dziesiątka innych miejsc.

-Nie rob tego, Frank! - powiedział ostro Candy. - Nie uciekaj. Twój czas dobiegł kresu. Nadeszła chwila, kiedy odpowiesz za to, co zrobiłeś naszej matce. Przyjdiesz do domu, otrzymasz od Boga karę i jeszcze dziś będzie po wszystkim. Ja też tam będę. Zabieram ze sobą te suke. Chyba próbowała ci pomóc, więc może nie będziesz chciał, żeby przez ciebie cierpiała.

Mąż zakładniczki zamierzał zrobić coś szalonego. Widok Julie w objęciach Candy'ego wyprowadził go z równowagi. Przymierzał się do strzału, celując tak, by trafić napastnika bez narazenia żony. W takim stanie był chyba nawet gotów zaryzykować strzał w głowę Candy'ego, częściowo osłonięta ciałem kobiety. Najwyższa pora, aby się wycofać.

-Przyjdź do domu - ponownie polecił Frankowi. - Wejdiesz do kuchni, a ja zrobię z tobą porządek, a ja puszcze wolno. Przysięgam na imię naszej matki, że ja puszcze. Ale jeśli nie zjawisz się w ciągu piętnastu minut, położę te suke na stole i zjem na kolację. Czy chcesz, żebym wypił jej krew za to, że usiłowała ci pomóc, Frank?

Candy'emu wydawało się, że znikając z tamtego miejsca usłyszał wystrzał. Nawet gdyby tak było, oddano go zbyt późno. Zmaterializował się w kuchni domu przy Pacific Hill Road, z Julie Dakota wciąż zamknięta w uścisku potężnych ramion.

56

Nie przejmując się dłużej niebezpieczeństwem związanym z dotykaniem Franka, Bobby złapał go za kłapy i przyparł do wewnętrznych okiennic, zabezpieczających okno biblioteki.-Słyszales, co on powiedział, Frank. Nie uciekaj. Nie rob tego, bo inaczej uwieszę się na ciebie i nigdy nie puszcze, bez względu na to, dokąd mnie zabierzesz. Przysięgam Bogu, postaram się wtedy, abyś załował, że nie położyłeś głowy na polmisku Candy'ego.

Dla podkreślenia wagi swych słów trzasnął Frankiem o okiennicę. Z tyłu rozległ się cichy śmiech Lawrence'a Fogarty'ego.

Na widok malującego się w oczach klienta przerażenia i zmieszania, Bobby pojął, że jego groźby nie odniosły pożądanego skutku. Wystraszony Frank mógł w każdej chwili zniknąć, nawet jeśli chciał pomóc Julie. Co gorsza, zniżając się do przemocy, nie traktował Franka jak człowieka, tylko jak mięso, potwierdzając w ten sposób zasady, według których stary, skorumpowany lekarz przeżył całe swoje życie. Było to niemal równie niedopuszczalne, jak utrata Julie.

Niezwłocznie poluzował chwyt.

-Przepraszam! Słuchaj, naprawdę jest mi przykro. Straciłem panowanie nad sobą.

Zapatrzył się w oczy Pollarda, chcąc sprawdzić, czy pozostała w zniszczonym mózgu inteligencja pozwalająca na osiągnięcie porozumienia. Ujrzał w nich strach, a także samotność, tak wielką, że chciało mu się płakać. Był tam również wyraz zagubienia, podobny do tego, jaki czasami pojawiał się w oczach Thomasa, kiedy zabierali go na wycieczkę poza Cielo Vista, "w świat", jak zazwyczaj mawiał.

Zdając sobie sprawę, że upłynęło już kilka minut z ustalonego przez Candy'ego piętnastominutowego ultimatum, Bobby zdobył się na spokój. Ujął prawą rękę Franka, obrócił dłoń do góry, po czym zmusił się do dotknięcia martwego karalucha wtopionego w białe ciało. Pod palcami wyczuł krucha chrupawość pancerza, nie pozwolił sobie jednak na gest obrzydzenia.

-Czy to boli, Frank? Ten żuk przemieszany z komórkami twojego ciała, czy sprawia ci jakiś ból?

Frank przypatrywał mu się dłuższą chwilę, w końcu potrząsnął głową.

-Nie.

Podniesiony na duchu nawiązaniem choćby takiego dialogu, Bobby delikatnie przejechał palcami po prawej skroni Franka, wyczuwając szlachetne kamienie tkwiące pod skórą niczym czyraki lub rakowe guzy.

-Czy tu cię boli, Frank? Czy odczuwasz ból?

-Nie - odrzekł Frank, a serce Bobby'ego zaczęło uderzać szybciej. A więc rozmowa była możliwa.

Z kieszeni dzinsów Bobby wyciągnął złożoną chusteczkę higieniczną i ostrożnie wytarł ściekającą po brodzie Franka ślinę.

Pollard zamrugł oczami, rozejrzał się dookoła, jakby trochę przytomniejąc.

Za plecami Bobby'ego Fogarty powiedział:

-Jeszcze dwanaście minut.

Zapewne nadal siedział za biurkiem ze szklanką whisky w dłoni i przyklepionym do twarzy denerwującym uśmiechem samozadowolenia.

Bobby zignorował go. Nie tracić wzrokowego kontaktu z klientem, wodzić palcami po jego skroni, powiedział cicho:

-Miałeś ciężkie życie, co, Frank? Byłeś normalny, najnormalniejszy z nich wszystkich, a kiedy chodziłeś do szkoły, chciałeś dostosować się do rówieśników, czego ani twoje siostry, ani brat zrobić nie mogli. Musiało upłynąć mnóstwo czasu, zanim sobie uswiadomiłeś, że twoje marzenia się nie ziszczą, że nigdy się nie dostosujesz, ponieważ choćbyś był nie wiadomo jak normalny w porównaniu z resztą rodziny, to jednak pochodziłeś z tamtego przekletego domu, z tej kloaki, co na zawsze czyniło cię obcym w stosunku do innych ludzi. Ludzie mogli nie widzieć tej ciemnej plamy na twoim sercu, mogli nie znać twoich mrocznych wspomnień, lecz ty ją widziałeś, ty pamiętałeś

wszystko i czules sie gorszy ze względu na swa przerazajaca rodzine. A przeciez w tym samym czasie rownie obco czules sie takze we wlasnym domu, zbyt zdrowy na umysle, zbyt wzraliwy, by zniesc panujacy w nim koszmar. Tak wiec przez cale zycie byles praktycznie sam.

-Przez cale zycie - powtorzyl Frank. - I zawsze tak bedzie. Teraz nie zamierzal juz zniknac, Bobby gotow byl sie o to zalozyc.

-Frank, nie potrafie ci pomoc. Nikt tego nie potrafi. To bolesna prawda, ale nie chce cie oklamywac. Nie bede tez toba manipulowac ani ci grozic.

Frank milczal, lecz nie odwracal wzroku.

-Dziesiec minut - oznajmil Fogarty.

-Jedyna rzecz, jaka moge zrobic, to pokazac ci, w jaki sposob mozesz wreszcie nadac swemu zyciu sens, uczynic je wartosciowym i zakonczyc z godnoscia. Kto wie, moze po smierci odnajdziesz spokoj. Wiem, jak moglbys zabic Candy'ego, a zarazem ocalic Julie. Jezeli tego dokonasz, odejdziesz jako bohater. Czy pojedziesz ze mna, Frank? Czy wysluchasz mnie po drodze i nie pozwolisz Julie umrzec?

Frank ani nie przytaknal, ani nie zaprzeczyl. Brak negatywnej odpowiedzi Bobby uznal za dobry znak.

-Musimy juz isc, Frank. Tylko nie probuj teleportacji. Znowu utracisz kontrole i zaczniesz skakac po calym swiecie. Pojedziemy moim samochodem. Bedziemy na miejscu za piec minut.

Bobby ujal go za reke. Celowo wybral dlon z karaluchem, w nadziei, ze Frank pamieta o jego wstrecie do owadow i uzna ten przejaw poswiecenia za dowod szczerosci.

Ruszyli w strone drzwi.

Unoszac sie z krzesla, Fogarty powiedzial:

-Wiecie, ze idziecie na smierc.

Nie odwracajac glowy, Bobby odparl:

-Wydaje mi sie, ze ciebie smierc dopadla kilkadziesiat lat temu. Wyszli z Frankiem na deszcz i nim dotarli do samochodu, przemokli do suchej nitki.

Zajawszy miejsce za kierownica, Bobby rzucil okiem na zegarek. Pozostalo niecale osiem minut.

Przemknela mu przelotna mysl, ze wlasciwie nie wiadomo dlaczego przyjal za dobra monete slowa Candy'ego o pietnastominutowym okresie wyczekiwania. Dlaczego byl tak bardzo pewien, ze szalenciec nie rozszarpal jeszcze gardla Julie?

Jadac przez zalewane deszczem ulice w kierunku Pacific Hill Road, wyjasnil Frankowi, jak poswiecajac siebie, moze uwolnic swiat od Candy'ego i zniszczyc zasiane przez matke zlo. Raz juz

przecież tego próbował - choć bezskutecznie - kiedy podniósł na nią siekiere. Pomyśl był bardzo prosty. Zdał się powtórzyć wszystko parę razy, zanim zatrzymali się pod zardzewiałą bramą.

Frank w ogóle nie zareagował na słowa Bobby'ego, toteż nie było żadnej gwarancji, że go usłyszał, ani tym bardziej, że zrozumiał, co musi zrobić. Spoglądał wprost przed siebie z rozwartymi ustami, a od czasu do czasu kolysał głową w przód i w tył, jakby wpatrywał się w kryształowy wisiołek Jackie Jaxxa wirujący na złotym lancuszkę.

Kiedy wysiedli z wozu, mineli brame i podeszli do zniszczonego domu, mając w zapasie niecałe dwie minuty, Bobby'emu nie pozostało nic innego, jak tylko zawierzyć losowi.

* * *

Gdy Candy przeniósł ją do brudnej kuchni, rzucając na jedno ze stojących przy stole krzesel, Julie sięgnęła po rewolwer ukryty w kaburze pod sztruksową kurtkę. Jednak przeciwnik okazał się dla niej za szybki. Bez trudu wyszarpnął jej broń z ręki, łamiąc przy okazji dwa palce. Bol w dłoni był rozdzierający, odzywały się także szyja i gardło, brutalnie potraktowane w bibliotece Fogarty'ego, lecz Julie powstrzymała łzy czy słowa skargi. Zamiast tego, kiedy tylko odwrócił się do niej plecami, aby wrzucić rewolwer do szuflady, poderwała się na nogi i pomknęła do drzwi.

Złapał ją, oderwał od podłogi, obrócił niby piorkiem, po czym cisnął plecami na kuchenny stół z taką siłą, że niemal nie zemdlął. Zbliżył twarz do jej twarzy i powiedział:

-Będiesz dobrze smakować, tak jak kobieta Clinty. Chcę poczuć, jak do moich ust sypie cała twoja żywotność, cała energia.

Jej próby stawiania oporu bądź ucieczki nie brały się z nadzwyczajnej odwagi, lecz z przerażenia, które zwiększyło się dodatkowo po przejściu przez proces rozkładu i rekonstrukcji. Teraz strach jeszcze bardziej przybrał na sile, gdy jego wargi zbliżyły się na całą do jej szyi, a twarz owiał cuchnący kostnicą oddech. Niezdolna oderwać wzroku od jego błękitnych oczu pomyślała, że tak właśnie muszą wyglądać oczy szatana, nie ciemne jak grzech, nie czerwone niczym piekielne ognie, nie pełne rojącego się robactwa, lecz wspaniałe, cudownie błękitne - i absolutnie pozbawione łaski czy współczucia.

Gdyby ktoś zebrął całą dziką drzemiacę w ludziach od niepamiętnych czasów i tchnął ją w jednego osobnika, gdyby przypisana wszystkim drapieżnikom żądza krwi, gwałtowność i pierwotna potęga można było ucielesnić w jednej, potwornej postaci, to wyglądałaby ona jak Candy Pollard. Kiedy w końcu od niej odstąpił, niczym waz niechętnie powstrzymujący się od ataku, schował ją ze stołu i ponownie wpał na krzesło, po raz pierwszy w życiu była porządnie wystraszona. Wiedziała, że jeśli spróbuje jeszcze raz, Candy natychmiast ją zabije, a potem posili się jej krwią. Po chwili Candy powiedział coś zdumiewającego.

-Później, kiedy skończę z Frankiem, powiesz mi, gdzie Thomas zdobył swoją moc.

Napelniał ją takim lekiem, że z trudem dobyteła z siebie głos.

-Moc? O co ci chodzi?

-Był jedynym spoza naszej rodziny, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Nazywał mnie Cos Złego. I próbował telepatycznie śledzić, ponieważ wiedział, że wcześniej czy później nasze drogi się skrzyżują. W jaki sposób mógł zostać obdarowany, skoro nie narodził się z mojej dziewiczej matki? Później mi to wyjaśnij.

Gdy tak siedziała, zbyt przerażona, by nawet płakać, w przypominającej oko cyklonu ciszy, obejmując zdrową dłoń okaleczoną rękę, w skolataną głowę musiała jeszcze znaleźć miejsce na zdumienie. Thomas? Psychicznie obdarowany? Czy naprawdę było możliwe, że kiedy ona się o niego martwiła, on starał się roztoczyć opiekę nad nią?

Usłyszała dobiegający z głębi domu dziwny odgłos. W chwili później drzwiami od korytarza wtargnęło do kuchni stado co najmniej dwudziestu kotów.

Posrodku wymachującej ogonami ciszy nadeszły bliźniaczki - długonogie, białe dziewczyny, ubrane tylko w majtki i bawełniane koszulki z krótkim rękawem, jedna w czerwona, druga w białą. Wyglądały nie mniej złowieszczo od swoich kotów. Białe jak duchy, nie miały w sobie cienia słabości. Były szczupłe i zdrowe, a od środka zdawała się je rozsadzać energia pokrewna tej, jaką zawsze mają w sobie koty, nawet wtedy, gdy leniwie wygrzewają się na słońcu. Nieco eteryczne, były równocześnie silne i niezwykle zmysłowe. Ich obecność w domu musiała budzić straszliwe napięcie w Candy, który, choć wyposażony w podwójny zestaw jąder, nie posiadał organu pozwalającego mu je rozładować.

Podeszły do stołu. Jedna z nich gapiała się wprost na Julie, podczas gdy uczeplona jej ramienia siostra skierowała wzrok w zupełnie inną stronę.

-Czy jesteś dziewczyna Candy'ego? - zapytała odważniejsza. W jej pytaniu bez wątpienia slychac było kpine.

-Zamknij się - warknął Candy.

-Jeśli nie jesteś jego dziewczyna - ciągnęła dalej głosem miękkim jak szelest jedwabiu - to chodź z nami na górę. Mamy tam łóżko, koty nie będą przeszkadzać, a ty mi się chyba podobasz.

-Nie mów w ten sposób w domu twojej matki - z wściekłością rzucił Candy.

Choć jego złość była prawdziwa, Julie zauważyła, że siostra działała na niego nieco oniesmielająco.

Obie dziewczyny, nawet ta niesmiała, dosłownie emanowały dzikością. Niewątpliwie zdolne były zrobić wszystko, co tylko przyszło im do głowy. Bez względu na to, jak bardzo taki postępek byłby skandaliczny, nie miałyby żadnych skrępowań czy zahamowań.

Julie bała się ich niemal tak samo jak Candy'ego.

Od strony drzwi frontowych, wzbijając się ponad szum tłukącego o dach deszczu, dobiegło czyjeś pukanie.

Koty zgodnie wybiegły z kuchni, kierując się ku wejściu, a po minucie wróciły eskortując pomiędzy sobą Bobby'ego i Franka.

* * *

Znalazłszy się w kuchni, Bobby poczuł ogromną wdzięczność dla Boga, a nawet dla Candy'ego za to, że Julie wciąż jeszcze żyje. Była wyniszczona, miała wykrzywioną bólem i strachem twarz, lecz jemu wydawała się piękniejsza niż kiedykolwiek. Nigdy nie widział jej tak przygaszonej, niepewnej i pomimo targającej jego duszę zawieruchy potężnych emocji znalazł jeszcze nieco miejsca, by odnotować ten fakt ze smutkiem i zalem.

Choć Bobby wciąż miał nadzieję, że Frank wypełni swoją rolę, przygotował się na użycie rewolweru w przypadku, gdyby sprawy przybrały niepomysłny obrot. Tymczasem, ledwie przekroczył próg kuchni, Candy powiedział:

-Wyciągnij broń i opróżnij magazynek.

Ustawił się za krzesłem Julie, z zacisniętą na jej gardle dłoń, której palec wygiął na kształt szponów. Dysponując nieludzką siłą rozszarpałby jej szyję w ciągu sekundy, nawet jeśli nie posiadał prawdziwych pazurów.

Bobby wydobyl swego smith wessona z kabury pod pachą, cały czas trzymając go demonstracyjnie tak, aby nie powstało podejrzenie, że zamierza go użyć. Otworzył bebenek, wytrząsł pięć naboju na podłogę, a rewolwer odłożył na najbliższą szafkę.

Od momentu przybycia Bobby'ego i Franka podniecenie Candy'ego w widoczny sposób narastało z sekundy na sekunde. Zabrał rękę z gardła Julie, cofnął się o kilka kroków, a następnie posłał Frankowi triumfujące spojrzenie.

Według Bobby'ego uczynił to zupełnie niepotrzebnie, bo Frank sprawiał wrażenie nieobecnego duchem. Jeżeli był świadom wszystkiego, co się dzieje w kuchni, to doskonale udawał, że jest wręcz przeciwnie.

Wskazując podłogę u swoich stóp, Candy powiedział:

-Podejdź tu i kleknij, ty matkobójco.

Koty pospiesznie opuściły wskazany przez szalenca kawałek spekanego linoleum.

Pozornie rozluźnione, bliźniaczki czujnie obserwowały tę scenę. Bobby wiedział, że koty udają obojętność podobnie jak ich panie, lecz drgające nerwowo uszy zdradzały prawdziwe uczucia zwierząt. W przypadku Violet i Verbiny, ich podniecenie ujawniało się przez widoczne na skroniach przyspieszone tętno oraz, bardziej obscenicznie, erekcja sutków pod cienką tkaniną koszulek.

-Powiedziałem, że tyś tu podszedł i kleknął - powtórzył Candy. - Czy naprawdę chcesz zdradzić jedynych ludzi, którzy wyciągnęli ku tobie pomocną dłoń w ciągu ostatnich siedmiu lat? Kleknij, albo zabiję Dakotów. Jego i ja. Natychmiast.

Widok Candy'ego budził grozę. Patrząc na niego można było odnieść wrażenie, że to nie psychicznie chory, tylko jakaś nadprzyrodzona istota, której na imię Legion, wspierana przez nieznane człowiekowi siły.

Frank postąpił krok do przodu, oddalając się od Bobby'ego.

Jeszcze jeden.

Potem przystanął i z wyrazem głębokiego zastanowienia na twarzy popatrzył na koty.

Bobby nigdy się nie dowiedział, czy to, co Frank uczynił później, było celowym działaniem, obliczonym na sprowokowanie krwawych konsekwencji, czy też znajdował się w stanie zamroczenia i wywołane jego słowami zamieszanie zaskoczyło go na równi z pozostałymi. Jakikolwiek by były kierujące nim pobudki, powiodł wzrokiem po kotach, po czym przeniósł go na odważniejszą z bliźniaczek.

-Ach, więc matka wciąż tu jest? Czy ona jeszcze jest w tym domu razem z nami?

Niesmiała bliźniaczka zeszywniała, natomiast jej siostra wydawała się odprezowana, jak gdyby pytanie Franka zaoszczędziło jej kłopotu związanego z wyborem odpowiedniego czasu i miejsca, w którym mogłaby sama opowiedzieć o wszystkim Candy'emu. Zwrociła się w jego stronę, a na jej ustach igrał najsubtelniejszy uśmiech, jaki Bobby kiedykolwiek widział. Był ironiczny, a równocześnie miał w sobie coś z wyzwania kochanki, drapieżny, choć nie pozbawiony strachu, pełen gorącej zady i zimnego przerażenia. Przede wszystkim jednak był dziki, przesycony pierwotną gwałtownością, bardziej pasująca do zamieszkujących lasy i pola zwierząt niż do człowieka.

Candy się nie uśmiechał. Na jego twarzy malowała się ogromna rozpacz i niedowierzanie, po raz pierwszy nadając jej na krótko niemal ludzki wyraz.

-Nie zrobiliście tego - powiedział. Uśmiech dziewczyny stał się jeszcze szerszy.

-Wykopalysmy ją zaraz po tym, jak sprawiłeś jej pogrzeb. Jest teraz częścią nas. Zawsze będzie w nas i w naszym stadzie.

Wymachując ogonami, koty bacznie wpatrywały się w Candy'ego.

Krzyk, jaki z siebie wydał, był całkowicie nieludzki, a szybkość, z jaką schwytał odważniejszą bliźniaczkę, wprost niesamowita. Przygniotł ją do lodowki masą swojego ciała, miażdżąc napierając ze wszystkich sił. Prawą dłoń zacisnął na jej twarzy i zaczął tłuc głową o podłogę, emaliowaną powierzchnię. Po chwili objął ją w wąskiej talii, unosił nad podłogę i chciał odrzucić tak, jak rozszuszczone dziecko robi to z lalką, lecz ona z kocia zrezygnacją oplotła go w pasie smukłymi nogami, przywierając doń całym ciałem, niemal dotykając piersiami jego twarzy. Candy pusił w ruch pięści, lecz nie dało to żadnego rezultatu. Dopiero kiedy przestał ją okładać, dziewczyna poluzowała chwyt i zeszliźnęła się w dół na tyle, by jej biała szyja znalazła się na wysokości jego ust. Candy, jakby tylko na to czekał, wpił się w nią zębami, wysysając życie z rozdartego gardła.

Koty podniosły odrazający wrzask i rozpiezchły się na wszystkie strony, szukając ucieczki z kuchni.

Pełnemu złości głosowi Candy'ego do ostatniej chwili wtórował niesamowicie zmysłowy jęk siostry. W ciągu minuty było już po wszystkim. Ani Bobby, ani Julie nie usiłowali interweniować, gdyż byłoby to równoznaczne z pakowaniem się w sam środek tornada - gwarantowało szybka śmierć, w najmniejszym stopniu nie wpływając na zmniejszenie siły burzy. Frank pozostał dziwnie obojętny. Widocznie była to jedyna postawa, jaka obecnie potrafił przyjąć.

Candy pozostawił martwe ciało i niezwłocznie zwrócił się ku drugiej bliźniaczce. Uporał się z nią jeszcze szybciej, ponieważ ta zrezygnowała z wszelkiego oporu.

Gdy oblakany olbrzym wypuścił z rąk zwłoki siostry, Frank podszedł do niego, jakby dopiero teraz przypomniał sobie o otrzymanym rozkazie. Złapał go za rękę i nim zaskoczony Candy zdolał cokolwiek uczynić, zniknęli obaj, przy czym, zgodnie z planem Bobby'ego, procesem sterował Frank, zaś jego brat występował jedynie w roli pasażera.

Po minutach niesamowitego zamieszania nastąpiła szokująca wręcz cisza.

Spocona, walcząca z mdłościami Julie, odsunęła się z krzesłem do tyłu. Drewniane nogi, szorując po linoleum, wydały głośny chrzęst.

-Nie - wykrzyknął Bobby. Podbiegł do niej i zmusił, by z powrotem usiadła. - Zaczekaj, jeszcze nie teraz, trzymaj się z daleka...

W oddali zadzwieczał flet.

Przez kuchnię przemknął podmuch wiatru.

-Bobby - zawołała przerażona - oni wracają! Uciekajmy stąd, dopóki nie jest za późno!

Nie pozwolił jej podnieść się z krzesła.

-Nie patrz na to. Ja muszę, chcę mieć pewność, że Frank mnie zrozumiał, ale ty nie patrz.

Atonalna muzyka rozbrzmiała raz jeszcze, a wir powietrza cisnął im w nozdrza zapachem krwi martwych kobiet.

-O czym ty mówisz?

-Zamknij oczy.

Oczywiście nie posłuchała, gdyż nie należała do osób odwracających wzrok lub uciekających przed jakimkolwiek niebezpieczeństwem.

Zjawili się Pollardowie. Wrocili ze wspólnej podróży do jakiegoś miejsca dalekiego jak góra Fudzi lub leżącego nie dalej niż dom doktora Fogarty'ego. Szalencza, pospieszna wędrowka po świecie bez chwili odpoczynku była zasadniczym elementem pomysłu, jaki Bobby starał się wbijać Frankowi do głowy podczas krótkiej jazdy samochodem. Bracia nie tworzyli już dwóch odrębnych organizmów.

Podroz odbywala sie pod dyktando Franka, a jego zdolnosc do bezblednej rekonstrukcji raptownie zanikala, z kazdym skokiem dajac coraz gorsze rezultaty. Ich ciala polaczyly sie bardziej niz u jakichkolwiek syjamskich blizniat. Lewe ramie Franka przeniknelo w glab prawego boku Candy'ego, jakby szukajac czegos wsrod wewnetrznych narzadow brata. Prawa noga Candy'ego zlala sie w jedno z lewa noga Franka, pozostawiajac im jedynie trzy dolne konczyny.

Zmian bylo wiecej, lecz Bobby zdazyl zauwazyc tylko tyle, zanim ponownie znikneli. Frank nie mogl utracic inicjatywy, dopuscic do glosu potegi Candy'ego dopoki zniszczenia nie stana sie tak rozlegle, ze prawidlowa rekonstrukcja kazdego z nich okaze sie niemozliwa.

Pojmujac toczaca sie na jej oczach gre, Julie siedziala nieruchomo, tulac do piersi zraniona reke, druga zas sciskajac mocno dlon Bobby'ego. Nie potrzebowala slow, by zrozumiec, ze Frank poswiecil sie dla nich, a jedyna rzecz, jaka mogli zrobic dla niego, to zachowac w pamieci jego odwage, podobnie jak uczynia to z Thomasem, Halem, Clintem i Felina.

Nalezalo to do najodwazniejszych, najswietszych obowiazkow przyjaciol i rodziny: podtrzymywac plomien pamieci, tak aby niczyja smierc nie oznaczala natychmiastowego znikniecia ze swiata; w pewnym stopniu zmarli zyc beda nawet po swym odejsciu, dopoki trwac bedzie zycie tych, ktorzy ich kochali. Pamiec o zmarlych byla podstawowa bronia w walce z chaosem zycia i smierci, sposobem na zachowanie ciaglosci pokolen, przejawem porzadku i sensownosci.

Muzyka, wiatr; bracia ukazali sie po kolejnej serii blyskawicznych rozpadow i rekonstrukcji. Tym razem tworzyli juz jedna, monstrualna calosc. Cialo stwora bylo ogromne, wysokie na ponad siedem stop, szerokie i przysadziste, jako ze miescily sie w nim masy dwoch ludzi. Pojedyncza glowa wyposazona byla w koszmarna twarz: straszliwie wykrzywione, brazowe oczy Franka, otwierajace sie miedzy nimi wykrzywione usta w miejscu przeznaczonym na nos, druga para ust przecinajacych lewy policzek. Kuchnie wypelnil wrzask dwoch umeczonych glosow. Druga twarz znajdowala sie na wysokosci piersi. Pozbawiona ust, miala dwa oczodoly. W jednym z nich tkwilo nieruchomo blekitne oko Candy'ego, z drugiego sterczaly biale zeby.

Rozlewajacy sie potwor zniknal, by powrocic po niespelna minucie. W tym czasie zdazyl przybrac postac bezkszaltnej masy, miejscami ciemnej, gdzie indziej polyskujacej odrazajaco rozowa tkanka, zjezonej odlamkami kosci, pokrytej rzadkimi kepkami wlosow, oplecionej siatka zyl, pulsujacych w odmiennych rytmach. Po drodze Frank musial odwiedzić ulice w Kalkucie lub jakies podobne miejsce, gdyz zabral ze soba dziesiątki karaluchow i szczurow. Widzac, ze pokrywaja one niemal cala powierzchnie tworow, Bobby z kazda chwila nabieral pewnosc, iz cialo Candy'ego zostalo tak rozproszone i zanieczyszczone, ze juz nigdy nie da sie go prawidlowo odtworzyc. Odrazajacy zlepek byl najwidoczniej niezdolny do zycia, gdyz wkrótce potem, kiedy dyszac i drzac padl na podloge, znieruchomial na dobre. Niektore sposrod gryzoni i owadow wykrecaly sie jeszcze na wszystkie strony, probujac odzyskac wolnosc, lecz wkrótce i one, nierozzerwalnie zwiazane z martwa masa, doczekaly sie smierci.

Dom byl prosty, polozony w czesci wybrzeza nie objetej jeszcze kompleksowym zagospodarowaniem. Z werandy roztaczal sie widok na morze, a drewniane schodki prowadzily na

porosniete krzakami podworze, siegajace az do samej plazy. Dookola roslo dwanascie palm. W salonie ustawili pare foteli, kanape, stolik do kawy oraz Wurlitzera 950 zapchanego plytami z ery big-bandow. Posadzke ulozyli z jasnego debu. Czasami odsuwali meble pod sciane, zwijali dywan, wybierali kilka kawalkow z grajacej szafy i tanczyli. Tylko we dwoje.

Tak najczesciej spedzali wieczory.

Przedpoludnia, o ile sie akurat nie kochali, poswiecali na szperanie w ksiazkach kucharskich, a potem szli do kuchni i wspolnie przyrzadzali cos dobrego albo po prostu siadali przy oknie, pili kawe, patrzyli na morze i rozmawiali.

Mieli ksiazki, dwie talie kart, dobre i zle wspomnienia, no i siebie nawzajem. Zawsze siebie nawzajem.

Czasami rozmawiali o Thomasie oraz jego niezwyklym darze, ktory cale zycie przed nimi ukrywal. Ona mowila, ze kiedy o tym mysli, to ogarniaja pokora, poniewaz okazuje sie, iz wszyscy i wszystko jest bardziej skomplikowane i tajemnicze, niz nam sie wydaje.

Chcac pozbyc sie policji, zeznali, ze pracowali dla Franka Pollarda z El Encanto Heights, podejrzewajacego swego brata Jamesa o chec zabicia go z powodu nieporozumienia. Stwierdzili, iz James musial byc kompletnym wariatem, skoro zamordowal ich pracownikow, a takze Thomasa tylko dlatego, ze osmielili sie przyjac sprawe jego brata. W rezultacie tych zabiegow, kiedy okazalo sie, ze dom Pollardow splonal, a w zgliszczach odnaleziono dziwacznie przemieszane szczatki kostne, policja stopniowo przestala interesowac sie agencja Dakota and Dakota. Przyjela wersje, ze James Pollard zamordowal swe siostry blizniaczki oraz brata, po czym zbiegl, i zaczela poszukiwac tego niebezpiecznego przestepcy.

Agencja zostala sprzedana. Pozbyli sie jej bez zalu. Ona nie miala juz zludzen, ze zdola ochronic swiat, on zas nie musial juz jej pomagac w chronieniu samej siebie.

Dzieki pieniadzom, kilku dodatkowym czerwonym diamentom i dlugotrwalym negocjacjom zdolali przekonac Dysona Manfreda oraz Rogera Gavenalla, aby wymyslili inne pochodzenie dla stworzonego przez inzynierie genetyczna zuka.

Na poddaszu swego domu przechowywali pudla i torby z pieniadzmi zabrane z Pacific Hill Road. Candy i jego matka chaos wlasnego zycia starali sie skompensowac milionami dolarow zgromadzonymi w sypialni na pietrze, co Bobby i Julie przeczuwali, zanim jeszcze dotarli do El Encanto Heights. Zabrali ze soba zaledwie niewielka czesc skarbu Pollardow, lecz i tak bylo tego wiecej, niz dwoje ludzi zdola wydac przez cale zycie; reszta splonela razem z domem przy Pacific Hill Road, kiedy obleli go benzyna i podpalili.

Z czasem on pogodzil sie z faktem, ze mozna byc dobrym czlowiekiem, mimo nawiedzajacych go niekiedy zlych mysli lub egoistycznych pragnien. Ona stwierdzila, ze to dojrzalosc i uznala, ze calkiem niezle jest zamieszkac z dala od Disneylandu, kiedy czlowiek osiaga wiek sredni.

Ona chciala miec psa.

On nie miał nic przeciwko temu, lecz nie mogli się zgodzić co do rasy.

Ona powiedziała, że nie miała racji tamtej nocy w Santa Barbara, kiedy zdjeta rozpaczą wykrzyczała, iż nie ma marzeń, które by się spełniły. Marzenia spełniały się cały czas. Problem polegał na tym, że czasami, pochłonięci jednym, szczególnym marzeniem, nie dostrzegamy wielu innych, realizujących się po naszej myśli. Jak choćby to, że go znalazła, a on ją pokochał.

Pewnego dnia powiedziała mu, że beda mieli dziecko. On długo trzymał ją w ramionach, zanim znalazł słowa na wyrażenie swej radości. Ubrali się odświeżnie, żeby pojsć na obiad z szampanem do "Ritza", w końcu jednak postanowili uczcić to w domu, na werandzie, patrząc na morze i słuchając starych nagrań Tommy Dorsey'a.

Budowali zamki z piasku. Ogromne. Siadali potem na werandzie, skąd obserwowali, jak nadciągający przyływ niszczy ich konstrukcje.

Czasami rozmawiali o słowach, które wybuchły w jego głowie podczas jazdy, wysłanych przez Thomasa w momencie śmierci. Dyskutowali nad słowami: "jest tutaj światło, które was kocha" i powoli rodziło się w nich marzenie największe ze wszystkich - że ludzie naprawdę nie umierają.

Kupili czarnego labradora.

Nazwali go Sookie, bo uznali, że to śmieszne imię.

Podczas niektórych nocy ogarniał ją strach. Niekiedy strach nachodził też jego.

Mieli siebie nawzajem. I mnóstwo czasu.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-28

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

Table of Contents

[Rozpoczni](#)